

Skamieniała modlitwa

Karol May



calibre 0.9.27

Karol May

Skamieniała Modlitwa

Tytuł oryginału: Das versteinerte Gebet

Przełożył: Marek Błazejak

W grobowcu

Blisko grobu

Kiedy Ustad* prowadził mnie na górę do przygotowanego dla mnie mieszkania, wpadłem w jakiś szczególny nastrój. Nie byłem ani spięty, ani nie porywała mnie ciekawość. Czułem, jakby miała się spełnić żyjąca we mnie już od dawna, a jednak nigdy do końca nie uświadomiona tęsknota, jakby stało przede mną szczęście, do którego od dawna byłem przygotowywany, nie wiedząc o tym. Dlaczego byłem przy tym taki poważny, jakby na każdym ze stopni, po których wchodziliśmy, stała jakaś postać z minionych dni i unosiła rękę w niemym upomnieniu?

Zaszciliśmy na górę przed mieszkanie Ustada i moim oczom ukazały się kolejne schody. Na ich zakręcie tliła się świeca. Ustad pokazał ręką w tamtym kierunku i rzekł:

— Będiesz mieszkać tuż nade mną, a jednak o wiele niżej aniżeli ja. Dzisiaj nie zniósłbym, gdybym miał tak nisko mieszkać!

Spojrzałem na niego zakłopotany. Wówczas położył mi rękę na ramieniu i zapytał:

— Efendi*, czy boisz się duchów?

— Nie — odpowiedziałem.

— A grabarzy?

— Nie.

— To idź na górę i rozejrzyj się! Zostawiam cię na chwilę samego, ale niebawem wrócę. Mógłbym się wyrazić jeszcze inaczej: na dole, mój przyjacielu, czeka cię mieszkanie z trupami. Jesteś pierwszym i pewnie też ostatnim, a zatem jedynym, któremu wolno wejść do grobowca zbudowanego przeze mnie zmarłym z przeszłych dni mego życia. Mówię niejasno, ale właśnie z ciemności moich słów wyłoni się dla ciebie światło! To jest moje serdeczne życzenie!

Otworzył swoje mieszkanie, z posępnym uśmiechem pokiwał mi głową i zniknął za drzwiami. Poszedłem dalej.

Znów zaczęło mi dźwięczeć w uszach to wszystko, co do tej pory usłyszałem z jego ust. Jak głębokie, jak znaczące było każde słowo! Jak wysoko szybowiała każda myśl tego człowieka! Nazwał mnie przyjacielem. Jeśli wszystko było tak nadzwyczajne, to i tego słowa nie mogę tak zwyczajnie przyjąć. Niewątpliwie nie wypowiedział go, ot tak sobie, ale najzupełniej świadomie. Byłem przekonany, że jego treść odnosiła się do mojego wnętrza.

Kolejne schody prowadziły w głąb skały, na której opierało się najwyższe piętro „wysokiego domu”. Dostrzegłem jedne jedyne drzwi. Były otwarte. Wydostawało się przez nie na zewnątrz przyćmione światło świeczki. Wstąpiłem do środka. Ależ historia z tym „grobowcem”!

Wszystko wskazywało na to, że znalazłem się w pokoju przeznaczonym do nauki, należącym do jakiegoś europejskiego uczonego. Pokój wyglądał zupełnie tak, jakby uczoney dopiero co go opuścił i za chwilę miał do niego wrócić. Kim był? Geografem? Etnologiem? Podłogę pokrywały skóry dzikich zwierząt, a ich wypreparowane głowy, szpony i pazury porozrzucane były tu i ówdzie. Na ścianach, obok broni różnych narodów, wisiały rozmaite, ciekawe przedmioty codziennego użytku. Tuż przy wytwornym perskim dywanie stał indyjski stół wykonany z masy perłowej, na którym leżało parę otwartych książek. Wydawało się, że ktoś przed chwilą z nich korzystał. Przystanąłem, żeby się rozejrzeć. Otwarty Nowy Testament! Ktoś tuszem podkreślił wiersz: „Bóg jest Duchem, a ci, którzy modlą się do niego, powinni to czynić w duchu i w prawdzie!” Obok Nowego Testamentu zobaczyłem oprawny rękopis. Na końcu autor zanotował następujące zdanie: „Moje myśli nie są waszymi myślami, a moje drogi nie są waszymi drogami. Tak mówi Pan!”

Na stole do pisania tliła się lampa, której światło łagodził zielony abażur z najszlachetniejszego jedwabiu, utkany kobiecą ręką. Na abażurze widniały znaki arabskie. Były to bardzo znane słowa: „Miłość nigdy się nie kończy!” Kiedy uniosłem go, żeby przeczytać tę powszechną prawdę, dostrzegłem, że kryła się pod nim tak zwana lampa astralna. Astralna! Obudziło to we mnie, co najdziwniejsze, pewne wspomnienie z moich chłopięcych lat. Przeczytałem wtedy w jakiejś starej książce, że gdzieś na nieznanych gwiazdach mieszkają duchy astralne. Moja dziecięca fantazja zadała sobie olbrzymi trud, by nadać tym duchom kształt i barwę, osiągając nadzwyczajne wyniki. W tym czasie dowiedziałem się, że rektor otrzymał w prezencie lampę astralną do swojego gabinetu. Natychmiast się tam wybrałem i poprosiłem o pozwolenie na wycieczkę do tej duchowej krainy. Można sobie wyobrazić, jaki byłem rozczarowany, kiedy po bardzo szczegółowych oględzinach nie spełniło się ani jedno z moich wielkich oczekiwań. Pan rektor przyglądał się mojemu smutkowi i zapytał o przyczynę. Wyznałem mu wtedy otwarcie, co mnie gnębi. Zaśmiał się i rzekł: „Mój drogi chłopcze, prawdziwe światło astralne promieniuje od gwiazdy do gwiazdy przez całe niebieskie przestworza, żeby Duchem Bożym oświecić cały świat. Nazwa zaś tej ziemskiej lampy została wykradziona niebu, dzięki czemu pewien blacharz mógł nakłonić dostojnego Boga, aby działał na korzyść jego i jego kompanów”. W tym momencie rektor uświadomił sobie, że mój rozum nie dorównywał jego umysłowi. Mówił więc dalej: „Jeśli w życiu będziesz miał oczy tak szeroko otwarte jak teraz, wówczas zrozumiesz, co ci w tej chwili powiedziałem. Ten blacharz nie jest jedynym człowiekiem, któremu Pan Bóg musiał grać tak, jak ten zechciał. Są jeszcze inni biesiadnicy, którzy posilają się z obficie nakrytego stołu bożego, pomimo że prawo do tego ma tylko jeden z nich. W boskim świetle astralnym wędrują tylko wybitne duchy. W świetle zaś tej lampy grzeją się przede wszystkim małe duszki, które przy oleju z nasion rzepaku wyobrażają sobie, że zza swojego stołu mogą kontrolować cały wszechświat. A gdyby przy tym stole zatrzymał się jakiś wielki człowiek, wtedy tysiące tych małych duszków przyczałoby się, żeby zgasić mu tę lampę!”

Znowu zrozumiałem z tego tak niewiele jak poprzednio; ale później życie nauczyło mnie, co miał na myśli stary, doświadczony rektor, i kiedy stałem teraz tutaj, w „wysokim domu” przed lampą Ustada, czułem się tak, jakby zewsząd otoczyły mnie małe duszki i jakby jakieś niewidzialne sto głośów, którym radość sprawia cudze nieszczęście, szeptało mi do uszu: „Tam stoi jeszcze ta, którą mu zgasiłszy. Tolerujemy duchy, ale nie ducha*!”

Zabrałem ją ze stołu, żeby zobaczyć dwa boczne pomieszczenia, przylegające z obu stron do pokoju, w którym się znajdowałem. Pierwsze przeznaczone było na sypialnię. Czułem zapach lnu,

dlatego skłonny byłem uważać, że zasłane na białe łóżko trafiło tu z Europy. Na ścianach nie było żadnych ozdób, poza jednym jedynym, prymitywnie oprawionym, niewielkim obrazem. Wisiał naprzeciwko okien. Uniosłem lampę, żeby mu się przyjrzeć. Dostrzegłem, że był to wykonany z wielkim pietyzmem rysunek piórkami. Przedstawiał wiejski kościółek stojący na szczycie góry. Od razu było widać, że nie był to twór fantazji. Ten przybytek boży niewątpliwie istniał naprawdę. Pod obrazem ktoś napisał kilka wierszy. Przeczytałem:

Kościółku mój, kościółku mały,

móc być tak jak ty; nabożny, wspaniały!

I twój szczyt osiągnąć,

chęć pokorze twej dorównać.

Kościółku mój, kościółku mały,

chęć ciągle być jak ty wspaniały!

Kto to napisał? I dla kogo? Jeśli autor był poetą, to wybrał sobie bardzo odludne miejsce, żeby się chełpić swoim duchem. Czy jest gdzieś taki człowiek, który nie czułby się małym wobec domu poświęconego Bogu? Nawet największy z poetów wiedziałby, że musi wyrzec się wspaniałego rymu, jeśli chce w czystości serca udać się do świątyni. Ten, który naprawdę jest Największy, tutaj jest najmniejszy.

Pomieszczenie, do którego teraz wszedłem, było biblioteką. Jej istnienie nie powinno mnie dziwić, chociaż trudno w to uwierzyć, żeby Pekala, która mówiła o książkach Ustada, mogła gospodarzyć sobie tutaj, u góry, według własnego uznania. Przy wszystkich czterech ścianach stały wysokie półki wypełnione książkami, mapami i solidnie zasznurowanymi paczkami. Były one uporządkowane według lat i miesięcy, a widoczne na nich napisy świadczyły, że w środku znajdowały się listy. Na podłodze stały otwarte skrzynki po brzegi wypełnione listami, tudzież gazetami. Środek pokoju zajmował niezwykle duży stół. Leżały na nim książki, mapy, dokumenty. Świetnie nadawał się dla kogoś, kto pracuje umysłowo i lubi mieć dla siebie dużo miejsca.

W całym mieszkaniu były wysokie i szerokie okna, przepuszczające dużo światła. Ze środkowego pokoju, tego, do którego najpierw wszedłem, drzwi prowadziły na zewnątrz. Otworzyłem je, by rozejrzeć się po okolicy. Jakże mile byłem zaskoczony, gdy stwierdziłem, że przede mną rozciągał się płaski dach, pod którym mieściło się mieszkanie Ustada. Na górze nie było już nic więcej poza trzema pokojami, które opisałem. Były one na tyle cofnięte w stosunku do przedniej ściany domu, że ten piękny dach stawał się dostępny. Stąd miałem widok na północ, wschód i południe, podczas gdy na zachodniej stronie, obok mnie pięła się w górę droga wiodąca do jaskini, przypominającej kształtem dzwon.

Jedną z moich cech jest to, że lubię pracować na dworze, czasem również wieczorem i w nocy. Przyznaję, że swoje najszcześniejsze, najbardziej duchowo ożywione i najowocniejsze chwile przeżyłem na płaskich dachach Wschodu. Jeśli ktoś spoglądał nocą, pod rozgwieżdżonym niebem z dachów Asjut na szczyt Stabl Antar, z Jerozolimy na maar Eliasza, z Tyberiady na jezioro Genezaret, ze wspaniałej libańskiej Brummany w dół na światła i porty Bejrutu, ten już do końca życia nie zapomni owych chwil. A teraz tutaj, z „wysokiego domu”, nieopisanie piękny horyzont wchodzi w orientalną noc i wychodzi z niej niczym z raju do raju, zupełnie niepodobny do widnokregu zachodniego, który kroczy tylko od wieczora do ranka!

Wtem usłyszałem jakiś szelest. Obejrzałem się i zobaczyłem Ustada wchodzącego do mojego pokoju. Dostrzegł mnie stojącego na dachu i wyszedł na zewnątrz. Oparłem się o balustradę. Ustada nie odzywał się ani słowem. Z rękami spoczywającymi na kamieniach, spokojnie patrzył na widniejące przed nami w dole jezioro. Słyszałem jego lekki oddech. Po krótkiej chwili odwrócił się do mnie i pokazując w dół, zaczął mówić:

Jeziro rozmyśla teraz w głębokim skupieniu,

czyżby o Bogu rozmawiało ze słońcem?

A słońce spogląda mu prosto w serce.

Skąd się wzięło to spojrzenie?

I widzi jezioro, że w jego własnych falach

odpoczywa obraz całego ogromnego nieba,

tak więc i ono posyła słońcu spojrzenie i światło.

I mnie także do serca, jako pochwalny i dziękczynny wiersz.

Jakie to dziwne! Właśnie podobne myśli zrodziły się we mnie! Nie powiedziałem jednak nic. Nie mogłem znaleźć słowa, które warto byłoby w tej chwili wypowiedzieć. Ten wiersz powstał teraz, w nim To, że potrafi tak od razu ująć swoje myśli w słowa, nie było dla mnie zaskoczeniem. Każdy poeta zazwyczaj to potrafi. Odwrócił się znowu i rzekł po krótkiej przerwie, nawiązując do tego, co powiedział przed chwilą:

— Dziś właśnie był dzień chwały i dziękczynienia. Dla mnie jeszcze się nie skończył. Ciągłe we mnie trwa. Byłeś bliski cielesnej śmierci, ale znowu zmartwychwstałeś. Dlatego możemy zmierzać w górę do domu naszego Ojca.

— Zatem pozwól mi wyrazić swoją wdzięczność za to, że i ty znów odżyłeś — odparłem.

— Ja? — zapytał prędko.

— Tak. Byłem bliski śmierci, ty natomiast umarłeś.

— Kto to powiedział? Kto ci to powiedział?

— Pekala. Czyżby nie miała prawa do tego?

— Ona wie, że nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic. Ale udzieliła ci złej informacji.

— Czyż nie powiedziałaś jej, że nadszedł dzień twej śmierci? Czy dopiero co nie mówiłaś mi o swoim grobowcu?

— To prawda, ale oboje źle mnie zrozumieliście. Mój grobowiec nie jest moim grobem. Spoczywa w nim tylko to, co we mnie umarło, a dniem mojej śmierci był ten, w którym to się stało.

— Zatem życzę ci z całego serca, żebyś miał rację! To takie smutne czuć w sobie, jak miłość umiera. Równie przerażające musi być, jeśli czuje się, że ciało jeszcze żyje, ale duchowo w pełni rozwinięta istota już umarła i została pogrzebana.

Przez dłuższą chwilę patrzył mi prosto w oczy. Później pogładził się po czole, tak jakby chciał coś strząsnąć, po czym odrzekł:

— Rzeczywiście, nie mogę wyobrazić sobie niczego straszniejszego od tego, co właśnie powiedziałeś. Choć tyle we mnie do tej pory umarło, to to, co określiłeś moją duchową istotą, ciągle tryska pełnym życiem.

— Tak, daj Boże!

Ton, jaki mimo woli nadałem tym trzem słowom, tak podziałał na Ustada, że ponownie zwrócił twarz w moją stronę. Tym razem wyrażała ona lekkie zdziwienie. Po chwili spytał:

— Czy uważasz, że jest możliwa śmierć pełnej, znaczącej dla świata, wielkiej duchowej osobowości?

— Tak.

— A na co miałyby umrzeć?

— Wskutek nagłej, pozornie w pełni uzasadnionej decyzji. Albo też na jakieś wynikię z własnej winy powolne zmartwienie. W obu przypadkach następuje samobójstwo, oczywiście jeśli duch był wcześniej zdrowy.

— Panie, czy wiesz, jak mocne są twe słowa?

— Mówimy o duszy, zatem niech duch do ducha przemawia. Duch zaś jest mocą, być może większą od tego wszystkiego, co zwykliśmy określać mocą. Chciałbyś usłyszeć moje zdanie na temat śmierci: to nie jest sprawa serca. Dopóki pytasz moje serce, odpowie ci ono, i to bardzo chętnie! — Złożył ręce, jak do modlitwy, skierował wzrok ku niebu i powiedział: — Czyż miałbym być samobójcą?! Chodeh*, błagam cię, nie dopuść do tego!

— Chodeh jest wszechmogący, ale nawet pomimo swojej wszechmocy nie może zapobiec temu, co już się stało.

— A zatem będę musiał poddać się próbie. Muszę wiedzieć, co takiego uczyniłem, czy mógłbym jakoś inaczej postępować i czy w ogóle powinienem inaczej postępować.

— Czy uważasz, że możesz być swoim bezstronnym sędzią?

— Nie. Dlatego ty powinieneś mnie osądzić.

— Ja? To niemożliwe, gdyż ja cię miłuję.

— Zatem co do tego obaj jesteście zgodni. Musimy pilnować się nawzajem, aby wyrok mógł być później sprawiedliwy. Na początku muszę wczuć się w osobę postronną, świadka, który zgodnie z pełną prawdą opowie nam, jak doszło do tego, że ręka śmierci złapała mnie za moje wnętrze. Mówię ci szczerze, zaprowadziłem cię tutaj, na górę, byś przekonał się o istnieniu miłości. Może ty jesteś tym, który udowodni mi, że ona istnieje. Sądziłem, że będę musiał ratować cię nie od jednej, lecz od wielu śmierci. Teraz zastanawiam się, czy właśnie tobie nie przyjdzie udowodnić mi, że umarły nie jest w stanie uchronić od śmierci tego, który żyje.

W tym momencie nasza rozmowa urwała się. Usłyszeliśmy dochodzące z placu głosy i powłóczysty chód wielbłądów, wolno przechodzących przez bramę. Dwóch mężczyzn rozmawiało ze sobą. Jednym z nich był Tifl, drugim jakiś nieznajomy. Później doszedł Pedehr. Wydawało nam się, że zadał kilka pytań, ale nie mogliśmy ich zrozumieć; potem wyraźnie usłyszeliśmy, jak powiedział:

— Zsiadajcie, bądźcie pozdrowieni! Przekażę twoje życzenie naszemu Ustawowi.

Ustad, słysząc to, pochylił się nad balustradą i krzyknął na dół:

— Z kim tam rozmawiasz, Pedehr?

— To Agha Sibil z Isfahanu ze swoim wnukiem — odrzekł zapytany. — Natrafił na Krwawego Mściciela i przynosi nam ważną wiadomość.

— Niech będzie naszym gościem. Zaraz schodzę na dół. Przeprosił mnie, tłumacząc, że musi oddalić się na pewien czas, i chciał już odejść.

— Pozwól tylko na chwilę — powiedziałem. — Kim jest ten przybysz?

— To kupiec z Isfahanu, zajmujący się handlem na dużą skalę. Z Isfahanu rozprowadza swoje towary na cały kraj. Zaopatruje wiele wolnych plemion w to wszystko, czego potrzebują, i jest także głównym odbiorcą naszych wyrobów. Jego ludzie niemal cały czas przemierzają kraj z towarami. Kiedy trzeba dokonać rozliczenia, wtedy zwykle sam Przyjeżdża.

Po tych słowach opuścił mnie. Pewnie myślał, że chciałem uzyskać tylko informację o Multasimie, ja miałem jednak jeszcze inny powód. Mianowicie mój gospodarz w Bagdadzie, który, jak powiadał Halef, kiedyś był Bimbaszim, a teraz dozorcą Mir Alai, podał mi imiona swoich przodków i

nadmienił przy tym, że jego teść nazywał się Mirza Sibil albo też Agha Sibil i był perskim handlarzem. Teraz przybył tutaj z Isfahanu jakiś handlarz, który nosił właśnie to imię. Naturalnie od razu pomyślałem o rzekomej śmierci, nad którą tak długo ubolewał mój gospodarz. Nie miałem zamiaru podejmować na razie jakichś konkretnych działań, ale wydało mi się podejrzane, że ten Agha Sibil ma ze sobą wnuka, a nie syna. Gotów byłem sądzić, że w tym cudownym „wysokim domu” doszło prawdopodobnie do kolejnego, trzeciego już rodzaju zmartwychwstania, albowiem z kraju wrócił człowiek, którego uważano za zmarłego. Dlatego bardzo zależało mi na tym, żeby jeśli tylko to możliwe, samemu porozmawiać z tym kupcem.

Tymczasem zdecydowałem jednak, że swój czas poświęcę Ustawowi, gdyż liczyłem, że dowiem się czegoś o jego przeszłości. W tej chwili nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo miały mi się przydać w przyszłości jego informacje. My, krótkowzroczni, tępi ignoranci, wędrujemy po antropozoficznych ścieżkach zupełnie na opak. Jesteśmy kompletnie ślepi i głusi na wielką prawdę, że człowiek może poznać siebie przez drugiego człowieka. Każdy z nas jest do tego stopnia podobny do innych ludzi, że gdybyśmy nie mieli fatalnej cechy kierowania się bardziej ku ludziom złym niż dobrym i budowania naszego związku z ludzkim rodzajem według naszych wizji, musielibyśmy upodobnić się do siebie, nie tylko fizycznie, czy umysłowo, lecz także w sposobie życia, pomimo że przy pobieżnej obserwacji każdy człowiek wydaje się tak różny. A już bezwzględnie posiadlibyśmy liczne podobne, a nawet identyczne cechy wewnętrzne, dzięki którym poznanie człowieka stałoby się jednocześnie poznaniem samego siebie. Bo tak jak w milionach ludzkich ciał krew krąży w ten sam sposób, tak samo w tych milionach równych żył tętni duch. Gdyby te żyły ujawniły się naszym oczom, zauważylibyśmy z pewnością, że wśród tysiąca duchów umieszczonych na sekcyjnym stole nie ma ani jednego, który różniłby się od innych anatomicznie, pod względem witalności, czy też wspomnianego już przeze mnie sposobu życia do tego stopnia, by profesor nie mógł z całą dokładnością zademonstrować na nim, dlaczego wszystkie pozostałe spotyka ten sam los co i jego.

Czy ktokolwiek chce jeszcze słuchać tego niezwykłego albo może nawet typowego dla chorego na zaćmę, zwyczaju mówienia? Czy ktoś chce jeszcze słać duchy? Podczas gdy jeden człowiek, ciężko harując, nie potrafi w ciągu swojego osiemdziesięcioletniego życia związać końca z końcem, inny zbija majątek już w wieku dwudziestu lat. Przed oczami zaś największego i najsprawiedliwszego z wszystkich duchów, każdy najmniejszy trud podjęty przez pierwszego z nich, więcej jest wart, aniżeli cała praca wykonana bez wyrzeczeń przez drugiego. Najmniejszy duch może być wielki pomimo swojej małości, największy zaś małym pomimo swej wielkości. Pośród tych upiornych duszków, które dopiero co naprzykrzały mi się koło lampy Ustada, był zapewne niejeden zupełnie zapomniany, który w chwili jej gaśnięcia należał do wybitnych duchów. Teraz te wielkie, które zniknęły z tego świata, musiały czuwać w grobowcu tego „wysokiego domu”, aby lampa nie zapaliła się już nigdy!

Nie przyszło mi do głowy, żeby zaprzeczać istnieniu wielkich duchów. One były, są i zawsze będą, ale były i są wielkie tylko dla ludzi, a nie dla tego, który wszystko widzi. Jego wielkość trwa na wieki. Gdy te przeminą, są jak dzień, który wczoraj zgasł. Dla nigdy nie wyczerpującej się pełni wieczności, każdy, nawet najślawniejszy człowiek, przeżył jednak tylko ten jeden dzień. Szczęście zaś, które człowiek daje drugiemu człowiekowi, ucieka od sławnego i trzyma się bardziej tego, który potrafi wznieść się ponad ziemską chwałę, i w nim zamieszkuje, nie pragnąc rozgłosu!

Skąd wzięły się te myśli? Czyżby na tym odsłoniętym dachu przed grobowcem ogarnęła mnie jedna z tych duchowych atmosfer, o nieznanym składzie? Czyżby spotkały się tutaj odkurzone myśli dobrych, szlachetnych ludzi, zmarłych dawno temu, żeby tam, na górze, w alabastrowym namiocie połączyć się przed wyprawą do nieba? Musiałem zostawić swoje rozmyślania, bo oto właśnie wrócił Ustad i prosił mnie, bym poszedł z nim do biblioteki. Chwycił za lampę, chcąc zabrać ją z sobą. Kiedy zauważył, że moje spojrzenie zatrzymało się na widniejącym na kloszu napisie, powiedział:

— Miłość nigdy się nie skończy! Oczywiście, ale Boża miłość! Natomiast ta tutaj dla mnie się skończyła. A może w ogóle nie istniała. Czyż te wspaniałe słowa były haftowane nie sercem tylko ręką? Małą, delikatną, piękną rączką, która dla mnie stała się pazurem, chociaż tak często, tak często dotykałem nią swych oddanych prawdzie ust.

Podszedł do stolika z masy perłowej i wskazał na Testament. — Bóg jest Duchem! Szukałem tego Ducha. Wierzyłem, że On, który wszystkich ukochał, obdarza duchem również człowieka. Dlatego próbowałem odnaleźć go w niej. Obserwowałem ją, gdy czuwała, gdy spała i gdy modliła się. Czuwając, sama sobie była Bogiem. Śpiąc, śniła tylko o sobie. A w modlitwie przed samą sobą klęczała! Wtedy zbudził się duch Boży na Wschodzie i poszedł jako pasterz, który szuka swego stada, wędrując z kraju do kraju, od ludu do ludu, od serca do serca. Wszędzie, gdzie tylko się pojawił, wołano za nim Hosanna; później odrzucono go i ukrzyżowano. Wszędzie, na każdej Golgocie widziano ukrzyżowane ciało Pana. Czemu nie widziano Ducha? Ducha, któremu powinniśmy dać się pokierować? Gdzie tak naprawdę modlono się do Ducha? Pytałem o to wszędzie, gdzie tylko byłem. Odnalazłem niejedną stajenkę, niejednego złódek, gdzie anioł śpiewał pieśń pochwalną i modlili się pasterze, królowie i mędrzec. Czułem jeszcze zapach kadzidła i miry, które przyniesiono duchowi miłości; on zaś schronił się w Egipcie, uciekając przed nienawiścią tego, który chciał go zabić. — Dotknął rękopisu, szybko jednak zabrał rękę, zupełnie jakby dotknął czegoś ohydneho czy nawet wrogiego, po czym rzekł: — Ten rękopis to ucieleśnienie mego ducha, z którym poszedłem na poszukiwanie Ducha. Teraz ten duch już nie żyje i spoczywa w grobie. Skonał po tym, jak zrozumiałem napisane na końcu słowa, mówiące, jakoby myśli ludzkie nie były Bożymi myślami. Dlaczego więc miałem dalej szukać owej prawdy myślami swego ducha? I tak bym jej nie znalazł, bo moje myśli są całkiem inne aniżeli Boże!

Przyglądał mi się tak, jakby oczekiwał ode mnie potwierdzenia. Ja zaś spokojnie zaprzeczyłem:

— Powinieneś umieścić te słowa na początku, a nie na końcu. Wiedziałbyś wówczas, że nie szuka się byстрым umysłem, ale ufnyм okiem wiary. Jak powiadasz, schodziłeś całą ziemię wzdłuż i wszerz. Gdybyś tylko podczas swej wędrówki otwierał szerzej oczy, wtedy na pewno zrozumiałbyś, że Jezusa nie szuka się w stajence, bo uciekł z niej przed Herodem, ale w życzliwej Betanii czy przyjaznym Emaus, gdzie żyjąc wśród swoich, łamał się z nimi chlebem przed i po ukrzyżowaniu. Myślisz, że jeśli ty nie odnalazłeś Ducha Bożego, to i inni nie mogli go odnaleźć?

— Ależ ja go odnalazłem! Obejrzyj tego trupa i przeczytaj pierwsze słowa!

Otworzyłem rękopis na tytułowej stronie i zobaczyłem napisany wielkimi literami nagłówek: „Wiara zwycięża świat!”

— No więc? — zapytał. — Czy nie postępowiałem tak, jak powiedziałeś? Czy nie poszedłem szukać z wiarą? Czy nie była ona alfą tej książki? Dlaczego właśnie nie tą, ale zupełnie inną drogą dotarłem do omegi?

— Alfą twojej drogi była droga Hosanny. Chcąc znaleźć Boga, oparłeś się na wierze. Jednak opętał cię ten sam duch, który kiedyś kusił Mesjasza. Zwyciężał, a ty się poddałeś. Porzuciłeś Ducha Bożego i zaczęłaś się uganiać za sławą swojego własnego ducha. Odnalazłeś go obłudnego, fałszywego. Wołano za tobą Hosanna, chociaż przez rozkrzyczany tłum jechałeś tylko na ośle. On zaś kopytami podeptał gałązki palmowe twojej chwały. Oni też byli tego warci. Przecież już wtedy zaczęli szemrać z tyłu „ukrzyżuj go”.

— Efendi — przerwał mi zdziwiony. — Wiesz, co się później stało? Skąd możesz to wiedzieć?

— Czy tylko ja? To przecież wie każdy! Kto dąży do prawdy, musi wdzierać się na Golgotę wśród rozradowanych tłumów tak zwanych przyjaciół, którzy go później opuszczają, a wrogowie zmuszą, by wyzionął ducha.

— By... wyzionął... ducha! — powtórzył. — Jakie to prawdziwe! Czy do tego ma dążyć człowiek? Czy tak być musi?

— Dlaczego pytasz mnie, zwykłego śmiertelnika? Zapytaj tego, który umarł za nas na krzyżu, by nas zbawić. Konając w cierpieniach, wołał donośnym głosem: „Ojcze w twoje ręce powierzam ducha mego!” Powiedz mi, Ustadzie, czy poszedłeś za jego przykładem? Czy gdy duch cię dręczył, powierzyłeś go Bogu, tak jak on powierzył? Powiedziałeś: „Ten rękopis to ucieleśnienie mego ducha”. Zatem dokąd trafił duch? Czy zmusiłeś się, żeby go wyzionąć? Czy powierzyłeś go Bogu, żeby powtórnie zmartwychwstał w swoim ciele, jak niegdyś Isa ben Marryam* powstał w tym samym ciele z martwych!

Gospodarz „wysokiego domu” odłożył powoli lampę na stół.

— Zaczekaj, efendi! — odezwał się. Później wolno, tak jakby nagle musiał dźwignąć jakiś ciężar, wyszedł na dwór. Kiedy był już na zewnątrz, obrócił się jeszcze raz. — Czy wierzysz, że zmarli mogą zmartwychwstać? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałem.

— Naprawdę?

— Ja nie tylko wierzę, ale nawet znam takich.

— Ty?

— Tak, ja!

— Jakże chciałbym być tobą!

— Jest to możliwe, musisz tylko chcieć!

— Efendi, efendi! Dla kogo znowu zapali się ta lampa? Dla ciebie? Dla mnie? Dla nas obu? Moje myśli nie są waszymi myślami. Moje drogi nie są waszymi drogami. Tak mówi Pan! Czeka! Daj mi się zastanowić!

Gdy tylko zniknął za drzwiami, chwyciłem leżący przede mną ciągle otwarty rękopis. Chciałem już go zamknąć, ale rzucił mi się w oczy tytuł: *Duch i prawda*. Usiadłem, trzymając książkę w ręce. Nagle poczułem się tak, jakbym był bardzo zmęczony. Czyżby to moje ciało osłabło, czy raczej te dwa mądre słowa tak na mnie podziałały, że musiałem usiąść? Kim jest ten człowiek, że nie boi się podjąć takiego trudu, chociaż tak wiele jeszcze przed nim? Ta książka z pewnością powstała w okresie młodości, kiedy świat możliwości jest bez granic. Bardzo rzadko zdarza się potem, żeby człowiek, który młodość ma już za sobą, potrafił zniszczyć to wszystko, co wykonywał niepotrzebnie, choć z tak ogromnym mozółem w wieku, w którym nie ma rzeczy niemożliwych. Przeważnie chowa to gdzieś, by później służyło któremuś zawsze mającemu rację pesymiście jako dowód na to, że tu na ziemi wszystko jest marnością.

Pragnąłem przeczytać ten rękopis, ale ponieważ nie zgadzałem się z tym, co było w nim napisane, nie przychodziło mi to łatwo. Siedziałem więc przez dłuższy czas posepnie zamyślony, aż w końcu przyszedł Ustad i jeszcze raz poprosił mnie, żebym poszedł z nim do biblioteki.

Wstałem i mimo woli obrzuciłem go badawczym spojrzeniem. Czyżby zaszła jakaś zmiana? W jego sylwetce nie zmieniło się zupełnie nic, pomimo to przemknęło mi przez myśl, że to już nie ten sam człowiek, którego ujrzałem na dole koło mego legowiska. Ogarnęło mnie jakieś zawstydzenie z powodu mojej niewdzięczności, ale wbrew temu uczuciu zrodziło się coś silniejszego i teraz już wiem, że słusniejszego. To coś wzywało mnie: Nie schlebiaj sobie, kiedy teraz masz szansę go uratować. Osądzając go, zadajesz ból tak sobie, jak i jemu! Zauważył, że przypatruję mu się, zapytał więc:

— Przyglądasz mi się. Czy to moje dzieło trzymasz w ręce? Czytałeś może?

— Tylko tytuł.

— I stąd to spojrzenie?

— Tak.

— Rozumiem cię. Duch i prawda! Może bardziej pasowałoby: Duch lub prawda!

— To również nie pasuje.

— Zatem ani „i”, ani „lub”!

— Czy sądziłeś, że Duchowi można przybliżyć prawdę za pomocą spójników albo przypadkowego trafu? Pisząc ten artykuł, napisałeś całe dzieło. Dalej nie musisz już pisać. Najlepiej będzie, jeśli twoja praca pozostanie właśnie taka niedokończona. Chociaż Kajfasz i Piłat odrzucili Ducha, który ośmielił się nauczać prawdy, tobie nie wolno tego uczynić. Jestem przekonany, że On osiągnął cele znacznie wyższe i szlachetniejsze od tych wszystkich, które są opisane na tych kartkach, jednak On

nie chciał umierać, lecz tylko zasnąć po to, żeby znowu się obudzić!

— Bez względu na to, czy umarł czy tylko śpi, pragnę teraz razem z tobą doznać Jego istnienia. Muszę opowiedzieć ci, jak narodził się mój duch i jak mnie opuścił. Nie będzie to jednak wesoła historia.

— Historia? W żadnym razie! Jeśli twój duch miałby umrzeć, to pozostaje ci tylko wygłosić mowę pogrzebową. Jeśli natomiast byłby podobny do tego nieśmiertelnego, o którym mówił Chrystus: nasz przyjaciel śpi, wówczas twoja mowa nie będzie pustym opowiadaniem, lecz przebudzeniem. No i doszliśmy do pokoju, gdzie chcesz mi opowiadać. Czuję się teraz tak, jakby w uszach dzwonił mi głos Najwyższego, głos, który miał moc wskrzeszania umarłych: „Łazarzu, mówię ci wstań!”

Położył lewą rękę na moim ramieniu i przycisnął mnie do siebie. Spłynęło na niego ciepło mego wnętrza. Objęliśmy się i tak wewnętrznie połączeni byliśmy jak jeden człowiek.

Odstawił lampę na duży stół, usadowił mnie na krześle i z rękami włożonymi za pas przechadzał się tam i z powrotem, nie odzywając się ani słowem. Potem oparł się tyłem o stół, tak by jego twarz pozostała nie oświetlona, i rzekł:

— Posłuchaj, efendi, oto jest początek!

Skinałem głową. Po czym rozpoczął:

— W dziejach każdej religii występuje okres męczeństwa, w którym wierni są prześladowani za swoją wiarę. Myślę oczywiście o zabijaniu. Jeśli jednak wydrze się broń tym, którzy pałają nienawiścią do wyznawców danej religii, wtedy oni grożąc zemstą, cofają się i szukają schronienia wśród swoich doktryn, które uważają za mury nie do zdobycia, żeby z nich szkodzić innowiercom, ile się da. Niewiele jest chyba takich miejsc na ziemi, gdzie pełne mocy słowa Boże nie nosiłyby znamion woli człowieka, który wielbi Boga tak, jak mu się podoba, chociaż to Bóg decyduje, w jaki sposób człowiek powinien zwracać się do Niego. Człowiek jednak jest na tyle zuchwały, że nie poddaje się woli Bożej, ale sam próbuje narzucać Bogu swoją wolę. A jeśli ktoś spyta, czy wolno narzucać Bogu swoją wolę, wtedy szybko odpowiada, że sam Bóg mu to objawił. Doznawszy takiego objawienia, zachowuje się tak, jakby wydzierżawił niebo wraz z jego wieczną szczęśliwością i teraz musiał zupełnie według własnego upodobania umieścić tablicę ostrzegawczą z pełnym grozy napisem: „Wstęp tylko dla osób posiadających zezwolenie podpisane własnoręcznie przez Jego Najwyższą Łaskawość Dzierżawcę. Kto ośmieli się wkroczyć tu bez tego zaświadczenia, ten będzie natychmiast skazany na cielesną, duchową i wieczną śmierć!” Efendi, czy może nie zgadzasz się z czymś w moim wywodzie?

— Mam być szczery?

— Tego właśnie od ciebie oczekuję!

— Stoisz przede mną niczym personifikacja swojego życia, o którym chcesz mi teraz opowiedzieć. To jest życie pojedynczego człowieka. Z niego właśnie wynikają twoje poglądy. Muszę je więc traktować wyłącznie jako twoją osobistą opinię, a niejako Dobrą Nowinę*, która powinna być dla

mnie punktem odniesienia. Jestem, taką mam nadzieję, człowiekiem roztropnym. Będąc nim, muszę szanować nie tylko sumienną pracę, lecz także jej owoce, które tak szczerze mi przedstawiłeś. Wiem, że nie chcesz mnie zmuszać, bym się nimi rozkoszował. Nie mam więc najmniejszego powodu, by cię chwalić czy ganić!

Zdaje się, że oczekiwał innej odpowiedzi, ale nie dał tego po sobie poznać. Mówił dalej:

— Czy poznałeś może takie niebo wydzierzawione rzekomo od Boga? Ja poznałem, i to niejedno. Co szczególne, są one nadzwyczaj do siebie podobne! A czy wiesz, czym płaci Bogu za dzierżawę jego wszechmocny reprezentant? Tym co pozostanie z przyniesionego mu kadzidła. Niczym więcej! A kiedy przyjmie od wszystkich pokłony, wtedy jest tak łaskawy, że oddaje pokłon Bogu. Nic więcej! Gdyż ten Bóg jest wiecznie tak miłosierny, łaskawy, pobłażliwy i dobroduszny, że uzurpator jego nieba nie potrzebuje już okazywać mu wdzięczności w dniu rozrachunku, ale w tym dniu będzie pierwszym z pierwszych, którzy zostaną wyrzuceni! Zapytasz mnie zapewne, jak zawiera się umowy z Wieczną Sprawiedliwością, że taki zadufany dzierżawca niebios mógł spędzić w raju tak długi czas. Mój przyjacielu, miejsce, w którym osiedlił się, to wcale nie było niebo, lecz dawny, wspaniały, niestety obecnie zamieniony w pustynię, świat myśli, w którym każdy kolejny wielbłąd musi iść śladami idącego przed nim, jeżeli nie chce, żeby przewodnik zmusił go, by padł na przednie nogi, i później zdzielił go batem.

W tym momencie chciałem go nieco sprostować. Powstrzymał mnie jednak szybkim, energicznym ruchem ręki i mówił dalej:

— Wiem wszystko, co chcesz mi powiedzieć, wszystko! Sądziłeś, że chciałbym stać przed tobą niczym personifikacja swojego życia, niczym indywiduum. Pozwól mi więc teraz nim być! Miałem zamiar inaczej to opowiedzieć. Chciałem mówić głosem ludzkości. Zmusiłeś mnie jednak do tego, żebym jako jednostka posługiwał się takim językiem, który wypędzi nienawiść i zazdrość z zakamarków mego życia w to moje zacisze. Dziękuję ci, że mi to umożliwiłeś. Nie będę kłamać ani przesadzać, ale nazwę wszystko po imieniu. Nie żądaj jednak ode mnie, żebym milczał albo koloryzował, czy niepoprawnie się przechwalał, gdyż już nieraz mi pobłażano. Człowiek udręczony potrafi tylko jęczeć z bólu. A kiedy teraz powracam w swoich wspomnieniach do okolic, gdzie doznałem największych cierpień, jakie człowiek może znieść, nie dziw się, że nie mówię tonem człowieka, który zapomniał o swoich wrogach!

— Ja właśnie bym tak mówił! — wtrąciłem.

— Ty? Naprawdę?

— Tak.

— Wierzę ci. Chrystus powiedział przecież: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół!” Ale On był Człowiekiem Bożym, a ty sprowadziłeś mnie do indywiduum, do mojej specyficznej osobowości, więc powinienem teraz dopuścić ją do głosu. Wzywam cię, żebyś spojrział na siebie jak na zbiór wszystkich moich wrogów. Do nich chcę dalej mówić, a nie do ciebie, wszak ty doznałeś w życiu tylko blasku słońca, a ludzie obdarzyli cię wyłącznie przyjaznym uznaniem!

Stałem cicho. Nie odezwałem się ani słowem! Jednak moja twarz nie była widocznie tak milcząca, jakbym sobie tego życzył, gdyż zapytał:

— Czemu się tak dziwnie uśmiechasz, efendi? Czy z mojego powodu?

— Nie. Mów dalej, proszę! Powiedziałeś, że poznałeś niejedno wydzierzawione niebo?

— Tak. Kiedy przedstawię ci jedno z nich, wraz z nim poznasz wszystkie pozostałe. Słuchaj! Zjechałem na swoim koniu Imtichanat* z Dżebel Din* do leżącego na równinie kraju zamieszkanego przez ludzi. Dotarłem tam i dowiedziałem się, że gdzieś niedaleko stąd biegła droga do raj. Kazałem, by mi ją pokazano, i podążyłem nią. Towarzyszący mi ludzie wyglądali na bardzo pobożnych. Ręce mieli złożone i częściej zwracali oczy ku niebu niż zwykle się to czyni. Nie widziałem więcej zamieszkanego domów i namiotów, za to same budowle, które chociaż nosiły różne nazwy, poświęcone były Allachowi. Obok budynków z wysokimi oknami widziałem meczety, przy których stały wieże, indyjskie świątynie, chińskie pagody, malajskie Domy Boże, amerykańskie namioty lekarskie, hotentockie pogańskie szałas i wykopane w ziemi australijskie nory służące do modlitwy.

Wszyscy dążyli do nieba. Ale niemalże tyle samo ze smutkiem wracało, gdyż nie wolno im było wejść do środka. Zapytałem ich dlaczego i otrzymałem odpowiedź, że nie mieli pisemnego zezwolenia. Tłum narastał coraz bardziej w miarę zbliżania się do bram nieba. Tu cała j ciżba zatrzymała się, gdyż drogę przecinała Chabl el Milal*. Nie przyjechałem tutaj po to, by zostać w tym niebie już na stałe. Moim celem było sprawdzenie, co się w nim dzieje. Dlatego nic nie obchodziła mnie ta lina. Spiałem ostrogami mego konia, a on przeskoczył ponad nią. Teraz znalazłem się na wolnym placu przed bramą raj. Przy bardzo wąskich murach stały okazałe palmy, drzewa i krzewy, które zdawały się wspaniale kwitnąć. Przyjrzałem się im dokładnie, gdyż nie czułem w ogóle ich zapachu, i wówczas zobaczyłem, że nie były one prawdziwe, a tylko namalowane. Tylko jedno z nich wszystkich było prawdziwym drzewem, jednak nad wyraz osobliwym. Było bardzo niskie, jednakże nieskończenie szerokie. Nie miało kwiatów i owoców, ale tysiące dziwnych liści w kształcie ludzkich głów, które wydawały się żywe, gdyż bezustannie poruszały oczyma, przy czym usta nigdy im się nie zamykały. Obróciłem się i zapytałem jednego ze stojących tam ludzi, cóż to za dziwna roślina.

— To jest drzewo El Dżaranil — odrzekł mi. — Nie znasz go? Zostało tutaj posadzone, gdyż drzewo poznania, stojące niegdyś w środku raj, obumarło. Od tego czasu jeśli ktoś chce wiedzieć, czy Allach jest mu przychylny, musi pytać się liści El Dżaranil; albowiem Allach powierzył wszystkie tajemnice swojego planu tylko im i nikomu więcej.

Ledwo to usłyszałem, obejrzało się na mnie kilka liści. Najpierw podniósł się jakiś niezrozumiały szelest. Stawał się coraz głośniejszy, w miarę jak coraz więcej oczu patrzyło w moją stronę, aż w końcu porwały się wszystkie usta, wołając moje imię. Z powodu tego ogromnego wrzasku otworzyły się wszystkie znajdujące się w pobliżu drzwi i nade mną pojawiło się mnóstwo postaci, które przygniotłyby mnie, gdybym nie siedział wysoko na koniu. Spiałem go, by wykonał kilka skoków w bok, dzięki czemu uzyskałem wolną przestrzeń. Zapytałem, czego ode mnie chcą. Odpowiedź zabrzmiała we wszystkich ziemskich językach. Otaczający mnie ludzie poubierani byli w stroje wszystkich ludów. Każdy z nich trzymał w dłoni coś, co nazywał swoją „świętą księgą”, i zapewniał,

że jedynie on jest upoważniony do wystawiania kart zezwolenia, które należało tu okazać. Postanowiłem jednak krótko się z nimi wszystkimi rozprawić i zażądałem, by pokazano mi podpis tego, od którego wydzierzawili to niebo. Nikt nich nie był w stanie okazać mi stosownego dokumentu, a ponadto byli tak zdumieni moim poleceniem, że ponownie wszyscy poznikali za swoimi drzwiami. Mogłem więc przekroczyć na mym koniu bramę raję. Kiedy przejeżdżałem koło drzewa ciekawości i gadulstwa El Dżaranil, wszystkie jego głowy zawołały jednym wspólnym tonem: Kto raz przestąpił bramę Królestwa Niebieskiego, ten już stąd nie wyjdzie. My, głosy Boże zadbałyśmy o to!

W tym momencie Ustad przerwał. Co za obraz stworzył mi przed oczyma! Niesamowity, ale nie tak zupełnie nieprawdziwy. To co miałem do powiedzenia jako obiektywnie myślący obserwator, odłożyłem sobie na później, ponieważ tok jego myśli był zbyt interesujący, bym go mógł zakłócać. Zaraz też zaczął mówić dalej:

— Wkrótce po tym, jak przejechałem bramę, przystanąłem, żeby się rozejrzeć. Zaskoczyło mnie, że nie mogłem odkryć niczego, dosłownie niczego, co zasługiwałoby na miano niebiańskiego albo rajskiego. Ogarnął mnie nagi, pusty, pozbawiony życia, nie dający się opisać smutek. Nikt nawet nie wysilił się, żeby pomalować wewnętrzną stronę murów tak samo jak na zewnątrz. Malowidła wykonane przed bramą do raję miały łudzić i przywabiać krótkowzrocznych i ufnych wiernych. Wówczas każdy, kto miał za sobą Chabl el Milal, nie miał prawa do powrotu. Nie starano się upiększać raję od środka. Nie rosły tam drzewa ani krzewy, nie płynęła woda. Nie widziałem żadnej drogi, tylko zatarte ślady pośród wyjałowionego, nieurodzajnego piasku. Oto jak przed moimi oczyma jawił się tak zwany Eden, przed którym „Oświeceni Pana” rozmawiali w stu językach ekstazy. Dreszcz przeszywał z pewnością każdą stopę, która ważyła się uczynić krok naprzód w tę pustynną beznadzieję. A jednak uważano za zupełnie oczywiste, że każdy z przybyłych miał przewyciężyć przenikający go, nieunikniony strach. Pilnowano, żeby nikt ze stojących u bram do raję nie okazywał innym swojej trwogi. A na straży stały specjalnie do tego powołane istoty, które czuwały nad tym, by usuwać każdego, kto przejawia lęk. Tkwiły one ukryte po obu stronach bramy i kiedy progi raję przekraczał nowy przybysz, poganiały specjalnie wytresowane wielbłądy i osły, które błyskawicznie reagowały na człowieka, tak by nie zdążył pomyśleć o ucieczce. Również gdy ja się tam zjawiłem, natychmiast ruszyły w moim kierunku. Zobaczyły jednak mego konia. To im wystarczyło, żeby trzymać się ode mnie z dala. U zwierząt, podobnie jak u ludzi, wszystko co nieszlachetne stroni od szlachetnego. Przyglądałem się im przez chwilę. Wszystkie osły były czarnej maści, małe, niemalże drobne, jednak siodła miały tak wysoko umieszczone, aby każdy, kto się na nie wdrapie, mógł uchodzić za jakiegoś dostojnika. Zazwyczaj używane rzemieńne cugle zastępowała lina nasadzana na głowę, która podciągała pysk osła tak wysoko w górę, że oczy nie spoglądały na ziemię, lecz ciągle utkwione były w niebo. Potrząsnąłem głową, widząc udrękę tych zwierząt. Co za głupota zmuszać je wbrew naturze do mówienia wszystkim zawsze „tak” i do tresury „głowy w górę”. Ale ten zbyt duży wysiłek dla zwierzęcia miał być zrównoważony przez niewielki dla jeźdźca: nie było dla niego żadnych cugli, którymi mógłby prowadzić osła. Po prostu musiał podążać tam, dokąd zmierzało wytresowane zwierzę.

Ustad, mówiąc to, jakby nie zauważał mojej obecności. Teraz spojrzął na mnie i zapytał:

— Zrozumiałeś mnie, efendi?

— Tak. — Skinąłem głową.

— Czy chcesz coś jeszcze dodać?

— Nie teraz, nieco później, kiedy skończysz. Moja odpowiedź nie będzie pełna, jeśli nie pozwolę ci wypowiedzieć się do końca. Proszę więc, mów dalej!

— Zatem dalej: wielbłądy! Czy znasz wspaniałe, szlachetne bisza—rihn—hedszihn, których nie da się kupić za pieniądze. Ich szlachetność potwierdzają drzewa rodowe. Znasz także wielce pożytecznego bucharyjskiego, czy turkiestańskiego wielbłąda, bez którego nie dałoby się żyć ani poruszać w tych zakątkach ziemi. Czy znasz jednak ten gatunek wielbłąda, który jest prawie na wymarciu, a którego trzyma się w niezdrowych, ciemnych stajniach po to, by w towarzystwie niedźwiedzi, jeżozwierzy, świstaków dźwigał na grzbiecie przez świat tresowane małpy? Będąc jeszcze małym chłopcem, uważałem te stworzenia za zabawne. Ale odkąd znam szlachetną rasę, widok tych zwierząt napawa mnie smutkiem. Mówi się, że ich hodowla wywodzi się przede wszystkim z Włoch. Włoskiego rodu są przynajmniej przewodnicy tych osobliwych zwierząt. Niemal wszyscy są wirtuozami gry na kobzie, przy której dźwiękach muszą tańczyć misie i małpy. Teraz wyobraź sobie takiego wielbłąda, urodzonego w największym brudzie, wychowanego pejcem, wykarmionego cierniami i ostami, pojonego brudną wodą, nigdy nie czyszczonego z robactwa, zagłodzonego i zabiedzonego, wyglądającego jak posłuszny szkielet, pokrytego skórą pozbawioną sierści i ze zranionymi kopytami. Będziesz miał wtedy przed oczami obraz wielbłądów stojących tutaj w Królestwie Niebieskim, które zostały wychudzone przez spasionych dzierżawców. To przez nich musiały znosić największe katusze i dla nich poświęcały się w milczeniu. Ich mocno spuszczone głowy spętane były z kolanami podwójnym sznurem tak, że nigdy nie widziały nieba, tylko ziemię. Sznura było tylko tyle, żeby klęknąć, nie starczało już, żeby podnieść łowę Pęta nie pozwalały im również uczynić najmniejszego swobodnego kroku. Wielbłądy mogły jedynie posłusznie czołgać się do przodu i nie robiły nic oprócz tego, co rozkazał treser. Na pyskach wisały kagańce, żeby nie mogły bronić się przed chłostaniem i pożerać trujących ziół, od których nawet wielbłądy zdychają, ale które dla tego kraju mają szczególną wartość. Siodła tworzyły wysoką podstawę dla tronu. Wyłożone były barwnym dywanem, obwieszane frędzlami i dekoracjami z piór. Jeździec, który po trudach dosiadł zaszczytnego miejsca i miał w sobie tyle animuszu, żeby namiętnie jeździć na garbach, mógłby uważać się za oblubieńca Allacha. Czy rozumiałeś także ten obraz, sihdi?

— Tak — odparłem. — Nie potrafiłbym przedstawić go wyraźniej. Proszę cię, zawróć teraz swego konia!

— Uczyniłem to. Odjechałem stamtąd, wlepiając oczy w to sławetne Królestwo Niebieskie. Zapytasz mnie być może, jak długo trwało, zanim poznałem całą tę ludzką niedolę! Czy mam opisać to, co zobaczyłem, co odkryłem? Kto jest w stanie opisać to co nieopisywalne! Już od razu pierwszego dnia nie pozostałem sam. Usłyszałem ludzki lament, a szlochanie dochodziło do mnie z głębi serc. Nie opuszczało mnie aż do ostatniego kroku. Ziemski ból nie odstępował mnie. Przypelzał do mnie i ramionami owijał się wokół mych bioder. Nędza życia złapała moje strzemiona i wlokła się u mego boku. Dopędziła mnie bieda i złapała za wodze, żeby odwieść od kierunku mojej jazdy. Nadszedł zmrok. Cienie zbrodni zaczęły przede mną tańczyć, a wśród spokojnej nocy usłyszałem, jak wyją za mną: wina i kara. Całymi tygodniami pędziłem na swym koniu przez ziemie pełne gruzów, z których pozdrowiały mnie szyderyczym śmiechem ludzkie zjawy, jakbym był duchem zniszczenia. Mijałem ciągnące się bez końca cmentarzyska. Z grobów wydobywał się przeraźliwy dźwięk, jakby

obłąkańczy chichot. Widziałem ruiny świątyń, w których głupota przesiadywała w najgłębszym ośpieniu. Wokół porozbijanych kolumn dawnych kościołów błazeństwo popisywało się swoimi obrzydliwymi wygłupami. Nad wyschniętymi źródłami oddawała się marzeniom obojętność przyrodziana w łąchmany, które ledwie okrywały jej nagość. Obłuda modliła się w skupieniu przed zawalonymi kaplicami, nie tknąwszy nawet palcem, żeby uchronić je od zagłady. Niekiedy ponad horyzontem wynurzał się jeden z tych jeźdźców, którzy dostali karty wstępu, ale jego zwierzę w jednej chwili rzucało się do ucieczki, skoro tylko zobaczyło, że nie jadę ani na wielbłądzie, ani na osie. Zdarzyło mi się spotkać w tym skostniałym Królestwie Niebieskim jeszcze inne stworzenia. Najczęściej był to fenek, który patrząc swymi niewinnymi oczyma, szybko gdzieś zniknął, tudzież żarłoczny dibb*, skradający się w moją stronę, z podwiniętym ogonem i obłudnie zwieszoną głową. W tym momencie Ustad znowu przerwał. Śledziłem go z wielkim zainteresowaniem. Wyczułem, że w jego opisie czegoś brakuje. Zapytałem więc:

— A co z całą rzeszą tych, którzy zostali wpuszczeni do rajy? Przecież oni nie mogli ukazywać się tobie jeden po drugim i zaraz zniknąć!

— Nie — odpowiedział. — Niestety ich również muszę ci opisać. Myślisz może, że w tym rajy mieszkał anielski, zgodny, kochający się, życzliwy względem siebie lud. Uważasz, że znalazłbyś tam jakiegoś pasterza i jakąś trzodę. Znam równie dobrze jak ty słowa obietnicy: „Czego oko nie widziało, czego ucho nie słyszało i co nie weszło do ludzkiego serca, to zgotuje Pan tym, którzy go kochają”. Jakież to niesłychane szczęśliwości, których słowem nie da się wyrazić — zacząłem widzieć i słyszeć. Nadstaw uszu i dziw się! Czy słyszałeś choć raz o dzikich zwierzętach, które oddzielają się od swojego stada i tak zazarcie je nienawidzą, że każdego jego członka, który wejdzie na ich obszar, natychmiast rozszarpują albo w inny sposób niszczą?

— Tak. W ten sposób postępują słonie, nosorożce, lwy, tygrysy i inne drapieżne zwierzęta. Owe okazy określa się zazwyczaj mianem „pustelników”.

— Dowiedz się zatem, że w tym niebie mieszkają tylko takie okazy! Żyją osobno jak pustelnicy, bo jeden nie ufa drugiemu. Każdy z nich zsiadł ze swojego osła lub wielbłąda przy jakiejś szczególnej szczelinie albo jaskini. Tam urządza się i gotów jest bronić swego miejsca aż do ostatniej kropli krwi, jeśli ktoś by sądził coś innego o niebie aniżeli on. Poglądów jest tyle, ilu mieszkańców w niebie. Dlatego panuje wśród nich nienawiść, od której zdrzelilibyśmy, gdyby spotkała nas w czasie ziemskiego życia. Każda szczelina i jaskinia jest świątynią bożka. Jej mieszkaniem sam oddaje sobie cześć, jakby był swoim własnym fetyszem. Twierdzi wprawdzie, że modli się do Boga, narzuca jednak temu Bogu własne myśli i tym samym stawia siebie ponad nim. Skutkiem tego wynoszenia się ponad Boga jest to, że żaden z tych bogów nie waży się zaczepić drugiego, bo wie, że byłby przez niego wypędzony. To jest właśnie niebo, efendi! Ponad nim świeci wiecznie rozpalone słońce bezkrytyczności, które sprawia, że wszystko usycha, i które wyrusza na rabunek jak ów chytry lis i owa podstępna hiena, znajdującą nawet tam w rajy jako pożywienie tylko niższe płazy i owady o ziemistej barwie. Byłem uradowany, gdy zakończyłem swą wędrówkę. Doprawdy, czułem się szczęśliwy, że mogę opuścić tę złudną krainę szczęścia. Kiedy znów dopadłem bramy, stojące przy niej osły i wielbłądy obrzuciły nas wzrokiem przepojonym bezgraniczną zazdrością, że pozwolono nam wydostać się z tej przerażającej nędzy. Wówczas wylali się tłumnie dzierżawcy, żeby wysłuchać

mojego zachwalania raj. Powiedziałem im wszakże, że przekażę ludziom całą prawdę. Ogarnęła ich wściekłość i zaczęli wrzeszczeć. Drzewo El Dżaranil poczęło szumieć. Wszystkie jego oczy groźnie spoglądały w moją stronę. Głowy trzęsły się, a z ust wydobyło się wycie, że to Seil Milal rozprysnął się przede mną. Osły i wielbłądy wtórowały im, lamentując po tamtej stronie bramy. Odjechałem jednak na swym koniu, nie mówiąc ani słowa, i obojętne mi było, czy uznają mnie za tchórza, czy też nie. Kto chce wyrwać się z takiego nieba, ten bez wątpienia jest odważny.

Mówiąc te słowa, klasnął w dłonie, jakby jeszcze teraz radował się z tego szczęśliwego zakończenia. Potem kilka razy przespacerował się wolnym krokiem po pokoju, aż w końcu zatrzymał się przede mną i zapytał:

— Czy przypuszczałeś kiedyś, efendi, że jest gdzieś taki raj?

— Jest wiele takich miejsc — odrzekłem, wznosząc ku niemu oczy. — Dlaczego wtedy nie poszukałeś jakiegoś innego?

— Co za pytanie! Nie rozumiem cię!

— Opowiedziałeś mi, że zstąpiłeś z Dżebel ed Din do leżącego na równinie kraju zamieszkanego przez ludzi. Dlaczego opuściłeś swoją Górę Wiary? Czy musiałeś to robić? A jeśli musiałeś, czy też chciałeś, co skłoniło cię do tego, żeby poszukiwać duchowej otchłani, równiny, pustyni, gdzie żadna myśl nie wznosi się ku niebu, mogąc się rozchodzić jedynie nad powierzchnią?

— Maszallah! — wykrzyknął zdumiony. — Ach, więc tak potraktowałeś to, o czym mówiłem?

— Oczywiście! A jakże by inaczej?

— Mówiłem o ludziach!

— Zapewne! Ale czy człowiek składa się tylko ze swojego ciała? Człowiek składa się z ciała i ducha. Ciało umiera, ale duch nie. Dopóki troszczymy się nie tylko o ciało, lecz także o ducha, wtedy dobrze przeżywamy nasze ziemskie życie. Nazwijmy je umownie „pierwszym”. Kto jednak usilnie starał się pokonać swoje ciało, zrezygnował z niego i całą swą uwagę poświęcił duchowi, a ciało traktował jak umarłe, ten już tu na ziemi, przed śmiercią swojego ciała, żyje innym, nowym, wyższym życiem, które tymczasem umownie nazwę „drugim” życiem. Albowiem są ludzie, których duch nie ukształtował się w indywidualność. Jeśli również ten poziom określić życiem, to muszą go nazwać „pierwszym” życiem, a oba poziomy, o których mówiłem wcześniej, określić jako „drugie” i „trzecie” życie. A teraz powiedz mi, Ustadzie, z którego poziomu opisywałeś mi przed chwilą niebo, położone najniżej, jak tylko mogę to sobie wyobrazić? Pozwól, że ja również opiszę ci swoje niebo.

— Widziałeś je?

— Tak. Tak wyraźnie, jak ty swoje! Przed moim niebem nie ma Seil El Milal ani drzewa El Dżaranil i ściennych malowideł. Nie spotkasz w nim dzierżawcy, który rościłby sobie prawo do niego, a na ulicy, która do niego wiedzie, nie znajdziesz pogańskich świątyń. Nie ma także muru ani

bramy. Prowadzi do niego tyle dróg, ilu jest ludzi. To niebo otwarte jest dla wszystkich, którzy chcą się do niego dostać. W moim raju myśli nic nie tonie, nie niszczy i nie idzie w zapomnienie. Boskie idee z poprzednich tysiącleci wyrastają w górę, nadal tak wysoko jak wtedy o świcie. A w wieczornej zorzy jaśnieją nowe, szczytne ideały przyszłych wieków, które spełnią się, kiedy ludzkość jutro czy pojutrze powie: Co to są ruiny, cmentarze? Duch ich nie zna! Bo to co duch zbudował kiedyś ręką ciała, nie budował dla siebie. Toż to przecież było właśnie ziemskim wizerunkiem tego, co zbudował dla siebie w królestwie ducha. A ta zaś, hen wysoko wzniesiona budowla pozostanie wieczna. Jej replika może się rozprysnąć, ale prawzoru nie tknie ząb ziemskiego czasu. Podczas gdy ty swoimi cielesnymi oczyma dostrzegasz swój zrujnowany i pogrążony w śmierci raj, ponad nim na niebiańskiej wysokości rozpościera się mój, a wszystko co u ciebie legło w gruzach, u mnie zachowało się w dziewiczym stanie, tak jak stworzył mistrz. I tak jak każde dzieło zrodzone w moim niebie jest szlachetniejsze niż w twoim, tak i wszyscy ludzie są lepsi u mnie niż u ciebie. Ty ich osądzasz. Ja nie muszę osądzać. Może ich przeprosisz. Ja jednak nie przeproszę. Dlaczego? Nic mi nie zrobili! Nienawiść nie ma wstępu do mojego raju. Nie odważy się wejść do środka. Nie jest w stanie mnie ugodzić, więc nie istnieje dla mnie nic takiego, za co musiałbym przeproszać, nawet gdybym chciał.

— Zatem z całą pewnością nigdy nie istniało dla ciebie drzewo El Dzarani!

— Znam je! Posadziłeś je w raju przekonania o własnej nieomyślności, a więc na jego właściwym miejscu. Ja również je tam widziałem, owo drzewo widzących i mówiących dzienników, gazet, publicznej prasy. Ja jednak spojrzałem na nie inaczej aniżeli ty. Królestwo ducha bardziej podobne jest do królestwa widzialnej natury. Zarówno w jednym, jak i w drugim rozwój następuje wyłącznie od dołu ku górze. Zadaniem obu królestw jest oddzielanie od niższej materii i kształtowanie samodzielnej, swobodnie poruszającej się jednostki. Nie śmieję się, kiedy ci powiem, że każdy, w tym również każdy duchowy obszar, nosiada swoje królestwo minerałów, roślin, zwierząt i ludzi! Dostrzeżesz to natychmiast i wszędzie, skoro tylko otworzysz właściwe oczy.

— A więc również obszar publicznej prasy? — zapytał prędko, przy czym jego twarz przybrała pełen napięcia wyraz oczekiwania.

— Tak, ten również! Ziemia, czyli materia została dana. Nie ma żadnej warstwy skalnej ani żadnej struktury ziemskiej, która nie byłaby obecna również w tym duchowym królestwie. A może nie słyszałeś tak zwanej opinii publicznej, kiedy znajdowałeś się na wysokogórskich szczytach, w najgłębszych dolinach, w mrocznych wąwozach, na piaszczystych pustkowiach, na słonecznym łąnie czy nawet w nieprzyjaznych bagnach. Czyż nie ma niezliczonych dzienników, w których tylko materia dochodzi do głosu? Ale wnet budzi się życie, początkowo w swoich niższych formach i żeby wyzwolić się z materii, musi ono przejść przez wszystkie poziomy. Widzisz, jak pojawiają się duchowe porosty i mchy, później paprocie, których kształt budzi nadzieję na przyszłe palmy, przyjazne trawy i zioła, pachnące kwieciami krzewy i obwieszane owocami drzewa. Wszakże te wszystkie rośliny, tak miłe, tak dobre, tak przyteczne, także chciałyby opuścić ziemię, z której wyrósł materiał na dziennik i gazetę; nie zdołały jednak tego uczynić. Mocno uczepiają się jej swoimi korzeniami i nie mają innego wyjścia, gdyż zamiarem wydawcy jest, żeby uprawiać dla siebie właśnie tę ziemię.

— A co z zoologią prasy? — zapytał Ustad.

— Tutaj również rozwój rozpoczyna się od istot niższych. Oto widzę małe złotawce, jak czerpią swoje duchowe pożywienie z kielichów kwiatów, i błyszczące świetliki, które świerszcza, żeby przywołać myśli z pierwotnego świata. Przyjazne motyle unoszą się od czytelniczki do czytelniczki. Mrówcza pilność, która nie wie co to odpoczynek, gromadzi słowo po słowie, zdanie po zdaniu, a oszczędne pszczoły brzęczą, znosząc miód do ula. W źródłach i potokach wydarzeń dnia śmigają tu i tam szybkie ryby. A kiedy przy porannym czy wieczornym blasku wiosennego słońca wiatr przewiewa liście, wtedy tysiące słodkich, radosnych głosów ćwierka, że właśnie najmilszy i najlepszy śpiewak należy do zwykle niedocenianego świata „piórek”! nam niejednego szlachetnego ducha, który niczym orzeł gnieździ się hen wysoko w górze ponad pospolitością, i niejednego bystrego myśliciela, który podobny do albatrosa nigdy nie poruszy ziemskiego kurzu. Czy widziałeś zaprzęgniętego do pracy na roli konia, który za garść owsa i sporą ilość siewki musi każdego dnia orać rzędy brzd, zawracając na końcu każdego rzędu po to, żeby nie przyszły mu do głowy głupie myśli.

— Widziałem, jakże często, jakże często! — odpowiedział. — Ale swoje przykłady zaczerpnąłeś tylko z jednej, z dobrej strony: konia roboczego można przedstawić również inaczej. Byłeś na tyle szczery, że mówiłeś też o bagnach. Dlaczego nie wspomniałeś o trujących roślinach, cierniach, perzu i innych rozrastających się chwastach? A szkodniki pośród owadów? A drapieżne ryby? A żaby, które w dzień w dzień na liściach roślin błotnych kumkają tylko o swojej mądrości? A jadowite węże? Natrętne wróble? Puszczuki i sowy, które stronią od światła i tylko nocą wyprawiają się na łup? Sępy żądne padliny? Dzierzby, które zanim połkną swą ofiarę, najpierw męczą ją na kolcu? Sokoły i krogulce, które nie boją się wylatywać na łów, nawet w biały dzień. Myszy, szczury, chomiki i inne pasożyty żyjące na duchowym obszarze? Ujadające, a nawet kąsające psy, które doskoczą do łydki każdemu, kto ośmieli się przejść choćby koło jednej ich myśli? Niezliczona ilość mięsożernych zwierząt, które pazurami rozszarpiają każdego, kto choćby nieco się od nich różni? Ogromne stado wrzeszczących czterorękich, poczynając od swarliwych koczokodanów, a kończąc na gorylach, które są niebezpieczne nawet dla człowieka. Dlaczego o nich nie mówiłeś? Czy chcesz zataić coś przede mną?

— Skądże znowu. Mówimy o twoim i moim rajach myśli. Twój jest smutny, mój idealny. Prawda leży pośrodku, ale zgodnie z odwiecznie obowiązującymi prawami, bliższa musi być mojemu edenowi aniżeli twojej pustyni. Dodajemy niestety w zupełnie różny sposób. Twój pesymizm oblicza sumę według starego zwyczaju, kalkulując w dół. Mój optymizm zaś odkrył, że lepiej jest iść w górę. Kiedy ty dochodzisz do samego dna, kończy się twoje życie. Robisz wielką kreskę i po podsumowaniu uzyskujesz swoją nagą pustynię ducha. U mnie nie ma kreski, gdyż mój raj nieprzerwanie dosyła mi nowe elementy sumy, Rośnie ona w górę ku wieczności. A jeśli moje ciało nie będzie w stanie nadążyć w liczeniu sumy tym sposobem, mój duch z pewnością kiedyś u góry ją obliczy.

Ustad podszedł do uchylonego okna i wyjrzał na zewnątrz.

— ...Z pewnością kiedyś u góry ją obliczy! — powtórzył moje słowa.

Na chwilę zaległa między nami cisza. Nie starałem się jej zmącić. Potem obrócił się w moją stronę i zapytał:

— Czy skończyłeś już ze swoim duchowym, naturalnym królestwem prasy, efendi?

— Nie — powiedziałem.

— Również tutaj szedłeś od dołu ku górze. Zdaje się, że postępujesz w ten sposób w każdej sytuacji! Czy teraz przyjdzie jeszcze kolej na człowieka?

— Jak u zwierząt nastąpiło wyzwolenie z duchowej gleby i coraz bardziej zaznacza się dążenie do indywidualności. Ale jest ją w stanie osiągnąć tylko człowiek.

— Czy każdy?

— Nie. Każdy powinien, ale niestety nie każdy ją osiągnie.

— Tak. Wielu jest takich, którzy z tysiąca różnego rodzaju względów pozostają ciągle przywiązani do ziemi, albo z powodu tych samych czy podobnych wątpliwości dają się kierować innym do tego stopnia, że nie osiągają intelektualnej samodzielności, duchowej wolności, ani nie są w stanie sami o sobie decydować i samodzielnie się poruszać.

Wstąp do redakcji i zapytaj, jakimi względami muszą kierować się umysły, które podejmują tam decyzje, a które jednak są tak spętane! Ale czasami spotykałem również osobowości w pełni rozwinięte tam, gdzie ich zupełnie się nie spodziewałem. Jakaż wielka była wtedy moja radość! I jakże chętnie i szczerze wyrażałem im swoje uznanie! Taki duch nie wie, czym są okowy materii. Pozrywał wszystkie pęta i zrzucił ludzki egoizm i duchową krótkowzroczność. Nie zna partyjnych interesów ani społecznych specjalnych przysług; dla niego nie istnieje ciało, lecz tylko duch. Nie wyda więc wyroku, który wypływałby z niskich pobudek i który byłby puszczaniem oka do wpatzonego w niego cielesnego świata. Nie da się go zmusić, żeby potępił chociaż jednego jedyne go człowieka, ponieważ on wie, że jeśli spojrzy się w duchową sferę tego człowieka, będzie on zupełnie kimś innym, aniżeli widzą go nienawistne oczy fauny, która swoje sędziowskie wyroki hoduje tylko w ziemskim błocie. On pojął związek jednostki z całością i wie, że pojedyncze nie może być oderwane od całości, ponieważ zostałyby wyrzucone przez duchową wrogość. On zna prądy i przeciw — prądy ponadmysłowej atmosfery, które są wolne od wyziewów ludzkiego ciała z chorym ego, i unosi każdego swojego bliźniego, zanim ten zdąży go zauważyć, na tę przezroczystą, jasną, czystą, wolną od jakiegokolwiek zawiści wysokość.

Ale co będzie wówczas, jeśli on sam zostanie zaatakowany, oszkalowany i skazany? — spytał Ustad. Zrobi właśnie to, o czym mówiłem przed chwilą. Uniesie z głębi którzy go zaatakowali, i weźmie do siebie na górę, żeby ich przejrzeć. Wtedy odpadnie z nich całe błoto i to wszystko co sprawiało, że ciągle jeszcze byli ciężcy. Staną się lżejsi, lżejsi nad, a raczej niż jakikolwiek ciężar, i powoli przed jego oczyma rozplyną się w nicość. Oni są tylko błotem i nie ma w nich ani śladu ducha, zatem skoro tylko odpadnie z nich plugastwo, nie pozostanie dla niego już nic z całej ich egzystencji.

— Ale będzie jednak odpowiadać? Bronić się?

— Co za pytanie! Dopiero co mówiłem ci przecież, że dla niego oni rozplývają się w nicość.

Komu ma więc odpowiadać? Tej nicości? To byłoby niedorzeczne! Albo błotu? Ono nic go nie obchodzi. Błoto należy do nich! Duchowi, którego oni nie mają? Nie pojmuję cię! Ty byś może odpowiadał?

Uczył parę energicznych kroków w moją stronę i wykrzyknął:

— Efendi, zrobiłem to. Odpowiedziałem... niestety, niestety, niestety!

— Błotu?

— Tak.

— Nicości?

— Nie. Przecież stałem, teraz dopiero to rozumiem, stałem wcale nie aż tak wysoko ponad moimi wrogami, by mieli oni rozplynać się dla mnie w nicość. Teraz pojmuję, że również ja nie mogłem być wolny od błota. Gdyby ono nie przylgnęło także do mnie, byłbym przepelniony tym tak wysoko mieszkającym, wolnym duchem, o którym ty mówiłeś. Wydaje mi się, że muszę przyznać się do błędów, których nie zauważałem do tej pory. Dzisiaj po tamtej stronie w naszym Beit-y-Chodeh* złożyłeś wyznanie Pedehrowi. Poruszyło mnie ono do głębi. Zaimponowałeś mi pełną odwagą szczerością. Jesteś teraz czysty i wolny od wszystkiego, co ci zarzucano. Nie wierzyłem, że i ja będę musiał się oczyścić. Teraz wiem jednak, że tak jest. Będę tak samo odważny jak i ty. Uczynię ci wyznanie tak jak ty Pedehrowi. A kiedy później usłyszę z twoich ust, że mogę uzyskać wybaczenie, uznaję je za fakt dokonany. Miałem już za sobą to, co nazwałeś „pierwszym życiem”. Żyłem „drugim życiem”, albowiem czułem, że zaczyna się kształtować we mnie moja duchowa indywidualność. Ale do „trzeciego” nie udało mi się dotrzeć. Dlaczego? Poszukamy przyczyn wspólnie, ty i ja, i przypuszczam, że w tych przyczynach odkryję nie znane mi do tej pory źródła błędów.

Kiedy skończył mówić, usłyszeliśmy, jak na dole ktoś klasnął trzy razy w dłoń.

— To do mnie — powiedział. — Pedehr wie, gdzie jestem i że mu nie wolno do nas wchodzić. Umówiłem się z nim na ten sygnał, w razie gdybym był potrzebny.

W przez środkowy pokój udał się na dach. Słyszałem, jak coś mówił do stojącego na dole Pedehra. Potem odwrócił się do mnie i rzekł:

— Powinienem zejść na dół i dobrze będzie, jeśli pójdziesz ze mną. Zdaje się, że dzieje się coś ważnego — Nie dowiedziałeś się, o co chodzi?

— Nie. Wprawdzie pytałem, ale Pedehr odparł, że nie może głośno krzyknąć. Chodź!

Zeszliśmy na dół. Pedehr znajdował się w holu, w którym wcześniej leżałem. Był przy nim Tifl i jeszcze jakiś inny Dżamiki. W końcu poznałem, że jest to strażnik, który dzisiaj po południu pędził na koniu przez góry i lasy, żeby powiadomić nas o przybyciu Persów. Halef spał twardym snem. Hanneh również poszła spać. Przy Halefie siedział jego syn. Szejk Dżamikunów przyjął nas bardzo ważną informacją, którą ze względu na chorobę przekazał nam półgłosem:

— Znów pojawił się tu Krwawy Mściciel!

— Gdzie? — zapytał Ustąd przerażonym tonem.

— Tego nie wiemy.

— Kto go widział?

— Mój syn — odrzekł strażnik.

— Może się pomylił?

— Nie. Zna go przecież. Prowadził go dzisiejszego popołudnia przez cały duar do naszego Domu Bożego i mógł dokładnie mu się przyjrzeć.

— Gdzie jest twój syn?

— Zabrałem go ze sobą. Czeka na dworze.

— Przyrowadź go!

Od razu przypuszczałem, że ktoś knuje jakąś diabelską sztuczkę. Byłem do granic przejęty, czy uda nam się dowiedzieć, co się za nią kryje. Oczywiście nie mogłem pozwolić sobie, żeby wyprzedzać obu zwierzchników plemienia w wyciąganiu informacji od chłopaka. Syn strażnika miał inteligentną twarz. Wyglądał nawet na spryciarza. Podszedł razem ze swym ojcem do Ustada.

— Ty widziałeś Krwawego Mściciela? — zapytał go Ustąd.

— Tak — potwierdził zapytany.

— Czy był sam?

— Nie. Było przy nim jeszcze dwóch ludzi.

— Skąd przybyli?

— Z zewnątrz.

— Dokąd odjechali?

— Tego nie wiem.

— Ale chyba gdzieś niedaleko?

— Być może.

— Byli na koniach?

— Nie. Zostawili je.

W tym momencie Ustad spojrział na Pedehra, a ten na mnie. Szejk powiedział przy tym:

— Jest to wiadomość równie niespodziewana, co tajemnicza i zastanawiająca! Co o tym sądzisz, efendi?

— Pozwolicie, że zadam kilka pytań?

— Naturalnie!

— Słyszałem, że przybył tutaj handlarz z Isfahanu i podobno zdobył jakąś nowinę od Krwawego Mściciela. Gdzie jest ten człowiek?!

— Z pewnością teraz już śpi — odpowiedział Pedehr. — Czy mam kazać go obudzić?

— To będzie konieczne, jeśli od was nie dowiem się tego, co chcę o nim wiedzieć. Skąd przybył?

— Od Dżamikunów mieszkających na północy. Niedaleko przełęczy natrafił na Persów.

— Jak się w stosunku do niego zachowywali?

— Ani przyjaźnie, ani wrogo. Znali go. Pytali, skąd przybywaj i dokąd zmierza. Odparł im, że jedzie na południe do Kalhuranów. Wtedy powiedzieli mu, że jeśli chce ubić dobry interes, to powinien; wybrać się tutaj. Zaplanowano tu bowiem wielkie wyścigi konne, na które miało zgłosić się wielu mężczyzn. Jeśli wówczas rozbiłby swój namiot, z pewnością znalazłby licznych nabywców. Był im bardzo wdzięczny za tę informację i powiedział, że pójdzie za ich radą i przyjedzie tutaj. Na to otrzymał od Multasima polecenie, które nam przekazał.

— Jak ono brzmiało?

— Było bardzo dziwne. Nikt z nas nie rozumiał, o co w nim chodziło. Multasim mianowicie powiedział dwa wiersze ze śpiewanej przez nas dzisiaj piosenki. „Otwórz się moje serce podobne do róży, w której budzą się wszystkie zapachy!” A Krwawy Mściciel dodał: „Powiedz w duarze, że róża jeszcze dzisiaj się otworzy!” Czy to nie dziwne, efendi?

— Rzeczywiście, ale tylko dlatego, że każdą nieostrożność należy uznać za dziwną.

— Nieostrożność? — zapytał zdumiony Pedehr.

— Tak.

— Nic z tego nie rozumiem. Uznaliśmy, że Multasim zwyczajnie sobie z nas zadrwił i nie przejmowaliśmy się więcej jego słowami.

— Szkoda, że wcześniej mi o tym nie powiedzieliście! Prawdopodobnie chodzi tu o morderstwo.

— Chodeh! — Zerwał się z miejsca Pedehr, a i pozostali wyglądali na bardzo przestraszonych. — A kto miałby być zamordowany?

— Ja.

— To niemożliwe!

— Powiedziałem: prawdopodobnie. A zwykle wiem, co mówię. Piosenka porównuje różę do serca. Serce, o którym w niej mowa, to moje serce. Dosłownie moje serce! To ono ma zostać otwarte! Ostrą, spiczastą stalą!

— Jak na to wpadłeś?

— O tym może później. Muszę zadać teraz parę pytań i brać się do roboty. Krwawy Mściciel nie uważa nas za dość mądrych, żebyśmy potrafili przejrzeć jego plany. Mieszka w nim nienawiść, a ta jak wiadomo jest bratem nieostrożności i pychy. Później mógłby się chełpić, że jego krwawa robota powiodła się, pomimo że nas wcześniej ostrzegł.

Obróciłem się w stronę młodego Dżamiki i zapytałem go:

— Gdzie byłeś, kiedy zobaczyłeś Multasima?

— Poza duarem — odparł. — Przeprowadzałem owcę do zagrody i położyłem się na chwilę za kamieniem, żeby popatrzeć w górę na alabastrowy namiot. Leżałem płasko, więc z drogi nikt mnie nie mógł dostrzec. Wtem nadjechało ze wschodu czterech jeźdźców. Zatrzymali się w pobliżu i zsiadli z koni.

— Przecież było ich trzech!

— Ci trzej, o których mówiłem, skradali się pod duar. Czwarty pozostał przy koniach.

— Rozpoznałeś Multasima?

— Tak, rozpoznałem. Był jednym z tej trójki.

— Jaką mieli broń?

Nim oddalili się od koni, przekazali strzelby temu czwartemu. Pozostałą broń mieli przy sobie.

— Widzieli cię?

— Nie.

— Co robiłeś dalej?

Czołgałem się za nimi. Po pewnym czasie zboczyli z drogi. Przemykali się na skróty, żeby podejść do duaru od tyłu. Nie mogłem ich dogonić, bo gdybym się podniósł, wnet by mnie zobaczyli. Dlatego

wkrótce straciłem ich z oczu.

— Nie podążałeś za nimi już dalej?

— Nie. Poszedłem do ojca i opowiedziałem mu o wszystkim. Potem natychmiast ruszyliśmy do „wysokiego domu”, żeby przekazać tę wiadomość.

— Ile czasu upłynęło, odkąd zobaczyłeś ich, jak zsiadają z koni?

— Nie minęło nawet pół godziny.

Poklepałem chłopaka po ramieniu i powiedziałem:

— Dobrze się spisałeś. Muszę cię pochwalić!

Po czym ciągnąłem dalej, zwracając się do innych:

— Mamy czas. Multasim czeka za duarem, aż u nas na górze zgaśnie światło. Jestem pewien, że wcześniej nie odważy się tutaj przyjść. Jego zamiary są zuchwałe, tak zuchwałe, że mnie litość nad nim bierze. Czy ten człowiek ma naprawdę takie doświadczenie i taką wprawę w życiu w dzikich warunkach, że ważyłby się na takie szaleństwo, by zupełnie niepostrzeżenie i bezkarnie szukać tu w „wysokim domu” mojego serca za pomocą sztyletu.

— Twoje serce! — rzekł Ustad. — Nadal uważam, że jest nieprawdopodobne! Na pewno się mylisz!

— Nie myślę się. Zamierzałem zachować całą sprawę w tajemnicy, ale Multasim nie będzie czekał, aż stąd wyjadę. Jeszcze dzisiaj ma w planie uczynić twój dom widownią morderstwa, dlatego uważam za swój obowiązek powiadomić cię o tym, co między nami zaszło i o czym rozmawialiśmy.

Opowiedziałem o tym krótko i przedstawiłem im wszystkim słabe i mocne strony moich zapatrywań. Przekonałem ich do tego stopnia, że kiedy skończyłem, Pedehr do granic oburzony wykrzyknął:

— Masz rację, efendi: oni planują morderstwo. Chcą zabić, właśnie ciebie! Rozkażę natychmiast, żeby dzwony zabiły na alarm, i każę wszystkim mieszkańcom duaru...

— Stój! — powstrzymałem go. — Nie zrobisz tego!

— Właśnie, że zrobię!

— Nie!

— Dlaczego nie?

— Czy ten, który jest żądny krwi, ma uniknąć kary?

— Nie! Oczywiście, że nie!

— No, ale uniknie. Bo jeśli usłyszy hałas, pomyśli, że to z jego powodu, i weźmie nogi za pas. A wtedy zniknie nie wiadomo gdzie i będzie się śmiać się z naszej bezmyślności, bo nikt z nas nie będzie w stanie mu udowodnić, że zamierzał kogoś zabić.

— Prawda, racja, efendi! Ale co innego możemy zrobić?

— Schwycić go!

— Maszallah!

— Z bronią w ręku!

— Myślisz więc, że wpuścimy go tutaj?

— Tak.

— To jest zbyt niebezpieczne!

— A czy ty nie wpuściłeś tutaj żołnierzy, żeby potem ich uwięzić? Wtedy było ich sporo; teraz mamy tylko trzech!

— Tak znowu masz rację!

— Poza tym Krwawy Mściciel zjawi się tu na pewno sam. Pozostała dwójka będzie stać na straży.

— Krwawy Mściciel tu? W domu, tak uważasz?

— Tak.

— Jak na to wpadłeś?

— W bardzo prosty a zarazem całkowicie niezawodny sposób. Krwawy Mściciel chce mnie zabić. Kiedy? W nocy. A co ja robię w nocy? Śpię. Gdzie? Oczywiście u góry w moim nowym mieszkaniu. Ale tego on już nie wie. Bo niby skąd ma wiedzieć o dzisiejszej zmianie? Myśli, że nadal śpię tu w otwartym holu, do którego nocą tak łatwo można się przedostać.

— Co wie o twoim dotychczasowym miejscu odpoczynku w holu?

— Z pewnością wystarczająco dużo. Dzisiaj po południu rozmawiał na górze po tamtej stronie z wieloma Dżamikunami. Prawdopodobnie jednak o czymś innym, gdyż jego niecny zamiar w stosunku do mnie mógł zrodzić się dopiero pod koniec naszej rozmowy. Tifl towarzyszył Persom. Myślę, że będzie mógł powiedzieć mi coś więcej.

— Oczywiście, że mogę! — odparł ten, o którym była mowa.

— A więc? — zapytałem go.

— Jechałem z przodu. Postanowiłem sobie, że nie zamienię ani słowa z Persami, i trzymałem się swojego postanowienia. Moi ludzie jechali z tyłu. Towarzyszył im Ahriman mirza i rozmawiał z nimi. Na początku o duarze, potem o „wysokim domu”, a wreszcie o obecnych tutaj gościach. Kiedy później się o tym dowiedziałem, okropnie się zezłościłem.

— Co wyciągnął od nich Ahriman mirza?

— Gdzie leży Hadzi Halef, gdzie ty śpisz, o jakiej porze kładziesz się do łóżka i kto jeszcze poza wami jest nocą w holu. Ci, którzy mu to powiedzieli, nie orientowali się, że od dzisiejszego wieczoru będziesz mieszkać u naszego Ustada. Stąd Ahriman mirza wie, że śpisz w prawym rogu.

— Co jeszcze?

Czy w czasie snu masz przy sobie broń?

— Ach! Więc jednak! Co mu odpowiedzieli?

— Że wisi u stóp twojego legowiska.

— Gdzie ona jest teraz? Nie widziałem jej w moim nowym mieszkaniu.

— Pozwól, że sam ci to później powiem! — wtrącił Ustada.

Skinąłem mu głową i ciągnąłem dalej, zwracając się do Tifla:

— Czy masz jeszcze coś do przekazania?

— Nie — odrzekł.

— No to już wiemy wszystko, co potrzeba. Jestem teraz przekonany, że się nie pomyliłem. Kto ma więc zdecydować o tym, co dalej należy robić?

— Ty — odpowiedział Ustada.

— Tak, ty — przytaknął Pedehr.

— Zatem mój plan jest następujący: uwięzimy Krwawego Mścicie la, i to w sposób jak najbardziej dla nas bezpieczny. Czy żołnierze, którzy siedzą w więzieniu, będą go pilnowali?

— Tak — odparł Pedehr.

— Ilu jest tam ludzi?

— Dwóch. Stoją przed zamkniętą bramą. To zupełnie wystarcza.

— Dzisiaj nie wystarczy.

— Dlaczego?

— Dlaczego?

— Ponieważ Multasim zamierza uwolnić uwięzionych. Mając sobą dwóch towarzyszy, może łatwo przstraszyć i pokonać niczego nie spodziewających się strażników. Zaraz wystawimy więcej ludzi, tak, żeby nie odważył się wybrać w tamtą stronę. Wówczas już na pewno zawróci w kierunku holu. Tam gdzie spałem, będzie pościelone legowisko. Pozostanie jednak puste. Nawet jeśli ktoś ośmieliłby się w nim położyć, to musi pamiętać, że sztylet czy nóż stanowią niebezpieczne narzędzie nawet dla najsilniejszego człowieka.

W tym momencie przyszedł Kara ben Halef, który czuwał u łóżka swojego ojca. Chciał posłuchać, o czym mówimy. Kiedy usłyszał moje ostatnie słowa, odezwał się:

— Wiem, co by się stało, gdybyś nie był taki osłabiony przez chorobę, efendi.

— Co?

— Spokojnie położyłbyś się, żeby złapać i mocno przytrzymać rękę mordercy, kiedy ta zamierzy się na ciebie. Wówczas Krwawy Mściciel nie mógłby udawać niewinnego.

— Hm! Może tak uczynię. Ale na razie nie ma o tym mowy. Krwawy Mściciel absolutnie nie może przeczuwać, że się zdradził. Musimy bezwzględnie unikać wszelkich ruchów, które mogłyby wzbudzić w nim podejrzenia, że wiemy o jego obecności i szykujemy się na niego. Dlatego trzeba wtajemniczyć jak najmniej ludzi. Nikt więcej nie może się niczego dowiedzieć. Iloma drogami można dojść tu na górę?

— Tylko tą jedną przez bramę — odpowiedział Pedehr.

— Nie ma jakiejś ukrytej bocznej ścieżki?

— Nie ma. Nikt nie przejdzie przez olbrzymi mur.

— A. zatem również nikt nie jest w stanie uciec stąd inaczej jak przez bramę?

— Nikt, brama oczywiście jest zamknięta.

— Niech dzisiaj pozostanie otwarta, tak żeby Multasim nie musiał się na nią wspinać. Ułatwimy mu i jego towarzyszom przejście na naszą stronę, żeby później tym pewniej nie mogli się wydostać z powrotem bez naszej woli. Myślę, że cała trójka będzie skradać się przez bramę. Jego kompani pozostaną gdzieś w ukryciu i w razie potrzeby dołączą do Multasima. Krwawy Mściciel natomiast dalej będzie podążał sam. Przy bramie muszą ukryć się silni ludzie, którzy co prawda wpuszczają Persów, ale nie pozwolą już im uciec. Muszą zachowywać się jednak bardzo ostrożnie, żeby nie spłoszyć tu na górze Multasima. U nas wystarczy pięciu, sześciu ludzi, którzy schowają się z tyłu w mrocznej części holu, by móc schwytać mordercę, skoro tylko tutaj się prześlizgnie i dotrze do łóżka. Ze względu na Hadzi Halefa nie możemy dopuścić do jakiegokolwiek zamieszania. Chciałbym, żebyśmy uporaliśmy się z Multasimem nie czyniąc najmniejszego hałasu. Chociaż nie będę brać udziału

w jego schwytaniu, będę tutaj. Jeżeli wy chcecie przy tym być, to proszę bardzo, bowiem wasi ludzie będą musieli podwójnie się napocić, żeby wszystko wykonać jak należy. Tam za drzwiami, przy wejściu do domu, musi stać paru ludzi z zapalonymi świecami, bowiem w decydującej chwili trzeba natychmiast oświetlić hol. To wszystko co mam do powiedzenia. Czy ktoś jeszcze czegoś sobie życzy?

— Nie — odrzekł Pedehr. — Myślisz, że Krwawy Mściciel będzie kazał nam długo czekać?

— Na pewno nie. Ci dwaj, którzy mu dzisiaj towarzyszą, znają zapewne wszystkie jego plany. Będą z ogromną ciekawością czekać na jego powrót. Tego człowieka, który pilnuje czterech koni, Multasim też nie będzie chciał pozostawić zbyt długo samego, bo w każdej chwili może zacząć się dziać coś nie po jego myśli, albo nawet może go ktoś odkryć. Nadal podtrzymuję więc to, co już powiedziałem: Jeśli tu na górze nie będzie palić się żadne światło, Multasim pomyśli, że śpimy, i niezwłocznie zabierze się do dzieła.

— Nuże, musimy się zatem pospieszyć. Za dziesięć minut wszystko ma być gotowe na jego przyjęcie. Czy wracasz tymczasem na górę do swojego mieszkania, efendi?

— Nie, zostaję tutaj.

— Pozwólcie więc, że was opuszczę, by dopilnować wszystkiego!

Oddalił się. Ustadek kazał przynieść dwie poduszki, na których usiedliśmy pod tylną ścianą. Miałem w ten sposób na widoku trzy rozpiętości łuków opartych na kolumnach i mogłem zobaczyć Mul — tasima, kiedy się pojawi. Kara wrócił do łóżka swojego ojca. Goniec i jego syn przykucnęli w pobliżu nas, żeby w umówionym momencie wraz z innymi schwycić mordercę. Później nadszedł Pedehr i przyprowadził ze sobą jeszcze czterech silnych mężczyzn, którzy schowali się z tyłu w rogu. Za drzwiami po obu stronach kilku ludzi trzymało palące się lampy. Później wszystkie światła w holu zostały zgaszone. Wówczas przypomniała mi się moja lampa na górze. Nadal się paliła, a jej blask musiał być widoczny na dole w duarze. Powiedziałem o tym Ustawowi. Zaraz podniósł się, żeby pójść na górę i ją zgasić. Kiedy za chwilę wrócił, wszystko było już gotowe; Pedehr zadbał o to, żeby nawet w kuchni panowała ciemność. Można by pomyśleć, że w „wysokim domu” wszyscy udali się na spoczynek. Krwawy Mściciel mógł nadchodzić!

Czyż nie dziwne, że z całego serca pragnąłem, by przyszedł? Przykazanie „nie zabijaj” zakazuje pragnąć, żeby ktoś popełnił morderstwo! Ja jednak bardzo chciałem, by Multasim przybył, i było to w tym przypadku całkiem uzasadnione. Krwawy Mściciel żył; był obecny. Jego zamiary skierowane były przeciwko mnie. Mogłoby być dla mnie niebezpieczne, jeśli nie dowiedziałbym się, że chce mnie zabić. Samego Multasima nie musiałem się bać, a jedynie niespodziewanej napaści. Tym razem byłem przygotowany na taki atak. Gdyby jednak nie zrealizował swych obecnych planów, odebrałby mi tę pewność, że będzie schwytany, i cała moja przezorność byłaby zbyteczna, a ja nadal żyłbym w niepewności. Dlatego musiałem pragnąć, żeby nie wydarzyło się nic takiego, co mogłoby skłonić go do porzucenia swych zamiarów.

W holu było cicho i tak ciemno, że nie widzieliśmy się nawzajem, pomimo że znajdowaliśmy się tak blisko siebie. Na dworze lekki blask nocy położył się na schodach. Nie mógł dosięgnąć kolumn,

gdyż zadaszenie, które znajdowało się ponad nimi, złapało go w swe objęcia. Trzy łuki rozpięte między kolumnami wynurzały się wprawdzie wyraźnie z ciemności, do podłogi jednak nie dochodziło w ogóle światło gwiazd. Musiałem przyznać, że gdybyśmy nie wiedzieli nic o haniebnym planie Persa, mógłby wejść do środka zupełnie niepostrzeżenie. Nie omieszkam oczywiście dodać, że nie miałem żadnego powodu, żeby podejrzewać Multasima o taką sprawność w podkradaniu się, jaką posiada każdy wyćwiczony Beduin, a w której mistrzami tak naprawdę byli Indianie i myśliwi „dalekiego Zachodu” Ameryki Północnej. Wkrótce miałem się przekonać, jak bardzo się myliłem. Na nieuczciwej drodze nienawiść zawsze będzie mistrzem. Multasim zaś może się pochwalić, że w chytrności i wytrwałości jest niedościgniony.

Ustad, który siedział tuż obok, przywarł do mnie i wziął moją rękę w swoją dłoń.

— Bardzo cię miłuję, efendi! — szepnął mi do ucha. — Zupełnie o tym nie wiedziałem. Ale kiedy usłyszałem, że chodzi o zamach na twoje życie, poczułem, jakbyśmy byli powiązani ze sobą cielesnie i duchowo tak silnie, że moglibyśmy tworzyć razem identycznie myślącą i tak samo czującą, całkowicie nierozzerwalną jedność.

— Doprawdy, tak poczułeś? A może jednak było to coś innego? — zapytałem. — Jeśli pokrewne duchy całują się, to tętna ich cielesnych serc zlewają się w jedno tętno. Słowa: „miłość duchów” brzmią upiornie, ale ona, która łączy Tutaj z Tam, jest najwyższa i najpotężniejsza. Unosząc pierwsze ku drugiemu, przynosi zbawienie.

Może dodałbym jeszcze coś, gdyż swoimi myślami poruszyłem swój ulubiony temat, zrezygnowałem jednak z tego. Wydawało mi się, jakbym właśnie coś usłyszał, a także coś zobaczył. Nie było to nic określonego, nic co można by uchwycić wzrokiem czy słuchem, zaledwie cichy szelest, a może powiew, jakby zadrgała lekka suknia, trwające ułamek sekundy przemknięcie czegoś, co się poruszało, czegoś bezkształtnego i nie dającego się uchwycić, czegoś co nie mogło pochodzić od żadnej żyjącej istoty.

— Widziałeś coś? A może słyszałeś? — zapytałem Ustada.

— Nie... A ty? — odpowiedział.

— To było coś takiego, jakby jakaś na wpół widoczna myśl przemknęła przez hol.

— Dokąd?

— Tam gdzie ma przyjść Multasim, do kąta.

— Jego należy spodziewać się z zewnątrz. Nie schował się przecież tutaj w pomieszczeniu. Tak jak powiedziałeś, musiała to być myśl.

Jego słowa wydały mi się tak słuszne, iż przyjąłem, że naprawdę musiałem się pomylić. Ten, na którego czekaliśmy, nie mógł w żadnym razie przybyć z rogu holu, w którym spał mój Hadzi Halef. Musieliśmy skupić uwagę wyłącznie na wejściu. Robiliśmy to w taki sposób, iż nie mieliśmy wątpliwości, że zaraz ujrzymy Krwawego Mściciela, choćby skradał się najostrożniej jak tylko mógł.

Czas jednak płynął, mijały kwadranse za kwadransami i niczego nie zauważyliśmy. Wtem — minęła może godzina — gdzieś dało się słyszeć ciche drapanie czy skrobanie i wkrótce po tym jakiś głośny, przyspieszony oddech, który przypominał prawie charczenie. Nie można było ustalić, skąd dochodził. Przyjąłem w końcu, że to jeden z ukrytych Dżamikunów był na tyle nieostrożny, że zaczął głośno oddychać, przez co bardzo łatwo mógł nas zdradzić. Wtem jednak zabrzmiał jasny głos Kary ben Halefa:

— Sihdi, każ przynieść tutaj świece!

Oczywiście ogarnęło mnie przerażenie, tym bardziej, że wołanie nie dochodziło od łóżka jego ojca, przy którym powinien teraz się znajdować.

— Gdzie jesteś? — zapytałem go równie głośno.

— Tutaj, przy twoim rzekomym legowisku.

— Co za nieostrożność!

— Powiedz lepiej, cóż za przebiegłość! Gdybym nie był bardziej ostrożny aniżeli wy, znowu by się wymknął. Mam go!

— Maszallah! Naprawdę?

— Czy mówiłbym tak, gdyby było inaczej? Zaświećcie tutaj! Zerwaliśmy się wszyscy. Drzwi wejściowe do domu zostały otwarte, a stojący na zewnątrz ludzie wpadli do środka ze swoimi zapalonymi świecami i lampami olejowymi. To co zobaczyliśmy, doprawdy było niesamowite. Nie opodal łóżka, w którym miałem spać, leżał zupełnie bez ruchu jakiś człowiek, z rękami uniesionymi do góry, ubrany tylko w spodnie, poza tym nagi, przy czym tułów i ramiona natarte miał olejem. To zwyczaj skradających się Beduinów. Po nasmarowaniu tłuszczem stają się oni tak śliscy, że w razie zdemaskowania nie można ich mocno schwytać; olej czy inny tłuszcz czyni ciało tak gładkim, że daremny staje się każdy mocny chwyt. Przy napastniku klęczał Kara, który zacisnął mu obie ręce na szyi tak mocno, że schwyty w żaden sposób nie mógł się bronić.

— Prędko, związać go! — rozkazałem, odkładając wszystkie pytania na później. — Zabrać go stąd prędko, i świece także. Mogłyby zdradzić jego towarzyszom, że plan Multasima się nie powiódł!

Zanim spełniono moje polecenie, dało się zauważyć skutki nagłego oświetlenia holu. Na placu było słyhać głośne kroki, na górze kilka przytłumionych wołań. Nagle znowu nastąpiła cisza. Potem po stopniach wszedł jeden z czatujących na zewnątrz Dżamikunów i zameldował:

— Złapaliśmy ich. Kiedy zobaczyli światła, chcieli uciec. Ale nie udało im się!

— Przyprawdźcie ich do nas! — powiedziałem. — Będziemy w wejściu tam za drzwiami.

— Czy nie możemy tu pozostać, jeśli ich już mamy? — zapytał Pedehr.

— Nie — odpowiedziałem. — Nagłe rozświetlenie pomieszczenia, które cały czas było

obserwowane, na pewno zaniepokoi i ostrzeże Persa pilnującego konie. Poślij prędko swoich ludzi na dół, żeby jego również schwytali! Młody Dżamiki, który zna miejsce, może ich poprowadzić!

W tym czasie kiedy Pedehr pospieszył wykonać moje polecenie, jeniec został spętany i wyniesiony, a drzwi za nami wszystkimi zamknięte. W holu znów zaległa ciemność. Teraz dopiero znalazłem czas, by z bliska przyjrzeć się twarzy jeńca. Mieliśmy tego, co trzeba... Ghulama el Multasima. Leżał z zamkniętymi oczami. Albo był nieprzytomny, albo tylko udawał. Są ludzie, którzy ważą się na pełen nienawiści napad, gdyż ich głupota nie pozwala im przewidzieć skutków, a później potrafią tylko zamknąć oczy, jakby to miało wystarczyć, żeby odsunąć od siebie w pełni zasłużoną i nieuniknioną karę. To co zewnętrźnie przypomina odwagę, później okazuje się tchórzostwem.

Przyprowadzono właśnie do nas obu jego towarzyszy, którzy byli również związani. Przy sobie mieli rzeczy, które ściągnął z siebie Krwawy Mściciel, a także jego pistolety. Przy sobie miał tylko nóż. Ale kiedy Kara złapał go za szyję, nóż wypadł mu z ręki. Pedehr podniósł go i pokazał mi.

— To jest klinga, za pomocą której miała być otwarta róża — rzekł. — Co zrobimy z tymi trzema ludźmi, efendi?

— Kto ma o tym zdecydować? — zapytałem.

— Ty oczywiście. Atak był zaplanowany na ciebie.

— A czy zostanie wykonane to, co postanowię?

— Na pewno!

Kiedy spojrzałem pytająco na Ustada, ten wyjaśnił, przytakując swojemu szejkowi:

— Każdy, kto waży się wtargnąć tutaj z bronią bez naszego pozwolenia, musi być ukarany. Ale my wolimy nie zabijać. Ustaliliśmy wcześniej z Multasimem, że sprawa zemsty, która go tu sprowadziła, ma być uregulowana w czasie zawodów jeździeckich. Jeżeli masz z nim potajemny układ, to nie nasza sprawa. Skutki tego poczuł z twojej ręki. Mógłbym wprawdzie ukarać go za to, że wkradł się do mojego domu, pomimo naszej umowy, ale prawo do tego pozostawiam tobie, efendi. Rób z nim i jego pomocnikami, co ci się żywnie podoba. Oddaję ci go!

— Na razie zaprowadź tych trzech ludzi, tak jak teraz stoją, do pozostałych więźniów w lochu. Jutro, kiedy się rozwidni, dowiedzą się, co postanowiłem z nimi zrobić. Przyszli nocą, ale ja zaczekam, aż nadejdzie dzień, gdyż chcę, żeby przy pełnym świetle dowiedzieli się, co o nich myślę.

Niezwłocznie wykonano moje polecenie. Kiedy wyprowadzono Persów, ubranie Multasima leżało jeszcze na ziemi. Pedehr zarządził, żeby Tifl przejrzał kieszenie. Zawierały, jak można było się spodziewać, jedynie zwykłe przedmioty codziennego użytku. Dopiero na końcu „dziecko” odnalazło dobrze schowaną, małą kieszonkę, z której wyciągnęło jeszcze mniejszą skórzaną okładkę z umieszczonymi w środku kilkoma zapisanymi kartkami. Tifl podał książeczkę Pedehrowi, który uważnie ją obejrzał, po czym ze zwieszoną głową oddał Ustawowi, mówiąc:

— Niesłychane! Tu są tylko pojedyncze litery, żadnych słów. Spójrz, co to takiego!

Ustad wziął ją do ręki, spojrzął i zawyrokował:

— To jest alfabet teliq, powtórzony jeszcze raz nieco dalej. Przypuszczam, że jest to tak zwany ośli bryk dla kogoś mało obeznanego w pisaniu. Na pierwszej stronie widnieją słowa napisane tym samym okrągłym, mocno pochylonym w lewo pismem: „Dla Ghulama, Dželada”. Zatem ta książeczka z całą pewnością jest przeznaczona dla Ghulama. Nazywają go Katem. Dlaczego? Czy był to może jakiś żart? Gdyby tak było, nie schowałby jej tak starannie. A może sam napisał te słowa? Co ty na to, efendi?

— Nie mogę nic powiedzieć, dopóki sam jej nie obejrzę — odparłem mu. — Czy jest tam tylko alfabet?

— Alfabet i nagłówek, który przed chwilą przeczytałem. Dalej nieco niżej kilka liter, które pewnie coś oznaczają. Najpierw jest napisane jakieś Sa, a później jakieś Lam.

— Nic więcej? — zapytałem prędko.

— Jeszcze znak podwojenia pomiędzy nimi — odparł. — Masz, spójrz sam!

Podał mi książeczkę. Tak, był to tak dobrze mi znany znak rozpoznawczy Sillanów! Od razu wiedziałem, że ten pozornie nic nie znaczący podwójny alfabet spełniał bardzo ważną funkcję. Ale jaką, to było pytanie! Zawierał dwukrotnie powtórzone wszystkie perskie litery od Aelyf do Jej i nawet Lam — Elyf. Jednak powtórzone drugi raz litery nie sąsiadowały ze sobą, gdyż drugi rząd przesunięty był do przodu w taki sposób, że ostatnie siedem liter nie znajdowało się na końcu, lecz na początku rzędu. Gdybym spróbował uwidocznic te litery na przykładzie niemieckiego alfabetu, zapis przybrałby następujący wygląd:

A b c d e f g h i k l m n o p q r s t u

t u v w x y z A b c d e f g h i k l m n

v w x y z. ...

o p q r s. ...

Niewątpliwie należało uznać, że owo zestawienie miało bardzo istotne znaczenie dla Sillanów, a w szczególności dla Multasima. Bardzo zależało mi na tym, żeby się tego dowiedzieć. Ale od kogo? Mogłem jedynie liczyć na siebie. Nie było jednak teraz czasu na rozmyślanie. Włożyłem więc zeszytek do kieszeni, po czym odezwałem się:

— Prawdopodobnie miałeś rację; litery są oślim brykiem. Osłem jest bez wątpienia sam Multasim. Ciekawy jestem, dlaczego został nazwany właśnie Katem. Znacicie go lepiej aniżeli ja. Słyszeliście może już kiedyś, czy nosił ten albo jakiś podobny przydomek?

— Nie, nigdy — odrzekł Pedehr. — Ale przez to, że jako Multasim pcha się ze swoją nienasyconą żądzą posiadania na miejsce dobrego władcy, już niezliczone razy tak naprawdę stał się katem.

— Przychodzi mi do głowy pewne skojarzenie — dodał Ustad. — Dzierżawca podatkowy szachinszacha i dzierżawca z raju! Tutaj katusze ciała, a tam katusze duszy i ducha. Iluż mogło być takich katów duszy i ducha, którzy sprawują swój smutny urząd dzięki temu, że na miejsce prostego i uczciwego alfabetu, danego nam od Pana, podstawiają sfałszowany. Co zrobimy z rzeczami jeńca?

— Na razie niech leżą tutaj. Jutro je dostanie. Wcześniej jednak z powrotem schowam mu alfabet do kieszeni. Chcę, żeby myślał, iż nikt nie odkrył jego bryka. Kiedy wasi ludzie przyprowadzą czwartego Persa i konie, wsadzicie go do specjalnego miejsca odosobnienia. Multasim nie powinien na razie dowiedzieć się, że schwytaliśmy także czwartego. I jeszcze jedno; muszę wam coś powiedzieć i pokazać. Mam to w kieszeni u mojego siodła. Gdzie są wszystkie moje rzeczy i broń?

— W moim mieszkaniu — odparł Ustad.

— A więc u ciebie? Dziękuję ci! Dałeś świadectwo, że bardzo szanujesz własność swojego gościa.

Po jego twarzy przemknął osobliwy uśmiech. Wykonał gest, jakby chciał odepchnąć sens moich słów, po czym rzekł:

— Zrobiłem to z innego powodu. Jeśli pozwolisz, wyjaśnię ci na górze. Czy Pedehr także ma pójść z nami?

— Tak.

Pedehr udzielił Tiflowi kilka wskazówek odnośnie do czwartego Persa, po czym udaliśmy się na górę do mieszkania Ustada. Nie poprowadził nas jednak do pokoju balkonowego, ale zapalił świeczkę i zabrał nas do małej, pozbawionej okien komórki. Już na pierwszy rzut oka wyglądała tak, jakby była przeznaczona na nieużywane, niepotrzebne graty. Wisiały tam wszystkie moje rzeczy. Poza nimi nie znajdowało się nic więcej poza jedną starą skrzynią. Jeśliby się jej bliżej przyjrzeć, można by odnieść wrażenie, że pochodzi z czasów pra-pradziadów. Ustad, wskazując na ten gręt, powiedział nam coś, czego wówczas nie rozumiałem, ale co wkrótce stało się dla mnie całkiem jasne:

— Gdyby człowiek wiedział, jaką wielką krzywdę wyrządzają mu takie stare, odziedziczone w spadku rupiecie, które pod płaszczykiem pietyzmu wlecze się ze sobą przez całe życie! Dla tego rodzaju „obciążenia dziedzicznego” rupieciarnia stanowi jeszcze zbyt wytworne miejsce! W takich starych gratach kryje się cała chmara odziedziczonych przez ducha moli, korników i ryjkowców, które jeśli otworzy się skrzynię, wypęłzają i wylatują na zewnątrz, żeby zamienić wszystko, co posiada wartość życia, w stoczone rupiecie i przegryzione łachmany. Dla takich molowych duchów nie istnieje nic świętego, nic nietykalnie wielkiego. Zniszczą królewski purpurowy płaszcz z taką samą niezawodną pewnością, z jaką zamieniają gronostajowe futro nauki w nagą skórę. Opadną

plagą na duchową szatę emira el muminina*, tak jak tańczący albo wyjący derwisze zagnieździli się w filcowej czapce. Siedzą w kaftanie niebieskiego*, w turbanie sahib-i-szeriata* i w pantoflach tych wszystkich, którzy wędrują w cieniu ustanowionych przez niego przepisów. Papier jednak przyciąga je z absolutnie nadzwyczajną siłą, szczególnie ten sfabrykowany z łachmanów. Uważa się wprawdzie, że zapach czernidła drukarskiego je przepędza, ja jednak często natrafiałem na papier drukarski, z którego po rozłożeniu wylatywała zaraz cała chmura, żeby otoczyć mnie ciemnością.

— Mówisz zagadkami — powiedział Pedehr.

— Masz szczęście, że są to dla ciebie tylko zagadki, a nie własne doświadczenia! Jakimś niesamowitym trafem miałeś do czynienia wyłącznie ze szkodnikami żerującymi na materii, a nie na duchu. A te drugie, pomimo że są tylko marnymi molami, mają czelność uważać się za pożyteczne, a każdego szlachetnego, wolnego ducha śmiało zaliczać do robactwa! I o tym odwróceniu rzeczywistych stosunków myśli całe futro, w którym siedzą mole!

Zwrócił się do mnie i mówił dalej:

— Nakrycie, z którego jadłeś u góry w lesie, było z tej skrzyni. Być może myślałeś, że spotkał cię jakiś szczególny zaszczyt; myliłeś się jednak. To jest moje trupie nakrycie. To nim kazałem nakryć stół, kiedy jadłeś swój własny posiłek śmierci. Tak myślałem! Być może dzięki tobie ta uczta zamieniła się w biesiadę zmartwychwstania, na którą, nie przewidując tego, zaprosiłem ciebie. Rozejrzyj się tutaj! Tu wiszą twoje strzelby i wszystkie twoje rzeczy. Dlaczego? Myślałem, że jesteś taki sam jak ja, że jesteś moim duchowym sobowtórem. Sądziłem, że wędrowałeś tą samą drogą, którą ja szedłem, i że żyłeś teraz w swoim „czasie hosanny”. Wiedziałem, że nadchodzi dla ciebie okres, w którym będziesz włókł się na Golgotę, gdzie żołnierze najmici podzielią się twoją szatą i twoją bronią. Dlatego przyniosłem wszystko na górę i właśnie do mojej rupieciarni, żeby cię prosić, byś dobrowolnie się ich tutaj wyrzekł. Na takich wrogów nie warto wyruszać z jakąkolwiek bronią. Stań przed nimi zupełnie nie uzbrojony. Pancierz ducha jest co prawda niewidzialny, ale żaden mól czy ryjkowiec nie odważy się go ruszyć! To robactwo wyszukuje sobie na karmę tylko takie rupiecie, które nie przetrwałyby, nawet gdyby nie stoczyły je mole... Tak myślałem! Kiedy jednak przyszedłem do ciebie na górę, do mojego „grobowca”, chcąc, żebyś przeze mnie poznał siebie, usłyszałem z twoich ust słowa, których dźwięk rozlegał się z tamtego świata. Świata, do którego tak bardzo chciałem z tobą szczęśliwie przejść. Czy jesteś już może po tamtej stronie? Czy zobaczyłeś i poznałeś beze mnie tę wprost nie do opisania trudną drogę? Czy nie imają się ciebie ludzki strach i bojaźń, które niegdyś zmusiły mnie, żebym z niej zszedł? Mówiłeś tak mocno, tak pewnie, tak świadomie, jakbyś już dawno osiągnął to, co ja pragnąłem osiągnąć, ale niestety upadłem. Rzeknij mi więc również teraz jakieś mocne, niezawodne słowo! Na pewno z ledwością rozumiesz moje pytanie, jednak jego pięść wpija się w ciebie tak głęboko, że musiałbyś wić się z bólu, gdybyś naprawdę był moim sobowtórem.

Stał przede mną z wysoko podniesioną głową, trzymając świecę w dłoni, i przeszywał mnie bardzo poważnym, badawczym wzrokiem. Tak mniej więcej patrzy człowiekowi w oczy sąd, kiedy żąda od niego zdania sprawy ze swojego wcześniejszego życia.

— Wyduś z siebie to pytanie! — powiedziałem.

— Przerazisz się! — wykrzyknął.

— Spróbuj!

Staliśmy naprzeciwko siebie, człowiek naprzeciwko człowieka. A może dusza naprzeciw duszy, duch naprzeciw ducha?

— Czy jesteś Old Shatterhandem? — zapytał. — Słyszałem to imię od mojego przyjaciela Dżafara.

— Byłem nim — odpowiedziałem spokojnie, ale pewnie.

Kiedy usłyszał, że zmieniłem czas terażniejszy na przeszły, uczynił gest przerażenia. Potem ciągnął dalej:

— Jesteś Kara ben Nemsy, efendi?

— Byłem nim — odrzekłem ponownie.

— Już nie jesteś? Ani jednym, ani drugim?

Kiedy o to pytał, jego wpatrzone we mnie oczy zabłysnęły pełnym nadziei wzruszeniem.

— Ani jednym, ani drugim!

— Skinąłem głową.

— Od kiedy? Powiedz mi!

— Odkąd oba imiona dokonały tego, czego powinny były dokonać i czego musiały dokonać! Pod tymi imionami kryją się ci, którzy chcą rozwikłać zadaną zagadkę. W jej drzwiach ukazało się, niczym młodzieniec opromieniony blaskiem radości, uwolnione ze swoich psychologicznych kajdan „ja” ludzkości. To tak bardzo wzgardzone i tak okrutnie prześladowane „ja” w moich książkach ma do powiedzenia każdemu, kto potrafi słuchać o nowym, niespodziewanym świecie, w którym ciało, duch i dusza nie są włożone jedno w drugie do jednej skrzyneczki, ale ręka w rękę stoją obok siebie i współdziałają. To tak często wyśmiewane i tak namiętnie wyszydzane „ja” w moich dziełach nie było żadnym sławy wymysłem szalonego ego autora, który pisząc niestworzone historie o Indianach i Beduinach, chciał zdobywać pochlebstwa małoletnich i nierozumnych czytelników. Lecz trudno było wprost uwierzyć w ślepotę tych, którzy w ogóle zakładali możliwość takiego szaleństwa. Sami siebie wprowadzali w ten tak bardzo przez nich upragniony błąd, kiedy kłamali, że moje książki zostały napisane tylko dla czezej rozmowy młodzieży, a absolutnie nie dla duchowych oczu jasno i spokojnie myślących czytelników. Temu silnemu, pewnemu siebie „ja” nie przyszło do głowy, aby żebrząc, kołatać do drzwi na ulicach duchowej niemocy, gdyż z tego duchowego ubóstwa żyją przecież właśnie te „ja”, które bały się rozwiązania mojej zagadki. Moje „ja”, wręcz przeciwnie, unikało wszystkich ulic i rzędów domów w miastach rojących się od ludzi i poszło na cały świat...

W tym momencie Ustad przerwał mi, chwytając mnie za ramię, i zawołał tonem najwyższego przerażenia:

— Poszło na cały świat, żeby powiedzieć, że cały świat zgubił gdzieś swoje „ja”? Efendi, efendi, co ja słyszę z twoich ust! Kto by pomyślał! Ja również byłem autorem, ja”. Ja także posyłałem swoje myśli na cały świat, żeby... jednak nie; o tym później! Nie znałem cię. Miałem o tobie tylko pewne wyobrażenia. Było to tak, jakbym musiał podążyć za jakimś wewnętrznym rozkazem. A teraz jesteśmy obaj tacy sami, tacy sami! Nadzwyczajnie tacy sami! Czy naprawdę? Nawet jeśli we wszystkim, to jednak w jednym nie! Nie jestem jeszcze gotów, żeby cię zapytać! Szykuj się na zasadnicze pytanie! Jest ono wprost niesłychane! Czy mam je powiedzieć?

— Tak!

— Tu wisi własność Kara ben Nemsy. Czy zechcesz podarować mi to wszystko? Tak podarować, żebym mógł już to zatrzymać? Odtąd przestanie być twoją własnością. Nie dostaniesz tego do rąk już nigdy w życiu. Pozostanie na zawsze w tej rupieciarni i żaden człowiek nie zobaczy więcej twojego dobytku!

Cóż za spojrzenie wwiercało się w moją twarz? Natychmiast pomyślałem o Ahrimanie mirzie, największym diable! Czyżby to właśnie ten kusiciel spoglądał na mnie teraz z sypiących iskrami oczu Ustada! Wzrok wprost przepelniony jakąś piekielną nadzieją. Tak, to pytanie, któremu musiałem właśnie stawić czoło, było bardzo ważne. Rozumiałem Ustada. Całe piekło, z którym kiedyś na próżno walczył, w tej chwili patrzyło na mnie ukryte w jego spojrzeniu. Mogłem być jednak spokojny. Nie powinno mi ono przeszkodzić podążać drogą, którą już dawno obrałem. Nie było mi ciężko podjąć tę decyzję. Wyciągnąłem w kierunku Ustada swoją prawicę i uśmiechając się, spoglądałem mu spokojnie w twarz, po czym odezwałem się:

— Podaj mi rękę!

— Teraz? — zapytał pośpiesznie, wyciągając do mnie dłoń. — Co postanowiłeś?

— Że bardzo chętnie spełnię twoje życzenie! Weź wszystko! Niech będzie twoją własnością!

— Wszystko, wszystko?! — zawołał ze zdumieniem, którego nie da się opisać.

— Wszystko!

— Ale czy wiesz, co robisz?! Przestajesz być tym, którym byłeś i którym jesteś! Już nigdy więcej nie możesz pisać takich książek, jakie pisałeś do tej pory! Umarłeś! Musisz stać się zupełnie kimś innym! Czy pomimo to podtrzymujesz swoje słowo?

— Podtrzymuję!

— Nie do wiary! Przypominam ci jeszcze raz o konsekwencjach, efendi! Jesteś sławny?

— Ba! Mówi się o mnie! Dopóki jednak ludzie nie rozumieją moich książek, musi mi być obojętne, co się na mój temat prawi. Jeśli jestem błędnie rozumiany, to mówi się o kimś innym, a nie o mnie!

— Brzmi to autentycznie, ale zarazem chłodno! Niemal chciałoby się powiedzieć: pogardliwie! Pomyśl jednak, efendi: Jeżeli nie będziesz pisać więcej w znany ci sposób, nikt nie będzie już o tobie

mówić! Wówczas umrzesz, umrzesz, umrzesz!

— Oj biedny, biedny Ustadzie! Jakże błędnie zapatrujesz się na ten sposób życia i ten rodzaj śmierci! Podarowałem ci siebie, tak jak tam wiszę na tych gwoździach. Te emblematy mojej dotychczasowej działalności to... ja! To ja, którym byłem!

— Tak!

— Mylisz się. Właśnie przeszedłem do innego życia, będzie wyższe, piękniejsze, szlachetniejsze, nieskończenie bardziej wartościowe. Napisałem mnóstwo książek. Pozwoliłem w nich mówić swojemu „ja”. Nie zostałem zrozumiany. To co najcenniejsze na ziemi podałem w ziemskim naczyniu. Napełniłem tę czarkę zagadką i dałem ją ludziom do wypicia. Setki tysięcy piły z niej, ale dla wszystkich mój napój był tylko wodą. To naczynie zmyliło wszystkich! Podając je, sprawiłem ludziom zbyt wielką wygodę. Pito bezmyślnie, a później drwiono sobie ze mnie. To wielki błąd, jedyny, który mam sobie do zarzucenia! Zwyczajny śmiertelnik wypije chętniej wodę bagienną ze złotej czarki, aniżeli niebiański nektar z ziemskiego naczynia. Wówczas się coś we mnie poruszyło. Jakiś święty, a zarazem cichy gniew zawrzał w mojej duszy. Nie dlatego, że rozbiłem to ziemskie naczynie, o nie! Postanowiłem sobie, że teraz ten płyn, który wzięto za wodę, podawać będę w złotej czarce. Zabrałem ze sobą złoto na tę przejażdżkę konną, która doprowadziła mnie do duchowego przywództwa nad Dżamikunami. Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, że tutaj szukałem i że je odnalazłem. Od dzisiaj będę pisać w „wysokim domu”... zupełnie inaczej aniżeli do tej pory. I chociaż kiedyś uważano moje pisanie za nic nie warte głupstwa, teraz znowu będzie się pić z czarki, którą odstawiono na bok. Później odżyją moje stare dzieła. Będą one czytane zupełnie innym okiem; dusza, która żyje w nich głęboko, stanie na czele. A kiedy poznają ducha, który dał mi pióro, wtedy ten duch zanieśie ją do wszystkich domów, w których nie było jej widać do tej pory... Powiedz mi teraz, Ustadzie, czy muszę uważać się za umarłego!

Wyciągnął do mnie obie ręce. Dostrzegłem, że jego oczy zrobiły się wilgotne, kiedy mówił:

— Sihdi, nie chcę ci tutaj mówić o tym, co leży mi na sercu! Chodźmy do ciebie na górę. Powiedz jednak najpierw, co się stało z listem, który chciałeś nam pokazać!

— Teraz należy do ciebie — odparłem.

— Do mnie? — zapytał zdumiony.

— Tak. Jest u... mojego... siodła!

Śmiejąc się, powtórzył moje słowa. — A więc poważnie potraktowałeś ten prezent?

— Tak! Poważnie. Nie podarowałem ci jednak niczego, to tylko ty mnie oswobodziłeś. Czy mam może poszukać tego listu?

— No jasne! Idźmy zatem do mojego pokoju na górze. Odnalazłem pismo, o którym czytelnik zapewne jeszcze pamięta.

Oddałem je Ustadowi, po czym nie oglądając się już na swoją dotychczasową własność,

wyszedłem. Kiedy obaj podążyli za mną, Ustad odezwał się:

— Efendi, pozostawiasz tutaj swoją sławę. Chcesz iść dalej, nie oglądając się na nią choć jeden raz?

— Tak — odpowiedziałem. — Sławny! Czy znasz ten rodzaj sławy? Jej natura jest demoniczna. Jeśli ona ma stać się twoją przyjaciółką, porzuć siebie samego i oddaj jej cały swój umysł i całą swoją duszę!

— Masz rację, masz rację! — przytaknął mi. — Znam ją. Ona była dla mnie nie tylko przyjaciółką, była kimś bliższym, kimś znacznie, znacznie bliższym. A czego ode mnie żądała! Jaką ofiarę musiałem jej złożyć! Musiałem rzucać się do stóp każdemu fircykowi i kłaniać przed każdym głupcem! Ażebym tylko nie zaszkodzić sławie, musiałem usługiwać każdemu błaznowi i narażać się na ataki arogantów, żeby tylko nie stworzyć dla niej zagrożenia. Moja kieszeń musiała być otwarta na każde prostactwo, a kiedy głupota dręczyła mnie tysiącem błazeństw, musiałem tylko ze względu na sławę cierpliwie znosić jej katusze. Zazdrość stała przede mną dniem i nocą ze swoim agresywnym spojrzeniem nieżyczliwości; niełaska wlokła mnie po wszystkich drogach, a gdzie chciałem przysiąść, by odpocząć chwilę, tam siedziała już zawiść i przepędzała mnie. Nie wolno mi było mówić tak, jak chciałem, a to o czym pisałem, przez nienawiść zostało źle zinterpretowane. Wiele straciłem, nad czym teraz bardzo ubolewam. Jakkolwiek korzyścią jest dla mnie to, że straciłem wówczas również tą, do której kiedyś tak pożądliwie niemal grzesznie zmierzałem. Ta korzyść pozwoli mi lekko znieść stratę. Przemilczmy to jednak! Chodźcie teraz do mnie!

Książę cieni

Weszliśmy do pokoju Ustada. Usłyszeliśmy dobiegający przez otwarte drzwi balkonowe odgłos końskich kopyt. Czwarty Pers został więc ujęty. Ustada postawił świeczkę na stole i zaczął oglądać list.

— Brak adresu! — powiedział. — Same znaki, które widzieliśmy już wcześniej, tam gdzie był alfabet. Do kogo miał dotrzeć ten list?

— Do Ghulama el Multasima — odrzekłem.

— Skąd wiesz?

— Zaraz ci wyjaśnię.

Rozsiedliśmy się i najkrócej jak tylko mogłem opowiedziałem o naszej nietypowej znajomości z Sillanami, od naszego spotkania na Tygrysie do gospodarza kawiarni w Basrze. Potem zdradziłem im również, kogo nakryłem wśród Dżamikunów, że przynależy do tajnego stowarzyszenia Sillanów. Obaj słuchacze z uwagą śledzili każde moje słowo. Kiedy skończyłem, Ustada przez dłuższą chwilę spoglądał zamyślony w dół. Później podniósł głowę i odezwał się:

— Efendi, czy wiesz, coś nam przekazał?

— Co takiego?

— Wydarzenia z krainy baśni.

— Sądysz, że zmyślam?

— Ależ skąd! List jest przecież dowodem. Trzymam go w ręce jak przedmiot, który należy do naszego cielesnego świata. Przedstawiłeś fakty, niczego nie dodając, wręcz przeciwnie, bardzo wiele opuszczając, jak przypuszczam. A jednak powiedziałem, że opowiadasz nam wydarzenia z baśni. Dlaczego?

Zamyślił się znowu przez chwilę, po czym ciągnął dalej:

— Baśnie i bajki! Nie pytam, z czym kojarzą się te słowa innym ludziom. Mówię, jakie wyobrażenia budzą te pojęcia we mnie. Czego Bóg nie mówi mądrym i mędrcom, dlatego że mu nie wierzą, opowiada dzieciom i podrostkom, aby oporny rozum mógł uczyć się od niezmaconej wiary. Pomiedzy niebem a ziemią unoszą się prawdy, którym zwątpienie gwarnego dnia zakazuje opuścić się ku ludzkości. W umiejającej milczeć nocy, kiedy wątpliwości śpią, te prawdy ześlizgują się po przyjaznych promieniach gwiazd, żeby jak wszystko co niebiańskie po zetknięciu się z ziemią przybrać widzialne kształty, skoro tylko natrafią na zakazany dla nich kraj. Żywią nadzieję, że w tych cielesnych formach uchronią się przed swoimi wrogami. Rozłączają się. Jedna prawda, przybierając

zwierzęcy kształt, idzie jako postać z bajki przez lasy i pola, czasem jednak zachodzi do domu i do obejść, gdzie mieszkają ludzie, żeby obrazowo opowiedzieć im to, czego nie mogłaby przekazać w inny sposób, bez narażania się na ryzyko. Druga jest bardziej śmiała. Przybiera formę powszechnie znanego ciała, które chlubi się, że jest stworzone na obraz i podobieństwo Boga. Odwiedzając miasta i wioski, podaje się za skromną bajkę, której może pozwoli się przejść. Widocznie nie ma nawet zbyt wiele do powiedzenia, skoro tak chętnie dopuszcza się ją wszędzie do słowa. Kiedy przemawia, nikt z początku nie myśli o tym, co mówi. Ale kiedy odejdzie, myśli same przychodzą mimo woli. Potem gdy nadejdzie dzień, okazuje się oczywiście, że ta tak zwana bajka była dziecięcym bożym, które gdyby wcześniej o tym wiedziano, wyrzucono by. Teraz jednak było za późno, gdyż doszła już do głosu, a tego co powiedziała, nie da się odmienić... Śmieszycie się to, efendi! Dlaczego?

— Ponieważ wydaje mi się, że jesteś przyjacielem tych niebiańsko czystych prawd, które jednak w ziemskim życiu okazują się tak sprytne — odpowiedziałem. — Ja również je bardzo lubię. Mów dalej!

— Czy znasz — ciągnął dalej — bajkę o słonecznym promieniu, który tu na ziemi został królem i rządził tak łagodnie i tak dobrze, że wszyscy jego poddani zamienili się po śmierci w jasne promienie słoneczne i powędrowali wprost do nieba?

— Znam ją.

— A drugą bajkę, która opowiada o cieniu promienia?

— Nie.

— Cień chciał dorównać światłu. Padł na nisko położoną krainę i tam przybrał kształt, który był wierną kopią władcy. Również uczynił siebie królem i naśladował dosłownie wszystko, co u góry robił i mówił mądry władca. Ale niestety był tylko cieniem wodza. Czy wiesz, efendi, czym jest cień?

— Jest ciemnym odbiciem ziemskich istot, które stoją w świetle nieba — odparłem.

Nie była to oczywiście ściśle fizyczna definicja, ale też nie miała taką być. Przeczuwałem, co chciał powiedzieć Ustad, i podałem mu takie objaśnienie, jakiego oczekiwał.

— Słusznie, bardzo słusznie! — zgodził się. — Cień potrzebuje światła, naśladuje kształt, który stoi w tym świetle. Ale imitacja pozostaje ciemna, choć tak wierna i tak dokładna, jak tylko to możliwe. Cień jednak zupełnie nie wyłapuje załamania barw niebiańskiego światła. Jest ciemnym, pozbawionym serca i sumienia sobowtórem całego żywego stworzenia, jakie tylko zamieszkuje ziemię. Czy w świetle ducha i duszy, tak jak w świetle ciała, również jest obecny cień? Jak myślisz, efendi?

— Naturalnie, że tak.

— Jak go sobie wyobrażasz?

— Ustaw pod światłem coś duchowego albo duszowego, a przekonasz się, że natychmiast pojawi

się odpowiedni cień. Za każdą cnotą stoi właściwa przywara, która jest wierną, aczkolwiek odbitą imitacją wszystkich jej przymiotów. Za mądrą oszczędnością pojawia się chciwość, za szczodrością rozrzutność, za umiłowaniem prawdy grubiańska brutalność, za szlachetnym zmysłem zarabiania zwykle oszustwo i złodziejstwo, za ostrożnością tchórzostwo, za odwagą brawura, za elokwencją gadulstwo, za milczeniem upartość. Ale dostrzegam jeszcze inne cienie: bezwzględna tyrania za błogosławioną władzą, podlizywanie się za posłuszeństwem, bunt za wolnością, morderstwo za obroną konieczną, obłuda za pobożnością, podstępne działanie za pokorą, chępliwość za samopoznaniem; obżartuch za jedzącym, pijak za pijącym, wagabunda za wędrowcem, oszczerca za sędzią. Czy mam mówić dalej, Ustadzie?

— Nie, to wystarczy — odparł. — Twoje wystąpienie było wielce interesujące. Zapewne nie wiesz, czemu tak uważam. Mówiłeś o cnotliwych i niecnotliwych cechach i zachowaniach. Jak to się stało, że później zakończyłeś swój wywód osobami? Czy zrobiłeś to umyślnie? Czy chciałeś w ten sposób wskazać z obszaru Ducha na królestwo „duchów”? Czy myślałeś o niewidzialnym dla nas kraju, u którego bramy umierająca ciemnota krzyczy swe ostatnie słowa „stąd nie ma odwrotu”? Czy masz przed oczami to królestwo, które zabobon zaludnia upiorami, chociaż to on, on, on jest pierwszym z pierwszych wśród wszystkich upiorów, jakie istnieją?

— To były tylko przykłady — odrzekłem. — Daleki byłem od rozróżniania.

— Dobrze! Nie patrzmy zatem w tamtą stronę, lecz pozostajmy przy ludziach. Każdy kto stanie w słońcu, może, jeśli się obróci, dojrzeć swój cień. To jest cień jego ciała. Są jednak również inne cienie. Nie chcę wyliczać ich rodzajów. Ale jeden z nich, którego nazywam mitologicznym, muszę ci pokazać. Odkryto je w starożytnej Grecji i nazwano Eryniami czy też Furiami. Czy znasz te mary, które są bardziej piekielne aniżeli samo piekło, efendi?

— Tylko z mitologii — powiedziałem.

— — Mylisz się. Widziałeś je również w rzeczywistym życiu. Biegają wszędzie tutaj dookoła! Ty ich tylko nie przejrzałeś, nie zdefiniowałeś. Gdy słońce znajduje się dokładnie w twoim zenicie, nie będziesz miał za sobą cienia. Ten, który rzucasz, leży pod twymi stopami; nie można go dostrzec. Ale kiedy tylko słońce opuści swój szczytowy punkt, cień wychodzi spod ciebie i staje się tym większy, im bardziej słońce się od ciebie oddala. W chwili kiedy twój dzień zdaje się zagasać, a słońce zdaje się odchodzić od ciebie na zawsze, twój cień wychodzi tak dalece ponad wszystko co ludzkie, że pokrywa całą powierzchnię, która znajduje się za tobą, i ciemnieje tak całkowicie, jakby w twoim życiu nie było nigdy światła. Możesz to zaobserwować podczas każdego zachodu słońca. Ale są również jeszcze inne zachody słońca. Czy mam ci je opisać? Może mój? I ten ogromny cień, który za mną powstał?

Spojrzał na słaby, lekko drgający płomień świeczki, potem przymknął oczy, jakby nie mógł znieść nawet tego gasnącego blasku, po czym ciągnął dalej:

— Mój ranek minął. Nadeszło południe. Słońce świeciło tuż nade mną. Zewsząd zalewała mnie jasność. Było mi zbyt gorąco, żeby tak stać w tym świetle, nie rzucając cienia. Rozejrzałem się dookoła siebie. Chyba cały mój świat promieniował szczęściem i pokojem. Patrzyły na mnie tylko przyjazne oczy. Tylko przyjazne ręce ścisnęły moją dłoń. Tylko przyjazne słowa docierały do moich

usu. Nie było jednak możliwe, żeby ten tak zupełnie niezmacony blask słońca zagościł radośnie w moim wnętrzu. Znałem starą legendę o tym zazdrosnym „ziemskim bogu”, który nie znosi, kiedy śmiertelny czuje się szczęśliwy. Spojrzałem do góry na jasną tarczę, ofiarującą to jaskrawe światło. Słońce na razie jeszcze posyłało mi swój rozkosznie jasny uśmiech. Zauważyłem jednak, że zmieniło swoje położenie w stosunku do mnie. Linia, która nas łączyła, zaczęła się wykrzywiać. I wtedy „ziemski bóg” zaczął budzić się pode mną. W czasie mojego południa pogodził się ze mną do tego stopnia, iż wydawało się, że całkowicie porzucił swoją ciemność. Ale oto zauważyłem, że opuściły mnie przyjazne spojrzenia i ześlizgnęły się na dół. Patrzyły gdzieś poza mnie. Spojrzałem na siebie. I cóż zobaczyłem, kiedy mój wzrok opuścił się aż do stóp?! Pode mną wyłoniła się jakaś głowa! Naśladowała ruchy mojej głowy. Czy chciała zadrwić sobie ze mnie? A może głowy cieni zupełnie pozbawione są własnego mózgu i żeby móc egzystować, muszą naśladować jasno myślących ludzi? Czy ten „ziemski bóg” zmusza te bezmyślne i bezkrytyczne cienie, żeby wykradały ludziom każdą duchową formę i każdy intelektualny ruch i zniekształcały je w ziemskim błocie po to, by choć raz były uważane za „coś”? Głowa oddalała się ode mnie coraz dalej i coraz wyraźniej. Starła się jak najmocniej do mnie upodobnić. Można było nawet zauważyć, że dąży do naśladowania rysów mojej twarzy. Skoro tylko zwracałem twarz w jej stronę, widziałem, że jej się to nie udawało. Te mary na zawsze zrezygnowały z posiadania ludzkiego oblicza! Im bardziej słońce oddalało się ode mnie, tym zuchwalszy stawał się ów fantom. Zaczęły się ukazywać plecy, brzuch, ramiona, a nawet nogi stały się widoczne, lecz to wszystko nie tworzyło żadnego rzeczywistego, uchwytanego, żywego kształtu, ale nierealną iluzję, pozbawioną odrobiny istnienia, która tak długo trwa w miejscu dopóki ten, który ją tworzy, się nie ruszy. Jeśli tylko chciałoby się do niej zbliżyć albo wyciągnąć do niej rękę, aby ją sprawdzić, natychmiast się cofała. Widać było przy tym, jak obecne na początku podobieństwo zarysów zmniejszało się w identycznym tempie, w jakim powiększał się zniekształcony obraz. Błyskawicznie zniknęły nie tylko kontury, które być może mogłyby się na mnie skończyć, lecz również dziwoląg za mną stawał się stopniowo tak niekształtny i do tego stopnia monstrualny, że niemal szaleństwem wydawało mi się traktowanie miejsca, na którym stałem, jako punktu jego narodzin. Można było co prawda zobaczyć jego stopy tam właśnie, gdzie i moje, ale poza tą jedną jedyną okolicznością nie istniał żaden inny powód, dla którego miałbym uważać, że ten ultramonstrualny twór pozostawał w jakimś związku ze mną. Stałem w tym miejscu prosto, w pełni świadomie niczym silna i niezależnie poruszająca się osobowość! A cień jak? Wyrósł z błota, które deptałem stopami! Z niego wypełził pod moimi stopami! Z niego próbował podnieść się po mnie do góry, żeby mnie przewyższyć i sięgnąć aż do słonecznego światła! Ale nie ma cienia, który by nie upadł! Również ten mój ultramonstrualny cień musiał się zwalić na ziemię! Nic innego nie mógł zrobić, tylko upaść, upaść, upaść! Takie jest straszne przeznaczenie każdego cienia, każdej ciemności, każdego mroku! A samoświadomość? Czy głowa mojego cienia mogła w ogóle coś w sobie mieścić? Tak? Jeśli nawet, to na pewno nie własną świadomość, a najwyżej zniekształcony cień mojej świadomości. Z powodu owej deformacji myślał prawdopodobnie, że to on wlecze mnie za sobą, ale to nie on mnie, lecz ja włokłem jego! Był cieniem; jest cieniem i pozostanie cieniem! Żeby mógł istnieć, potrzeba mu pełno ludzi. Jeśli ich nie znajdzie, żeby go mogli rzucić, tak jak rzuca się cień, nie będzie mógł ani razu stać się cieniem; będzie niczym! ...A silna i niezależnie poruszająca się osobowość? Każdy cień oznacza brakujące światło. Człowiek, który staje się cieniem innego człowieka, wyrzekł się swojego ducha i swojego własnego wolnego życia. Zamienił się w niesamodzielną egzystencję ciemności, która wszędzie tam, gdzie obecne jest światło, goni za tym co mętne, ponure i mroczne. Ów światłowstręt działa dokładnie tak jak wodowstręt. Oddaje się bez reszty szaleństwu i chodzi krok w krok tylko po to, żeby... kąsać!

Ustad, skończywszy swój długi wywód myślowy, zrobił przerwę. Było widać po nim, że nie oczekiwał od nas żadnych uwag. Chciałem uczynić kilka, ale nie miałem żadnego powodu, żeby robić to już w tej chwili. W stosunku do tego rodzaju zapatrywań trzeba mieć się na baczności. Są różnice poglądów, których nie da się natychmiast zniwelować, lecz dopiero wtedy, kiedy przyjdzie na to odpowiedni czas. A w tym wypadku czas zdawał się właśnie utwierdzać w nim gorzkie myśli. Po tej przerwie mówił dalej:

— Czy znałeś, efendi, takiego człowieka, Hadzi Halefa Omara, szejka Haddedińów z plemienia Szammar, który gotów był znieść razem ze swoim niemieckim sihdi wszystkie ziemskie i piekielne udręki i tysiąc, tysiąc razy za niego umrzeć?

Skinałem głową.

— Szczęśliwcz! Ja nie miałem ani jednego, ani jednego Halefa! Nigdy nie zaprzyjaźniłem się z nikim, kto choć trochę przypominałby twojego towarzysza! Chociaż, kiedy znajdowałem się w środku mojego słonecznego dnia, tak wielu mieniło się moimi przyjaciółmi! Nie chcieli nic ode mnie, niczego nie żądali, niczego nie domagali się, ale wszyscy, wszyscy, wszyscy kochali mnie tak szczerze, tak ufnie, tak od serca! Tylko jedno miałem im dać, poza tym nic, zupełnie nic; chcieli ofiary, ofiary i ciągle tylko ofiary! Zaniósłem im ją! Jakże ochoczo! Kochałem przecież ludzi, wszystkich, wszystkich! Byłem przekonany, że są wari mej miłości. Nie wiedziałem, iż mądrość polega na tym, że miłuje się nie pojedynczego człowieka samego w sobie, ale kocha w nim to co ludzkie. Swoich przyjaciół obdarzyłem jednak podwójną miłością! Wtedy nadszedł moment, kiedy zauważyłem, że moje słońce nie świeciło już wprost nade mną. Jakiż to przyniosło nieoczekiwany skutek! Również u moich przyjaciół i znajomych zaczęło się teraz tak wiele wykrzywiać! Krzywo myśleli o mnie, krzywo mówili o mnie, krzywo patrzyli na mnie! Słońce coraz bardziej chyliło się ku zachodowi, mój cień powiększał się, moi przyjaciele stawali się coraz bardziej wykrzywieni! Pod wieczór, kiedy słońce było już bardzo nisko, zmiany zachodziły szybciej; mój cień wypełniał już całą ścieżkę za mną aż do horyzontu, moi przyjaciele byli już wykrzywieni do tego stopnia, że w końcu musiało nastąpić to, co było nieuniknione: stracili równowagę; zaczęli się przewracać jeden po drugim, zupełnie tak jak runął mój wielki cień! Gdzie się przewracali? Oczywiście w tyle, za mną, jako moje cienie, cienie, cienie! Rzuciłem je do tyłu temu, który nadał sobie tytuł „ziemskiego boga”. Połknął je z prawdziwie wielorybią żarłocznością. Jego nicość nadymała się po zjedzeniu tych wielu tysięcy nicości w jedną tak niewyobrażalną nicość, że musiał stać się cieńszy, coraz cieńszy, aż w końcu stał się niemal niewidzialny! Musiałem mocno się wysilić, żeby jeszcze go rozpoznać; ultrawymiarowego. Wtedy odwróciłem oczy od tej zbliżającej się po cichu i nieuchronnie katastrofy cienia. Spojrzałem w górę. Słońce właśnie zniknęło. I wówczas nastąpiło to, co dzieje się codziennie, a czego do dzisiaj nie potrafimy jeszcze ogarnąć naszym rozumem. Zachód płonął złotym żarem. Wyrzucał z siebie w stronę nieba rozbłyskujące błyskawice. Skapałem wzrok w tej powodzi płomieni i zobaczyłem, że obsypują one iskrami góry. W tym momencie kiedy ta powódź odkryła przede mną coś tak tajemnego, ziemskie fantomy musiały zniknąć; zamieniły się w nicość. Mój również się rozplynał, a ja wyruszyłem na poszukiwanie „światła, które nie daje cienia”!

W chwili kiedy zaczął mówić jak poeta, powstał i mówił dalej na stojąco. W końcu wyszedł na balkon, zapewne po to żeby uspokoić kształty, które się w nim obudziły. Po chwili wszedł z powrotem, podszedł do mnie, przystanął i zapytał:

— Czy zrozumiałeś, kogo i co miałem na myśli, mówiąc o swoich cieniach?

— Tak — odparłem.

— A więc dzięki mnie nauczysz się widzieć swoje!

Siedziałem spokojnie. Nie odpowiadałem. Jednak uśmiechnąłem się do niego.

— Dlaczego nic nie mówisz? — spytał.

— Czy cienie są tego warte, żeby o nich mówić? — odrzekłem. Popatrzył na mnie ze zdumieniem, prawie że osłupiał. Ciągnąłem dalej:

— Jeżeli są niczym, jak twierdzisz, to dlaczego tyle o nich mówisz? Dla tych nicości, właśnie nic nie istnieje. Rozumiem, że jednak znaczą dla ciebie coś więcej aniżeli nic!

— Tak było kiedyś. Ale to minęło! — upierał się.

— Minęło? Naprawdę?

— Tak!

— Pomimo to myśl o nich drażni cię jeszcze dzisiaj tak bardzo, że musiałeś wyjść na balkon, by odzyskać spokój! Ustad, Ustad! Powiedziałeś: „I wyruszyłem na poszukiwanie światła, które nie daje cienia”! Czy odnalazłeś je?

Zrobił parę kroków do tyłu, opuścił nieco głowę, po czym dumnie uniósł ją do góry i zapytał:

— A ty odnalazłeś, efendi?

— Teraz nie mówimy o mnie, ale o tobie!

— Właśnie, że o tobie, o twoich cieniach! W każdym razie nie wiedziałeś, że miałeś ich kilka!

Teraz również ja się podniosłem.

— Przyjacielu — powiedziałem — mój biedny przyjacielu! Coś mi się zdaje, że brałeś życie całkiem na opak. Te nicości pasowały być może do ciebie, ale nie do pełnej treści rzeczywistości. Chciałeś panować nad nią, ale niestety sam rządzony byłeś przez nic nie znaczące cienie. Dlatego kiedy życie zaczęło toczyć z tobą swój turniej, stanąłeś przed nim bezsilny i zostałeś pokonany. Być może właśnie ty wezwałeś je na pojedynek. Wydawało ci się, że jesteś silnym duchem, i chciałeś walczyć przeciwko innym duchom. Czy wiesz, co wtedy robi życie, potwornie silne, mądre współczuciem życie?

Patrzył na mnie ze zdziwieniem, ale nic nie odpowiedział.

— Znało cię. Co by nastąpiło, gdyby traktowało poważnie twoje żądania? Nie przyszło mu w

ogóle do głowy, żeby stawać przed tobą w zbroi. Podsunęło ci jeden ze swoich cieni, które ty sam teraz nazywasz fantomami. Co zrobiłeś? Cisnąłeś nagle swoje życie, swojego ducha i całe uzbrojenie, rzuciłeś się do ucieczki w te góry, żeby ukryć się tutaj w grobie, w tym grobowcu twojej młodzieńczej odwagi, i to pod zmienionym imieniem! Przed kim? Może przed życiem, które cię nawet nie dotknęło? Nie, ukryłeś się przed tą nicością, która raz dla ciebie jest „ziemskim bogiem”, a kiedy indziej nic nie znaczącym urojeniem!

Mówiłem zupełnie poważnym tonem. Kiedy skończyłem, złapał się rękami za głowę, wzrok spuścił na dół, zwiesił ramiona, wykonał głęboki oddech i powiedział:

— Efendi, naprawdę nie żałowałeś mi! Usłyszałem i przekonałem się, że jesteś moim prawdziwym przyjacielem! Mój umysł nigdy nie był tak jasny jak teraz, dzięki tobie! Czy chcesz mnie unicestwić, żeby, kiedy się odmienię, podnieść mnie na duchu? Nuże, zabieraj się do dzieła! Pozwól jednak, że najpierw oswoję się z twoją jasnością! Zbyt szybko pojawiła się ona nade mną! Nic, a jednak „ziemski bóg”! Mówiłem o nich obu i miałem na myśli tę samą osobę. Czy może ona być i jednym, i drugim?

— Tak, może być. Ale proszę cię, nie myśl o konkretnych ludziach, nigdy, przenigdy! Za to abstrahuj! Rolnik wyrywa chwasty z ziemi i rzuca je na kompost. Później chemik uzyskuje z niego pełnowartościowe związki. Ja również znam tak zwanych „ziemskich bogów”. Nie myślę w tym momencie o naprawdę wielkich ludziach, ale o „bogach” gnuśności i braku samodzielnego sądu. Dla mnie są oni jak te rośliny:

Wygotuję dla siebie ich dusze, żeby uzyskanym w ten sposób napojem wzmocnić swoją duszę. Nie znam innych powodów ich egzystencji. Nie rosną nigdy w duchowym blasku słońca, lecz zawsze tylko tam, gdzie kraina cieni założyła jedną ze swoich prowincji. Tam są panem i mistrzem! Tam nie ma miejsca dla żadnej osobowości, żadnego pragnienia i żadnej woli. Małutkie cienie muszą przecież wszystkie wpaść do dużego, żeby przemykać się i skradać tak, jak on się skrada i przemyka. A kiedy ona raz otworzy paszczę, gdyż tam w promieniach słońca otworzyła usta prawdziwa egzystencja, spójrz tylko, co się wydarzy! Co tam było żywym tchnieniem ducha, tutaj jest ledwie oparem pozbawionej światła ciemnej ziemi, na której leży i pełza cień. — Mówię ogólnie, bo uduchowionych osób tutaj niema. Tak jak ja stawiam stopy na cienie innych, tak inni mogą zupełnie bez obaw stąpać po moim. Prawdziwego człowieka nie są w stanie zranić. Kto chciałby go ukarać postawieniem stopy, ten byłby głupcem, ponieważ tych cieni nie ima się w ogóle żaden ślad nogi! Dopóki ziemia się kręci, te karykatury będą się włóczyć pod stopami ludzkiego rozsądku i myślącego rozumu. Natomiast nie słyszałem jeszcze, żeby jakiś cień po stąpieniu na niego nogą przestał być cieniem i stał się człowiekiem. Dlatego nie pojmuję, Ustadzie, że twoje cienie usidliły cię tak bardzo i jeszcze dzisiaj zdają się nad tobą panować!

— Efendi, to były mitologiczne cienie, Furie! — wykrzyknął.

— Choćby były nimi dziesięć razy, choćby tysiąc razy! Kim są Furie? Naprawdę istnieją, czy żyją tylko w naszej wyobraźni? Jeśli żyją tylko w wyobraźni, to znaczy, że są one tworem mojej fantazji i mogę je zniszczyć, kiedy zechcę, gdzie zechcę i jak zechcę. Jeśli istnieją naprawdę, pytam się: Kto stoi wyżej, one czy ja? One, które żyją z moich błędów i grzechów, czy ja, który im je rzucam, żeby stać się czystym i dobrym? Która Furia odważy się rzucić na mnie z powodu jakiejś wady, skoro jej

nie mam, gdyż ona trzyma już ją w swoich szponach, żeby się nią tuczyć? Ona żyje z tego, co mi obrzydło. Stoi tak nieskończenie niżej ode mnie, że kiedy kości moich grzechów trzaskają, miażdżone jej drapieżnymi kłami, nie jestem nawet w stanie tego usłyszeć, czy zobaczyć.

— Ale inni to słyszą! — wtrącił.

— Kto? — zapytałem prędko i zarazem krótko. — Najwyżej tylko ci, którzy mieszkają tak samo nisko jak ona. Ci rzeczywiście będą radośnie szczerzyć zęby, że tak jak ona posilą się znowu padliną grzechów. Ale każdy śmiałek, który zdałby sobie z tego sprawę, musiałby przyznać, że wolisz żyć ze swoimi wadami, bo tak ci wygodnie. Musiałbyś mu udowodnić, że wcale nie bronisz swoich wad, ale że w milczeniu oddajesz je szponom Furii. Powiedz teraz, jak postąpiłeś?

Usiadł, zwiesił głowę, złożył ręce i odpowiedział:

— Efendi, broniłem się, broniłem się przed tymi Furiami, aż do utraty sił!

— No to nie dziw się, że do dzisiaj mają nad tobą władzę! Nie pozwoliłeś im wykonywać czystej roboty. Mówię ci: Te Eumenidy nie odpoczywają! Nie bez powodu są przedstawiane ze szponiastymi palcami, ustami, z których cieknie jad, i wyciągniętym językiem. Ich trucizna tak długo będzie kapać, a ich języki tak długo będą wywieszane, aż z twojego ciała i z twojej duszy nie zostanie wyrwana ta ostatnia, ostateczna reszta tego, co do ciebie nie należy!

Znowu szybko powstał, chwycił moje ramię i powiedział:

— Ile racji w tym, co mówisz! Zdaje się, że nieźle je poznałeś! Czy wiesz, co robi taka Furia? Nie możesz tego wiedzieć, nawet nie jesteś w stanie się domyślać! Będiesz uważał, że to niemożliwe, ale to jest absolutna prawda; możesz mi uwierzyć! Nawet kiedy Eumenida zjadła moje tak zwane jawne wady, nie była jeszcze syta. Zaczęła szukać ukrytych przewinień. Była na tyle nieostrożna, że pisała listy, w których pytała się, czy ktoś może jeszcze coś mi zarzucić. Przynoszono mi takie listy. Gdybym ich nie zobaczył i nie przeczytał, do dzisiaj prawdopodobnie bym uważał, że nie ma żadnych Furii. Widzisz więc, że nie są one tylko postaciami z mitologii, lecz istotami, które do dzisiaj żyją! Cienie, które bezgłośnie skradają się za moimi plecami, chcąc przechwycić nawet najbardziej ukryte przejawy mojego życia, a robią to dlatego, żeby pomimo ich ciemności uważano je za czyste, świetlane istoty!

— Czy wierzysz w to, co przed chwilą ci opowiedziałem, efendi? Nie czekał, aż odpowiem, i mówił dalej:

— Śmiałeś się i nawet teraz się jeszcze śmiejesz! I na dodatek tak jakoś dziwnie! Dlaczego? Sprawiasz, że zaczynam być podejrzliwy! Czy i ty, i ty, i ty miałbyś również...? Nie! W tym pobożnym chrześcijańskim kraju takie Furie nigdy nie mogłyby zaistnieć! Bo jeśli jedną by odkryto, całe chrześcijaństwo, całe duchowieństwo musiałoby poderwać się na swoim szczycie, żeby udowodnić z oburzeniem, iż ich religia miłości, łaski i przebaczenia nie może tolerować Eumenid! Wybacz mi! Wybacz mi w imieniu twojego chrześcijaństwa, że mogła mi przyjść do głowy taka myśl! Ku swojemu zdziwieniu dostrzegam, że cień, który jeszcze rzucam, pada, nawet na twój ukochany zachodni kraj!

— Uspokój się! — prosiłem go. — Król krainy cieni, o którym opowiadała twoja bajka, wszędzie ma swoich poddanych. Również u nas! Jeśli jednak któryś z jego cieni zapragnie pewnego razu zostać Furją, to potraktujemy go inaczej, aniżeli ty potraktowałeś swoje Eumenidy! Pozwolimy mu dokończyć jego smutną robotę. Nie będziemy mu przeszkadzać. Jego zajęcie jest już i tak dla niego czymś więcej aniżeli karą! Jesteśmy mu nawet wdzięczni za to, co robi, ale tylko oficjalnie, pomimo że działa w ukryciu. Widzisz, że nawet Furie znajdują u nas tylko miłość i zrozumienie! My chrześcijanie wiemy aż za dobrze: przyjdzie czas, kiedy znikną cienie. Co się z nimi wówczas stanie, tego wprawdzie nie wiemy, jednak święta księga mówi: „Ich dzieła przyjdą po nich!” A ja nie chciałbym mieć nigdy do czynienia z takimi dziełami. Muszę być pobłażliwy w stosunku do ludzi, nawet w stosunku do takich Furii, gdyż pragnę, żeby Bóg również był dla mnie łaskawy, kiedy stanę przed Jego sądem! Nagle odezwał się zupełnie innym tonem:

— Mówisz „my”. Czy jesteś o tym przekonany, efendi? Czy może obaj gramy komedię? Czy naprawdę wszyscy chrześcijanie myślą i postępują tak, jak mi chciałeś wmówić, kiedy powiedziałeś „my”?

— Komedię? — zapytałem. — Kto zaczął, ja czy ty?

— Jak to ja?

Teraz to on zaśmiał się, wymawiając te trzy słowa. Jego śmiech zdradził mi, że bardzo mu zależało, żebym go zrozumiał. Pomimo to dalej przypierałem go do muru.

— Jak wyraziłeś swoją prośbę o wybaczenie, Ustadzie?

— Dokładnie tak, jak chcesz; dokładnie tak, jak ty ją akcentujesz. Mówiąc te same słowa, można wyrażać wiarę albo zwątpienie, zaufanie lub nieufność, pochwałę albo naganę. Wszystko zależy od intonacji i od woli tego, do którego się mówi. Nie jesteś dzieckiem. Wiem, że rozmawiając z tobą, nie potrzebuję wyraźnie intonować słów, jeśli w samych słowach jestem jednoznaczny. Poczuliś się ogromnie zaskoczony, gdybym ci powiedział, kim i czym były moje cienie i moje Furie. Na razie nie myśl o jakiejś konkretnej krainie! Sam rób to, co mi doradzałeś: Abstrahuj! O tym będę mówić dopiero później. Dzisiaj chcę powiedzieć ci tylko jedno. Dotyczy to... jednak nie! Nie jesteś jeszcze przygotowany! Wszystko przyjdzie w swoim czasie, tak jak przyjść powinno, ale tylko pozornie samo z siebie. Rozwój, który dokonuje się skokami, nie jest rozwojem. Proszę, powróćmy wreszcie do listu Multasima!

Przed chwilą go odłożył. Wziął go teraz znów do ręki, żeby tym razem obejrzeć tylną stronę.

— Zwykła pieczęć! — zawyrokował. — W laku odcisnięto złoty tuman. Może to zrobić każdy, kto posiada złotą monetę, nie ma to więc dla nas żadnego znaczenia.

— Nieprawda — powiedziałem. — W takich sprawach nawet najmniejszy drobiazg może się okazać cenny. Dlatego staram się niczego nie lekceważyć, nawet jeśli coś pozornie nic nie znaczy.

— Myślisz, że ten odcisk tumana może naprowadzić nas na ślad?

— Nie tylko może, ale on już nas naprowadził.

— Taaak?

— Tak. Pomyśl o pierścieniach! Są srebrne i złote. Droższy kruszec oznacza wyższą rangę. Czy nie należy zatem podejrzewać, że ma to jakiś związek z odciskiem tumanu?

— Rzeczywiście, jest to możliwe. Nie pomyślałem o tym!

— Im wyższa ranga piszącego, tym cenniejsza złota moneta, którą się posługuje. I dalej! Dlaczego nie używa się pieczęci, tylko monety?

— Pieczęć czasem mogłaby zdradzić piszącego, natomiast moneta nie.

— Całkiem słusznie! Należy z tego wyciągnąć wniosek, że pisanie takich listów jest niebezpieczne nawet dla piszącego, w razie gdyby list dostał się w niepowołane ręce. Tuman to najcenniejsza moneta. Autor tego listu posiada więc wysoką rangę. Tuman poza tym jest perską monetą. List natomiast został nadany na południu w Arabii Irackiej, gdzie w obiegu jest turecki złoty pieniądz. Jaki wniosek należy z tego wyciągnąć?

— Że nadawca jest Persem; i że nosi przy sobie złoty tuman. Czy tak?

— Tak, masz rację. Zobacz, jak i ty teraz sprawnie myślisz! Na początku wydawało ci się, że tuman jest nieistotny, a zobacz jak wiele dzięki niemu się dowiedziałeś!

— Na razie wiem, że nic nie wiem! Tuman jest tylko tumanem. Nie każdy kto ma taki złoty pieniądz, jest od razu autorem tego listu!

— Tak, to prawda. Ale czyż ten, przy którym się go znajdzie, nie jest niemal na pewno tym ważnym Sillem, który wysłał list.

— Zaiste! Ale skąd będzie wiadomo, że jest to właśnie ten tuman, którym została wykonana pieczęć, a nie jakiś inny?

— Sam tuman nam to zdradzi.

— Jak to?

— Obejrzyj dokładnie pieczęć, a zapewne sam znajdziesz odpowiedź!

Zrobił, tak jak powiedziałem, ale zdaje się, że niczego nie dostrzegł.

— Nie widzę niczego szczególnego na tym odcisku — rzekł po chwili.

— Spójrz poza brzeg złotej monety — poinstruowałem. — Co tam widzisz?

— Lak jest gruby, a odcisk głęboki. Na brzegach również są jakieś nadruki, drobne, chyba

przypadkowe.

— Nie, nie przypadkowe. Przypatrz im się dokładnie i nie oglądaj każdego z osobna, ale wyobraź je sobie razem! Tuman wisi na cienkim łańcuszku, którego ogniwa składają się z liter Sa– i Lam–. A że do pieczęci użyto dużo laku, kilka tych ogniw odcisnęło się. Skoro tyle ci powiedziałem, powinieneś teraz rozpoznać litery, o których wspomniałem.

— Rzeczywiście, rzeczywiście — przytaknął. — Teraz ja również wiem i widzę to co ty. Tuman wisi na łańcuszku, czyli nosi się go tak, żeby zawsze był pod ręką. Ale gdzie?

— Poszukaj! Odpowiedź jest już blisko.

— Gdzie mam jej szukać?

— Tam, w liście.

— Nic nie widzę!

— Powiem więc ci, żebyś później sam mógł się o tym przekonać. Tuman zawieszony jest na uszku u sakiewki. Jeden koniec łańcuszka przymocowany jest właśnie do tego uszka. Złota moneta przez cały czas znajduje się w sakiewce. Kiedy właściciel otworzy ją, odciągając uszko, wyciągnie jednocześnie tumana. W ten sposób nie potrzebuje szukać go wśród innych złotych monet i nie może go przez pomyłkę wydać ani nawet zgubić, chyba że straci samą kieskę.

— Efendi, jesteś wszechwiedzący? Ja nie mogę dostrzec tego, o czym mówisz!

— Przecież to od razu widać! Ile pieczęci ma list?

— Pięć.

— Opieczętowano go od dołu z prawej strony do góry po lewej stronie. Lak jest wysokiej jakości i jednocześnie miękki. Nie stwardniał od razu. Długość łańcuszka przekracza szerokość listu. Kiedy nadawca zrobił u góry po lewej stronie ostatnią pieczęć, sakiewka oparła się w poprzek na trzech pierwszych pieczęciach. Wciskając palcem tuman w laku góry, nacisnął, oczywiście niechcący, dłonią na mieszek. Trzy pieczęcie nie zdążyły jeszcze wystygnać i stwardnieć, co spowodowało, że powstały łatwo dostrzegalne ślady drobnych oczek woreczka na pieniądze i dolnej części uszka. Nie możesz tylko patrzeć na położone głębiej odciski tumana, spójrz za to na wysokie, szerokie brzegi laku: zobaczysz wówczas to samo co ja.

Przyjrzał się dokładniej, później podał list Pedehrowi i powiedział:

— Obejrzyj go! Znalazłbyś coś, gdybyś nie słyszał tego, co powiedział efendi? Teraz całkiem wyraźnie można dostrzec oczka mieszka i również miejsce, gdzie odcisnęło się uszko. A myślałem, że uda mi się samemu je zauważyć!

— Mogłeś je zobaczyć, ale nie myślałeś w czasie oglądania! — wyjaśniłem. — Nie jest wcale tak łatwo, jak sobie może wyobrażacie, dostrzec te znaki cielesnym okiem, ale przy pomocy duchowego

oka, łańcuszek, sakiewkę i uszko od razu można zobaczyć. Po tym jak WyCiągnąłem wnioski i znalazłem rozwiązanie, nie jest wam trudno prześledzić mój tok myślenia i przyznać, że się nie myliłem. Twoje życzenie, Ustadzie, zostało więc spełnione. Wiesz, gdzie nosi się tuman.

— Tak. — Zaśmiał się. — Jeśli zobaczę człowieka, posiadającego perski złoty tuman zawieszony w sakiewce na łańcuszku Sa- i Lam-, to znaczy, że zdemaskowałem autora listu! Mój drogi efendi, bądź tak dobry i przyprowadź go tak szybko i niezawodnie, jak prędko nauczyłeś nas rozszyfrowywać tę pieczęć. Czy potrafisz czynić cuda?

— Nie. Cuda nie istnieją, trzeba działać samemu. Kto potrafi myśleć, we właściwym czasie i we właściwym miejscu, temu znacznie się lepiej powodzić, czym później zadziwi innych. Autor tego listu to Pers. Jesteśmy w Persji. Czy jest więc niemożliwością, żeby nas gdzieś, kiedyś spotkał? Trudność polega na tym, żebyśmy go zobaczyli, rozpoznali i szybko schwytali! To jest właśnie nasze zadanie na przyszłość! Czy nam się powiedzie?

— Mam nadzieję! — odparł Ustad, ponownie biorąc pismo od Pedehra. — Ale nawet nie otworzyliśmy listu! Dlaczego?

— Ponieważ nie ja jestem adresatem. Zamknięte listy to rzecz dla mnie święta.

— Co z ciebie za mężczyzna! Czy cień przy tobie był może choć odrobinę święty? Miał cię przecież zamordować! A teraz nie masz odwagi otworzyć tego nędznego pisma, chociaż wiesz, że napisał go cień i niemal na pewno zawiera treści, które szkodzą dobremu, uczciwemu człowiekowi! Natychmiast go otworzę!

Chwycił go w swoje ręce tak, iż pomyślałem, że chce złamać pieczęć.

— Stój! — krzyknąłem do niego. — Nie w ten sposób!

— Myślisz, że powinienem go rozciąć?

— Też nie!

— No to jak inaczej? Dlaczego się sprzeciwiasz?

— Mamy powód, żeby zastawić pułapkę na samego autora, albo na Ghulama, do którego jest zaadresowany, a może nawet na nich obu.

— Chcąc się nim posłużyć, tak czy inaczej musimy go otworzyć i przeczytać!

— Ale ostrożnie! Bo co pocniemy, gdybyśmy otworzywszy list, uznali, że lepiej byłoby, gdyby cienie myślały, że go nie otwarliśmy?

— Maszallah! Uważasz, że jest to możliwe?

— Na pewno! Musimy go tak otworzyć, żebyśmy mogli go z powrotem zamknąć, tak jak teraz jest zamknięty.

— Kto mógłby to zrobić? Ja nie mam smykałki do takich rzeczy! Mówiąc to, podał mi list. Sprawdziłem go teraz jeszcze staranniej aniżeli za pierwszym razem. Byłem przekonany, że była tylko jedna kartka złożona na pół. Kiedy trzymałem go teraz pod światłem, potwierdziły się moje słowa; składał się z dwóch części, koperty i znajdującego się w niej właściwego pisma. Koperta była nietypowa. Nie miała czterech zagiętych rogów, stykających się na tylnej stronie; była po prostu papierem złożonym w ten sposób, że jedna jego krawędź przebiegała skośnie z tyłu, a środkowa pieczęć uniemożliwiała otwarcie. Pozostałe cztery pieczęcie wydawały się zupełnie niepotrzebne, chociaż należało przyjąć, że i one odgrywały pewną rolę.

Teraz chodziło więc tylko o to, żeby nie pozostawiając żadnego śladu, otworzyć środkową pieczęć. Kiedy im o tym powiedziałem, Pedehr poprosił mnie o list. Dostał go, również przytrzymał nad świecą, palcem wskazującym chwycił kopertę najpierw w prawym, później lewym rogu i śmiejąc się, powiedział:

— Gdzie uczeni na próżno łamią sobie głowę, tam niewykształcony chłopski rozum od razu znajduje prawidłowe rozwiązanie. Otwieram bez naruszania pieczęci!

Wyciągnął z jednej strony zagiętą do wewnątrz część koperty, wetknął do środka dwa palce i wydobył pismo. Ustada zaśmiał się, a ja mu zawtórowałem. Pedehr jednak rzekł z poważną miną:

— Jeszcze raz potwierdza się, że zły nie może polegać na złym. Jeśli niesprawiedliwy zapieczętuje swe zamiary nawet pięć razy, to i tak skutek jego własnej lekkomyślności i nieostrożności wyjdą one na jaw!

Otwarliśmy pismo. Byliśmy bardzo ciekawi, jaka była jego treść. Wszyscy trzej naraz się pochyliliśmy, żeby je przeczytać. Moja głowa prawie dotykała głowy Ustada. Ale już po chwili obaj się podnieśliśmy. Patrzeliśmy na siebie z zakłopotaniem.

— Potrafisz to przeczytać? — zapytał mnie.

— Nie — odparłem.

— Ja też nie! Znasz ten język?

— Nie.

— Tak samo jak ja! W ten sposób mogą porozumiewać się tylko całkiem dzikie stworzenia, ale przecież one nie potrafią pisać.

— To pismo teliq!

— Racja. To samo, o którym wcześniej...

Przerwał w pół słowa, podskoczył, wykonał gest przerażenia, po czym mówił dalej:

— Efendi, co za myśl przyszła mi do głowy! Gdyby tylko tak naprawdę było!

— Powiedz ją nam!

— Ten list napisał pewien Sill. Stwierdziłeś, że Multasim także jest Sillem i że to on jest adresatem. Znaleźliśmy wcześniej przy nim alfabet teliq — Czyżby miał on coś wspólnego z tym listem?

Ta myśl wprawdzie frapowała, ale była całkiem naturalna. Wzięliśmy mały zeszytek, otworzyliśmy go i zaczęliśmy porównywać. Jakaż była nasza radość, kiedy już przy pierwszych literach okazało się, że przypuszczenia Ustada były trafne! Zeszytek był doskonałym kluczem do czytania korespondencji, którą właśnie otwarliśmy. Wystarczyło podstawiać litery z zeszytku na miejsce liter z listu.

Ustad przyniósł dwie kartki papieru, jedną dla siebie i drugą dla mnie. Potem usiedliśmy, żeby zamienić zaszyfrowane litery na zrozumiałe dla nas słowa. Na koniec stwierdziliśmy, że między naszymi zapisami nie było najmniejszej różnicy.

Po odszyfrowaniu poszczególnych słów w liście poznaliśmy całą jego treść. Dla nie wtajemniczonego nawet po złamaniu kodu pozostałby zagadką. Ale pomimo że tak słabo znaliśmy sylaby, wystarczyło to nam, by zrozumieć, co jest w nim napisane. List brzmiał następująco:

Do Ghulama el Multasima, mojego kata!

Nadeszła pora, żeby ghul–i– sziraz zakwitnęła na piersi Rafadza Azrima. Ma to nastąpić piątego dnia miesiąca szaban, w czasie wieczornej modlitwy, ani godziny wcześniej, ani później. Nie musisz go szukać. Przyprowadzą go tobie tam gdzie zawsze. Wiesz, że wprawdzie jestem niewidzialny, ale wszechmocny i wszechobecny! Nie zakwitnie ona jemu, to z pewnością zakwitnie tobie!

Emir– i–Sillan

— Ależ ważnego odkrycia dokonaliśmy! — wykrzyknął Ustad, kiedy głośno odczytano owe słowa.
— Gdyby tak dowiedzieć się, kim jest ten Emir–i–Sillan!

— Nie mierz od razu tak wysoko! — nalegałem.

— Co masz na myśli? — zapytał.

— Pozwól, że zanim się tym zajmiemy, najpierw spojrzymy na list duchowym okiem! Treść dla nas zrozumiała, ale nie wiemy, co się za nią kryje. Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, musimy wkroczyć na drogę namysłu. Najwyższym spośród cieni możemy zająć się dopiero na końcu tej drogi. Ty zaś chcesz przeskoczyć ją całą, żeby natychmiast go odnaleźć, i tym samym robisz salto mortale w niepewność. Nie zachowuj się jak amator!

Zaśmiał się zadowolony, co przy jego podeszłym wieku czyniło go nieskończenie wzruszającym, i wyznał swą gorącą prośbę:

— Prowadź mnie spacerowym krokiem po tej twojej drodze, trzymając mnie za rękę, jak godzi się prowadzić słabego starca, którym jestem!

— Tak, chodź i trzymaj się mnie! Chcemy odnaleźć potężnego, dla którego mordowanie i wążanie róży znaczą tyle samo, ponieważ w nim, śmierdzącym już z daleka intelektualnym nawozem, ucieleśnia się bunt przeciwko świętemu porządkowi życia.

— Może jego również odnajdziemy?

— Jeśli nie dzisiaj, to prawdopodobnie jutro. Nie musimy się spieszyć, mamy czas, nic nas nie pogania! Zaczniemy więc od początku, całkiem od początku, tam gdzie zaczyna się nasza wiedza o cieniach!

— A więc byłoby to w tej zatoce Tygrysa, gdzie przybyli do nas pierwsi Sillanowie?

— Tak. Jakiej byli narodowości?

— Perskiej.

— W porządku! Zapamiętaj to sobie! Jaki tytuł nosił ich przywódca?

— Peder-i-Baharat, ojciec przypraw. Żalił się, że uważano go tylko za Silla-i-Safarana, czyli za cień szafranu. To również był tytuł.

— Proszę, zapamiętaj go także, dopóki do niego nie wrócę! Jaki miał pierścień?

— Złoty. Sprawował więc wysoki urząd.

— Na którego Silla natrafiliśmy później?

— Na żebraka, który przybył do was na tratwie razem ze swoją żoną.

— Był Persem?

— Nie. Nosił srebrny pierścień, był więc zwykłym Sillem.

— Dalej? Kto był następny?

— Ssefir. Był Persem i miał złoty pierścień.

— Mów dalej, proszę!

— Ghulam el Multasim ze złotym pierścieniem i Ahriman mirza, który nosił jeszcze wyższe oznaczenie, obaj byli Persami.

— Zapomniałeś o przemytnikach, których wzięliśmy do niewoli koło Birs Nimrud. Jak uważasz, byli Persami?

— Nie. Zaznali łaski, stając się tureckimi celnikami. Gdyby byli poddanymi perskimi, nie byłoby to możliwe. Dlaczego pytasz o narodowość?

— Ponieważ tędy prowadzi droga, po której teraz razem kroczymy. Ważniejsi Sillanowie byli Persami, ci mniej ważni nie. Szukasz Emira–i–Sillana. Skoro wszyscy Sillanowie wyższej rangi pochodzą z Persji, gdzie ukrywa się najważniejszy z nich?

— Naturalnie także w Persji! Byłbym prawie tego pewien, gdyby nie jeden fakt, który obala takie założenie.

— Domyślam się, co chodzi ci po głowie.

— No co?

— Że list został nadany w Korna, a więc kawał drogi stąd, na terenie Turcji.

— Otóż to, efendi. Z tego wynika, że autor listu albo mieszka na południu w osmańskiej Arabii Irackiej, albo zatrzymał się tam akurat wtedy, kiedy go pisał. Widzisz, że ja także potrafię myśleć, krocząc po naszej drodze!

— Oczywiście! Ale nie robi się tego z zamkniętymi oczami!

— Słuchaj, ja uważam, że mam je cały czas otwarte! A może nie?

— Nie. Gdyby tak było, musiałbyś zobaczyć Ssefira!

— Ssefira? Widzę go, nawet zupełnie wyraźnie. Przebywa w ruinach Babilonu razem z Esarem el A'warem, któremu przekazano list i obaj nie mają nic do roboty w Korna.

— Tym bardziej oznacza to, że odgrywa ważną rolę w sprawie, którą chcemy rozwikłać. Powiedz mi, Ustadzie, co kryje się pod imieniem Ssefir!

— Zaufany człowiek, którego wysyła się na ważne zadanie.

— Właśnie tak! Kto wysłał tego Ssefira?

— Oczywiście Emir–i–Sillan.

— Dokąd?

— Na południe, do Babilonu.

— A więc do Iraku, czyli tam, gdzie leży Korna i gdzie nadano list. Ten list otrzymałem w Basrze. Tam nie wiadomo jak długo leżał u gospodarza kawiarni. Z Korny wyszedł również nie tak szybko. Teraz proszę, żebyś sprawdził! Znasz nasze przygody. Pytam cię: kiedy Ssefir zjawił się w Babilonie? Porównaj teraz z tym czasem, w którym list został nadany. Co wówczas stwierdzisz?

— Że oba czasy się pokrywają, są identyczne! Efendi, zdaje się, że masz oczy szerzej otwarte aniżeli ja!

— Czekaj no, jeszcze nie skończyłem. Widzę znacznie więcej! Kiedy wspomniano po raz pierwszy o Ssefirze?

— Przy wzięciu do niewoli starego, polskiego bimbaszi w ruinach. Już wtedy się pojawił.

— Całkiem słusznie! Zatem było to już wiele lat temu i również w Iraku. Znał tamtejszych Sillanów. Musiał znać więc także Esara el A'wara, któremu przekazano list. I teraz dochodzimy do najważniejszego punktu. Czy wysłała się list tam, gdzie się jest samemu?

— Nie, nie na pewno nie!

— Czy należy zatem przyjąć, że Emir-i-Sillan był w Iraku w tym czasie, kiedy jego przedstawiciel tam się znalazł?

— Nie do wiary!

— W dodatku jego pobyt wiązał się z bardzo ważnymi wydarzeniami. Zniszczenie karawany szambelana dworu, przekupienie Sandzakiego z Hille i jeszcze parę innych spraw jawi mi się teraz w całkiem innym świetle. Później jeszcze do nich wrócę. W każdym razie wszystkie one były tak ważne, że Emir-i-Sillan na pewno zjawiłby się osobiście, gdyby w owym czasie przebywał w tej okolicy. Te i jeszcze inne powody przekonały mnie zupełnie, że to nie on nadał list w Korna. Dużo bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że wysłał go Ssefir.

— Jeżeli tłumaczysz to w ten sposób, muszę przyznać ci rację. Ale Ghulam kat, który miał otrzymać list, był jednak w Persji. Dlaczego list nie został wysłany bezpośrednio do niego? Dlaczego musiał przebyć tak daleką drogę poza granice kraju? Nie pojmuję tego.

— Tak. Myślę, że znam przyczynę.

— Jestem jej ogromnie ciekaw.

— Brzmi ona: Uwaga! Emir-i-Sillan musi się ukrywać. Otacza się głęboką tajemnicą. Dba o to jego straż przyboczna. Słyszałeś jednak o tym, że Peder-i-Baharat planował przeciwko niemu bunt; mówił jeszcze o innych, którzy mieli identyczne zakusy. „Największy z cieni” musi więc mieć się na baczności nie tylko przed oficjalnym wymiarem sprawiedliwości, ale nawet przed swoimi ludźmi. Nikomu nie wolno zdradzić, kim właściwie jest. Wiemy, że kiedy przychodzi w „poniedziałek żołdu” na zebranie swoich tak zwanych Pederanów, cały czas ma na sobie kolczugę. Im większą władzę powierza jednemu ze swoich podwładnych, tym bardziej musi się go później bać. A kogo z nich boi się najbardziej?

— Nie wiem!

— Nie? Przecież to takie proste! Siła jest w rękach nie tego, który posiada władzę, lecz tego, który realizuje program władcy. Zaś władza nad życiem i śmiercią jest najwyższa. Nie znasz tego, który

tutaj pełni rolę egzekutora zarządzeń władcy?

— Maszallah! Teraz wiem! Ghulam el Multasim, on jest przecież katem! Efendi, myślisz, że jego boi się najbardziej?

— Na pewno! Emir–i–Sillan nikogo nie musi tak się strzec jak swojego kata, bo to on jest krwawym cieniem jego własnych zbrodni. Musi nieustannie i tak starannie kryć się przed nim, żeby mu nawet przez myśl nie przeszło, kim jest „książę” i gdzie przebywa. Musi bez przerwy i dokładnie go obserwować, żeby na bieżąco mieć informację o jego zamysłach. Pisze więc mu w liście: „Wiesz, że jestem wprawdzie niewidzialny, ale także wszechmocny i wszechobecny!”. Czyli niemal zawsze znajduje się w pobliżu kata, częściowo przez ostrożność, a częściowo dlatego, by go ciągle mieć pod ręką do egzekwowania swoich rozkazów i żeby móc go przy tym kontrolować. Kto więc chce odnaleźć „księcia cieni”, musi szukać go u Ghulama el Multasima. Pedehr klasnął głośno w dłonie i zawołał:

— Efendi, chociaż siedziałem do tej pory cicho, to jednak również podążałem waszą drogą. Aż trudno wprost uwierzyć, że potrafisz wszystko dostrzec i wyciągnąć wnioski! A kiedy później weźmie się do rąk i dokładnie obejrzy to, co zobaczyłeś, chciałoby się niemal sobie wyrzucać, że było się tak ślepym. Teraz jednak mnie także do głowy przyszło parę myśli, którymi chciałbym się z tobą podzielić. Pozwolisz?

— O pozwoleniu nie może być mowy, nie pozwalam, ale proszę cię — odparłem.

— Zapomnieliście wcześniej o niektórych Sillanach. Chodzi mi o dwóch mężczyzn w Khan Skenderijeh, tam gdzie poiliście wasze konie. Obaj mówili o zbliżającej się karawanie szambelana. Nie byli Persami i nosili tylko srebrne pierścienie: to także świadczy o tym, że ważniejsi Sillanowie przebywają tylko tutaj, w Persji. Ale mam na to jeszcze jeden, pewniejszy dowód. Mianowicie Peder–i–Baharat wspomniał o pewnej synagodze, w której wszyscy ważniejsi Sillanowie zbierają się w poniedziałek. Gdyby ta synagoga znajdowała się tam, gdzie mówi się po arabsku albo po turecku, na pewno by ją nazwał sinawon chawra albo jehudi chawrasy. Ale że ją określił jako mejme–i–yehud, należy sądzić, że znajduje się tutaj w Persji. Tak samo przypuszczam, że Pederanie nie mogą mieć swojej siedziby daleko od siebie, bo w przeciwnym razie nie byłiby w stanie regularnie pojawiać się w dniu zebrania. Zgadzasz się ze mną?

— Tak. Właśnie na to z paru szczególnych powodów chciałem zwrócić waszą uwagę.

— A teraz przyprawy — kontynuował Pedehr. — Właśnie one przyszły mi na myśl. Sillanowie mówili o jakimś „ojcu przypraw”, o jakimś „cieniu szafranu”. Wymieniono także saflora*. Peder–i–Baharat powiedział: „Dlaczego jako ojciec przypraw otrzymałem tylko tytuł szafranu? Czy muszę to wszystko znosić?” Zdaje się, że obowiązki i powinności każdego Pedera są określone zapachem przyprawy i że Peder–i–Baharat musi czuwać nad wypełnieniem tych obowiązków, i jest za to lepiej opłacany aniżeli inni. Jeśli pozwolisz, efendi, przejdę wśród tych „przyjemnych zapachów” do „zapachu róży”.

— Przechodź! — odpowiedziałem zdecydowanie. — Jesteś na właściwej drodze.

Pedehr mówił dalej:

— To, co robią Sillanowie, jest grzechem, przestępstwem. Zaczynają od szmuglowania, które w ich pojęciu jest niemal czymś normalnym, aż przechodzą do mordowania, najcięższego spośród wszystkich karalnych czynów. Pomiedzy tymi dwoma przestępstwami jest na pewno cały szereg występków i zbrodni, którym przypisuje się określony zapach. Nieprawda?

— Wszystko prawda! — Skinąłem głową. — Nie ma chyba ani jednego Silla, o którym można by powiedzieć, że „ładnie pachnie”! Mów dalej!

— Zapach róży oznacza morderstwo. Wiemy to stąd, że dzisiaj miała być otwarta twoja róża. Zapach szafranu wydaje się oznaczać szmuglowanie. Czy mam rację, mówiąc, że list do Multasima zawiera rozkaz zamordowania jakiegoś człowieka?

— Tak.

— Należałoby się jednak zastanowić, dlaczego nie mówi się o zwykłej róży, ale o wspaniałej gul-i-sziras!

— Ja nie muszę się nad tym zastanawiać. Dla mnie sprawa jest jasna; to stopniowanie.

— Stopniowanie morderstwa? Czy jeżeli kogoś zabijam, to mogę to jeszcze stopniować?

— O czym innym myślałem. Zapach zwykłej róży oznacza zamordowanie zwykłego człowieka. Kto więc jest celem mordercy, jeśli wyznacza mu się najpiękniejszą z wszystkich róż?

— Ach, więc to jest klucz do zagadki? Nie chodzi tu o zwykłą osobę, ale prawdopodobnie o kogoś bardzo wysoko postawionego!

— Tak myślę. Wspominając o przyprawach, przerwałeś nasz tok myślenia. Doszliśmy do przekonania, że Emira-i-Sillana trzeba szukać w pobliżu Multasima. Emir mu nie ufa. Nie chce, aby jego kat wiedział, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę, żeby go zniszczyć. Wręcz przeciwnie, chce wzbudzić w nim przekonanie, że przebywa daleko od niego, może nawet aż na granicy perskiej. Dlatego kazał Ssefirowi dostarczyć ten list na południe do Arabii Irackiej, skąd miał trafić znów do Persji, do rąk Multasima.

— Wprawdzie wydaje się to zupełnie logiczne, mnie jednak nachodzą pewne wątpliwości! — włączył się Ustad.

— Jakie? — zapytałem.

— Nie domyślasz się?

— Ależ tak! Jeśli mój pogląd ma być słuszny, to informacja o miejscu nadania listu musiała dotrzeć do Multasima.

— Tak! Ja też tak myślę. Ale nic o tym się nie wspomina w liście!

— Przyjrzyjmy mu się dokładnie. Może coś znajdziemy. Gdyby tylko nadal były te same znaki co poprzednio. Nazwiska oczywiście nie może być, bo zdradziliby się w ten sposób.

Obejrzelismy list z obu stron, ale niczego nie zobaczyliśmy, nawet kiedy trzymaliśmy list pod światło. Zabralismy się więc za kopertę. Do tej pory oglądaliśmy ją tylko od zewnątrz. Kiedy teraz zbadalismy jej wnętrze, okazało się, że na samym skraju napisano przy pomocy cienkiego pióra kilka słów mikroskopijnej wielkości, które miały ująć uwagę każdemu, kto nie był wtajemniczony. Ich treść brzmiała następująco: „Od Emira przez Darczina w Kornie”. Darczin oznacza po persku cynamon.

— No i co? — zapytałem ucieszony tym odkryciem.

— Tak. Wszystko, co powiedziałaś, zdaje się potwierdzać — odparł Ustad. — Nie przypuszczałem, że spacerując po takiej drodze, na której niemalże nic nie widać, można będzie zebrać tak piękne i tak ważne kwiaty. W każdym razie Sillanowie mają dokładną instrukcję, gdzie i jak zamieszczać takie informacje. Ale przed nami jeszcze najważniejsza sprawa: Kim jest ten, który ma być zamordowany?

— Mam nadzieję, że również do tego dojdziemy.

— To chyba niemożliwe!

— Wcale tak nie uważam. Wiemy przynajmniej, że chodzi tu o jakiegoś wysoko postawionego człowieka. Ciebie na dworze znają. Toteż powinieneś znać imiona wszystkich wybitnych perskich mężów.

— To prawda. Ale o Rafadżu Azrimie nie słyszałem. To imię brzmi, jakby było arabskie albo perskie, ale nie przypominam sobie, żebym znał mężczyznę, który by je nosił.

— A może tak się nie nazywa, ale jakoś inaczej. Pedehr wpadł mu w słowo:

— Na kopercie wymieniony był przecież Darczin, a nie Esara el A'war!

— Ale Rafadż Azrim nie oznacza żadnej przyprawy! — odrzekł Ustad.

— Może alfabet by nam coś pomógł?

Spróbowaliśmy, ale na nic się to zdało. W tym momencie wyraz twarzy Ustada nagle się odmienił, jakby przez głowę przemknęła mu niespodziewanie jakaś myśl. Wziął list w obie ręce, przeczytał i w chwilę później wrzasnął:

— Mam! Jakie to proste; ale niestety straszne!

— No, o kogo więc chodzi? — zapytałem zaniepokojony.

— Przeczytaj sam! Przeczytaj imię od tyłu! Takie proste! Jak mogliśmy na to nie wpaść!

Chciał mi podać list, ale go nie wziąłem, gdyż stało się dla mnie jasne, że jeśli Rafadz Azrim przeczyta się od tyłu, to wyjdzie mirza Dżafar.

Spojrzeliliśmy na siebie w trójkę nie tyle zdziwieni, co do głębi poruszeni.

— Czy to nie jest czasem mirza Dżafar, mój znajomy? — zapytałem.

— No przecież! — Ustad był już pewien.

— Ale on nie jest księciem!

— Właśnie, że jest! Tylko kiedy odbywał swoją wielką długoletnią podróż naukową, wstawił mirzę przed swoim imieniem*, a nie za. Myślał, że uda mu się w ten sposób uniknąć rozgłosu. Podróżował w imieniu szachinszacha, a o tym nikt nie mógł wiedzieć.

— Kim jest teraz?

— Nie ma jakiejś szczególnej funkcji. Zrezygnował ze wszystkich zaszczytów i godności. Nie chciał zadawać się z bogatymi, którzy podają się za poddanych władcy, a tak naprawdę są jego wrogami. Poświęcił za to szachinszachowi całe swoje życie i wszystkie swoje siły, i zawsze jest obecny tam, gdzie trzeba przekonywać lud o tym, że jego pan rządzi dobrze i sprawiedliwie.

— A więc jeżeli Ahriman mirza go zna, musi go bardzo nienawidzić!

— Oczywiście, że go zna! Są względem siebie jak ogień i lód, jak światło i ciemność, jak miłość i nienawiść, jak cnota i zbrodnia.

— Gdzie się teraz znajduje Dżafar mirza?

— Nie wiem. Niedawno był w Teheranie u szacha. Szach teraz jest w Isfahanie. Może Dżafar mirza też tam przebywa. Powiem ci tylko jedno: On jest moim przyjacielem! To wystarczy! Muszę go ostrzec! Natychmiast ostrzec!

Położyłem mu rękę na ramieniu i powiedziałem:

— Nie! Nie będziesz go ostrzegać!

— Czy dobrze słyszę? Żądaj ode mnie, czego chcesz, tylko nie tego!

— Żądam tego!

Cofnął się kilka kroków, spojrzał mi prosto w twarz niepewnym, niemal gniewnym wzrokiem i zapytał:

— Efendi, czy mam pogniewać się na ciebie?

— A gniewaj się! Tylko nie bądź nierozważny!

— Nierozważny! Co tu jest do rozważania? Jest tylko jedna decyzja, jeden jedyny obowiązek: muszę ratować swojego przyjaciela!

— Oczywiście!

— Nie ostrzegając go?

— Tak. Bo jeżeli go ostrzeżesz, to pewnie teraz go uratujesz, ale za to później zginie!

— Udowodnij!

Potrząsnąłem z ubolewaniem głową i odrzekłem:

— Z twoich własnych ust słyszałem, że mnie kochasz i czujesz, iż stanowimy jedno. Mówiłeś to, kiedy groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Odparłem ci, że gdy duchy się całują, to zaczyna w nich bić jeden puls. A teraz? Czy naprawdę to była miłość? Pocałunek duchów? Nie minęła godzina, a między nas wdziera się jakiś inny człowiek. Znika jedność i zwykła życiowa rozterka nas rozdziela! Oczekujesz ode mnie dowodów? Nie potrafisz zaufać. Dopiero co szedłeś na „spacer”, trzymając mnie za rękę. Pokazałem ci, że potrafię patrzeć o wiele uważniej, o wiele dalej od ciebie. A tu nagle pojawił się obraz z minionych dni. Wyszedł do nas z twojego „grobu”. To jest cień, który kiedyś tobą rządził. Potrafisz go przegonić? Tak? No, spróbuj!

Stał przede mną ze spuszczoną głową i nic nie odpowiedział. Wówczas odezwał się Pedehr, chcąc mnie udobruchać:

— Nie gniewaj się, efendi! Ufamy ci! Jeżeli chcesz, nie ostrzeżemy Dżafara mirzy! Masz swoje powody!

— Tak, to prawda. Mam powody i zaraz je wam wyjaśnię. Kiedy mają odbyć się zawody jeździeckie, Pedehr?

— Piątego dnia szabanu — odparł.

— Kiedy ma być zamordowany Dżafar mirza?

— Piątego dnia miesiąca sza...

Doszedł tylko do tej sylaby. W tej samej chwili przerwał mu zdumiony Ustad:

— Maszallah! To... to w tym samym dniu!

— Czy zauważasz coś, Ustadzie? — zapytałem go.

— Nie! — przyznał.

— Jeszcze nic? Jego krew ma poleć się tutaj u nas!

— Efendi — zerwał się.

— Efendi! — krzyknął również przerażony Pedehr.

— Proszę was, nie wpadajcie w przerażenie! — mówiłem dalej. Wcześniej nie było o tym wiadomo. Kiedy Emir-i-Sillan rozkazał, że Dżafar mirza ma umrzeć piątego dnia miesiąca szaban, nie wiedział jeszcze, iż spędzi ten dzień tutaj u nas.

— Tutaj u nas... tutaj u nas? — zapytali obaj jednym głosem.

— Tak, tutaj w duarze Dżamikunów!

— Emir-i-Sillan?! — zawołał Ustad.

— On sam? — zawtórował Pedehr.

— Sam we własnej osobie! — potwierdziłem. — Przybędzie ze swoim katem.

— Przecież kat jest tutaj! Już go złapaliśmy! — wtrącił Ustad. — Czy zapomniałeś, że Multasim jest katem? Naszym jeńcem, któremu pewnie tak dasz się we znaki, że już więcej nie będzie śmiał się tu pokazywać.

— Dać się we znaki. To byłoby największym błędem, jaki mógłbym popełnić jako wasz przyjaciel! Jeżeli dzisiaj czy jutro rzuciłbym się na niego, to pojutrze umknąłby wam największy władca „cieni”. Wrogów musimy zwalczać, ale nie potrzebujemy przysparzać sobie nowych.

— Czy wypuścisz go na wolność? — zapytał Pedehr.

— Tak — przyznałem.

— Wypuścić kata, który ma zamordować Dżafara mirzę! Zastanów się, efendi! — wykrzyknął ostrzegawczo.

— Zastanowiłem się!

— Zapomniałeś o jednym — odezwał się, uspokajającym tonem Ustad do Pedehra. — Multasim nie dostał listu. W ogóle więc nie wie, czego żąda od niego Emir-i-Sillan, i dlatego nie może spełnić jego polecenia.

— Mylisz się! — wtrąciłem. — Multasim otrzymał ten list.

— Od kogo?

— Od nas. Chociaż nie wprost.

Zamurowało ich obu. Podniosłem palec, upominając ich po przyjacielsku, i przemówiłem:

— Pedehr, Pedehr! Dopiero co przyznałeś mi rację, a teraz patrzysz na mnie, jakbyś zupełnie zapomniał o tym, że mam swoje powody! Czytaliście ze mną prawie cały list i oczy wam się jeszcze nie otwały. Widziałem, jakie przerażenie wzbudziła w was myśl, że Emir–i–Sillan mógłby się tu zjawić. Pytam się, dlaczego? Bo przecież on już tutaj był!

— Kiedy? — zapytał Ustad niedowierzającym tonem.

— Być może już wiele razy, po kryjomu. Dzisiaj jednak całkiem jawnie.

— Dzisiaj...? Kiedy? Gdzie? Jak?

— Razem z Persami. Jest przecież Persem!

— Efendi, naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć!

— Nie mów nic, tylko szukaj!

— Gdzie?

— Tutaj, w tym liście i w tych słowach, które zostały do nas skierowane. Trzeba uczyć się patrzeć i słuchać nie tylko przy pomocy ciała, ale również przy pomocy ducha.

— Ja nic nie widzę i nie słyszę!

— Myślę właśnie o tonie, w jakim utrzymany jest ten list i zawarte w nim słowa. Powinieneś posłuchać go jeszcze raz. Jestem przekonany, że od razu powiesz mi, kim jest Emir–i–Sillan!

Wziąłem list do lewej ręki i podniosłem wysoko. Przeczytałem go w zamierzony sposób, przy czym prawą ręką naśladowałem zaobserwowane dzisiaj bezgranicznie zuchwałe gesty. Nie zdążyłem skończyć, a Pedehr krzyknął:

— To mirza, mirza we własnej osobie!

Ustad wstrzymał oddech. Wydawało się, że jego oczy stały się jakby nieco większe. Patrzyły przez otwarte drzwi w noc, utkwione gdzieś w dal, zupełnie tak jak dzisiaj, kiedy stał pod drzewem przed dżemmah.

— Ah... ri... man... mir... za...! — westchnął chwilę później. — Kto z nas jest jasnowidzem, efendi? Kiedy stałem dzisiaj przed wami i słyszałem głosy, które tak świetnie udało ci się naśladować, odrodziły się we mnie stare, odległe obrazy. Wszedł ze mnie cień, daleko ponad te moje ukochane góry. Po dotarciu na zachód podniósł się, żeby przybrać kształt, barwę i ożywić się. Poznałem ten kształt i tę twarz: to byłem ja sam; to była moja twarz! Wówczas jednak zaczęła się zmieniać. Przyjęła inne rysy. Jak myślicie, jako kto stałem? Jako Ahriman, jako Ahriman mirza, który w tej chwili przemawia do mojego dżemmah. Czy ten cień wynurzający się z mojej przeszłości po to teraz przybrał kształt ludzkiej istoty, abym wreszcie sobie uświadomił, komu zawdzięczam ten nagły upadek na mojej życiowej drodze? Kto zwałił mnie wtedy z nóg? Kto natchnął mnie myślą, żeby uciekać? Powiadasz, efendi, że to nie było życie, lecz mój własny cień. Jakże często go widziałem,

ale nigdy nie rozpoznałem. Teraz wreszcie obnażył przede mną swoją twarz. Dzisiaj był Ahrimaniem, duchowym „niszczycielem świata”, który kierując się niskimi instynktami, delektuje się złudną materią i wszystko, co napawa go nienawiścią, zamienia w proch.

— Masz szczęście — powiedziałem. — Dobrze widziałeś!

— Też go widziałeś? Mirzę z fałszywymi przepyszными klejnotami?

Ducha podrobionych, szlachetnych kamieni, których blaskiem imponuje tłumowi? Życzliwego, przymilnego demokratę, a w rzeczywistości obrzydliwego demagoga? Oddanego protektora publicznego dobra, który jednak troszczy się tylko o swoje własne? Zawsze gotowego do pomocy wspomóżyciela ludu, który jednak z egoistycznym wyrachowaniem depcze duszę swego narodu? Uznanego wroga i sędziego wszelkiego kłamstwa, który jednak skoro tylko jakieś mu się przyda, hoduje je we własnej stajni? Już dawno powinien był się na nim poznać i prosić cię, efendi, zapamiętaj go sobie!

Nie odpowiadając mu, zrobiłem mimowolny ruch ręką, który sprawił, że zapytał mnie po raz wtóry:

— Co o tym myślisz? Co chciałeś wyrazić tym gestem ręki? Sądziłem, że widziałeś go po raz pierwszy u mnie, byłeś jednak tyle razy w krajach Orientu, że może spotkałeś się z nim już wcześniej.

— W krajach Orientu? — Zaśmiałem się. — Nie, nie! Ten gest znam nie od dziś; więcej nie muszę nic dodawać. Dobrze naszkicowałeś Ahrimana. Słuchając ciebie, nie można się pomylić. Ale muszę zapytać cię o jedno: Przebaczyłeś mu dzisiaj. Dlaczego?

— Przebaczyłem? Ja? W jaki sposób?

— Opowiedziałeś mu bajkę z *Tysiąca i jednej nocy*, w której nawet diabeł jest błogosławiony. Skąd przyszedł ci do głowy wiersz, w którym jeszcze przed narodzinami ludzkości piekło sięgało aż do nieba.

— Przebaczenie jest rzeczą szlachetniejszą aniżeli zemsta. Nie wiesz? o tym, efendi?

— Wiem. Ale przebaczenie musi być poprzedzone żalem za grzechy. Taki jest boski porządek! Ja także błądziłem. Kiedy przyłapałem się na jakimś występku, żałowałem i pokutowałem. Byłem tylko człowiekiem, musiałem więc sobie wybaczać. Chętnie wybaczam, naprawdę chętnie, dlatego że mnie również wybaczone. Jednak nie jestem. Bogiem, który może zmienić ustalony przez siebie porządek. To ja mam żałować, a mój cień nie? Powiadam ci, ja opowiedziałbym mu zupełnie inną bajkę, nie z *Tysiąca i jednej nocy*, ani nie z *Tysiąca i jednego dnia*, ale z *Tysiąca i jednego głupca*, w której sułtan nakazuje zamknąć wszystkich głupców razem z płaczącymi i tańczącymi derwiszami!

Zamyślony patrzył dłuższą chwilę przed siebie. Potem przemówił, jakby sam chciał sobie wybaczyć:

— A miłość, efendi, twoja chrześcijańska miłość?!

— Cicho bądź, Ustadzie! Zostaw teraz moją miłość; przecież myślisz cały czas o swojej! Prawdziwa chrześcijańska miłość nie wie, co to brak charakteru i bezcelowa sentymentalność! Nie rzuca się w ramiona każdej niegodziwej uciezce jak sprzedajna dziwka. Nie chichocze i nie podśmiechuje się przez cały dzień. Jest poważnym dziecięciem niebios. Musi wypełniać wolę Bożą. Wie bardzo dobrze, co jej wolno, a co nie. W jednej ręce dźwiga księgę łaski, w drugiej księgę kary. Człowiek musi wybrać. Skrucha triumfuje, diabły drżą. Głupców jednak ani nie nagradza, ani nie karze. Pozostawia ich w spokoju i przyznaje rację sułtanowi, który pozwolił im, by płakali i tańczyli przed całym światem w swojej *Tysiąc i jednej bajce!*

— To tak wygląda twoja miłość? — zapytał. — Myślę, że Bóg chce, żeby jego Słońce wschodziło ponad sprawiedliwymi i niesprawiedliwymi!

— To Słońce, które świeci u góry jako ciało niebieskie, owszem. Nawet niesprawiedliwemu dostarcza wszystkiego, czego tylko potrzebuje do ziemskiego życia. Ale jeśli nawet uczyni to w swojej dobroci, to w swojej sprawiedliwości pilnuje się, żeby nie przekładać swojego miłosierdzia na inne życie. Zdaje sobie sprawę, że wówczas w niebie zasiedliby wszyscy niesprawiedliwi i nie chcieliby wpuszczać sprawiedliwych! Zgodnie z twoją teorią miłości niebo szybko przemieniłoby się w piekło, ale piekło w niebo już nie. Na koniec z tej teorii wynikłoby, że całe dobro musiałoby zniknąć, a Bóg zamieniłby się w diabła. Nie przypadkowo nasza Biblia mówi o robaku, który nigdy nie umiera, o ogniu, który nigdy nie gaśnie, i o miejscu, w którym jest płacz i zgrzytanie zębów. Kiedy piekło ze swojej bajki uczyniłeś błogosławionym, unieważniłeś tym samym wszystkie katusze tych biednych stworzeń, których piekło zwiódło na złą drogę... Czy może to było treścią ksiązek, które napisałeś? Czy nauczyłeś się tej rzekomo boskiej czy chrystusowej miłości, darującej karę każdemu winowajcy tylko po to, żeby niebo Pana Boga nie pozostało puste? Czy byłeś głosicielem tego nierozważnego miłosierdzia, które oszczędza złych, żeby mogli jeszcze bardziej niemiłosiernie obchodzić się z dobrymi? Czy głosiłeś tę pseudobożą pobłażliwość, która pozwala swobodnie wyrastać chwastom, aż zaduszą pszenicę? Jeśli na te wszystkie pytania odpowiesz mi „tak”, to znaczy, że wyhodowałeś grzechy i nałogi, przekonanie o własnej nieomyślności i obłudę, i nie masz czemu się dziwić, że twoje cienie w końcu cię pokonały. Broniłes chrześcijańskiej słabości, a nie chrześcijańskiej miłości! Własnym życiem udowodniłeś, że stosujesz tę słabość w praktyce i przez to zamieniłeś się w trzinę, która musiała się złamać, kiedy nie mogła już się więcej zgiąć! Myślałeś, że zostałeś powołany, żeby się...

— Stój, stój, efendi, nie mów dalej! — wykrzyknął, wymachując rękami, jakby chciał mnie nimi powstrzymać. — Masz rację, świętą rację! Wspomniałeś nie tak dawno o sentymentalności. I słusznie! Bo nadal zamiast kierować się miłością, kieruję się sentymentem! Kiedy przed chwilą chciałeś pozwolić uciec Multasimowi, niewątpliwie dlatego, żeby później dopaść wszystkich jego towarzyszy, sprzeciwiałem się temu. Chciałem, żeby go natychmiast ukarano, ale łagodnie, pobłażliwie. Oddałem go w twoje ręce, ale gdybyś zdecydował się całkowicie go unieszkodliwić, sprzeciwiłbym się temu wszelkimi dostępnymi mi środkami!

— Naprawdę? Nie podejrzewałem cię o to!

— Tak, tak właśnie chciałem uczynić! Widzisz, że mówię uczciwie. Wyleczyłeś mnie przez te ostatnie pięć minut. Sentymentalność! Ileż w tym prawdy! Kierując się sentymentem, wysłałem sobie z ciała i ducha własną siłę. Teraz będzie jednak inaczej, inaczej, inaczej. Jestem co prawda starym

człowiekiem, bardzo starym, ale mam jeszcze kości i mięśnie nie tylko w ciele, ale również w duchu. Pozwól mi wzmocnić się przy tobie! Podniosę się. Tak jest! Wiem, że tak będzie! Z tobą na pewno się wydzwignę. Bądź ręką, przy której odzyskam siły! Wyruszam jutro na cały tydzień. Proszę cię, zastąp mnie na moim miejscu! Bądź gospodarzem „wysokiego domu”. Powierzyć moje małe królestwo w twoje ręce, to najlepsze, co mogę uczynić. Mój Pedehr słyszy, co ci teraz mówię. Spełni każde twoje polecenie, tak jak ja bym je wydawał.

— Chcesz wyjechać? — zapytałem zdumiony.

— Tak — odparł.

— Czy mogę wiedzieć dokąd?

— Oczywiście! Jesteś przecież teraz gospodarzem, od tej godziny! Jadę do Isfahanu na spotkanie z szachinszachem. Moi wrogowie przekonali mnie dzisiaj, że muszę tam pojechać.

— Doskonały pomysł! — zgodziłem się z nim.

— Cieszy mnie bardzo, że tak samo myślisz. Powiedziałem im uczciwie, że poszukam sobie pomocy we właściwym miejscu. Szydzili z tego. Kto polega na swoim szachu i mówi o tym bez obawy i otwarcie, ten będzie wyszydzany i wyśmiewany; jednak kiedy nadejdzie czas dla szacha, wówczas ruszy zastęp amdszaspands* milczenia, duch stanie obok ducha i zamierzy się mieczem, żeby przynieść dziecięcej wierze zwycięstwo nieba!

Chwycił moją rękę i spojrzał w górę, a z jego oczu biła taka ufność, której nie było w stanie złamać żadne drwiące słowo.

— Będiesz rozmawiać z samym władcą? — zapytałem.

— Tylko z nim! Między nami nie ma pośredników. Powiem mu wszystko, tak jak dziecko mówi swojemu ojcu. To będzie jak modlitwa, podczas której obecność trzeciej osoby mogłaby tylko przeszkadzać.

— O co będziesz prosić?

— O nic. Powiem mu, co mam do powiedzenia, a później sam już zrobi to, co będzie uważał za stosowne. Stanę przed nim jak przed Bogiem. Nie będę się z nim spoufalał, jak ten co na kolanach pcha się do tronu, żeby podstępem uzyskać własną korzyść i później, kiedy już opuści władzę, pogardza tymi, którzy nie dostąpili tego zaszczytu. Zupełnie nie wiem, co zadecyduje szach, jestem jednak przekonany, że jego plan przejdzie twoje najśmielsze oczekiwania.

— Masz przed sobą kawał drogi! Nie boisz się jej?

— Bać się? Drogi do mojego szacha? Jak daleko niebo jest od ziemi! A mimo to codziennie wstaję, żeby rozmawiać z Chodehem! Dla wiary, dla zaufania nie ma drogi zbyt odległej, ani dla władcy, który byłby daleko! Zresztą nie wybieram się sam w tę podróż. Będą towarzyszyć mi Dżamikunowie. Pojedzie z nami również kupiec, który dzisiaj u nas nocował.

— Agha Sibil?

— Tak.

— Sibil znaczy wąsy. Czy to jego prawdziwe nazwisko, czy tylko tak na niego mówią ze względu na jego zarost.

— To drugie jest mało prawdopodobne, bo wąsów u niego jeszcze nie widziałem. Trzymam się z dala od kupiectwa. Powierzam wszystko Pedehrowi. Jeśli chcesz, to powie ci coś więcej o nim.

Zależało mi na konkretnych informacjach o handlarzu, dlatego zapytałem szejka:

— Czy wiesz, jak jest sytuowany ten Agha Sibil?

— Staram się nie robić interesów z ludźmi, których nie znam. Agha Sibil to bogaty, bardzo bogaty, a jednocześnie uczciwy i skromny człowiek.

— Czy ma dzieci?

— Jedną córkę i dwoje wnuków.

— Czy ci wnukowie są dziećmi tej córki?

— Tak, są.

— Gdybyś tylko podał mi ich imiona!

— Znam je, bo kiedy przybywam do Isfahanu, zwykle u niego goszczę. Córka ma na imię Elmas. Jej mąż był tureckim oficerem. Zastrzelili go w Damaszku. Jej syn, który jest dzisiaj u nas ze swoim dziadkiem, nazywa się Ikbal, jej córka Sefa.

— Czy ta córka wyszła za mąż?

— Nie. Chce pozostać w domu Agha Sibila.

— Jak to się stało, że córka perskiego kupca z Isfahanu poślubiła tureckiego oficera z Damaszku? Przecież on na pewno był sunnit*, a ona szyitką!

— W rodzinie mówiło się nawet, że wcześniej był chrześcijaninem. Jeśli się nie mylę, to pochodził z kraju, który nazywa się Lechistan. Oficer poznał kupca w Palestynie, gdzie ten wówczas mieszkał. Kiedy córka handlarza wyszła za niego, wyjechał do Damaszku. Agha Sibil pojechał za nim. W czasie wielkich prześladowań chrześcijan rodzinę spotkało wielkie nieszczęście. Oficer został rozstrzelany za nieposłuszeństwo. Agha Sibila doszczętnie ograbiono, więc by ująć z życiem, musiał uciekać jako szyita. Udało mu się przedostać wraz z córką i jej dziećmi do Persji, gdzie na nowo zajął się kupiectwem i dzięki pilności i uczciwości doszedł do swojego obecnego majątku. Efendi, twoje oczy błyszczą. Dlaczego? Czyżby to, o czym mówiłem, nie było ci obce?

— Tak — odrzekłem i radośnie podniecony przechadzałem się po pokoju tam i z powrotem.

— Co? A może kto?

— Kto? Oficer.

— Znałeś go, zanim został rozstrzelany?

— Nie, poznałem go, jak już go zastrzelili.

— A więc widziałeś jego zwłoki.

— Zwłoki? Hm, na takiego właśnie wyglądał. Ale ja z nim rozmawiałem.

— Maszallah! Umarli przecież nie mówią!

— Czasami tak! Szczególnie ci, których kula nie trafiła.

— Nie trafiła... kula...? Efendi, chyba stroisz sobie żarty!

— Mówię zupełnie poważnie. Rozmawiałem z umarłym, a wy obaj dobrze go znacie.

— My...? Co?

— Opowiadałem wam o tym starym bimbaszim w Bagdadzie, który później został Mirem Alai!

— Rzeczywiście. Czy to ten, u którego mieszkałeś i którego Ssefir wziął do niewoli?

— We własnej osobie! To wasz podwójny znajomy, bo znacie go z moich opowiadań i jednocześnie od kupca Agha Sibila. Teraz jestem nawet przekonany, że poznacie go osobiście. On jest tym oficerem, którego kiedyś rozstrzelano w Damaszku.

Pedeher wyskoczył ze swojego miejsca, zupełnie jakby wyrzuciła go w górę jakaś niewidzialna sprężyna.

— Chrześcijanin, nad którym wylewano tyle łez? — zawołał. — Sunnita, któremu szyici pozostali wierni, chociaż umarł? Mąż, którego żona uwielbiała? Ojciec, którego dzieci do dzisiaj kochają, pomimo że nie pamiętają, jak wyglądał? On nie umarł? Nadal żyje? Pozostał im, wszystkim szczerze oddany, chociaż wyjechał do innego kraju? Efendi, czy w to wszystko mamy wierzyć? Wiem, że kłamstwo nie leży w twojej naturze, ale opowiedz nam, proszę, jak do tego doszło!

— Tak. Muszę wam to opowiedzieć. Nie chcę, żebyście musieli czekać, aż sam się zjawi, by udowodnić wam, że jeśli Bóg zechce, to śmierć będzie tylko pustym słowem. Siadajcie zatem i słuchajcie, co mam do powiedzenia!

O starym celniku bimbaszim dowiedzieli się już ode mnie prawie wszystkiego, teraz więc musiałem dopowiedzieć tylko to, co było mi wiadomo o jego sytuacji rodzinnej. Opisałem więc jego

żał za tymi, którzy niby zginęli, i na koniec wspomniałem, jakie czyniłem starania, chcąc obudzić w nim nadzieję, że może jeszcze żyją. Wtem Ustad powstał z miejsca, złożył ręce i przemówił, głęboko oddychając:

— Mówiłeś swojemu przyjacielowi o zmartwychwstaniu człowieka, którego uważano za zmarłego, my zaś czujemy się zobowiązani urzeczywistnić owo zmartwychwstanie. Również znam tego człowieka, o którym myślano że zaginął. Wielu, bardzo wielu tak myślało. Uważają teraz, że wyjechał do jakiegoś innego kraju. Co o nim sądzisz, efendi? Wiesz przecież, o kim myślę!

Naraz poczułem, że do moich oczu napłynęło nadzwyczajne światło. Serce kołatało mi tak mocno, że aż w głowie czułem pulsowanie. Zbliżyłem się do Ustada, objąłem go ramieniem, dotknąłem policzkiem jego policzka i zapytałem:

— Czy chciałbyś, żeby zmartwychwstał ten, którego uważano za zmarłego?

Skinął głową, nie odzywając się ani słowem. Położył swoją rękę na mojej głowie, żeby mocno przycisnąć ją do swojej.

— A więc do dzieła! — ciągnął dalej. — Tym razem obudzimy umarłego, który wcale nie umarł, i przy okazji umożliwimy mu zmartwychwstanie! Czy dobrze się wyrażam?

Jego oczy, tak mi teraz bliskie, wpatrywały się we mnie, a biła z nich miłość, która nigdy się nie kończy.

— Czy stać cię na to? Czy jesteś gotów to uczynić? — zapytał.

— Dla ciebie jakże chętnie! — powiedziałem.

— Myślisz, że nam się uda?

— To takie proste, takie proste, skoro łączy nas miłość!

— Ale jak my właściwie to zrobimy?

— Pozostaw to mi, proszę! Podaj mi teraz ufnie swoją rękę. I posłuchaj, co ci powiem: Jeśli czujesz w sobie dość odwagi, wręcz bohaterskiej odwagi, i stać cię na to, żeby podarować mi swoją duszę i swojego ducha, wówczas zanurzając się w sobie, już tutaj będziemy świętować zmartwychwstanie!

Objął mnie ramionami, przyciągnął do siebie tak mocno, jakby nasze ciała miały utworzyć jedno ciało, i odpowiedział:

— Mam dość odwagi, należę do ciebie, weź mnie!

Nagle zgasła świeczka. Wypaliła się do reszty. Pedehr poszedł, żeby przynieść nową. Kiedy wrócił, staliśmy razem na zewnątrz, na tarasie. Ustad wskazał ręką na leżący przed nami mały świat, oświetlony przez rozgwieżdżone niebo, i powiedział:

— Czuję jakbym to wszystko dla ciebie przygotował po to, żel dusze moich Dżamikunów napelnił dobry duch, duch bezwzględny, ale miłujący, który otworzył mi oczy, i który jest nam tak niezbędny w „krainie cieni”! Dzięki tobie moja wartość dwukrotnie wzrosła i przez to podwoiła się nadzieja na sukces. Dwóch ustawat*, a jednak tyłki jeden! Postaw obok siebie dwie świecezki! Czy dadzą dwa światła? Nie, Będą świecić z podwójną siłą.

W tym momencie w drzwiach stanął Pedehr i zaprosił nas do środka:

— Możecie wejść. Teraz jest jaśniej niż przedtem. Posłuchaliśmy go i weszliśmy. Wskazał na stół. Stały tam teraz dwie świecezki zamiast jednej. Niesamowite! Ustad zaśmiał się.

— Widzisz? — zażartował. — Zupełnie jakbyśmy byli autor; a raczej jednym autorem, który dostarcza myśli, a on jako praktyczny Pedehr* Dżamikunów natychmiast jest gotów nadać im kształt. T; powinno być zawsze. Wówczas w duarze wnet zapanuje radosne życie!

Ustad uwielbiał mówić obrazowo. Kto chciał go zrozumieć, musi się zastanowić. Podobnie było teraz. Kogo czy co miał na myśli mówiąc o Dżamikunach, którym oddany był całym sercem? Gdzie leżał czy leży duar, nad którym rozbrzmiewały na każde życzenie „dzwony modlitwy”? W Persji? Nie mam zamiaru tego ujawniać. Życie samo udzieli odpowiedzi.

Nie skończyliśmy jeszcze naszej narady, kiedy szejek przypomniał:

— Jest już chyba północ. Nie chcesz odpocząć przed podróżą, Ustadzie? Efendi nie jest jeszcze zupełnie zdrów. Powinien odpocząć choć w nocy.

— Nie mam ani czasu, ani ochoty odpoczywać. Mój duch nie wie co to północ — odparł Ustad.

A ja dodałem:

— Moje ciało jest przyzwyczajone do tego, żeby słuchać mojej woli. Wcale nie czuję się teraz zmęczony. Moja dusza posiada taką moc, że może użyzyć swojej siły słabemu ciału. Wytrzymam do samego końca.

Ustad chwycił moją rękę, zbadał puls i powiedział zdumiony:

— Jaki spokojny i mocny! Dokładnie taki jak mój! Tak jest, uważam, że możemy kontynuować naszą rozmowę. Na czym stanęliśmy? Chyba na Ahrimanie. Zmartwychwstały oficer zaprowadził nas do niego. Chcesz mówić dalej, efendi?

— Tak — odpowiedziałem. — Napiszę list do Bagdadu do starego Mir Alai. Otrzyma go przez Dżamikunów, którzy pojedą do niego, żeby sprowadzić go tutaj wraz z jego grubym Kepekiem. Musi przybyć, jeszcze zanim się zaczną wyścigi. Umożliwisz jego teściowi rozbicie namiotu kupieckiego w dniu zawodów. Porozmawiam z nim zresztą jeszcze przed twoim odjazdem. Agha Sibil zabierze ze sobą córkę i jej dzieci. Dojdzie do spotkania po latach, z którego już teraz się ogromnie cieszę! Czy zgadzasz się na taki układ?

— Zawsze się zgadzam z tym, co postanowisz! Czy zgotujemy niespodziankę Agha Sibilowi w

dniu zawodów, czy chcesz już teraz o wszystkim mi powiedzieć?

— Już teraz o wszystkim! Byłoby okrucieństwem, gdybym zatrzymywał dla siebie radość, którą mogę mu natychmiast sprawić.

— Przyznaję ci rację. Czy to wszystko w tej sprawie?

— Tak. Wróćmy do Ahrimana mirzy! Spróbuję udowodnić, że on jest Emirem–i–Sillanem.

— Już udowodniłeś. Ja w każdym razie jestem co do tego przekonany.

— Tak? A co cię przekonało?

— Ton, jaki bije z listu, który niedawno nam czytałeś. Takim tonem może mówić tylko on. Nikt inny nie pisze i nie mówi w ten sposób. Dowiedzieliśmy się również, że posiada najwyższy znak Sillanów.

— Czy możemy być pewni, że jest to najwyższy znak?

— Oczywiście, że nie. Przecież całkiem możliwe, że istnieje jeszcze wyższy.

— Nie tylko możliwe, ale całkiem pewne!

— Efendi! Sam sobie zaprzeczasz! Jeśli istnieje wyższy znak, to znaczy, że kręci się tu gdzieś jakiś ważniejszy Sili. Ten, który go nosi, stoi ponad mirzą!

— Logicznie niby słuszny, ale praktycznie zły wniosek. On nosi oba!

— Oba? Mówisz z takim przekonaniem! Skąd to wiesz?

— Zastanów się, proszę. Jako najważniejszy spośród Sillanów posiada wszystkie znaki. Ma również tumana na łańcuszku. Jestem pewien, że kiedy potrzebuje, to zakłada także srebrny pierścień i udaje wtedy zwykłego Silla. Kiedy zaś pojawia się na zebraniu swoich Pederahnów jako Emir, ma przy sobie najwyższe insygnium. Słyszałeś jednak, że musi mieć się na baczności. Na zebraniu na pewno maskuje swoją twarz. Za to w codziennym życiu nie jest w stanie jej ukryć. No i pomyśl, czy będzie obnosić się z tym, że nosi najwyższy znak?

— Zapewne nie. Ale jakiś znak musi nosić. Dlaczego nie zakłada zwykłego pierścienia?

— To stary psycholog! — Zaśmiałem się. — Czy ty nie wiesz jeszcze, że próżność wynosi się ponad cnotę, a brzydota nadyma się bardziej aniżeli piękno? A właśnie pragnienie podobania się innym ludziom tkwi jak nałóg w tym człowieku i dlatego uważa, że nikt nie jest w stanie mu dorównać. Widziałeś przecież jego strój i uprzęż konia. Wszystko na nim mieni się od przepychu, świecidełek i fanfaronady! Zwykły pierścień zakłada tylko wtedy, kiedy knuje jakiś podstęp. Jeżeli tacy jak on zniżają się do poziomu zwykłych ludzi, to i tak zły duch nadal w nich siedzi. Jego duma,

jego pycha nakazuje mu patrzeć z góry na każdego ze swoich Pederahnów. Ta zarozumiałość sprawia, że staje się nieostrożny. Brawuruje, lekceważąc zagrożenia. Jeżeli nawet ukrywa, że jest „księciem cieni”, to i tak stara się pokazać, że pełni ważny urząd. Nie słyszałeś jeszcze, że zbrodniarz, kiedy znajduje się wśród swoich, wyolbrzymia swoje nieczne czyny? Troska o własne życie i bezpieczeństwo nakazuje mu nie pokazywać swojej siły; ale nie przychodzi mu już na myśl, żeby poczynić dalsze zabezpieczenia. Prawdopodobnie jedyne co wymyślił to ten znak, który tak naprawdę tylko pozornie go ochrania, gdyż jak myślę, nikt poza nim nie posiada takiego pierścienia. Jeśli ktoś zobaczy sygnet Ahrimana, uważa go za jakiegoś ważnego Silla, jeśli nawet nie za najważniejszego. W ten sposób Ahriman jest w porządku wobec siebie, bo zabezpiecza się, a jednocześnie pielęgnuje swoją próżność. Teraz powstaje pytanie: Dzisiaj powiedział przed dżemmah: „Widzicie mnie po raz pierwszy. Do tej pory nie znaleźcie nawet mojego imienia. Nie wiecie więc kim jestem” — Jak mógł coś takiego powiedzieć? Czy naprawdę wierzył, że jego osoba i jego imię stanowiły dla was taką tajemnicę?

— Nie — odpowiedział Ustad. — Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że go znamy, a zwłaszcza ja, gdyż wiele razy go spotkałem i nawet rozmawiałem z nim.

— Właśnie tego chciałem się dowiedzieć! Jego pycha sprawiła, że powiedział więcej niż zamierzał. Znać jego tytuł, wiecie, jak się nazywa. Dobrze o tym wie. A pomimo to upiera się, że nie macie pojęcia, kim jest. Musi więc grać kogoś, kto nie ma nic wspólnego z Ahrimanem mirzą. Co więc robi? Może udawać kogoś przeciętnego albo kogoś znaczącego. Myślę, że udaje tego drugiego, bo przecież jasno się wyraził: „Moja przyjaźń może uszczęśliwić, moja niechęć może okazać się wyrokiem skazującym”. Ten, kto ośmiela się coś takiego mówić, musi uważać się za najważniejszego w całym królestwie! Pod jakim względem jednak czuje się najważniejszy? Jako dobry człowiek czy jako zły? Najważniejszym spośród dobrych jest szach. Pozostaje tylko ten, który w stosunku do dobrego zajmuje przeciwny biegun, a więc zły. Ten, kto mówi: „Moja niechęć może okazać się wyrokiem skazującym”, na pewno nie jest dobrym człowiekiem. Poza tym trzeba przyjąć, że źródło swojej władzy ukrywa w tajemnicy. Oznacza to, że robi coś wbrew prawu, coś zakazanego. To są wrywkowe informacje o nim. Wyciągnijmy teraz wnioski.

— Pozwól, że ja to zrobię! — poprosił Pedehr. — Także chcę zabrać głos.

— Dobrze! Mów więc! — odpowiedziałem ucieszony, że z uwagą śledził moje słowa.

— Rezultat jest zaskakujący — rzekł Pedehr. — W królestwie są dwie potęgi — dobra i zła. Dobra spoczywa w rękach szachinszacha; złą dzierży Ahriman mirza. Ta druga, jak wiemy, należy właśnie do Emira-i-Sillana, zatem „księciem cieni” musi być Ahriman mirza. Czy dobrze mówię, efendi?

— Tak, mniej więcej, Powiedz, Ustadzie, czy zgadzasz się z wnioskiem Pedehra?

— Całkowicie! Jest słuszny! — odparł.

— Zatem nie będę już przytaczać wam kolejnych dowodów, chociaż w zanadrzu mam ich jeszcze parę. Dla mnie Ahriman mirza i Emir-i-Sillan to jeden i ten sam człowiek! Prawdą jest również to,

że swojego kata ma pod ręką. Nawet na chwilę nie spuszcza go z oczu. Skoro to już sobie wyjaśniliśmy, przejdźmy do następnego problem Czego mirza szuka tutaj, u Dżamikunów? Jakie knowania go i sprowadziły? Musimy znaleźć odpowiedzi na te pytania; czuję, że moi nawet rozboleć mnie od nich głowa!

— Dlaczego? — zapytał Ustad. — Widzisz zbyt czarno!

— Powiedz lepiej, że widzę czarny punkt na tarczy celowniczej. Ni ma co ukrywać, że zamierzał przyjść prosto do nas. Kalhuranów odwiedził tylko ze względu na swojego kata. Czego tutaj chciał?

— Krwawej zemsty! — wtrącił Pedehr.

— To tylko sprawa Multasima, jego ona nie obchodzi. Poza t zanim zrodził się powód do zemsty, „książę cieni” był już w drodze do nas.

— Pewnie by wygłosić tę mowę, którą od niego usłyszeliśmy!

— No proszę, wprawdzie trafiłeś w tarczę, ale nie w jej środek Chciał wam dać innego szejka. Czy wiecie, co to znaczy? Przybył do Dżamikunów, żeby zniweczyć błogosławiony, duchowy wpływ Ustada. A jak zamierzał rozpocząć swój atak? Pozbywając się Pedehra, która odpowiada za to, żeby Dżamikunowie zamieniali w czyn pomysły, rodzące się w umyśle Ustada. Naszego szejka miał zastąpić Tifl, który wprawdzie może pochwalić się tylko tym, że wychował się na zupiej z trybuli ogrodowej i z powodu kilku śliwek buntował cały świat, alej który za to posiada bardzo pożyteczną umiejętność; potrafi jeździć zarówno na narowistym koniu, jak i na wymęczonej, nędznej szkapie, nie spadając nigdy z siodła! Mirza był przekonany, że wystarczy, jeśli da temu Dżamiki do ujeżdżania starą, twardą w pysku szkapę i schorowaną chabetę, a ten robi z Dżamikunów posłusznych Massabanów!

— Wiesz, jak się go pozbyliśmy po usłyszeniu jego propozycji — wmieszał się Pedehr. — Niepotrzebnie łamałeś sobie głowę!

— Tak myślisz? Jednak nie dał się odprawić z niczym. Zamierzał ponowić swoją ofertę w dniu zawodów i zapewne będzie starał się przeforsować ją wszelkimi sposobami.

— Tak czy inaczej znowu poniesie klęskę. O to się nie musisz martwić!

— Z pewnością! Ale co innego miałem na myśli, mówiąc o centralnym punkcie, w który nie trafiłeś. Już raz wam to sugerowałem, kiedy, powiedziałem, że podejrzewam, iż Emir-i-Sillan prawdopodobnie już tutaj był, aczkolwiek tylko potajemnie.

— Czy tym razem nie mylisz się choć trochę?

— Niewykluczone! Nie mam przecież dowodu. To tylko moje podejrzenie. W człowieku rodzą się jednak czasem takie przecucia, których słusność zdaje się potwierdzać sama okoliczność, że w ogóle pojawiły się one w głowie. Muszę zwrócić uwagę na to, że Sillanowie wiedzą więcej o duarze, niż myślicie.

— A to dla nas nowość!

. — Dla mnie nie! Jak Multasim miałby sobie dzisiaj poradzić? Gdyby nie znał terenu, zostawiłby konie daleko od duaru, a jednak zatrzymał się zupełnie blisko.

— Tak, bo w ciągu dnia przejeżdżał tamtędy dwa razy!

— Tym bardziej mnie to niepokoi! Właśnie tam po południu natknął się na strażnika, który natychmiast przybył, żeby nas przed nim ostrzec. Dlaczego więc Multasim później się nim nie przejmował, skoro zdawał sobie sprawę, że wieczorem tym bardziej wystawimy wartownika. A gdyby ten chłopiec nie pomyślał przypadkowo o swojej owcy, Multasim nie zostałby odkryty! Potem sprawnie przekradł się na tyły duaru, czyli położenie musiał znać dokładnie. Domy i namioty znajdują się w dwóch rzędach naprzeciwko wejścia do „wysokiego domu”. Kiedy przemykał się wśród nocy, księżyc nie świecił. Czy ktoś nie obeznany w terenie zdołałby przejść nie zauważony przez nikogo? Ścieżka wiodąca do domu jest poza tym bardzo kręta. Znam ją. Jeżeli doliczę do niej odcinek, który musiał przejść, przemierzając duar, to okaże się, że nawet wyszkolony w skradaniu się Indianin nie przebyłby drogi do bramy w czasie krótszym od dwóch godzin. Od momentu kiedy zgasiliśmy światła, do chwili pojawienia się Multasima upłynęła zaledwie godzina. To oznacza, że droga nie była mu całkiem nieznaną.

— Przecież udowodnił, że sztukę skradania się opanował wyśmienicie!

— Indianin, o którym myślałem, opanował ją równie doskonale, a więc to nie ma znaczenia. Towarzyszyli mu dwaj ludzie i pomimo że natychmiast wysłaliśmy za nimi naszych, potrafili długo się ukrywać. Nie, nie! Niemożliwe, żeby to były pierwsze nocne odwiedziny! Przesłucham Multasima, zanim go wypuszczę. Może uda mi się coś z niego wyciągnąć.

Pedeher pewnie dalej by ze mną dyskutował, ale nagle Ustad jakby sobie coś przypomniał i zapytał szejka:

— A jak to było z tym nieznanym Persem, którego pielęnowaliśmy, aż nie wyleczył sobie zwichniętej stopy? Po co przeskakiwał mur?

— Poszukiwał zabytków z czasów starożytnych — odpowiedział napytany. — Pochodził z Teheranu. Miał tam sklep, w którym handlował takimi rzeczami. Znaleźliśmy go rankiem, w pewien wtorek.

— Przychodzi mi jeszcze na myśl ten lekarz z Hamadanu; któregoś poniedziałku tak długo wzbraniał się, nie chcąc u nas pozostać.

— Ten z kolei zabłądził. Nasi ludzie natrafili na niego, kiedy już ciemno. Przyprawdzili go do nas tu na górę. Nie chciał się na zgodzić na gościnę i nie potrafił wyjaśnić nam dlaczego. Tych dwóch nie musimy jednak brać pod uwagę. Nie byli Sillanami. To zwyczaj: uczciwi ludzie. Pomyślałem za to jeszcze o czymś innym. Czy przypominasz sobie bicz, który znalazł Tifl, kiedy wdrapał się na drugą stronę muru, żeby nazbierać dzikiego kekik otu* do swojej kuchni?

— Oczywiście, że pamiętam o nim. Było to całkiem niedawno, a bicz do tej pory leży za moimi książkami. Nawet zapisałem na kartce dzień, w którym go znaleziono, żeby później móc dojść, kto go zgubił. Nie był własnością żadnego Dżamiki. Wtedy nie wydało mi się to podejrzane. Teraz jednak zaczynam się nad tym zastanawiać. Czy coś przychodzi ci do głowy?

— Nie.

— Mnie również nie.

— To wystarczy, to w zupełności wystarczy! Jacy z was kochani, dobrzy, prości ludzie! — zawołałem.

— Czy teraz także masz jakiś powód, żeby coś podejrzewać? — spytał Ustad.

— Jakiś powód? Tylko jeden? Mam ich dziesięć, dwadzieścia! Proszę cię, pokaż mi najpierw bicz!

Przyniósł go. Okazało się, że była to szpicruta. Przy rączce wisiała kartka. Widniał na niej napis: Wtorek, dziewiąty ssefer. Rączka był polakierowana na czarno. W miejscu gdzie odprysnął lakier, uwidocznił się jasny metal. Rękojeść musiała więc być w środku pusta. Główka szpicruty, czarna tak samo jak rączka, była masywna i ciężka. Zapewne odlano ją z ołowiu. Spróbowałem nią pokręcić. Drgnęła. Odkręciłem ją i wówczas zobaczyłem wydrążony otwór. W środku tkwiło coś czarnego. Wyciągnąłem to na zewnątrz. Ukazał się nam czarny, gęsto utkany, zrolowany kawałek jedwabiu. Rozwinąłem go. Trzy otwory. Jeden na usta, dwa na oczy! Cztery sznurki do zawiązania nad uszami i na szyi.

— Co to takiego? — zapytałem, trzymając przed sobą jedwab.

— Maską! — krzyknął Pedehr.

— Tak, to maska! — potwierdził Ustad.

— A kogo podejrzewałem, że ukrywa się pod maską przed Pedera hnami?

— Emira-i-Sillana — odparł Ustad.

— Znalezione we wtorek! Kiedy jest „dzień żołdu”, o którym wspomniał Peder-i-Baharat?

— W poniedziałek.

— W jaki dzień nie chciał się zatrzymać u nas lekarz z Hamadanu?

— W poniedziałek wieczorem.

— W jaki dzień znaleziono handlarza antykami, który zwichnął nogę?

— We wtorek rano.

— Ustad! Pedehr! Czy nadal nic nie rozumiecie?

Nic nie odpowiedzieli. Wpatrywali się we mnie, osłupiali ze zdumienia.

— Czy nadal uważacie, że nie było u was żadnego Silla? — ciągnąłem dalej. — Ach, jest jeszcze gorzej, niż myślałem!

— Jeszcze gorzej?! — Ustad powtórzył moje słowa.

— Tak! Niestety! Trzy poniedziałki, trzy poniedziałki! Weźcie to pod uwagę!

— Wyrażaj się jaśniej! — nalegał.

— Jeszcze jaśniej? Poniedziałek to dzień, w którym spotykają się Pederahnie!

— Chodeh! Chodeh! — zawołał. — Co mi sugerujesz! To, o czym myślisz, nie mieści mi się w głowie, a już mówić o tym głośno — tego nie zrobię, musiałbym być szalony!

— A jednak trzeba, trzeba, trzeba to powiedzieć! Jeśli wy nie macie odwagi tego zrobić, ja to uczynię. Sillanowie regularnie się tu spotykają. Tak, starszyzna Sillanów, czyli Pederahnie urządzają swoje spotkania w „poniedziałek żołdu” tutaj na waszym terenie, przypuszczalnie w ruinach, gdzie znaleziono ten bicz!

Skutek, jaki wywarły moje słowa, był wprost nie do opisania! Ustad i Pedehr jakby zupełnie zaniemówili.

— W tych zebraniach zwykle bierze udział sam „książę cieni”! — mówiłem dalej. — Był tutaj. Nigdy nie pokazał swojej twarzy. Zakrywała ją zawsze maska. Ta szpicruta należy do niego. Nieważne, czy ją zgubił, czy zapomniał. W ciemności nie mógł jej odnaleźć, a do rana nie mógł czekać, bo wówczas moglibyście go zobaczyć. Czy lekarz z Hamadanu przybył do was konno?

— Nie. Kiedy go spotkaliśmy, szedł piechotą — odparł trwożliwie Pedehr.

— Ale chyba nie przybiegł tutaj na nogach z Hamadanu!

— Tak, to prawda. Miał konia.

— Gdzie?

— Był uwiązany niedaleko duaru na brzegu jeziora.

— Przypuszczam, że ten zbieracz antyków także miał swojego konia?

— Tak.

— Gdzie?

— W tym samym miejscu.

— Tak myślałem. I nie wydawało wam się to podejrzane?

— Myśleliśmy, że to przypadek.

— Przypadek! W życiu nie ma przypadków. Nie ma dymu bez ognia, a ogień sam się nie rozpala. Ogień i ten, który go roznieca, sprawiają, że każde wydarzenie przestaje być przypadkiem. Musicie wreszcie to zrozumieć! Ale nawet jeśli zakładasz, że istnieje coś takiego, jak przypadek, to tym razem nie wchodzi on w rachubę. Koni nie pozostawiono przypadkowo, ale ukryto je celowo tak, żeby nikt ich nie zobaczył. Kiedy Pederahnie przyjeżdżają, pierwsze co muszą zrobić, to napoić zwierzęta. Dlatego zatrzymują się nad jeziorem, przypuszczalnie zawsze w tym samym miejscu. Będę musiał je obejrzeć.

— Czy mogę ci towarzyszyć? — zapytał.

— Tak. Ale nikomu o tym nie mów!

— Nie? Dlaczego?

— Sillanowie, którzy mieszkają tu, w duarze, mogliby się dowiedzieć.

— Efendi, jesteś... niewiele brakowało, a powiedziałbym szalony! Myślisz o czymś wprost niemożliwym!

Powiedział to w wielkim uniesieniu. Tym spokojniej jednak mówiłem dalej:

— Jestem przekonany, że gdyby wrogowie nie mieli tutaj wspólników, nie byłoby w stanie się tak panoszyć, o co ich podejrzewam.;

— Gdyby naprawdę działa się tak, jak mówisz, to ci wspólnicy zajęliby się tym, który zranił stopę, i Sillem, który zgubił się w nocy.

— Czy rzeczywiście się zgubił? Kiedy go złapano, posłużył się wymówką. Jeśli ktoś zsiada z konia tak blisko duaru i kieruje się w stronę jeziora, żeby napoić swoje zwierzę, to po pierwsze zależy mu na tym, żeby nie pokazywać się w duarze, a po drugie w żadnym razie nie mógł się zgubić, bo namioty i domy stoją mu wprost przed nosem. A jeśli ktoś kręci się po ruinach, poszukując przedmiotów z dawnych czasów, to chyba nie robi tego nocą, po uprzednim starannym ukryciu swego konia. Przybywa taki za dnia i podając się za cudzoziemca, doprasza się informacji, zgody na pobyt i przewodnika. Byliście rozbrajająco naiwni, jak dzieci. Myślisz, że tutejsi Sillanowie przejęliby się handlarzem starożytnymi zabytkami. Myślę, że nawet nie wiedzieli o jego wypadku.

— Nie jestem przekonany co do słuszności twoich podejrzeń. Nie ma u nas nikogo, kto nosiłby pierścień Sillanów.

— Jesteś tego pewien?

— Przysięgnąć bym nie mógł. Wiem tylko, że pierścień z tym znakiem nie rzucił mi się nigdy w oczy.

— Nie musiał. To, że ktoś jest Sillem, nie znaczy, że od razu nosi pierścień. Jeżeli go ma, to pewnie nim jest. Przecież jeśli widzisz żołnierza, który nie ma na piersi medalu za odwagę, nie powiesz od razu, że nie jest żołnierzem.

— A to coś nowego. Uważasz więc, że pierścień nie jest znakiem rozpoznawczym, ale odznaczeniem za zasługi?

— Tak. Księżę cieni ma się na baczności przede wszystkim przed swoimi Sillanami, którzy jeszcze nie zasłużyli sobie na pierścień! Kiedy zauważysz u jakiegoś człowieka piętno Kainowe, nie musisz się niepokoić, czy czasem nie jest adeptem na ścieżce zła! To, że u was jeszcze nikomu nie przyznano tego znaku, nie świadczy jeszcze, że nie ma wśród was Sillanów! Przy podstępności Emira można być Sillem, nie wiedząc nawet o tym. Tak, sam nie możesz być pewien, czy nie służyłeś mu kiedyś w jakiś sposób! Nie twierdzę, że to któryś z twoich Dżamikunów cię zdradza, ale pytam, czy jesteś przekonany, że w waszym małym królestwie panuje tylko światło!

— Niestety nie jestem. Ta okolica była zamieszкана kiedyś przez Massabanów, „nieszczęśliwców”, którzy troszcząc się o swoje „utrzymanie”, zeszli na najgorsze bezdroża. Zupełnie bez skrępowań rzucali się na wszystko, co im wpadło w ręce. Zaczepili nawet szlachetnego handlarza szmatami, który tędy przechodził, i po takim spotkaniu nieborak mógł iść dalej już tylko z pustymi rękami.

Kiedy Pedehr wypowiedział ostatnie słowa, Ustad, który do tej pory milczał, nagle się ożywił:

— Gorszych rozbójników nie można sobie wyobrazić. Każdy tutaj drżał o swoją własność. Te szumowiny napadały bez namysłu, nad nikim się nie litując. Dzisiaj za ofiarę wybierali sobie bogacza, jutro w ten sam sposób obdzierali do nitki ubogiego szelmę. Jestem niemal przekonany, że nieraz deptano duchową własność i ograbiano nawet dusze Schillera i Goethego z ich *Panny i Fausta*. Massabanowie najchętniej przebywali po tamtej stronie w starych murach, zamieszkiwanych niegdyś przez pobożność zaginionych ludów. Tam czuli się bezpiecznie. A jak się gospodarzyli, możesz przekonać się, przechodząc tamtędy i próbując odszukać coś świętego. Nie znajdziesz niczego oprócz resztek spustoszenia, które zdmuchnęło wszystko, co niegdyś mieniło się boskim majestatem.

Spojrzał na mnie badawczo i zapytał:

— Czy rozumiałeś, o czym mówiłem, efendi?

— Tak — odparłem. — Ja, właśnie ja nie musiałem daleko szukać Massabanów. Niezłe zaszli mi za skórę, chociaż nie jestem ani Sc lerem, ani Gothem. Ich dostojne maniery przypominające zewnątrz obyczaje Dinarunów wzbudzały moje zaufanie. Później jednak przejrzałem ich na wskroś; chodziło im tylko o to, żeby wykorzystać mnie i moją broń przeciwko dzielnym ludziom. Towarzystwem im wtedy w drodze do ich własnej pułapki i nie bałem się wykonać skoku śmie ponad przepaścią, nad którą stanęliśmy. Teraz chyba przekonałem cię że rozumiałem, o kim była

mowa! Byli jeszcze na tyle bojaźliwi, ostrzegali mnie przed tym skokiem, a jednak nie zawahałem i pozostawiłem ich uwięzionych w Dolinie Worka.

— I uszedłeś z życiem, będąc w stronach, z których wyruszali swój zbójceki łup! — dodał Ustad. — Czy jesteś w stanie pojąć nienawiść, która miotła nimi, kiedy wypędziłem ich z tej okolicy! Oni, którzy nawet między sobą bez przerwy się gryźli i skakali sobie do i natychmiast zaczęli traktować się jak serdeczni przyjaciele, kiedy musieli zwrócić się przeciwko mnie. Wiesz przecież dobrze, jakie było ich ostatnie posunięcie, na które się odważyli; chcieli mnie zgładzić! Wszyscy od razu stanęli zwarci i gotowi, żadnego nie zabrakło! Nawę kobiety przyłączyły się do nich! Nawet najgorsza hołota przywlekła się na wołach i osłach, żeby wziąć udział w niemal pewnym zwycięstwie. Oto są metody działania tych ludzi, których nazywam Massabanami, „nieszczęśliwcami”, a to dlatego, że nawet we wrogu potrafię dostrzec człowieka. Jednak bardziej pasowałyby do nich zupełnie inne imiona, które nie brzmiałyby tak pobłaźliwie! Nie miałem łatwego zadania Musiałem ich wygonić z terenów, które niegdyś zajmowali. Oczywiście bez walki nie chcieli oddać swoich ziem w nasze ręce. Musieliśmy toczyć ciężkie boje. A kiedy nie mogli pokonać mnie siłą, posłużyli się podstępem. Nigdy nie opuściła mnie myśl, że te ruiny kryją jeszcze jakąś tajemnicę, która ich przyciąga. Może szukają czegoś, co przypomina wasze znalezisko z Birs Nimrud, które później wyciągnęliście : światło dzienne. Jeszcze przez długi czas po tym wydarzeniu widzieliśmy w starym budynku ślady obcych stóp, a do dziś zdarza się niekiedy, że ludzie, których kiedyś po dyskretnym przebadaniu wypędziłem stąd, znowu chcieli się tu osiedlić. Wśród nich byli także krewni kilku Dżamikunów, którzy jak się zdaje, nie mogli mi wybaczyć, że nie dopuszczałem tutaj obecności obcych rodzin. To chyba właśnie miał na myśli Pedehr, kiedy zauważył, że nie mieszkamy w królestwie światła.

Kiedy to powiedział, prędko się włączyłem:

— Ciągłe chodzi mi po głowie pytanie: Czego właściwie szuka tutaj mirza? Dlaczego ten teren jest dla niego taki ważny, jeśli zaniedbuje całą swą dotychczasową ostrożność, by odzyskać swoje dawne wpływy?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Co ci przyszło do głowy? Owszem mogę coś takiego podejrzewać, ale to tylko domysły.

— Oprzytomnij wreszcie i pomyśl, coś przed chwilą mówił! Mirza zapomniał się w swojej zuchwałości i odkrył przed nami swój dotychczas dobrze ukrywany plan. Jeżeli on, taki chytry lis, odważył się na tak nierozważny krok, to już świadczy o tym, że gra toczy się o wielką stawkę. Za nic ma sobie duchowe i moralne prawa. Gdzie one panują, tam władza wymyka mu się z rąk. Hołduje głupocie, która ani nie widzi, ani nie słyszy, a także niezadowoleniu, które ciągle woła o wsparcie, gdyż samo jest zbyt leniwe i zbyt mało doświadczone, żeby sobie pomóc. Musi zabić prawdziwą, niezakłamaną wiarę w Boga, dającą siłę i odwagę do walki w życiu, i udawać pobożnisia, który każdego kto go pogłaszcze po twarzy, uważa od razu za anioła swojego nieba. Na ziemi nie może być wiosny, która wymiata z pól wszystko co przestarzałe. Wszędzie musi zalegać kurz metrowej grubości, a jeśli gdzieś płynie jakaś woda, musi ona być mętna i ospała! Wówczas zlecają się nocne upiory, które są wszystkim tylko nie duchami. Fruwają wszędzie, trzepocząc cicho swoimi skrzydłami. A gdy opuszczają się na lud, wysysają mu do reszty krew płynącą w jego żyłach. Wówczas nie będzie już widać radosnych ludzi, skąpanych w czystym Bożym świetle. Blask padnie tylko na

zgrzybiałego starca, a wszystko dookoła zamieni się w... krainę cieni!

— Tak właśnie było tutaj, dokładnie tak jak mówisz! — przytaknął Ustad. — Pustynia ducha, podobna do raju, o którym ci opowiadałem. Płaski, odludny, pustynny kraj, w którym mieszkają tylko cienie. Głupota pełzała przez zwały kurzu zalegające ziemię. Złość, zgrzytając zębami, pałętała się po nocy. Stroniące od pracy próżniactwo, udające świętoszka, biło się w pierś i chwyciło łapczywie okruch głupoty. Wyzyskana pilność leżała niemo w suchym piachu. A ponad nimi i jeszcze tysiącami innych cieni krążyły z niedosłyszalnym trzepotem ciemne nietoperze, które słusznie nazwałeś wampirami. Tak, tak prezentowali się mieszkańcy tej smutnej ziemi i moi obecni Dżamikunowie, kiedy do nich przybyłem. Nasłuchiwałem się już co prawda nie „ludzkich jęków” i niejednokrotnie doświadczyłem na innych i na sobie „ziemskiego cierpienia”. Zupełnie jednak nie wiedziałem, że ta niedola nie była zrzędzeniem losu i że wynikała raczej z żądzy krwi, którą pałały owe nietoperze. Zadawałem sobie pytanie, czy można w ogóle temu zaradzić. Widziałem całe chmary tych wampirów i czułem, ogarnia mnie strach. Otrząsnąłem się z niego i pomyślałem. Jeden człowiek nie dałby im rady, nawet tysiące ludzi nie byłoby w sta niczego wskórać. Ta nocna zwierzyna jest chroniona przez siły wiek od ludzkiej słabości, przez siły ciemności. Jednak światło jest od nic potężniejsze. Jeśli udałoby się zanieść je do budowli, do której już dawna nie miało dostępu, wtedy te wampiry będą musiały uciec światło dzienne, gdzie każdy od razu je rozpozna i wówczas bęc mógł ich unikać.

Ustad po tych słowach wziął na chwilę głębszy oddech i wówczas włączył się Pedehr:

— To, o czym mówiłeś, zdążyłeś już wcielić w czyn. Nie znaliśmy cię jeszcze; nie udzieliliśmy ci pomocy, a pomimo to odważyłeś się wybrać sam do ruin. Dzięki swojej odwadze pozyskałeś nasze serca.

— To było dużo prostsze, aniżeli się wydaje! — roześmiał Ustad. — Wcale się nie zakradałem. Poszedłem tam przy pełnym świetle dnia i powiedziałem, kim jestem. Z początku wzięto mnie cień, który został wrzucony do ich ciemności ze świata światła. Ich niewiedza również nie była w stanie zmusić mnie, żebym posunął się dej oszustwa. Wyjąłem swoją świecę i zapaliłem ją. Nie mieli nic przeciwko temu. Zdawało się, iż mały płomyk sprawił, że nawet tutaj zagościła radość. Aczkolwiek mógł tylko uwydatnić tę ogromną ciemność, a ludziom z zewnątrz posłużył jako dowód, że w ruinach zaczęto cenić światło.

Wówczas wtrącił się Pedehr:

— Dostrzegliśmy to światło. Przyciągnęło nas. Poszliśmy do budowli. Najpierw pojedynczo, a wkrótce całą grupą. Wdarliśmy się do środka. Zrobiło się jasno, jako że mieliśmy ze sobą świece. Nagle przez wszystkie korytarze przeszedł przeraźliwy jazgot. Wszędzie trzepota i przemykały owe stworzenia. Oświetliliśmy wszystkie kąty, szukają nietoperzy. Uciekały przed nami, poszukując wyjścia. Ten kto stał dworze, widział, jak umykają z murów niczym spłoszone, obłąkane myśli, żeby tuż za rogiem prędko zniknąć. Nie obchodziło nas to, że wewnątrz budowli mogły znajdować się jeszcze następne, ukryte gdzie głęboko, bo nie mieliśmy zamiaru wykorzystywać jej dla siebie.

Obudowaliśmy nasz dom w świetle słońca i do dzisiejszego dnia nie mieliśmy powodu, żeby tego żałować.

— I nie będziecie mieć — powiedziałem. — Teraz jednak zastanawiam się, dlaczego nie wiecie na pewno, czy wówczas nie pozostał gdzieś w ukryciu któryś z Massabanów. Czy nie przeszukaliście dokładnie ruin?

— Przeszukaliśmy! Ale tylko do miejsca, gdzie były one dostępne, są jednak także stare, na wpół zasypane korytarze, których nie penetrowaliśmy, bo i nie mieliśmy takiej potrzeby. Byliśmy tak zajęci budową duaru, że nie znaleźliśmy już czasu na odkopywanie starych lochów.

— W porządku! Dajmy sobie z tym spokój! Musimy zająć się Emirem–i–Sillanem. Chwalił się bezczelnie tym, że Massabanowie to jego straż przyboczna. Powiadał, że przy pomocy żołnierzy jest w stanie odebrać wam znowu tereny, które kiedyś należały do tych ludzi. Nie uczyni jednak tego, jeżeli zgodzicie się, żeby to on miał na was decydujący wpływ. Dlaczego? Musi mieć przecież jakieś powody! Czyżby miały one jakiś związek z tym, że nie znacie jeszcze pewnej części ruin? Zajmiemy się tą sprawą później, jeśli będziemy mieli na to czas. Jest jeszcze jeden bardziej ogólny i zarazem istotniejszy powód, dla którego Emir–i–Sillan wchodzi wam w drogę. Już kiedyś o tym napomknąłem. Nienawidzi prawa, bo ono odbiera mu władzę. W jego interesie leży, żeby je zdeptać, tak by nie mogło się odrodzić. To jest dokładnie ten sam duch, który waszą kamienną piramidę, piętro po piętrze, pozbawił jej pierwotnego przeznaczenia, by zasiedlić ją ludzkimi szumowinami. Właśnie wtedy, kiedy już osiągnął swój doraźny cel i mógł rozpocząć realizację tego, o co go podejrzewam, pojawił się Ustad, żeby wspólnie ze swoimi Dżamikunami przepędzić całą hałastrę...

— A o co go podejrzewasz? — zapytał mnie Ustad.

— O tym później! — odparłem. — Abyście mogli podążać za moim tokiem myślenia, wystarczy, jeśli będziecie wiedzieć, że Emir–i–Sillan traktował wasz teren jako bazę dla swoich planów i do dzisiaj go tak traktuje. Być może nawet wasze ruiny są dla niego więcej warte aniżeli ruiny Birs Nimrud. Zdaje się, że jego plany są już bliskie urzeczywistnienia. Gdyby było inaczej, nie pojawiłyby się osobiście i nie zdradzałyby się, a tym bardziej nie odważyłyby się tak otwarcie mówić i wprost wysuwać swoich żądań.

— Wydaje mi się, że za bardzo się wszystkim przejmujesz.

— Ja tak nie uważam. Rozważam wszystko chłodno i obiektywnie. Mirza odkrył dzisiaj karty, które pokazuje się dopiero wówczas, kiedy chce się nimi zagrać jako ostatnimi i najwyższymi atutami. Skąd na przykład to dziwne zainteresowanie wyścigami? Jakie znaczenie ma dla niego gonitwa? Czyżby chciał wygrać od was kilka koni, czy wielbłądów? Uwierzysz mu, że mówi prawdę? A może jest to dla niego tylko pretekst, żeby zatrzymać się tutaj na jakiś czas i zwiedzić sobie okolicę, nie rzucając się nikomu w oczy? Będziemy czujni i mam nadzieję, że uda nam się przejrzeć jego zamiary! Myślałeś, Ustadzie, że przesadzam. Pomyśl jednak, o jakiego człowieka tutaj chodzi! To jest ogromna różnica, czy tajne plany tworzy zwykły żołnierz czy wysoko postawiony generał. Jeżeli książę tej miary Ahriman mirza odgraża się za plecami szachinszacha, że was zniszczy, chełpi się swą tajemną siłą, robi wam zwariowane propozycje, których: żaden rozsądny człowiek nie jest w stanie pojąć, to nie może tui chodzić o zwykły bunt, który żołnierz podnosi przeciwko swojemu kapralowi, lecz o sprawę niesłychanie ważną, i to nie tylko dla ciebie i twoich Dżamikunów!

— Zamierzasz mnie straszyć, efendi? — zapytał z niepokojem.

— O nie! Chcę tylko cię przekonać, że musimy być ostrożni. Jeżeli mirza nadal będzie taki gadatliwy jak dzisiaj, będziemy mogli przynajmniej spać spokojnie. Nie może tylko podejrzewać, że zaczynamy przenikać jego plany. Dlatego nie wolno nam wcześniej przeszkodzić mu w jego spisku przeciwko Dżafarowi mirzie, dopóki nie nadejdzie odpowiednia pora. Zakleimy więc z powrotem jego list do „kata”. Multasim w każdym razie musi go dostać.

— Ale jak?

— Tak, żeby nie zorientował się, kto był posłańcem.

— Mogę to załatwić w Isfahanie. Przecież on tam mieszka!

— Tak! Tak zrób! Zaraz przepiszę list i alfabet. Kopia może się nam w przyszłości bardzo przydać.

Zająłem się przepisywaniem obu dokumentów do swojego notatnika. Kiedy uporałem się z tym, Ustad zwrócił się do mnie z pytaniem:

— Całkiem możliwe, że w Isfahanie natknę się na Dżafara mirzę. Czy o niczym mu nie mówić?

— Nie. Wolę, żeby na razie go nie informować. Dzięki temu Ahriman mirza niczego nie zauważy. Namówi Dżafara mirzę, żeby przyjechał z nim tutaj. To doskonała okazja, żeby winę za morderstwo rzucić później na nas, okazja której Ahriman z pewnością nie przepuści. Dżafarowi wspomnij tylko jedno: że ja tutaj jestem. Kiedy to usłyszy, na pewno tu przybędzie. Będziemy wówczas wiedzieć już nieco więcej aniżeli teraz i przekazemy mu sprawdzoną informację, a nie tylko nasze podejrzenia.

— Kiedy mówiłeś o wysiłkach, jakie się podejmuje, żeby ściągnąć Dżafara na zawody, przypomniało mi się, że jest właścicielem najszlachetniejszego i najlepszego konia w całej Persji.

— To wielkie słowa, wielkie słowa! — zauważyłem.

— I prawdziwe!

— W każdym razie sam go nie hodował? — Nie. To prezent od szachinszacha.

— Dżafar go zmarnuje. Nie jest dobrym jeźdźcem i nigdy nim nie będzie. Przekonałem się o tym, kiedy spotkałem go pierwszy raz.

— Jesteś znawcą, a jednak się mylisz. Ani Dżafar, ani nikt inny nie zmarnował tego konia, ponieważ żaden człowiek nie jeździł na nim.

— Dlaczego?

— Przyczyna jest niezmiernie prosta. Nie da się ujeździć tego najwspanialszego z pełnokrwistych koni, nie ma takiej możliwości.

— Ach to tak! — zawołałem z niedowierzaniem. — Ale przecież w Persji są wspaniali jeźdźcy!

— To prawda! Próbowali go dosiąść najlepsi i najbardziej cierpliwi śmiałkowie — na próżno.

— Czy nikomu nie udało się go dosiąść, czy też każdy spadał?

— Ani jedno, ani drugie. W siodle można usiąść i wcale się nie spada. Rumak stoi posłusznie jak baranek; ale niestety stoi tak i wcale się nie rusza. Nie uczyni kroku, nawet najmniejszego! Przynęta i bat na nic się zdadzą, zwierzę ani drgnie, jakby nogami wrosło w ziemię.

— A jeżeli się go poprowadzi, gdy ktoś już siedzi w siodle?

— Będzie szedł, dopóki się go ciągnie, ale ani kroku dalej. Zastanawiałem się już, czy to u niego naturalne czy wyćwiczone przez tresurę.

— Naturalne... wyćwiczone przez tresurę? Tresurą nie można wymusić czegoś, co jest wbrew naturze. Można co najwyżej przesunąć nieco granice woli i możliwości, nic poza tym. Jeśli zwierzę z miłości do swojego pana robi coś, przed czym wzbrania się jego natura, albo nawet jeśli samo stopniowo znajduje przyjemność w szkoleniu, do którego jest przyzwyczajane, a które nie ma nic wspólnego z jego naturalnym instynktem, to nie można mówić o tresurze. Co innego jeżeli tresurę prowadzi się przy pomocy bata, a co innego jeżeli zwierzę z własnej woli robi coś, czego je wcześniej nauczo. Przy koniu Dżafara nie stanął jeszcze nikt, komu udałoby się przy pomocy tajemnych gestów czy jawnych gróźb zmusić zwierzę do robienia czegoś, przed czym usilnie wzbrania się jego natura. Ono potrafi myśleć, ma własną wolę; samo o sobie decyduje i z niespożytą energią realizuje swoje postanowienia. Niejeden człowiek mógłby brać z niego przykład. Nie da się zwieść ani przyjaznym namowom, ani gróźbom, ani brutalności. To koń najszlachetniejszego rodu! Zwykła szkapą będzie posłuszna z samego strachu, dopóki ma nad sobą bat. Szachinszach nie przyzwyczajają go do ślepego wykonywania poleceń. Miłująca i dobra ręka sprawiła, że to szlachetne zwierzę otrzymało imię Syrr, i tylko ten, kto potrafi tak samo miłować, jest w stanie odkryć, co się kryje za tym słowem.

— Powiedziałeś Syrr? To niesamowite! — krzyknął.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Właśnie takie imię nosi ten koń. Nazywa się Syrr. Czy słyszałeś może już o nim, czy też przypadkowo użyłeś tego słowa?

— Przypadkowo? Wiesz przecież, że dla mnie przypadki nie istnieją! Nic więcej nie wiedziałem zresztą o tym koniu, poza tym powiedziałem.

— Ale chyba nie twierdzisz, że zrządzenie boskich sił czy znaczenie sprawiło, że użyłeś tego słowa! To byłoby śmieszne! Wybacz mi to sformułowanie!

— Ja nic nie twierdzę, nie przeczuwam i nie snuję wniosków. Powtarzam tylko, że nie istnieje dla mnie przypadek, ten przyjaciel powierzchowności. Często nazywa się go też „ślepy los”. Ale on tylko pozornie jest losowy, a już na pewno nie jest ślepy. Kto, spokojnie czeka i ma oczy szeroko

otwarte, ten na pewno rozpozna ukryte nici.

— Ukryte nici pomiędzy tobą a tym Syrrem? — Zaśmiał się. — Efendi, efendi, ty chyba wierzysz w cuda!

— A kto je powiązał? Ty sam! — odpowiedziałem równie pogodnie. — Zwróciłeś uwagę na słowo, które dla mnie nie było wcale takiej niesamowite. Jeszcze się okaże, czy twój ton zdziwienia był autentyczny. Jeśli tak, to twoje uniesienie jest dla mnie bez znaczenia. Dżafar nigdy nie rozmawiał z szachinszachem o tej tajemnicy?

— Rozmawiał! Opowiadał mi o tym. Władca dopytywał się go kiedyś, jak się miewa koń. Dżafar zwierzył mu się ze swoich kłopotów i opowiedział o wszystkich nieudanych próbach, które do tej pory podejmował. W tym momencie szach uśmiechnął się w głębi serca, i powiedział: „Kiedy pojawi się prawy człowiek, koń od razu i zawsze będzie mu posłuszny, ale tylko jemu. To jest mój Syrr. Żaden człowiek go nie zgłębi”. Dżafar nie zrozumiał tych słów. Dla mnie też są one niejasne. Co o tym sądzisz, efendi?

— Nic! Syrr znaczy „tajemnica”, a nawet „misterium”. Uszanujmy ją, zanim nie sprawdzimy, co się za nią kryje. Taka jest wola władcy!

— Na dzisiaj powinniśmy skończyć. Proszę cię, pozwól mi poprowadzić się na górę do twojego mieszkania.

A zwracając się do Pedehra, dodał:

— Dopilnuj, żeby wysłać kilku gońców do Bagdadu, jeśli tylko będzie gotowy list do oficera. Mają przyprzewodzić go razem z jego służącym. Oficer może nie chcieć bez niego podróżować. Dla ciężkiego Kepeka będą musieli zabrać lektykę umocowaną na wielbłądzie. Inny środek lokomocji byłby dla niego udręką.

W tym momencie rozstaliśmy się z szejkiem. Zszedł na parter. Ustad natomiast wziął jedną z dwóch świec, żeby pójść za mną na górę.

Naprzeciwko poranka

Po opuszczeniu jego izby znaleźliśmy się przed drzwiami rupieciarni.

Ku mojemu zaskoczeniu otworzył je i wszedł do środka.

— Wejdz, efendi! — rzekł. — Podejdz bliżej!

— Dlaczego? — zapytałem zdziwiony.

— Podarowałeś mi te rzeczy, ale wiesz przecież, że cokolwiek należy do mnie, należy też do ciebie. Chociaż mój wewnętrzny głos sprzeciwiał się temu, musiałem cię sprawdzić. Próba wypadła wyśmienicie, dużo lepiej niż się tego spodziewałem. Kiedy podarowałeś i te rzeczy, wyglądałeś, jakby jakiś ciężar spadł ci z serca. Pomyśl, co mogło być! Z kolei kiedy oddaję ci je wszystkie do dyspozycji, spraw ci to wielką radość. Dlaczego tak się dzieje? Przybyłeś do mnie z kraj gdzie tak naprawdę nie istnieje żadna droga, która wiodłaby do Boga, a ty od razu chcesz osiągnąć cel, bo czujesz, że trzyma cię ręka, której możesz zaufać i która cię nie puści. Wiem, że niczego się nie boisz. Na razie jednak nie odrywaj stóp od ziemi! Jesteś jeszcze za słaby! Nie pozbywaj się jeszcze broni! Nie lekceważ tego ostrzeżenia! Po tym jak wystawiłem cię na próbę, mam nie tylko prawo, ale również obowiązek rozmawiać z tobą tak poważnym tonem!

Uniósł rękę i dobrotliwie pogroził mi palcem. Ten gest podziałał na mnie tak, jakby niespodziewanie spłynęło na mnie szczęście, i ów ruch wcale nie był dla mnie niezrozumiały. Chwyciłem Ustada za rękę, która zawisała w górze, pociągnąłem na zewnątrz izby, przymknąłem oczy i powiedziałem:

— Wychodź z tej naszej rupieciarni i chodź prędko do mnie na górę!

— Co ty mówisz? — zdziwił się.

— Muszę ci coś wyznać. Chodź tylko, chodź! Tak bardzo się cieszę!

— Wyznać? I stąd ta radość?

— Tak! To zwycięstwo, wewnętrzne zwycięstwo, które odniosłeś nad sobą i nade mną!

Szybko za mną popędził, a kiedy znaleźliśmy się u góry, odebrałem mu świecę i ponownie zapaliłem lampę, którą wcześniej trzeba było zgasić ze względu na Persów. Poprosiłem go, żeby stanął przede mną twarzą w twarz. Zmierzyłem wzrokiem całą jego postać, spojrzałem twardo w oczy i powiedziałem:

— Radziłem sobie z tobą, tak jak niejeden człowiek musi radzić sobie z własną duszą. Człowiek

nie wie o niej nic dopóty, dopóki wróg mu jej nie pokaże. O tobie też nic nie wiedziałem do czasu, aż Massabanowie nie naprowadzili mnie na ślady, dzięki którym po raz pierwszy usłyszałem o tobie. Twoja osoba owiana była tajemnicą, jednak wiadomo było, że jesteś tym, o którym „nie można powiedzieć złego słowa”. Zdaje się, że Massabanowie nie tylko cię poważali, ale także czuli przed tobą respekt, a mimo to byli wrogo nastawieni. Jako nieszczęśliwcy umieli tylko nienawidzić. Później spotkałem Pedehra, ale on nie ufał mi i uciekł przede mną. Ja jednak szybko dogoniłem na moim koniu jego ogiera. Było to prawie tak jak w bajce Danyseha, kiedy podczas porannej przejażdżki konnej srebrzystobiały rumak duszy ludzkiej prześcignął najszybszego konia, na którym pędził ludzki umysł. Kiedy później rozmawiałem z Pedehrem, usłyszałem o tobie po raz drugi. Zacząłem wtedy budować sobie w wyobraźni twój obraz. Potem powaliła mnie ciężka choroba, z której wyleczyłem się dopiero tutaj u ciebie. Leżałem nieprzytomny, zupełnie bez życia. Dopiero po jakimś czasie powoli, powoli wracała mi świadomość. Ktoś położył mi rękę na czole, i pamiętam, że czułem wtedy, jakby emanowała z niej jakaś nieskazitelnie czysta, niematerialna siła, która rozpływała się następnie po całym moim ciele. A jakiś niski głos mówił do mnie: „Niech pan ma w opiece twój początek i twój koniec, teraz i zawsze. Amen!”

— To byłem ja — powiedział Ustad.

— Tak, to byłeś ty. Przychodziłeś często, kiedy ja spałem. Później miałem dziwny sen. A może ktoś przyszedł do mnie? Znalazłem się w Haine Mamre przy dębie Abrahama. Nagle przede mną pojawiło się pełne blasku wielokształtne oko ojca narodu wybranego i pozdrowiło mnie słowami „Pokój z tobą!” A kiedy obudziłem się, okazało się, że to ty stoisz koło mego łóża i z podniesioną ręką wypowiadasz te same słowa. Dlatego w moich rozgorączkowanych oczach, a później również w moich snach o wyzdrowieniu urosłeś tak, że upodobniłeś się do tego męża chaldejskiego, któremu Pan Bóg przyrzekł, kiedy ten musiał opuścić swój kraj: „Ciebie uczynię wodzem mego ludu!” A gdy później wróciłem do sił już na tyle, że mogłem się podnosić i siąść na ganku, Przychodziłeś do mnie i przemawiałeś słowami przepelnionymi duchem pierwszego Testamentu, które później wyjaśnił drugi Testament. Teraz nadszedł dzień dzisiejszy, dzień dziękczynienia. Gdybyś mógł urosnąć jeszcze bardziej w moich oczach, to z pewnością nastąpiłoby to na tamym świecie w waszym „Domu Bożym”. Tam okazałbyś się Ahrimanem, nie tylko dojrzałym, ale i zwycięskim. Kiedy spojrzałem na ciebie w górę, niemal zaniemówiłem ze zdumienia. W moim sercu zrodziło się pragnienie, żeby stać się tak potężnym i tak czystym jak ty. Choć zdaje się do końca nie uświadamiałem sobie tego, to właśnie z tej przyczyny zdecydowałem się wówczas wyznać to, co leżało mi na sercu i stać się wolnym wewnątrz człowiekiem. W głębi pragnąłem, żebyś to ty posłuchał mojego wyznania!

— Mój przyjacielu, mój najukochańszy przyjacielu! — zawołał wzruszony.

— Zaczekaj — poprosiłem — i posłuchaj dalej! Było to pewnego wieczoru. Wówczas zaczęły się pojawiać ponure cienie. Wygrzebałeś je z dawnych lat, żeby wyrzucić je ze swojego życia. Ale niestety nie udało ci się! Świeca zgasła. Ledwie mogłem cię dostrzec. Pozwoliłeś swoim cieniom rosnać. Były już tak ogromne jak te, o których mówiłeś w swoim „słonecznym dniu”! Za to ty malałeś w oczach, byłeś coraz mniejszy i mniejszy! Broniłem się przed tym, nie mogłem na to patrzeć, ale nic z tego, ty nadal robiłeś i mówiłeś wszystko, żeby twoja wielka postać nikła bezpowrotnie. Już nie byłeś dla mnie spiżowym Abrahamem bez żadnej skazy i żadnego cienia. Stałeś się małym, bladym ze strachu, płochliwym zajęcem, który zmyka co sił w nogach, gdy tylko cień drzewa muśnie jego norę.

— Maszallah! — wykrzyknął zdziwiony. — Takie odczucia zrodziły się w tobie, żadne inne?

— Tak — odpowiedziałem.

— Jak to możliwe?

— Możliwe? Inne nie mogły się zrodzić — przyznaj lepiej! Mówiłeś dopiero co, że nie wiem, co to strach, że niemal nim pogardzam. I oto nagle przede mną jawi się spiżowa postać. Wygląda, jakby los ją odlał własną ręką i postawił w odpowiednim miejscu na najtwardszym granicie. A ona zstępuje z owej skały i nieprzytomna zrywa się do ucieczki. Przed czym? Przed niczym innym jak tylko własnym cieniem. Czy nie rozumiesz więc, co ja przeżywałem. Czy nie domyślasz się, że wówczas przysło moje wyobrażenie o tobie. Konna przeprawa przez raj twoich myśli, jakaż ona była smutna! Wcale nie z powodu owych głupców, którzy go zrujnowali. O nie, skądże znowu! To z powodu twojej świętej naiwności. Wolałeś zstąpić ze wzniostej góry, aby głodując, żyć na pustkowiach, a później nawet słuchać „gadatliwego drzewa”. Wcześniej byłeś dla mnie kimś niemal tak doskonałym jak obraz „Akhala przewidującego”, tego Akhala, którego żaden człowiek nigdy nie oszuka. Co jednak stało się z owym nieomylnym duchem, kiedy ja „ślepy ze strachu” widziałem go, jak umykał zaszczyty przez fantomy, które go do dzisiaj trapią!

Ustad spuścił głowę i przez chwilę milczał. Potem energicznym ruchem odrzucił ją do tyłu i odezwał się:

— Źle mnie osądziłeś, efendi! Ale nie wiesz, jaki jestem ci wdzięczny! Czuję, że moje wnętrze znowu zajaśnieje. Czy widzisz cienie, które mnie teraz opuszczają i pchają się do drzwi, żeby uciec? Nie? Ja również nie widzę. Ale mam przecucie, że kiedy je wytropisz, będą musiały mnie opuścić. Zawsze mówiłeś mi prawdę. Powiedz mi teraz jeszcze jedno: Czy wierzysz, że mam dość wewnętrznej siły, żeby znowu stać się tym dla ciebie, kim byłem, zanim nadszedł dzisiejszy wieczór?

— Tak! Już nim prawie jesteś! Zanim tu weszliśmy, mówiłem ci o wyznaniu i o swojej radości. Wyznanie już uczyniłem. Radość powinieneś teraz dzielić ze mną.

— Radość? Z czego mam się radować?

— Ciesz się sobą! Pamiętasz, jak surowa była twoja mowa tam na dole w pokoju? To mówił mąż ze spiżu, a nie ktoś zmykający przed cieniami! Jeszcze raz dźwignąłeś się do góry. Swoją stopę znów postawiłeś na granicie. Proszę cię: wracaj na stare, dobre miejsce! Przrzekam ci: Żaden cień, nawet ten największy, nie jest wart, żeby dla niego patrzeć wstecz!

— Patrzeć wstecz! — powtórzył. — Wstecz! W przeszłość! Do ciebie właśnie chcę teraz przyprowadzić wszystkie moje cienie, do ciebie, który zawsze uważasz, że nie warto obracać głowy do tyłu! Wyjdźmy na zewnątrz! Pokażę ci, gdzie się schowały! Uczynię to dla ciebie. Domyślasz się, co zamierzam. Szczęście cię ogarnie. Twoje oczy błyszczą! Mówiłeś o zwycięstwie, które odniosłem nad tobą i sobą. Teraz ty odniosłeś jeszcze większe, dużo większe; nad tymi, od których kiedyś byłem słabszy, zwyciężyłeś je wszystkie, wszystkie, wszystkie! Jeszcze raz cię proszę: Chodźmy stąd!

Zabrał lampę i zaprowadził mnie do swojej biblioteki. Tam postawił ją na stole.

— Tutaj mógłbym opowiadać ci całymi godzinami — powiedział. — Może nawet do rana bym nie skończył. Teraz jednak nie mam na to czasu, więc postaram się przedstawić sprawę krótko, tak krótko, Jak na to zasługują owe cienie!

Wskazał na rząd identycznie oprawionych książek i mówił dalej:

— W nich zawarty jest mój duch. Rozdzieliłem go na poszczególne tomy i dokładnie oznaczyłem, tak jak to ludzie zwykle czynią. Zaglądaj do nich! Później opowiesz mi, czy te książki mają własną duszę!

Wyciągnąłem rękę, żeby ściągnąć którąś z półki. Poprosił mnie jednak:

— Nie teraz! Będiesz mieć na to czas, kiedy wyjadę i nikt nie będzie ci przeszkadzał. Muszę ci coś jeszcze pokazać. Wcześniej co prawda zamierzałem ci wyjaśnić, po co stworzyłem wszystkie te dzieła, ale nie uczynię tego, bo myślę już inaczej aniżeli przed godziną. Poczytasz je sobie. Jeżeli je zrozumiesz, to i mnie zrozumiesz. Te dzieła to tylko szkice, wstępne prace, etudy napisane po to, żebyśmy ja i mój czytelnik mogli nabrać wprawy. Przemilczę, do czego miały przygotować. Czyny to pokażą! Czy wierzysz, że ludzie są aż tak niedoświadczeni, że wezmą spiesznie wykonane ćwiczebne szkice jakiegoś malarza za zupełnie wykończone, gotowe dzieła. Nie? Niemożliwe? Zatem zdaje się, że jestem artystą najwyższej klasy, gdyż nie znalazł się ani jeden, który powiedziałby o moich pracach, że są jak owe ruchliwe, zwinne jaskółki, które jako pierwsze przylatują „do mojej przyjaciółki wiosny”, jak powiada pewien znany poeta.

— Artysta najwyższej klasy! — zaśmiałem się. — Po co ta ironia? Zupełnie niepotrzebna. Ludzie tkwili ciągle w lodach zimy, a jaskółki nie śpiewały według nut stojących na pięciolinii, więc nie rozumiano ich szczebiotu!

Spojrzał na mnie. Początkowo zdziwiony, później zamyślony, jakby coś rozważał, aż w końcu także się roześmiał.

— Gdybym posiadał ten pogodny, złocisty blask, który bije z twoich oczu! — zawołał. Potem, wskazując na ścianę, powiedział: — Spójrz tutaj na te listy! Są ich całe skrzynie. Aż tyle ich dostałem! Płynęła z nich tylko miłość! A tutaj skrzynie z artykułami z gazet. Pełne były nienawiści. Pisali je ludzie, którzy pragnęli mnie zniszczyć. Ustąpiłem im. Obrzydli mi! Ale ja poznałem się na nich! Pokazałem im, skąd się bierze w nich nienawiść! Bronilem się, bronilem i jeszcze raz bronilem.

— Z jakim skutkiem? — zapytałem.

— Musiałem zejść im z drogi! Moje ostatnie słowa, skierowane do tych, którym musiałem ustąpić, brzmiały następująco.

Podszedł do jednej ze skrzyń, wziął leżącą na wierzchu gazetę, rozłożył ją i przeczytał:

Jestem zwykłym człowiekiem. Wy nie chcecie tego pojąć,

bo jesteście już pewnie całkiem nadzwyczajni.

Kiedy tacy bogowie jak wy wleką mnie na miejsce straceń,

ja cicho niosę swoją szatę skazanego.

Bez lęku stoję na mym stosie,

który własnymi rękami mi zbudowaliście.

pozwólcie, by ognisty duch mnie ochrzcił,

duch, w imię którego spalono już niejedno ciało.

Jeśli jednak nie pójdziecie tam, dokąd ja zmierzam,

wasz bóg mnie nie zdobędzie,

bo kiedy ja w czyścicu stanę,

wskażę wam z dumą na swój zwycięski wawrzyn.

Zgodzę się chętnie, żeby płomienie mnie smagały,

bo moja zbroja tylko w ogniu będzie czysta,

jednak moim katom powiem:

Nie chciałbym stać na waszym miejscu!

Kiedy skończył, złożył gazetę i odłożył na miejsce. Po chwili zapytał:

— Czy wiesz, kto mimo woli wdarł się do moich myśli, kiedy pisałem ostatnie wersy? Ghulam el Multasim, „kat” mirzy! Przed moim duchowym okiem leżą teraz, tak nadzy jak on, również moi kaci. Oni także posmarowani byli śliską maścią, która każde ciało upodabnia do węgorza albo węża. Poznasz ich wszystkich, wszystkich! Tu oni są! Masz przecież czas na czytanie!

— Ja? Czytać? Co mam czytać? — zapytałem.

— Ten artykuł z gazety o mnie!

Wybuchnąłem gromkim śmiechem. Ustydził się wyraźnie.

— Skąd ta wesołość? — zapytał.

— Skąd? Jeszcze o to pytasz?! Kiedy wyobrażam sobie ten dziwny obraz, który dopiero co snuł ci się przed oczyma, mimo woli przychodzą mi na myśl „wesołe gazety” drwiące z duchowych przywar! Zadrwiłbym z siebie, gdybym znowu pchał się w błoto, z którego tak długo nie mogłem się wygrzebać. Kiedyś jeden z tych zabawnych żurnali przedstawił właśnie śmieszny obraz tego błota.

Pełne było płazów szeroko rozdziawiających pyski, a jakiś mężczyzna kroczył przez bajorko, które rozpryskiwało mu się pod nogami. Pod rysunkiem widniał podpis:

Musimy brnąć przez błoto życia,

i gdy pryskają przy tym jego mętne wody,

wtedy wszystkie żaby, które siedzą w mule,

lamentują nad naszymi karygodnymi występkami!

— Powiedz teraz szczerze, mój przyjacielu! Czy naprawdę wymagasz ode mnie, żebym jeszcze raz słuchał tej muzyki, którą już na Wskroś poznałem? Kiedy wówczas wstałem z błota, obróciłem się i serdecznie roześmiałem z tych gapiów, którzy męczyli się aż wściekłości, żeby mi pokazać, kim są. Kiedy wspominasz o czytaniu twojej makulatury, ten zabawny obraz staje mi przed oczyma, rozumiesz teraz, o co mi chodzi?

— Tak — odpowiedział. — Rozumiem cię lepiej, aniżeli przypuszczasz!

— Sprawdźmy, czy tak jest rzeczywiście. Mam jedną prośbę. Podaruj mi te gazety!

— Co chcesz z nimi zrobić?

— Spalić. Nie przechowuję nigdy takich rzeczy, a tym bardziej ich nie czytam. Zaraz jak mi wpadną w ręce, wrzucam je do pieca. Tym sposobem żaden cień mnie nie nachodzi. Chcę uwolnić cię od twoich. Czy spełnisz me życzenie?

Chodził od jednej skrzyni do drugiej, przesuwał je nogą i mówił

— To są Furie, Erynie, o których ci opowiadałem. Kłamią jak z nut! Tutaj są ślepi i bezmyślni naśladowcy, którzy potrafią tylko cieszyć z cudzego nieszczęścia. Przysięgają na Boga, że są niewinni, oni tylko naśladują i sami nic nowego nie wymyślają! A tu tak zwani dobrzy przyjaciele, którzy ciągle twierdzą, że chcą ratować, a przy okazji postępują tak niezdarnie, że więcej szkodzą aniżeli wszyscy inni.

— Podaruję je tobie. Zabierz je! Miałeś rację. Chcę już pozbyć się ich wszystkich!

— Ale ja naprawdę je spalę! — zapewniałem.

— Wiem, że to zrobisz i chcę tego. Chcę być wreszcie, wreszcie wolnym duchem!

— Co ty opowiadasz! Chcesz „być wreszcie wolnym duchem”. Czy zdajesz sobie sprawę, co powiedziałaś? Duch może być tylko wolny. Kto zaś jest zniewolony? Może ludzki intelekt, ale nie duch! Nie chcesz zatem już dłużej być istotą myślącą, której intelekt został zaprogramowany przez ludzi, dla których liczą się tylko ziemskie prawa. Chcesz być duchem, który przestrzega ziemskich drogowskazów tylko wtedy, kiedy pokrywają się one ze znakami z jego ścieżek. Zamierzasz stać się

jednym z tych ludzi, którzy sami o sobie decydują i którzy trwają w „trzecim życiu”. Decydujesz się na bardzo poważny krok, ale nie zrobisz go, dopóki ciało — twój poprzedni władca — nie będzie najposłuszniej z twoich wszystkich sług, a twoja chora, nie rozwijająca się dusza — dotychczasowa niewolnica — nie stanie się twoją przyjaciółką, twoją jedyną przyjaciółką. Wiedz zatem: duch duszy nigdy nie odnajdzie drogi, która wiedzie do największego z wszystkich duchów! A więc: Odtąd bądź tylko duchem i... szukaj swojej duszy!

Staliśmy naprzeciwko siebie. Patrzałem mu prosto w twarz, oczekując w napięciu, czy mnie zrozumie. Ustał jednak spoglądał zamyślony na swoje książki, tak jakby tylko tam można było odnaleźć to, czego u niego szukałem.

— Swojej duszy! — rzekł. — Poprosiłem cię, byś spojrział w moje dzieła i sprawdził czy ona tam jest. A jest; wiem o tym bardzo dobrze!

— Dusza? Tylko dusza? To tyle co nic! Albo raczej tak samo niewiele, jakby był w nich tylko „duch”! Ty nie masz mieć ducha ani duszy! Ty masz być duchem i duszą! Jako człowiek masz być „duchem” i jako człowiek masz być „duszą”! Masz być pełnym indywiduum w królestwie duchów i pełnym indywiduum w królestwie dusz, oba złączone w tobie w jedno, jak w gorejącym płomieniu światło i ciepło. Ciało niechaj będzie... knotem!

— Knotem! — powtórzył w zamyśleniu. — Jak w płomieniu światło i ciepło! To jest dusza i duch! Ludzkie ciało jest niczym, niczym, niczym, tylko knotem! A olej, efendi? Może i tego jeszcze się dowiem! Tyle już mi powiedziałaś! Przy tym tak wiele jest spraw, których do końca jeszcze nie rozumiem albo pojmuję je nie tak jak trzeba. Może właśnie dlatego, że mówisz tak prostym językiem. Dlaczego? Kto okłamał ludzki umysł, że tylko to jest warte jego dążenia i pilności, czego nie wytłumaczyła mu wyrażająca się w sposób bałamutny pseudouczoność? We mnie także tkwią pozostałości dawnej dumy, która sprawia, że nadal zachwalam kastę, do której przynależę i język, którym mówię. Ale zaraz obok mam najświętszą ze wszystkich ksiąg. Ukryty w niej duch przemierza światy i niebo, a przy tym posługuje się jednym językiem, który rozumie każde dziecko. Czy ta dziecięca prostota, owa jasność, wystąpiła teraz ze mnie, żeby przybrać twoją postać. Kiedy patrzę na ciebie, wydaje mi się, jakby tkwiła w tobie częśćka mojej duszy, która przemawiając językiem nieskalanej prawdy, językiem, któremu obce są wszelkie dialekty, nie daje się zwodzić dialektowym akrobacjom. Słyszając, jak mówisz w ten sposób, czuję, że jesteś mną samym, tylko młodszym, łagodniejszym, głębiej myślącym, tylko pozornie twardym, a jednak o takiej woli, której nawet to moje odmienne ja nie jest w stanie złamać. Wydaje mi się, jakbyś tylko ty miał pozostać na zawsze młody i tylko ja z nas obu miałbym się zestarzeć. Mógłbym przysiąc, że patrzę przez ciebie, jakbyś był kryształem. Pomimo to nadal cię nie znam. Jesteś dla mnie tajemnicą i być może na zawsze pozostaniesz. Czy zdołasz mi to wyjaśnić?

— Mogę, ale dopiero wtedy, kiedy w tobie zapanuje światło, nie wcześniej! — odpowiedziałem. — Kiedy twoja dusza zajaśnieje, wyjaśnię ci, kim jestem. Chwalisz mnie teraz, ale ta pochwała jest płamą na duszy tak twojej, jak i mojej!

— Czy to nie brzmi równie tajemniczo jak poprzednio?! Chwyciłem go za obie ręce i wezwałem:

— Popatrz mi prosto w oczy!

Uczynił to.

— Kim jestem? — zapytałem.

— Moim przyjacielem — odparł.

— Nie, jestem kimś więcej, kimś znacznie więcej! Zapytam inaczej. Czym jestem? Czym dla ciebie jestem?

Przez chwilę rozmyślał, po czym powiedział:

— Nie wiem. Pchają mi się na język różne słowa, ale żadne trafia w sedno, żadne nie mówi tyle ile trzeba!

— A jednak jest jedno! Jedno małe, małe słówko! I ono jest celne! I mówi tyle ile trzeba, a nawet więcej!

— Co to za słowo?

— Nie usłyszysz go ode mnie. Sam je musisz znaleźć. Jeśli bym ci je powiedział, nie zrozumiałbyś go.

— Myślisz, że je znajdę?

— Tak, z pewnością. Poprowadzę cię do niego.

— Kiedy?

— Niebawem. Może jeszcze dzisiaj, jeszcze teraz, jeszcze zanim rozstaniemy. Mówiłem o świetle i o ciepłe, które są w płomieniu. Wyjaśniłem ci także, co symbolizuje knot. Wówczas spytałeś nawet o olej. Rozmawiamy o duchu i duszy. Jeśli jesteś duchem, którego cię uważam, na pewno znajdziesz to małe słówko!

Tym razem mówiłem jeszcze bardziej dobitnie, jednak Ustad zdawał się być bez reszty pogrążony w swoich myślach. Podszedł do półki, na której stały jego dzieła, wyciągnął jakąś książkę, przyniósł mi ją i powiedział:

— Jeśli mój duch i moja dusza połączyły się kiedykolwiek w jedno tak jak powiedziałeś, to nastąpiło to tutaj, na tych stronach, płomieniem, pełnym płomieniem! Spójrz na niego!

Otwarłem ją. Nie była drukowana, lecz napisana odręcznie, a zatem trzymałem przed sobą rękopis. Na tytułowej stronie przeczytałem *Moja droga krzyżowa*. Poczułem się rozczarowany, nawet bardzo rozczarowany.

— To twoja biografia? — zapytałem.

— Tak — odpowiedział.

— A może twoje usprawiedliwienie?

— Niewątpliwie! Miałem sobie dług do spłacenia!

— Biada ci, Ustadzie, jeśli jesteś jeszcze coś sobie dłużny!

— Jak surowo brzmią twoje słowa! I jak poważnie na mnie patrzysz, efendi! Powiem więc inaczej: musiałem spłacić dług swoim wrogom, światu, który mnie odepchnął!

Podniosłem ostrzegawczo rękę i powiedziałem:

Kiedy świat wyrzuca cię poza progi swoich bram,

idź spokojnie naprzód, porzuć żal;

odrzuć cię — dzięki temu jesteś wolny,

teraz on bierze całą twoją winę na swój garb!

— Jeżeli jesteś duchem, naprawdę duchem, zrozumiesz te słowa i odetchniesz prawdą z nich bijącą, a ona podniesie cię z martwych i zmartwychwstanie! Łazarzu, mówię tobie wstań!

Jego oczy stały się nagle ogromne. Podniósł w górę obie ręce, zbliżył je do czoła, jakby chciał nimi uchwycić i przytrzymać mocno jakąś myśl, i rzekł:

— Co się do mnie teraz zbliża? Kto to jest? Kogo mi dajesz? Nie widzę nic. Nie słyszę nic. A przecież widzę, słyszę i czuję, że coś cudownego jest w pobliżu mnie, coś, co daje nieskończone szczęście! Czuję wyraźnie, że będę wolny! Czy to jakiś duch? A może jakaś dusza?

Odpowiedziałem:

Daj mi swoje serce! Poniosę je do nieba.

Przez Boga pobłogosławione, zwrócę ci je.

Tętnić wówczas będzie zgodnie z niebiańskim rytmem,

ku twojemu i mojemu szczęściu!

— Ustadzie, zapamiętaj sobie te słowa! Niech ten wiersz cię nigdy nie opuszcza!

Przymknął oczy, jakby chciał, aby jakiegokolwiek podszepty z zewnątrz nie zakłóciły tego, co się działo w jego wnętrzu. Nie odzywając się ani słowem, uczynił wolno parę kroków w stronę otwartego okna i wychylił się na zewnątrz.

Trzymałem nadal w ręce książkę *Moja droga krzyżowa* i zacząłem wertować strony, nie interesując się jednak tym, co było na nich napisane. Rzuciły mi się w oczy różne podkreślone zdania. Zatrzymywałem się przy nich nieco dłużej. Tak, były „płomieniem”. Żarzyła się i migiała w nich osmalona złość. Książka kończyła się na Przedostatniej stronie wierszem.

Przybyłem do ciebie w radosnym dniu Hosanny

i zobaczyłem jak triumfalnie jedziesz na koniu przez Salem,

przed tobą wszakże i za tobą maszerował tłum,

który uformował się w żałobny orszak.

Obróciłem wówczas głowę w stronę ściany płaczu

i zimny kamień ochłodził moje rozpalone czoło.

Kiedy ty się radowałaś, mnie ogarnął żal,

bo twój Judasz również szedł za tobą.

Przybyłem do ciebie w dniu „Eli, lama...”

i zobaczyłem twoją głowę wykrzywioną w śmiertelnym bólu.

Kiedy jednak twoje usta mówiły Asabthani,

myśl o nadchodzącej Wielkanocy ogarnęła mnie bez reszty.

Wchodziłeś przecież niegdyś na tę górę,

którą się wielbi jako miejsce przemienienia,

i mocą swojego ducha, którego nie krępowały ziemskie więzy

musiałeś pokonać i grób, i śmierć.

Teraz przybywam w dniu zmartwychwstania

i powiadam ci: kamienie zniknęły.

Uczniowie rychło pobiegli zobaczyć grób

i nie znaleźli twoich zwłok.

Czy duch miał pozostać w grobowcu,

z którego ciało już dawno zmartwychwstało?

Powstań, powstań! Zostało jeszcze tak wiele do napisania.

odtąd jednak tylko... ręką, którą natchnął duch.

Przeczytałem go jeszcze raz, a potem jeszcze raz. Co to za wiersz! Uderzył mnie wcale nie ze względu na swoje walory artystyczne. One nie liczyły się i nie liczą dla mnie. To nie jego forma, lecz duch, który stał przede mną. Widziałem go wyraźnie, z jego wszystkimi zaletami, które mogłem chwalić, i wadami, które musiałem ganić. Człowiek, który napisał te słowa, niewątpliwie był obecny w Jerozolimie również ciałem. Widziałem go, jak przechodził przez bramę Jaffa i szedł prosto po stopniach, które prowadziły na dół, do „świątyni”. Ale nie tam chciał dojść, skręcił w lewo ku ciasnym bazarom, które sięgają bramy Damaszku. Tam zawrócił w prawo w stronę „drogi krzyżowej” i zaczął; wdrapywać się na Golgotę, która stała się przedmiotem fantazji, bo któż tak naprawdę znał właściwe miejsce. W głębokim zaciszu stoi ściana płaczu. Tam słyhać prawdziwą tęsknotę, która ongiś wołała za zbawieniem. Teraz jednak drapie się tam na kamieniach, raniąc palce aż do krwi, po to tylko, żeby otrzymać nędzny bakszysz*. Wszędzie, nie? tylko w świątyni Jeruzalem błagają duszę ludzkości, jeśli straciła ona ducha będącego jej przewodnikiem tu na ziemi, a którego miała później prowadzić do góry! On jednak, ów duch przekrada się cichaczem przez sukh* niskiego życia, mijając naprawiaczy kotłów, kramarzy i rabusiów weksli, szukając duszy, którą stracił dlatego, że traktował swoje serce jak nic nie wartą rzecz! A kiedy jej nie może znaleźć, wychodzi poza mury Salem, przemierza odludne doliny, do których miasto Wyrzucą padlinę zdechłych zwierząt, później wchodzi na Górę Oliwną, gdzie przy drodze do Jerycha zarżnięto stado baranów. A kiedy znajdzie się na samym szczycie i z najwyższego miejsca widzi leżącego, dawnego Jebusa swojego Morijah, aż kipi w nim z oburzenia. Srogo otrzepuje nad Salem ręce, w których niczego nie znajduje i skarży się tonem przepełnionym bolesnym rozczarowaniem: Przybyłem do ciebie... i co znalazłem?!

Ustad stał teraz przy oknie, odwrócony do mnie plecami. Zatopiony w swoich myślach, zachowywał się, jakby mnie nie było. Ostatnia strona jego *Drogi krzyżowej* pozostawała nadal pusta. Na stole stał atrament i pióro. Kim był ten, który mówił w moim wnętrzu? Który nakazywał mi napisać to, co od niego usłyszałem? Spełniłem jego życzenie. Trzymałem się dokładnie jego własnej melodii. To samo metrum i ta sama liczba wersów. Trzy strofy rozpoczynające się identycznie jak u Ustada: — Przybyłem...; — Przybyłem..., i następnie: — Teraz przybywam...! — Nie widział, że coś piszę. Kiedy skończyłem, zamknąłem książkę i odszedłem od stołu. Ustad w tym momencie obrócił się, odstąpił od okna i przemaszerował tam, gdzie przed chwilą pisałem. Przystanął. Niskim głosem zaczął powoli mówić:

— Gdzie ja to czytałem? A może tego nie czytałem. Może ktoś mi o tym opowiadał? A może mi się to śniło? Sam nie wiem, a jednak tkwi to gdzieś we mnie. Muszę ci to teraz wyznać.

Podniósł wzrok i popatrzył na mnie. Jego twarz jakby na chwilę się rozjaśniła i wykrzyknął:

— To miało twoje oczy! Zupełnie te same oczy, które pomimo że pada teraz na nie cień, błyszczą tak jasno! Niesłychane!

Na chwilę się zamyślił. Potem mówił dalej:

— Było to w dniu, kiedy otwarto bramy nieba. Pan powiedział: „Wejdźcie do środka, chcę was zbawić!” Wszyscy, niezliczone tłumy spełniły polecenie. Wśród nich także ci, którzy byli dla mnie przeznaczeni. To była Dżanneh, promień boskiego słońca!

Ależ słowo! Dżanneh! Duch Ustada zaczynał wreszcie myśleć jasno, Pewnie i czysto. Wyraźnie słyszałem i widziałem, że odnalazł właściwą drogę.

Ciągnął dalej:

— Szukała mnie. Jakże trudno było mnie odnaleźć. Leżałem w najgłębszym, najbardziej oddalonym zakątku ziemi, u mojej bladej babci okryty nędzą, chodząc w podartych strzępach jej płaszczka. Głodowałem. Było tak ponuro i tak ciemno pod moim nędznym przykryciem. Wówczas mała rączka chwyciła je za róg i podniosła nieco w górę. Promyczek słońca przypelzł do mnie i w mojej głowie, dokładnie tam gdzie się kończą nerwy słuchowe, zabrzmiały ciche i pełne miłości słowa: „Teraz mam ciebie! Jestem pozdrowieniem z Bożego Królestwa Niebieskiego i jako dusza będę zawsze przy tobie. Trzymaj mnie jednak mocno! I wyjdź do nas z tego kąta, na światło! Jeśli nie chcesz mnie stracić, prowadź swojego ducha ku górze, nigdy na dół! Ja potrzebuję boskiego tchnienia; unikam chorych wyziewów z głębin!” Zrzuciłem więc swoje łachmany i wyszedłem na światło i ciepło dnia. Teraz dopiero zobaczyłem, ile daje człowiekowi Łaska Boża, i myśląc o babci, której była ona potrzebna, chwyciłem mocno za ten obfity dar. Wtedy nadbiegli ci dranie pędzący hulaszczkę życia, którzy niewiele robiąc sobie z jej nędzy, pozazdrościli jej nawet podartych ubrań. Tłuste, obwieszane złotem ręce złapały wychudzoną dłoń biedaczki, żeby wydrzeć jej to, co zdobyła w pocie czoła. Zaczęła się walka! W krótkich chwilach przerwy widziałem wpatrzony we mnie jasne, łagodne oczy, z których ciągle jednak przebijał smutek, a głos płynący z duszy szeptał mi do ucha: „Ostrzegam twojego ducha! Nie mógł tego widzieć: łachmany były skrzydłami!” Jednak duch rozgniewany podniósł się przede mną i dochodził swoich „świętych praw”. Posłuchałem go, a prośba duszy przebrzmiewała w tych dniach walki, których końca nie było widać z coraz większej, większej oddali, aż wreszcie przestałem ją w ogóle słyszeć. Również oczu babki nie zobaczyłem już nigdy więcej. Zgasło dla mnie ich posępne wejrzenie!

W tym momencie przerwał. Jego twarz przybrała smutny wyraz, który w chwilach zapomnienia z pewnością często u niego gościł. Ale kiedy zaczął mówić dalej, lico znowu mu się rozpogodziło:

— Wówczas przybyłeś ty, efendi! Byłeś nieprzytomny, chory, słaby, aż w końcu wyzdrowiałeś. Widziałem, jak przechodzisz wszystkie stadia. Im więcej wypoczywałeś, tym twoje oczy stawały mi się coraz bardziej znane. Myślałem i myślałem, aż wreszcie odkryłem: Dżanneh, mój promyk słońca! Czy dusza człowieka może mieć oczy? Nie pytam! Bo pytałem już wówczas, kiedy chciałem się dowiedzieć, kim był ten, którego mi dałeś! Kiedy przed chwilą stałem tam przy oknie, czułem, że w moim wnętrzu robiło się coraz jaśniej i jaśniej. Nie jest jeszcze całkiem jasno; ale będzie, będzie, będzie! Efendi; również dzisiaj leżę w najdalszym, najgłębszym zakątku ziemi. Pod moim i płaszczem jest tak strasznie zimno i ponuro. Znowu czuję bliskość mojej babci. Czy ktoś przybędzie tak jak wtedy, żeby podnieść duchowe łachy i przynieść mi z powrotem mój boski promyk słońca, mój Dżanneh, na który przestałem zważać w zawierusze życiowej walki aż w końcu go zgubiłem?

— Tak — odparłem. — Ktoś nadchodzi. Jest tuż, tuż!

— Kto? — zapytał.

— Ja. Ja nim jestem! Czy naprawdę chcesz, żebym podniósł twój płaszcz?

— Tak! — skinął głową, a jego oczy zabłysnęły.

— I znowu tak jak wtedy wyrzucisz go i wyjdiesz na światło dzienne?

— Na pewno, na pewno! Jakże chętnie!

Odciągnąłem go od stołu, chwyciłem rękopis i powiedziałem:

— Tutaj jest! To ona! Twoja *Droga krzyżowa*, twoja biografia, twoje usprawiedliwienie, to są właśnie te stare łachmany, które tak samo jak tamte skrzynki trzeba wrzucić do pieca! Proszę cię, podaruj mi ją także!

— Rękopis, cały rękopis? — zapytał zdziwiony.

— Tak, cały!

— Nie znasz go przecież! W ogóle go nie przeczytałeś! Przeczytaj przynajmniej wiersz, który jest na przedostatniej stronie!

— Ustądzcie, Ustądzcie! Myślisz, że tym wierszem uratujesz całe dzieło! Tak, to prawda: twoja babcia siedzi przy tobie, żeby spośród łachmanów wydobyć dla siebie duchową nędzę, wygłodniałe niedołęstwo umysłowe, bezsilną niemoc, o które wszyscy biją się z zapalem, uważając za bezcenne skarby, chociaż otwarcie nikt nie chce się do tego przyznać! Myślałeś, że nie znałem tego wiersza. Znam go lepiej aniżeli ty. Posłuchaj! Powinieneś zobaczyć, jak fruują te łachmany!

Otworzyłem na przedostatniej stronie i przeczytałem. Oczywiście nie tym tonem, którym on by mówił, gdyby sam miał czytać. Czytałem ironicznie, głosem świętoszka, z jak największym namaszczeniem, a przy ostatnich czterech wersach mój głos przybrał nawet sarkastyczne brzmienie. Kiedy skończyłem, spojrzałem na niego.

— Efendi, zniszczysz mnie tym! — zawołał.

— Nie ciebie, lecz twoją babkę! Uważasz, że można być dumnym z takich duchowych cieni? Wiem, co czynię; ale nie mam litości dla tych bojaźliwych duchów, które zerwały podarte szaty Zbawiciela, żeby sprzedać je rzymskim najmitom, bo same nie były dosyć silne i odważne, żeby postępować tak jak im przykazał: „Niech każdy weźmie krzyż swój i pójdzie za mną!” Nosiłeś łachy w twoim „czasie Hosanny”; to było śmieszne! Nosiłeś je w twoim dniu „Eli, lama...”; to było aroganckie! A teraz chcesz je nosić nawet w twoim „dniu zmartwychwstania!” Co by wówczas nastąpiło?! Rzekome zmartwychwstanie przemieniłoby się w profanację zwłok! Widziałem w twoim rękopisie podkreślone zdania. Mówisz w nich o Królestwie Bożym, o zbawieniu) A skąd wiesz, że akurat twoje królestwo niebieskie spodoba się innym ludziom? Czy naprawdę nie znałeś tych, których Chrystus pobłogosławił w swym Kazaniu na Górze? Ty wolisz uszczęśliwiać głupców, którzy postępują wbrew temu, co przykazał mistrz! Jakże znakomity był ten duch, wokół którego po upływie

dwóch tysięcy lat jeszcze gromadzą się wszystkie wielkie, szlachetne duchy, żeby spoglądać na niego w górę. Gdzie się podziewa twój? Może u stóp Chrystusa? Szukam go tam wprawdzie, ale znaleźć nie mogę. Może w cieniu. Zbawiciela? Ostrzegam cię! Niech wyjdzie na światło! A teraz posłuchaj już na koniec: jakże wysokie jest twoje mniemanie o swoim duchu! Oni który ucieka ze strachu przed marami, powinien teraz zmartwychwstać, porzucić myśl o ucieczce, odważyć się wyjść ze swojego „grobu”, ku zgrozie i przerażeniu tych, przed którymi tak nieprzytomnie zmykała Mówisz o swojej „ręce natchnionej duchem”. Ode mnie powinieneś się dowiedzieć, czego możesz spodziewać się po tej ręce! Zatem patrz!” Przewróciłem ostatnią kartkę w książce i podałem mu. Zobaczył nowe wersy.

— Wiersz! — wydusił z siebie.

— Moja odpowiedź na twój — wyjaśniłem.

— Kiedy to napisałeś?

— Gdy stałeś przy oknie. Czytaj na głos! Zaczął czytać:

Przybyłem do ciebie z moim promykiem słońca;

Ty jednak nie zechciałeś nas przyjąć;

Myślałeś, jakim wielkim jesteś duchem,

i chętnie się jeszcze swoim duchowym darem.

Zaprzagnąłeś być pisarzem wieczności,

który ludzką ręką pisze dla ludzkich oczu,

ale zamiast tego sam się stałeś rękopisem,

który nie zapisany spoczywa w skrzyni.

Przybyłem do ciebie z moim słonecznym światłem.

Ty jednak byłeś przekonany, że promieniujesz swoim własnym.

Tliło się ono być może, ale nigdy nie rozpalilo,

i drogo trzeba było zapłacić za lampę.

Chciałeś rozniecić światu płomień,

żeby jak głupiec na chwilę poczuć się szczęśliwym,

ale w tym momencie zagaśł knot

i pogrążyłeś się w ciemności.

*Teraz przybywam z całym blaskiem słońca,
w którym duchy modlą się przed swoim Panem.
Już ostatni raz, chociaż z całego serca
chcę zbliżyć się do ciebie w pełni mej jasności.
Rozumiesz bowiem także teraz ten wielki cud,
który choć tak prosty to jednak nie zawsze,
tak samo ty niczym knot w lampce giniesz,
bo twojemu duchowi brakuje śladu światła!*

Kiedy czytał, jego ton z początku był wysoki. Myślał, że w ten sposób zachowuje metrum. Ton był głośny i pełen zarzutów. Jednak już po pierwszych wersach głos mu się obniżył. Musiał zwolnić, bo myśl wzbraniała się, nie mogąc nadażyć. Następowaly nawet krótkie przerwy. Twarz Ustada stawała się coraz poważniejsza i poważniejsza. Gdy skończył, przeczytał po cichu jeszcze raz.

Pełen napięcia oczekiwałem, co teraz zrobi. Nie patrzył w ogóle na mnie. Nie odezwał się ani słowem. Wolno się obrócił i znowu podszedł do okna. Nie ruszałem się z miejsca, stałem spokojnie, cierpliwie czekając. Spokój wypełnił także moje wnętrze. Nie zakłócała go żadna myśl. Nie drgnęło we mnie żadne uczucie. Moje serce waliło. Słyszałem je. Czy był we mnie ktoś, kto w milczeniu się modlił?

Ustad odszedł od okna. Czy to możliwe, żeby twarz zmieniła się w tak krótkim czasie? Z jego oblicza jakby zniknęły wszystkie chmury. Oczy zabłysnęły. Stał przede mną i ostrożnie, powoli zaczął wrywać z rękopisu ostatnią kartkę tak, żeby jej nie zniszczyć. Potem wyrzucił za siebie swoje dzieło. Odbiło się od ściany i spadło na stare gazety. Wówczas zawołał pełnym radości głosem:

- Efendi, masz to wszystko, wszystko! *Drogę krzyżową*, biografię, a przede wszystkim „usprawiedliwienie”, którego tu na ziemi nie jestem nikomu dłużny! Spal to, tak prędko jak tylko możesz, razem z tą makulaturą gazet! Teraz nareszcie, nareszcie cię zrozumiałem.

*Kiedy ludzie wyrzucą mnie poza progi swoich bram
i do krzyża będą chcieli przybić,
moje winy zostaną mi odpuszczone,
Podczas gdy oni będą musieli dźwigać jeszcze swoje!*

Podniósł wysoko swoje oblicze. Z jego czoła biła groźnie uroczysta, bezlitosna powaga, a oczy ciskały gniewne płomienie. Kiedy zaczął mówić, jego głos brzmiał bardzo nisko:

— Miałem podążać swoją „drogą krzyżową”, czy napominać swoich wrogów, żeby dostrzegali swoją belkę, a nie żdźbło w moim oku? Od którego monarchy, czy może od Pana Boga, otrzymali polecenie, żeby sprawować sąd nade mną? Czy może jako wybitne umysły stali dużo wyżej ode mnie? Nie! Gdyż wówczas w ogóle bym ich nie interesował! Byli knotami takimi samymi jak ja, niczym więcej; tak, nieraz mieli swój olej, a pomimo to korzystali z mojego! I to jest właśnie to, co ich wyróżnia! Jeśli nie znajdą kogoś, by z jego błędów móc żyć w ich latarniach nastanie ciemna noc. Jednak wystarczy, że chociaż raz kogoś znajdą, a przez długie lata go nie puszczą, żeby pożreć nieboraka do reszty, jak niegdyś się stało z siedmioma chudymi i siedmioma tłustymi krowami we śnie faraona! Kiedy później duch w kraju podrożeje, zostaną przynajmniej uratowani od śmierci głodowej... na wieczne szczęście całego narodu! Czy muszę dać się im wziąć na rogi? Czy dlatego, że popełniałem błędy, grzechy innych miały mnie wypędzić ze świata, do którego mam prawo przynajmniej takie jak oni? Jakie duchowe czy ziemskie prawo ma skazać mnie na to, że bym był jedynym pośród milionów, który ochoczo przyznaje się do swoich wad, podczas gdy pozostali poszyją tkwiąc w swoich, widząc mnie i ciesząc się z mojego nieszczęścia, doznają rozkoszy? A teraz myślą, że umarłem i mnie pochowano. Czy nie jest to haniebne, że bym ciągle skamlał tutaj, w swoim „grobie”, zamiast zwawo się poruszać, tak żeby aż kamienie pode mną pękały.

Przespacerował kilka razy po pokoju tam i z powrotem, potem zatrzymał się przede mną i kontynuował swą wypowiedź:

— Mówi się, że groby bardzo często są miejscem narodzin błędnych ogników. A zatem nawet nie knot, lecz tylko gazy gnilne. Także na moim grobie iskrzą się błędne ogniki. Efendi, wstaję; muszę wyjść na zewnątrz! Pytałeś mnie, czy rzeczywiście zdecydowałem się znowu wyjść na światło dzienne. Dałem ci moje słowo i dotrzymam go. Tam leży łachman płaszcz. Zabrałeś moje usprawiedliwienie, więc żadnemu człowiekowi nie jestem nic winien. Jeszcze zanim rzucisz go do ognia, wezmę jeszcze raz do rąk część swojego życia. Czuję je, jest pełne dawnej siły. Niczego nie straciłem, tylko czas, i zacznę teraz tam, gdzie kiedyś skończyłem.

— Tylko czas! — odpowiedziałem. — Ustądie, Ustądie, od czasu nie ma nic cenniejszego, co mógłbyś stracić! On nigdy nie powraca!

— Bądź pewny, że co trzeba nadrobić, to nadrobię!

Ale znowu będziesz potrzebował na to czasu, który znowu będziesz musiał nadrobić! A odkąd teraz zaczniesz? Od miejsca gdzie przerwałeś swoją pracę, czy od miejsca gdzie wcześniej mieszkałeś?

— Zacznę od obu. Muszę, muszę! Pomyśl o swoim wierszu, którym odpowiedziałeś na mój. Wszystko inne wyrzuciłem; ale kartkę z twoim wierszem zostawiłem. Noszę go w swoim sercu. Ile miałeś racji, kiedy naigrywałeś się z „głupca, który na chwilę chce poczuć się szczęśliwym”? Czy Bóg naprawdę jest tylko miłością, niczym innym? Czy nie jest także sprawiedliwy? Dopóki uważałem, że powinno się obdarzać mnie tylko miłością, w niebie, którego się uczyłem, nie było niczego innego poza miłością. Jednak kiedy musiałem wic się pod pięścią nienawiści i podkradała

się do mnie jadowita zazdrość, poznałem, że do tej pory się myliłem. Czy niebo jest tak biedne, że za miłość i za nienawiść płaci tą samą monetą? Czy tylko Bóg ma prawo wymierzać karę złemu, a człowiek już nie, a ja nie? Tysiące deptały mnie swoimi stopami, twierdząc, że nie ma innej drogi ku szczęśliwości. Czy musiałem wziąć za prawdę ich pomyłkę, gdy rozgniatali mnie na miazgę? Często rodzą się we mnie gniewne pytania, choć nie mam odwagi na nie odpowiedzieć. „Miłujcie waszych nieprzyjaciół” rozbrzmiewa mi w głębi. I oto przed chwilą zjawileś się ze swoją „szczęśliwością głupca” i łuska spadła mi z oczu. Tak, to jest przykazanie Chrystusa: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół!” i będę go przestrzegać, dopóki żyję i istnieję. Zdaję sobie jednak sprawę, że miłość nieprzyjaciół pojąłem równie źle jak miłość w ogóle. Kiedy wróg nastaje na mnie, chcąc mnie zniszczyć, muszę postąpić z nim równie surowo, ale tak, żeby go ocalić. Na tym polega prawdziwa miłość nieprzyjaciół, a nie na sentymentalnym ich traktowaniu! Otwarta dłoń dla każdego, kto podaje otwartą dłoń; zaciśnięta dla tego, kto zaciska przede mną swoją. Chcąc oszczędzić nieprzyjaciół, wyjechałem z kraju i umarłem dla nich. Co osiągnąłem przez to dla siebie i dla nich? Nic! Dlatego zdecydowałem, że do nich wrócę i nadrobię zaległości. Wejdę wśród nich jako ten sam co kiedyś, a jednak zupełnie inny. I...

— ...pokażę im pięść! — przerwałem mu. — Prawda, Ustadzie?

— Tak — skinął głową.

— A twoi Dżamikunowie...? Co z nimi zrobisz?

Spojrzałem mu z powagą w oczy. Spuścił wzrok. Nastąpiła chwila przerwy, ale bardzo krótka. Znowu podniósł wzrok, wyciągnął do mnie rękę i odpowiedział, śmiejąc się radośnie:

— Co to za młodzieńcza pochopność na stare lata! Wybacz mi w imię mojej wierności! Jak mógłbym opuścić tych, którzy nigdy, nigdy mnie nie opuścili! Widzisz, jak łatwo gniew prowadzi na złą drogę, nawet mnie, który się najpierw zastanawia, zanim zrobi jakiś krok!

— To nie byłeś ty; to był dawny cień. Tylko wydał ci się większy aniżeli w rzeczywistości! Zapragnąłeś wrócić do kraju, który stał się dla ciebie obcy, i do miejsca, gdzie skończyłeś pisać. Z jednego zrezygnowałeś, a co z drugim?

— Obcy, powiedziałaś. Masz wiele racji! Kraj... ale praca chyba również!

— Zgadzam się! Pióro odpoczywało, ale przecież nie twój duch. Prawdziwy duch nie wie, czym jest cofanie się. Pokażę ci, o czym musisz pisać. Chodź ze mną i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia!

Chwyciłem jego prawicę i poprowadziłem go przez środkowy pokój na płaski dach. Zataczając ręką łuk nad okolicą, mówiłem dalej:

— Tutaj rozpościera się twoje królestwo, królestwo pozornie niedorosłych, do którego wypędzili cię pozornie dorosłych. Oczy tych niedorosłych widzą lepiej i wyraźniej aniżeli oczy tych, którzy uważają się za mądrych. U drugich zostawiłeś swoją przeszłość, z którą zerwałeś. Zgódź się, żeby zrobili z nią, co im się żywnie podoba! Są nadal tylko ciemnymi, znikającymi coraz bardziej cieniami

czasu, które układają się za każdym spośród nas, kto patrzy w słońce. A słońce zmienia swoje położenie. Spójrz na wschód! Ruiny leżą ciągle spowite w ciemnościach, jednak mgła kłębi się już nad jeziorem. Zwiastuje i że zaczyna budzić się ze snu wszystko, co nie chce tkwić w głębi. Ziemska tęsknota jest już więc obecna. Brakuje tylko świetlistej siły z nieba, która miłością opromieni ziemię, spełniając jej tęsknotę. Ciche tchnienie oznajmia nam poranek. Myślisz, że zwodzi nas, myślisz, że ranek nie nadejdzie?

— Nadejdzie na pewno, z boską pewnością! — odparł.

— Powiedz zatem: czy ta pewność jest tylko w czasie, który dzień w dzień odmierza te same godziny? Czy nie ma jeszcze innych poranków, które przychodzą po nocy? I innych mgieł, które właśnie się kłębią jak te nad jeziorem Dżamikunów? Rozpaliłeś w tym kraju wolę dążenia ku niebu. Widzę teraz, jaka okazuje się ona silna. Była noc, poczułem jednak tchnienie, które ciągle niezawodnie oznajmia poranek. Myślisz, że są tacy aroganci, którzy swoją noc przeciwstawiają światłu, żeby w ten sposób unicestwić dzień? A gdyby to szaleństwo, które bierze do ręki taką broń, zaczęło naprawdę działać, tchnieniem zdmuchnęłoby słońce, jednym oddechem strąciłoby gwiazdy i do powstałej w ten sposób ciemności dołączyłoby okropną ciemnotę swojego umysłu, wówczas szaleństwo zapanowałoby wszędzie! Cała zgraja takich ciemnych szaleńców na jednego jedyne ludzkiego ducha, który napelniony jest jasnością i światłem, a stanie się to, co jest nieuniknione: nie ci obłąkańcy wciągną go w ciemności, lecz on rzuci światło na ich iluzję i oświetli wszystko, co się za nią kryje. Rozwieje ich mgły, nastanie dzień, przed którym runą cienie. To jest ta inna boska pewność, która nieubłaganie się zbliża i która wychwyci każdą maskę, poderwie każdą zasłonę, i wydobędzie na słoneczne światło wszystko, co ukryło się ze strachu przed jego jasnością.

— Wszystko to prawda! — przytaknął. — Wiemy przecież, że nadchodzą cienie, które dziś się tu zjawily. Toczy się wielka walka, która zadecyduje, czy nastanie światło czy mrok. Kto zwycięży, o tym mówi prawo natury. Przypuszczam, że nie przyjdą tu jawnie. Siostrą ciemności jest tajemniczość. Jeżeli zamierzają nas pokonać, zapewne będą chcieli jak najszybciej wykorzystać swą wygraną. Dlatego obawiam się, że wróg przybędzie nie tylko nad jezioro, ale że zajmie cały nasz kraj. Muszę więc zadbać, żebyśmy byli przygotowani również na taką ewentualność. Jak widzisz, nie myślę już o swoim poprzednim świecie, do którego jeszcze niedawno tak mi było spieszno. Zostaję tutaj razem z moimi Dżamikunami, żeby zakończyć to, co kiedyś rozpocząłem. Dla nich zbudowałem alabastrowy namiot i muszę ich wspierać, dopóki nie zajdą do góry. Co napisałem „swoją natchnioną” ręką, niech pozostanie na zawsze wierszem. Wcale nie umarłem i nie patrzałem poza granice, której nie przekroczył jeszcze żaden żyjący człowiek.

— W takim razie nie zrozumiałeś do tej pory! — powiedziałem.

— Czego? — zdziwił się.

— Słów mojej ostatniej zwrotki: „Rozumiesz bowiem także teraz ten wielki cud, który choć tak prosty, to jednak nie zawsze...”! Uważasz się za poetę, bo piszesz wiersze. A jednak nie wiesz, czym jest wiersz i jak powstaje. Zagłębiasz się w myślach, przyodziewasz je w piękne słowa i rymujesz to, co chcesz napisać, ale to nie jest jeszcze wierszem. Prawdziwy poeta również najpierw myśli i dopiero potem pisze, ale Jego poezja odnosi się do życia i rzeczywistości, a nie buja gdzieś w obłokach. Jednemu brakuje tego, co inny przeżył. Jeden ma ducha, drugi zaś jest duchem. A ten duch

nie zna granicy, o której mówiłeś. Bramy innych światów stoją przed nim otworem. Wchodzi i wychodzi Przez nie. Kiedy powraca, żeby opowiedzieć, co tam widział, może mówić tylko językiem, który jest zrozumiały tutaj, w świecie materialnym. A przełożenie z języka ducha na język materii nie jest rzeczą prostą. Można się nauczyć tej sztuki jedynie dzięki ciężkiej pracy i wyrzeczeniom. Nie znam nikogo, kto po mistrzowsku opanowałby tę umiejętność; wszyscy zatrzymują się na poziomie ucznia. Tłumaczenie takie nie jest również pracą wdzięczną; wdzięczną w ziemskim znaczeniu tego słowa. Kto chce wytłumaczyć duchowe życie, nie znajdzie w naszym świecie ani jednej formy, ani jednego pojęcia, które byłoby adekwatne do tego, co chce nam przekazać. Musi zadowolić się ziemskim kształtem i ludzkim słowem, które jednak są zupełnie niewystarczające, żeby mógł osiągnąć swój cel. Nie jest w stanie powiedzieć wyraźnie tego, co ma do powiedzenia, i pokazać, co powinniśmy zobaczyć. I kiedy stoimy przed nim, pozostajemy ślepi i głusi na jego trud, pomimo że wszystkie cielesne zmysły mamy sprawne. Poważny człowiek, który potrafi logicznie myśleć i odczuwać mocno i czysto, wnet domyśli się, że chodzi o coś niewypowiedzianego i dlatego będzie się starał z całych sił wyostrzyć swój wzrok i słuch. Dzięki tym staraniom urośnie jego własny duch i sam będzie mógł uczyć następnych pojmować tę trudną sferę.

— To tak mniej więcej, jak ja muszę rosnać — wtrącił Ustad.

— Kto jednak nie jest człowiekiem o szczerym sercu — kontynuowałem — i z jakiś powodów nienawidzi czystego ducha, ten rzuca się wściekle na to biedne słowo i na niepożądany kształt i zadaje sobie trud, żeby oba zniszczyć. Jeśli uda mu się, wówczas głośno się chwali, że pokonał ducha, a jego kompani obwołają go wodzem. Jeśli jednak się nie powiedzie, wtedy okrywa swą kompromitację płaszczem zuchwałej drwiny i zamiast targać się na ducha, atakuje człowieka, wydzierając mu wszystko, co uczyniło go człowiekiem. Co za radość tych, którzy myślą tak samo podle jak i on! Równie zapalczywie rzucają się na znieawidzonego. Urągają mu, potępiają go, wyrzucają i biada mu, jeśli jest kimś innym niż tylko człowiekiem, który stoi pod pręgierzem! Wiesz teraz, Ustadzie, jak niewdzięcznym, jak ryzykownym zajęciem jest pisanie „ręką natchnioną przez ducha”? Gdybyś ty miał pisać tą ręką, natychmiast zostałbyś wyśmiany. Obrzucono by cię wyrafinowanym, brutalnym kłamstwem, żeby wypatrzeć to wzniosłe pojęcie, które kojarzy ci się ze słowem „duch”, i przeinaczyć je w „upiora”. Twierdzono by szyderczo, że nie myślisz o królestwie duchów, którymi są wielcy, szlachetni ludzie, lecz o krainie duchów, o której istnieniu krążą tylko zabobony. A nawet jeśli nie mówiłbyś językiem ludzi, lecz aniołów, głupcy nie byłiby w stanie cię zrozumieć, a wrogowie nie chcieliby cię pojąć, przypisywaliby ci za to wszystkie możliwe cechy i zamiary, tylko nie te dobre!

— A rozsądni, efendi?

— Nie mogą ci pomóc, ponieważ są bezsilni wobec władcy twoich przeciwników. Możesz polegać tylko na sobie. Sam, całkiem sam, w najgłębszej otchłani samotności swojej duszy, mocno, silnie, nieugięte... zupełnie obojętnie musisz stawić czoło każdemu błotowi, którym u»dą cię obrzucać, każdej nikczemności i złośliwości, którymi będziesz opluwany. Nawet ci, którzy są do ciebie przywiązani, będą cię źle rozumieć) gdyż trzeba by wieczności, żeby nauczyli się pojmować sens, ducha i duszę przez słowo i przez kształt. A zatem również oni nie stoją przy tobie, po twojej stronie. Ale właśnie ta samotność, to opuszczenie jest twoją najlepszą i jedyną ochroną. Jeśli jesteś dosyć silny, żeby zgodzić się na takie wyrzeczenie, wówczas stanie ci się ono miłe, nieskończenie miłe.

Twoje ucho nie będzie już dłużej czułe na pochwały czy nagany, a wszystko, co na ciebie się oburzy, będzie musiało bezsilnie się w sobie zapaść.

— Nie rozumiałem nic z tego co powiedziałeś — przyznał. — Również wyrzekałem się, później jednak odnalazłem swoich Dżamikunów. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był tak samotny, jak mówiłeś.

— Jeśli więc chcesz, to pisz sobie swoją uduchowioną ręką; wkrótce się przekonasz ile to warte! Spróbuj wyłożyć swoim czytelnikom w języku materii, czym jest duch, czym dusza, a prędko się przekonasz, że twój wysiłek poszedł na marne. Ukaż im choć raz pełne ludzkie ja, o którego istnieniu w ogóle nie mają pojęcia, pomimo że psychologia rozwinęła się tak bardzo. Przedstaw im kawałek po kawałku te kształty, o których myślisz, tak żeby natychmiast pojęli, jaki będzie tego skutek? Nikt nie zrozumie, o czym właściwie piszesz, i dlatego wszyscy pomyślą, że twoje książki dotyczy wyłącznie spraw materialnych. To, co widzácemu mogłoby wycisnąć Łzy, u ślepców budzi śmiech. Zostaniesz nazwany kłamcą, blagierem... Powiedzą, że jesteś samochwałą, że robisz sobie autoreklamę. Nikt nie będzie bardziej arogancki niż ci głupcy, którzy Stwórcy i człowiekowi, a nawet całej naturze jako najwyższemu prawu, rzucają w twarz swoją ślepą wolę. Co wówczas zrobisz, jeśli ci...

Nie mogłem dalej mówić, gdyż pod nami ktoś raz wystrzelił, a po chwili wystrzał się powtórzył. Zaraz po tym usłyszałem wołanie Kary ben Halefa, który jak wiadomo miał swoje legowisko na płaskim dachu ponad holem.

— Co to było? Dlaczego strzelano?

— Jeńcy uciekają! — rozległ się jakiś kobiecy głos.

— Wallahi! Nie pozwól im dostać się do domu! Zatrzymam ich z góry!

Za chwilę uczynił tak, jak powiedział: strzelił z dachu na podwórze.

— To był głos mojej czujnej Szakary! — zawołał Ustad. — Zejdź szybko do niej, efendi! Dam dzwoniem sygnał moim Dżamikunom; potem dołączę do ciebie. Zabierz swoją broń; nie jest niestety naładowana!

Zapaliłem łożówkę, żeby móc zostawić lampę, i szybkim krokiem zszedłem na dół do „rupieciarni”. Dopóki ludzkość nie żyje w pokoju, człowiek, który nastawiony jest pokojowo, również nie może zrezygnować z broni. Razem z Ustadem przekonaliśmy się teraz o tym. Zabrałem sztucer razem z nabojami i przeskakując schody, zbiegłem na dół. Przed drzwiami prowadzącymi do holu stała Szakara. Jedną ręką zasuwiała rygiel, a w drugiej trzymała pistolet. Na podłodze stała zapalona lampa, a tuż obok niej leżały rzeczy Krwawego Mściciela. Na podwórzu rozbrzmiewały okrzyki. Huczały wystrzały z pistoletu Kary. Osłaniał z góry schody prowadzące do holu. Odstawiłem świeczkę, gdyż zawadzała mi, z gorączkowym pośpiechem załadowałem broń i jednocześnie próbowałem dowiedzieć się czegoś od Kurdyjki:

— Jak to się stało, że trzymając broń w ręku, odkryłaś ucieczkę jeńców?

— Nie pytaj teraz! — odpowiedziała. — Posłuchaj! Dzwony dzwonią! Teraz obudzą się wszyscy nasi wojownicy. Niebezpieczeństwo dla „wysokiego domu” zostało zażegnane. Nieprzyjaciołom pozostało już tylko wziąć nogi za pas.

Ponownie odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi. Kiedy wszedłem do ciemnego holu, z góry zbiegła Hanneh.

— Mój Halef, mój Halef! — krzyknęła. — Jeśli usłyszysz strzały, obudzi się i bardzo zdenerwuje.

Pospieszyła do niego. Zauważyłem, że na szczęście nie wtargnął tutaj nikt obcy. Niemal wszyscy zdążyli już umknąć za bramę. Posłałem za uciekającymi kilka strzałów, nie liczyłem jednak, że ich trafię a jedynie nieco postraszę.

— Rozdzielcie się prędko, prędko! — usłyszałem nawoływanie Krwawego Mściciela. — Nie dajcie się znowu złapać! Szybko do wioski! Wrócimy jeszcze tutaj. Wówczas się policzymy. Zemsta, zemsta!

Dzwony biły dalej pojedynczymi ostrzegawczymi uderzeniami. Strzały rozlegały się również w ogrodzie warzywnym. Później dowiedziałem się, że to strzelał Tifl, który ukrył się tam gdzieś za krzakami. Przybywali pozostali mężowie mieszkający w domu. Na dole we wsi słychać było głośne odpowiedzi z broni palnej. Gdzie się jednak podział Pedehr? Co się stało ze strażnikami, którzy mieli strzec więziennej bramy? Nie widziałem ich.

Dzwony zamilkły i Ustad zszedł do nas na dół. Natrafił na handlarza z Isfahanu, który właśnie spotkał się ze swoim synem. Poprosiłem o zapalenie pochodni, a przede wszystkim o ponowne zamknięcie bramy. Kiedy spełniono moją prośbę, kazałem zwołać wszystkich ludzi. Zbiegli się z takim pośpiechem, jakby dopiero teraz trzeba było zapobiec temu, co już nieodwołalnie nastąpiło. Podniecenie udzieliło się wszystkim, nawet Ustadowi. Ja jednak nawykłem zachowywać zimną krew w każdej sytuacji i nie mogłem się nadziwić, że nie zjawił się jeszcze Pedehr. Kiedy zapytałem o niego, odezwała się Szakara:

— Widziałam, jak szedł do jeńców. Do tej pory jeszcze nie wrócił — powiedziała.

— Gdzie byłaś, kiedy to zauważyłaś? — spytałem.

— Tutaj, w holu. Chciałam, żeby Hanneh i Kara mogli się wyspać, dlatego poprosiłam, żeby pozwolili mi stać na warcie razem z Hadzi Halefem. Przychylili się do mojego życzenia.

— Zawsze dobra i gotowa do poświęceń! — przerwałem jej. — Czego szukał Pedehr u jeńców w środku nocy?

— Tego nie wiem. Nie rozmawiał ze mną, chyba dlatego, że w ogóle mnie nie widział. Kiedy nie

wracał, zaniepokoiłam się o niego i wyszłam na schody. Wtedy zobaczyłam, że brama więzienia była otwarta i żołnierze po cichu wychodzili na zewnątrz. Tak się przestraszyłam, że nie mogłam wydobyć z siebie słowa, a przecież konieczna była pomoc. Pobiegłam więc do domu i zabrałam pistolety Pedehra, które zawsze są załadowane. Wystrzeliłem z obu luf i później zaryglowałam drzwi, żeby nikt z wrogów nie mógł się do was przedostać. Co było potem, to już wiesz, efendi.

Jakaś siła skłaniała mnie do tego, żeby uścisnąć jej dłoń? Uczyniłem to, mówiąc:

— Kiedy duch tego domu śni o błahych rzeczach albo czuwając, okazuje się nieostrożny, dusza musi zawsze mieć oczy otwarte. Ty, Szakaro, stałaś się nią dla nas. Przypuszczam, że Pedehr tkwi teraz w piwnicy na miejscu tych, których sam uwięził. Zobaczmy tam!

— Czy będzie jeszcze żył? — zapytał bardzo podenerwowany Tifl. — Mogli go zamordować!

— Ależ nie! Kto chce wrócić na wyścigi tak jak Multasim, ten Popełnia morderstwo potajemnie, a nie jawnie. Pedehr wszedł mu w ręce jak w da' wa'l Jhana* i nie zdołał zawrzeć z nim właściwej ugody.

— Nie pozostaje nam teraz nic innego jak tylko zachować spokój, a w przyszłości nie popełniać takich błędów jak on. Chodźcie!

Przeszliśmy z dwoma pochodniami przez podwórze. Uciekinierzy przestraszeni strzałami na alarm nie mieli nawet czasu zamknąć drzwi, były tylko przymknięte. We wnętrzu panowała głęboka ciemność, kiedy jednak weszliśmy z naszymi łuczycami, zrobiło się jaśniej. Zobaczyliśmy Pedehra i strażników leżących na podłodze, związanych własnymi sznurami i z kneblami w ustach. Ci, którzy weszli razem z nami do środka, wydali teraz okrzyk zdumienia, a raczej przerażenia. Ustąpił mi drogę i widać było, że cisną mu się na usta bojowe pytania; szybkim ruchem ręki przeszkodziłem mu w tym i powiedziałem:

— Niech nikt z was nic nie mówi! Chodzi tutaj o co innego, aniżeli myślicie. Pedehr uczynił to, czego nie mógł rozkazać. Nie uwłaczajmy więc jego sławie! Rozwiążcie pozostałych. Mogą odejść!

Kiedy przystąpiono do uwalniania strażników, pochyliłem się nad szejkiem, żeby wyswobodzić go z pętów, przeznaczonych dla naszych wspólnych wrogów. Wyciągnąłem mu również knebel z ust. Powoli wstał. Spojrzał na nas i roześmiał się. Niesamowite! Chciał przemówić, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Odezwałem się za niego:

— Nie musisz nic wyjaśniać, Pedehr! Kto pozwolił nieprzyjaciołom odebrać sobie głos, ten nie potrzebuje również wysilać się przed przyjaciółmi.

Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Inni zrobili to samo. Kiedy wróciliśmy na podwórze, przy dużej bramie stali ludzie, domagając się wpuszczenia. To byli Dżamikunowie. Złapali paru zbiegłych żołnierzy i przyprowadzili ich z powrotem. Nie było jednak wśród nich oficera ani Krwawego Mściciela. Poleciałem im wypędzić tych szarych ludzi ze wsi i puścić ich wolno. Kazałem pilnie baczyć na ich konie i zwierzęta, które można było bez trudu wypatrzeć. Dalej nakazałem, żeby wraz z nadejściem świtu przeszukać okolicę i sprawdzić, czy ma uciekinierów, a każdego, kto zechciałby

pozostać, pouczyć batem, że tu u Dżamikunów nie ma czego szukać. Po tych słowach oddalili się, a bramę ponownie zaryglowano. Ustad po chwili zapytał, co należy najpilniej uczynić.

— Najpilniej? — odpowiedziałem, śmiejąc się. — Najpilniej musimy się wyspać.

— Ja też?

— Oczywiście! Żaden wróg nie będzie nam już przeszkadzać.

— Możliwe, ale mamy jeszcze tyle spraw do omówienia i tyle do ustalenia!

— Mój przyjacielu, mówiliśmy już o wiele za dużo, więcej, aniżeli było i jest konieczne. A ustalać? Będzie na to jeszcze czas przed twoim wyjazdem, najpierw się wyśpijmy. Powiem ci szczerze: słowo ma tylko wówczas jakąś wartość, gdy zamienia się w czyn. Pozwól, że od teraz będziemy wojować czynem, a nie słowem! To, że dzisiejszy wieczór i część nocy tak obfitowały w słowa, nietrudno zrozumieć. Mijający dzień dostarczył nam do tego materiału, później nadeszła noc; mgły kłębiły się. Wejdz jeszcze raz ze mną na górę! Przekonamy się, czy jeszcze tam są, czy jeszcze się nie rozplynęły.

Weszliśmy do mojego pokoju. Ciągłe paliła się w nim lampa; zgasilem ją. Na dole w sieni i pod drzewami na podwórzu było jeszcze zupełnie ciemno. Tu na górze jednak otwarte drzwi prowadziły w wolną i pozbawioną cieni przestrzeń.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, kopulaste wierzchołki górskich pasm na wschodzie zanurzone były już w błękicie, mieniącym się niczym szlachetny opał. Wysoko ponad nami podnosiła się nocna zasłona, żeby wkrótce zniknąć w brzasku dnia. W głębi jezioro leżało jeszcze we śnie, ale ów sen był jasny, wolny od mętnych cieni. A mgły, które wcześniej widzieliśmy? Zniknęły? Gdzie? Któż to może wiedzieć!

— Gdzie one się podziały? — zapytałem, pokazując w dół na wodę.

— Zniknęły! — odparł Ustad.

— A te tutaj?

Wskazałem na bibliotekę. Wówczas wziął głęboki oddech i rzekł:

— Tak, tu również kotłowały się mgły, opary, a jednak było to coś zupełnie innego! Jak mam to teraz nazwać?

— Już to uczyniłeś, kiedy powiedziałeś, że na twoim grobie skaczą błędne ogniki. Trafiłeś wówczas we właściwe słowo. Opary musiały dawać migający blask, żeby ten je bez reszty pożarł. Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, kiedy mówiłem, że za dużo było słów. To migotało. Gdzie? Nad starymi błotami! To nic nie szkodzi; oczyści się powietrze. Potem opadną roje kłujących owadów i zjawią się przyjazne myśli, podobne do jasnych dziennych motyli, żeby zastąpić to co szkaradne i zgryźliwe. Mówiłeś o swoim grobie, swoim grobowcu, które jakoby znajdowały się tutaj w twoich pomieszczeniach. Myślisz, że to było słuszne?

Przez chwilę patrzył przed siebie zamyślony, po czym się odezwał:

— Wiesz, że nie jest łatwo zerwać ze starymi nazwami i obrazami, do których się przywykło.

— Oczywiście. Ale czym byłby wówczas twój alabastrowy namiot? Może mauzoleum ponad ukochanym grobowcem? . Wzdrygnął się, spojrzął na mnie jakby radośnie przełknięty i zawołał:

— Efendi, efendi! Cóż za słowo mi rzekłeś! To czego nie zdołałeś wytłumaczyć mi w ciągu poprzedniego dnia i całej nocy, wyraziłeś i dowiodłeś tym jednym słowem! Kto rozpościera swój namiot tak wysoko w górze, tego głupcy mogą uważać za zmarłego. Dla nich przecież umarł każdy mądry, a że oni uważają mnie za nieżywego, więc ja żyję! Efendi, masz rację. Nasze długie, długie ciągnące się godzinami rozmowy były tylko migotaniem i skakaniem błędnych ogników: być może ze względu na kłujące owady i nocne robactwo było to pożyteczne; teraz jednak, dopiero teraz, kiedy wstaje nowy dzień, dałeś mi wreszcie jasne słowo i właściwe światło, dzięki któremu dostrzegam, że tylko ode mnie zależy, czy wyświadczę głupcom przysługę, stając się martwym!

— Spójrz na wschód! Tam tworzy się pierwszy purpurowy rąbek i leniwe promienie całują go z dala. Zbliży się poranek bogaty w poznanie, a jeśli zechcesz, podzieli się nim z tobą.

— Tak, każę go powitać, niech będzie mym nauczycielem! — krzyknął. — Ty jednak musisz odpoczywać i spać przez cały dzisiejszy dzień. Wymagałem zbyt wiele od twojego ciała, które nie jest jeszcze w pełni sił. Efendi, czy będę mógł obudzić cię na chwilę, zanim wyruszę w drogę?

— Tak, koniecznie! Muszę porozmawiać wcześniej z Agha Sibilem, a potem napisać list do Bagdadu.

— Przyjmij więc teraz ode mnie wyrazy podziękowania i zaśnij na sercu miłości, która strzeże ciebie i mnie, opasując nas jak jedną duszę!

Przyciągnął mnie serdecznie do siebie, żeby ucałować moje czoło i usta. Później zszedł do swojego mieszkania. Ledwo zniknął, opadła na mnie słabość, przed którą tak długo się wzbraniałem. Zmęczenie było tak wielkie, że spieszenie odnalazłem swoje łóżko i zaraz się położyłem, nie bacząc na ubranie. Okno było otwarte. Spojrzałem ostatni raz na okolicę. Na niebie było widać pierwsze promienie iskrzące się złotym blaskiem. W chwilę później niebo rozbłysnęło, jakby nagle rozlało się nade mną morze światła. W tym momencie zamknąłem oczy i zasnąłem. Wokół mnie nie było już jednak ciemności. Jakie to było niesamowite!

Szakara

Gdyby jakiś malarz chciał utrwalić na płótnie to wszystko, o czym wczoraj mówiliśmy z Ustadem, najlepiej by uczynił, podpisując swój obraz *Świt w ludzkim wnętrzu*. Wcześniejsza choroba, którą mogłem przypłacić życiem, radość z wyzdrowienia, pobożny ogień w dniu świątyni, pojawienie się grupy bandytów żądnych krwawej zemsty, planowane morderstwo w holu, które zostało udaremnione, to wszystko pomimo mojego wewnętrznego spokoju i stałości zaćmiło mój umysł, prawie uniemożliwiając zakończenie długiej rozmowy. Jednak o wiele silniej kłębiło się w Ustadzie. Jego pogląd na życie sięgał korzeniami tam, gdzie kiedyś aniołowie objawili się Abrahamowi — Heine Mamre, i sprowadzał się do jednego zdania, które kiedyś wypowiedział Chrystus: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół: błogosławcie tym, którzy was przeklinają”. Ta modlitwa była jego złotą myślą, która przyświecała mu przez całe życie, w każdej sytuacji. Wtedy rzucili się na niego z nienawiścią ci, którzy podawali się za chrześcijan, żeby doprowadzić go do ruiny i zniszczyć w nim miłość do bliźniego. Próbował tylko kilka razy bronić się przed nimi; kiedy jednak przekonał się, jaką broń w niego wymierzono, wycofał się w cichą, spokojną krainę milczenia, gdzie rozmyślał nad Chrystusowym napomnieniem: „Jeśli kto bierze płaszcz, nie broń mu i szaty!” W jego wnętrzu kłębiło się od pytań, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi: Kto ma rację? Po czyjej stronie stoi Boża prawda, Boża wola? Przy Chrystusie, który mówił: „Kto z was jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień”? Czy przy cieszących się szacunkiem faryzeuszach i świeckich, którzy w ścisłym porozumieniu z bezbożnikami starali się wyrzucić zapalonych Wyznawców nauki miłości bliźniego poza „wspólnotę wiernych”. Racja może być tylko po jednej stronie! Albo Zbawiciel się mylił, kiedy żądał czegoś, co jest wręcz niemożliwe, albo ci możni cofnęli się z odrazą przed najbardziej chrześcijańskim z wszystkich jego przykazań, gdyż brakowało im samozaparcia, żeby móc je realizować!

Jeśli w Ustadzie kłębią się takie pytania, na które gorączkowo szuka odpowiedzi, to w takim razie wszystko co było w nim do tej pory na trwałe wykształcone, chwieje się w posadach, nękane głębokimi wstrząsami. Dlatego też tak usilnie dąży do tego, żeby wciągnąć mnie w rozmowę i tak długo przyciskać, dopóki nie przekona się wyraźnie, gdzie właściwie należy szukać prawdziwego chrześcijaństwa — przy Chrystusie, czy przy tych drugich. Gdzie należy szukać, wiedziałem doskonale, nie mogłem mu jednak tego powiedzieć, gdyż jasność sama musiała zagościć w jego wnętrzu. Stąd moje powolne postępowanie, wydłużanie naszego materiału, a później także nasza wspólna radość, kiedy odpowiedź zstępowała wreszcie z alabastrowego namiotu.

Zrobiło się jasno. Odczuwałem to nawet w czasie spoczynku. Zazwyczaj nic mi się nie śni, tym razem jednak było inaczej. Kim właściwie byłem i gdzie się znajdowałem? Nie oddychałem, jednak wszystko wokół oddychało! Nie poruszałem się, a pomimo to przelewały się we mnie tysiące, niezliczone tysiące fal szczęścia. Oczy miałem zamknięte, a jednak wokół siebie widziałem niepojęte wspaniałości. Nagle zauważyłem, że mam skrzydła. Leciałem. Gdzie? Przez wieczność! Aż w końcu się zmęczyłem i zacząłem szukać miejsca, w którym mógłbym odpocząć. Odnalazłem je, odnalazłem je znowu, ziemskie miejsce wytchnienia w królestwie wieczności. I gdzież ono się znajdowało? We śnie, w głębokim, głębokim śnie. Pomimo to spocząłem na nim i... otworzyłem oczy.

Słońce stało już w zenicie, a wokół mnie rozjaśniło się i ociepliło. Do mojego pokoju dotarł zapach dnia. Poczułem się silniejszy i tak rześki, jak dawno już nie byłem. Podniosłem się z łóżka i wyszedłem na dach. Na podwórzu siodłano wielbłądy Ustada. Jego samego nie było nigdzie widać. Na lewo, na górzystym pastwisku graniczącym z kompleksem ruin, skubały trawę nasze konie. Tafla jeziora mieniła się lazurem. Mieszkańcy duaru uwijali się w pośpiechu, oczywiście z powodu podróży Ustada. Z dziedzińca, na którym się znajdowałem, można było zejść po stopniach do drogi dzwonekowej. Stamtąd wiła się ona dalej w dół aż do ogrodu, gdzie wytryskiwało źródło. Obok niego pan „wysokiego domu” odgrodził sobie kamieniami kąpielisko w kształcie kręgu, do którego dostępu broniły drzwi zamykane na klucz! Kąpiel w nim bardzo by mi się przydała. Zszedłem więc po górze w dół i stwierdziłem, że drzwi do basenu były otwarte. Jakaż odświeżająca siła przeniknęła moje ciało!

Po kąpeli przespacerowałem się po miękkiej trawie do naszych koni. Ogromnie się ucieszyłem, kiedy mnie poznały! Gdy później odchodziłem, chciały koniecznie pójść za mną, musiałem więc bardzo stanowczo je pouczyć, że teraz sobie tego nie życzę. Kierując się przez ogród w stronę podwórza, mijałem kuchnię. Okna w niej były otwarte. Spostrzegła mnie z nich „krzepka panna”. Wyszła na zewnątrz i wielce zaskoczona moją obecnością klasnęła w dłonie, po czym odezwała się: — Maszallah, ty już nie śpisz, efendi! W całym domu wszyscy musieli poruszać się cicho jak myszki, żeby tylko cię nie zbudzić. Jak bardzo cię umiłował nasz Ustad!

— Gdzie on teraz jest? — zapytałem.

— W swoim pokoju.

— A Agha Sibil?

— Siedzi ze swoim synem w holu. Przez pół nocy piekłam i smażyłam, żeby przygotować prowiant na podróż do Isfahanu. Dla ciebie jednak zawsze znajdę czas. Czy wiesz, efendi, o co poprosiłam Ustada, by przywiózł mi ze stolicy?

— O co?

— O kasawajkę*!

Kiedy to mówiła, jej twarz zajaśniała jakimś dziwnym, zdawałoby się chorobliwym upojeniem.

— Kasawajkę? — spytałem. — Skąd znasz taki strój? Przecież tutaj w ogóle się go nie nosi!

— Widziałam ją, kiedy jeszcze gotowałam u szachinszacha. Nosiły je rosyjskie gospodynie. Muszę taką mieć! Czerwoną i niebieską, zieloną i żółtą. W świetle pochodni wyglądają prześlicznie.

— W świetle pochodni? Hm! Myślałem, że cały czas chodzisz ubrana na biało?

W tym momencie zeszła na dół po schodach, zbliżyła się do mnie, położyła swoje tłuste rączki na moje ramię i przemówiła pełnym szacunku głosem, tak jakbym był jej serdecznym przyjacielem:

— Tak, zawsze na biało! Czasami jednak kolorowo, bardzo kolorowo! Bardziej mi wtedy do twarzy, dużo, dużo bardziej! Mój aszyk* też mi to mówi!

— Masz kochanka, Pekala?

Jej lico pokryło się rumieńcem tak czerwonym jak perski mak. Nadała swojemu głosowi tajemniczy ton i szepnęła mi do ucha:

— Tylko tobie ufam, efendi, tylko tobie! Mam wielką tajemnicę. Chciałam już ją wyjawić wielu ludziom, ale lękam się, że ją zdradzą. Ty jednak masz serce tak dobre i łaskawe, że na pewno jej nie wydasz, kobieta, która ma szlachetne serce, musi mieć męża o szlachetnym sercu. Tylko taki mąż będzie się starał do końca ją zrozumieć. Tifl jest wprawdzie miłym, posłusznym dzieckiem, jednak kobiecego serca potrafi pojąć!

Spojrzała na mnie tak, jakby zaraz miała się rozpuścić. Pewnie wydałoby mi się to bardzo zabawne, gdyby nie naszło mnie przeczucie, wprawdzie jeszcze nieokreślone, ale za to bardzo wyraźne, że oto stoję przed jakimś być może niesłychanie ważnym odkryciem. Człowiek, który ze względów psychologicznych nie budzi zaufania, musi być traktowany z ostrożnością. Dlatego odezwałam się do niej typowym dla mnie przyjaznym, a zarazem poważnym tonem:

— Powiedz mi więc, Pekalo, co miałoby rozumieć w tobie szlachetne męskie serce!

— Trzy rzeczy. Po pierwsze, że można mi zaufać; po drugie, że potrafię być dyskretna; po trzecie, że nie chcę do końca życia być kucharką. Czy rozumiesz mnie, efendi?

— Doskonale!

— Wiedziałam. Jesteś rozsądniejszy aniżeli tysiące innych mężczyzn, którzy nie pojmują szlachetnego kobiecego serca. Dlatego ani przez chwilę nie wątpiłam, że mogę ci wyjawić wszystko, co tałam niemal przed wszystkimi ludźmi.

— Ach więc prawie wszystkimi! Jesteś bardzo roztropna! Najpierw mi jednak wyjaśnij, od kogo właściwie dowiedziałaś się o „szlachetnym sercu”?

— Od mojego aszyka. Nie wiedziałam nawet, że mam szlachetny serce, ale on dostrzegł je od razu i powiedział mi o nim.

— A skąd dowiedział się o takim sercu?

— Od pewnej Angielki, którą spotkał razem z jej Anglikiem; w Buszyrze. Każdego dnia domagała się nowego wachlarza z papieru, mówiąc, że ma szlachetne serce, a jej cera nie może doznać uszczerbku. Dlatego mój aszyk zawsze, kiedy do mnie przyjeżdżał, przywoził mi dwa albo trzy papierowe wachlarze.

— A gdzie je kupował? Czy jest Dżamikunem?

— Co ty mówisz, efendi. Jeszcze żadnemu Dżamikunowi przyszło do głowy, żeby nazwać moje serce szlachetnym! Skądże znowu; mój aszyk nie wywodzi się z tych okolic, poza tym to niezwykle

mężczyzna. Jest dostojnym szahsadehem* z Isfahanu.

— Szczęśliwa kobieto! Od dawna go znasz?

— Już od kilku lat.

— Często cię odwiedza?

— Niemal regularnie co cztery tygodnie.

— Czy ma jakiś określony dzień, kiedy do ciebie przyjeżdża?

— Tak, gdyż tak wysoko postawiony shahsadeh zawsze przybywa w oznaczony czas. Przybywa, kiedy jest pasar gunu*. Gdy nadejdzie wieczór, ściągam z siebie białe rzeczy i zakładam śliczne kolorowe, które zawsze przynosi mi w prezencie. Potem idę do niego do ruin, gdzie spacerujemy przy świetle księżycy i czuję się, jakbym była córką władcy. Gdy jest ciemno, wchodzimy do środka i zapalamy pochodnię.

— A dlaczego spacerujecie tam, a nie tutaj?

— Gdyż mój aszyk może zjawić się tylko potajemnie. Szlachetnym sercom jest ogromnie trudno wiązać się otwarcie. Będziemy mogli pojechać do Isfahanu, dopiero gdy umrze obecny szach. Złożyłam więc przysięgę, że nie pisnę na ten temat ani słówka. A że potrafisz być równie dyskretny jak i ja, podwójnie dotrzymuję swej przysięgi, mówiąc ci o tym.

— Ale właściwie co cię skłoniło do tego, żeby mi o tym mówić?

— Mam bardzo ważny powód. Wszakże pod nieobecność Ustada ty będziesz panem „wysokiego domu”?

— Tak.

— Wiedziałaś. Ustada powiedział, abyśmy bez przekory i ochoczo we wszystkim cię słuchali. A że będziesz sprawować pieczę nad całym gospodarstwem, muszę prosić cię o coś, co być może uratuje życie memu aszykowi. Czuję, że jesteś szlachetny tak samo jak i ja, bo gdyby nie to, nie obdarzyłabym ciebie takim zaufaniem! Ale oto nadchodzi Pedehr. Nie wydaj mnie, efendi! Żaden człowiek nie może się dowiedzieć, żaden oprócz nas! Może już dzisiaj powiem ci coś więcej. Teraz jednak muszę wracać do kuchni!

Ukloniła mi się tak głęboko, jak tylko pozwalała na to jej talia, po czym zniknęła w swojej krainie garnków. Pedehr rzeczywiście zamierzał pójść do kuchni, w końcu jednak zrezygnował i odwrócił się na pięcie, żeby nie przeszkadzać. Było mi to na rękę. Wprawdzie osoba, z którą rozmawiałem, to tylko Pekala, zwykła kucharka, ale mimo to nie miałem nastroju, żeby od razu wdawać się w rozmowę z innym człowiekiem na zupełnie nowy temat.

Jakież to myśli zaprzętały mi głowę do tej pory? Niemalże do tej chwili! I nagle pojawia się Pekala, ta duchowa marność, po dziesięciokroć, po stokroć nic nie znacząca właśnie przez ten swój

promienny i przyjazny kształt! Była nikim, nic nie znaczyła; co do tego nie miałem żadnej wątpliwości. Ale za nią stała cała ciemność gotowa do końca wykorzystać ją ku naszej zgubie! Zupełnie niespodziewanie dowiedziałem się tak ważnej rzeczy, tak niesłychanie ważnej rzeczy! Schowałem się z powrotem w ogrodzie wśród drzew, żeby zastanowić się nad tym, co przed chwilą usłyszałem.

Na początku uznałem, że najlepiej będzie, jeśli na razie nie będę mówić Ustadowi o tej nowej sprawie. Nie wolno mi było obarczać go w podróży troskami, które bardzo łatwo mogłyby odebrać mu klarowność myśli. Pekala w tym momencie przybierała zupełnie nowe, trzecie już z kolei oblicze. Kiedy leżałem osłabiony przez chorobę, uważałem ją za istotę nic nie znaczącą, jednak o głębokim sercu. Później zrodziła się do niej pewna nieufność, której zresztą nie taiłem przed Ustadem. Teraz jednak sprawa była poważna! Jeśli ma się do czynienia z człowiekiem charakteru, który przestrzega jakiś zasad, można przewidzieć jego postępowanie; Pekala jednak jako osoba nie kierująca się zasadami jest nieobliczalna. Pomimo całej swojej uprzejmości jest bardziej niebezpieczna niż niejeden łajdak. Tacy ludzie jak ona podobni są do przyjaznych motyli, które trzeba unieszkodliwić ze względu na ich gąsienice. Niejeden się zawaha, bronić się jednak trzeba.

Kim był ten aszyk, którego szpiegiem została w tak niezwykle śmieszny sposób? W każdym razie Sillem, poddanym Ahrimana mirzy. Odwiedzał ją raz na miesiąc, i zawsze w sobotę. W poniedziałek był wszakże „dzień żołdu”, w którym zbierali się Sillanowie. Na pewno wypytywał ją o wszystko, co działo się u Dżamikunów w czasie, kiedy go nie było, a później przekazywał informacje dalej. W ten sposób Sillanowie zawsze byli doskonale o wszystkim poinformowani, dzieło życia Ustada zależało więc od gadulstwa jednej osoby, jednej i głupiej, zwariowanej kobiety! Któż wie, ile do tej pory wyrządziła szkody! Sama zdradzała, czy też miała jeszcze jakiegoś powiernika? Byłem skłonny przypuszczać, że przynajmniej Tifl, jej „dziecko”, został również wmieszany w tę sprawę. Czy w ogóle można było sądzić, że tajne spotkania „cieni” w ruinach odbywały się bez zdrady i poarciap Dżamikunów? Ja nie mogłem sobie tego wyobrazić. Już wczoraj powziąłem zamiar zbadania tutejszych tajemnic Sillanów, ale po rozmowie z kucharką zdecydowałem, że od niej zacznę swoje poszukiwania, i to możliwie jak najszybciej.

Skierowałem się na podwórze. Koło gotowych do drogi wielbłądów stał już Agha Sibil ze swoim wnukiem. Poznałem go od razu po niesłychanie wielkich wąsach. U nikogo jeszcze takich nie widziałem. Jemu również ktoś musiał opisać mój wygląd, gdyż jak tylko dostrzegł moją twarz, zbliżył się, wymienił nasze imiona, przedstawił mi swojego wnuka i poprosił, żebym zechciał usiąść z nim w cieniu drzew. Pragnęli dowiedzieć się o mnie czegoś więcej poza tym, co znali tylko ze zdawkowych wypowiedzi innych. Naturalnie przychyliłem się ochoczo do jego prośby.

Nie skończyłem jeszcze opowiadać, kiedy z sieni wyszedł Ustad z Pedehrem. Przyłączyli się do nas. Pedehr zachowywał się w stosunku do mnie tak, jakby to co mu zarzucano, w ogóle się nie wydarzyło, dlatego ja również traktowałem go, jakby nic się nie stało. Ustad jednak, rozmawiając z nim, ciągle miał poważną minę i starał się unikać jego wzroku. Kupiec okazał się godnym najwyższego szacunku, odważnym mężczyzną i czuł się nieskończenie szczęśliwy i wdzięczny za to, co mu opowiadałem. Z wielką ochotą słuchałby mnie jeszcze godzinami, musiał się jednak ograniczyć, gdyż trzeba było już ruszać w drogę. Ustad zamierzał jeszcze dzisiaj dotrzeć do spokrewnionych Kalhuranów, żeby przekazać im informację o zadowalającym stanie zdrowia ich

szejka. Zostało nam zatem tylko tyle czasu, żeby omówić to co najważniejsze.

Ustad przekazał mi swój dom z wszystkimi kluczami, a ja jeszcze raz poleciłem jego szczególnej uwadze list z Basry, który miał wysłać „katowi” w Isfahanie. Ostrzegłem go o niebezpieczeństwie, które mogło mu grozić ze strony zbiegłych żołnierzy. Oświadczył mi, że na dole we wsi czeka na niego oddział uzbrojonych Dżamikunów, który będzie mu towarzyszyć, dopóki nie minie zagrożenie. W tym samym czasie, kiedy zwoływano wszystkich mieszkańców „wysokiego domu”, aby Ustad mógł się z nimi pożegnać, powrócił z przejażdżki Kara ben Halef, który dbał o to, by jego koń przed zawodami był w dobrej formie. Zawrócił natychmiast, gdyż za swój honorowy obowiązek uważał towarzyszenie Ustawowi aż do granicy jego terenu.

Ja niestety nie mogłem wykazać się taką uprzejmością. Musiałem pozostać tam, gdzie byłem, i mogłem jedynie wejść na swój taras, żeby zrazu okiem, a później sercem podążyć za tym, z którym pomimo całej dzielącej nas zewnętrznie odległości czułem się wewnątrz nierozłącznie związany. Teraz byłem panem jego domu i przyrzekłem sobie, że będę wypełniać swój obowiązek najlepiej jak tylko potrafię.

Zamierzałem znowu się położyć i właściwie powinienem to uczynić, ale jakoś dziwnie nie odczuwałem najmniejszego śladu zmęczenia. Zszedłem teraz na dół, żeby zajrzeć najpierw do mojego Halefa, o którym dzisiaj nic jeszcze nie słyszałem. Była przy nim Hanneh. W tym samym momencie kiedy pochylałem się nad moim przyjacielem, otworzył oczy i zwrócił je w moją stronę. Jego zapadniętą twarz rozjaśnił miły uśmiech.

— Sihdi, daj mi rękę! — szepnął. — Muszę ją ucałować!

Znałem go i wiedziałem, że nie mogę mu tego odmówić. Zbliżył moją rękę do swoich warg i przytrzymał ją tak mocno, jak tylko mógł. Jego oczy znowu się zamknęły.

— Sihdi, gdzie... gdzie byłeś? — zapytał cichym głosem. — Z twojej ręki bije... życie... moc... i wyzdrowienie! Czy może... spałeś gdzie... gdzie... gdzie...

Nie dokończył, pogrążył się we śnie.

Przeszedłem znów przez ogród na pastwisko, gdzie pały się konie. Jakiś wewnętrzny głos nakłaniał mnie do tego, żeby dokładnie obejrzeć z bliska znajdujące się nie opodal ruiny. Przeczynałem, że w nich ukryty jest początek końca, którego nici trzymałem teraz w słabej jeszcze, niestety, ręce. Z chodzeniem radziłem sobie już o wiele lepiej niż jeszcze wczoraj. Moja silna natura zaczęła zwyciężać. Minąłem konie, po czym skierowałem się w stronę starego muru, do którego dochodziły ostatnie krzewy pastwiska. Stał tam jeden z owych cyklopowych kamieni, rozbity nie wiadomo dlaczego i postawiony na wysoki kant. Rzucił cień w kierunku północnym. Chciałem na nim spocząć i obejrzeć mury. Jednak ktoś już tam siedział... Szakara. Moje kroki były niedosłyszalne. Spostrzegła mnie dopiero wtedy, gdy obok cienia kamienia pojawił się mój cień. Odwróciła głowę, chcąc zobaczyć kto za nią stoi. Kiedy mnie ujrzała, chciała się podnieść. Ja jednak poprosiłem ją, żeby pozostała na miejscu.

Nie okazywała ani śladu zakłopotania, podczas gdy europejska dziewczyna zaskoczona w ten

sposób z pewnością podskoczyłaby i uciekła stąd. Ona natomiast rozpuściła swoje długie, ciężkie, ciemne warkocze i zabierała się do rozczesywania grzebieniem bujnych włosów.

— Nie przeszkadzaj sobie, Szakaro! — odezwałem się. — Jestem tutaj Kurdem, a nie Europejczykiem.

— Europejczykiem...? — Spojrzała na mnie zdziwiona. Później jakby zrozumiała, o co mi chodzi. — Czy u was haniebne jest, jeśli kobieta rozpuszcza włosy przy mężczyźnie?

— Może nie haniebne, ale też nie chwalebne. Nasze kobiety pokazują swoje włosy tylko wtedy, kiedy są one odpowiednio ułożone.

— Odpowiednio ułożone? — Roześmiała się. — Zatem u was jest sztuczny porządek, a nie naturalny? Może tak ma być; ja tego nie pojmuję.

Jakże prosto i naturalnie to zabrzmiało! Jakiż jasny i beztroski był jej wzrok! I jak bez wahania potrafiła zajmować się dalej swoimi włosami! Spojrzałem na ruiny, nie odzywając się początkowo ani słowem. Nie czuło się żadnego powiewu powietrza. Panowała głęboka cisza i tylko... a to co było? Kiedy Szakara dotykała swoich włosów, słychać było jakiś dziwny, trzaskający szelest, powstający wówczas, gdy przeskakuje iskra elektryczna. Zauważyła, że szybko odwróciłem głowę, i zapytała:

— Czy chcesz mi coś powiedzieć, efendi?

— Właściwie nie; ale czy twoje włosy zawsze tak trzaskają, kiedy je czeszesz?

— Tak. Czasem jeszcze głośniej.

— Od kiedy?

— Jak tylko sięgnę pamięcią wstecz.

— Czy znasz jeszcze jakichś ludzi, u których powstają takie same trzaski?

— Tylko jednego jedyne go człowieka, mianowicie Marah Durimeh. Zawsze gdy zaplatałam jej długie białe warkocze, jej włosy rozbrzmiewały tymi samymi dźwiękami, a w rękach czułam, jakby przeskakiwały na mnie tysiące iskier. Powiada, że tak być musi, jeśli między ciało i duszę nie wkrada się nic obcego. Nie słyszałeś ich jeszcze, efendi?

— Oczywiście, że słyszałem!

— U wielu ludzi?

— Nie, tylko u siebie. Dlatego trudno mi jest je z czymś porównać i znaleźć ich przyczynę.

— Przyczyna tkwi w samym życiu, w duszy. Jeśli jest ona nieosłabiona, wówczas jest jeszcze zdolna okazywać swą nadwyzkę sił witalnych.

— Jakże ty potrafisz mówić, Szakaro!

— A czyż można inaczej wyrażać swoje myśli? To, o czym mówię, słyszałam od Marah Durimeh, która była moją nauczycielką od chwili moich narodzin. Ona uwielbia ten szelest; dba nawet o niego i niepokoi się, kiedy słabnie. Opowiada o nim w baśniach z dawnych czasów, gdy ludzie nie wiedzieli w ogóle co to jest choroba. Nie wspominała ci o tym nieznanym poecie, który od razu rozpoznał swoją zagubioną poezję właśnie dzięki temu szelestowi. To był rumak niebiańskiej fantazji, prawdziwy kary ogier z roziskrzoną grzywą, który nie pozwalał dotrzeć się żadnemu innemu człowiekowi, oprócz jego pana, szukającego dalekiej ojczyzny. Skoro tylko pan zasiadł w siodle, obu jednoczyła jedna wola. Kopyta odrzucały czas i przestrzeń; ciemny ogon smagał przeszłość. Pędzący rumak wznosił się ku górze. Chmura, opar i mgła stały się równe twardej skale, a huk galopującego konia rozbrzmiewał coraz wyżej i wyżej, w jasną krainę gwiazd. Przez orbity komet mknęła grzywa, a każdy włos wydawał szeleszczący odgłos z siłą, której źródłem było najwyższe ze wszystkich słońc. Dlatego mógł zaczerpnąć z niego tylko ten, którego artyzm sięgał gwiazd. I znów otwierają się bramy prowadzące w dół, w ziemski czas, a rumak i jeździec piją ze źródła, który tryska z głębi życia, by ponownie powrócić w gwiazdny blask. Jeździec okrył się lekko srebrnym płaszczem, który księżyc zarzucił mu na pierś i ramiona, a jego bujne loki falowały mu na głowie, natomiast powiewająca ciemna końska grzywa trzepotała na wietrze jak podarta strofa, czarna na tle jasnego jak poranek płaszcza. A owa docierająca z góry cudowna siła, która pochodzi z najwyższego ze wszystkich słońc, błyszcząc jasno, przeskoczyła rojem iskier wzbogaconych w myśli z falującą grzywą cudownego ogiera na loki poety, a stąd, rozchodząc się we wszechświat, wydawała szeleszczące trzaski.

Mówiła wolno i naturalnie, bez sztucznego uniesienia, tak jakby ten sposób wyrażania myśli był dla niej czymś normalnym. Zdziwiła mnie nawet bardzo. Nie tyle swoim niezwykle obrazowym sposobem wypowiedzi, gdyż jest on charakterystyczny dla ludzi Orientu, ale bardziej głębią i romantyzmem myśli. Jakiż umysł, spojrzenie i odczuwanie! Jakiż bogaty dziwny świat wypełniał jej wnętrze! Jakież skarby nosiła w sobie ta dziewczyna, która tak skromnie siedziała sobie tu, na ziemi! Właśnie zaczęła ponownie zaplatać w warkocze swoje rozpuszczone włosy. Nie spoglądała w moją stronę, musiała jednak czuć moje, spoczywające na niej, spojrzenie, gdyż odezwała się:

— Efendi, szukasz czegoś we mnie. Spytaj lepiej, jeśli chcesz się o mnie dowiedzieć. Chętnie ci odpowiem.

Zaraz też zapytałem ją:

— Powiedziałaś, że twoją nauczycielką była Marah Durimeh. Czego cię uczyła i w jaki sposób przekazywała swą naukę?

— Jak prawdziwa *muallima**, która nigdy się nie myli i niczego niw robi niepotrzebnie. Najpierw nauczyła mnie czytania i pisania. Później przyniosła mi książki przekazujące to, czego miałam się nauczyć.

— Drukowane książki?

— Nie, na początku nie. Dostałam je dopiero po latach, kiedy uznała, że nie są w stanie zwięść

mnie żadne obce, czy fałszywe myśli. To co musiałam czytać i czego musiałam się uczyć w początkowym okresie nauki, sama mi pisała; tylko dla mnie, dla nikogo więcej. Mówiła, że tak być musi, jeśli mam się stać tą, którą stać się muszę. Konieczne jest, żeby zawarte w tych książkach modele duchowego rozwoju były dokładnie określone: ani kreski więcej, ani kreski mniej. Ale że nie wszyscy ludzie są tak samo pojętni, nie każdy może uczyć się z tej samej formy. Dlatego poza szkołą życia, każda z form była za ciasna, żeby maluczcy mogli się stać wielkimi mędrkami i żeby każdy z nich rozwinął swoje szczególne potencjały. Przyglądasz mi się ze zdziwieniem, efendi. Czy powiedziałam coś głupiego?

— Zadziwiasz mnie, ale z zupełnie innego powodu aniżeli myślisz. Szakara, powiadam ci: Marah Durimeh jest mistrzynią! Czy poza tobą ma jeszcze jakieś inne uczennice?

— Któż to wie! Wprawdzie przeważnie przebywa w ukryciu, jednak gdziekolwiek się pojawi, wszędzie ją miłują, a każdy, do kogo przyjdzie, nauczy się czegoś od niej. Mnie natomiast zabrała kiedyś do siebie. Żyłam u niej i dzieliłam z nią wszystkie trudy i znoje. Z nikim nie musiała się chyba namęczyć tak jak ze mną; i tylko jej zawdzięczam, że jestem właśnie tą, którą jestem.

— A zatem wie, że jesteś teraz u Ustada?

— Tak. Jestem tutaj nawet z jej polecenia, o czym Ustada do tej pory oczywiście nie ma pojęcia. Najpierw muszę studiować.

— Co albo kogo? Czy mogę wiedzieć?

W tym momencie podniosła na mnie swoje jasne, wielkie pełne oczy, i odpowiedziała:

— Czuję, że nie wolno mi niczego przed tobą taić, że muszę powiedzieć ci wszystko, co leży mi na sercu i co mnie porusza. Dlatego nie zamierzam przemilczać, że jestem tutaj po to, żeby sprawdzać Ustada; dlaczego i po co, to wie tylko Marah Durimeh. Także okolica ma dla mnie znaczenie. Tu w pobliżu znajduje się wielu pogrzebanych z tych, którzy pragną zmartwychwstać. Ustada sam mówi o swoim grobie, jednak nie ma do końca racji. Spójrz na te mury wznoszące się wysoko przed nami, jakby miały do ukrycia jakieś tajemnice, których ludzkie oko nie ma prawa widzieć! Kto je zbudował? Dlaczego akurat tak a nie inaczej? Po co podziemne korytarze? W ten sposób wznosi się tylko twierdze, z których pragnie się sprawować władzę naznaczoną krwią! Po cóż stawiać tyrańskie siedziby ojcu, który pełen miłości zstępuje do swoich dzieci, bo w modlitwie przywołują go do siebie? Kiedy o to pytam, mimo woli przychodzi mi namysł owa stara legenda o „zamurowanym Chodeh”. Czy znasz ją, efendi?

— Nie.

— A więc pozwól, że ci ją opowiem!

Spojrzała na ruiny, pokiwała głową jakby pod naporem jakiejś tajemniczej myśli i zaczęła:

— Było to w owym czasie, kiedy diabeł wpadł na pomysł, żeby zostać budowniczym. Nakreślił wiele tysięcy planów, ale żaden z nich nie wydawał mu się dosyć pożyteczny. Przekonał się

wówczas, że każdego fachu trzeba najpierw się nauczyć, również tego; postanowił więc podszkolić się u ludzi. A że budowę zaczyna się od fundamentów, udał się na początek do ludu, który budował wyłącznie na skałach. Kiedy uznał, że już dosyć czasu tutaj spędził, poszukał następnego ludu, który rozbijał skały na olbrzymie kamienie, aby wznosić mury. U trzecich nauczył się wyrabiać cegły i zespałać je smołą ziemną, tak że mógł wznosić budowle, które zdawały się niezniszczalne. U czwartych uczył się budować filary i kolumny wytrzymujące nawet największe obciążenia. U piątych usłyszał po raz pierwszy, czym jest piękno. Kolumny nabrały przyjaźniejszych kształtów, a dachy, które do tej pory były płaskie, zaczęły wznosić się do góry. U szóstych doszły dekoracje i zapotrzebowanie na światło w pomieszczeniu. Siódmy lud zwracał uwagę na zewnętrzny kształt, a każda budowla musiała posiadać inną formę. Diabeł zadbał więc, żeby wznoszone przez niego budynki miary określony styl i uzupełnił to wszystko, czego jeszcze brakowało. A kiedy później nadszedł czas przygotowań do mistrzowskiego egzaminu, jak myślisz, efendi, na jakich budowlach szlifował swe umiejętności?

— Pozwól mi usłyszeć, a nie zgadywać! — odparłem.

— Wyłącznie na nabożnych dziełach wznoszonych na chwałę tego, którego diabeł potrafi tylko nienawidzić. Wprawdzie także i jemu zachciało się nabożności, gdyż pozorna nabożność sprzyja nawet diabłu, jednak prawdziwa doprowadza go do zguby. Dlatego stał się teraz zawzięty w swojej nienawiści, podstępnie złośliwy, ponieważ wszystkie te budowle służyły prawdzie, a nie pozorności, a on postanowił, żeby jego dzieło egzaminacyjne było ze wszechmiar pozorem, a nie prawdą. Wrócił do skalistej krainy, gdzie kiedyś rozpoczął naukę, albowiem Bóg był tam serdecznie miłowanym gościem, który często zstępował do swoich ludzi. Siadał chętnie przy nich jasny i wspaniały w otwartej alabastrowej górze, radując się swoim słońcem. A ci, których stworzył, schodzili się zewsząd do niego, wszyscy; duzi i mali, żeby pobłogosławił ich swoją ręką. Kochali go; adorowali go również inaczej; nie byli zazdrośni o niego, ani o szczęście. Do tej ludzkiej krainy pokoju wkradł się ten, któremu zachciało się zdawać egzamin na mistrza. Wziął ze sobą oddane mu zastępy i kazał zazdrości rozpętać wokół piekło. Kiedy później o jutrzence zjawił się Pan, żeby spędzić ziemski dzień, wszyscy naskoczyli na niego, żądając, by był tylko tutaj, przy nich i nigdzie więcej się nie pokazywał, bo inni ludzie nie są warci. Pochylił głowę i odszedł zasmucony. Nie błogosławił, nie odzywał się już ani słowem. Za to ten drugi mówił: „Nie wiecie jeszcze, że na Boga można wyrzucić nacisk? Co warta jest prośba, jeśli nie ma siły przekonywania! Wykażcie swoją surowość, a będzie musiał zrobić i robi to, czego zażądacie. Ja postaram się o prawdziwego Boga dla was; świat może mieć innych Bogów!” Po tym wysłał zastępy zazdrości, żeby przywlekły to, co przygotowywał. A kiedy nadszedł nowy poranek, przybrał postać najwyższego Boga i przyszedł, żeby zrealizować swój nabożny pozór. Siadł na górze jasny i wspaniały, uroczo się uśmiechał do ludzi. A gdy powtórzyli swoją prośbę z powagą i z naciskiem, odparł im dobrotliwym, ojcowskim głosem: „Wystawiłem was na próbę, dlatego wczoraj milczałem; dzisiaj jednak powiadam wam: zdaliście egzamin. Potęga nabożności jest większa aniżeli moja. Weźcie mnie jako waszą własność. Od teraz chcę należeć tylko do was i do nikogo więcej!” Wówczas przyleciały kamienie ciosowe, kolumny, kamienie, cegły. Skała dała fundament; mur szczepił się mocno i rósł w górę. Diabeł zasiadł w świątyni jak Bóg. Wtedy jednak jego zastępy ruszyły się, żeby jak najspieszniej zamurować go tu dla ludu. Budowla sięgała mu coraz wyżej, do brzucha... do piersi... do szyi! A modląc się, legła wtedy modlitwa na kolanach! Głowa również znikła. Góra była prawie już zamknięta. Wówczas z ostatniej szczeliny wznosił się jeszcze nietoperz i zniknął gdzieś. I w tym samym momencie zjawił się architekt i stanął

przed swym dziełem, głośno wyrażając swoje zadowolenie... Co to za budowla? Żaden człowiek nie zdoła tego odgadnąć. Gdzie jest góra? Nie wiem, jednak chciałabym ją znaleźć. Jeśli się nie mylę, jesteś gotów poszukać jej razem ze mną, efendi.

— Warto byłoby zadać sobie trud i się tym zająć — odrzekłem. — W każdej baśni i w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy, z którego wykiełkowała fikcja. W każdym razie również opowiadanie o „zamurowanym Chodeh” zawiera prawdę, która ujęta w takiej formie, dla każdego jest dostępna. Myślę jednak, że owej boskiej góry z zamurowanym w niej alabastrowym skarbem nie znajdzie się w żadnym punkcie geograficznym i że szukać jej należy wyłącznie w duchowym obszarze.

— Ja uważam inaczej.

— Jak to? — zapytałem zaskoczony. — Wyobrażasz sobie, że gdzieś naprawdę istnieje ta góra i że mógłbym wejść na nią na własnych nogach?

Filuterny uśmiech przemknął po jej pięknej twarzy, a kiedy od — Powiadała, jej głos zabrzmiał niemal tak, jakby płynął z nieba:

— Efendi, efendi! Chcesz mi wmówić, że kurmangdyjska dziewczyna mogłaby być mądrzejsza od uczonego z Zachodu? Co masz na myśli, mówiąc o „rzeczywistościach”? Czy tylko to, co widzę, słyszę, czuję, jest rzeczywiste? A to, co nazywasz „duchowym obszarem”, miałoby być nie odbierane naszymi zmysłami? Czy nasze ludzkie zdolności nie różnią się nieskończenie między sobą? Ktoś potrafi dostrzec, usłyszeć, wywąchać, wyczuć czy posmakować coś, do czego ktoś inny nie ma nawet jednego, jedyne go nerwu czuciowego. Temu innemu za to ujawniają się rzeczy dużo głębsze i bardziej ukryte, które pierwszy uważa za niepojęte. Ja nie jestem taka jak ty, ty zaś nie jesteś taki jak ja. Kiedy jednak sobie zaufamy i będziemy się uzupełniać, połączymy się w jedną osobowość. Będzie ona w stanie osiągać cele, których każdy z nas osobno nigdy by nie osiągnął. To nie tak trudno pojąć; ale rozejrzyj się dookoła i powiedz, czy ktoś bierze to sobie do serca! To szczególna pycha, efendi, szczególna pycha! Jeśli wydaje ci się, że stoisz nadal wysoko, musisz zejść niżej, żeby uczyć się i pozwolić się wesprzeć. Jeśli zaś nie chcesz mieć długu wdzięczności u tego, który stoi niżej, to wtedy sam staniesz niżej od niego! Chciałam pokazać ci góry, które choć są dla ciebie niewidoczne, dla mnie naprawdę istnieją!

— Ja ci również pokażę, moje góry! — wtrąciłem szybko.

— Gdzie one są? — zapytała równie prędko.

— Tam wysoko na granicy, w cichej samotności, gdzie rzadko kiedy pojawia się jakiś człowiek, który chce się na nie wdrapać, żeby powrócić w ten sposób do cudownego kraju, do swojego źródła.

— Na granicy? Powrócić do źródła? Cudowny kraj? Efendi, sam widzisz, jak mnie zaskoczyłeś! Czyżbyś myślał o tym samym co i ja? Te same skaliste korony, które tak często tonęły przede mną w ogniu zachodzącego słońca? Te same ścieżki wiodące przez świętą ciszę, w której modli się każdy kwiat i każdy powiew. Ten sam szum wody, z której pije moja dusza, bardziej spragniona niżli usta, które chłodzę? Czy byłeś może w dolinie astrów, gdzie wędrują niewidzialne przez nikogo dusze, zostawiające wszakże w zielonym mchu ślady swoich stóp? Byłam tam kiedyś, razem z Marah

Durimeh! Słyszałyśmy wokół siebie słodkie szeptanie i lekki powiew jakby niebiańskiej sukni. U źródła rósł fiołek, jeden jedyny w całej szerokiej dolinie, właśnie niedawno zasadzony. Jego korzenie były delikatne, starannie przyklepane ziemią i zroszone wodą, tak by mogły się napić. Wówczas Marah Durimeh przyklękła, objęła go swoimi dobrymi rękami i powiedziała: „Tak więc był tutaj! Znam zarówno jego melodię, jak i bezimienną wielbicielkę, którą pozdrawia jej ulubionym kwiatem!” Nie odważyłam się zapytać, o kim myślała. Teraz przychodzi mi jednak na myśl obozowisko, które ozdobiłam twoimi ulubionymi kwiatami, żeby ich zapach strzegł twoją duszę. Powiedz teraz, efendi, czy znasz moje góry? Czy byłeś już tam? Czy jest w tobie dusza, która pozdrawia fiołkami?

Wstałem i poszedłem do pobliskiej olszynki; kwitło tam kilka fiołków. Zerwałem je i podałem tej, która mnie pytała. Ona również wstała, wpięła kwiaty we włosy, które znowu były splecione w warkocze, i przemówiła:

— Znam jego melodię, mówiła Marah Durimeh. Efendi, kiedy wybierzesz się do doliny astrów i zobaczysz tam drugiego fiołka, podlej go, tak jak ja zrosiłabym twój! Niech odtąd będzie to również mój ulubiony kwiat. A teraz powiedz mi: Dlaczego przyszedłeś tutaj pod ten kamień? Dwoje ludzi, którzy zmierzają tą samą drogą, dogaduje się zwykle nawzajem. Czy to ruiny ściągnęły cię tu do mnie?

— Tak, Szakaro. Tobie mogę powiedzieć otwarcie, że zamierzam przetrząsnąć je potajemnie aż po najgłębszy kąt. Nikt nie może się teraz o tym dowiedzieć poza tobą.

— A zatem spotykamy się również tutaj na tej drodze! Byłam już tam wiele razy w nocy przez nikogo nie zauważona.

— Po co?

— Po co? Wiesz przecież, czego szukam! Góry, alabastrowej groty, dzieła architekta, który zamiast prawdą, budował pozorami. A na koniec wy dostał się ze swej budowli pod postacią nietoperza. Co w takim razie może mieścić w sobie teraz grotę? Nic! Musi być pusta! Ani Bóg, ani diabeł nie zostali zamurowani. A jednak nie jestem u celu; raczej muszę ciągle dalej, dalej myśleć. Gdzie diabeł wypędził Boga, tam nie może być nicości. Jestem tylko kobietą i pewnie moja mantyk¹ wzbudza w tobie śmiech; ale nie chodzi tu wyłącznie o dwa ciała, które spotykają się razem i mogą znowu się rozłączyć, niczego nie pozostawiając, lecz o pytanie co będzie, jeśli dobro zostanie wyrugowane przez zło...

Przerwała. Nie jest łatwo zgłębić ludzkim umysłem boskie i szatańskie sprawy.

— Szakaro, proszę cię, zostaw w spokoju mantyk — przemówiłem do niej. — Dobrze czujesz; ja jednak nie odważyłbym się wyrazić tego słowami. Jeśli diabeł wzniosł pozór na pozorze, to pod tymi pozorami musi kryć się jakaś prawda. Co to takiego, czego ludzie nie mogą poznać. Jeśli uda się jednak odnaleźć górę i otworzyć grotę, wówczas odkryjemy niewiadomą. Czy przeczuwasz, że istnieje jakiś związek między górą a tymi starymi murami, które są tu na terenie Dżamikunów?

— Nie tylko przeczuwam, ja czuję go bardzo wyraźnie.

— Nie bałaś się sama chodzić nocą po ruinach?

— Ludzi tak, ale poza nimi niczego więcej.

— Czy natrafiłaś na ludzkie ślady?

— Tak. Trudno się właściwie dziwić, ciekawość przyciąga do starej budowli z pewnością niejednego Dżamiki, a i pewnie obcy się tu pojawiają. Widziałam również kilka śladów, świadczących o niecnym zamiarach ludzi, którzy je pozostawili.

— Co takiego widziałaś, Szakaro?

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli ci to pokażę, zamiast niepotrzebnie opowiadać. Jesteś obecnie jeszcze zbyt słaby na taki wysiłek, ale już niebawem wrócisz do sił. Zejdziemy i zobaczysz wszystko, co odkryłam. Mówili mi, że będziesz dzisiaj spać cały dzień. Wyśpij się efendi! Nadchodzą trudne dni i musisz być silny. Siły, które dzisiaj straciłeś, mogą ci się jutro okazać potrzebne. Wierz mi, dobrze ci radzę!

Zabrzmiało to tak troskliwie, tak po matczynemu, że odparłem:

— Posłucham twojej rady, ale nie od razu, dopiero po obiedzie, kiedy Pekala...

— Pekala? — wpadła mi natychmiast w słowo. — Chcesz powiedzieć, że ona przynosi ci jedzenie. Od tej pory ja będę się o ciebie troszczyć. Nie pozwolę, byś się dostał w jakieś obce ręce.

Nie chciałem na to przystać i podałem jej swoje powody. Na to otworzyła małą torebkę dzasał wiszącą przy jej pasie, wydobyla z niej małą pergaminową karteczkę, podała mi ją i rzekła:

— Następnego dnia po nocy, w której przyprowadzono do nas ciebie i Halefa, wysłałam do Marah Durimeh posłańca, gdyż uważałam za konieczne powiadomienie jej o tym, że czyhano na wasze życie. Od tej pory niejednokrotnie przysyłałam jej informacje, a ona mi odpowiadała. Ostatnia wiadomość od niej to właśnie te słowa. Przeczytałam:

Niechaj on będzie duchem; ty zaś bądź duszą, jego siostrą. Pokaż mu to i pozdrów go ode mnie.

Marah Durimeh

Zwróciłem Szakarze pergamin, położyłem rękę na jej głowie i powiedziałem:

— Moja przyjaciółka ma zawsze rację. Będę twoim bratem; troszcz się więc o mnie! Teraz muszę wrócić do siebie, żeby napisać list do Bagdadu. Uporam się z tym w pół godziny. Potem zjem w holu obiad z tobą i Hanneh, po czym, tak jak sobie życzysz, wyśpię się.

Jak powiedziałem, tak zrobiłem. Gońcy do Bagdadu czekali już w wiosce. Skoro tylko otrzymali

list, ruszyli w drogę, zabierając ze sobą lektykę dla grubego Kepeka zamocowaną na wielbłądzie. Kiedy zasiedliśmy do jedzenia, Halef jeszcze twardo spał. Przeważnie zachowuję umiar w jedzeniu; dzisiaj jednak zjadłem dwa razy tyle co zwykle. Nakładano mi z obydwu stron i zmuszony byłem się poddać. Kiedy później szedłem na górę, zabrałem ze sobą leżące ciągle u wejścia rzeczy Krwawego Mściciela, żeby schować je w „rupieciarni”. Gdy znalazłem się już u siebie, wyszedłem na taras, by zobaczyć, gdzie znajduje się słońce. Od południa upłynęła godzina. Położyłem się.

Właściwie nie czułem się zmęczony. Nachodziły mnie różne myśli, które zapragnęły, bym udzielił im audiencji, i uzyskały ją. Później trochę się zdrzemnąłem, ale bardzo szybko się obudziłem. Zastosowałem więc sztuczne środki. Wyrecytowałem całą dużą i małą tabliczkę mnożenia od początku do końca i od końca do początku, *Dzwonki* Schillera i jeszcze parę innych wierszy, jednak wszystko nadaremnie. Wstałem więc, ubrałem się i spojrzałem na słońce. Od skończenia posiłku upłynęła zaledwie godzina. Co tu robić? Zagłębić się w dziełach Ustada? Spalić jego gazety? Tak. Wówczas jednak przyszło mi do głowy, że muszę odwiedzić chorego szejka Kalhuranu. Zszedłem więc na dół.

W holu siedziały jeszcze razem Hanneh i Szakara. Serir* jednak został wyniesiony.

— Nie mogę dzisiaj zasnąć — powiedziałem. — Nie mogę więc niestety spełnić swojej obietnicy. Może dziś wieczór poczuje się zmęczony?

Spojrzały na siebie. Szakara zachowała poważną minę. Za to Hanneh roześmiała się i rzekła:

— Nie mogłeś zasnąć, Sihdi? Co robiłeś w takim razie przez cały ten długi czas?

— Jaki długi czas? — zapytałem, otwierając szeroko oczy. — Minęła przecież najwyżej godzina!

— Godzina? To ty naprawdę nie wiesz, że spałeś cały dzień?

A to dopiero historia! Wszelako do szejka Kalhuranów poszedłem dopiero wtedy, kiedy zgodziłem się znowu zjeść posiłek za dwóch ludzi. Nowy gospodarz „wysokiego domu” jak widać obejmował swój urząd z wielkimi honorami! Szejk znajdował się pod najlepszą opieką, o Krwawym Mścicielu raz tylko wspomniał, ale za to w sposób, który wyrażał więcej aniżeli jakiegokolwiek słowa.

Chciałem zobaczyć konie. Nie musiałem jednak iść daleko. Barkh i Assil ben Rih stały na podwórzu. Kara siodłał je, żeby je ujeżdżać. Na swoim Ghalibie zrobił przejażdżkę treningową już przed południem.

— Sihdi, kiedy ty znowu będziesz mógł zasiąść w siodle? — powiedział. — Spójrz tylko, jak cię twój Assil prosi!

Kary koń rzeczywiście wyraźnie to okazywał. Poruszał się tanecznym krokiem na wszystkich nogach, przesuwał się przy tym koło mnie, w taki sposób, że jakkolwiek stanąłem i tak dostałem w rękę strzemień. Było to zabawne i zarazem wzruszające. Chcąc sprawić mu chociaż na chwilę radość, podniosłem stopę, wsadziłem ją w strzemień i wskoczyłem na siodło. Chciałem przejechać tylko

stępem przez podwórze, nic więcej. Ledwo jednak znalazłem się w siodle, byłem już za bramą, i nim schyliłem się, aby złapać zwisające cugle, zdążyłem się już znaleźć prawie w duarze. Nie czułem przy tym bólu ani niczego, co zmuszałoby mnie do zejścia z konia. Byłem nawet w stanie nim nieco pokierować, przyciskając udami jego boki. Siedziałem dosyć pewnie i nie chwiałem się. Kara szybko mnie dogonił. Cieszył się jak król z figła, którego spłatał mi własny koń.

— Krótko się z tobą rozprawił, sihdi! — Zaśmiał się. — Jak daleko odważysz się jechać?

— Zobaczmy — odparłem — ale tylko kawałek. Czuję się całkiem dobrze; tak, czuję nawet, jakby w siodle zachowały się jakieś moje dawne siły, które teraz wychodzą z niego dla mojego dobra. Niesamowite!

Jechaliśmy wolno przez wioskę. Ludzie wychodzili z namiotów, chat i domów, pozdrawiali nas radośnie i dziwili się bardzo, że tak szybko widzą swojego pacjenta w siodle. Później zwróciliśmy się ku wschodowi nad brzeg jeziora. Wytrzymałem kwadrans. Potem poczułem się zmęczony i powiedziałem Karze, że muszę zsiąść i odpocząć.

— Może tutaj się zatrzymamy — odparł, wskazując na brzeg. — To jest miejsce, które miał ci pokazać Pedehr.

— Skąd wiesz?

— Mówił mi, kiedy wczoraj z nim tędy przejeżdżałem.

To było bardzo ciekawe. Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie Sillanowie zwykle poili swoje konie! Puściliśmy nasze nad wodę, a ja rozłożyłem się na trawie. Wówczas Kara ben Halef zagadnął:

— Sihdi, czy jesteś bardzo zmęczony? Czy mogę powiedzieć ci o sprawie, która wydaje mi się bardzo ważna? Tak ważna, że mogę zwierzyć się z niej tylko tobie?

— Mów!

— Tifl kłamie?

Wymówił tylko te dwa słowa; później zamilkł.

— Tak!

Wymówiłem tylko jedno słowo; później także zamilkłem. Po chwili Kara zaczął mówić dalej:

— Tak, kłamie! A ty wiesz, że nienawidzę kłamstwa i gardzę kłamcami! A jednak jako gość muszę odzywać się do tego człowieka.

— Może się mylisz — wtrąciłem. — Jest zasadnicza różnica między zamierzonym kłamstwem, które wymyśla się z nieczystych pobudek, a nieprawdą, którą ze spokojnym sumieniem rozgłasza się, ponieważ uważa się ją za prawdę.

— Wiem o tym, sihdi. Tifl doskonale wie, iż kłamie. To nie jest zwykle lekkomyślne paplanie, lecz chodzi o bardzo ważne dla nas sprawy. Myślę mianowicie o Ahrimanie mirzie.

— Czy Tifl go okłamał?

— Nie, ale ciebie... nas!

— Jak to?

— Pytałeś go przedwczoraj jeszcze przed napadem, skąd kat wiedział, gdzie jest w holu twoje legowisko. Odparł ci, że jechał na czele Persów i w ogóle z nim nie rozmawiał. Za to Ahriman mirza zbliżył się do towarzyszących Dżamikunów i wyciągnął z nich wszystko, co chciał wiedzieć. Tifl twierdził nawet, że bardzo go rozzłościło to ich nierozważne gadulstwo. Przypominasz sobie, efendi?

— Tak. Pamiętam każde słowo. Czy to właśnie miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że Tifl kłamie?

— Tak. Kłamał. W pełni świadomie kłamał ci prosto w oczy! Ahriman mirza w czasie całej wyprawy konnej nie zamienił ani jednego słowa z którymkolwiek z Dżamikunów. Pomyśl, jaki z niego zarozumialec! Jechał z przodu razem z Tiflem i katem, Tifl pomiędzy nimi, i cała trójka żywo rozmawiała, zupełnie jakby wszyscy byli dobrymi przyjaciółmi. A kiedy mirza i Ghulam rozstawali się z nim, podali mu nawet na pożegnanie rękę. Zatem wszystkie informacje, które przechwycili, mogły wyjść tylko z jego ust.

— Skąd to wiesz, Kara?

— Od tego, który musi to najlepiej wiedzieć, od samego Tifla. To było wczoraj wieczorem, kiedy po raz ostatni tego dnia pojeździłem konie. Nie chciało mi się jeszcze spać i zawróciłem na koniec pastwiska, gdzie zaczynają się ruiny. Sterczy tam olbrzymi kawał muru, a parę kroków dalej rośnie gęsty krzak *kyssylu**, koło którego przykucnąłem. Pewnie jeszcze tam nie byłeś i nie znasz tego miejsca.

— Znam je. Byłem tam przed południem i zrywałem fiołki rosnące

pod tym krzewem.

— A zatem wiesz, że krzak i kamień są na tyle blisko siebie, iż będąc przy *kyssylu*, słyszy się to, co ktoś akurat mówi przy kamieniu. Długo tam nie stałem, gdy zjawili się Pekala z Tiflem. Oboje kucnęli, nie przewidując, że mogłem stać tak blisko nich. Nie musiałem się specjalnie przed nimi ukrywać, ale nie miałem również powodu, by się nimi interesować. Wystarczyłoby, żeby byli chociaż odrobinę bardziej uważni, a dostrzegliby moją obecność; ale u niektórych ludzi nieostrożność jest ich drugą naturą, dlatego nie wiedzą nic więcej poza tym, co trzeba rozumieć, kiedy się do nich mówi. Ta osobliwa matka początkowo rozmawiała ze swoim jeszcze dziwniejszym dzieckiem o sprawach zupełnie dla mnie obojętnych. Już zamierzałem oddalić się po cichu, gdy nagle usłyszałem twoje imię i postanowiłem zostać. To, o czym rozmawiali, nie było w żadnym razie niczym mądrym; nie wiedzieli tak naprawdę, jak się w stosunku do ciebie zachować. Pekala zapewnia jednak, że

serdecznie cię pokochała, a Tifl uważał, że trzeba cię traktować bardzo przyjaźnie i uprzejmie, bo nigdy nie wiadomo, wyniknie z twojej przyjaźni z Ustadem. Tifla przede wszystkim interesowało, jakim jesteś jeźdźcem, i powiedział, że koniecznie musi prześcignąć ciebie i twojego Assila na klaczy Ustada. Co ty na to, efendi?

— Dziecinada!

— Ten człowiek to chłopiec od koni i żaden z niego jeździec. Brutalne uczepianie się koni, gonitwy i polowania z psami, ale ani śladu sztuki jeździeckiej! Dla takich jeźdźców koń nie jest niczym więcej jak tylko koniem! Później rozmawiali o Ustadzie. Muszę przyznać, efendi, że to, co usłyszałem, sprawiało mi niemal ból. Udawali, że go miłują, może go nawet miłują, ale na swój sposób. Kuchnia czy koń Ustada są dla nich ważniejsze niż sam Ustad. Imponują im jego umysł i pomysły. O nim samym mówili jednak w sposób, który nie budził mojego zaufania. Co to było za trajkotanie! Potem zaczęli rozmawiać o ja aszyku. O kim myśleli, tego nie wiem. Ten aszyk przyjeżdża regularnie co cztery tygodnie, żeby przyjść po Pekalę, tutaj pod ten kamień. Następnej soboty pojawi się ponownie, godzinę przed północą. Mówili o jakimś wielkim buncie. Ktoś ma być usunięty; ale kto, tego nie dosłyszałem. Potem Pekala pojedzie na najwspanialszym wielbłądzie do jakiegoś wielkiego miasta, a Tifl zostanie bardzo sławnym człowiekiem. Również Ustad stanie się kimś znaczącym, ale kim, tego już się nie dowiedziałem. Oboje nienawidzą mirzy i Krwawego Mściciela, wszakże muszą się z tym przed nimi kryć, gdyż tak sobie życzył aszyk. I teraz doszedłem do sedna sprawy: kiedy Tifl miał przeprowadzić Persów przez granicę, Ahriman i Ghulam wzięli go do środka i zarzucili pytaniami. Tifl bał się odmówić odpowiedzi i dlatego powiedział im wszystko, co tylko chcieli wiedzieć. Kiedy później wypytywałeś go, nie odważył się milczeć i okłamał cię, spychając winę na swoich towarzyszy.

— Czy Pekala przyznała mu rację?

— Tak. Kłamią więc oboje! Co prawda to gadanie o buncie, o powstaniu i awansach, które po nim miałyby nastąpić, to tylko dziecinada. Mnie jednak co innego zaniepokoiło. Pekala opowiadała mi o Isfahanie, o swoim ojcu, o Tiflu, jak był pijany, o Ustadzie, który się o nich zatroszczył, o jego śmierci i jego grobie tutaj w tym domu. Płakała przy tym ze wzruszenia. Zdarzały się w tej opowieści momenty tak piękne, że czasem mówiła nawet wierszem. Można by się nawet wzruszyć i sądzić, że jest pobożnym, kochanym, dobrodusznym stworzeniem. Jednakże tymi samymi słowami, tak samo płacząc, opowiadała również mojej matce; zresztą każdemu, kogo uda jej się sprowokować do rozmowy, nawet Haddedihiom, którzy przyjechali razem z nami. W ten sposób to, co najświętsze, jest przez nią splugawione! Poza tym, gdy przy każdej okazji dodaje, że wszyscy mężczyźni muszą być jeszcze wychowani, jest po prostu śmieszna. Najbardziej wszakże wzburzyło mnie to, że ledwie skończyli mówić o wspaniałych cechach swojego Ustada, a już za chwilę przypisywali mu cały szereg zupełnie zwyczajnych, wręcz podłych wad, których w ogóle nie posiada, ale które przenieśli na niego z siebie, ponieważ to, czego nie mogą u niego zrozumieć, uważają za braki podobne do swoich. A robią to w tak nikczemnie poufały sposób, jakby Tifl uważał Pekalę za anioła, z którego chętnie brałby przykład! To jest diabelskie, po dwakroć diabelskie, gdyż wymawiali te słowa, spoglądając na siebie tak niewinnie i tak ciepło. Słyszałem to, wszyscy, którzy chcą, mogą to usłyszeć. On sam zupełnie prostoduszny, ślepo ufający człowiek, nie ma w ogóle pojęcia o tych wszystkich jadowitych myślach, które niczym węże snują się nieustannie u jego stóp. Nie dostrzega

ich, bo nigdy nie zważa na to co podle i nikczemne! Sihdi, źle mu było tutaj? Jesteś tak łaskawy dla tej Pękali i Tifla! Uważam, że to potwory. Kim jest ten aszyk? Chyba nie Dżamikim. Jak widać, są z nim w znowie. Ukazują mu Ustada w krzywym zwierciadle, a on ten obraz przekazuje dalej. Z tego powodu w całym kraju naigrywają się z wad i przywar gospodarza »wysokiego domu», które tak naprawdę istnieją tylko w słabych głowach grubej kucharki i chudego chłopca od koni! Wrogowie są wystarczająco bystrzy, skrycie śmieją się z Turczynki i jej „dziecka”. Otwarcie zaś zachowują się tak, jakby im wierzyli i z całych sił rozgłaszają nieprawdę dalej. Stąd ta pogarda, którą Ahriman mirza miał dla Ustada! I stąd to bezwstydné czoło Multasima! Czy ci dwaj odważyliby się w ten sposób wkraczać do duaru i do świątyni, gdyby imię Ustada nie było już prawie do reszty zszargane? Sihdi, powiadam ci: Taka dwójka we własnym domu jest groźniejsza, o wiele groźniejsza, aniżeli stu jawnych wrogów, którzy nie udają miłości! Jeszcze nigdy, przenigdy nie mówiłem do ciebie w ten sposób, teraz musiałem jednak to uczynić. A dlaczego? Wybacz mi, że to mówię! Z powodu jednej osoby, która swoim wywarem z trybuli tylko pozornie was rozwesela, a tak naprawdę wami rządzi!

Po tych słowach usiadł. Czyżby czekał, co teraz powiem? Jeśli tak, to nie okazywał tego po sobie. Spoglądał w stronę jeziora, gdzie właśnie od brzegu odbijała łódka. Siedziało w niej dwóch mężczyzn. Jeden wiosłował, drugi zdaje się czytał.

— To jest Dżamiki, który uczy drugiego śpiewać — rzekł Kara, jakby uważał naszą rozmowę za skończoną.

— Ty zaś jesteś Heddedihnem, który nauczył mnie czegoś innego — odparłem. — Do tej pory myślałem, że mogę polegać tylko na swoich własnych oczach. Czy mogę od tej chwili radzić się również twoich?

Słyszając to, znowu poderwał się na równe nogi i zbliżył się do mnie. Ukląkł tuż obok, złapał moją rękę i wykrzyknął głosem pełnym radości, która w tym momencie trysnęła z jego wnętrza:

— Sihdi, dziękuję ci! Czy ty wiesz, jaki dar mi ofiarowałaś, mówiąc te słowa?

— Wiem, Kara: ciebie samego! Dotąd byłeś kończyną, teraz jesteś człowiekiem, całym człowiekiem. Decydowano o tobie; teraz ty sam powinieneś decydować. Powiedz, czy jeszcze jacyś ludzie tutaj wzbudzają twą nieufność?

— Tak!

— Kto?

— To dopiero podejrzenia. Czy chcesz je usłyszeć?

— Nie.

— Pozwól więc, że najpierw sprawdzę, zanim powiem głośno, o kim myślę. Podejrzenia przecież mogę mieć, ale rozsiewać je, nie mając dowodów, byłoby niezgodne z sumieniem. Wszak Kara ben Halef tego nie robi! Przemilczę więc na razie o ludziach, o sprawach mogę powiedzieć. Muszą jednak pokazać ci coś, co znalazłem. Nie wiem, czy to szlachetny kamień czy szkło, ale błyszczy jak

prawdziwy diament.

Z wewnętrznej kieszeni swojej kamizelki dobył cienką blaszaną kapsułkę, otworzył ją i podał mi. W środku była schowana agrafka od turbanu, do której za pomocą zawiasu przyczepiony był czerwony pęk końskich włosów. Przed użyciem agrafy można było ten pęk odpiąć: Uchwyt składał się z dużych faset, otaczających obie litery Sa i Lam, nad którymi widniał dwukropek. Fasety były szklane, jednak dobrze oszlifowane i miały wspaniałą podkład, tak że przy sztucznym świetle lśniły jak diamenty. Takie agrafy z włosami dawniej mogli nosić przy turbanie tylko ludzie na bardzo wysokich stanowiskach. Szach przy uroczystych okazjach do tej pory ozdabia nią swoją czapkę ze skórki jagnięcia, oczywiście jego agrafa wysadzana jest prawdziwymi kamieniami. Imitacja, którą trzymałem w ręce, nie miała istotnej wartości; „rekwizyt teatralny” jak by u nas powiedziano. Dla mnie wszakże miała ona takie znaczenie, że aż zakrzyknąłem z radości.

— A więc szlachetny kamień? — zainteresował się Kara.

— Nie. To tylko szkło, bezwartościowe szkło; ale pomimo to dokonałeś odkrycia, którego za pieniądze nie można by kupić. W jaki sposób dostała się ona w twoje ręce?

— Była na Dżebel Adawa*...

— Przecież ona znajduje się daleko stąd na terenie Takikurdów! — wpadłem mu w słowo.

„Taki” oznacza pobożny. Kurdowie zaś wprowadzili tę nazwę, gdyż przywiązują wielką wagę do spraw wiary i ostro potępiają inne religie, twierdząc z przekonaniem, że tylko oni dostąpią nieba. Każdy, kto nie myśli tak samo jak oni, traktowany jest jak zasługujący na potępienie kacerz i prześladowany z bezwzględną, okrutną surowością.

— Tak; pomimo to byłem na niej — odparł.

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— Czy ktoś już wie o twoim odkryciu?

— Nie, tylko ty.

— Nie mów więc na razie o nim nikomu; mnie jednak opowiedz!

— Jechałem wczoraj na koniu w kierunku na północ zupełnie sam. Kiedyś na takie wyprawy zabierałem ze sobą Tifla; teraz już tego nie robię. Nie mogę otaczać się ludźmi, którzy nie budzą mojego zaufania. Natrafiłem na małą karawanę śmierci prowadzoną przez prawdziwych perskich szytów, którzy objuczyli trumnami swoje wielbłądy i muły.

— Karawana śmierci? Tutaj? Dziwne! Tutaj nie przebiega żadna droga dla karawan, która wiodłaby do Kerbela albo Meszed Ali!

— O tym samym pomyślałem, dlatego obecność tych ludzi wydała mi się podejrzana. Kiedy chciałem podjechać do nich bliżej, wyzwali mnie od sunnickiego psa i zagrozili, że będą do mnie strzelać. Zatrzymałem się więc i przepuściłem ich z dala od siebie. Mój koń jednak niecierpliwił się i nim przejechał ostatni wielbłąd, zaczął zmuszać mnie, żebym ruszył naprzód. Zbliżyłem się tak, że mogłem wszystko wyraźnie dostrzec. Niesiono cztery trumny, dwie po każdej stronie. Jedna rozlatywała się i związana była sznurem, ale tak niedbale, że mogłem zobaczyć, co było w środku.

— Chyba nie trup?

— Nie. Wcześniej zorientowałem się, że od karawany nie rozchodził się żaden smród. Kiedy zobaczyłem trumnę, wszystko jasne: karabiny przecież nie śmierdzą.

— Ach! Karabiny! Jesteś pewien?

— Tak. Nie ma mowy o pomyłce. Odjechałem dalej. Z początku w ogóle się nie oglądałem, aby nie zorientowali się, że ich obserwuję. Kiedy jednak oddaliłem się, zawróciłem konia i skryłem się za skałą, żeby móc obserwować ten rzekomy kondukt pogrzebowy. Gdy tylko zniknął w oddali, ruszyłem za nim i jechałem dobre dwie godziny, śledząc go aż do granicy. Wtedy karawana zmieniła swój dotychczasowy szlak i skierowała się na Dżebel Adawa. Podążyłem za nimi, ostrożnie, tak by nikt mnie nie mógł zauważyć. U stóp góry jest woda. Zwierzęta musiały jednak przejść obok niej i wdrapywać się bezzwłocznie dalej pośród stromej dziczy. Dlaczego? Po co? To była zagadka; postanowiłem ją rozwikłać. A że dzień chylił się ku zachodowi, a ja nie chciałem podejmować żadnych kroków bez wcześniejszej rozmowy z tobą, musiałem na razie zaniechać swoich planów. Wróciłem późno. Ty spałeś. Wstałem wcześniej, ty spałeś nadal. Wówczas postanowiłem działać na własną rękę i znowu pojechałem na Ghalibie.

— Czy spotkałeś kogoś?

— Nie, nikogo. Nie sędzę, żeby ktoś mnie widział. Kiedy natrafiłem na wczorajszy ślad karawany śmierci, ku swojemu zdumieniu zobaczyłem, że dzisiaj pojawił się jeszcze drugi; ten z kolei prowadził w odwrotnym kierunku. Ci Persowie spędzili noc na górze i potem znów zjechali na dół.

— Ach, gdybym mógł widzieć te ślady!

— Na szczęście, sihdi, nauczyłem się od ciebie, jak należy je odczytywać. Zauważyłem, że konie musiały iść klusem. Piasek rzucony był daleko do tyłu, a ślady końskich kopyt z przodu zaostrzały się, ale były płaskie i płytkie. Gdyby zwierzęta dźwigały nadal na grzbiecie taki ciężar jak wczoraj, wtedy odciski byłyby głębsze. Karabiny zostały więc wyładowane na Dżebel Adawa. Postanowiłem tam wjechać, oczywiście bardzo ostrożnie, gdyż najprawdopodobniej ludzie, którzy przechwycili broń, znajdowali się jeszcze u góry. Te obawy nasiliły się jeszcze bardziej, kiedy zauważyłem oddział jeźdźców zmierzających właśnie ku dołowi i oddalających się na zachód, gdzie leżą pastwiska Takikurdów.

— Czy byli uzbrojeni?

— Nie. Schowałem się, dopóki nie zniknęli mi z oczu. Następnie ujechałem na górę. Nie mogłem pomylić drogi; ślady mnie po niej prowadziły. Na górze wszakże wszystko było w takim nieładzie, a odciski końskich kopyt tak nakładały się jedne na drugie, iż nie byłem w stanie nawet sobie wyobrazić, czego tutaj dokonano.

— Czy rosły tam jakieś drzewa, krzewy?

— I to sporo. Na dodatek były tam wielkie ruiny, chyba z zamierzchłych czasów. Tliło się w nich obozowe ognisko. Przeszukałem dokładnie wszystkie zakamarki, w których mogłyby być ukryte karabiny, jednak niczego nie znalazłem. Zmęczony tym szukaniem zacząłem rozglądać się za jakimś zacienionym miejscem, żeby móc chwilę odetchnąć. Znalazłem je bardzo szybko. Położyłem się i gwizdnięciem przywołałem swojego konia. Kiedy on spokojnie skubał trawę, obserwowałem stary merwer* rosnący obok mnie przy filarze muru. Drzewo było w środku puste. Dziupła znajdowała się jakieś dwie stopy ponad ziemią. I wówczas przypomniałem sobie twoje słowa, że nie ma przypadku. Tak było oczywiście i tym razem, kiedy wyraźnie odczułem wewnętrzne wezwanie, które nakazywało mi zbadać tę dziurę, gdyż mogło tkwić w niej coś, co koniecznie trzeba było obejrzeć. Rozumiesz mnie?

— Tak. Zajrzałeś do środka i znalazłeś tę kapsułkę!

— Otóż to! Kim był ten, który mi to powiedział?

— Nie pytaj, lecz skup się na odkryciu, gdyż jest ono dla nas o wiele, wiele ważniejsze, aniżeli myślisz! Czy potem długo jeszcze pozostawałeś na górze?

— Nie. Skoro tylko otwarłem kapsułkę i zobaczyłem jej zawartość, wróciłem tutaj. Spóźniłem się na posiłek, później jednak zjadłem. Zapytałem o ciebie i usłyszałem, że ciągle jeszcze śpisz. Osiodłałem konia. Pomyślałem, że może wieczorem uda mi się z tobą porozmawiać, ale wtedy wreszcie się pojawiłeś. Uznałem, że bezpieczniej będzie, jeśli nie zaskoczę cię od razu nowiną, lecz odciągnę gdzieś na bok, albowiem nikt nie powinien zobaczyć tego, co miałem ci do Pokazania. Kiedy jednak wsiadłeś na konia i Assil poniósł cię na grzbiecie, okazja sama się nadarzyła. Doścignąłem cię prędko, no i w ten sposób spotkaliśmy się tutaj.

— Zupełnie tak, jakby było to dokładnie zaplanowane! Musisz jak najszybciej jechać.

— Dokąd?

— Na Dżebel Adawa. Postaraj się, żeby nikt cię nie widział, Masz tutaj kapsułkę z agrałą. Wsadzisz ją do dziupli i od razu wrócisz tutaj.

— Dlaczego tak, sihdi?

— Nie ma czasu, żebym ci teraz to wyjaśniał. Powiem ci później. Człowiek, do którego należy ta agrała, nie może domyślać się, że była w naszych rękach. Nie przypuszczam, żeby pojawił się dzisiaj

na górze, ale jedź ostrożnie. Pędź tam co koń wyskoczy, a kiedy wrócisz, przychodź zaraz do mnie. Chcę wiedzieć, czy udało ci się wykonać zadanie niepostrzeżenie.

— Czy mogę zatem cię opuścić? Poradzisz sobie w powrotnej drodze.

— Właśnie zbliża się łódka. Chodź—y—Dżuna chce, jak widzę, przybić tutaj koło nas. Nie będę zatem sam.

Schował kapsułkę, wskoczył na Barkha i odjechał, gdy łódź dobijała do brzegu.

— Pozwolisz, że przeszkodzę ci na chwilę, efendi? — zapytał nauczyciel śpiewu, wysiadając z czółna; jego uczeń pozostał przy wiosłach.

— Nie przeszkadzasz mi — odparłem. — Sprawiasz mi raczej radość tym, że widzę cię znowu koło siebie. Spocznij przy mnie!

Usiadł, zwracając się do mnie tymi słowami:

— Przybywam w bardzo ważnej sprawie. Miałem powód, żeby porozmawiać z tobą, ale nikt nie mógł zauważyć, że szukam cię w „wysokim domu”. Dopiero co zastanawiałem się, jak się do tego zabrać, kiedy zobaczyłem, jak przejeżdżasz obok mnie na koniu. Wsiadłem zaraz do łodzi, żeby czekać na twój powrót. Dobrze się złożyło, że zatrzymałeś się w tym miejscu i nie pojechałeś dalej.

— Czy to, o czym chcesz mi powiedzieć, to jakaś tajemnica?

— Tak.

— Ale przecież nie jesteśmy sami!

— Masz na myśli mojego towarzysza? To zaufany Dżamiki i może wszystko słyszeć. Zresztą wie już o tym.

— Zaufany Dżamiki? To brzmi prawie tak, jak by byli też tacy, którym nie można ufać!

— Gdzie mieszka dobro, tam i zło zawsze buduje sobie dom. Jednak do rzeczy! Mam przyjaciela w Chorremabad, stolicy naszej prowincji. Sercem oddany jest Dżamikunom i przesłał mi już parę tajnych informacji, które dotyczą pewnych posunięć rządu w stosunku do nas. Miałem powiadomić o nich Ustada. Dzisiaj, zupełnie nie tak dawno, przybył do niego goniec z wieścią, która wzbudziła we mnie przerażenie. Zastanawiając się głębiej, doszedłem do wniosku, że sprawa będzie trudniejsza, naprawdę o wiele trudniejsza, jeśli szejk ul Islam całkowicie nas zaskoczy, tak jak zamierza.

— Szejk ul Islam? — zapytałem. — Chce nas zaskoczyć? A więc przyjechać tutaj?

— Tak.

— Kiedy?

— Przybędzie już jutro.

— Przecież to nic strasznego, wręcz przeciwnie — to bardzo interesujące!

Podniósł ostrzegawczo palec i powiedział:

— Efendi, nie osądzaj zbyt szybko! Jesteś tutaj obcy, nie wyzdrowiałeś jeszcze i nie znasz panujących tutaj stosunków. Szejk ul Islam to bardzo wysoko postawiony człowiek. Nie masz nawet pojęcia, jaką posiada władzę. Nawet Ustad uważa go za wroga, przed którym należy się mieć na baczności. Dlatego źle się stało, że nasz pan wyjechał. Proszę cię, nie miej mi więc za złe, że cię ostrzegam! W jutrzejszej wizycie kryje się podstęp, który może nas zniszczyć. Dlatego chciałem, żeby był tutaj Ustad!

— Ja również bym tego chciał. Ale w tej chwili nie ma go i musimy wziąć sprawę w swoje ręce. Trzeba dokładnie zbadać problem, obejrzeć go ze wszystkich stron, jak wszystko zresztą. Żal ci, że szejk ul Islam będzie musiał być przyjęty przez obcego. Ta okoliczność jest wszakże sprzyjająca, gdyż trafiając na mnie, może sobie wiele obiecywać, a i tak niczego nie wskóra. Na Ustadzie mógłby wymóc podjęcie szybkich decyzji, których doniosłość wyszłaby na jaw dopiero później, teraz natomiast będzie musiał zadowolić się tylko tym, że uważnie go wysłucham. Nie będzie mógł nalegać na mnie, żebym się na cokolwiek zgadzał. Rozumiesz więc, że gdyby miało dojść do działań wojennych, to ja mam do dyspozycji arsenał obronny, a mój przeciwnik nie!

Wprawdzie lekko mi przytaknął, ale jego oczy wydawały się spoglądać na mnie badawczo, potem rzekł:

— Uważnie go wysłuchać! Nie znam nikogo, kto potrafiłby tego dokonać!

— No to czekaj spokojnie, a go poznasz!

— Szejk ul Islam jako wysoki dostojnik duchowny jest nietykalny, a poza tym jeszcze nikomu nie udało się go przechytryć. Do tego trzeba dodać, że doskonale zna się na naszych prawach i stosunkach, podczas gdy ty gościsz u nas dopiero od niedawna!

— Jeśli nie zechcę czy też nie będę potrafił, nie muszę przywiązywać wagi do jego wiedzy czy sprytu. Proszę cię, żebyś przede wszystkim nie martwił się i odsunął na bok przesady, czy dotyczą one mnie czy też jego. Czy posłaniec od twojego przyjaciela jest jeszcze tutaj?

— Nie, ruszył już w powrotną drogę. Ostrożność nakazywała mu, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Wybrał okrężną trasę, żeby nie natknąć się na szejka ul Islama.

— Czy szejk przybędzie tutaj z wielką świtą? Przecież tacy wielcy dostojnicy prawie nigdzie nie wybierają się sami.

— Nie wiem. Nie zdołałem też dowiedzieć się, jak długo zamierza pozostać. To jednak są mniej istotne sprawy. Najważniejsze, że zdobyłem informację, po co tu przyjeżdża. Właściwie to mojemu przyjacielowi udało się przechwycić tę wiadomość.

— Ach! Zatem mamy już jednego, który góruje nad nim sprytem! A powiedziałaś, że jeszcze nikomu się to nie udało! Teraz jestem już zupełnie spokojny, jeśli w ogóle choć trochę się przestraszyłem. Czy powody tej wizyty są może dla ciebie takie straszne?

— Nie wiem. I właśnie ta niepewność napawa mnie strachem.

— No to powiedz: Czy ten potężny władca przybywa tylko jako szejk czy może też jako hekim-i-szera*?

Spojrzał na mnie zaskoczony i zapytał:

— Wiesz, że sprawuje obie funkcje! Skąd się dowiedziałeś?

— U nas na Zachodzie są ludzie, którzy znają wasze prawa i stosunki prawdopodobnie znacznie lepiej niż wy sami. Nie wiesz jeszcze, że musicie przyjmować u siebie naszych uczonych czy nawet mniej wykształconych ludzi, jeśli sami o sobie chcecie się czegoś dowiedzieć?

— Nie mogę się o to spierać, efendi. Nie wiem, czy twój gość zamierza wystąpić jako duchowny czy jako sędzia. Chce w każdym razie przedstawić Ustawowi propozycję, która brzmi niesłychanie zwodzicielsko. No bo jeśli przychodzi do mnie ktoś z wielkimi prezentami zupełnie bez żadnego powodu, wtedy ogarnia mnie tajemniczy strach, bo od razu myślę, że ten ktoś będzie rościć sobie do mnie jesz większe prawa. Tym razem chodzi o to, że Ustada ma być awansowany na Ustada Takikurdów.

— Tak! Tylko tyle? — zapytałem, śmiejąc się.

— Tylko tyle?! — odparł zdziwiony. — Proszę cię, zrozum co to znaczy! Jaki przyływ władzy dla nas!

— Odływ władzy, chcesz powiedzieć! Jeżeli jakiegokolwiek troski zaprzętały do tej pory twoją głowę, to możesz je odrzucić! Szejk ul Islam już teraz prześwietlony jest na wylot. Ustawowi ani przez moment nie przyjdzie na myśl, żeby sprzedać dusze swoich Dżamikunów za jakiś wątpliwy zaszczyt! Jeden dzielny Dżamiki znaczy dla niego tysiąc fazy więcej aniżeli wszyscy Takikurdowie, których cała uprzejmość służy tylko temu, żeby go otumanić i uczynić bezwolnym i podłym narzędziem. On jest panem samego siebie i takim pozostanie. Nie potrzebuje pytać o puste orzechy, które przynosi mu się z tak wiele obiecującą układnością.

Podniósł się nieco i zapytał pełnym napięcia tonem:

— Ale zemszczą się na nas! I to bezwzględnie. Pomyślałeś o tym?

— Oczywiście! Zemsta będzie wówczas nieunikniona, ona leży w naturze tych ludzi. Niechby jednak tylko nadeszła! Nie widziałem jeszcze zemsty, która w końcu sama by siebie nie zniszczyła!

— A zatem jesteś zdecydowany odrzucić przynętę szejka ul Islama.

— Oczywiście! I to zupełnie zdecydowany. Potraktuję go tak samo uprzejmie jak on mnie. Może

chwycić się jakich chce środków, a i tak osiągnie tylko to, na co zezwołę!

Tym razem podskoczył w górę, zwrócił oczy ku niebu i zawołał głosem pełnym ulgi:

— W takim razie mogę być zupełnie spokojny! Przyszedłem tutaj bardzo zatroskany; ty jednak zdjąłeś mi kamień z serca! Zdaję sobie sprawę jaka potęga jutro do ciebie przybędzie. Przyozdabia się ona imieniem Boga i szachinszacha. Opowiada się po stronie istnienia i utrzymania, i dlatego ma za sobą prawo. Pojawia się w lśniących szatach albo w żebraczych łachmanach i w ten sposób przypochebia się ludzkim zmysłom i uczuciom. Spodziewa się wszystkiego dobrego i wybacza wszystko zło. Jest cierpliwa, przyjazna, pokorna, uosobienie wszystkich cnót w ludzkim kształcie! Jednak ty ją znasz, efendi!

— Tak.

— To wystarczy! Przybędzie jutro do ciebie z Chorremabad.

Będzie ci się przypochebiać, odłączając cię...

— Nie, tego nie zrobi — przerwałem mu — gdyby to potrafiła, nie zabawiałbym się z nią. Nie będę sam, kiedy będę podejmować szejka ul Islama.

— Pewnie będzie z tobą Pedehr jako szejka plemienia?

— Tak, on i ty.

— Ja także? — zapytał w nagłym przypiływie radości. — Dlaczego ja?

— Bo ja tak chcę. To musi ci wystarczyć. Zbliżył się o krok do mnie i powiedział:

— Zaszczycasz tym nie tylko mnie, lecz wielu! Nie wiem, czy już ci ktoś o tym mówił: Nie uczę tylko śpiewu, ale wszystkiego, co konieczne jest do rozwijania sprawności ducha i ciała, nawet gimnastyki, jazdy konnej, strzelania i musztry. Stworzyłem podwaliny tych zajęć, kiedy Ustad mnie do tego wybrał, a później przydzielił pomocników, gdy zwiększyła się liczba uczniów. Działamy po cichu, nie robiąc wokół siebie hałasu. Dobry nauczyciel kieruje uwagę na przedmiot, którego uczy, a sam się nie odkrywa. Dlatego słyszałeś o nas tak niewiele, a być może nawet nic. Kto chwali się tym, czego nauczał, ten niczego nie nauczył. Kiedy jednak Dżamikunowie będą mieli okazję pokazać, co potrafią, wtedy mam nadzieję będziesz zadowolony! Spodziewam się, co teraz nastąpi, i dlatego przede wszystkim muszę ci powiedzieć: Nie boimy się żadnego wroga! Jeżeli chodzi o wyścigi z Persami, możesz być spokojny. Mamy dobrych jeźdźców i konie. Jestem w trakcie przygotowań i kiedy tylko zechcesz, będę cię o nich informować. Szejka ul Islam jest wielkim miłośnikiem *espedewani**; ma starannie utrzymaną stajnię i chwali się, że posiada „najlepszego konia w Luristanie”. Jestem przekonany, że skoro tylko dowie się o naszych wyścigach, zgłosi chęć uczestniczenia w nich. Nie odwodź go od tego! Naraziłbyś na szwank nasz honor! Tyle miałem ci do powiedzenia. Czy chcesz mnie może jeszcze o coś spytać?

— Czy teraz wiem wszystko, co przekazał tobie goniec?

— Tak.

— A zatem o pozostałych sprawach, również o wyścigach, porozmawiamy później. Tylko co do klaczy Ustada nie mam jeszcze całkowitej jasności. Uważam, że Tifl zupełnie ją zaniedbał.

— To się zgadza, Tifl ją marnuje.

— Kto mógłby w takim razie na niej jeździć?

— A któż inny niż sam Ustada? — zapytał ze zdumieniem. — Obecnie rzadko jej dosiada, ale porównaj jakiegokolwiek konia z jego Sahm, a przekonasz się, że zostanie pokonany, może z wyjątkiem twojego Assila! Tifl wszakże będzie wykluczony z zawodów.

— Dlaczego?

— Powiem ci, kiedy sytuacja już dojrzeje. Przypuszczam, że ta gaduła już niedługo nie będzie należeć do Dżamikunów. Ustada przyjął jego i Pekałę do siebie tylko z litości i wielu nie pojmuje, dlaczego darzy ich takimi względami.

— Gaduła? — zapytałem.

— Tak. Podam ci jeden przykład: Kiedy był tutaj Krwawy Mściciel, Tifl miał przeprowadzić Persów przez granicę. Jechał wtedy całą drogę pomiędzy mirzą i Multasimem i skwapliwie informował ich wszystkim, co chcieli wiedzieć. — Od kogo dowiedziałeś się o tym?

— Od mojego wioślarza. Żaden Dżamiki nie zamienił słowa z tymi ludźmi; tylko Tiflowi ani przez chwilę nie zamykały się usta. No, ale dość. Widzę, że chcesz ruszać w drogę, efendi.

W tym momencie również wstałem.

— Tak, muszę wracać — powiedziałem. — Ale chciałbym, żeby twój wioślarz przewiózł mnie przez jezioro. Czy chcesz dosiąść Assila i odstawić go na pastwisko?

— Jeszcze jak! — wykrzyknął. — Choć raz będę mieć pod sobą twojego karego; już od dawna o tym marzyłem! Ale czy twój koń zgodzi się, bym go dosiadł?

— Jeśli ja nie będę mieć nic przeciwko temu, to tak.

— Zatem nie zwlekam ani chwili.

Usadowił się w siodle. Assil parsknął zdziwiony, ale nie ociągał się z wykonaniem polecenia jeźdźca. Kiedy później prowadził go tanecznym krokiem, zobaczyłem, że obaj wcale nieźle do siebie pasują. Wsiadłem do łódki, a Dżamiki zabrał się do wiosła.

Pod ruinami

Niebezpieczeństwo w maskach

Ta niespodziewana wycieczka trwała tak krótko, a dowiedziałem się tyle niezwykle ważnych rzeczy. Mój umysł był wyłącznie nimi zaprzątnięty i kiedy znaleźliśmy się na środku jeziora, musiałem zmuszać się, żeby skupić uwagę na pięknym krajobrazie.

Po raz pierwszy widziałem z tak bliska dolinę od jej zachodniej strony wraz z wszystkimi jej liniami, które zmierzały ku niebu. Tyli podnóże góry kształtowało się nie pionowo, lecz ukośnie. Przypominało mi to budowę ścian wadi* Jahufe, którą przemierzało się, jadąc przez Antyliban* z Muallaki do Damaszku. Tyle mówię o ukształtowaniu skał, gdyż dzięki niemu odkryłem coś, czego w przeciwnym pewnie bym nie odkrył.

Kiedy tak spoglądałem z samego środka jeziora w górę na alabastrowy namiot, rzuciło mi się w oczy coś, czego nie zauważyłem z różanej świątyni. Mianowicie namiot miał kształt korony, której przełamaną kopułę tworzyło osiem lśniących białym blaskiem kabłąków osadzonych na obręczy. Obręcz ta, jak mogłem dostrzec, nie spoczywała na wierzchołku góry. Natomiast zbiegało stamtąd jasne pasmo skał, ukształtowane niemal jak rozpostarte w dół ramię i dochodziło aż do pionowo opadającej krawędzi, gdzie rozszerzało się na podobieństwo ręki, a może też pięści, na której postawiono namiot. Po obu stronach tego pasma leżały tylko drobno potłuczone kamienie, które odpadając od zwietrzalej skały, utworzyły skalne rumowisko. Nie; trzeba było wielkiej wyobraźni, by pomyśleć, że wystarczy jedna większa ulewa albo jakaś klęska żywiołowa, żeby splukać czy porwać; cały ten rumosz. Wówczas skaliste ramię musiałoby rozciągnąć się w powietrzu, unosząc na olbrzymiej pięści w dół nad dolinę alabastrową koronę. To była tylko ulotna, szybko przemijająca myśl, z której człowiek później się śmieje, potrząsając ze zdumieniem głową. Jakże często jednak coś, co wydaje nam się nietrwałe, przybiera niezatarty kształt, który wskazuje nam, że owa myśl jest jednak zupełnie czym innym aniżeli tylko chwilowym, gasnącym bez śladu przebłyskiem!

Im bardziej zbliżaliśmy się do brzegu, tym usilniej moje myśli ciągnęły ku dołowi. Zdziwiła mnie skała opadająca pochyło w dół. Zupełnie mimo woli podążyłem wzrokiem za dziwnie regularnymi liniami tego skalnego tworzywa. Moją uwagę przykuwało to, że wszystkie skały bez wyjątku z tą samą pochyłością chyliły się ku dołowi. Bez wyjątku? Nie; jednak nie! Zauważyłem jedno miejsce, które wyglądało inaczej. Otóż u podnóża góry, w miejscu gdzie ta najdalej wsuwała się w głąb jeziora, schodzące w dół linie kończyły się i nie zmieniając swego biegu, po prostu urywały się. Miejsce nie było wielkie, ani szerokie, ale gęsto zarośnięte pnącą roślinnością, która wybujała od próchniczej gleby na brzegu, zwieszając swe gałęzie ponad wodę. Nie było tam ogrodu, ani pola, tylko zdziczały kawałek ziemi i dlatego nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, żeby zainteresować się gęstwiną i ziemią, z której wyrastały. Mnie jednak od razu przyszło to do głowy. Nie jestem co prawda uczonym, chociaż spotkałem w życiu paru takich, którzy mnie niejednego nauczyli, powiedziałem jednak sobie, że naturalne linie w miejscu, gdzie się kończyły zostały zastąpione czymś, co nie było naturalne, ale sztuczne... a więc dziełem ludzkiej ręki.

Stu innych ludzi przepłynęłoby obok tego pozornie nieistotnego tworzywa natury, nie zwracając na niego uwagi; ja jednak nie mogłem minąć go obojętnie. Kazałem skierować czołno bliżej zarośli i

wówczas odebrałem Dżamikiemu z ręki jedno wiosło. Odsunąłem nim pnącza i zobaczyłem nie naturalną skałę, lecz obciosane kamienie. Były to olbrzymie bloki identyczne z tymi, z których zbudowany był mur cyklopowy po tamtej stronie góry! Zacząłem coś przeczuwać i zdecydowałem się kontynuować poszukiwania. Robiłem to jednak dyskretnie, udając, że się bawię, gdyż Dżamiki nie musiał wcale wiedzieć, jakie myśli czy podejrzenia zaprzętały mój umysł. I nie pomyliłem się! Wreszcie, wreszcie przepchnąłem wiosło na wylot! Znajdował się tutaj otwór, który pod wąską ścieżką prowadził do wnętrza góry! Woda była w tym miejscu bardzo głęboka. Czyżby jezioro łączyło się jakoś przez tą zarośniętą dziurę z wnętrzem góry? Struktura tej bogatej w szczeliny skały mogła na to wskazywać. Postanowiłem odpowiedzieć na to pytanie przy innej okazji i powiedziałem wioślarzowi, żeby płynął do przystani. Spoglądając na Dżamikiego, stwierdziłem, że w niczym się nie zorientował. Było mu przecież całkiem obojętne, w jakim celu dłużyłem w gęstwinie roślin.

Chodj-y-Dżuna czekał na mnie, trzymając wierzchowca. Zachwalał go jako najlepsze zwierzę, na jakim kiedykolwiek siedział. Zapewnił, że zjawi się natychmiast, skoro tylko po niego poślę. Odebrałem od niego konia, pojechałem wolno pod górę i przez bramę skierowałem się na podwórze. Po tym co tam zobaczyłem, zapomniałem, że trzeba zsiąść. Halef wyniósł się ze swojego kąta sali razem ze swoim łóżkiem, żeby przespać się pod kolumnami. Leżał teraz z wysoko uniesioną głową i patrzył, jak wracam do domu ze swojej pierwszej przejażdżki konnej. Pokiwał słabą zmęczoną ręką. Podjechałem tam i siedząc na Assilu, powoli wszedłem na schody.

— Sihdi, co za radość! — rzekł. — Znowu na koniu! Teraz chyba kolej na mnie!

Hanneh usiadła przy nim. Delikatnie głaskała mu łydki i tłumaczyła mi:

— Przestraszyliśmy się, kiedy Assil cię poniósł; ale Kara, mój syn, krzyknął do nas, że pojedzie za tobą i nie pozwoli, żeby stało ci się coś złego. To nas uspokoiło. Potem widzieliśmy, jak razem z nim jechałeś wzdłuż jeziora; nie musieliśmy więc się martwić. Kiedy obudził Halef, opowiedziałam mu, że pojechałeś właśnie na swoją pierwszą przejażdżkę. Nie dawał nam spokoju; trzeba było go wynieść, żeby mógł widzieć, jak wracasz do domu. No i jesteś. Jak on się cieszy, kochany!

Zsiadłem i dołączyłem do nich. Assil zszedł po schodach zupełnie sam. Wówczas zjawił się Tifl.

— Efendi, rozsiodłam konia — powiedział. — Ale kiedy znowu siądziesz w siodle, zabierzesz mnie ze sobą. Obiecałeś mi! Pamiętasz?

— Tak. I co obiecałem, tego dotrzymam. Ale jeśli nie chcesz więcej ze mną jeździć, powiedz.

Nie zrozumiał tej aluzji. To co opowiadał mi o nim Kara, potwierdził nauczyciel. Kulawy był odtąd pod ścisłą obserwacją, nawet tego nie przeczuwając. A co dziwne: Kiedy prowadził karego, Halef spojrział na niego i powiedział:

— Upiór! Widziałem go już kilka razy... kiedy otworzyłem oczy... Stał przede mną i patrzył nienawistnie na mnie... Sihdi, nie pozwól, żeby ten człowiek się do mnie zbliżał... nie lubię go!

— Tak jak ja jego Pękali — zauważyła Hanneh. — Dlaczego zawsze on albo ona stoją przy nas, przypatrują się, co się dzieje, i podsłuchują, o czym mówimy? Trudno mi uwierzyć, żeby była to zwykła ciekawość; dla szpiegów wszakże nie ma tutaj miejsca!

Stałem cicho. Czy to ze wstydu? Dlaczego ja nie czułem tego samego w stosunku do Tifla i Pękali co Halef i Hanneh? Prawdopodobnie dlatego, że Halef i Hanneh byli ludźmi natury, którzy zachowali jeszcze instynkty, które my coraz bardziej zatracamy w ciągu naszego kształcenia”. Promienna „krzepka panna” i jej „oryginalne dziecko” do niedawna wydawali mi się niezwykle naturalni, podczas gdy teraz coraz bardziej zaczynałem rozumieć, że ich sztuczna, udawana naturalność jest nieszczera. Nie miałem już prawie żadnych wątpliwości, że byłem świadkiem aktorskich igraszek. To że raz się pomyliłem co do jednego czy więcej ludzi, przeboleiałem bez najmniejszego trudu; o wiele bardziej napawały mnie strachem te dziecinnie naiwne, ckliwe maski, którym dałem się wyprowadzić w pole. Kim jeszcze mogą być ci, którzy patrzą i rozmawiają z taką szczerością tak jak tych dwoje ludzi, a mimo to udają i oszukują! W Persji istnieje mnóstwo sekt. Jedna z nich, szujuch, uczy, że ludzkie ciało służy tylko do tego, żeby duchy zwodziły się nawzajem. Życie ziemskie miałoby być według nich wielkim, nieprzerwanym balem maskowym, ale bynajmniej nie dla przyjemności, a im ładniejsza, przyjaźniejsza i miłsza wydaje się maska, tym bardziej trzeba mieć się przed nią na baczności. Maski dzieci należały jednak do najgorszych z najgorszych. Nie jestem ani Persem, ani nie należę do żadnej sekty, ale nie było mi trudno teraz zrozumieć, że Pekała i Tifl grali u Dżamikunów publiczny bal maskowy. A ja, który całym sercem kocham dzieci, tym najgorszym z najgorszych wpadłem w sidła.

Halef sprawił mi radość. Wyglądało na to, że od wczoraj jego stan znacznie się poprawił, i prosił teraz, żeby pozwolono mu pozostać na dworze do wieczora. Zaproponowałem więc, abyśmy później zjedli razem na placu kolację, na co wszyscy chętnie się zgodzili. Kiedy Hanneh zapytała mnie, gdzie się podział Kara, powiedziałem tylko, że wróci koło wieczora. Udałem się do ogrodu, gdzie jak słyszałem, znajdował się Pedehr. Siedział na ławce, przy której kiedyś nakryłem Tifla kradnącego śliwki. Przysiadłem się do niego.

— Znasz szejka ul Islama? — zapytałem.

— Tak — odparł, od razu nadstawiając uszu. — Ale nie osobiście.

— Czy trzeba się go bać?

— Ty pewnie nie, ale my chyba tak.

— Nieprawda! Jestem teraz Dżamikim. Tak, bez reszty Dżamikim i nie znam niebezpieczeństwa, które zagrażałoby tylko wam, a mnie nie. Szejk ul Islam jutro przyjeżdża do nas.

— Naprawdę? Kto ci powiedział?! — krzyknął przestraszony.

— Chodj-y-Dżuna.

— A więc rzeczywiście przyjeżdża. Chodj zawsze jest dobrze poinformowany. Nigdy się jeszcze nie pomylił, ostrzegając nas. Jeśli szejk ul Islam przybywa do nas osobiście, to znaczy, że sprawa

jest niebagatelnej wagi. Jest księciem wśród duchownych i na pewno nie wybiera się w taką podróż, jeśli nie ma ku temu bardzo ważnych i starannie przemyślanych powodów. Efendi, nic dobrego nas nie czeka!

— Dlaczego nic dobrego? Dlaczego ma to być koniecznie coś złego?

— Bo od niego nie może przyjść nic dobrego. Ściśle mówiąc, nie jest Persem, lecz Takikurdem. Ukuło się nawet takie powiedzenie: Ilekroć Taki pobożnie wznosi wzrok ku niebu, tylekroć depcze nogą człowieka. A ten świątobliwy książę nieustannie patrzy w górę. Kto zliczy, ilu już podeptał swoimi lekkimi, miękkimi, bezszelestnymi podeszwami! Zobaczmy jego pokorne, nabożne spojrzenie, ale poczujemy również stąpania jego fanatycznej stopy. Tam gdzie zostawia swój ślad, nie podnosi się już więcej ani źdźbło trawy!

— No to pozwólmy mu stąpać tylko po cierniach; to będzie dla nas pożyteczne, a dla niego zbawienne! Nie mogę niestety dowiedzieć się, czy przyjdzie sam czy ze świtą.

— Sam? Nie ma mowy! Musi się otaczać blaskiem i honorami, aby jego pokora tym bardziej się uwydatniała! Będziemy mieli bardzo dostojnych gości, i to wcale niemało. Wypada nam zatem się przygotować!

— Nie! W żadnym razie nie może zauważyć, że spodziewaliśmy się jego wizyty. Goście dostaną tylko to, co akurat będzie w spiżarni. Niczego nie kupimy i nie będziemy nic szykować. W kuchni nikt nie; może czegokolwiek podejrzewać. Szczególnie zaś musisz zadbać o to, żeby Pekala i Tifl niczego się nie dowiedzieli. Tego surowo wymagam!

Ze spuszczoną głową patrzył cicho przed siebie i nic nie odpowiedział. Dlatego mówiłem dalej:

— Zatem żadnych przygotowań, chociażby z powodu tej dwójki, która absolutnie nic nie może zauważyć! Gdzie podejmiemy gości?

— W holu.

— Tam gdzie leży Hadzi Halef?

— Jeśli się zgodzisz, przeniesiemy go gdzie indziej. Dobrze się składa, bo Hanneh niedawno pytała mnie, czy nie mogłaby go mieć przy sobie u góry. Łatwiej byłoby jej wtedy pielęgnować Halefa, a on miałby większy spokój niż teraz w holu, który ciągle jest otwarty.

— W takim razie przenieście go na górę zaraz po kolacji! Hanneh ma rację. Jej życzenie jest bardzo rozsądne. Jednak jej także nie mów nic o szejku ul Islamie, zresztą w ogóle nikomu. Ten „książę” ma być całkowicie przekonany, że zupełnie nas zaskoczył. I nie wyobrażaj sobie jakiejś wielkiej biesiady! Jest nawet całkiem możliwe, że ani on, mi żaden z jego towarzyszy nie dostanie od nas jednego kasha.

— Efendi, cofnij, coś powiedział! To jest wykluczone, absolutnie wykluczone!

— Dlaczego?

— Pomyśl najpierw o najważniejszym obowiązku gościnności!

— Muszę poczekać, czy szejka ul Islam zachowa się wobec nas tak, żebym mógł pozwolić mu być naszym gościem.

Wybałuszył na mnie oczy.

— Brzmi to tak, jakby w ogóle nic cię nie obchodził ten wielki dostojnik!

— Obchodzi mnie on dokładnie tyle, ile posiada materiału, ni mniej, ni więcej. Dywany, poduszki, fajki, tabaka, kawa, woda, to wszystko tutaj przecież jest. Jeśli coś jeszcze będzie miało być podane, to dopiero wtedy, kiedy dam znak, również o czasie podania ja zadecyduję. Obecni będą tylko ty, Chodj-y-Dżuna i ja. Tylko z nim możesz rozmawiać, z nikim innym. Czy będę potrzebować jeszcze innych Dżamikunów, tego na razie nie wiem; to dopiero się okaże. Czy słyszałeś już może kiedyś o „najlepszym koniu Luristanu”?

— I to nie raz. Należy do szejka ul Islama i jest najszybszym i najbardziej wytrzymałym koniem wyścigowym w hodowli Takikurdów. Jeszcze nikt go nie pokonał, a jego właściciel zdobył już dzięki niemu niejedną nagrodę.

— Jak stał się właścicielem tego zwierzęcia?

— Dostał go w prezencie od plemienia na chwałę jego bezprzykładnej pobożności i prawowierności. Jeszcze żaden Taki nie doszedł tak wysoko jak ten człowiek. Dlatego są z niego dumni i szczycą się tym, że mogą nazywać go swoim. Szejka powiada, że miłość do koni jest jedyną miłością tu na ziemi, której się poświęcił. A że chętnie otwiera swoją stajnię, kiedy są wyścigi, jest całkiem niewykluczone, że jutro przybędzie tutaj ze swoimi końmi, skoro tylko usłyszysz, że będą się u nas ścigać.

— Czy mam przyjąć go na listę zawodników?

— To już od ciebie zależy, efendi. Nie mówię ani tak, ani nie. Koń, z którym jeszcze nikt nie wygrał, jest niebezpiecznym przeciwnikiem. Jednak tym większą chlubę przynosi pokonanie go. Przede wszystkim chodzi jednak o nagrodę, której wysokość mógłby ze względu na ciebie podbić.

— Czy szejka ul Islam ma jakieś osobiste powiązania z Ahrimanem mirzą?

— Nie.

— A z Ghulamem Multasimem?

— Tak, obaj pozostają w bliskiej komitywie. Szejka ul Islam mianował nawet Ghulama na jednego ze swoich *kasi* i często podejmuje go w swoim domu jako gościa.

— To dla mnie ważna, bardzo ważna informacja! Zmieńmy je na chwilę temat. Zastępuję teraz Ustada i mam obowiązek zająć się sprawą, którą do tej pory pomijałem. Byłem mianowicie u szejka Kalhuranów i uradowało mnie, że stan jego zdrowia polepsza się. On nie podlega pod wasz

dżemmah; ale powiedziałaś, że trzeba ukarać jego żonę, gdyż przelała krew.

— Tak, to prawda. Gdy tylko szejka opuści obóz, będziemy musieli ją osądzić.

— Czy, będąc na jej miejscu, postąpiłbyś inaczej? Czy pozwoliłbyś zabić swojego małżonka?

— Nieważne co ja bym zrobił. Mamy prawo i trzeba zgodnie z nim postępować.

— A więc nawet u was rządzi wciąż litera prawa, a nie duch prawa!

— Mylisz się. Wymierzemy najmniejszą karę.

— Ale jednak karę! A nie można jej uniewinnić?

— Nie.

— Komu przysługuje prawo łaski?

— Ustawowi. Wiesz, że w Persji każdy weli ma władzę nad życiem i śmiercią, a więc przysługuje mu również prawo łaski, a Ustaw jest welim naszego okręgu.

— A w czasie nieobecności Ustada kto ma prawo łaski?

— Jego przedstawiciel, a więc ty.

— Proszę cię więc, idź do Kalhuri. Powiedz mu, że gdybym był na miejscu jego żony, z pewnością również bym zabił. Uważam więc, że jest tak samo niewinna jak ty i ja, i nie zgadzam się, żeby ją ukarano. Kto skazuje człowieka za czyn, do którego w pewnych okolicznościach sam byłby zdolny, ten jest wart tej samej kary. Idź natychmiast!

— Efendi, co za radosna nowina. Pędzę ją przekazać. Zaskarbiłeś sobie dzięki temu serca wszystkich Dżamikunów i Kalhuranów!

Poszedłem do swojego mieszkania, żeby zabrać klucze do pokojów Ustada. Chciałem przygotować się do jutrzejszych odwiedzin na tyle, na ile było to konieczne. Musiałem więc zdobyć dokładne informacje o wszystkim, co tutaj do tej pory się wydarzyło. Odnalazłem teczkę zawierającą kompletną dokumentację dotyczącą odstąpienia terenu, zarządzania oraz praw i obowiązków Dżamikunów. Ustaw zadbał o to, żebym mógł się w nich zorientować. Wszędzie znajdowały się kartki, które wskazywały, co zawierały poszczególne dokumenty. Dzięki temu bez trudu odnalazłem najcenniejszy z nich wszystkich. Widniała na nim adnotacja: jeszcze nigdy nie używane i nikomu nie pokazywane, w razie potrzeby wykorzystać jednak bez obaw!

W napięciu otwarłem ten dokument i przeczytałem. Zawierał umowy, które zostały sporządzone bez świadków pomiędzy szachem i Ustawem, i zapewniały temu ostatniemu taką ochronę, że żaden weli nie potrzebowałby skuteczniejszej. Ogromną rzadkością był własnoręczny podpis władcy i trzykrotnie powtórzona również osobista pieczęć. Załączona była jeszcze karta z mocno pożółkłego pergaminu. W czterech rogach mieścił się namalowany odręcznie perski herb przedstawiający lwy

leżące przed słońcem. Natomiast w środku widniał pieczołowicie wykaligrafowany piórem napis, naturalnie w języku perskim. Po przetłumaczeniu brzmiał następująco: „Kto okaże ową kartę, ten tylko wobec mnie zobowiązany jest do posłuszeństwa!” Również tutaj był własnoręczny podpis i pieczęć, która odcisnęła następujące słowa: „Kiedy Nasr-ed-Din wziął w rękę pieczęć, rozległ się głos sprawiedliwości, od księżycy aż do ryb”. Szach, słynący z tego, że jest zapalonym kaligrafem, sam wyrysował i opisał tę kartkę, która w razie czego służyła jej właścicielowi jako dowód, zmuszający nawet najwyższych z królestwa szacha do natychmiastowego posłuszeństwa. Tym samym posiadałem już znacznie więcej aniżeli potrzebowałem na jutrzejszy ranek. Chciałem już wracać, gdy wtem drzwi otwały się i do środka weszła Pekala. Jej twarz jaśniała jak zwykle miłym, pełnym zachwytu blaskiem, a kiedy odezwała się, jej głos zabrzmiał bardzo poufale:

— Zauważyłam klucz w drzwiach, efendi, i pomyślałam sobie, że jesteś w pokoju. Wprawdzie nie mam czasu, dla ciebie jednak zawsze go znajdę. Chciałam zapytać, czy mogę ci opowiedzieć o moim aszyku.

— Z przyjemnością posłucham!

— A nie zdradzisz?

— A więc to tajemnica? — ominąłem jej pytanie.

— Tak, oczywiście! — odparła butnie. — Mam bez liku tajemnic, o których nikt nie powinien nic wiedzieć. Tobie jednak opowiem parę z nich. Najważniejszą z nich wszystkich powinieneś usłyszeć już teraz. Mianowicie mój aszyk przyjeżdża zawsze co cztery tygodnie; mówiłam ci już o tym. Wszakże niedawno zjawił się tutaj w nietypowym czasie. Czy odgadniesz może, po co przybył?

— Nie. Powiedz sama, i to najkrócej jak możliwe!

— Dlaczego? Efendi, ja przecież zawsze mówię krótko! Mój aszyk mianowicie postanowił rozmawiać z naszym Ustadem i zawiadomić go o wszystkim, co może uratować go od śmierci.

— Kogo uratować? Aszyka czy Ustada?

— Aszyka; ale może też ich obu. Nie wiem dokładnie. Mam powiedzieć Ustadowi, że aszyk przyjedzie w następną sobotę, właśnie o północy. Ja jednak spotkam się z nim już godzinę wcześniej.

— I doniosłaś już o tym Ustadowi?

— Nie.

— Czemu nie?

— Bo... bo... bo boję się go.

— A mnie nie?

— Ciebie też! Ale czas minął; sobota jest tuż, tuż, a jeśli będę dalej się tak bać i nie odezwę się

ani słowem, to stracę mojego aszyka. Powiedział mi bowiem, że już nigdy się nie zjawi, jeśli się nie postaram, żeby się spotkał z Ustadem. Dlatego wreszcie zdobyłam się na odwagę, i przedstawiłam ci jego prośbę, gdyż Ustad nie powróci jeszcze do przyszłej soboty. Co ty na to?

Przetarła sobie zroszone potem czoło i z ulgą odetchnęła. Nie było jej lekko zwrócić się z tym do mnie.

— Czy aszykowi jest obojętne, czy spotka się ze mną czy z Ustadem? — zapytałem.

— Tak myślę. Zastępujesz przecież Ustada, a że sprawa nie cierpi zwłoki, musi się zgodzić.

— Czy ktoś wie, że aszyk przyjedzie w sobotę?

— Nie.

— Tifl też nie?

— Tifl? Temu gadule nie można o niczym mówić. Nic, nic, ani słówka!

Kłamała, powiedziała to jednak z miną najbardziej uczciwą i szczerą, jaką tylko można sobie wyobrazić. Małe oczy patrzyły na mnie przy tym tak otwarcie, tak dobrodusznie, że pomyślałem prawie, iż muszę się zastanowić, czy czasem nie mylę się co do niej.

— A czy aszyk mówił, gdzie chciałby rozmawiać z Ustadem? — pytałem dalej.

— Nie. To już ty musisz ustalić. Powiesz mi gdzie?

— Jeszcze nie dzisiaj. Powiem ci, kiedy przyjdzie na to pora. A teraz posłuchaj mnie! Będziesz milczeć przed każdym, nawet przed! Tiflem! Jeśli komuś piśniesz chociaż słówko, że przyjeżdża aszyk i że chce mi coś powiedzieć, nie będę z nim w ogóle rozmawiać, a ciebie wypędzę z domu.

— Efendi — zawołała, wycofując się z przerażeniem. — Jak ty strasznie na mnie patrzysz! Masz zupełnie inną twarz!

— Taka jest moja twarz, kiedy postanawiam, że muszę coś koniecznie zrobić. Nie widziałaś jej jeszcze. Miej się na baczności, zanim znowu wrócisz do mnie! Jeśli nie będziesz milczeć, każę cię jeszcze w środku sobotniej nocy odstawić poza granicę, nie martwiąc się, co się z tobą dalej stanie! Zrozumiałaś?

— Tak, tak, bardzo dobrze! — zapewniała, skręcając się ze strachu — Efendi, Ustad jest jednak sympatyczniejszy niż ty. Kto by pomyślał!

— Każdy na jego miejscu. Taka moja surowość, jaka twoja uprzejmość! Masz coś jeszcze do powiedzenia?

— Nie.

— To idź!

Zupełnie zdruzgotana zrobiła ukłon nie w tę co trzeba stronę i oddaliła się wyraźnie skonfundowana. Starannie zamknąłem mieszkanie na klucz i poszedłem, żeby porozmawiać ze Szakarą.

Jak to się działo, że nie pytając nikogo o nią, czułem, jakbym dokładnie wiedział, gdzie się znajduje? Przeszedłem przez ogród. Mijając źródło, ujrzałem „siostrę” przy koniach. Sahm z Ghalibem skubały dookoła trawę. Assil natomiast położył się na boku. Szakarą siedziała przy nim i opierając się na jego szyi, zaplatała warkocze z włosów grzywy. Kary dosięgał ją czasami pyskiem, żeby uszczypnąć przyjaźnie w ramię. Przyglądałem się temu przez dłuższą chwilę; później podszedłem i usadowiłem się koło nich.

Nie miałem nic pilnego do omówienia z Szakarą. Chciałem powiadomić ją jedynie o tym, kto jutro przyjeżdża. Ale zanim to uczyniłem, nastąpiło coś takiego, jakby wszystko co było we mnie zamknięte, otworzyło się, żeby ona mogła to obejrzeć, wypróbować i zatwierdzić lub odrzucić. Odzywała się jedynie wówczas, kiedy ją pytałem. Jej odpowiedzi były bezinteresowne, skromne, a pomimo to brzmiały mocno, zdecydowanie i pewnie, bez jakiegokolwiek śladu strachu. Coraz bardziej nabierałem przekonania, że nosiła w sobie coś nieskończenie wielkiego, pięknego i jasnego, i zastanawiałem się, jakby to określić. Było to z pewnością coś, co my „wykształceni” nazywamy spojrzeniem na świat, na życie, a jednak coś znacznie bardziej doniosłego! Owo spojrzenie obejmowało jeszcze wiele innych skarbów ponad te, które oferuje nam tak zwany „świat” i „rzekome” życie. Kiedy teraz rozmawiałem z nią, znowu wynurzyło się przede mną wspomnienie chwili, gdy będąc chory, zobaczyłem ją ze swojego łóżka po raz drugi: Siedziała nieopodal drzwi zanurzona w zieleni roślin. Miała na sobie białą szatę i welon, który odrzuciła do tyłu. Jej ciemne włosy spływał splecione w długie, ciężkie warkocze. Smukłe palce ślizgały się po strunach sandurah. Czy można porównać ludzkie istnienie z wierszem? Mówi się przecież, że człowiek jest najwspanialszym wierszem całego stworzenia. Jeśli nie najwspanialszy, to z pewnością jeden z najpobożniejszych widziałem teraz przed sobą!

Słyszałem wtenczas, jak wydobywała z harfy dźwięki. Grała, żeby zatrzymać nasze dusze, moją i Halefa. Tym razem identyczne działanie wywoływały słowa, które od niej słyszałem; wszakże wszystko co mówiła i jak mówiła miało głębokie wewnętrzne pokrewieństwo z owymi brzmieniami harfy. We wszystkim była taka melodia, taka harmonia, taka pełnia, taka czystość i ani śladu dysonansu. Mówiłem i mówiłem, po to tylko, żeby usłyszeć odpowiedź z tych ust, z których nie mogło wybrzmieć nic nieczystego, nic plugawego. Było to tak, jakbym musiał przekazać jej wszystkie moje myśli, żeby je za chwilę znowu przyjąć, oczyszczone i rozjaśnione. Czy Marah Durimeh wiedziała o tym, kiedy pisała, że ja powinienem być duchem, ona zaś moją siostrą duszą? Psychologia opanowana nie teoretycznie, lecz praktycznie! Nie z naukowych podręczników, lecz wydarta wprost i bez przewrotnej interpretacji życiu duchowemu i duszowemu!

Siedzieliśmy tak koło siebie o wiele dłużej, aniżeli zamierzałem. W końcu nadszedł Kara ben Halef na swoim Barkhu i zameldował mi, że udało mu się wykonać zadanie, które otrzymał ode mnie, i nie został przy tym przez nikogo zauważony. Przeszukał dokładnie miejsce, o którym mówiliśmy, i doszedł do wniosku, że od czasu jego ostatniej wizyty żaden człowiek nie postawił tam swojej stopy. Nadeszła już pora kolacji, zaprosiłem go więc, żeby zasiadł do niej razem z nami. Odmówił jednak,

tłumacząc, że najpierw musi zadbać o to, by Barkh powoli ostygł, gdyż w przeciwnym razie mógłby się rozchorować. Postępował tak rozważnie ze wszystkim, co spoczywało w jego rękach. Z pewnością odziedziczył to bardziej po matce aniżeli ojcu, często zbyt szybkim Hadżim, którego żywy temperament tak chętnie spychał z drogi spokojną rozwagą.

Po posiłku postanowiłem, że przed spaleniem rzeczy Ustada wszystko wcześniej sprawdzę. Mogłem w ten sposób zajrzeć głęboko w jego życie, w jego nastawioną przyjaźnie do ludzi wolę i czucie. Gazety napawały mnie obrzydzeniem. Uznałem, że nie ma co ich czytać. Kiedy jednak brałem je do rąk, rzucałem czasem okiem na to czy inne miejsce, ale za chwilę pomiętoszony arkusz frunął tak daleko ode mnie jak tylko możliwe. Aż trudno było wprost uwierzyć, jakimi bzdurami i plotkami zajmuje się ta szczególna istota, która bałamuci swoich Dżamikunów, że są bystrymi ludźmi! Jeżeli Ustada naprawdę to wszystko przeczytał, to stał się niewątpliwie największy cud, że pomimo to ciągle wiernie dochowywał ludzkości swej miłości. Musi to być wielkie uczucie, jakaś prawdziwa, nie udawana, lecz naprawdę płynąca z serca troska o dobro bliźniego, jeśli ta miłość ma taką siłę, że jest w stanie wytrzymać ataki wrogów, którzy nie wstydzą się bronić własnego interesu, zapewniając przy tym, iż są orędownikami powszechnych praw ludzkości i szlachetnego człowieczeństwa. A zatem precz z tymi elaboratami! Cisnąłem je na palenisko, podpałem, a kiedy płomień buchnął w górę, na jego pastwę powędrowało również napisane nie wiadomo po co „usprawiedliwienie”.

Jeszcze przez jakiś czas zajmowałem się dziełami Ustada, po czym udałem się na spoczynek i obudziłem się dopiero wtedy, kiedy zapukano do moich drzwi. Jeśli ktoś zdecydował się wyrwać mnie ze snu, musiał mieć bardzo ważny powód. Wstałem i otworzyłem je. Przede mną stał Pedehr.

— Wybacz, efendi, że nie pozwoliłem ci się wyspać! — rzekł. — Już niedługo szejk ul Islam tu zagości.

— Tak wcześnie? Skąd wiesz? — zapytałem.

— Jeszcze wczoraj rozmawiałem z Chodj-y-Dżuną. Doszedł do wniosku, że dobrze będzie, jeśli się dowie, co się dzieje. Wyruszył w kierunku na Chorremabad. Dojechał aż do granicznego duaru Dżamikunów i dowiedział się, że nocował tam szejk ul Islam, a dzisiaj skoro świt chciał wyruszyć dalej. Chodj nakazał tamtejszym ludziom, żeby milczeli, i teraz jest już tutaj, bo życzyłeś sobie, żeby był obecny. Nikt jeszcze nic nie wie o wizycie szejka. Czy zejdiesz teraz na dół?

— Nie. Przyślij mi na górę śniadanie! Kto jeszcze z nim przyjedzie?

— Licząc z dostojnikami i służbą, będzie piętnastu ludzi, wszyscy na wyśmienitych koniach i doskonale uzbrojeni. W duarze powiedziano im, że u nas nie wolno nosić broni bez specjalnego pozwolenia Ustada i że jeśli ją kto ma, musi ją oddać, skoro tylko wkroczy na teren Dżamikunów. Ci jednak zbyt do tego nie kwapili.

— No i co się później stało? Zmuszono ich do oddania?

— Nie. Uznano, że z szejkiem ul Islamem nie można ostro postępować. Naturalnie także tutaj już przy pierwszym domu zostali zatrzymani. Jeśli zechcesz, każę ich natychmiast rozbroić. A jeśli nie będą chcieli się temu podporządkować, wtedy mogą zawrócić, a ja każę odstawić ich do granicy pod

eskortą oddziału jeźdźców.

— Bardzo słusznie, Pedehr! Tak, podobasz mi się! Nie ma takiego człowieka, ani jednego, którego musielibyśmy się bać. Strach jest największą głupotą, jaką znam. Dobrze, gdy wszystko jest na swoim miejscu i o swoim czasie! Pięść za pięść, jednak za podstęp nic inni jak tylko podstęp! Jeśli ostrzegacie mnie przed chytrą tego szejka ul Islama, to muszę się pilnować, żeby nie walić łapami na wszystkie strony jak głupi niedźwiedź. A chcąc rozbroić piętnastu ludzi za u bram duaru, musiałbym wystawić tylu samo Dżamikunów. Wówczas od razu by sobie pomyśleli: ci wiedzieli, że przyjedziemy! A właśnie o tym nie powinni się dowiedzieć! Pozwólmę więc, żeby sprawy biegły swoim torem! Wy dwaj, ty i Chodj–y–Dżuna musicie przyjąć ich tak jakbyście byli niezmiernie przerażeni, i zaprowadźcie ich później holu, gdzie będziecie z nimi rozmawiać do czasu, aż ja się pojawię.

— Czy mam po ciebie posłać?

— Nie. Trzeba ich jeszcze bardziej utwierdzić w tym, że o niczym nie wiedzieliśmy. Powiecie więc, że nie ma mnie w domu i że wybrałem się na spacer. Tak też zrobię, jednak nie będę odchodzić zbyt daleko. Postaram się obserwować ich przyjazd, a później pojawię się w holu. Teraz idź! I przyslij mi jak najszybciej śniadanie!

Oddalił się i natychmiast przysłał mi na górę jedzenie. Kiedy się posiłem, zamknąłem swój pokój na klucz i poszedłem do mieszkania Ustada, żeby zabrać złotą kartę szacha. Było całkiem możliwe, że będę jej potrzebować. Później zamknąłem pomieszczenie i zszedłem na dół, ale nie schodami, lecz od tyłu drogą dzwonną, która prowadziła do ogrodu, kąpieliska i dalej do wybiegu dla koni. Nie rzuciło mi się w oczy, żeby ktoś mnie zauważył. Zacząłem szukać miejsca, z którego mógłbym obserwować przyjazd szejka ul Islama, nie będąc przez nikogo dostrzeżonym. Cały skraj ogrodu i pastwiska zarośnięte były gęstymi krzakami, za którymi gigantyczny mur urywał się pionowo w dół. Kiedy precisnąłem się przez tę gęstwinę do uskoku muru otworzył się przede mną szeroki widok, taki jakiego sobie życzyłem. Udałem się do miejsca, gdzie wydawało mi się, że wśród gąszczy krzewów znajduje się przesmyk. Kiedy jednak doszedłem tam, okazało się, że szczelina w zieleni nie prowadziła na drugą stronę. Wyglądała raczej jak pergola, wyściełana wszędzie wysoką darnią, tak że można było tutaj wygodnie siedzieć. Wokół roślinność była tak gęsta i poplątana, że nie dało się nic przez nią zobaczyć, a tym bardziej się przez nią przedrzeć, nie łamiąc konarów i gałęzi. Jednak tuż obok rosło kilka tamaryszków, przez które od biedy mogłem się przedostać z powrotem, nie uszkadzając krzaków. Zacząłem się przeciskać, ale nie mogłem dotrzeć do krańca i musiałem odbić w bok, a więc za pergolę. Tam znalazłem to, czego szukałem. Gałęzie zupełnie mnie zasłoniły, a przy tym było wystarczająco dużo otworów między nimi, tak że mogłem ogarnąć wzrokiem całą dolinę oraz prowadzącą do nas w górę drogę aż hen za kilka zakrętów. Usadawiłem się tak wygodnie, jak się dało, i nastawiłem się na długie oczekiwanie. Okazało się to zupełnie zbyteczne, gdyż właśnie kiedy się położyłem i podparłem ręką głowę, najeżdżała od prawej strony z dołu grupa jeźdźców, która niewątpliwie stanowiła oddział szejka ul Islama. Naliczyłem oczywiście więcej niż piętnastu jeźdźców, jednak okazało się, że ci nadplanowi to Dżamikunowie, którzy eskortowali oddział szejka od granicznego duaru.

Pięć koni zgodnie z perską tradycją przepychu miało założone szory. Jeden z nich szczególnie się wyróżniał. Człowiek, który na nim siedział, nosił turban Takich o niezwykle dużej średnicy. Z tego

ozdobionego kilkoma sterczącymi piórami zawoju zwisał biały welon, który niczym płaszcz okrywał nie tylko jeźdźca, ale również grzbiet i zad rumaka.

Czyżby ta tak rzucająca się w oczy postać miała być pobożnym dostojnikiem? Pokornym mężem z lekkimi, miękkimi, bezszelestnymi podszewkami? Kiedy zadawałem sobie te pytania, obserwowałem także pozostałych, którzy jechali w ogóle nie przystrojeni i wyglądali na służbę. Jeden z nich trzymał się całkiem z tyłu. Miał na sobie pospolite ubranie Takich, dosiadał jednak konia, który pochłonął całą moją uwagę. Odległość była zbyt duża, żebym mógł dostrzec szczegóły, ale ta szlachetność postawy, pełnia życia bijąca z każdego ruchu, ten wdzięczny pewny krok, sprężysta pewność siebie pomimo ściskających ud jeźdźca i cugli wystarczyły mi, żeby uznać, iż był to najlepszy, najcenniejszy koń z całej piętnastki... jasny kasztan z dwoma białymi bucikami z przodu!

Oddział skręcił w drogę prowadzącą do „wysokiego domu”. W miarę jak zbliżał się do mnie, coraz wyraźniej mogłem widzieć interesującego mnie konia. Jak na moje oko wart był z pewnością co najmniej dziewięć tysięcy marek, a zatem jeździec, który go dosiadał, nie mógł należeć do ssijasów*.

Tak więc dwie osoby wydały mi się kimś innym, niż należałoby przypuszczać po ich zewnętrznym stroju. Ten z przodu ukryty za białą zasłonką i jeździec zamykający pochod najwyraźniej chcieli nas zwieść swym wyglądem. Jeden miał udawać ważną osobistość, drugi kogoś mało istotnego. Dostojeństwem pierwszego mogłem się nie przejmować, ale przed drugim musiałem mieć się na baczności. Jeśli jeden z tych ludzi był kimś więcej niż tym za kogo się podawał, mogłem od razu wziąć pod uwagę najważniejszą ewentualność: rzekomy stajenny był szejkiem ul Islamem we własnej osobie!

Kiedy tak rozmyślałem o przybyszach, ujrzałem Tifla, który ni stąd ni zowąd pojawił się na drodze, chcąc zejść na dół do duaru. Nie miał pojęcia, że przyjadą do nas jacyś goście, i kiedy ich zobaczył, stanął ja wryty. Grupa jeźdźców zbliżyła się do niego i chłopak zagadnął nich. Jeździec jadący z przodu zamiast odpowiedzieć, wskazał człowieka jadącego z tyłu. Ten fakt sprawił, że moje podejrzenie przerodziło się już niemal w pewność.

Osobnik na koniu kiwnął pozostałym, by jechali dalej, a zatrzymał się przy Tiflu. Ten gest zdradził mi, kto tu rozkazuje. Przez chwilę rozmawiali ze sobą, po czym nieznajomy ruszył powoli na swym jasnym kasztanie. Tifl zrobił w tył zwrot i wciąż żywo z nim rozmawiając, kroczył dalej u jego boku, aż w końcu obaj zniknęli za ostatnim, najwyższym położonym zakrętem drogi.

Jak dobrze, że przyszedłem tutaj, żeby zrobić rozpoznanie! Dzięki temu dowiedziałem się, że szejek ul Islam najwyraźniej zamierza bawić się z nami w kotka i myszkę, i jak widać, gdyby zabawa miała dojść do skutku, był do niej doskonale przygotowany! A że nie zamierzałem dawać gościom do zrozumienia, że z powodu ich przybycia wybuchła wielka radość, postanowiłem nie śpieszyć się ani trochę i pozostałem dłuższą chwilę na swoim miejscu. Już po chwili przekonałem się, że dobrze zrobiłem. Od strony krzaków usłyszałem szybko zbliżające się kroki zmierzające w kierunku pergoli, za którą byłem ukryty. Weszło pod nią dwoje ludzi.

— Nikt nas nie widział, to dobrze! — usłyszałem głos Tifla. — Pytał, czy mógłby gdzieś z tobą

porozmawiać, tak żeby nikt was nie zauważył. Pobiegłem więc co tchu i ściągnąłem cię tutaj. Teraz jego przyślę.

Po tych słowach się oddalił. Kim była osoba, która znajdowała się teraz w zielonej altanie? Nie musiałem długo czekać, żeby się dowiedzieć. Znowu dało się słyszeć kroki, szybkie, ale ciche, ostrożnie skradające się, jakby ktoś skakał na miękkich sprężynach.

— Ty jesteś Pekala, niewierząca Turczynka? — ktoś zapytał.

— Tak — odparła Pekala, nieostroźnie potwierdzając fałszywość swojej religii. — A kim ty jesteś?

— Nie musisz wiedzieć, jak się nazywam; jestem jednak przyjacielem tego, który jest twoim aszykiem.

Klasnęła w obie dłonie i krzyknęła:

— Przyjaciół mojego aszyka! Jakże mnie to cieszy! Kto by pomyślał, że...

— Nie tak głośno! — przerwał jej władczy tonem. — Nikt nie może się dowiedzieć, że go znam i że rozmawiałem z tobą... miluśka, kwiatuszku! — nagle zmienił ton na zupełnie miękki i przymilny. — Udowodnię ci jednak, że znam twojego aszyka, ciebie i waszą miłość. Twój aszyk przybędzie w następną sobotę, godzinę przed północą, a ty będziesz czekać na niego przy kawale muru wystającego wysoko z ziemi. Czy poznajesz teraz, że jestem jego powiernikiem, jego przyjacielem, a więc również twoim?

— Tak, wierzę ci — zapewniała. — Ty też na pewno tak jak on masz szlachetne męskie serce i wiesz, co to znaczy szlachetne kobiece serce!

Było słyhać, jak chrząka, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Nie mogłem go dostrzec, wiedziałem jednak, że od razu poznałbym go po języku. Spółgłoski szczelinowe wymawiał gardłowo z nadzwyczajną kurdyjską ostrością, a chrapiące rrrrrr języczkowo, jakby dotknięty jakimś schorzeniem języczka.

— Wiem nawet, po co przyjeżdża tym razem — ciągnął dalej swą wypowiedź. — Zamierza rozmawiać z Ustadem, a że go tu nie ma, spotka się więc z nieznanym efendim, gdyż sprawy nie można już odwlekać. Nie spodziewałem się, że natrafię na przedstawiciela Ustada, a więc dopiero się okaże, czy jego obecność jest dla nas korzystna czy też nie. Twój aszyk musi być koniecznie podjęty jako gość w domu Ustada. Planowaliśmy, żeby zamieszkał w pokojach, które Ustad zwykł nazywać „grobem”. Niestety dowiedziałem się od Tifla, że podjęto w nich efendiego. Ale teraz pozostały wolne pokoje Ustada, a to by nam wystarczyło, gdyby twój aszyk mógł je otrzymać. Jesteś panią tego domu, Pekala. Jestem o tym przekonany. Nikt nie jest w stanie oprzeć się twojej uprzejmości. Twój aszyk będzie namawiał efendiego, żeby ulokował go u siebie, ale gdzie? Słyszałem, że pozyskałaś bez reszty tego człowieka dzięki swojej uprzejmości. Powiedz teraz: uważasz, że zgodzi się przyjąć w pomieszczeniach Ustada tego, który uszczęśliwia twe szlachetne

kobiece serce?

— Od razu się zgodzi! — z radości nieopatrznie wykrzyknęła tak głośno, że z gniewem jej rozkazał:

— Zamilknij, ty nieostrożna kotko! Twoja fałszywa gęba już dosyć zdradziła, mnie jednak niech nie...

Przerwał w pół zdania i zupełnie innym tonem zaczął mówić dalej:

— Moje serce rozumie ogrom twojego szczęścia, które pragnie mieć przy sobie aszyka jako umiłowanego gościa, ty wierny, śliczny kwiecie jego życia. Proszę cię jednak, abyś ukryła głęboko i po cichu swoje szczęście, dopóki nie nadejdzie czas, że nie będziesz musiała go dłużej chować w tajemnicy! Wiesz przecież, że życie aszyka zależy tego, czy potrafisz milczeć, twoje zresztą również.

— Chodeh! Moje życie również? Moje własne? — zapytała przestraszona.

— Tak. Wrogowie aszyka są również twoimi wrogami, a jeśli go zabiją, to samo może także grozić tobie!

— Ale kim oni są? Nigdy mi o nich nie mówił.

— Żeby nie mącić spojrzenia twoich rozpromienionych oczu, które ceni sobie ponad wszystko. Dlatego ja też nie mówię. Twoje serce powinno pozostać czyste i bez uprzedzeń. Ustada znam, o tym efendim jednak nie wiem nic. Jaki on jest? Który z nich jest mądrzejszy?

— Żaden nie jest mądry. Wszystkich należałoby wychować. Ja mam wiele tajemnic, których nie mówię większości ludzi, bo myślę, że je wydadzą. Do ciebie jednak mam zaufanie. Chcę więc powiedzieć ci jedno: Ustada bardziej lubię aniżeli efendiego.

— Z jakiego powodu?

— Bo efendi chce mnie wypędzić.

— Dlaczego?

— Bo myśli, że rozpowiem o jego rozmowie z moim aszykiem.

— O Allachu, głupota jakiej świat nie widział! I taka kobieta chce wychowywać mężczyzn i...

Znowu przerwał w środku zdania, nie chcąc jej urazić. Ten człowiek nie potrafi w ogóle trzymać na wodzy swoich nerwów. A może też dlatego się nie pilnował, bo wiedział, iż ma do czynienia z „kompletnym zerem”? Za to jak uprzejmie zabrzmiały jego słowa:

— Nie wydaje ci się, że tego efendiego należałoby wręcz chwalić, a nie ganić? Wiem, że masz

bystry umysł. Sama dostrzeżesz więc, iż, chciał jak najlepiej dla nas i dlatego wymagał, żebyś milczała. Ja również cię proszę, byś niczego nie zdradziła. On tylko ci groził, że cię wyrzuci; wiem jednak, że jeśli będziesz paplać, tym prędzej zginiesz. Wrogowie twojego aszyka są bezlitośni, szczególnie w stosunku do ciebie. Dlatego pilnuj się i milcz! O tym efendim słyszałem już wiele razy, dzisiaj zobaczę go jednak po raz pierwszy. Czy jest łagodny?

— Bardzo!

— Bystry?

— Ani trochę. Wierzy we wszystko, co mu się powie!

— Czy orientuje się w panujących tu stosunkach?

— Nie. Mój Tifl jest już sto razy bardziej rozgarnięty!

— Jakiego jest wyznania?

— Żadnego. Jeszcze nikt nie widział, żeby się choć raz pomodlił.

— Czy jest ładnym mężczyzną?

Milczała, najwidoczniej rozmyślając nad ostatnim pytaniem. Ten, który je zadał, musiał być niezgorszym znawcą ludzi, a kucharka nawet nie przeczuwała, o co właściwie mu chodziło, kiedy zapytał o tak pozornie błahą rzecz. Po chwili odpowiedziała:

— Nie jest ani ładny, ani brzydki. Ma całkiem zwyczajną twarz. Myślę, że gdyby nie był obcym, nikt nie zwróciłby na niego uwagi.

— Maszallah! To niedobrze! Wolałbym, gdybyś powiedziała, że jest ładny. Odpowiedz mi jednak dalej: Czy posiada coś, czym wyróżnia się od innych? W głosie, w mowie, zachowaniu, w chodzie czy w czymkolwiek jeszcze?

— Nie, nic a nic go nie wyróżnia. Człowiek jak każdy inny. Nie musisz się go obawiać. Nie jest ani w połowie tak dostojny jak ty!

— Skąd wiesz?

— Widzę cię. Wystarczy, że tylko wdziejesz inny strój, a już pasza* jest gotowy!

— Tak sądzisz, moja kochana Pekalo?

Słowa kucharki trochę go połaskotały. A zatem był człowiekiem próżnym! Potwierdziło się to w jego następnych słowach:

— Muszę już iść, ale powiadam ci, że spodobałaś mi się. Chciałbym to udowodnić, ofiarując ci prezent. Prześlę ci go przez aszyka. Wiem, że lubisz klejnoty i ładne ubrania. Kiedy je dostaniesz,

ukryjesz je na pewien czas w ruinach, dopóki nie nadejdą lepsze dni. Wymyśl sobie, co zapragniesz!

— Bardzo chętnie! Ale co? — zapytała prędko.

— Co chcesz!

— A ty jesteś biedny czy bogaty?

— Wymyśl tylko coś! Powiem ci wówczas, czy spełnię twoje życzenie, czy też nie!

Zabrzmiało to znowu tak zimno, tak władczo, jakby nie nazywał jej dopiero co „kochaną Pekalą”. Ten człowiek był coraz bardziej interesujący.

— Przyślij mi złote naddara*! — poprosiła swoim najśłodszym dyszkantem.

— Naddara? Po co ci? — zapytał zdziwiony.

— Wygląda się w nich tak dostojnie i tak uczenie. W Isfahanie bardzo często widywałam pewną madame z Rosji. Kiedy wysiadała z lektyki, zawsze miała dwa szkiełka przed oczami. Można by pomyśleć, że jest carycą Rosji. Dlatego ja też chcę naddara. Ale muszą być ze złota, z niczego innego!

— Kobieto, oszalałaś! Mieszka w tobie jakiś zły, a przy tym niesłychanie śmieszny duch. Zgnioć go na miazgę, jeśli tylko...

Coś przerwało mu ten wybuch złości, przepojony pogardliwym tonem. To nadszedł Tifl i zameldował:

— Szejk ul Islam mnie przysłał. Kazał cię prosić, żebyś przyszedł. Poprowadzę cię.

— Zaraz! — odparował tamten stanowczo. Równie stanowczo albo nawet jeszcze bardziej zabrzmiało, kiedy mówił dalej: — Powinnaś mieć naddara, Pekalo, i to na dodatek tak ostre, żeby ci oczy wyszły na wierzch! Efendi miał rację, nakazując ci milczeć. Ja również wymagam tego od ciebie, od was. Za zdradę nie ma innej wypłaty jak tylko śmierć. Ty także Tifl to sobie zapamiętaj! A teraz prowadź mnie do moich... do szejka ul Islama, ale tak, żeby nikt nie zobaczył, gdzie przez cały czas byłem!

Odszedł razem z Tiflem. Później usłyszałem, że również Pekala się oddaliła. Było dla mnie całkiem jasne, kim był człowiek, który przed chwilą z nią rozmawiał. Sam się zdradził nie do końca wymówionym zdaniem: „Prowadź mnie do moich...” — ludzi powinien dokończyć. To on był szejkiem ul Islamem, a ten, który po niego przysłał, miał tylko grać jego rolę.

Odczekałem jeszcze krótką chwilę i opuściłem swą kryjówkę, przechodząc znowu koło tamaryszków, a kiedy zobaczyłem, że w okolicy nie ma nikogo, ruszyłem do ogrodu, a stamtąd na podwórze. Stały na nim konie Persów, a przy nich służba. Na schodach o jedną z kolumn opierał się

Tifl, a drugą jeździec w kurdyjskim stroju, który jechał na jasnym kasztanie z białymi bucikami. Obaj byli zajęci rozmową i nie zauważyli, skąd przyszedłem. Łaskawie pozdrowiłem stojących i przystanąłem przy koniach, chcąc się im bliżej przyjrzeć. Nie miałem jednak zamiaru uchodzić za znawcę, więc zachwyciałem się nimi tak, jakbym był laikiem. W tym momencie zobaczył mnie Tifl i zwrócił na mnie uwagę Kurda. Ten obejrzał się w moją stronę i bacznie się przyglądał.

Był wysokiej, pięknie ukształtowanej postury. Jego bujna, opadająca falami broda była bardzo, bardzo rzadka, tak jakby natura nie znalazła dosyć dobrej woli, żeby zrealizować to, co zamierzała. Widział, że przystawałem dłużej przy gorszych koniach, tak jakby były znakomitymi wierzchowcami, a obok kasztana z bucikami przeszedłem tak obojętnie, jak koło zwykłej szkapy. Odwrócił się do Tifla, który traktował go jednak niezbyt poważnie, gdyż z pogardą odwrócił głowę i gapił się gdzieś na bok. Służba szejka także się ze mnie śmiała, chociaż nie tak otwarcie i gdybym nie był bardziej uważny, mógłbym tego nie zauważyć. Było mi to na rękę. Im mniej się po nas spodziewają, tym bardziej będą później zawiedzeni.

Kiedy wolno wchodziłem po schodach, Kara ben Halef, który siedział na dachu holu, podniósł się ze swojego miejsca i krzyknął do mnie w dół swoje dzień dobry.

— Zejdź na dół, Kara! — zawołałem w górę. — Słyszałem, że przyjechał szejk ul Islam. Powinieneś się z nim przywitać.

Powiedziałem to tak głośno, że musiano słyszeć mnie aż w holu. Zależało mi na tym, żeby Pedehr wyszedł na dwór. Cel został osiągnięty. Pojawił się natychmiast, zszedł po stopniach na dół i zameldował mi o wizycie, tak jakbym zupełnie nic o niej nie wiedział.

— Czy znasz szejka ul Islama osobiście? — zapytałem półgłosem i odwróciłem się przy tym tak, żeby Tifl i Kurd nie mogli zrozumieć moich słów.

— Nie — odpowiedział.

— Który z Dżamikunów już go widział?

— Nie znam takiego. Szejk ul Islam był wcześniej w Feraghan i dopiero niespełna rok temu został przeniesiony w pobliże swojego plemienia. Tylko Ustad zna go dobrze. Nie jest wcale taki skromny, jak myślałem. O tym, że Ustad wyjechał, dowiedział się dopiero w granicznym duarze.

Kiedy to mówił, wskazywał ręką na górę, na której stała świątynia. Chciał by myślano, iż rozmawiamy o czymś nieistotnym.

— Kim jest ten Kurd, który stoi koło Tifla? — zapytałem jeszcze.

— To *ketib**szejka ul Islama. Ma zasiąść u jego boku, ale jak do tej pory jego miejsce pozostaje puste.

— Chodźmy w takim razie!

Weszliśmy po schodach na górę. Wówczas ketib skrzyżował ramiona i uprzejmie, z uśmiechem

skłonił się przede mną.

— Niech ranek cię błogosławi! — pozdrowiłem go łaskawie.

— A ciebie nie tylko ranek, ale cały dzień! — odpowiedział. Ach, ten głos! I to języczkowe chrapanie! To on rozmawiał w takim razie z Pekałą, był więc szejkiem ul Islamem! Wszedł od razu za nami i zajął swoje miejsce. Persowie powstali, kiedy wchodziłem, skłonili się uprzejmie i stali, oczekując mego przemówienia. Zbliżyłem się do nich na przepisową odległość, rozpostarłem ramiona, skłoniłem się, skrzyżowałem ręce na piersi, skłoniłem się ponownie, potem znowu rozłożyłem szeroko ramiona, żeby w pojednawczym geście podnieść tylko prawą rękę i przemówić:

— Człowiek nigdy nie wie, jakie szczęście przyniesie mu następny dzień. Jeden Allah wie, co zgotuje człowiekowi. A że on jest tym, który sprawił nam tę niespodziankę i zesłał takich gości, najpierw jemu muszę podziękować, potem również wam. Dla szejka ul Islama drzwi zawsze są otwarte, bo Allah chce, aby jego kapłan wszędzie zanosił radość. Siadajcie i pozostańcie tu tak długo, jak tylko zechcecie!

Uklonili się jak wyćwiczeni statyści, po czym ten, który nosił olbrzymi turban, odezwał się:

— Jestem szejek ul Islam, efendi. Powinieneś wiedzieć, kim są moi towarzysze.

Wskazując na każdego z nich, mówił jego imię i stanowisko. Najpierw wymienił duchownych mężów, dopiero po nich oficerów. Byli to ahalyi–y–dżennet*, wehlijullach*, imam–y–dżuma*, sertib–y–wel*, sertib–y–duwwum*, a na końcu jeszcze sekretarz! Wygląda na to, że była tutaj cała śmietanka. Ukloniłem się każdemu z nich, a oni odwzajemniali mi się swym ukłonem; potem usiedliśmy. Dostojni mężowie tworzyli jedną linię. Tylko pisarz usiadł nieco z tyłu obok szejka ul Islama. Co chwilę podszeptował mu co ma mówić. Wprawdzie starał się zarostem maskować ruchy swoich warg, zarost miał tak rzadki, że widziałem, jak podpowiadał. Właśnie przed nim usiadłem, na prawo ode mnie siedział Pedehr, po lewej Chodj, a trochę z tyłu Kara ben Halef. Obaj pierwsi przedstawili się już Persom. Karę mogłem przedstawić przy okazji.

Milczałem, gdyż spełniłem już swój obowiązek jako gospodarz teraz umożliwiłem zabranie głosu dostojnemu gościowi. Nie kazał długo na siebie czekać.

— Przybyłem, żeby rozmawiać z Ustadem Dżamikunów — powiedział. — Moja życzliwość go oświeca. Słyszę, że wyjechał i zastępuje go efendi, który przybył z Zachodu. Nie znam ani ciebie, ani twej godności i tytułu. Dlatego wybacz mi, że najpierw zadam ci kilka pytań. Jaką rangę zajmujesz wśród duchowieństwa w twoim ojczystym kraju? .

— Żadną — odparłem.

— Jaki stopień wojskowy nosisz?

— Żaden.

— Zatem nazwij urząd, który piastujesz w rządzie twojego ludu!

— Nie zajmuję żadnego.

— Kim jesteś w takim razie? Co posiadasz?

— Jestem tylko sobą i mam tylko siebie, nic poza tym. Nietrudno było przewidzieć, w jakim celu skierował do mnie swoje pytania. Miałem czuć się wobec niego tak mały jak to tylko możliwe! Wykształcony Pers starał się jednak unikać jak mógł wszelkich nieuprzejmości. Dlatego rzucił tylko w moją stronę pełne współczucia spojrzenie i dalej mówił dobrotliwym tonem:

— Mógłbyś przemilczeć, że jesteś zupełnie niczym. Tak, mógłbyś przypisać sobie wielkie godności, a nam nie wolno byłoby pomyśleć, że skłamałeś. Byłeś jednak prawdomówny i szczerzy i zaskarbiłeś sobie tym samym nasze poważanie, które okazujemy temu, kto nie ośmiela się kłamać. Nasze godności są niezbywalne. Kiedy zniżamy się do ciebie, zabieramy je ze sobą tak nisko, jak ty stoisz, i zaszczycamy cię nimi. Jednak chętnie dowiedzielibyśmy się, jak daleko sięgają twoje kompetencje, których udzielił ci Ustad.

— Te kompetencje oznaczają pełną władzę. To jest dokładnie tak, jakby on sam siedział przed wami.

— Możesz decydować o wszystkim?

— Tak.

— A Ustad się z tym zgodzi?

— Bezwarunkowo.

— Zatem cieszę się, że mogę cię powiadomić, jak wielki, jak obfity prezent dzisiaj wam przynoszę. Już kiedy byłem w Feraghaniu, usłyszałem, jak ludzie mówią o Dżamikunach, i poznałem Ustada na dworze szachinszacha. Od czasu jak znalazłem się w Chorremabad, nieustannie was obserwowałem. Zmierzacie do wielkich celów. Chcecie, żeby ludzie byli szczęśliwi już tu na ziemi, a nie dopiero tam. Uzywacie do tego najszlachetniejszych środków. Poprzez znakomite ćwiczenia uwznioślcie ludzi i na każdym polu żyjecie ze wszystkimi w pokoju, nawet na Polu wiary. Gdyby każde plemię postępowało tak, jak wy czynicie, wnet na ziemi zaistniałoby tak długo oczekiwane ósme niebo, niebo Allacha! W innych krajach zaczęto by was naśladować. Kto chce do was dołączyć, musi odrzucić wrogie nastawienie do ludzi. Wszędzie duchowieństwo potępia każdego innowiercę i nie chce wiedzieć nic o religijnym pokoju. A ludzie na wysokich stanowiskach są wrogami oświaty ludu, bo tylko głupcami można głupio rządzić. U nas w Persji dzieje się jednak inaczej. Wiemy, że istnieje niejedno niebo. Poprzez szkoły i meczety pragniemy przekonać cały lud, że wszyscy ludzie są braćmi. Nie ma więc u nas prześladowań, ludzie zaś wspierają się nawzajem. Nie ma wśród nas nienawiści; jest tylko miłość, uważasz, że słusznie postępujemy? A może nie?

— Zgadzam się z wami w zupełności — odparłem.

— Tego oczekiwałem! To jest dla mnie dowód, że jesteś godzien reprezentować Ustada. Powiedziałem, że nikogo nie prześladowuję, a tylko wspieram. Wiem, ile on wycierpiał od swoich

nieprzyjaciół. Uczyni wszystko, żeby go zniszczyć. Przybywam jednak, żeby go podnieść. Zamierzam pokazać jego wrogom, kim jest ten człowiek, którego kiedyś od siebie odsunęli. Ustada powinien otrzymać pole do działania którego jest bardziej godzien niż tego małego otoczonego zewsząd przez wrogów terenu Dżamikunów. Chcę, żeby wiele tysięcy stało się jego poddanymi, których swoimi drogami poprowadzi do swoich celów. Dam mu władzę i wielką godność, tak wielką, o jakiej jeszcze nic marzył. Jego sława, jego szczęście spoczywa w mojej ręce. Czy uściśniesz ją, tak żebym nie musiał jej cofać pustej?

Wyciągnął do mnie swoją dłoń w nieskończenie protekcyjnym geście, a ja, udając wielką wdzięczność, roześmiałem się szeroką i odpowiedziałem:

— Dlaczego miałbym odpychać od siebie tak łaskawą dłoń? Nie powiedziałaś mi jednak jeszcze, jaki podarek przynosisz Ustawowi.

— A więc jesteś gotów przyjąć go? Zatem powinieneś się dowiedzieć. Wiesz, że jestem synem pobożnych Takikurdów, którzy niezmiennie kroczą ścieżkami Allacha?

— Tak.

— Wiesz również, że moje plemię posiada najpiękniejsze góry, najbujniejsze pastwiska w naszym kraju? Że to miejsce ma niezmierną wartość, gdyż jego ogromnego strategicznego znaczenia nie da się porównać z żadnym innym terenem.

— Również to jest mi wiadome.

— Od teraz cały ten bogaty obszar wraz z wszystkim, co na nim mieszka i żyje, przechodzi w ręce Ustada.

— W jakiej formie?

— Będzie Ustawem nie tylko Dżamikunów, ale również Takiurdów!

Powiedział te słowa wolno i z jakąś szczególną intonacją. Jego towarzysze wydali gromki okrzyk zdziwienia i jednocześnie potwierdzenia, że ów prezent jest całkiem nadzwyczajny. Szejk skinął głową, żeby się uciszyli, i kontynuował swą wypowiedź:

— Tak, jeszcze więcej, jeszcze więcej: plemię Takikurdów ma połączyć się z plemieniem Dżamikunów, i to pod wyborną nazwą Taki–Dżamikunów. A owo zjednoczenie ma dokonać się pod władzą Ustada. Będzie władcą nowego plemienia, którego żaden człowiek nie przewyższy siłą i wpływami. Co powiesz na moją propozycję, efendi?

— Nie namyślałam się ani chwili i ją przyjmuję — odpowiedziałem. Takiego obrotu sprawy chyba się spodziewałam. Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem.

— Jestem gotów przyjąć twoją propozycję i to natychmiast — powtórzyłem.

— Naprawdę, naprawdę? — zapytał.

— Tak.

Zdaje się, że nie był co do tego całkowicie przekonany, jednak sekretarz szepnął mu do ucha rozkaz i szejk przemówił tymi słowami:

— Zatem cel naszej wizyty został osiągnięty! Ale czy Ustad zatwierdzi to, co postanowiłeś?

— Bez wątpienia.

— I stanie na czele zjednoczonych plemion.

— Z pewnością. Daję ci moje słowo. Liczy się ono tak, jak byśmy obaj przysięgali.

— W takim razie wstań i podaj mi w jego imieniu swoją rękę!

Podniósł się z miejsca, ja również. Przystąpiliśmy do siebie i uścisnęliśmy sobie dłonie. Wyglądało na to, że oczekiwał ode mnie potwierdzenia niej wdzięczności. Kiedy jednak nic takiego nie nastąpiło, odezwał się, przy czym jego towarzysze też powstali:

— Nasza umowa musi być potwierdzona solą i chlebem. Do tej pory nic jeszcze nie jedliśmy. Czy podejmiesz nas jak swoich gości, efendi?

— Niezwłocznie, jeśli sobie życzysz. Wiem, co znaczą sól i chleb. Kto zerwie tak zawiązaną umowę, ten jest łajdakiem. Zastanów się więc, czy mam kazać przynieść jedno i drugie.

— Każ przynieść! Dobrze wiem, co mówię!

— A więc weźmy teraz sól i chleb, a później pozwólcie łaskawie podjąć was *ghedq*!

— Skorzystamy z przyjemnością! Ale zanim zasiądziemy do posiłku, przejedźmy się na koniach do waszego meczetu, z którego musi się roztaczać cudowny widok. Słyszałem, że chorowałeś. Czy będziesz mógł nam towarzyszyć?

Oczywiście wolałby pojechać beze mnie, ja jednak odpowiedziałem:

— W tamtą stronę mogę się odważyć, jadąc stępą, dalej jednak nie. Ten młody człowiek osiodła mi konia. To Kara ben Halef, syn Haddedińców z plemienia Szamar.

Kara uklonił się przed nim, po czym poszedł do koni. Zawołałem go jeszcze, bo chciałem, by dla siebie wziął Ghaliba, a dla Chodj-y-Dzi Barkha. Goście byli nadzwyczaj zadowoleni z niespodziewanie szybkiego spełnienia ich życzenia. Oczywiście starali się z tym nie obnosić jednak wystarczyło się im dokładnie przyjrzeć. Tym poważniej wyglądała za to twarz Pedehra. Nic a nic mnie nie rozumiał. Dlatego dyskretnie go uspokoilem:

— Wszystko idzie jak należy. To nie oni mnie, lecz ja ich złapałem w sidła. Prędko sól i chleb!

Potem pojedziesz z nami.

— Na takim koniu? Sahn tymczasem zabrał mi Ustada, a jako szejk nie mogę jeździć na byle jakiej szkapie.

— No to zostań tutaj i dopilnuj, by przygotowano jedzenie!

Po chwili Tifl przyniósł na półmisku szczyptę soli i cienko krojony perski chleb. Zebraliśmy się razem. Każdy wziął swoją kromkę i zanurzył ją w soli. Człowiek z wielkim turbanem na głowie przemówił:

— Chleb, który spożywamy, jest dla ciała. Słowo, które się daje, jest dla duszy. Teraz już na zawsze jesteśmy nim związani!

Po tych słowach zjedliśmy nasze kawałki i ponownie uścisnęliśmy sobie dłonie. Umowa była zawarta i przypieczętowana. Chwilę później Kara i Chodj przyprowadzili konie. Wsiedliśmy na nie i ruszyliśmy w dół. Zauważyłem, że dzisiaj miałem więcej sił aniżeli podczas pierwszej jazdy, wszakże nie wysiłałem się ani odrobinę, żeby nie chwalić się swoją umiejętnością jazdy.

Mężowie perscy sądzili, iż udało się im osiągnąć to, co zamierzali. Dlatego nie uważali za konieczne, żeby darzyć mnie aż takimi względami i w żółtym tempie jechać razem ze mną. Woleli raczej pochwalić się swoimi końmi i pognali przez duar, a później na leżącą po przeciwnej stronie górę. O to mi właśnie chodziło. Skinąłem na Karę i Chodj, żeby ich dogonili, sam zaś nie śpiesząc się, jechałem truchtem za nimi. Nie przebyłem jeszcze połowy drogi, kiedy usłyszałem tętent galopującego konia. Obejrzałem się i zobaczyłem Tifla. Jechał na nie osiodłanej Sahn i nie zatrzymując się i nie pytając, czy wolno mu przebywać razem z gośćmi, przemknął obok mnie. Zapewne nie odważyłby się na to, gdyby ktoś go nie namówił, żeby koniecznie pojechał do Beit-y-Chodeh. Koło mnie śmignął tak szybko dlatego, bo obawiał się, bym go nie zawrócił. Właściwie powinienem był później to uczynić, i to na oczach wszystkich, ale nie chciałem uchodzić za przemyślnego i energicznego zastępcę Ustada. Uznałem więc za wskazane, żeby pominąć to milczeniem.

Podjechałem na górę i zobaczyłem, że przy jednej z przednich kolumn świątyni stoi sekretarz z Tiflem. Wyglądało na to, że „dziecko” objaśniało okolicę; na mnie wcale nie zwracali uwagi. Nie widziałem w ogóle pozostałych gości. Kara i Chodj stali przy koniach. Podjechałem do nich i zapytałem, gdzie podziela się reszta Persów. Chodj odpowiedział:

— „Święty”, „błogosławiony” i główny kapłan wężą pośród róż. Obaj generałowie pytali, czy jak pojedą dalej w górę, będą mogli nacieszyć się widokiem okolicy. Skierowałem ich na polanę za wysokim lasem; teraz tam się znajdują.

Wskazał na leśną ścieżkę, po której w świątecznym dniu prowadził mnie Tifl.

— Czy są jakieś inne drogi na tę polanę? — zapytałem go.

— Tak. Ale są to okrężne drogi. Najdogodniejszej stąd nie widać. Trzeba ominąć całe to miejsce i teren, gdzie rosną buki. Potem ścieżka wiedzie w górę, a dalej biegnie właśnie wśród jodeł

rosnących na górnym skraju polany, na której są generałowie.

— Czy da się jechać na koniu?

— Tak. Droga jest wystarczająco szeroka. Chcesz tam się teraz wybrać?

— Tak. Jednak nikt nie może o tym wiedzieć. Muszę zobaczyć, co porabiają tam oficerowie. Poza tym nie myślicie chyba przecież, że oni naprawdę są generałami. Już przed przyjazdem do nas postanowili, że będą się przechwalać, ile się da. Jeśli ktoś będzie was pytał, dokąd pojechałem, zbyjcie go czymkolwiek, byle to prawdopodobnie brzmiało; nie wolno wam jednak zdradzić, gdzie naprawdę się znajduję.

Przemierzyłem wolno plac świątyni i skręciłem za bukami, o których mówił Chodj. Tam ukazała mi się opisana przez niego ścieżka. Ze świątyni nikt mnie nie mógł już zobaczyć. W tym momencie puściłem Assila nieco szybciej. Przejechałem wśród wysokich jodeł i po pewnym czasie zza drzew po prawej stronie wyłoniło się światło. Dojechałem zatem do polany. Położona była niemal stromo. Między drzewami mogłem dostrzec oficerów. Siedzieli u góry zupełnie na skraju i zdaje się, że coś pisali, czy rysowali. Nie byli w stanie mnie dostrzec, gdyż znajdowałem się wśród jodeł. Pozostały odcinek mojej drogi był również tak usytuowany, iż nie musiałem się obawiać, że ktoś może mnie zobaczyć. Dojechałem na samą górę i skręciłem w prawo. Gdy tyłem już mniej więcej siedemdziesiąt kroków od generałów, zatrzymałem się i zsiadłem. Położyłem ogierowi rękę na chrapy i wymówiłem tylko jedno słowo: uskut — cicho! Teraz mogłem być pewien, się nie poruszy i że nie spowoduje najmniejszego szmeru.

Ruszyłem dalej. Miękka leśna ściółka sprawiała, że moje kroki były niesłyszalne. Kiedy przystanąłem, od obu Persów dzieliło mnie tylko pięć metrów. Rysowali mapkę topograficzną roztaczającej się stąd wspaniałej okolicy. Przy tym głośno ze sobą rozmawiali, gdyż myśleli, że są zupełnie sami. Słyszałem każde słowo.

— Ten efendi to najbardziej nierozsądny Europejczyk, jakiego kiedykolwiek spotkałem — odezwał się rzekomy dywizjoner. Zachowywał się po prostu jak ostatni głupiec!

— Dlatego też *kasi* miał ułatwioną robotę — zauważył brygadier. — Jego chwała podziałała jak mocny lep; próżny człowiek dał się na niego złapać. Jakież z niego ślepiec, że nas tutaj wpuścił, umożliwił narysowanie przejść i dróg, i naszkicowanie mapki duaru! Gdybyśmy nie zobaczyli tego miejsca na własne oczy, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, jak łatwo można okrążyć ich duar. Teraz tylko Ustada stąd wypędzić i do nas, do Takich! Potem wystarczą dwa dni, żeby odebrać duar i przejąć cały obszar Dżamikunów. Wówczas skończymy raz na zawsze z tą niebezpieczną odmianą chrześcijaństwa. Allachu, do diabła z nimi!

— Tak jest, dwa dni starczą — przyklasnął drugi tamtemu. — Połączone siły Takich i Dinarunów zgniotą ich przecież na miazgę. Wyśmienicie, wyśmienicie, że właśnie tutaj odbędą się wyścigi. Szejk ul Islam musi koniecznie wziąć w nich udział. Będziemy mieli wyborną okazję, żeby się przygotować do natarcia; gdyby nie zawody, nie byłoby nam łatwo. Dzięki temu zyskamy na czasie i wcześniej uderzymy.

— Jak do tej pory wszystko idzie jak po maśle. Tylko co na to powie szach? Wiadomo, że szanuje i broni Ustada.

— Zostaw to szejkowi ul Islamowi. Rozmawiał wczoraj z naszym zaufanym człowiekiem, który zamieszka w pokoju Ustada i wyszpera wszystkie jego książki, pisma i tajemnice. Ten osobnik to podobno najlepszy *dżambas**, jakiego mamy w kraju. Pochodzi z Isfahann, gdzie dawno temu poznał kucharza, którego córka gotuje teraz u Ustada. Dopuścił się kiedyś ciężkiej i podstępnej kradzieży, za którą został skazany w Teheranie na wiele lat więzienia, uciekł jednak i ukrywał się przez długi czas w ruinach, gdzie kucharka potajemnie przynosiła mu jedzenie. Nie dowiedziałem się, jak wpadł naszym ludziom w ręce, ale szejk ul Islam zabrał go do siebie i jeśli ten człowiek się spisze, szejk postara się uwolnić go od kary. Co musi zrobić dla szejka, to nie nasza sprawa; mogę sobie jednak wyobrazić, jaki pomysł wpadł dostojnemu ul Islamowi do głowy. No, to skończyłem swój rysunek.

— Ja też już prawie kończę.

— Pośpiesz się więc. Inaczej zauważą naszą nieobecność i mogą zacząć coś podejrzewać.

Kiedy to usłyszałem, prędko się wycofałem. Assil tkwił dokładnie tak, jak go zostawiłem. Usadawiłem się w siodle i ruszyłem w dół tą samą drogą, którą przyjechałem. Za bukami zakręciłem jeszcze, okrążając plac od drugiej strony, tak żeby myślano, iż pojechałem w dół, a nie w górę. Chodź i Kara znajdowali się ciągle w tym samym miejscu. Persowie byli teraz razem. Stali wewnątrz świątyni, a przy nich był Tifl. Zsiadłem koło Beit-y-Chodeh i poszedłem do nich na górę. Kiedy wchodziłem do środka, obrócili się w moją stronę, a rzekomy szejk ul Islam zapytał, wskazując na ruiny:

— Wiesz może, efendi, co to za stara, dziwna budowla jawi się tam w dole?

— Właśnie ciebie chciałem o to spytać — odparłem. — Wiesz przecież, że nie jestem ani kapłanem, ani oficerem, ani urzędnikiem czy jakąś inną znaczącą osobą. Skąd więc ja, Europejczyk miałbym o tym wiedzieć lepiej aniżeli ty, który jako światło wiary stoisz wysoko ponad wszelką wiedzą!

Rzucił sekretarzowi rozbawione spojrzenie, mnie zaś przytaknął życzliwie i przemówił:

— Masz rację. To wszystko czego nawet bystre oko nauki nigdy nie dostrzeże, oświeceni przez Allacha widzą jasno i wyraźnie. Ta budowla była dla pogan miejscem kultu, bałwochwalstwa. Początkowo czczono w niej wyłącznie symbole, ostatnio wszakże bożyszczami, do których wznoszono modlitwy, stali się również ludzie. Jeśli spojrzysz w tamtą stronę, przyjdą ci na myśl wszystkie religie, tylko nie islam. Jak to się dzieje? Albowiem islam jest jedyną religią przestrzegającą bożego zakazu, który mówi, że nie wolno nam czynić symboli ani jakichkolwiek wizerunków Boga. Czy widziałeś może kiedyś jakiś meczet, w którym wieszka się portret człowieka, żeby mu oddawać cześć?

— Nie — powiedziałem dziecinnie niewinnym tonem. — Wam nie są potrzebne portrety, gdyż wasi „święci” i „błogosławieni” już za życia będą wyniesieni ponad innych ludzi do takich godności, iż późniejsza adoracja nie będzie im potrzebna.

Mówiąc te słowa, zrobiłem głęboki, pełen szacunku ukłon w stronę „świętego” i „błogosławionego”. Obaj odwdzięczyli się łaskawym skinieniem głowy. Człowiek z wielkim turbanem obrzucił mnie jednak powątpiewającym, badawczym wzrokiem, sprawdzając, czy czasem coś nie kryje się za moją niewinnością. Prawdopodobnie nie mógł dostrzec w mojej twarzy niczego, co by mnie zdradziło, gdyż kontynuował swą wypowiedź:

— Doszły nas słuchy, że Ustada zamierza zlikwidować tę starą budowlę. Chce zburzyć pozostałości z owych pogańskich czasów. Dlaczego? Na co mu te olbrzymie kawały muru? Czy nie może pozwolić im po prostu samym się rozpaść? Nie możemy pogodzić się z takim przedsięwzięciem. Do dzisiaj milczeliśmy. Teraz jednak, gdy zawiązaliśmy z tobą i z nim związek, potwierdzony zjedzeniem chleba z solą, mamy prawo podnieść protest. Te budowle muszą pozostać, tak jak stoją! Są pomnikiem przeszłości, którego nie wolno burzyć. Nawet iluzja jest święta, bo skoro tak długo wytrzymuje, już przez wzgląd na sam jej wiek trzeba ją szanować. Zatem ostrzegam cię, efendi, i ostrzegam Ustada! Jako szejka ul Islam mam święty obowiązek zachować jej kształt, pomimo że służyła poganom, gdyż dzięki niej doszliśmy do prawdy. Od dzisiaj należycie do Takikurdów, a co ja chcę jako najstarszy z Takich, musi również chcieć każdy Dżamiki!

Ach! Do tej pory delikatne rączki; teraz wyszły pazury! Trochę przedwcześnie! Nie mógł mi oczywiście zdradzić, dlaczego tak naprawdę zależało mu na zachowaniu ruin! Szczęśliwym trafem nie musiałem udzielać mu odpowiedzi, gdyż właśnie wrócili dwaj generałowie, i postanowiono, że będziemy ruszać w powrotną drogę. Zauważyłem, jak ze śmiechem zadowolenia informują po kryjomu sekretarza, że ich akcja w pełni się powiodła.

Do domu wracaliśmy w ten sposób, w jaki jechaliśmy pod górę, pozostawiono mnie daleko w tyle. Jednak wcale się nie złościłem z tego powodu. Kiedy wreszcie dojechałem, zobaczyłem, że nikt nie poczekał, żeby razem ze mną rozpocząć śniadanie. Persowie w najlepsze zmiatali już ze stołu. Najgrzeczniej jak to możliwe zająłem swoje miejsce i sięgnąłem do miski. W głębi serca śmiałem się, że ci dostojnicy czują się już całkiem jak u siebie w domu. Ten z turbanem zachowywał się zupełnie tak, jakby był gospodarzem. Pedehr był z tego powodu taki wściekły, że nie zjadł prawie ani kęsa. Wcale nie dlatego, że brakowało komplementów ze strony Persów, o nie! Pochlebiano nam, jak tylko to możliwe; chwilami tak jaskrawo, że nie trudno było się zarumienić. Najbardziej ludzki ze wszystkich był sekretarz. Dużo mówił, ale jeśli się odezwał, to zawsze prawil nam komplement, za który wypadało podziękować. Był tak prosty i skromny, tak nieskończenie życzliwy. I całą tę swoją prostotę, skromność i życzliwość zdawał się za każdym razem przy pomocy spojrzenia ściągać z nieba. Wszystko wykonywał cicho, bezszelestnie. Pozostali mlaskali przy jedzeniu zbyt głośno jak na ludzi Wschodu. On zachowywał się tak cicho, tak niedosłyszalnie, jakby całe jego ciało było z waty. Jednak chwilami, kiedy wydawało mu się, że nikt na niego nie patrzy, jego oczy strzelały spojrzeniem, które mówiąc obrazowo, było chrapliwe jeszcze bardziej aniżeli rrrrrr na jego podniebieniu!

Podczas jedzenia dowiedzieliśmy się, że Persowie nie wracają od nas do Chorremabad, ale do Takikurdów. Byli na tyle nieostrożni, że dodali, iż nawet gdyby układ nie doszedł do skutku, zrobiliby tak samo! Rozmowa zeszła na hodowlę koni Takich i wówczas sekretarz po raz pierwszy wdał się w dłuższą pogawędkę ze mną. Nie przeczuwał, że zdradzał przez to swoje zainteresowanie końmi albo raczej potwierdzał, kim naprawdę jest. Odezwał się:

— Słyszeliśmy, efendi, że odbywają się u was jakieś wielkie wyścigi. Kto może wziąć w nich udział?

— Każdy — odpowiedziałem.

— Jakie są warunki, nagrody?

— Zwycięzca zdobywa przegranego konia.

W tym momencie w jego oku pojawił się błysk. Zdziwiająco szybko spytał:

— Można wygrać nawet wasze konie z hodowli Haddedihnów?

— Tak.

— Czy można sobie wybrać konia, z którym będzie się walczyć?

— Nie. Każdy sam decyduje o tym, jakiego konia wystawia. Jednak nie wolno się wycofywać, jeśli ktoś wezwie do walki. Sam honor jeźdźca musi zdecydować, czy warto stawać w szranki. Nikt nie musi się obawiać, że będzie ścigał się ze słabym koniem.

— Czy jeden wierzchowiec może startować tylko raz?

— Nie, tyle razy, ile spodoba się jeźdźcowi.

— To wyśmienicie! Postanowiliśmy, że weźmiemy udział. Czy możemy?

— Oczywiście!

— Czy musimy powiedzieć, ile naszych koni i jakie wystawimy do zawodów?

— Nie. Wystawicie tyle, ile chcecie.

— A czy żadnego nam nie cofniecie?

— Nie.

— Czy trzeba wcześniej zgłosić, kto będzie na nich jechać?

— Także nie.

— A więc zakładam, że jeden z naszych koni będzie ścigać się z koniem, na którym będzie siedział jeden z waszych Dżamikunów i nie będziecie mu w tym przeszkadzać?

— Z całą pewnością nie. Kto by się na to ważył, temu nie będzie już nigdy więcej rozkazywać ani czegokolwiek zakazywać.

— A zatem ten Dżamiki będzie nietykalny bez względu na wynik?

— Dopóki będzie zachowywał się jak przeciwnik, a nie jak wróg, to tak.

— To jest to, co chciałem wiedzieć. Jestem zadowolony. Uważamy więc, że jesteście zgłoszeni do zawodów i z pewnością stawimy się na torze.

Patrzył nisko przed siebie, po czym spojrzał na mnie bardzo łaskawie, niemal czule i mówił dalej:

— Właściwie mam jeszcze jedno pytanie. Dotyczy ono twojej wiary. Jesteś chrześcijaninem?

— Tak. Tak jak ty przecież!

Udzieliłem tej niekonwencjonalnej odpowiedzi, gdyż spodziewałem się długiej, jałowej, religijnej dysputy, a chciałem załatwić sprawę krótko, jak to możliwe. Uznałem bowiem, że czas zabawy w chowanego się zakończył. Dowiedziałem się już dosyć i nie miałem powodu żeby Persowie uważali mnie za człowieka niespełna rozumu, a mój światopogląd za zupełnie zacofany. Szejk jak rażony piorunem odrzucił głowę do tyłu i wykrzyknął:

— Ja? Chrześcijaninem? Niech Allah uchroni! Kto ci powiedział tak potworne kłamstwo?

— Kłamstwo, powiadasz? Czy Koran kłamie?

— Ależ skąd. Każde jego słowo jest święte, a nasze egzegezy są równie święte. Czy chcesz może powiedzieć, że to, co mówisz, ma swoje źródło w naszej mądrej księdze?

— Tak.

— Udowodnij to! Co może wiedzieć Europejczyk, na dodatek chrześcijanin, o Koranie i jego komentarzach!

Złożył ze współczuciem ręce, przymknął oczy i patrzył w niebo, a jego twarz przybrała wyraz politowania. W całości przesłał mi to swoje spojrzenie. Przyjąłem je spokojnie i spytałem:

— Co wolisz — niebo czy ziemię?

— Oczywiście niebo — odparł.

— Doczesność czy wieczność?

— Wieczność.

— Księcia i sędziego mającego pod sobą kilka milionów ludzi czy księcia i sędziego, który stoi ponad wszystkim, co żyło, żyje i żyć będzie?

— Tego drugiego.

— W takim razie wielbisz Mahometa. Wierzysz w jego naukę i tu na ziemi sądzisz podług jego świętej księgi, którą wam pozostawił. To on jest więc prawodawcą dla wszystkich mahometan. Kim

jednak będzie w niebie?

— Najwspanialszym spośród wszystkich proroków.

— Czy słyszałeś o meczecie Omajjadów w Damaszku?

— Tak. Swoją wspaniałość i wielką sławę zawdzięcza temu, że w nim odbędzie się sąd ostateczny. Albowiem w tym dniu Isa ben Marryam* zstąpi na jedną z jego wież, żeby odbyć sąd nad wszystkimi tymi, którzy są, i tymi, którzy byli, tymi, którzy żyją, i tymi, którzy umarli. Po co jednak te pytania, które zdają mi się niecelowe i zbyteczne?

— Jak tak możesz mówić, o ketibie! Twój pan, szejk ul Islam, który siedzi obok ciebie, jest bystrzejszy aniżeli ty i powie ci, że właśnie przyznałeś się, iż jesteś chrześcijaninem.

— Ja? — podskoczył ze złości. — Mądrzejszy ode mnie? Ef... Urwał w pół słowa, gdyż czuł, że w tym momencie zupełnie wypadł ze swojej roli. Jego wzrok uniósł się ku niebu, żeby ściągnąć stamtąd tak potrzebny mu teraz duchowy spokój, a kiedy to się udało, brnął dalej:

— Nie rozumiem cię. Spraw, żebym pojął, o co ci chodzi!

— Powiedziałaś, że Chrystus jest niebiańskim Panem i sędzią, dawcą świętości, któremu muszą być posłuszni nawet potępieni. Nie muszę wcale cię pytać, kto stoi wyżej, On czy Mahomet, lecz potwierdzam tylko to, co powiedziałaś: Chrystus kiedyś wszystkich osądzi, także muzułmanów. Chrystus jest więc waszym najwyższym Panem i dlatego należycie do chrześcijan, tak jak my!

Umilkł. Pozostali również. Na twarzach wszystkich Persów pojawił się wyraz głębokiej konsternacji.

— Który z was odważy się mi zaprzeczyć? — zapytał. — Kto z was uważa, że lepiej zna Koran i jego komentarze aniżeli ja chrześcijanin, Europejczyk? Jeśli ktoś ma inne zdanie, odpowiem mu słowami Koranu i jego objaśnień!

— Zbyt wysoko nas zaprowadziłeś — odparł sekretarz. — Trzeba zaczynać od dołu. Ty jednak zabrałeś się zaraz do nieba i wielkiego sądu nad światem!

— Ten kto jeszcze nic nie wie, może zaczynać od dołu. My chrześcijanie wszakże dobrze znamy niebo, gdyż tam jest dom naszego Ojca, gdzie oczekuje nas Isa ben Marryam. Nie istnieje taka religia, ponad którą nie stałby ten, który podług własnego uznania rozdziela śmierć czy życie, potępienie czy zbawienie, a więc zgodnie z tym wszyscy ludzie są chrześcijanami. Choćbyście bronili się rękami i nogami, w tej sprawie ze mną nie wygracie! Możecie nazwać swą religię jak wam się podoba, ale jakkolwiek dacie nazwę, wysoko ponad nią będzie stał ten, na którego chwałę nazywamy się chrześcijanami! Czy chcesz jeszcze coś wiedzieć o mojej wierze, o ketibie? Powiem ci bardzo chętnie!

— Dosyć o religii, dosyć o wierze! — wtrącił się nagle rzekomy szejk ul Islam, żeby wybawić swojego sekretarza z najwyraźniej ogromnego zakłopotania. — Znajdujemy się u Dżamikunów, a nie w niebie. Jesteśmy na ziemi i muszę prosić cię, efendi, byś raczył zwrócić uwagę na to, co

obowiązuje tutaj w kraju, a więc na wyższość Mahometa!

Myślał już, że zwycięsko wyszedł z gry, ja wszakże odpowiedziałem:

— Tak, siedzimy tutaj u Dżamikunów i musimy sądzić się podług tego, co obowiązuje w tym kraju. A tu wcale nie ma panowania Mahometa!

— A właśnie że tak! — rozżłościł się na dobre. — Od dzisiaj jesteście Taki–Dżamikunami i musicie wierzyć w Mahometa! To przecież było naszym celem. Przypieczętowaliśmy nasz układ solą i chlebem i nie możecie się już wycofać. U nas obowiązuje reguła: Łajdak, kto nie dotrzymuje słowa zaprawionego solą i chlebem! Czy chcesz być łajdakiem?

Na to powoli wstałem, spokojnie założyłem ręce za pas i przemówiłem:

— A co nam zaproponowano i na co się zgodziliśmy, i co przypieczętowaliśmy? Od dzisiaj cały teren Takikurdów miał przejść w ręce Ustada! Ma być waszym Ustadem, nie inaczej! Powiedziałeś wprost: zjednoczenie ma się dokonać pod wodzą Ustada i on będzie władcą naszego plemienia! To zostało przypieczętowane solą i chlebem. Pytam teraz, kto jest łajdakiem?

Nikt nie odpowiedział. Mówiłem więc dalej:

— Nie ma więc prócz Ustada innego władcy Taki–Dżamikunów. A że stoję przed wami na jego miejscu, ja zatem jestem panem, którego trzeba słuchać tutaj i po tamtej stronie u Takich. Gdzie podziewa się ten wódz, który chce nam rozkazywać, w co mamy wierzyć? Niech wstanie, tak jak ja stoję, i stawia się przede mną! Rad bym zobaczyć jego zdziwioną twarz.

Żaden się nie ruszył. Wszyscy spuścili nos na kwintę. Pedehrowi za błysnęły oczy, a Chodj–y–Dżuna śmiał się w duchu.

— Milczycie — nacierałem dalej. — To odpowiedzcie przynajmniej na moje kolejne pytanie! Z czyjej mocy tutaj przybywacie, żeby zrobić nam ten rzekomy prezent? Czy przysłał was może panujący szachinszach? Wysłało was plemię Takikurdów, któremu tęskno do Ustada? Czy zwołali dżemmah i postanowili, że Ustad zostanie ich panem i władcą? Czy naprawdę myśleliście, że uda wam się urządzić tę *kara goz ojunu**. Czy naprawdę muszę sądzić, że byliście do tego stopnia głupi, iż chcieliście nam rozkazywać, co ma się stać z ruinami? Myślałem, że był to jakiś głupi żart! Tylko wariat mógłby się spodziewać, że na puste zawołanie zaraz rzucimy wam posłusznie do stóp to wszystko, czym jesteśmy i co mamy, by po wcieleniu do nowego plemienia nic nie znaczyć! Wy przecież nic nie macie. Powiadam jednak: dacie mi cały kraj, dacie mi cały świat, a i tak nie uratujecie ruin, które tak bardzo leżą wam na sercu! Przyjdzie ich czas, to i tak runą, gdyż czas nie będzie pytać szejka ul Islama o pozwolenie! Na te słowa sekretarz wyskoczył nagle jak sprężyna. Pozostali także się podnieśli. Jego oczy nabrały teraz zupełnie innego blasku. Ciskały we mnie jawną nienawiścią, a on sam wykrzykiwał:

— A więc to jest prawdziwy efendi, który tak cudownie umiał się maskować! Wcale nie chory ani słaby. Ten efendi, który nic, dosłownie nic nie znaczy w swoim kraju, a tutaj chce grać władcę i paszę! Wiem teraz o tobie dosyć, ty jednak o mnie nic. Powiem ci w takim razie...

— Że jesteś wielkim szejkiem ul Islamem, który przybywa do nas tylko po to, żeby nas okłamywać! — wpadłem mu w zdanie. — Wiem o tobie jeszcze więcej, aniżeli myślisz, tymczasem jednak tyle starczy. Kto uważa się za największego wybrańca Allacha i skrycie traktuje siebie jako uosobienie całego Koranu, ten powinien okazywać to otwarcie i uczciwie, a nie poniżać się w złudnej pokorze do niskiej roli ketiba!

Skrzyżował ramiona na piersi i zapytał:

— Skończyłeś?

— Z tobą? Tak!

— Ale nie ze sobą! Pomyśl o wyścigach! Wtedy karta się odwróci! Miejcie się na baczności — przybędziemy. Powiem ci tylko jeszcze jedno jedyne imię. Przyprowadzę wam najlepszego konia z hodowli Luristanu i każę stratować wszystkie wasze szkapy! Mam coś jeszcze dla was w zanadrzu. Co to takiego, o tym dowiedcie się na waszą zgubę!

Odwrócił się do mnie plecami i dumnie wyszedł z holu. Pozostali podążyli za nim, nie odzywając się ani słowem. Nie zaszczycili nas już więcej choć jednym spojrzeniem. Wkrótce jechali na dół, a Pedehr zadbał o to, żeby przynajmniej z dala eskortować ich aż do granicy Takich. Potem zeszedliśmy do niego na dół na podwórze i wtedy ode mnie:

— Efendi, zupełnie jakby dostali obuchem w głowę! Kto by, spodziewał po tym, jak na wszystko tak spokojnie się godziłeś! Nie byli w stanie przemówić! Odjechali stąd jak prawdziwi łajdacy! Wszędzie się dowiedzą o tym i każdy, kto ma honor, będzie miał się przed nimi na baczności! Ale zemsta, zemsta! Nie obawiasz się jej?

— Nie — odparłem. — Skończy się takim samym niepowodzeniem jak ich dzisiejsza chytra sztuczka... znowu oberwą tak, że się nawet nie spostrzegą, kiedy dostali. Nie podejmiemy ich jednak tak szybko, jakbyś sobie tego życzył. Najpierw będziemy podsłuchiwać, aż się dowiemy, co oni planują. Wówczas, nie czekając tak długo, jakby chcieli, zrobimy z nimi od razu to samo co teraz: podniesiemy się zupełnie niespodziewanie z naszych miejsc i zadamy im druzgocący cios. Prawdziwie mądryemu nie przynosi ujmy, jeśli inni z powodu jego milczenia uważają go za kogoś, kogo łatwo wywieść w pole. Nic nie mówi, żeby na wskroś przejrzeć swoich wrogów. Jednak kiedy nadejdzie jego czas, nie oszczędza nawet najwyższego, także szejka ul Islama, by pokazać, kto tak naprawdę jest szubrawcem, gamoniem, który dał się okpić!

Właśnie gdy skończyłem mówić, z ogrodu wynurzył się Tifl. Siedział na zupełnie osiodłanej Sahm i gotował się do wyjazdu przez bramę.

— Dokąd? — zapytałem, stając mu na drodze i chwytając za cugle.

— Wyjeżdżam — odparł. — Ćwiczyć Sahm na zawody.

— Nie jeździsz przecież na niej. Po co więc ćwiczenie! Zsiadaj!

— Nasz Ustad mi przyzwolił! — dorzucił, siedząc cały czas w siodle.

— Teraz ja jestem Ustadem, i w tej chwili schodź! Nie dosiędziesz już nigdy tego konia!

— Bo co?

Patrzył na mnie, jakby był całkiem gotów mi się przeciwstawić. Nie przyszło mi oczywiście do głowy, żeby go tarmosić. Obróciłem się natomiast do młodego Haddediha i poleciłem:

— Kara, na ziemię z tym pętakiem!

Przez twarz syna szejka przeszedł radosny uśmiech. Chyżo wskoczył na klacz za Tifla i w następnej chwili kulawy frunął na dół.

— Efendi, czemu to zrobiłeś? — zapytał zdumiony Pedehr. — Nasze dziecko otrzymało przecież pozwolenie, że w każdej chwili...

— Zaczekaj — przerwałem mu. Potem obróciłem się w stronę Tifla, który podniósł się z ziemi i patrzył teraz przed siebie zupełnie zażenowany. — Dlaczego u siodła Sahn wiszą torby? Dlaczego założyłeś buty, a na swoją kurtkę wdziałeś płaszcz? Czy tak ubrany jest jeździec, który chce ujeżdżać konia?

Tifl nie odpowiedział, jednak zakłopotanie na jego twarzy zamieniło się teraz w przekorę.

— Co chciałeś zrobić? — pytałem dalej. — Myślałeś naprawdę, że nikt cię nie przejrzy i że będziesz mógł mi uprowadzić Sahn, ty bezmyślny bubku? Tak się odpłacasz za dobrodziejstwo? Złośliwością i zdradą? Zamierzasz czmychnąć do Persów, a z nimi do Takikurdów? Chcesz startować w zawodach przeciwko nam, po stronie szejka ul Islama! Nie będę ci przeszkadzać: pasujecie do siebie jak garnek z pokrywką. Wykluczam cię z naszego plemienia i przekazuję w ręce wroga. Możesz bez obawy przybyć na wyścigi, krzywdy ci nikt nie robi. Jednak potem zmykaj stąd natychmiast! Zdrajcy nie mają u nas co szukać!

Tym razem nie stawiał mi najmniejszego oporu. Pedehr zaś wykrzyknął:

— Czy to możliwe? Za takie dobrodziejstwo taka marna zapłata! Efendi, ten człowiek powinien być ukarany chłostą!

— Nie! Ułatwię mu nawet wydostanie się poza nasz teren. Dostanie któregoś z odebranych żołnierzom koni, jednak w czasie drogi do Persów musi być eskortowany przez dwóch Dżamikunów. Zaraz się tym zajmij! A teraz precz z nim?

— Sam go odprowadzę na dół. Chodź!

Złapał go za płaszcz i pchał przed sobą aż za bramę. Chodj-y-Dżuna pożegnał się ze mną i ruszył za nimi. Odezwałem się do Kary:

— Widzisz, jak szybko potwierdziło się, co powiedziałeś mi o Tiflu. Na dziś wieczór planuję coś, o czym nikt nie może wiedzieć. Przygotuj się, żeby pójść ze mną nad jezioro, kiedy już wszyscy będą spać!

Serdecznie uradowany spojrzał na mnie i powiedział:

— Przygoda w tajemnicy przed innymi! Z tobą, efendi! Wiem, co oznacza to zaufanie i dziękuję ci za nie!

Przycisnął moją rękę do swojego serca. Potem poszedłem do mieszkania Ustada, żeby odłożyć kartę szachinszacha na miejsce. Nie była mi potrzebna.

Skamieniała modlitwa

Resztę dnia poświęciliśmy na sen i zbieranie nowych sił. Wieczorem zjedliśmy posiłek w holu. Dowiedziałem się, że po zawodach zostanie zamontowane oświetlenie na wszystkich piętrach domu. Przygotowano już sporą liczbę pochodni, między innymi bardzo długie i dające silne światło łuczywa z palmowych włókien, które palą się godzinami i które trudno jest zagasić. Potajemnie zdobyłem od Szakary pół tuzina takich łuczyci i zabrałem je do siebie na górę. Szakarę wtajemniczyłem w tę sprawę, gdyż potrzebowałem kogoś, kto by nam otworzył bramę. To, co chciałem zrobić, było niebezpieczne. Dlatego przekazałem jej, że zamierzam przedrzeć się z jeziora do ukrytego kanału, i poleciłem jej, żeby czekała na nas najwyżej trzy godziny i w razie, gdybyśmy do tego czasu nie wrócili, przysłała nam jak najszybciej pomoc.

Kiedy mieszkańcy udali się na spoczynek, a było to po dziesiątej wieczór, zszedłem na podwórze. Kara był gotowy; przy nim czekała Szakara. Powtórzyłem jej, jak wyobrażam sobie ewentualną pomoc. Kara zabrał przyniesione przeze mnie pochodnie i ruszyliśmy. W duarze nie paliło się żadne światło, więc również tam już spano. W przystani znaleźliśmy łódkę. Była tylko przywiązana. Oba wiosła spoczywały w dulkach. Wsiedliśmy do niej i po cichu dopłynęliśmy do miejsca, które wcześniej badałem. Nie było trudno natrafić wśród zarośli na otwór w murze. Ustawiliśmy łódź prostopadłe do jamy i kilka razy odepchnęliśmy się mocno wiosłami. Czółno wpłynęło aż do połowy swej długości. Potem zabraliśmy wiosła do środka, pochyliliśmy się nisko i pod zawiłą gęstwiną pnączy precyzyjnie przesuwnęliśmy się na przód łodzi. W tym momencie zniknęło za nami rozgwieżdżone niebo. Ogarnęła nas bezkresna ciemność. Schwyciliśmy za wiosła i staraliśmy się wymacać nimi, co znajduje się na prawo i lewo od łodzi. Poczuliśmy twarde ściany i odepchnęliśmy się od nich w głąb kanału na tyle, że przez zarośla przeszła również tylna część naszego czółna. Wówczas wyciągnąłem z kieszeni szibhata*, chcąc zapalić jedną z żagwi. Przy jej blasku zobaczyłem znajdujący się całkiem z przodu w dziobie łodzi otwór, do którego wetknąłem pochodnię. Później dowiedziałem się, że ów otwór był przeznaczony specjalnie do tego celu, gdyż Dżamikunowie wieczorem chętnie wiosłowali do nur-y-saratin*.

Tunel na początku był bardzo wąski. Jednak kiedy przepłynęliśmy kawałek dalej, odległość między ścianami podwoiła się, tak samo zresztą wysokość. Powietrze było zimne i wilgotne, oddychało się jednak lekko. Ściany i sufit zbudowane były ze znanych już olbrzymich kamieni ciosowych. Teraz mogliśmy odpychać się już nie rękami, ale wiosłami. Kanał ciągnął się cały czas prosto. Woda była głęboka i czarna, przy tym przezroczysta jak kryształ. Nasza spokojnie paląca się pochodnia odbijała się w wodzie i patrzyła na nas jakby z niezmierną głębi.

Byłem na tyle przezorny, że starałem się w przybliżeniu ocenić długość kanału, oczywiście mierząc tylko okiem. W liczeniu pomogły mi kamienie. Czterdzieści, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt metrów! Zbudowanie takiego kanału, które pochłonęło tyle materiału i roboczej siły, nie mogło służyć wyłącznie regulacji przepływu wody między jeziorem a górą. Zapewne istniały jeszcze zupełnie inne przyczyny, dla których stworzono ten dopływ czy odpływ nie na powierzchni, nie na oczach wszystkich, lecz pod ziemią w głębokim ukryciu. Kiedy tak przemierzałem w myślach odległe czasy, w których powstały te budowle, ciemność, rozświetlana przez naszą pochodnię ledwo na parę

długości łodzi, nieodparcie wdzierała się do mojej głowy z pytaniem, czy na te wody należało patrzeć jak na życiodajny żywioł czy też jak na milczącego, posępnego pomocnika śmierci.

Przemierzyliśmy już ponad osiemdziesiąt metrów. Duar leżał na górze za nami. Musieliśmy znajdować się teraz mniej więcej w miejscu, gdzie na zewnątrz, na masywnym skalistym podłożu zaczynał się cyklopowy mur. W tym momencie tu na dole skończyły się ciosowe kamienie; kanał stał się jeszcze szerszy i wyższy, tak że można było wygodnie wyciągnąć wiosła i swobodnie poruszać się po wodzie. Ściany tworzyła teraz drażona kiedyś z mozołem skała góry, sufit był wysklepiony.

Raptem dopłynęliśmy do bocznego kanału, który odbijał w prawo, i skierowaliśmy do niego naszą łódź. Był dokładnie tak szeroki i tak wysoki, jak kanał główny, ale nie tak długi. Ci, którzy wykuwali go, nie zadawali sobie już przy nim tyle trudu. Prawą stronę tworzyła rodzima skała, natomiast lewą mur, zbudowany z olbrzymich bloków, bynajmniej nie wysadzonych. Z jednej i drugiej strony sterczały narożniki, kanty i spiczaste występy, których nikt nie oszlifował. Tam, gdzie kończył się ów boczny kanał, sufit nagle zniknął. Ujrzelśmy w górze ciemny otwór, którego wysokości nie sposób było zmierzyć, gdyż nasze światło okazało się zbyt słabe.

— Co to może być u góry, efendi? — spytał Kara. — Zastanawiam się, gdzie się teraz znajdujemy. W każdym razie pod ruinami, ale w którym miejscu?

— Właśnie to po cichu obliczałem — odrzekłem. — Jutro za dnia policzę na dworze odległość do ruin i wówczas będę wiedzieć na pewno. Kiedy będziemy wracać, jeszcze raz dokładnie sprawdzę, ile jest kamieni. Wszystkie mają tę samą długość i wysokość. W tej chwili szacuję, że nad nami znajduje się najniżej położona prabudowla, ta z małymi otworami w przedniej części muru, które prawdopodobnie miały służyć za okna. Wskazuje na to również fakt, że ów budynek spoczywa na identycznej skale z jakiej składa się prawa ściana bocznego kanału. Policzyłem kamienie, które tworzą lewą ścianę. Zapiszę sobie ich liczbę.

Wyciągnąłem z torby książkę, żeby zanotować swoje spostrzeżenie, gdy wtem odezwał się Kara, wskazując ręką w górę:

— Coś tam wisi na spiczastej skale. Wygląda zupełnie tak, jakby ktoś stamtąd, gdzie już nasz wzrok nie sięga, spadł na dół, wyszarpując i pozostawiając na występie skalnym strzęp swojego ubrania.

Spojrzałem w tamtą stronę. Kara rzeczywiście miał rację. Wiszący kawałek ubrania pokryty był martwicą wapienną*, przy czym wcale nie nosił śladu zbutwienia.

— Przechodzą mnie ciarki, efendi! — mówił dalej Kara. — Gdyby ta ponura dziura u góry mogła opowiedzieć, ilu musiało umrzeć tutaj w tej ciemnej lodowatej wodzie... zawracajmy! Jest mi zimno!

Chwyciliśmy za wiosła i wycofaliśmy się do głównego kanału. Prowadził on jeszcze kawałek dalej i następnie wpływał do dużego podziemnego basenu, na którego południowym krańcu właśnie

się znajdowaliśmy. Sufit był tak wysoko, że przy naszym mizernym świetle nie mogliśmy go dostrzec. Naturalna ściana basenu na lewo od nas i rozpływała się w głębokiej ciemności. Na prawo nie zmacony żadną falą i nieprzerwany przepływ wody pogrążał się w groźnym mroku!

Powietrze stało się wilgotniejsze, niemal mokre i przenikliwie stęchłe, jakby zachodziły tu procesy gnilne, które co prawda już się skończyły, jednak kłujący zapach zgnilizny nie zdążył się do końca rozejść. Nie oddychało się za dobrze, ale można było wytrzymać. Łuczywo paliło się przy tym zupełnie jasnym płomieniem. Musiało być więc gdzieś miejsce, przez które ta przejmująca grozą komnata łączyła się z zewnętrzną atmosferą.

— Śmierdzi, jakby tu były stare, wilgotne groby! — powiedział Kara, wstrząsany dreszczem. — Jest mi jeszcze zimniej aniżeli tam. Mam przeczucie, że pod nogami w wodzie leżą same ciała! Co teraz zrobimy, efendi?

— Zbadamy ten zbiornik wody.

— Jesteś pewien, że znajdziemy powrotną drogę?

— Tak.

— Ale przecież się niepokoiłeś! Świadczy o tym wskazówka, której udzieliłeś Szakarze.

— Myślałem wtedy, że z powodu złego, dusznego powietrza może wydarzyć się jakieś nieszczęście. Da się jednak oddychać, a to naturalne wydrążenie wcale nie jest tak duże, żebyśmy pomimo całej naszej uwagi mieli w nim zabłądzić. Jeżeli będziemy ostrożnie się posuwać, nic złego nam się nie przydarzy. Przede wszystkim trzymajmy się brzegu wody! Tu po lewej stronie wszystko jest. Jeśli będziemy podążać w prawą stronę wzdłuż tego brzegu i dotrzemy do punktu wyjścia, poznamy wymiar tej podziemnej jamy i dowiemy się, jaką jeszcze niespodziankę nam szykuje. Ruszajmy!

Odbiliśmy na prawo do kanału i płynęliśmy wzdłuż nad wyraz solidnie prezentującego się muru. Po jego przeciwnej stronie znaleźliśmy się w kanale bocznym. Policzyłem kamienie, z których był zbudowany. Mur okazał się tutaj dłuższy niż z tamtej strony i zawierał drugi boczny kanał, który po naszej lewej stronie otaczała nie mocna, masywna, zbudowana przez człowieka ściana, ale naturalne skalne filary. Ich wysokość była tak znaczna, że nawet kiedy zapaliłem drugą pochodnię, sufit jawił się nam bardzo niewyraźnie. Ów sufit również nie sięgał zupełnie do końca kanału. Także tutaj znajdował się u góry ziejący ciemnością otwór, który zapewne spełniał określoną rolę. Kiedy badałem go wzrokiem, odezwał się Kara:

— Chyba także tutaj strącano w objęcia śmierci ludzi, których chciano się pozbyć! Co prawda nic na to nie wskazuje, ale... Allachu, o Allachu! Spójrz tam! Co tam jest na kamieniu?

Wskazał na ostatni ze wspomnianych filarów. Wystawał z wody. Przy jej powierzchni miał średnicę przynajmniej sześciu metrów, później jednak zwężał się od razu do tego stopnia, że jego przekrój wynosił najwyżej dwa metry. Wskutek tego powstała równa płyta szeroka na cztery metry, a na niej leżało to, co sprawiło, że Kara tak się przeraził. Podpłynęliśmy tam łodzią i zobaczyliśmy, że

ów przedmiot to ludzki kościotrup, zupełnie zgięty wpół. Kolana były podciągnięte do tułowia, jedna ręka otwarta, w wołaniu o pomoc, druga zaś zaciśnięta, jakby przeklinając, wygrażała swoim wrogom.

— To jeden z tych nieszczęśliwców, o których mówiłem! — wykrzyknął Kara. — Umiął pływać i utrzymywał się na wodzie, aż w końcu przypadkowo w mroku natrafił na ten słup. Wyczuł płaskie miejsce i wdrapał się do góry. Tam zabiedzony, zagłodzony dokonał żywota. Modlił się, przeklinał, krzyczał, jęczał w tym strasznym, mokrym, bezlitosnym podziemiu! Stękał, jęczał, wył, krzyczał o pomoc w przeraźliwej męce i śmiertelnym strachu, aż mu chrypa odebrała głos. Mógł więc już tylko przeklinać w duchu i wraz z ostatnim przekleństwem odejść do Allacha, który musiał go wysłuchać!

Nic nie powiedziałem. Zbadanie szkieletu było dla mnie ważniejsze aniżeli wszelkie refleksje. Kościec był wilgotny, ale twardy jak kamień, kompletnie zwapniały. Wyrośnięty człowiek w sile wieku. Wysokie, szerokie czoło. Za życia niewątpliwie wspaniały, mądry myśliciel. Pierwsza myśl jego życia — błogosławieństwo dla matki, ostatnia — przekleństwo jego narodzin! Jak długo leżał tutaj na tym miejscu ten skamieniały kościotrup. Setki lat? Tysiące lat? Do jakiego ludu, do jakiego stanu, do jakiej grupy wyznaniowej należeli ci okropni ludzie, którzy zgotowali mu taką śmierć? Domyślałem się, że właśnie ponad nami znajduje się drugi ociosany kamień z dwoma wypukłymi reliefami. A więc poganie!

— Zmykajmy stąd! — powiedziałem. — Ubrałem się ciepło, bo wiedziałem, że tu na dole będzie zimno. Ale czuję, że teraz mnie przechodzą ciarki!

Basen tutaj zakręcał w lewo, tworząc trzeci a następnie czwarty boczny kanał. I co szczególnie: kanały te leżały, tak jak przypuszczałem, dokładnie pod trzecim i czwartym piętrem ruin, a poza tym każdy z nich kończył się otworem w suficie podobnym do tego, jaki widzieliśmy w pierwszych dwóch kanałach. Po co stworzono te okropne połączenia zewnętrznego świata z tym ciemnym, podziemnym zbiornikiem wodnym? Przecież u góry wody było wystarczająco dużo, obojętnie do czego miałyby ona służyć! Czy powody były równie ponure i bezwzględne jak to lodowate jezioro, które unosiło naszą łódkę?

Kiedy zawracaliśmy, zanurzając wiosła głęboko w wodę, nasze ruchy były bardziej energiczne aniżeli do tej pory. W falach odbijających się od łodzi mieniły się dziesiątkami płomieni nasze pochodnie. Załamania światła sprawiały, że to wszystko co znajdowało się pod nami, zdawało się podnosić — i tak przed naszymi oczami jawił się tłum ludzkich postaci, które jakby poruszały się i odgrażając nam, chciały do nas dopłynąć. Kara krzyknął głosem pełnym przerażenia, a i na mnie ten widok tak podziałał, że o mało nie wypuściłem wiosel z rąk.

— Trupy, nie tylko trupy! — wydusił z siebie młody Haddedihi. — Efendi, czy my jeszcze żyjemy, czy już umarliśmy i musimy pogrążyć się w głębinie tak samo jak oni?

— Głowa do góry, Kara! — wspierałem go. — Żyjemy i również pod nami znajduje się coś zupełnie innego aniżeli śmierć. To co zbrodnia z dawnych czasów chciała ukryć i zniszczyć, woda obfitująca w wapń zamieniła w kamień, żeby później wiadomym się stało, jaki koniec zgotował temu, który naprawdę był człowiekiem, ten, który człowieka tylko udawał. To co teraz widziałeś, było wapniem, było gipsem, było rozpuszczonym białym kamieniem. Wyobraź sobie, że są to tylko

marmurowe posągi, które ukryto tu głęboko, aby nie dostały się w niepowołane ręce! Wiosłujmy dalej!

— W porządku. Zapal jednak jeszcze jedną pochodnię, żeby wokół nas się trochę rozwidniło! Wydaje mi się, jakby z tysięcy pustych oczodołów zewsząd spoglądała na nas śmierć i właśnie to wyobrażenie tak mnie męczy.

Zapalił łuczywo. Później prowadziliśmy nasze poszukiwania dalej.

Pokazały one, że mieliśmy do czynienia nie z jednym, ale z dwoma podziemnymi basenami; jednym z przodu, tym, na którym właśnie się znajdowaliśmy, i drugim z tyłu, na który tymczasem nie zwracaliśmy uwagi, chcąc dokładnie zapoznać się z pierwszym. Spodziewaliśmy się, że mamy nad głowami wysokie sklepienie. Nie mogliśmy go jednak dostrzec. Sufit dźwigały zwyczajne, stworzone przez naturę, regularnie stojące filary, będące pozostałością kamiennych ścian, z których woda wypłukała i zmyła do jeziora zalegającą w nich miękką ziemię. Owe ściany były również stopniowo niszczone przez erozję i to co z nich pozostało, a co nazwałem słupami, było tak zarysowane, popękane i podziurawione, że w każdej chwili mogło się zawalić. Wszystkie te dźwigary stropowe wyglądały bez wyjątku jak biały piernik, którego włożono do wody i tylko pobieżnie wysuszono, żeby nadać mu Przynajmniej pozór trwałości. Patrząc na niektóre miejsca w tych zwietrzałych ścianach, wydawało mi się, że słyszę, jak trzaskają one i uderzają o siebie z łoskotem, i już pochylają się, żeby runąć. Kiedy Myślałem o tych olbrzymich kawałach muru, które tworzyły sklepienie nade mną, dostawałem gęsiej skórki i mrowiło mnie w końcach palców. Kara zdaje się czuł to samo co ja, gdyż powiedział:

— Jeśli komu przyszłoby do głowy, żeby wystrzelić tu z pistoletu, ten na zawsze by przepadł, gdyż cała ta góra zawaliłaby się i pogrzebała go! Efendi, musimy jak najszybciej się stąd wydostać! Strach już mnie obleciał!

— Jeszcze tylko basen z tyłu! — odezwałem się. — Przypuszczalnie nie jest taki duży jak ten i prędzej się z nim uporamy.

— Ale, na Allacha, tylko cicho, cicho; proszę cię! Wydaje mi się, że wszystko wokół nas i nad nami się rusza!

Jak bardzo trafne było jego przeczucie, przekonaliśmy się później na własnej skórze! Teraz wiosłowaliśmy jednak w głąb, gdzie o dziwo znowu natrafiliśmy na ślady ludzkiej pracy. Był to szeroki mur zbudowany z olbrzymich, nie ociosanych bloków, ułożonych na rodzimej skale. Wyglądało na to, że jego twórcy wzniesli go po to, żeby całkowicie ukryć tylny basen. Ale po co to robili? Przecież skała, na której spoczywał, była z wapnia. Woda również dokonała takiego spustoszenia w tej strukturze, że utrzymywały się tylko jej najtrwalsze fragmenty. A na tych nielicznych, słabych pozostałościach opierał się ten ogromny mur! Jak to możliwe, że jeszcze się nie zawalił! Skała więc nie stanowiła żadnego oparcia. Gdzie indziej musiała tkwić siła podtrzymująca mury. Może z boku czy u góry występowało coś w rodzaju przeciwcisnienia. Gdyby ono ustało, niechybnie nastąpiłaby katastrofa! Jedna burza, jedno małe obsunięcie ziemi czy jakieś podobne zjawisko mogło być ostatecznym, chociaż niepozornym powodem gwałtownego runięcia, które już od dawna było przygotowywane. Drzewo, które od dłuższego czasu wykorzeniano, chociaż rosło i silne,

przewraca w końcu jeden niewielki napór.

Prześlizgnęliśmy się pod murem w miejscu, gdzie jego fragment pozbawiony podstawy zawisł niejako w powietrzu, i znaleźliśmy się w tylnym basenie. Był, jak przypuszczałem, mniejszy od pierwszego. Słupów nie było widać. Opłynęliśmy go w krótkim czasie. Miał kształt półkola, którego średnicę stanowił prościutki biegnący mur. Łuk natomiast był utworzony przez naturalną, nie zarysowaną skałę, która przebiegając pochyło do góry, zdawała się u swojego szczytu tworzyć niszę. Kiedy zauważyłem tę ścianę, przypomniała mi się legenda o „zamurowanym Chodeh”, którą opowiadała mi Szakara. W jakiś niemal niepojęty sposób owa skała połyskiwała prawie czarnym blaskiem, niczym polerowany serpentyn o intensywnie ciemnym odcieniu. Jak wytłumaczyć to niecodzienne zjawisko?

Gdy opłynęliśmy ten ukryty basen, postanowiliśmy choć raz przemierzyć go wszerz. Już po paru uderzeniach wiosła natknęliśmy się na wystający z wody ogromny blok o dokładnie prostokątnym kształcie. Był wilgotny i śliski, od spodu pokryty wapiennym nalotem. Wyżej stawał się stopniowo bardziej suchy i ciemniejszy. Jego krawędzie tworzyły linie tak proste i ostre, że musiałem uznać ową regularność za twórczość ludzkiej pracy. Górną część oświetlały nasze pochodnie. Tutaj linie także były tak równe, jakby wytyczono je sznurem albo poziomą. Całość tak bardzo przypominała swym wyglądem cokół czy postument, że chwyciłem żagwie, stanąłem prosto i poświeciłem wysoko, chcąc zobaczyć, czy znajduje się na nim coś, co by pasowało do jego zupełnie niezwykłych kształtów. I rzeczywiście! Zaskoczony wydałem radosny okrzyk! Światło padało na coś lśniącego cudownie czystą bielą, coś tak śnieżnie subtelnego i dziewiczego, że początkowo nie wierzyłem własnym oczom. Ta szczerza, nieskalana, niewinna biel błyszcząca milionami płomyczków wydawała mi się po tym wszystkim, co widzieliśmy do tej pory tu na dole, czymś tak świętym, tak niepojętym, jakby mój wzrok padł na jakieś pozaziemskie dzieło, do końca wypełnione duszą!

— Widzisz coś, efendi? — zapytał Kara z dołu.

— Tak — odparłem, ciągle nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia.

— Co?

— Coś, co chyba pochodzi z raju! Mamy za sobą *dzehenna**, miejsce skamieniałego przekleństwa ziemi. Tutaj zaś jak mi się zdaje zamiast przekleństwa zapanowało błogosławieństwo, a to, co tam było wapieniem zanurzonym w wodzie śmierci, tutaj klęczało w alabastrowej modlitwie!

— Słyszę cię, a jednak nie rozumiem!

— Wierzę! Ja również nie jestem w stanie pojąć, jak trafiło tutaj to, co teraz widzę. Klęczy tutaj ktoś, o kim mogę tylko snuć domysły. Modlący się gigant! Światło mojej pochodni oświetla tylko kolana, które ugina przed Bogiem, najwyższym z najwyższych; reszta unosi się w górę, w noc i zgrozę. Czy wznosi swoje ręce ku niebu, żeby żądać? Czy pogodzony z boską wolą trzyma je spokojnie złożone? Czy śmiało wznosi swoje czoło? Czy spuszcza je ku ziemi? Czy spogląda ufnie w dal? Czy trwożliwie przymyka pełne pokory powieki? Dlaczego o to wszystko pytam? Wystarczy, że widzę tutaj kogoś, kto wznosi modlitwę!

Opuściłem pochodnię, odłożyłem ją na miejsce i ponownie usiadłem. Czuję, że muszę chwilę tu pozostać, dopóki nie wydarzy się coś, co odpowie na tę „modlitwę w ukryciu” odmawianą podług przykazu z szóstego rozdziału, szóstego wiersza Mateusza*. W końcu jednak zdecydowałem, że wrócimy tutaj jeszcze i oświetlimy to miejsce tak, żeby cała figura, która, miejmy nadzieję, nie była tylko torsem, ukazała mi się w całej okazałości. Na dzisiaj nasze zadanie było zakończone.

Zapisałem w notatniku parę uwag i opuściliśmy basen. Uwagi na temat poprzedniego zbiornika zrobiłem jeszcze staranniej. A kiedy ponownie znaleźliśmy się w głównym kanale, zmierzyłem przy pomocy liny, jeden z kamieni z dokładnością co do centymetra. Wszystkie kamienie ciosowe miały jednakową długość i wysokość, a więc nietrudno będzie później sporządzić odpowiedni rysunek, który umożliwi mi ustalenie w ciągu dnia przebiegu podziemnych linii. Przedarliśmy się przez zarośla u wejścia do kanału w podobny sposób jak wówczas, kiedy do niego wpływaliśmy. Teraz gdy znowu mieliśmy nad soi rozgwieżdżone niebo i mogliśmy określić czas, stwierdziliśmy, podczas naszego pobytu w podziemnym świecie minęły więcej niż dwie godziny. Oczywiście zanim znaleźliśmy się na dworze, zagasiliśmy nasze pochodnie. Przybiwszy do przystani, solidnie przywiązaliśmy łódź. Kara zabrał żagwie, ja linę mierniczą i ruszyliśmy do domu.

— Efendi, czy wiesz, jaki jestem szczęśliwy, że znów mam twarde grunto pod nogami a nad głową niebo? — zapytał. — Ta straszna tajemnicza woda! Te zdradzieckie słupy! I ten ogromny napór z góry, który muszą one wytrzymywać i co najdziwniejsze wytrzymują go! Drżałem prawie ze strachu i czuję się teraz niemal tak, jakbym uciekł nieuniknionej, strasznej, podstępnej śmierci!

Jego słowa wyrażały dokładnie to, co ja czułem. Ja poza tym byłem niedawno ciężko chory i tego rodzaju przeżycia znosiłem gorzej aniżeli on. Przeprowadzanie poszukiwań we wnętrzu ziemi w chwili obecnej było szczytem nierozwagi z mojej strony; ale czas i sytuacja nagliły. Na szczęście jednak nie przeziębilem się ani nie doznałem jakiegokolwiek uszczerbku na zdrowiu. Wręcz przeciwnie, zdawało mi się, że dzięki temu przedsięwzięciu moje ciało i moją duszę wypełniła nowa energia. Czuję się raczej wzmocniony niż zmęczony, a nawet odprężony.

Kiedy wróciliśmy, Szakara się ucieszyła i powiedziała, że zaczynała już się o nas martwić. Kara zapytał mnie, czy może jej wszystko opowiedzieć. Odparłem mu, że to rozumie się samo przez się, zabroniłem jednak mówić komukolwiek innemu o naszej tajemnicy, później poszedłem do siebie na górę, zapaliłem lampę i zasiadłem przy stole, aby od razu wykonać rysunek obu basenów. Przeżycia były tak świeże, że widziałem przed sobą wszystko w niemal najdrobniejszych szczegółach, a kiedy skończyłem, mogłem być pewien, iż nie pomyliłem się ani o jeden metr. Wystarczyło już tylko w ciągu dnia porównać mój wykres z pochyłością terenu.

Oczywistym było, że owe niezatarte głębokie obrazy, które zabrałem ze sobą do domu, powracały zupełnie żywe, kiedy kładłem się tu u góry na spoczynek. Sen nie chciał przychodzić, gdy jednak w końcu mnie zmógł, przeniósł mnie na ów obszar, gdzie króluje dusza, a który ciągle pozostaje dla nas okryty tajemnicą i nieszczęśliwie nazywany jest światem marzeń.

Marzyłem, a obrazy, które przemykały mi przed oczami, były tak żywe i wyraźne, jakbym wcale nie spał, ale czuwał. I śniłem, co najdziwniejsze, że nie jestem sobą, ale Ustadem. Byłem identyczny z nim i znałem każdą minutę, która upłynęła w jego życiu, i każde napisane przez niego słowo. Owa wizja nie zmasała się — pozostała nawet po przebudzeniu. Jej treść była następująca:

Przybyłem jako Ustąd do kraju Dżamikunów i ujrzałem budynki leżące tutaj na górze. Zmierzyłem je od zewnątrz wzrokiem i to co zobaczyłem, zbudziło we mnie pragnienie, aby dokładnie poznać ich wnętrze. Zapytałem kogoś, gdzie się do nich wchodzi. Ów ktoś obrzucił mnie zimnym spojrzeniem i przemówił:

— Nie jestem Dżamikim. Jestem duchem, który ostrzega każdego, kto się zbliża, żeby nie ośmielił się kierować tutaj swoich kroków. Kto przekroczy próg tej budowli, ten na wieczność musi zrezygnować z ciała, ducha i duszy. Kto z nich nie zrezygnuje, nigdy z niej nie wyjdzie, ani żywy, ani martwy. Cienie nie znoszą, kiedy się je zdradza.

— Cienie? — Zaśmiałem się. — Gdzie podziewa się bezistotny, niezdolny Sill, który mógłby przestraszyć prawdziwą osobowość?

— Zapytaj inaczej! Zapytaj tak: Gdzie podziewa się potężna osobowość, która każdego, kto przekroczy jej królestwo ciemności, zamienia w cień, zaczarowuje albo uśmierca? Mieszka i panuje w tej ogromnej budowli. Chcesz wejść do środka, nie zatrzymuję cię; mam tylko ostrzegać, a nie zmuszać. Niezliczone już rzesze nie posłuchały mnie. Silni nie wrócili nigdy; reszta uległa w inny sposób jemu, czarownikowi. Ci powracali co prawda, jednak tylko jako jego cienie, prześlizgiwali się koło mnie bezduszni, bezcieleśni, by jak wampiry wysysać ludziom krew.

— I nie znalazł się nikt, kto by mu się przeciwstawił?

— Nikt!

— Nie przeraża mnie to. Czary to kłamstwo. Tylko ten, który w nie uwierzył, uległ mu. Postąpię tak jak wszyscy ci, którzy nie posłuchali. Chcę wejść do środka, teraz jeszcze bardziej pragnę się tam znaleźć! Pozwól mi zobaczyć potężnego, o którym powiadasz, że każdy kto się u niego znajdzie, umiera albo staje mu się uległy! Nie wierzę w je potęgę ani śmierć!

— Nie wierzysz w śmierć? — zapytał, przyglądając mi się całkiem osobiście. — Potrafisz się modlić?

— Tak.

— Dobrze?

— Taką mam nadzieję.

— Zatem wchodzi! Jeśli tego sobie życzysz! Jesteś pierwszym, jednemu, któremu ważę się udzielić rady. Brzmi ona: Szukaj sam powrotnej drogi; nie proś nikogo, żeby ci ją pokazał!

Po tych słowach wskazał pod siebie. Wówczas ziemia się otworzyła i zobaczyłem stopnie schodów.

— Dziękuję ci! Mnie nie zobaczysz jako cienia! — powiedziałem i ruszyłem w dół.

Na początku znalazłem się w tej budowli z czasów, która stała na mocnym skalistym gruncie. Przez otwory murów wpadał blady świt. Przewędrowałem wnętrze wzdłuż i wszerz, niczego jednak

nie zobaczyłem; pomieszczenie było całkiem puste. Wydawało się, że ograbiono je zupełnie, tak jak się to czyni z nabożnymi i filozoficznymi systemami. Myśli są w nich przedstawiane niczym meble, które należycie wytrzepane i na nowo wypolerowane, wstawia się do nowego mieszkania i pokazuje jako nowe! Południowy kraniec budowli został zasypany. Dobrze wiedziałem dlaczego: było to miejsce, gdzie strącano do wody.

Wewnątrz znajdowały się stopnie prowadzące do następnej budowli, która przypominała mi religię staroirańską i Zaratustrę*. Ona również stała pusta. Nie było w niej widać żadnego człowieka, żadnej stworzenia. Tak samo splądrowana i dokładnie wymieciona! A przecież to co przeszłe powinno się traktować jako święte! Nie należy wykorzystywać dla własnego celu i złorzeczyć czasowi, który ją stworzył południowy koniec zamurowano.

Wszedłem znowu po stopniach na kolejne podwójne piętro z popękkanymi tablicami. Gdzieś walał się jakiś stary przedmiot, którym pogardzili grabieżcy. Widziałem również ślady, które pozwoliły mi przypuszczać, że kręcili się tu jacyś ludzie, chociaż w chwili obecnej byłem sam. Czy rzeczywiście? Zupełnie sam? Czy nikt mnie nie obserwował? Ostatnie pomieszczenie od południowej strony zasypano, jednak nie aż po sam sufit, tak że można było się tam ukryć. Wśród gruzów widziałem świeże ślady ludzkich stóp. Miejsce to dla obeznanego z terenem nie stanowiło żadnego zagrożenia, ale nie dla obcych, którzy szukali tutaj wyjścia. Albowiem po tamtej stronie nagle spadało się do basenu. Kiedy stałem tak z dala i patrzyłem w sufit, u góry podniosła się cicho jakaś głowa, żeby baczenie mi się przyjrzeć. Włosy miała jak śnieg, spojrzenie ostre jak klinga sztyletu. Człowiek z takimi oczami wie, czego chce, i nie lituje się nad nikim. Nie brak mu odwagi, żeby zaszyć się wysoko nad otchłanią i nasłuchiwać, jeśli tylko istnieje nadzieja, że kogoś w nią strąci. Naturalnie zachowałem się tak, jakbym go nie widział, i ruszyłem do następnych schodów, chcąc wdrapać się na najwyższe wielokształtne piętro.

Stopnie nie prowadziły bezpośrednio na nie, ale uchodziły do otwartych drzwi, w których jakiś ciemny cieniowy upiór ukłonił mi się głęboko i przemówił przytłumionym pustym głosem:

— Znamy twoje życzenie i czekaliśmy na ciebie. Myślałeś, że wejdiesz od razu na najwyższą część budowli. Najpierw musisz jednak przejść przez lochy, jako że to dzięki nim jest ona kamienna, ceglasta. Tutaj nagromadzone są wszystkie skarby, które wymyślił człowiek od początku swojego istnienia. Zgromadziliśmy je tu razem; skąd, po co, dlaczego, dowiesz się dopiero wtedy, kiedy cię oświeci łaska naszego pana. Gotów jest, żeby z tobą porozmawiać. Zechciał nawet przyjąć cię do siebie na służbę. Abyś przekonał się, jak sownie potrafi płacić, jak aż nazbyt hojnie rozdaje, mam poprowadzić cię przez te pomieszczenia. Musisz jednak dać mi swoje słowo, że nigdy nie zdradzisz, co ci tutaj pokazałem. Od innych żądam najświętszej z wszystkich przysięg, wiem jednak, że od ciebie wystarczy wziąć twoje słowo. Czy dasz mi je?

— Tak — odparłem, chociaż wewnątrz coś mi mówiło: Nie dawaj mu słowa i nie dotykaj go, w przeciwnym razie uległeś mu!

— Podaj mi więc swoją prawicę!

Zrobiłem tak, jak chciał. Chwytając go za rękę, poczułem, jakbym chwycił coś bezprzedmiotowego, miękkiego, trupio zimnego, gładkiego jak galareta, śliskiego jak wąż!

Wydawało się, że dzięki mojemu dotknięciu wstąpiło w niego życie i energia.

— Chodź, podążaj za mną! — ponaglił mnie niespodziewanie rozkazującym tonem. — I nie rozmawiaj z nikim poza mną! Bowiem przez rękę, którą podałeś mi na znak przysięgi, stałeś się moją własnością w Bogu i Panu. Nie masz prawa zwracać się do nikogo innego oprócz mnie, który się o ciebie troszczyć!

Złapał mocniej moją rękę i przez to zauważyłem wyraźniej, że zabierał mi siłę, która przechodziła ze mnie na niego. Wówczas ów kształt, który jeszcze nie tak dawno kłaniał się przede mną, uniósł się tak wysoko, że górował hen nad moją głową i ciągnął mnie za sobą w zdecydowany, władczy sposób.

— Do mnie należy twój duch, do mnie należy twoja dusza, twoje pozostaje na razie jedynie ciało, dopóki nie postanowię, jak i gdzie będzie ono nam służyć. Z mojej ręki spływa na ciebie najwyższe szczęście, jakie człowiek może zaznać w czasie i wieczności. Jesteś całkowicie pozbawiony własnej woli i dzięki temu wolny od grzechu, i nie potrzebujesz czynić pokuty! Rób wszystko, co powiem, obojętnie, czy będzie to dobre czy złe. Zwolniony jesteś od odpowiedzialności, gdyż to ja biorę ją na siebie. Ja również posłusznie wypełniam polecenia tylko po to, by stać się wolnym. Każdy tak czyni aż do najwyższego! Z polecenia mojego pana będę wynagradzać ci natychmiast każdy czyn, którym nam pomożesz. W imieniu tej samej najwyższej władzy wybaczę ci wszystko, czym zaszkodzisz innym, tylko nie nam! Dlatego bądź dobrej myśli, niech się dzieje, co chce! Pod naporem naszej potęgi ginie każdy wróg!

Po tych słowach kształt, który zdawał się zupełnie dowolnie rozciągamy, wrócił do swych poprzednich, skromnych wymiarów i rozpoczął ze mną pochód przez lochy, nie wypuszczając ani na chwilę mojej ręki. Czuję, jakby łączyła mnie z nim jakaś niewidzialna rurka, przez którą odpływała do niego moja życiowa energia. Nie minęło zbyt wiele czasu, a zniknęła cała ma odwaga i wraz z nią jakakolwiek chęć oporu. Wampir duchowej natury! Gąbczaste widziadło, w które energia może wsiąkać bez końca! Czy mogłem wymagać od siebie, żeby dawać mu tak długo rękę, dopóki nie zobaczę tego, co chciałem widzieć? Czy nie byłem czasem już do tego stopnia bezwolny, że mogłem już więcej jej nie wyciągnąć? Odważyłem się pójść dalej, gdyż sądziłem, że znam siebie dokładnie! Kto chce zdemaskować wampiry, musi zdobyć się na odwagę i pozwolić im wpijać się w siebie tak długo, dopóki nie nasycą się one na tyle, że nie będą w stanie już uciec!

Pomieszczeń, przez które przechodziliśmy, było bez liku, więcej niż wydawało się to możliwe. Długie niskie piwnice z wąskimi murowanymi niszami, w których tliły się posepnie czerwono nieliczne łuczywa. Wszystko co cenne, co kiedyś znajdowało się na niższych piętrach, tutaj było nagromadzone. Do tego dochodziły kosztowne towary przemycane ze wszystkich krajów, sfer i obszarów myśli. Pomyślałem o naszym znalezisku w Birs Nimrud. To jednak, co tam widzieliśmy, było zaledwie skromnym zebraczym dobytkiem w stosunku do bogactwa, które tutaj leżało! W głębi tamtych ruin nie było życia. Tu zaś pomiędzy skarbami uwijały się skrzętne demony, które miały pełne ręce roboty. Każdy krok stawiały bezszelestnie, a wszystko czym się zajmowały, robiły bez najmniejszego szmeru. Pożądliwe spojrzenia, które kierowały w moją stronę, zdradziły mi, jak bardzo były mnie spragnione. Jednak gdy jeden z nich się do mnie zbliżył, żeby wyciągnąć do mnie rękę, mój przewodnik nada) się do wielkości giganta i cisnął słabeusza na bok. To była siła, którą mi wyssał. A że on miał mnie, a oni nie mieli nikogo, od kogo mogliby czerpać siłę, mój upiór stał się

dla nich bohaterem dnia, któremu dzisiaj oddali się pod panowanie.

Chciałem wiedzieć, co uczynią, i na chwilę przystanąłem, żeby się im przyjrzeć. Mój przewodnik myślał, że na zawsze ma mnie w garści i ujawnił mi, co tu się rozgrywało. Podrabiano, podrabiano i tylko podrabiano! Autentyczne zabrano zewnętrznemu światu. Ukryto tutaj prawdziwe, czyste i szlachetne. W tym miejscu fabrykowano uludę i pozór, fałsz i wypaczenie i wynoszono później na zewnątrz jako prawdziwe, porządne, dobre towary! A praca ta szła bardzo sprawnie. Widziałem, iż był to świetny interes! Jeden jedyny przeciek informacji oznaczał natychmiastową ruinę dla tego królestwa fałszu! Dlatego pozostał wybór: współdziałanie albo śmierć! Na co zdecydowałbym się, gdyby zmuszono mnie do podjęcia decyzji?

W tym samym momencie wyrwałem cieniowi swoją rękę szarpnięciem tak nieoczekiwanym i tak silnym, że nader prędko zrobił się z powrotem mały. Natychmiast jednak ponownie nadał się do olbrzymich rozmiarów i zagrział na mnie:

— Co ci przyszło do głowy! Ta ręka należy do mnie, bo jesteś moją własnością! W tej chwili mi ją podaj!

Wiedziałem, że dojdzie teraz do walki między nami. A obecni Sillanowie chyba również to przeżywali. Zakotłowało się wśród nich. Rozepchnąłem ich, żeby przedostać się do następnej niszy. Tam złapałem palącą się pochodnię i wówczas, trzymając ją w ręce, obróciłem się do nich. Co nastąpiło? Zniknęli. Ukryli się za swoimi nagromadzonymi towarami; byli przecież cieniami, które obserwowane przy świetle włączają za swoje przedmioty. Tylko jeden został. On sam miał odwagę, a właściwie moją odwagę, którą wyssał ze mnie i wchłonął w swoją bezlitosną gąbczastość. Staliśmy naprzeciwko siebie z wysoko podniesionymi głowami. Patrzył mi w oczy wzrokiem, który miał mnie zniszczyć; podobnie ja na niego patrzyłem! Teraz się rozstrzygało; prawda przeciw kłamstwu, człowiek przeciw cieniowi, indywidualność przeciw pozornemu człowieczeństwu, światło przeciw ciemności!

Nie odzywałem się, on również. Ja nie chciałem, a on nie mógł. Wlepiłem w niego swój twardy wzrok i nie drgnęła mi nawet powieka. Chciał wytrzymać to spojrzenie, wkrótce jednak musiał spuścić oczy. Stałem spokojnie, mocno, bez ruchu; on począł się chwiać, drżeć, w końcu nawet płonąć jak płomień mojej pochodni. Stawał się coraz mniejszy, opadł, aż wreszcie położył się na ziemi i wolno przepelzł koło mnie, chcąc przedostać się do tyłu. I kiedy tak dygotał przede mną wił się ze strachu, poczułem, że powraca skradziona mi siła i energia, aż w końcu nie pozostało w nim z niej ani śladu i w całym tym swoim bezwładzie legł za mną na ziemi. Obróciłem się wówczas do niego, trzymając w ręku pochodnię. Umknął na lewo, w kierunku ściany i próbował się na niej podnieść. Spojrzałem w tamtą stronę, a on zwrócił ku mnie swoją twarz. Miłujący prawdę i uczciwy człowiek nigdy jeszcze nie doświadczył tego, żeby zdemaskowany kłamca i oszust ośmielał się tak wprost na niego patrzeć. Taką odwagę ma wówczas, kiedy uda mu się ukraść obce cechy charakteru, dzięki którym jego twarz przybiera taki wygląd, jakby on również był pewnym typem człowieka, a nie tylko marnym, nic nie znacząc cieniem!

To było zwycięstwo odniesione po cichu, bez gniewu i bez jednego słowa! Teraz, skoro również ten cień został pokonany, zacząłem od nowa swój obchód po lochach, żeby dokładnie się przyjrzeć temu, co widziałem do tej pory. Byłem sam. Żaden upiór nie ośmielił się już do mnie podejść. Gdzie

pojawiałem się ze światłem, momentalnie chował się każdy cień. Mój co prawda włókł się ciągle za mną, nie odważył się jednak podnieść jeszcze raz.

W czasie mojego drugiego obchodu zauważyłem, jeśli nie przerażony to przynajmniej zaskoczony, że drzwi, do których prowadziły schody, zniknęły. Dokładnie przypomniałem sobie to miejsce. Przedmioty, które zobaczyłem na początku, kiedy tu wchodziłem, stały i leżały wszystkie tam gdzie poprzednio. Ale na miejscu drzwi znajdował się obecnie tylko mur, mocny, gruby, nieprzenikniony mur. Usilnie starałem się odnaleźć inne wyjście, nie znalazłem jednak żadnego poza tym, które znajdowało się na południowym końcu tej budowli. Również ono prowadziło w czeluść, przez którą zlatywało się gwałtownie w dół do basenu. Nie było ani zamurowane, ani zasypane, za to znajdowały się tam drewniane nie zamknięte, nie zaryglowane drzwi, które otwierało się jednym, lekkim pchnięciem. Wyglądały one niewinnie, zupełnie jakby wiodły do następnego pomieszczenia; biada wszakże temu, kto dałby się nabrać na to oszustwo! Otworzyłem je i poświeciłem na zewnątrz. Zaraz za progiem kończyła się podłoga. Za nią zionęła przepaść kończąca się głęboką wodą, a zimne wilgotne powietrze, które stamtąd dolatywało, cuchnęło gazami gnilnymi.

Zamknąłem drzwi i zawróciłem. Jak to powiedział ten, który na dworze ostrzegał mnie przed budowlą? — Silni nie wrócili nigdy! — Tak, oni wprawdzie stawiali opór, nie wpadli jednak na pomysł, żeby wziąć do ręki pochodnię i odgonić od siebie cienie. Kiedy szukali wyjścia, skierowano ich do tych drzwi i niczego nie przeczuwających strącono w dół.

Gdy myślałem o zwapniałych trupach, które właśnie za tymi drzwiami spoczywały na dnie basenu, usłyszałem kroki, zbliżające się z przeciwnego końca lochu. Po chwili stawiający je osobnik znalazł się w promieniu blasku, jaki rzuciła moja zupełnie dogasająca pochodnia. Rozpoznałem go natychmiast. Był to podsłuchowacz z białymi włosami i wzrokiem jak sztylet, który obserwował mnie ze zwałowiska gruzu na poprzednim piętrze. Za nim posuwała się masa cieni tak ogromna i tak ścięsniona, że nie dało się odróżnić wśród nich poszczególnych przedstawicieli; tworzyli oni jedną skomasowaną ciemność. Gdy mój znajomy znalazł się w pobliżu mnie, zatrzymał się i wrzasnął w moją stronę:

— Czego chce Ustąd w moim królestwie? Ten największy wróg, jakiego mam na ziemi! Szukasz drzwi, żeby znowu mi się wymknąć! Dla ciebie, który chcesz mnie zniszczyć, nie ma żadnych!

Podszedł jeszcze parę kroków. Kiedy zbliżał się, rósł coraz bardziej i coraz bardziej. Przerastał mnie teraz o głowę i o szerokość barków. Jego głos brzmiał twardo, mocno, nie dopuszczał jakiegokolwiek sprzeciwu. Spokojnie patrzyłem w jego klujące oczy, gdyż rozgrywała się tu druga, jednak nieco inna walka, a ten, który chciał w niej zwyciężyć musiał umieć zachować spokój.

— Powiedziano ci, że chcę z tobą porozmawiać — napierał dalej na mnie. — A zatem tutaj udzielam ci audiencji. Powiedz, o jaką łaskę zamierzasz mnie prosić!

— Słyszę, że przebywam w królestwie cieni — odpowiedziałem. — Choćby prawda była tak jasna jak słońce, cień niechybnie przemieni ją w kłamstwo! W moich najśmielszych marzeniach nie śniło mi się, że będę mógł zamienić z tobą choć jedno słowo. Ty jednak raczyłeś powiadomić mnie przez jednego z twoich cieni, iż życzysz sobie porozmawiać ze mną. Kto jest teraz tym, który udziela audiencji? Kto jest tym, który się o nią stara, a kto tym, który ją przyznaje? A łaska? Od ciebie? Dla

mnie? Oszalałeś! Aż śmiech mnie bierze, że muszę wysłuchiwać, jakiego głupstwa się ode mnie żąda. Dlatego mów!

Czy myliłem się, czy naprawdę tak się działo? Znowu zmałał, stał się także chudszy. A kiedy mówił, jego głos nie brzmiał już tak pewnie i władczo jak poprzednio:

— Przemawiasz z niesłychaną dumą, Ustadzie! Prędko jednak nauczę cię pokory. Nie ty pierwszy jesteś tak zuchwały i pewno też nie ostatni! Wiem, co się stało, kiedy wstąpiłeś do środka góry, żeby zobaczyć królestwo czarownika, nienawidzącego słabości. Ostrzegano cię. Mówiono ci, że będziesz musiał wybrać cię albo śmierć. Pomimo to wszedłeś. Teraz przepadłeś — jesteś mój. Wybieraj!

— Wybierać? — zapytałem. — Kto waży się stawiać mnie przed wyborem, który nie daje nic z tego, co umiłowałem?! Jeśli jest tu jakikolwiek wybór, to brzmi tak: ty albo ja; nic poza tym. Oczywiście wybieram siebie!

Uczynił jeszcze jeden krok w moją stronę i zapytał jadowicie syczącym tonem:

— Nie chcesz być cieniem? Moim cieniem, pana i mistrza, któremu nikt nie śmie się przeciwstawić?

— Spróbuj, czy ci się nie przeciwstawię!

— W takim razie czeka cię śmierć!

— Która jest jednym z twoich największych kłamstw! — Zaśmiałem się. — Śmiercią mogłeś straszyć jedynie te słabe głowy, które nie poznały się na niej i nie wiedziały, że była tylko urojeniem mającym je ujarzmić. Kiedy chciały uratować swoje ciała przed tym strachem na wróble, ich duchy i dusze padły ofiarą morderstwa. Pokaż mi tę śmierć, ów śmieszny cień, który pada tylko za życiem oszukanych, gdyż świeciło na nie fałszywe światło kłamstwa!

— Już ją widziałeś! — zawołał. — Przyglądałem się z daleka, jaki otwierałeś drzwi i spoglądałeś w jej zimne wilgotne oblicze. Ośmielisz się jeszcze raz to zrobić?

W tej samej chwili pchnąłem drzwi, pokazałem na zewnątrz i powiedziałem:

— Idź pierwszy i pokaż mi, gdzie się ukryła? Odważysz się? Nie zamierzam długo czekać!

Gdy mówiłem te słowa, zrodziła się we mnie decyzja. Skąd się wzięła? Nie wiem. Dokąd prowadziła? Przez te drzwi. Była tak śmiała, iż poczułem, że moje policzki nabrały rumieńców, a oczy rozpromieniły się. W tym samym momencie uświadomiłem sobie we śnie, że śnię i że jestem sobą a nie Ustadem. Niesamowite! Również w rysach twarzy mojego przeciwnika zaczęły zachodzić widoczne zmiany. Wlepiał we mnie oczy, zrazu zaskoczone, potem zdziwione, wreszcie zupełnie speszone. Z jego głosu przebijał ból, a może radość, kiedy zwrócił się do mnie z kolejnymi słowami:

— Ustadzie, Ustadzie... co się z tobą dzieje?!... Wyglądasz jakoś zupełnie inaczej! Już nie jesteś Ustadem, nie, nie... nie!... Kim więc jesteś? Może tym nieznanym efendim, który gości w jego „wysokim domu” i który zuchwale zszedł w głąb ruin Birs Nimrud, żeby wydobyć na jaw ich

tajemnicę?

— Tak — odparłem. — Dotychczas wszakże śniło mi się, że jestem Ustadem.

Wówczas dopadł do mnie, chwycił za ramię, potrząsnął i wrzasnął:

— Śniesz, śniesz i stajesz się kimś innym! Co teraz będzie? Co mam zrobić?! Nie mam pojęcia; naprawdę nie mam pojęcia! Obudź się, obudź! Natychmiast otworzę ci bramy góry! Nie powinieneś być cieniem ani umierać! Jak najszybciej stąd wyjdź! Sam wypuszczę cię, by twój sen pomyślnie się zakończył i byś powrócił do swojego ciała, które wtedy się obudzi!

Odepchnąłem go od siebie, popatrzyłem mu spokojnie w oczy i odrzekłem:

— To ciało sobie pogodnie odpoczywa. Niech śpi dalej! Dlaczego nie mam dokończyć tego, co zacząłem? Zostaję tu! Właśnie twój strach mnie przekonuje, że ja jestem tym, który udziela tutaj audiencji! Żądam teraz od ciebie, byś spełnił swoją groźbę: zamień mnie w cień albo uśmierć! Zrób to, co potrafisz lepiej dokonać!

Po tych słowach jego kształt skurczył się jeszcze bardziej. Pomimo to, kiedy przekonywał mnie, starał się nadać swemu głosowi dawną siłę:

— Jeśli pozostaniesz tu, jesteś stracony, gdyż jestem władny zrealizować obie groźby! Gdy podążałem za tobą, kazałem gasić i chować wszystkie pochodnie, które miałeś. Ostatnią trzymasz w ręce, a ona jest już tylko małym ogarkiem, który nawet parę minut się już nie poświeci. Kiedy zgaśnie, nie będziesz mógł już więcej straszyć moich cieni. Naprą na ciebie i wysasają twoją wolę i siłę, aż staniesz się tym, kim nie chcesz być: moim Sillem!

— Kto jest w stanie mnie do tego zmusić? Zgaśnie moje światło, to drzwi stoją przede mną otworem!

— Ale na zewnątrz też czeka cię śmierć!

— Strachy na Lachy! Nie przerazisz mnie!

Cóż to się stało? Nagle jego twarz przeszło radosne promienne zdziwienie. Jednak kiedy mówił do mnie, w głosie wyczuwało się strach:

— Zdecydowałeś się więc umrzeć, efendi! Wzywam cię, żebyś się przygotował. To już twoje ostatnie chwile i musisz się pomodlić. Złóż teraz ręce i powtarzaj za mną słowa modlitwy!

Złożył ręce, zabierając się do pacierza, i spojrzał na mnie w przekonaniu, że podążę za jego przykładem. Ja jednak odparłem:

— Myślisz, że jesteś mi potrzebny do modlitwy? Dla mnie modlitwa ma boską naturę i dlatego prawdziwy i szczery pacierz jest jeśli nawet nie największą to najtrudniejszą i najświętszą sztuką. U ciebie jednak nie widzę niczego poza oszustwem i fałszem, dlatego myślę, że nawet modląc się, kłamiesz!

Zacisnął pięści, jakby szykował się do walki, i wrzasnął na mnie:

— No to umieraj ze swoimi grzechami i przepadnij w piekle! Zamierzył się i ruszył na mnie z całym impetem, chcąc mnie wypchnąć na dół przez drzwi, opodal których stałem. W okamgnieniu odchyliłem się na bok. Jego rozpędzony kształt zamiast trafić we mnie leciał prosto między framugi drzwi. Przerażony zawył głośno i rozpostarł ramiona, próbując się zatrzymać.

— Przepadnij, by spełniło się moje słowo! — zawołałem. — Nie zamierzam długo czekać!

Jedno pchnięcie i pofrunął w przepaść. Pochodnia, którą trzymałem w ręce, już dogorywała. Cisnąłem ją za nim. Z otchłani dobiegł pojedynczy krzyk, a po nim głucho uderzenie. Przedemną zaległa ciemność, za mną groza wszystkich cieni! Postawiłem stopę na progu. Jedno, jedno jedyne słowo modlitwy dźwięczało we mnie. Potem, tak by nie uderzyć w mur, rzuciłem się potężnym skokiem w czeluść, gdzie niby czekała mnie śmierć!

Z nogami złączonymi, przyciągniętymi ramionami i zamkniętymi oczami wleciałem w lodowate zimno, które sprawiło, że natychmiast zdrętwiałem. Jednak miało ono także drugie działanie. Czułem, jakbym zanurzył się w powodzi siły i życia, która tylko w pierwszym momencie budziła zgrozę, później zaś sprawiła, że zacząłem odtajać. Skok był z dużej wysokości, tak dużej, że spadłem aż na dno, do leżących tam zwapniałych trupów. Później rozpostarłem ramiona, odbiłem się, żeby wydostać się na powierzchnię, a kiedy już się na niej znalazłem, zacząłem lekko poruszać rękami i nogami, aby utrzymać się na wodzie! Teraz nasłuchiwałem.

Wokół mnie panowała zupełna cisza. Dopiero nieco dalej chlustała woda. Było to tak, jakby ktoś tam płynął i dyszał przelęknięty. Miejsce, w którym się znajdowałem, było mi dobrze znane, nie; wiedziałem tylko, dokąd się kierować. Kiedy skakałem na dół, byłem; zwrócony twarzą na południe. Jeśli to się nie zmieniło, za mną musiał; znajdować się mur. Popłynąłem tam i już po kilku odepchnięciach; poczułem kamień. Równie dobrze mógł być to słup. Dlatego chwyciłem kamienną powierzchnię, po czym stwierdziłem, że dotykam muru. Miałem go po prawej stronie, położyłem się więc na wodzie i odwróciłem do środka basenu.

Dochodził stamtąd jakiś szmer. Coś szemrało i na dodatek jęczało. Czyżby czarownik? Czy się uratował? Czy wiedział, gdzie się znajduje? Czy orientował się, że niedaleko jest kanał? Jeżeli nie i jeśli bym go opuścił, zginąłby. Popłynąłem tam więc, po cichu, aby przedwcześnie nie przestraszyć go swoim nawoływaniem. Jeżeli mnie słyszał, myślał na pewno, że go śledzę, a dopóki utrzymywał się na wodzie, mogło go to niepokoić. Kontrolowałem każdy swój ruch, dzięki czemu znałem swoje położenie.

Kiedy według moich obliczeń przepływałem pod sterczącym w powietrzu kawałem muru, usłyszałem głośny, ciężki oddech, tak jakby ktoś naprężył się, chcąc się na coś wdrapać. Ów odgłos dochodził z miejsca, gdzie stał olbrzymi postument. Podpłynąłem tam. W tym momencie odgłosy się urwały. Po chwili jednak rozległ się przytłumiony, aczkolwiek tutaj w tym akustycznym pomieszczeniu brzmiący wyjątkowo doniosły głos:

— Czy nie żyje? Nie słyszę nic! Mój Boże i Panie, spraw, aby żył! Zachowaj go, pierwszego z pierwszych i jedyne, który wyśmiał naszego „stracha na wróble”!

Toż to była modlitwa! I na dodatek za mnie! Nie jakaś wyuczona, ale stworzona w natchnieniu! Musiałem na nią odpowiedzieć.

— Żyję, albowiem nie ma śmierci! — powiedziałem zwyczajnym tonem, zagrzmiało jednak, jakbym wykrzyknął na cały głos. Fale dźwiękowe rozeszły się pod wiszącym murem w kierunku przedniego basenu i po chwili usłyszałem, jak odbijając się od kolumn, rozbrzmiewają przez ciemność dalej i dalej: Nie ma śmierci... nie ma śmierci... nie ma śmierci... nie ma śmierci... śmierci... śmierci... śmierci!

— To ty, efendi? — zapytał.

— Tak.

— Chodź, uratuj mnie!

— Zaraz? Gdzie jesteś?

— Tam, gdzie ty mnie... mnie... mnie... nie mogę ci powiedzieć. To musi samo nastąpić!

— Co?

— Wejdz na górę! — zawołał, nie zwracając uwagi na moje „co?” Dotarłem do cokołu. Na jawie zdawał mi się zupełnie niedostępny, teraz jednak we śnie wdrapałem się na niego bez najmniejszego trudu. Mój znajomy przykucnął po jednej stronie figury; usadowiłem się po drugiej.

— Nic nie mów! — poprosił.

— Dlaczego? — zapytałem jednak.

— Czekaj! Przyplynie. Wtedy go zobaczymy.

Zamilkłem więc. Jak to możliwe, że nie zmarłem, chociaż przebywałem w lodowatej wodzie, a teraz usiadłem sobie na równie zimnym kamieniu? Chyba dlatego, że jednak tylko śniłem! Wokół nas panowała głęboka cisza, i jedynie daleko było słyszeć jakby jakieś ciche szemranie z przedniego basenu, podobne do myśli, które wynurzają się z wody i zaczynają ożywać. Co za woda! I ta spowijająca ją nieprzenikniona ciemność! Jak to było z tymi dwoma?! Mówi się o ciepłe i zimne. Im zimniej, tym wyraźniej odczuwa się ciepło. Słyszysz się potem, że komuś uszy płoną. Czy może podobnie jest ze światłem i ciemnością? Czy ciemność może się stać tak głęboka, tak nieprzenikniona, że nabierze cech światła? Z miejsca, na którym teraz siedzieliśmy, zdawało się to właśnie potwierdzać.

To coś było zupełnie niewielkie. Jednak tutaj mogło zamienić się w nieskończenie wielkie, tak jak niegdyś u wejścia światło zaczęło oddzielać się od ciemności. Światło zostało wyratowane z niewoli, uwolnione ze swojego utajenia, wybawione ze swojego zaczarowania i unosiło się nad powierzchnią wody, początkowo jako fosforescencja, przypominająca wodne latarnie na morzu ciemności. Potem zaczęły przewijać się nici, zrazu cienkie, później jednak coraz wyraźniejsze, tworzące stopniowo oczka, z których promieniowało jak z oszlifowanych pereł. Na pewnej

wysokości ponad nimi grzmiało z bajecznie delikatnej, pomarańczowej chmurki, a błyskawice, które towarzyszyły lilipucim wyładowaniom elektrycznym, rozjaśniały nieustannie powierzchnię wody na pogodę. W końcu powietrze oczyściło się z ciemności i powstała warstwa, w której można było wreszcie ujrzeć to, co się w niej poruszało.

Dzięki tej warstwie dostrześliśmy po pewnym czasie, że na zewnątrz w przednim basenie rozchodziły się kręgi fal. Przedostawały się one do naszego basenu pod wiszącym murem i dopływały do naszego postumentu, o który lekko pomarszczone się rozbijały.

— Zaczyna się! — szepnął czarownik.

Brzmiało to bardzo trwożliwie i słyszałem, że trząśł się jakby do wewnątrz. Czy był to skutek wyłącznie jego upadku? Czy też istniały jeszcze jakieś inne, najprawdopodobniej wewnętrzne przyczyny?

Wspomniane kręgi fal przybliżyły się i ożywiły. Coś nadpływało. Kto albo co? Na pewno nie człowiek. Czyżby żyło tu jakieś zwierzę? Wnioskując z promienia rzuconych kręgów, nie mogło ono być małe! Przepłynęło pod murem... jedna trupia głowa... dwa obojczyki... dwie na wpół zanurzone w wodzie łopatki... dwie kości ramienne żwawo machające na powierzchni, umożliwiające płynięcie... Znałem to coś: to był kościotrup z kolumny w drugim kanale bocznym. Dotarł prawie do postumentu, zatrzymał się, popatrzył na nas w górę i powiedział:

— Nie jeden... ale dwóch?! Oj, wy biedni, biedni ludzie! Tak jak ja kiedyś, uratowaliście ciało... na kamieniu, bezlitosnym kamieniu...! Ale tylko na chwilę, aż umrzecie, z przekleństwem na ustach, upadniecie i zamienicie się w szkielet, tak jak ja!

— Kim jesteś? — zapytałem go.

— Jestem pierwszym przekleństwem, które tu zabrzmiało. A ty?

— Jestem może pierwszym błogosławieństwem.

Kościotrup pacnął pozbawionymi mięśni ramionami o wodę, tak że aż wynurzył się po kręgi lędźwiowe, i wykrzyknął:

— Czy dobrze cię rozumiem? Nie chcesz przeklinać, ale błogosławić?

Jego głos docierał echem do przedniego basenu. Błogosławić... błogosławić... błogosławić... błogosławić! — rozbrzmiewało od kolumny do kolumny jak rozkaz dla umarłych, aby się zbudzili.

— To ich obudzi — powiedział — wszystkich, wszystkich, wszystkich. Albowiem takie słowo jeszcze nie zabrzmiało!

I przybyło ich wielu, wielu, wielu! Bezszelestnie, zupełnie bezszelestnie! Głowa przy głowie zgromadzili się za nim! Cały tłum, głowa przy głowie, wyruszył pod murem w niewidzialność. Jakże mnie to wzruszyło! Tak mniej więcej muszą czuć się ostatni ludzie, kiedy młot uderza, wybijając godzinę Sądu. Błogosławieństwo czy przekleństwo? Szczęście czy potępienie! Cicho było, cicho.

Żadna głowa nie poruszyła się i woda nie drgnęła. Tylko czarownik dygotał; gdyż wszystkie puste oczodoły były drętwo skierowane na nas siedzących na górze. Natomiast kościotrup przemawiał:

— Dzisiaj mamy pierwszy dzień nowego księżyca, dzień, w którym zbudzimy się z naszego snu, aby dokończyć to, co postanowiliśmy. Czeka nas pracowity dzień; dokonamy zemsty!

Ostatnie słowo wymówił tak dobitnie, że jego dźwięk zabrzmiał jak fale rozbijające się o skały. Zemsty... zemsty... zemsty! — powtórzyło ryczące echo. Po nim nastąpiło głośnie skrzypienie, trzeszczenie, zgrzytanie, jakby skała miała zaraz pęknąć. A w chwilę później rozszedł się przedłużony, syczący, ostry odgłos, jaki towarzyszy zarysowywaniu tafli lodu na zamarzniętym jeziorze.

— Słyszeliście, jak już samo słowo potężnie trzęsie kamiennymi słupami? — zwrócił się do nas na górze. — Jakże muszą drzeć przed naszą siłą! Od tysiącleci podmywaliśmy je, przegryzaliśmy grube opoki i drapaliśmy po starej równowadze, aż w końcu zostało z nich tyle, że jeśli tylko zechcemy, znikną! To połowa naszej pracy: Zburzenie Zburzenie... zburzenie... zburzenie... zburzenie! — grzmiało na zewnątrz echo, a przez skruszałe skały tworzące sufit przeszedł niebezpieczny syk. Odpadające z góry kawałki, pluskające do wody, świadczyły niezbicie, że kamień powoli się rozpada. Kościotrup przysłuchiwał się tym odgłosom, dopóki nie ucichły, i mówił dalej:

— Zburzymy jednak tylko po to, żeby stworzyć. Niszcząc całą uludę na zewnątrz, wesprzemy prawdę w tym pomieszczeniu. Jeśli tam zawali się skała, tutaj nadamy jej kształt i ożywimy ją. A w tym samym dniu, kiedy po tamtej stronie wszystko runie, tutaj odrodzi się cud. Krzykną głązy, skoro nie słyszy się Boga! Nie wiecie, u kogo szukaliście pomocy. Przyklękliście u stóp przekleństwa! Przekleństwa, które rozbrzmiewało tu tak wiele razy, że musiało stać się ono duszą tego kamienia! Podmyliśmy ten kamień naszymi łzami. Dłutowaliśmy naszymi paznokciami. A od krwi tych, którzy roztrzaskali się, upadając, dno nabrało ciemnej barwy. Niebawem wszystko się spełni. Jeszcze tylko dwa dni księżycowe, dzisiejszy i następny, i fałszywe błogosławieństwo zapadnie się w noc, prawda wyjdzie na jaw! Brakuje nam jeszcze tylko sentencji na jego cokol, wersów, które po tamtej stronie powiedzą to, czego my sami nie będziemy w stanie powiedzieć, ponieważ tam roztrzaskamy się wraz z zewnętrzną skałą. A tych słów żądam od was.

— Od nas? Dlaczego?

— Tak zostało postanowione. Ten, który przybędzie jako ostatni przed spełnieniem, musi także dopełnić dzieła. Tak jest napisane. Który z was obu?

— Ten oto mój towarzysz pojawił się tu pierwszy, ja przybyłem za nim.

— Tak, a zatem ty! Co postanowisz, dostanie się na cokol. Jednak najwyżej cztery wersy, nie więcej!

— A jeśli nie spodoba się wam to, co postanowię?

— Musi nam się spodobać i musi zostać przez nas przyjęte.

— Musi?

— Tak, musi! Pomyśl jednak o jednym: duszą tego obrazu jest przekleństwo; podpis użył mu ducha. Udzielisz mu ducha, który stanie się zawadą jego duszy, wówczas nasze dzieło będzie szaleńczym obrazem i zmusisz nas, byśmy zaczęli je od nowa. Usłyszałeś? I zrozumiałeś?

— Usłyszałem i zrozumiałem.

— To mów teraz ty!

Ochoczo podążyłem za jego wezwaniem, wstałem, oparłem się o figurę pogrążonego w modlitwie i zacząłem:

— Dzisiaj jest pierwszy dzień nowego księżyca, dzień, w którym ów księżyc wyjdzie spoza ciemnego ziemskiego cienia, aby oświetlić ziemię nowym światłem. A ten dzień, taką mam nadzieję, również wam odda to, co zabrał wam cień tej ziemi... słońce złotego światła!

Mówiłem tak głośno jak on, dlatego moje ostatnie słowa także rozeszły się echem aż do zwietrzałych słupów, tyle że tym razem pluskanie i bulgoty wywołane przez spadające kamienie trwały o wiele dłużej niż poprzednio. Po tym przez sklepienie nad naszymi głowami zamiast długiego syczącego dźwięczenia przeszło głucho dudnienie, takie jakie się słyszy, gdy na horyzoncie daleki pomruk grzmotu zwiastuje potężną burzę.

— Słyszeliście to? — zapytałem, zwracając się w dół. — Jeśli już samo moje słowo działa silniej od waszego, o ile większa od waszej będzie moja siła! Sami przyznaliście, że słowo, które wypowiedziecie, roztrzaska was razem ze skałą. Uwierzycie w moje, to zostaniecie wyniesieni do słońca, na złote dzienne światło!

— Do słońca? Na dzienne światło? — zapytał kościotrup. — Nigdy, nigdy ich już nie zobaczymy! Ty również! Przenigdy! — Szkielet westchnął z powątpiewaniem.

— Przenigdy... przenigdy — zawtórowały mu po kolei wszystkie głowy.

— Co ja słyszę? Przecież wy już dajecie mi światło! — mówiłem dalej. — O ileż więcej ja mogę wam go przynieść. Tylko zwątpienie pcha was do zemsty. Wiem o tym bardzo dobrze! Pogrążeni w beznadziei wymyślacie przekleństwo! Powiedziałeś do nas „Wy biedni; biedni ludzie”; ja powiadam jednak: Wy biedne, biedne duchy! Przybyliście do tej góry, żeby sprzeczać się z cieniami. Nazwaliście po imieniu iluzję, która chciała was zniszczyć. A jednak jeszcze większą iluzją było to, że na ziemi może występować promieniowanie bez cienia i prawda bez oszustwa! Zabiliście wszystkie istnienia, zgasiliście wszystkie światła we wszechświecie, i osiągnęliście tylko to, że cały ów wszechświat zapadł się w ciemności. Wówczas oczywiście przestały istnieć cienie. Na ich miejsce wstąpił jeden, jedyny, wieczny! I wcale nie był on iluzją, wręcz przeciwnie, to z waszej strony było szaleństwem i do tej pory jest szaleństwem, że przeklinacie cień, a nie własną głupotę! Kto was zmuszał, żeby zstępować w otchłań, gdzie każdy ludzki duch traci silną podstawę?

— A czy można było inaczej wydostać się na wolność? — zapytał kościotrup. — Wejście

zniknęło!

— Ja także więcej go nie zobaczyłem. Wiedziałem jednak, że ukaże mi się, skoro się pomodłę, o czym pouczał mnie przecież ostrzegający. A wam nie mówił o tym?

— Mówił, a jakże. Nie modliliśmy się jednak.

— Dlaczego nie?

— Czy takim wielkim duchom, jakimi byliśmy, wypadało modlić?

— Takim wielkim duchom? Ach tak! Wybaczcie mi! Przepraszam, że ja taki biedny, mały człowiek śmiem odzywać się do was, którzy jesteście tak wielcy, iż nie potrzebujecie rozmawiać z Bogiem, Najwyższym! Jak to jednak możliwe, że wy, tacy ważni, leżycie zanurzeni w toni waszego obłądu! Ogarnięci pychą przybyliście do tej góry, z dumnie podniesionymi głowami szliście przez lochy pełne cieni i w pełnym samouwielbienia zuchwalstwie podnieśliście stopę, żeby przekroczyć ostatnie drzwi. A po runięciu w tę duchową ciemnicę co zrobiliście, co przedsięwzięliście? Ostrzegający wskazał wam, żebyście się modlili. Natychmiast dostarczono by wam światła. Modliliście się? Nie, przeklinaliście, przeklinaliście! A komu przeklinaliście? Może własnemu obłądowi, który was stracił? Nie, lecz tym, którzy musieli bronić się, gdyż nie pozwoliliście im ani razu pozostać tym, czym byli... biednym cieniem! Czy pośród was jest choć jeden, który uważałby, iż jest w stanie bronić się przede mną?

Na chwilę zapadła cisza; po czym odezwał się kościotrup:

— Zarzucasz nam, iż nie modliliśmy się o powtórne otwarcie wejścia. Powiedz, ty się modliłeś?

— Nie.

— Zanedbałeś zatem tego samego co my i dlatego nie masz prawa nas oskarżać!

— Nie zanedbałem; nie tylko po to przyszedłem. Trafiłem w groźne mury z zupełnie innych powodów aniżeli wy. Nie przyszedłem, żeby niszczyć, o nie, przybyłem, żeby ratować! Również dobrze zastanowiłem się, jaki będzie koniec, i nie byłem na tyle szalony, aby bezdenność uważać za twardy grunt. Przemyślałem wszystko, co widziałem, chłodno i dokładnie, rozważnie i spokojnie. I właśnie kiedy skończyłem się zastanawiać, pojawił się czarownik i...

— Przestraszyłeś się i skoczyłeś do nas w dół! — wtrącił prędko kościotrup.

— Nie. Pozostałem w miejscu, pozwoliłem mu się zbliżyć i rozmawiałem z nim.

— Pozo... stałeś? Rozmawiałeś... rozmawiałeś z nim? Na to nie odważył się żaden z nas! A zatem nie wiedziałeś, że ów czarownik to obłąd? Na kogo skieruje swój straszny wzrok, ten zwariuje, zwariuje... natychmiast zwariuje! Wszyscy uciekliśmy, kiedy tylko pojawił się w oddali, a przerażenie zagnało nas tu na dół. A ty pozostałeś w miejscu! Nawet z nim rozmawiałeś! Człowieku, takiej odwagi nikt jeszcze nie widział!

— Przeto powtarzam: wy biedne, biedne duchy! Gdzież podziewa się ta wyniosłość, jeśli byle głupstwo strąca ją w obłęd!

— Ale jednak także pojawiłeś się tu na dole!

— Tak jest, pojawiłem się. Ale nie ze strachu! Skoczyłem na dół dobrowolnie, nikt mnie do tego nie zmuszał. A zrobiłem to dlatego, żeby czarownik przekonał się, iż nie boję się ani jego, ani śmierci.

— Samemu... samemu... samemu skoczyć tutaj na dół! — gwałtownie wrzasnął kościotrup, a woda, w której leżał, zadrżała, jakby wszystko co było na i w szkielecie trzęsło się w konwulsjach.

— Samemu... samemu... samemu skoczyć tutaj na dół! — rozniosło się od głowy do głowy hen daleko aż do sklepienia znajdującego się na przedzie.

— On nie boi się śmierci! — powiedział kościec.

— Nie boi się śmierci... nie boi się śmierci... nie boi się śmierci! — zagrzmiało za nim i rozniosło się — dalej i dalej.

— Czekaaj, czekaaj, czekaaj! Zaraz wrócimy!

Te słowa skierowane były do mnie. Po chwili cały tłum poruszył się nadspodziewanie szybko, żeby zniknąć z tylnego basenu. Zaś w przednim zbiorniku rozeszło się szeptanie, szemranie, mruczenie i brzęczenie, jakby wiele tysięcy rozmawiało ze sobą nie na powierzchni wody, lecz w głębokiej toni. Po pewnym czasie powrócili dokładnie w ten sam sposób, jak się pojawili. Kościotrup zajął swoje miejsce naprzeciwko cokołu i przemówił:

— Dzisiaj jest pierwszy dzień nowego księżyca, dzień, w którym ów księżyc wyjdzie spoza ciemnego ziemskiego cienia, aby oświecić ziemię nowym światłem. A ten dzień, taką mam nadzieję, również nam odda to, co zabrał nam cień ziemi: słońce złotego światła! Słyszysz, mówię już twoimi słowami. Być może jeszcze tak się stanie, że będziemy działać podług twoich słów. Czy znasz legendę o zaczarowanej modlitwie?

— Nie — odparłem.

— Nie! To tym bardziej możemy ci ufać! Ostatni spośród tych, którzy tu do nas trafili, strącony tak jak my z własnej winy, wcześniej jeszcze po tamtej stronie był w kraju, gdzie od niezliczonych lat w głębokiej jaskini mieszka cudowny duch. Nazywano go Kuh'i kulyan. Kiedy czasem zstępuje do ludzi, przybiera kobiecą postać, ma białe włosy prawie do ziemi i nosi imię Marah Durimeh. Nasz kompan spotkał tę kobietę w małej ubogiej chacie i rozmawiał z nią o ludzkim cierpieniu. Nie rozumiał jednak jej słów, gdyż to co mówiła, brzmiało tak niejasno, tak sztucznie, że oddalił się rozzłoszczony i całkowicie przekonany, iż rozmawiał z szaloną wiedźmą. Gdy jednak następnego dowiedział się, że dostąpił niezwykłego szczęścia, spotykając Kuh'i kulyana, każde słowo jawiło mu się w innym świetle. Rozmyślał i rozmyślał, i kiedy to, o czym ona mówiła, powtarzało się, nabierał

coraz bardziej przekonania, iż to on był w błędzie a nie staruszka. Kiedy był u niej, dała mu na drogę legendę o zaczarowanej modlitwie. Jednak on, który uważał się za wszechwiedzącego, nie zwracał nią sobie głowy, uważając za śmieszną bajeczkę. Dopiero tutaj, kiedy doznał najgłębszej ziemskiej niedoli, na nowo odżyła w nim owa legenda i gdy tworzyliśmy tutaj kiedyś obrazy, opowiedział o pewnym innym obrazie i o starej kobiecie Maran Durimeh. Dla nas był to pierwszy księżycowy dzień, po którym napełnieni cichą nadzieją położyliśmy się na spoczynek. To co do tej pory wydawało nam się nieprawdopodobne, po usłyszeniu tej legendy stało się możliwe! Jednak trudne, nieskończenie trudne, gdyż uzależnione nie od jednego, lecz od tak wielu warunków, że jeden człowiek prawie nie byłby w stanie ich spełnić. Zauważ bowiem, że wyznaczony był jeden człowiek, jeden jedyny, który jednak zrobił wszystko! I nie przeczuwając musiał działać dokładnie tak jak ty, który nie wiesz nic.

Jakie niesamowite! Zabrzmiało to przecież jak bajka!

— Czy zrobiłem już coś takiego, co zapisane jest w legendzie? — zapytałem.

— Nie przyszedłeś, żeby zniszczyć cienie. Mocno oparłeś się czarownikowi. Napełniłeś modlitwę pełną wiarą. Nie przełękłeś się śmierci. Dobrowolnie skoczyłeś w otchłań. Resztę trzeba przemilczeć, gdyż musisz działać bez wiedzy. Powiedz nam jednak teraz to jedno, tę straszną jedną rzecz, przed którą drżymy, niechaj to będzie „tak”, niechaj to będzie „nie”! Kto stracił do nas tego drugiego, który dotychczas nie odezwał się jeszcze ani słowem?

— Ja straciłem. Chciał mnie wypchnąć w ciemność. Usunąłem mu się z drogi i pchnąłem go, tak więc zleciał do was zamiast mnie.

— A później?

— Później rzuciłem za nim dogasającą pochodnię i skoczyłem tutaj.

— Dlaczego, dlaczego, dlaczego to zrobiłeś? — zapytał prędko i przenikliwie.

— Żeby go może uratować.

— Uratować?! Jego... jego... jego?!

Na znak zdziwienia wyrzucił w górę kość ramienną, po czym zapytał, niemal krzycząc:

— A kimże on jest? Powiedz kim, kim, kim! Kim, kim, kim! — zawtórowała każda głowa, a kim... kim... .. kim! — zadźwięczało w oddali, aż zadrżały wszystkie skalne filary.

— Czarownikiem! — odpowiedziałem.

— Czarownikiem! — powtórzył szkielet i słabnącym głosem dodał: — A więc jednak on, on, on!

— On... on... on... on... rozniosło się po basenie. Na zewnątrz było cicho, niesamowicie cicho!

Teraz szkielet obrócił się do głów. Tu na górze, gdzie siedziałem, przeszło koło mnie jakieś niezrozumiałe szeptanie i szemranie. Potem kościotrup zwrócił się znowu do mnie i powiedział:

— Wiem, iż jeszcze dużo miałeś nam do powiedzenia, aby nas przekonać, czym byliśmy i że przez tysiące lat służyliśmy tylko naszej iluzji i szaleństwu. Nigdy byś nas nie przekonał; pojawiła się jednak legenda Maran Durimeh o zaczarowanej modlitwie i pokazała nam to, czego wcześniej nie widzieliśmy. Teraz muszę przyznać ci rację: zwyciężyłeś, jeszcze zanim osiągnąłeś cel! Czy mam ci to udowodnić?

— Nie. Znam dowód.

— Człowieku! Jesteś niesamowity!

— Wierzę ci! „Wielkie duchy” zawsze będzie niepokoić, jeśli człowiek choć raz odważy się myśleć, ale kiedy same nie mogą niczego wymyślić, wówczas łaskawie proszą go o radę! Wasz dowód to ten oto czarownik. Gdyby znalazł się wśród was w inny sposób, stalibyście się diabłami, a nie duchami. Tak jednak pozostaje on pod ochroną człowieka i dlatego jest polecony nawet tutaj na dawny obraz przekleństwa ludzkości.

— Twoje słowa są tak kłujące, jak jego oczy. Trafiasz nimi tak głęboko, jak my chcieliśmy w niego trafić. Zasłużyliśmy na to! Odpuść nam nasze winy!

— Odpuść nam nasze winy... odpuść nam nasze winy! — rozległo się od głowy do głowy i dalej aż w przednim basenie. Po tych słowach napełniony ogromną radością ukloniłem się tak głęboko, jak tylko mogłem, i powiedziałem:

— Co ja usłyszałem? To przecież była modlitwa! Zbliżyła się dusza, dusza waszego obrazu. Przekleństwo nigdy nie może być duszą. A jeśli kamień ma mówić na miejscu Boga, który potrafi tylko, tylko, tylko błogosławić, podajcie mu ręce, które błogosławią!

— A ty daj mu słowo na cokół!

— Kiedy?

— Teraz, teraz!

— No to słuchajcie!

Ścieśnili się razem i zbliżyli do mnie. Dzięki temu starczyło jeszcze miejsca dla wielu tych, którzy byli na zewnątrz. Przeszli do naszego basenu. Powiedziałem, nie za głośno, jednak wolno i wyraźnie:

Niechaj błogosławiony będzie ten, kto szukał prawdy,

nawet jeśli błąd znalazł się u jego stóp.

Dlatego choć go do tej pory przeklinałem, oddaję go,

mój Boże i Panie, w twoją łaskawą dłoń.

Po tych słowach na dole w wodzie zaległa tak głęboka cisza, iż usłyszałem swobodne, szczęśliwe odetchnięcie, które dotarło do mnie z drugiej strony, stamtąd gdzie siedział czarownik, a po nim ciche, ciche powtórzenie:

— Mój Boże i Panie... w twoją łaskawą dłoń...! Błąd... a więc mnie... mnie... mnie! Teraz tylko jeszcze jedno, jeszcze jedno!

Kościotrup poruszył się i jakby łkając, odezwał się do mnie w górę:

— On nie przeklina błędu ani ułudy! Ale także ich nie błogosławi, lecz powierza bożej ręce! Tak, dokładnie tak, jak powiada legenda! Te słowa koniecznie muszą być wyryte! Mamy jeszcze dwa księżycowe dni na to, żeby nadać obrazowi mściwej pięści przebaczący kształt. Powinien mieć duszę, której ty mu użyczysz!

Po tych słowach czarownik powstał z miejsca, przytrzymał się alabastru i uczynił ruch, jakby chciał zabrać głos. Ubiegłem go jednak i zapytałem w dół:

— A zatem wyrzekacie się zemsty i porzucacie myśl o przekleństwie?

— Tak — odparł kościotrup, a cały chór zagrzmiął za nim tak, tak... tak!

— W takim razie mam do powiedzenia jeszcze jedno. Przegiąłem się, złapałem rękę czarownika i powiedziałem:

— Oto trzymam go, nierozważnie przekłętego. Co uczynił innym, nie moją jest sprawą; nie ja będę sędził. Wybaczam mu to, że i mi wygrażał. Albowiem chcę wyprowadzić go z jego ciemności do światła! Niechaj będzie uwolniony od swojej winy, niechaj będzie od niej... wolny!

— To, to, to była ta jeszcze jedna rzecz! — usłyszałem, jak cicho mówił. — Ale co zrobią ci tutaj na dole?!

Kościotrup ponownie wysunął się jeszcze dalej niż poprzednio, i skierował swoje słowa nie do nas, lecz do swoich towarzyszy iluzji:

— My również wybaczymy mu to, co nam wyrządził. Niechaj będzie uwolniony od swojej winy, niechaj będzie od niej... wolny! — zawołały wszystkie głowy. Żadna nie milczała.

Wolny... wolny... wolny... wolny! — na zewnątrz zagrało echo od ściany do ściany, od filaru do filaru.

Przemówił także czarownik. W jego głosie nie było wcale słycać przygnębienia, strapienia czy chociażby pokory. Wręcz przeciwnie. Wyczuwało się jasność, czystość i pewność siebie, tak jakby on był tym, którego trzeba było przeprosić:

— Powiadacie, że puszczacie mnie wolno? Niechaj będzie to wasze ostatnie głupstwo tutaj! Kto was zepchnął? Ja nie! To strach przede mną was strącił, lęk przed upiorem! I duma, która wstydziła się modlić! Uważaliście się za tak wielkie i wybitne duchy, a jednak nie stać was było na to, żeby

stawić mi opór, abym mógł wam powiedzieć, kim jestem! I chociaż chciałem teraz to powiedzieć, nie byłibyście zdolni nic pojąć, ponieważ duchowej iluzji nie da się tak szybko wyleczyć. Zapamiętajcie sobie jednak te zbawczo prawdziwe słowa. Kto nie rzuca cienia, ten nie może być istotą i ludzkie ciało nie będzie go odczuwać. Jeśli ciąży na mnie jakaś wina, jakaś zbrodnia, jesteście ostatnimi, ostatnimi z ostatnich, do których zwróciłbym się o łaskę. Albowiem wiecie, że ten, kto mi wybacza, tak naprawdę sam sobie wybaczył. A że uczyniliście to, nie będę karać waszej iluzji i waszego samooszukiwania. Odpokutowaliście. Zwracam wam więc wasze cienie: Niech będzie światło!

— Światło! — zawołałem.

— Światło! — zawołał kościotrup.

— Światło, światło, światło! — powtórzyły wszystkie duchy, a światło... światło... światło... światło! — zadźwięczało aż po najdalszy kąt, a wszystkie filary trzęsły się i drżały.

Nagle zniknęła świetlana warstwa, która położyła się na ciemnej wodzie, i ogarnęła nas ciemność. Rozbrzmiewał jednak jakiś ton tak miękki, a mimo to tak dźwięczny, tak łagodny i zwycięsko jasny. Skąd się tu wziął i gdzie osiadł? Z innego świata... w obrazie obok mnie. Początkowo było go tylko słychać, wkrótce jednak można było go zobaczyć, cudowny, święty barwny ton! Jakże słonecznie złoty, zaślubiony z błękitem nieba! Gdzie znajdowało się jego źródło? W alabastrze! Obraz nie był oświetlony z zewnątrz. W sobie nosił światło i dlatego nie rzucał najmniejszego śladu cienia. Dopiero lekka, zaczynająca się jak powiew poranka, czysta, nieskalana jasność rozwinęła się stopniowo w blask jasny jak dzień, tak iż zdało się, że oświeca nas słońce. W tej jasności kościotrup i wszyscy, którzy byli do głębi poruszeni tym widokiem, jawili mi się tak potworni, tak strasznie odrażający, iż odwróciłem od nich oczy i spojrzałem ku górze na figurę.

Żadna sztuka nie stworzyła do tej pory czegoś tak pięknego! Niestety tkwiłem tak blisko obrazu, że teraz oddziaływała na mnie wyłącznie jego wielkość. Jakże małym, jakże małym wydawałem się sobie, ja człowiek! Wówczas odezwał się czarownik:

— Niech będzie światło! Czy ma zajaśnieć teraz do tego stopnia, że was pożre?! Uciekajcie stąd czym prędzej, cień was uratuje!

— Nie ma przecież żadnej drogi — odezwał się szkielet. — Jesteśmy na zawsze, na zawsze zamknięci. Jeśli to światło pozbawi nas najmniejszego cienia, będziemy wszyscy zgubieni! Legenda mówi wprawdzie o tym jednym, który ma klucz Hefaty, a do chwili obecnej wszystko co powiedział, potwierdziło się, jednak te skały i gigantyczne mury są chyba dla Hefaty zbyt mocne!

Wówczas zawołałem:

— Ja mam klucz i żadna siła nie jest w stanie mu się oprzeć! Byłem już tu kiedyś i wtedy go wypróbowałem. Zróbcie nam miejsce na dole! Schodzimy i wyprowadzimy was stąd na zewnątrz!

— Na zewnątrz, na zewnątrz! — krzyknął radośnie kościotrup.

— Na zewnątrz, na zewnątrz, na zewnątrz! — triumfowali pozostali. Na zewnątrz... na zewnątrz... na zewnątrz... na zewnątrz! — odbiło się radosnym echem w przednim basenie, zatrzęsły się wszystkie słupy i kolejne kamienie zaczęły odpadać od sklepienia.

Skoczyłem do wody, czarownik za mną. Kiedy głowy trudziły się, by utworzyć dla nas przejście, obejrzałem się i ze sporej już odległości popatrzyłem w górę na obraz. Promieniował tak intensywnie, że w jednej chwili rozboleły mnie oczy. Szybko obróciłem się z powrotem i zacząłem intensywnie przebierać ramionami, żeby przez zalew wody umknąć zalewowi światła. Czarownik trzymał się mego boku. Reszta podążała za nami; nikt nie pozostał!

Blask przedzierał się pod wiszącym murem aż do przedniego basenu i rozprzestrzeniał się tam, tworząc coś w rodzaju półmroku, który wystarczająco wskazywał mi drogę. Nie płynąłem obok bocznego kanału, lecz na skrót między filarami przedostałem się od razu do kanału głównego, gdzie nikał ostatni refleks światła i ogarnęła nas głęboka ciemność. Nie przeszkadzała ona jednak ani trochę, gdyż między ciasnymi ścianami muru droga prowadziła nas sama. Nie dało się zboczyć w prawo czy w lewo, lecz cały czas można było płynąć tylko naprzód, naprzód i naprzód, a odgłos posuwającej się cizby, który przypominał głuchy szum morza, wskazywał, że cały czas podąża ona za nami.

O wiele łatwiej niż za pierwszym razem, kiedy płynąłem tutaj łódką, wypłynąłem wśród zarośli na otwartą przestrzeń, na jezioro. Chcąc utorować drogę, początkowo poruszałem się prosto. Po pewnym czasie obróciłem się. Czarownik był przy mnie, przede mną kościotrup. Za nim widziałem jego oddziały, które były tak liczne, jakby kanał był nimi przepelniony. Wypływało stamtąd coraz więcej osobników. Widziałem ich wyraźnie, gdyż świeciły gwiazdy, a wąski sierp pierwszej kwadry wisiał na niebie dokładnie ponad nami. Czy to możliwe, żeby całe zastępy, które jawiły się przed moimi oczami i które jeszcze dołączają, zamieszkiwały do tej pory wnętrze góry? Czy to naprawdę możliwe, żeby znalazło się tam tak wiele duchów, które upadły ze swoich wyżyn myśli, gdyż nagle zabrakło im twardego gruntu pod nogami?

Wreszcie kiedy pojawili się ostatni, szkielet przemówił: — Dzisiaj mamy pierwszy dzień nowego życia, dzień, w którym powróciło do nas światło. Jesteśmy pełni wdzięczności, śpiewamy chwałę i cześć. Spójrzcie w górę, zobaczcie, co się dzieje w połowie górskiego szczytu! Promień księżyca ukazuje nam różane kolumny; widać świątynię poświęconą temu, który niegdyś nie uznał naszej pychy. Odpokutowaliśmy ją, jednak nie do końca. Nie zostało jeszcze zakończone dzieło przekleństwa, które przemieniliśmy w błogosławieństwo. Powinno i musi się spełnić, za karę. Mamy teraz klucz Hefaty. A to co było dla nas zabójcze, własne światło obrazu, w ciemnicy góry prędko zginie. Wówczas wrócimy i sprawimy, że pięść, która miała zacisnąć się w złości, uformuje się w dłoń złożoną do modlitwy o wstawiennictwo. Teraz chodźcie jednak ze mną na górę do świątyni! Adan, gwiazda ziemskiej północy, zapala się właśnie nad nami na firmamencie. Mamy zatem świętą godzinę duchów i musimy udać się na górę, aby powiedzieć jednemu Jedynemu, że znów będziemy się modlić!

Popłynął w stronę brzegu, z którego szło się do drogi prowadzącej do Beit-y-Chodeh. Pozostali podążyli za nim. Ja jednak pozostałem. Kiedy duchy modlą się, niechaj człowiek stoi z dala; może nie zrozumieć ich kyrie!

Czarownik także pozostał. Patrzeliliśmy za nimi krótką chwilę, potem zapytałem:

— Płyniesz ze mną do brzegu?

— Nie tylko do brzegu — odparł. — Wracam z tobą do góry, do mojej cichej celi myśliciela. Usiądziemy w świetle gwiazd i wyjaśnię ci, dlaczego istnieją cienie i dlaczego ludzie popełniają grzechy. Chodź!

Popłynęliśmy do przystani i... dziwne! Kiedy wyszedłem z wody, nie byłem mokry; moje odzienie również było suche. Tak samo u czarownika. Chwycił mnie za rękę. Szliśmy w górę przez duar do domu. Brama była zamknięta. Sama się otwarła, kiedy tylko jej dotknęliśmy. Identycznie pozostałe drzwi, aż znaleźliśmy się w moim środkowym pokoju. Wówczas usłyszałem po prawej stronie jakieś szmery, jakby ktoś śpiący przewracał się na drugi bok. Chciałem prędko wyjść; czarownik jednak przytrzymał mnie mocno i szepnął mi do ucha:

— Nie możesz się jeszcze obudzić! Mam ci jeszcze tak wiele ważnych rzeczy do powiedzenia, że zdziwisz się, jak pewnie nigdy dotąd.

Wyszliśmy na płaski dach i popatrzeliliśmy w górę na dom Boży. Blask gwiazd oświetlał całą dolinę; świątynia jednak stała w tym świetle, które jasno biło od alabastru... słonecznym złocie zaślubionym z błękitem nieba. Wszystkie duchy klęczały. Owiewał nas słodki zapach róż. Czy dochodził stamtąd? Czy to on przyniósł nam cichą strofę:

*Dzisiaj na wszystkich niebach świecą słońca,
na wszystkich ziemiach noc zamienia się w dzień;
bo dzieło iluzją w ślepej nienawiści rozpoczęte,
prawdą szczęśliwie uwieńczone będzie!*

— Słyszysz? — zapytał czarownik. — Nie zrozumiesz tego; wytłumaczę ci jednak, co oni myślą. Musisz wszakże nie tylko słuchać, ale także patrzeć. Spójrz na mnie!

Posłusznie spełniłem jego polecenie. Co się z nim działo? Jego postać zaczęła znikać, zamieniać się jakby w mgłę. Jednak owa mgła bardzo prędko znowu nabrała kształtów i kto, kto stał przede mną? Już nie czarownik, lecz ostrzegający, z którym rozmawiałem, zanim wszedłem do góry. Nie widziałem już białowłosej głowy z kłująco ostrymi, zimnymi, wrogimi oczami, lecz pogodne, poważne rysy i owe miękkie ojcowskie oczy, które przy pytaniu, czy umiem się modlić, spoglądają na mnie troskliwie i ufnie.

— Dziwisz się — przemówił. — Chociaż nie zdarzyło się nic, co mogłoby dziwić! Kto umyślowo jest pupilem, tego opiekun może ostrzec. Jednak dorosłego dojrzałego myśliciela ostrzega głos omyłki, który ciągle mówi pełną czystą prawdę. A jej nie przewyższy żaden opiekun! Dotrzymałeś swojego słowa. Nie uległeś ani mojemu ja, ani mojej iluzji, która całemu światu chce zrabować cień, bowiem ów świat ; nie utrzyma się sam bez cienia. Nie pokonałeś mnie, a jednak zwyciężyłeś. Czuję

się winny. Wyjawię ci tajemnicę, iż zarówno światło, jak i ciemność oznaczałyby śmierć, gdyby nie podały sobie pojednawczo ręk, zamieniając tym samym śmierć w wieczne życie. Stąd wybór, który wcale nie był kłamstwem, bo chociaż śmierć nie istnieje, nie ma jednak takiego cienia, który by żył: śmierć albo cień!

Usiadł i ja również. Zaczął opowiadać: o życiu ludzkim, o życiu duchowym, a tak naprawdę o życiu ludzkości. Gwiazdy dalej wędrowały po niebie; nie widziałem tego. Czas dla mnie jakby zatrzymał się w miejscu. Gwiazdy znikaly; tego również nie widziałem. Zważałem tylko na jego słowa. Na wschodzie wstawał blady ranek, nie patrzyłem jednak w tamtą stronę. Dotarł do nas pierwszy promyk słońca i przyoblekł blaskiem jego twarz. Wówczas podskoczył, pociągnął mnie do siebie w górę, dotknął wargami moich ust i powiedział:

— Oto pocałunek dla tego, który śpi w pokoju! Wejdz do niego do środka, aby znów mógł cię mieć! Będziesz potrzebny. A ja...? Chyba jeszcze bardziej!

Wziął mnie za rękę. Kiedy znaleźliśmy się już przy drzwiach, zatrzymał się jeszcze raz i powiedział cicho:

— Leży spokojnie i śpi; słyszę jego oddech. Kiedy tylko zbliżysz się do niego, zacznie mu się śnić to, co ze mną przeżyłeś. Idź powoli do niego i pocałuj go ode mnie! Nie wracaj zbyt szybko, gdyż po przebudzeniu powinien dokładnie przypomnieć sobie sen. Nie może zapomnieć żadnego słowa!

Zrobiłem tak, jak chciał. Powoli przeszedłem przez środkowy pokój i potem przez otwarte drzwi wszedłem do sypialni, do której równocześnie ze mną wpadło słoneczne światło. Jego twarz zaczęła ożywać duchowo, a owo życie budziło się tym bardziej, im bliżej podchodziłem. Teraz byłem już tam i pochyliłem się nad nim nisko, przekazałem pozdrowienie czarownika, który stał jeszcze przy drzwiach i... obudziłem się, przetarłem oczy, nie widziałem już jednak siebie stojącego. Pośpiesznie wyskoczyłem z łóżka i później prędko pobiegłem do środkowego pokoju. Czarownika nie było, pokój opustoszał i płaski dach również!

— Śniło mi się! — zawołałem. — Ale jak śniłem! Tak oczywistego snu nie miałem jeszcze nigdy! Czyżby to był proroczy sen? Czuję, jakbym to przeżył, jakbym to naprawdę przeżył. Wszystko ciągle widzę. Słyszę każdą sylabę. Zrekapituluję to sobie.

Usadowiłem się przy stole, żeby przenieść swój sen na papier. Nie wiadomo, czy...

Aszyk

Pisanie zajęło mi sporo czasu i kiedy zabrałem się do śniadania, było już dosyć późno. Po jedzeniu zszedłem na dół, żeby najpierw porozmawiać ze Szakarą. Siedziała w holu zupełnie sama, obszywając sobie woalkę.

— Czy Marah Durimeh opowiadała ci może kiedyś legendę o „zaczarowanej modlitwie”? — zapytałem ją.

Zamyśliła się i po chwili odpowiedziała:

— Mnie nie, ale pewnemu nieznanemu. To było we wiosce Ohtian zamieszkaną przez plemię Bulanuh.

— Kim był ten nieznanomy?

— Tego nie wiem. Nie podobał mi się. Zmarła stara kobieta, która mieszkała daleko poza wsią w ubogiej chacie. Nikt nie troszczył się o zwłoki, bo była tumasa*. Wówczas Marah Durimeh zabrała mnie ze sobą; trzymałyśmy straż przy zmarłej. Byłam jeszcze mała i dopiero od niedawna uczyłam się u niej. Przez wieś przejeżdżał nieznanomy i przystanął przed chatą, bo zauważył Marah Durimeh siedzącą na ganku. Kiedy uzyskał odpowiedzi na kilka pytań, zsiadł z konia, żeby jeszcze z nią porozmawiać. Zbliżył się do niej, splunął jednak przed zwłokami. Dlaczego? Nie wiem. To, co mówił, było tak uczone, że nie mogłam tego zrozumieć, a zarazem tak butne, że po cichu prosiłam zmarłą, żebym nie musiała go słuchać, gdyż jego słowa burzyły skupienie, które było jej teraz tak potrzebne. To był człowiek, któremu Marah Durimeh opowiedziała legendę, zanim udał się w dalszą drogę.

— A więc całkiem nie tak dawno strącono w przepaść tego ostatniego!

— Nie rozumiem cię. Co masz na myśli?

— Wyjaśnię ci później. Czy możesz opowiedzieć mi legendę?

— Niestety nie. Nie pamiętam jej. Byłam tak młoda, a jej treść tak głęboka i zupełnie dla mnie niezrozumiała.

— Jaka szkoda, wielka szkoda.

— Dlaczego?

— Odłóż swoją pracę i pójdz za mną na pastwisko! Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał. Miałem dzisiaj sen, a kiedy duch miewa takie sny, nie może ich przemilczeć przed swoją duszą. Poszliśmy przez ogród do kamienia, na którym już kiedyś siedzieliśmy. Spoczęliśmy na nim. Słuchała w skupieniu cicho, zupełnie cicho, jednak w jej ciemnych oczach, cudownych i tajemniczych, pojawiał

się od czasu do czasu blask, który przypominał mi osobliwe światło alabastru... jak słoneczne złoto, zaślubione z błękitem nieba. Skończyłem mówić, a ona nadal się nie odzywała ani słowem. Odchyliła głowę na bok, oparła ją na kamieniu i przymknęła oczy. Nie przeszkadzałem jej w tym zamyśleniu i cierpliwie czekałem, aż sama się odezwie. Uczyniła to, nie otwierając oczu.

— Widzę linię przeciągniętą z prawa na lewo. Na prawym końcu panuje żar, który spaliłby każde żywe stworzenie, jeśli byłoby nierozmyślne i zbliżyłoby się zbyt blisko. Lewy koniec tonie w ciemności, która grozi każdemu stworzeniu natychmiastowym unicestwieniem. Ta linia to nasze ludzkie życie. Kto posunie się na niej za bardzo w prawo lub za bardzo w lewo, tego niechybnie czeka zguba. Właśnie ten, kto znajduje się w samym środku, staje się nietykalny, a cień ma tutaj przeciętną długość. Kto nienawidzi tej przeciętności, ten zwraca się ku jednej ze stron. Pomyśl teraz, efendi, pomyśl! Czy stoisz może właśnie w środku?

— Mam nadzieję, że nie — odparłem.

— Zatem jest śmiały, może nawet zuchwały! Spójrz na swój cień! Czy jest zbyt mały? Czy jest zbyt duży? W obu sytuacjach jest już po tobie! Wiesz teraz, po co są cienie? Mówię tak jako człowiek, jako niewykształcona kobieta. Wszecmoc kieruje się jednak jeszcze innymi względami, zaślubiając ciemność ze światłem i udzielając obu pozwolenia na wytwarzanie w półmroku nietykalnych zjaw, a w słońcu owych małpujących tworów, które będąc cieniami, mówią nam, że my nimi jesteśmy.

W tym momencie otwarła oczy, spojrzała w moje tak miło, tak serdecznie, wyciągnęła do mnie małą, ale silną rączkę i powiedziała:

— Podaj mi teraz swoją rękę!

Uczyniłem, jak chciała. Mówiła dalej:

— Pozwól, że poproszę o ten cień! Nie postępuj tak surowo, jak Pewnie zamierzasz. Wiesz przecież dobrze, że cienie nie mają woli!

Musiałem się roześmiać!

— A więc prawdą jest, że dusza zawsze się lituje, nawet jeśli nie znajduje najmniejszego powodu, by okazywać łagodność! Kto nie ma woli, tego można oszczędzić, jednak tego, który mu odebrał wolę; wdeptuje się w ziemię!

— Pomimo dzisiejszego snu...? I pomimo czarownika...? — zapytała,

— Pomimo tego wszystkiego! Myślę, że rozumiem ten sen. Przyszedł do mnie wprawdzie z krainy cieni, jednak sam w żadnym razie nie był cieniem. Śnił mi się od pierwszego promyka słońca i czułem, jak stapia się ze mną; ta sama istota z moim własnym istnieniem. Dużo mnie nauczył i nadal we mnie działa. Cień, który sam ostrzega mnie przed sobą, jest przyjacielem człowieka, jest bez fałszu, jest zacny. Ratuje mnie od obcych, magicznych sztuczek, a także od moich własnych złudzeń, i szaleństwem byłoby, gdybym go nienawidzili. Modliłaś się za niego, Szakaro. Widzisz, że nie było to konieczne! Niej modliłaś się jednak za innych, na których chciałem wyostrzyć ci wzrok. Mam na

myśli tych chytrych nikczemników, którzy podają się za cienie, jednak nimi nie są. Ciągłe kuszeni — kusiecie! Rozpływający się w pokorze — tyrani! Cnotliwi — grzesznicy! Gotowi do poświęceń wrogowie! Prawi — matacze! Ufnie prostoduszni — węże! I jeszcze wiele, wiele tysięcy podobnych, którzy skoro chwycisz za pochodnię, żeby ich oświecić, natychmiast chronią się jako cienie kolejnego obiektu, jako całkowicie bezbronni, bezwolni chowają się pod ochronny parasol silnego. On upada, upada i upada, oni jednak rosną. I wówczas kiedy stoi nad przepaścią opuszczony przez cały świat, tylko nie przez tego, który z zapalem podnosi stopę, żeby w podzięce zupełnie go zdeptać, poznaje wreszcie, jednak o wiele za późno, że oni nie byli niczym innym jak tylko nędznymi cieniami. Brak woli był najsilniejszym napędem, słabość tylko maską mocy, a każda prośba, do której się przychyłał, była w rzeczywistości rozkazem, który musiał posłusznie spełniać. Najgorsze jest jednak Szakaro to, że to łajdactwo nie rzuca nigdy własnego cienia, gdyż ciągle rozkoszuje się cieniem innych. Dlatego ci nieskazitelni świętej naiwności jawią się po trzykroć i po dziesięciokroć bardziej święci, a jeśli na dodatek szczęście będzie im sprzyjać i nie będą zdemaskowani aż do śmierci, drogi nierozsądek pomyśli, że wiele na nich stracił, zaś niebo dużo, bardzo dużo zyskało! Gdyby tak ruiny mogły mówić!

Widziałem we śnie, jak się wszyscy chwalili! Szedłem spokojnie dalej. Jeśli jednak sen ma się spełnić, trzeba dużo światła! Wiesz, jak dobrze jesteśmy tutaj zaopatrzeni: pochodni nam nie brak!

W tym momencie nasza rozmowa została przerwana. Oto w wyżej położonej części ruin pojawił się Kara ben Halef. Zobaczył nas siedzących na kamieniu i ręką dał nam znak, że do nas przyjdzie. Nie chodził dzwonekową ścieżką, lecz szedł na skrót po skale i dalej po zwietrzałym fragmencie wdrapał się do nas.

— Efendi, mam jeńca! — odezwał się.

— Co ty mówisz? Jeńca? — pytałem. — Czy tutaj, gdzie panuje niezakłócony pokój, trzeba brać jeńców?

— Czy można mówić o pokoju, jeśli ktoś tak niepokojowo mnie traktuje?

— Kto to jest?

— Nie należy do Dżamikunów, to ktoś obcy. Nie znam go, a on sam nie chciał nic o sobie mówić.

— Gdzie był?

— Po tamtej stronie, w starym kościele. Udałem się dzisiaj wcześniej rano do ruin. W duarze ludzie mówią, że są tam jeszcze jakieś nie odkryte miejsca i schowane przedmioty. Ja tak samo uważam. Wgnani Massabanowie, którzy rozgościli się w ruinach, znają je zapewne lepiej aniżeli my, skoro mieli tam swoje kryjówki. A kto należy do ludzi tego pokroju, orientuje się w ruinach lepiej aniżeli którykolwiek Dżamiki. Dlatego każdy obcy, który odwiedza je bez naszej wiedzy, musi wydawać się nam podejrzany. Stąd kiedy usłyszałem kroki o tak wczesnej porze zbliżające się do miejsca, w którym stałem, natychmiast nabrałem podejrzeń. Było to w tej okrągłej, zbudowanej z kamieni ciosowych wieży, która już prawie się zawaliła, pomimo że jej mury są tak mocne. Prowadzą do niej tylko jedne drzwi, drugiego wyjścia nie ma. Stałem w pobliżu i przyglądałem mocno

do ściany, żeby nie zostać od razu zauważonym. Ktoś się zbliżał. Wszedł do środka. Jakiś chudy mężczyzna, niepozorny, ale silny; przekonałem się o tym później na własnej skórze. Czuł się tak pewnie, że nawet się nie obejrzał. Podeszedł do wielkiego odłamka muru, żeby na nim usiąść. Siadając, obrócił się i zobaczył mnie. Dskoczyłem błyskawicznie do wejścia, żeby uniemożliwić mu ucieczkę. Strach go ogarnął, zebrał się jednak w sobie i zapytał, kim jestem i czego tutaj szukam. Zabrzmiało to tak władczo, jakby był panem tej budowli. A kiedy zażądałem, żeby to on odpowiedział mi na te pytania, nadął się i rzucił się nagle na mnie, żeby stamtąd umknąć. Równocześnie wyciągnął długi nóż i krzyknął, że natychmiast mnie nim zakłuje, jeśli go nie wypuszczę. I rzeczywiście zaczął nim kłuć. Spójrz tu, przecięty rękaw! Cios był mierzony w serce! Zdołałem się uchylić, szybko zrobiłem obrót, wyrwałem mu broń, odrzuciłem ją na bok i powaliłem go na ziemię. Nie było to jednak takie proste. Ten człowiek był bardzo silny i zręczny. Walczył po mistrzowsku, spokojnie, cicho, kontrolując oddech i dokładnie obmyślając każdy chwyt, i nie odzywał się przy tym ani słowem. Wydawało mi że już nieraz musiał walczyć w ten sposób o swoją wolność, albo nawet o własne życie. Miał wprawę! Pomimo wszelkich starań nie udało mu się podnieść; trzymałem go pod sobą, aż opadł z sił. Dzięki temu miałem wolną jedną rękę, którą przycisnąłem mu tętnicę szyjną. Krew przestała dopływać mu do głowy i stracił przytomność. Wprawdzie tylko na krótki czas, wystarczyło jednak, bym mógł go związać.

— Czym?

— Ręce skrępowałem z tyłu rękawami jego własnej perskiej kurtki. Nogi związałem jego pasem. Nie jest w stanie się uwolnić.

— Przeszukałeś jego kieszenie?

— Tak. Były puste. Oprócz noża nie miał niczego przy sobie. Później popędziłem, żeby opowiedzieć ci o całym zajściu. Kiedy wyszedłem na dwór, zobaczyłem, że siedzisz tutaj na kamieniu. Zdecyduj teraz, sihdi, co z nim zrobić!

— Po pierwsze: nikt nie może się o nim dowiedzieć, a już szczególnie Pekala. Zdaje się, że wiem, kim jest ów nieznajomy; zbiegłym bandytą, który ma nas szpiegować na zlecenie szejka ul Islama. Muszę go zobaczyć. Zaprowadzisz mnie do niego, ale najpierw przyniesiesz z domu parę mocnych rzemieni albo powrozów, tylko zrób to tak, żeby nikt cię nie widział. Na takiego typa twoje wiązanie jest za słabe.

Kara poszedł do domu. Kiedy Szakara poprosiła mnie, by mogła pójść z nami do wieży, uznałem to za całkiem zrozumiałe i zgodziłem się na to bardzo chętnie. Plan miałem już gotowy. Ten szpieg z pewnością nie zdradzi nam niczego dobrowolnie. Trzeba go do tego zmusić. A był na to pewien sposób, który otworzyłby usta może nawet samemu diabłu! Można było zastosować go jednak tylko potajemnie i dlatego było mi na rękę to, że Szakara szła razem z nami. Jej obecność nadawała naszej akcji pozór zwyczajnego spaceru, który nie ściągnie niczyjej uwagi.

Kiedy Kara wrócił, poszliśmy powoli w stronę drogi dzwonkowej i dalej po wąskiej, ale wygodnej ścieżce prosto do wieży. Jej właściwa brama już dawno została zamurowana. Do drzwi, o których mówił Kara, mogliśmy się dostać tylko przez boczne pomieszczenia. Kiedy przez nie przeszliśmy, zobaczyliśmy leżącego jeńca. W spojrzeniu, jakim nas obrzucił, nie było ani trochę

zakłopotania, lecz przebijała z niego przekora i wprost bezczelnie zabrzmiało, kiedy od razu zawołał w moją stronę:

— Macie natychmiast mnie uwolnić! Jestem bardzo ważnym człowiekiem, a nie jakimś łotrem, którego można traktować w ten sposób! Wypuść mnie, efendi!

Ach, ten typ już mnie znał! A więc bystry wzrok i wyśmienity słuch! Sprytne jednak to nie było, żeby zdradzać, że wie, kim jestem! Zatrzymałem się przed nim i spokojnie zapytałem:

— Kim jesteś?

— Powiem tylko tobie!

— Skąd przybywasz?

— To też mogę powiedzieć tylko tobie samemu!

— Czego tutaj chcesz?

— Tego również nie może wiedzieć nikt inny poza tobą.

— Tak? W takim razie nie potrzebuję tego wiedzieć! Kara, zwiąż go mocniej, tak, żeby skóra mu zatrzęszczała! Kto tak bezczelnie się do nas odnosi, ten przekona się na sobie, co z tego wyniknie!

Haddedihn przykucnął przy nim, wyciągnął sznur z torby i zaczął go mocniej wiązać. Wówczas nieznamy krzyknął:

— Jestem wysłannikiem szachinszacha!

— Do kogo?

— Do Ustada, a więc do ciebie!

— I nie przychodzisz otwarcie i bezpośrednio do mnie, ale ukrywasz się tutaj jak przestępca?

— Mam swoje powody!

— Wierzę. Ja również mam swoje, które trochę różnią się od twoich!

— Przychodzę do was, żeby przynieść wam szczęście!

— I rzucasz się z nożem na moich ludzi? Dziękujemy za takie szczęście!

— Jesteś chrześcijaninem. Dlatego powiadam ci: przybywam jako misjonarz!

— Chcesz nam głosić pokój? Zwiastować szczęście?

— Tak!

— Znamy to! Martw się o własne szczęście: nasze spoczywa w najlepszych rękach!

To zamknęło mu usta. Zdawał się rozważać. Kara wykonał swoje zadanie tak dobrze, że „misjonarza” zaczęły boleć wszystkie członki.

— Wyciągnął nóż na ciebie, żeby cię zakłuć — powiedziałem. — Ukaram go śmiercią. Rzuć go za kamień! Niech tam leży, dopóki nie będzie odstawiony do duaru, gdzie zostanie powieszony.

Po tych słowach obróciłem się w stronę drzwi, zamierzając odejść. Podziałało.

— Zostań, efendi! — prosił. — Będę odpowiadać! Szedłem dalej. Na to wykrzyknął:

Efendi, efendi, nie odchodź! Przekażę ci wiadomość i ucieszysz się!

Obróciłem się wolno, udając niechęć, i rozkazałem:

— Odpowiedz więc krótko na to, o co cię zapytam! Reszta nie interesuje. Od kiedy tutaj jesteś?

— Od tej nocy. Przyszedłem, kiedy w duarze wszyscy już spali.

— Bywałeś tutaj częściej?

— Przed rokiem po raz pierwszy. Od tej pory raz w każdym miesiącu.

— Poza tym nigdy tu już nie byłeś?

— Nie.

— Ostatni raz zjawiłeś się przed miesiącem?

— Tak.

— Przybyłeś dzisiejszej nocy i już dokładnie wiesz, kim jestem? Kto chce mnie zwodzić, musi lepiej umieć kłamać!

— Nie wiedziałem, kim jesteś; podejrzewałem tylko efendi, uwierz mi!

— Czy jest u nas ktoś, na kogo możesz się powołać?

— Pekala i Tifl.

— Kto jeszcze?

— Nikt.

— No to krucho z tobą. Tifl to odszczepieniec, a Pekala jest plotkarą, która zdradzi wszystko, co o tobie wie!

— A niech sobie zdradzi! Wie o mnie tylko dobre rzeczy. Szadr powierzył mi misję, jestem jego sługą, jego wybrańcem. Jako posłaniec jego miłości, a zarazem prawdziwej miłości do ludzi, przybywam...

— Żeby ukryć swoje prawdziwe zamiary — wpadłem mu w słowo. — Żeby żyć tu, będąc dokarmianym przez naszą głupią Pekalę i potem wypisać nam nożem pokój twojego fałszywego szacha!

— Mojego fałszywego szacha? — zapytał. — Nie rozumiem cię!

— Jeśli byś mnie nie zrozumiał, byłbyś jeszcze głupszy od Pękali, która jest szczerze i do końca przekonana, że jej aszyk jest w stanie zapewnić jej u szacha wszystkie rozkosze rajy. Mnie jednak nie omamisz swoim szczęściem! My naprawdę znamy szacha, jednak w lochach Teheranu, w których odsiadujesz wyrok razem ze swoimi: kompanami, nikt go nigdy nie widział. Ciebie przysłała szejka ul Islam, a nie szachinszach!

Nie starczyło mu już bezczelności, żeby ukryć strach, który przemknął przez jego twarz.

— Szejka... ul... Islam...! — wymamrotał za mną. — Jak na to wpadłeś?

— Usłyszałem to z jego ust, a jeśli ja ci to mówię, jest to prawda! Potwierdzisz?

— Nie, nie, to kłamstwo! — wrzasnął rozżłoszczony.

— To prawda! I powiadam ci: już niedługo będziesz prosić mnie na kolanach, żebym wysłuchał twojej spowiedzi, przed którą tak się teraz wzbranasz. Na razie skończyłem z tobą!

Kara tak go związała, że o jakiegokolwiek ucieczce nie było mowy. Ten uwodziciel naszej promiennej „krzepkiej panny” próbował wprowadzić nas, żebyśmy go inaczej traktowali, ale nadaremnie. Został ciśnięty pomiędzy leżące tutaj wysokie hałdy kamieni, po czym wyszliśmy. Kiedy znaleźliśmy się na dworze, Szakara patrząc na mnie niemal z przerażeniem, powiedziała:

— Jakże potrafisz być surowy, jak bezlitośnie zimny i surowy, efendi! Nie znałam cię jeszcze takiego.

— Moja przyjaciółko, nie chodzi tutaj o mnie, ale o dobro wielu, wielu ludzi — odpowiedziałem. — Tutaj trzeba zupełnie inaczej rozmawiać, nie można się litować. Zresztą los tego człowieka nie jest jeszcze przesądzony; zależy od niego. Może się uratować, jeśli okaże skrucę. A właśnie to, co z nim zamierzam zrobić, powinno go natychmiast skruszyć.

— Co to będzie?

— Umieszczę go w pewnym więzieniu, w którym będzie musiał zdecydować: obłąd czy skrucza. Innego wyjścia mieć nie będzie.

— Gdzie zamierzasz go uwięzić?

— Na dole w basenie, w mrocznym wnętrzu góry, na zimnym, wilgotnym kamieniu, na którym znaleźliśmy szkielet. Mając takie towarzystwo, zmięknie!

— Straszne, straszne! Efendi, jesteś człowiekiem?

— Szakaro, Szakaro! Chcę go uratować. A kto jest w stanie odnaleźć wyjście z wewnętrznego piekła tylko przez zewnętrzne piekło, temu trzeba je otworzyć. Poskramianie drapieżnego zwierza *baklawą* to nonsens i jest podwójnie niebezpieczne. Zostawimy go do nocy w wieży, a później przeniesiemy w odpowiednie miejsce. Założę się, że nie wytrzyma długo i zrobi to, co z góry zapowiadam: poprosi mnie, bym się zgodził, żeby mógł mi wyznać całą swoją winę... Co tam się dzieje na dole w duarze? Czy to koński targ?

— Nie targ, ale pokaz, i to przed naszymi wyścigami. Chodj-y-Dżuna go zarządził. Każdy Dżamiki, który chce wziąć udział w zawodach, musi zameldować się u niego ze swoim koniem. Potem zostanie wytyczony tor wyścigowy i każdy będzie mógł do woli na nim ćwiczyć.

— Chodźmy zatem na dół! Chcę zobaczyć, jacy jeźdźcy będą walczyć.

— Czy nie przemęczy cię to za bardzo? — zapytała Szakara.

— W żadnym razie. Czuję, że w moim ciele płynie nowa krew, a nowa krew dostarcza zawsze świeżych sił tak dla ciała, jak i dla ducha. Nie widziałam nigdy, żeby jakiś chory zdrowiał tak cudownie szybko jak ja. To, co jeszcze przed trzema dniami uważałem za niemożliwe, teraz, kiedy spoglądając na równinę, widzę stojące na dole mnóstwo koni, a na prawo po tamtej stronie mojego Assila, wydaje mi się całkiem realne... żeby tak stanąć do walki z naszymi wrogami, siedząc w jego siodle.

— Efendi, to jest myśl! — krzyknął Kara, a jego oczy zabłysnęły. — Gdyby usłyszał to mój ojciec, natychmiast wróciłby do sił!

— Tylko nie wpadajmy od razu w zachwyty! Jestem jeszcze o wiele za słaby, mogę najwyżej o tym myśleć, a nie cokolwiek postanawiać. Pomimo to może, może, może! Przyjmij zapał, który nas ożywi. Pomyśl też jednak o czym innym: że zostaniemy pokonani, wyścig za wyścigiem pobici przez takich przeciwników, i jeśli staniesz wówczas do ostatniej rundy, która może przechylić szalę zwycięstwa, rzucę się wówczas razem z tobą do boju na najgorszej szkapie, tak że polecą wszystkie kości, twoje i moje, aż runiemy, obaj nieżywi, ale u celu... jako zwycięzcy!

Nie wróciliśmy od razu do „wysokiego domu”, lecz poszliśmy w przeciwnym kierunku w stronę kamieniołomów i biegnącą tam szeroką drogą w dół do duaru. To była dopiero radość, kiedy nas zobaczono! Zapał, o którym mówiłem, zdawał się już dzisiaj wszystkim udzielać. Z najdalszych okolic przybyli Dżamikunowie, którzy jeszcze nawet nie zdążyli mnie poznać. Zbiegli się wszyscy, dosłownie wszyscy, a każdy z nich starał się na swój sposób zapewnić nas, że na pewno zwyciężymy wyścig.

Chodziliśmy z Chodj od konia do konia. Każdy właściciel wysiłał się, by przekonać nas o zaletach swojego zwierzęcia. Dlatego ucieszyło mnie, kiedy Chodj okazał się znakomitym koneserem. Nie

wpadał w entuzjazm pod wpływem słów, pozostawał chłodny w ocenie, ostrożny, rozważny i odrzucał wszystko, co nie zwiastowało sukcesu. Dzięki temu jednak osiągał to, że nasza wiara w zwycięstwo ciągle rosła, a kiedy skończyliśmy obchód i zapytał nas, mogłem mu odpowiedzieć ku naszej obopólnej radości:

— Materiał jest znakomity. Konie te z pewnością spełnią swoją wyjątkową rolę. Po tym jak je zobaczyłem, jestem spokojny o wynik. Nie wiedziałem, że Dżamikunowie posiadają tyle koni szlachetnej krwi.

Rywale będą musieli nieźle się napocić, żeby podjąć z nami równorzędną walkę.

— Nietrudno dostrzec przyczynę — odpowiedział Chodj. — Chełpią się swoimi końmi, nadają im górnołotne imiona, na przykład „najlepszy koń Luristanu”, zachwalają publicznie drzewa rodowe, rozgłaszają tak wiele niestworzonych historii o wprost bezcennej wartości swoich czworonogów, że w końcu nikt nie śmie wątpić, że ma przed sobą najlepsze z wszystkich rumaków. Ten kto ma jeszcze tyle odwagi, żeby stanąć z nimi do zawodów, robi to z obawą, iż na pewno zostanie pokonany, a że lęk nigdy nie prowadzi do sukcesu, spotyka go przegrana. Za porażkę winę ponosi jednak nie koń, ale strach, który odebrał energię i przytomność umysłu. U nas wszakże dzieje się inaczej. Nie mówimy o naszej hodowli, lecz prowadzimy ją potajemnie, i to zresztą całkiem umyślnie. A jakieś szczególne drzewa rodowe? Po co nam one, jeśli wiadomo, że wszystkie konie są szlachetne? A to przecież jest to, co chcemy osiągnąć i osiągniemy! Wiemy również bardzo dobrze, jak często zwodnicze są tego rodzaju rodowody. Zwłaszcza jeśli nigdy nie wzbogaca się hodowli obcym materiałem. Dlatego my, żeby ulepszać, uszlachetniać, sięgamy po zagraniczne klacze i ogiery i mieszamy je z naszymi. Dalecy jesteśmy od nadawania wyszukanych imion, bo są one jak piasek, który w końcu sobie samemu sypie się w oczy. Żaden rozsądny człowiek nie przywiązuje wagi do imion. Dlatego właśnie dla nazwania naszych koni wybieramy słowa, które brzmią możliwie nieśmiało, a często nawet poniżające. Mają one jednak ważniejsze, głębsze znaczenie, które jest zrozumiałe tylko dla nas i żaden obcy go nie pojmie. Przekonasz się jeszcze o tym. Nasi najlepsi jeźdźcy są dzisiaj nieobecni; egzaminowanie ich jest zbyteczne. Z wszystkich tych powodów mało kto orientuje się w jakości naszych zwierząt. Zapytaj, kogo chcesz, w całym kraju, czy jesteśmy w stanie wygrać wielką gonitwę z zagranicznymi końmi. Śmiać się będą, nawet ze Sahn, której imię jako jedyne zresztą nie brzmi tajemniczo, i powiedzą ci, że sromotnie przegramy każdy wyścig. Niech jednak tylko się pojawiają. Wiemy, co posiadamy, i jeździć umiemy doskonale. A co dotyczy strachu, powiedzmy sobie szczerze, nic nie jest w stanie nas sparaliżować. Wiesz, kto jest naszym najlepszym jeźdźcą?

— Pewnie ty?

— O nie, skądże znowu, nie ja, lecz sam Ustad. W chwili kiedy dotknie siodła, przestaje być Ustadem Dżamikunów i przeistacza się w kogoś zupełnie innego. Podobny jest do owego nagle odmłodniałego Dżinni, któremu uległy są wszystkie fibry końskiego ciała, a kto chce stanąć z nim do walki, ten waży się na więcej aniżeli sobie wyobraża! Kiedy mówię o tym, przypominam sobie, że miałem ci powiedzieć, iż szejik ul Islam wysłał kuriera do swojej siedziby w Chorremabad, naturalnie nie stąd, lecz w drodze, gdyż absolutnie nie powinniśmy o tym się dowiedzieć. Goniec jednak natrafił na jednego z pasterzy, którzy strzegą naszych koni, i chcąc odegrać się na nim za nasze zachowanie, wdał się z nim w potyczkę słowną, a był przy tym na tyle nieostrożny, że się zdradził. Szyderczo wrzeszczał przed nim, że, jesteśmy zgubieni, ponieważ Ghulam el Multasim będzie

wyniesiony do rangi Ustada Takikurdów. Jak myślisz, efendi, może to być prawdy czy powiedział to tylko po to, żeby nas rozżłościć?

— Ghulam el Multasim, Krwawy Mściciel, złapany i przewieziony, ten zupełnie wyzuty z honoru i sumienia typ... Ustadem pobożnych, przestrzegających Koranu Takikurdów. Dlaczego nie miałyby to być możliwe? Po tym jak poznałem szejka ul Islama, myślę, że to nawet prawdopodobne. Tacy ludzie są do wszystkiego zdolni. Spokojnie odczekajmy! Jeśli okaże się to prawdą, to tylko może nam to pomóc.

— Pomóc? Nam? Ten człowiek, który stoi na samym szczycie naszych najbardziej zaciętych wrogów?

— Tak, bo jeśli dojdzie do walki, wówczas lepiej dla nas, gdy cały ten motłoch skupi się razem. Wtedy tym dotkliwszy będzie można zadać cios. Ucieszyłbym się, gdyby istotnie tak się stało!

W tym momencie gęste brwi Chodj-y-Dżuny zaczęły się ruszać, oczy błysnęły, a on sam powiedział radosnym tonem:

— Dzięki ci, Chodeh! Coraz bardziej jestem przekonany, że nie potrzebujemy się o nic martwić. Mówiłem już ci, iż piastuję tutaj różne funkcje. W pewnym sensie jestem również kimś w rodzaju ssipasalar* i dobrze wiem, co znaczy, kiedy zawołamy „Dżamikunowie do broni”! Przeczuwam wojnę. Czy życzysz sobie może odbyć przegląd wojska?

— Naturalnie, ale niech to jednak pozostanie życzeniem. Taka parada wywołałaby sensację, a mi zależy na tym, żeby myślano, iż jesteśmy nieprzygotowani. Przeciwnik musi być przekonany, że napada na nas zupełnie zniecka. Na razie trzymaj wszystko w tajemnicy! Pomówimy, kiedy będę uważał, że nadeszła odpowiednia pora. Nici trzymam już w swoich rękach.

Wówczas nadszedł Pedehr, na pokaz niestety zbyt późno. Powiedział jednak, że z tym większym entuzjazmem zabierze się do sprawy wyścigów. Był u góry w lesie w swoim małym domku myśliwskim i zapewniał, że zaraz obok swojego każe wybudować drugi domek dla mnie i że da mi go w prezencie.

Po tych słowach rozstaliśmy się i wróciliśmy z Szakarą i Kara ben Halefem do domu. Haddedihn musiał odbyć swoją codzienną ćwiczebną jazdę, ja zaś poprosiłem Szakarę, by od tej chwili nie spuszczała oka z Pekali. Poszedłem na górę i odszukałem Halefa i jego Hanneh.

Zagospodarowali się znakomicie na płaskim dachu holu i byli bardzo uradowani moją pierwszą wizytą w ich „duarze”, jak nazywali ów dach. Mówię „uradowani”, jako że Halef nie spał, lecz czuwał. Kiedy przysiadłem się do niego i pogłaskałem czule po jego wychudzonej ręce, odezwał się:

— Mój kochany, kochany sihdi! Słyszałem, że jesteś teraz gospodarzem „wysokiego domu”. Jak ty

sobie z tym wszystkim radzisz, skoro ja nie mam sił ci pomagać!

Jego głos brzmiał już dosyć mocno. Nie odczuwał duszności, a w oczach znowu tętniło życie.

— Nie martw się! — odpowiedziałem. — Radzę sobie bez pomocy.

— Ale przecież sam jesteś jeszcze chory i słaby!

— Już nie jestem chory, ale zdrow, całkowicie zdrow. A co do słabości to czuję, że z godziny na godzinę maleje. Dochodzę do siebie z zadziwiającą prędkością i nam nadzieję, że podobnie będzie teraz z tobą.

Kiedy zacząłem opowiadać o końskiej rewii, natychmiast podziałało to na niego jak lekarstwo, jak wzmacniające pożywienie. Jego policzki zaróżowiły się, a na twarzy zarysowało się ożywienie. Zdawało się, że dzięki rozmowie o wyścigach znów nabrał energii. Dlatego pozostałem z nim przy tym temacie, aż w końcu zamknął oczy i zasnął. Tymczasem zrobiło się południe i zjadłem posiłek w holu razem z Hanneh i Szakarą.

Później, kiedy poszedłem do góry do swojego pokoju i ogarnąłem spojrzeniem dolinę, zobaczyłem jeźdźców harcujących na swych koniach po wytyczonym torze wyścigowym. Całe południe pozostawałem na górze i tak aż do kolacji, którą kazałem przynieść sobie do mieszkania. Kara wiedział dlaczego. Kiedy wszyscy poszli spać, nie licząc Szakary, Haddedihn stawił się na dole na podwórzu z nowymi pochodniami gotowy do wyjścia.

Zeszliśmy najpierw do przystani, żeby schować pochodnie w łodzi. Był drugi dzień nowego księżyca, rogal na niebie stał się już szerszy i jaśniejszy aniżeli wczoraj. Oświetlał nas. Teraz ruszyliśmy drogą do kamieniołomów, z której po równinie przechodziło się do wieży. A że wieża była częściowo zawalona i zionęła otworem ku niebu, panowała w niej księżycowa jasność. Dostać się tam mogliśmy jedynie przez boczne budynki, których ciemność rozświetliliśmy łojówką zabraną przez Karę.

Aszyk leżał tak, jak go zostawiliśmy. Nie był w stanie się poruszać. Można by pomyśleć, że jego katusze, zwielokrotnione bólem wywołanym uciskającymi ostrymi więzami, zmusiły go do uległości. Nic takiego jednak się nie stało. Rankiem uciekł się w końcu do prośby, teraz jednak jego stosunek do nas znowu uległ zmianie. Przyjął nas zarzutami, mówił o swoim „pokojowym posłaniu”, ponownie nazwał się „wybrańcem”, „misjonarzem”, bez którego pomocy byliśmy zgubieni, aż w końcu ośmielił się nawet powiedzieć, że wybaczy nam i wstawi się za nami u szachinszacha, jeśli tylko dostrzeżemy nasze błędy i natychmiast je naprawimy. Przerwałem to głupie chełpliwej paplanie, pytając go krótko:

— Znasz szejka ul Islama osobiście?

— Nie, nie, nie! — twierdził rozgniewany.

— Nie masz z nim nic, zupełnie nic wspólnego?

— Nic, nic i jeszcze raz nic!

— Czy nie jesteś u nas na jego zlecenie?

— Nie, nie i tysiãc razy nie!

— Dobrze! Teraz jestem przekonany; ale o czym, to dopiero zobaczysz. Rozwiãżemy ci teraz stopy, ale nic poza tym. Pójdiesz z nami posłusznie i cicho, jeśli chcesz uniknąć śmierci. Umiemy obchodzić się ze zbiegłymi bandytami i nie będziemy się liczyć z tym, że szejk ul Islam ich ochrania! Rozumiesz?!

Nie odezwał się już ani słowem! Kara ściągnął mu ramię z nóg i kazał wstać. Na skutek zastoju krwi tak się chwiał, że trzeba było go trzymać. Kiedy jednak wyszliśmy z nim na powietrze, stopniowo stawiał coraz pewniejsze kroki. Idąc z góry, doszliśmy do przystani. Kazaliśmy mu wejść do łódki, ale wzbraniał się i znowu zaczął podnosić ramię. Na to Kara powalił go po prostu na ziemię, zakneblował usta kawałkiem zabranego przez nas materiału, ponownie zwiãzał nogi, po czym wepchnął do czołna i już w nim zwiãzał mu oczy. Usadowiliśmy się w łodzi i powiosłowaliśmy do kanału.

Minęliśmy gęstwinię roślin zarastającą wejście, zapaliliśmy pochodnię i umieściliśmy ją we wspomnianym już otworze. Odpychając się i wiosłując, posuwaliśmy się dalej, aż w końcu dopłynęliśmy do przedniego basenu. Aszyk nie powinien wiedzieć, gdzie należało szukać drogi do wolności, albowiem zamierzałem uwolnić go z pęt, a on mógłby się okazać dobrym pływakiem; chociaż trudno było się tego spodziewać po przebywającym przez całe życie na lądzie Persie, któremu matka ziemia poskąpiła wody. Płynęliśmy łodzią do basenu, aż kanał przestał być widoczny. Dopiero wtedy zdjęliśmy mu opaskę z oczu. Knebel uniemożliwiał mu mówienie, a twarz tak była zakryta cieniem, że nie mogliśmy dojrzeć ani jego oczu, ani jego miny,

Przyjąłem jednak, że widok tego okropnego miejsca bardzo go poruszył. Aby wzmocnić owo doznanie, pozwoliliśmy sobie wykonać wielokrotnie zagmatwaną rundkę dookoła basenu. A że nasz jeniec leżał na podłodze czołna, widział więc tylko to, co było u góry i w ten sposób musiał w znacznym stopniu przecenić wielkość podziemnego jeziora. Tego chciałem!

Kiedy doszedłem do wniosku, że już mu wystarczy, zatrzymaliśmy się przy kamieniu, na którym spoczywał kościotrup, ten sam, który w moim śnie tak znakomicie pływał i tak dużo gadał. Teraz jednak milczał. Jego nogi były ułożone blisko siebie i podciągnięte prawie do żeber. Uśmiechał się do nas, jakby pomimo swojego milczenia cieszył się, że dostał towarzysza, który będzie dzielił z nim tę przerażającą samotność. Aszyk jednak ani go nie widział, ani nie przeczuwał jego obecności.

Tymczasem odepchnęliśmy łódkę na drugą stronę kamienia, tak by nasz jeniec nie zauważył od razu szkieletu. Kara zdjął z niego górną część ubrania, aby nie zabrudziło się przy wciąganiu go na skałę, i sam wdrapał się do góry. Chwyciłem Persa za kark i uniosłem. Był zdrętwiały niemal jak mumia i oczy miał zamknięte. Czy to niemoc, strach czy tylko udawanie? Kara złapał go z góry, a ja

popychałem. W ten sposób znacznie łatwiej, aniżeli można było się spodziewać, wtargaliśmy aszyka na kamień. Myślałem, że będzie z całych sił stawiał opór. Teraz Haddedihn rozwiązał go i wyciągnął knebel z ust. Potem zszedł do mnie do łódki i odwinął paczkę, która była przywiązana do pochodni. Znajdował się w niej chleb na dobrych parę dni. Rzucił zawiniątko do góry.

Do tej pory więzień spokojnie leżał; teraz jednak poruszył się. Zrazu macał po omacku jak ślepiec. Później, opierając się na rękach, uniósł tułów, rozejrzał się dookoła, wlepiając oczy w ciemność, a następnie w nas i wówczas wydał z siebie okrzyk, który jak z głębin obłędu odbił się echem od wszystkich kolumn.

— Co to jest, co, co, co, co?! — ryczał. — Piekło, do którego strącaliśmy nasze ofiary! Ciemność, z której tak się śmialiśmy, nasłuchując z góry, jak pluskają w wodę zrucane przez nas ciała! A tu leży chleb, chleb, chleb! Czyżby były tutaj jeszcze dobre duchy, które potrafią się zlitować nawet nad diabłem, kiedy trafia on do swojego Piekła?

Wlepił w nas oczy. Jego twarz była wykrzywiona ze strachu, jednak stopniowo zaczęła przybierać inny wyraz. Siła lęku słabła. Namyślał się.

— To ty jesteś, efendi, ty! — wykrzyknął prawie radosnym tonem. — A więc inny, inny aniżeli myślałem! Co ja mam tu robić? Dlaczego ściągnęliście mnie w to miejsce?

— Należysz do niego — odparłem. — Morderca do zamordowanych!

— Ja, ja... nie mordowałem! To robili inni. Ja nie splamiłem tym swojej ręki. Nigdy, nigdy, nigdy ich nie popchnęła! Jest czysta, czysta, wolna od morderstwa!

Podniósł rękę jak do przysięgi.

— Ale przyprowadzałeś ofiary i z lubością wsłuchiwałeś się, jak spadają w otchłań. Czy może być coś bardziej szatańskiego? Teraz będziesz miał dosyć czasu, żeby spokojnie dalej nasłuchiwać! Twoje ofiary przyjdą, przyjdą; opuszczam cię więc! Usłyszysz ich jęki ty zwiastunie pokoju naszego szachinszacha! Dajemy ci całe to pomieszczenie, żebyś wysłuchał, co mają ci do powiedzenia. Zostawiamy cię samego; nie będziemy ci przeszkadzać!

Złapałem za wiosła, Kara także.

— Stój! Stój! Pozostań! — wykrzyknął. Łódź zaczęła płynąć.

— Nie odpływajcie, nie odpływajcie... Nie odpływajcie beze mnie! Muszę, muszę, muszę z wami! — prosił.

Kręciliśmy łodzią wokół filaru, a on u góry pełzał w tym samym kierunku. Wtem zobaczył szkielet i dosłownie zawył:

— Śmierć, śmierć... we własnej osobie jako kostucha! Precz, precz, precz! Tego już nie wytrzymam!

Podniósł się na kolana, wyciągnął do nas ręce i błagał:

— Litości, efendi, litości! Tutaj zginę! Wówczas zatrzymałem się i odparłem:

— Co ci dzisiaj rano przepowiedziałem? Że będziesz na klęczkach prosić mnie o pozwolenie! A o jakie?

— Żeby móc ci wszystko wypowiadać! — jęczał.

— No dobrze! Dotrzymałem swego słowa. Co teraz zrobisz, żeby się uratować?

— Powiem prawdę. Więcej nic nie mogę!

— No to mów!

Machnąłem raz wiosłami, by znowu się do niego zbliżyć. Gdy tylko zobaczył tę oznakę łaskawości, wróciła mu dawna odwaga. Wzdrygając się nadal przed kościotrupem, od którego odwrócił głowę, ośmielił się od nowa kłamać i zaprzeczać:

— Wiem, że sprawdzasz mnie, efendi. Chcesz zobaczyć, czy jestem człowiekiem, który wymyśla nieprawdziwe historie, żeby tylko się uratować. A jeśli się okaże, że wcale nie wymyślam, wówczas jeszcze bardziej będziesz mnie szanować. Naprawdę nie mam nic wspólnego i szejkiem ul Islamem. Zabierz mnie teraz ze sobą i zaprowadź do swojego domu, wtedy udowodnię ci, że przyjechałem do was tylko ku waszemu szczęściu. Wyjawię ci wszystkie tajemnice tych ruin i wszystkie zamiary waszych wrogów. Na razie maszerujecie jak pod sznur ku waszej zgubie. Pokażę wam jednak drogę ku ocaleniu! Pięść, która ma was trafić, wysoko jest podniesiona. Jeśli nie dzisiaj, to z całą pewnością spadnie na was jutro. Ja jednak, ja, który wiem wszystko, zamieszkać u was jako wasz obrońca i....

— Razem ze swoją Pekalą zjawisz się u nowego szacha w Isfahanie! — wpadłem mu w słowo. — Ty głupcze! To była ostatnia z twoich fałszywych kart. To już nie szaleństwo, to zuchwałość, myśleć, że weźmiemy ten atut za prawdziwy, po tym jak wszystkie pozostałe okazały się fałszywe! Naprzód Kara, odpływamy stąd!

Odwracając się od niego, zanurzyliśmy nasze wiosła. Parę mocnych uderzeń i kamień pozostał w najgłębszej ciemności.

— Stać, stać! Chcę zeznawać zeznawać... zeznawać! — krzyczało coś za nami, a wszystkie filary odezwały się echem.

Nie obracaliśmy się już i pozostawiliśmy go w ciemności, która zionęła nie tylko wokół niego, o nie, lecz także w nim.

Ślady w ciemności

Następnego ranka przy pomocy Kary w sposób możliwie dyskretny zrobiłem pomiary ruin. Dżamikunowie byli do tego stopnia pochłonięci torem wyścigów konnych, że w ogóle nie zwracali na nas uwagi. Przekonałem się, że moje podejrzania mnie nie zwiodły. Kanały boczne znajdowały się dokładnie pod amfiteatralnie wznoszącymi się kolejnymi piętrami. Natomiast alabastrowy namiot stał rzeczywiście dużo wyżej, również dokładnie nad niszą tylnego basenu.

Kiedy to ustaliłem, urządziłem sobie przejażdżkę konną, tak, przejażdżkę konną, dobrowolnie, pomimo, że tym razem koń wcale mnie do niej nie zmuszał. Szedł wybornie dookoła jeziora, dostojnie wolnym, miarowym krokiem, aż w końcu przyszła mu do głowy myśl, żeby choć raz spróbować ze mną kłusa. Kołysało nieco i parę razy przegięło mnie trochę na bok. Nie mogłem jednak się skompromitować przed swoim koniem i chcąc nie chcąc, wytrzymywałem to huśtanie. Wtem natrafiłem na gromadkę młodzików, którzy tak jak wszyscy, żyli już wyścigami. Mniejsi siedzieli na kozłach, starsi na osłach. Głośno pokrzykująca, roześmiana, rozradowana banda wyszła mi naprzeciw, fikając nogami i wymachując w powietrzu rękami. Zajęli całą drogę i żaden z nich nie myślał mi ustąpić. Assil widział to równie doskonale jak ja. Nie chciał ich poprzewracać, odskoczył kłusem na bok i stanął w miejscu. Ów odskok sprawił, że niespodziewanie dwukrotnie mną zatrzęsło. Gdybym był w pełni sił, wstrząsy te w żaden sposób nie wybiłyby mnie z rytmu, nie byłem jednak dosyć silny, żeby trzymać się dobrze w strzemionach. Straciłem równowagę i pewnie bym upadł, jeśli nie wykorzystałbym drugiego wstrząsu, aby w możliwie niekomiczny sposób zejść z siodła. Wybiłem się, wykorzystując przód siodła jako podparcie, przeniósłem jedną nogę ponad koński krzyż na drugą stronę, tak aby wyglądało na to, że chcę się ześlizgnąć ze zwierzęcia. Jednak pomimo swojego osłabienia albo raczej z powodu tego osłabienia nadałem swojemu wybiciu taki impet, że zamiast elegancko zsiąść z grzbietu Assila, o wiele bardziej elegancko wylądowałem pośladkami na ziemi.

Na chwilę zupełnie osłupiałem, że mnie, właśnie mnie coś takiego mogło się przydarzyć. Assil obrócił głowę, wielce zdziwiony zadarł ogon i zaczął strzyc uszami, jakby odebrał to całe nadzwyczajne nieszczęście jako zupełnie nieprawdziwą, zmyśloną historię. Po chwili podniosłem się i zadałem sobie trud, żeby nadać swojej twarzy możliwie najbardziej naturalny wygląd, niemal tak jak pudel, który został przyłapany na picciu po kryjomu mleka i który prędko jeszcze chce obetrzeć sobie białe wąsy, jednakże nie potrafi tego zrobić. Moja udawana mina na nic się przydała. Świadkowie tego publicznego kłapnięcia zatrzymali się i wszyscy: kozły, osły, młodzież skierowali na mnie swoje oczy. O pierwszych stworzeniach wolę nie mówić. Także chłopcy z respektu przed efendim wysilali się, żeby głośno się nie roześmiać, jednak śmiech na ich twarzach zarysował się tym wyraźniej; większość chichotała. Najbardziej szczerzy okazał się pewien niezwykle wyrośnięty, prawdopodobnie nieco zarozumiały trzpiot, który uradowany zeskoczył ze swojego osła i machając rękami jak skrzydłami wiatraka, wybuchnął głośnym śmiechem, ci zaś, którzy do tej pory chichotali, zaczęli się śmiać, a za chwilę już wszyscy, radośnie rechotali.

— Zleciał, zleciał! — wrzeszczał gałgan, radośnie podskakując i klaszcząc przy tym w dłonie.

Zdawał się wodzirejem tych roześmianych Eryni, gdyż:

— Zleciał, zleciał! — rozbrzmiewało teraz z wszystkich gardeł, przy czym wszystkie nogi skakały i wszystkie ręce klaskały.

— Musiał na dół, na dół! — wołał rozradowany.

— Musiał na dół, na dół! — triumfował za nim cały chór.

— I usiadł na tyłku tak jak ja teraz!

Mówiąc te słowa, usiadł, a w następnej chwili cała szajka młodych nicponi siedziała na ziemi i towarzystwo trzęsło się z radości, krzycząc:

— Usiadł na tyłku, na tyłku, tak jak ja teraz!

Naturalnie również się śmiałem. Teraz jednak przyszło najgorsze:

— Potem powstał dumnie i zrobił taką minę! — radowano się w tonach niskich, średnich i wysokich, wszystkich do jakich tylko było zdolne młodzieńcze gardło. Każdy z gromadki przybierał najpierw pozycję na czworakach, potem wolno balansował, w końcu podnosił się i próbował jak najwierniej naśladować wskazaną przez wodzireja minę. Żadna komedia, żadna poza nie byłaby w stanie tak rozśmieszyć, jak ta improwizowana, nad wyraz udana burleska. Co zrobiłby ktoś inny na moim miejscu, to mnie nie obchodzi. Chłopak był zdolny, oryginalny. Zapytałem go:

— W jeździe konnej jesteś chyba równie szybki jak w gadaniu, co?

— Jeszcze szybszy! — zapewniał.

— Tak? A więc posłuchaj, co ci powiem, mój chłopcze! Widzę, że urządzacie wyścigi. Tutaj zaczniecie, a meta będzie przy ostatniej zatoce jeziora. Kto pierwszy dotrze do celu, ten otrzyma ode mnie wielki pul-i-sefid*. Wstawajcie zatem i ruszajcie!

W jednej chwili wszyscy byli na swoich kozłach i osłach. Podniosłem rękę i zaczęła się wesoła gonitwa. Oczywiście osły rogatych jeźdźców już w pierwszej chwili wysunęły się naprzód. Wywołało to szalone wołanie i tupanie tych, którzy pomimo wszystko chcieli dogonić zawodników z przodu! Ja zaś zadowolony podniosłem się, a następnie wolno podążyłem za nimi. Brzeg jeziora dalej zakręcał i straciłem ścigających się z oczu. Kiedy dojechałem do tego miejsca i również zakręciłem, ujrzałem znowu zupełnie niedaleko ode mnie całą, ściśnioną razem grupkę jeźdźców. Wszyscy poziadali i jak mogłem się domyślać po ich ruchach i śmiechu, który do mnie dolatywał, cała burleska miała zaraz zacząć się od nowa.

Zbliżając się, zobaczyłem siedzącego na ziemi drągala — improwizatora. Masował sobie krzyż i robił przy tym niesamowicie cierpiącą, wykrzywioną bólem minę. Obok niego identycznie siedli wszyscy jego towarzysze i śmiejąc się, przekrzykiwali jeden drugiego:

— Chciał wstać, ale znowu wylądował na tyłku!

A jeden z nich, który przejął rolę prowadzącego przedstawienie, mówił dalej:

— Teraz pociera się po tym miejscu!

Mówiąc to, przejechał rękami po krzyżu i zaczął go rozcierać. Po chwili pozostali robili to samo i śmiejąc się, powtarzali za nim:

— Teraz pociera się po tym miejscu!

— I stroi przy tym taką minę! — dodał, naśladując wyraz twarzy zrzuconego przez osła.

— I stroi przy tym taką minę! — powtórzyła rozbawiona gromadka, a na twarzach można było dostrzec całą gamę uczuć od zwykłego smutku do najwyższego zdziwienia.

W tym tragicomicznym momencie dotarłem do pokrzykujących radośnie zawodników, którzy dopiero co podziwiali moją jeździecką sztukę.

— Co się stało? — zapytałem.

Grzecznie powstali. Również mój zjadliwy krytyk powoli podniósł się, wzdychając.

— Osioł mnie zrzucił, efendi — odpowiedział, niemal płacząc nad podłością wyrządzoną mu przez zwierzę.

— Pomimo że nikt ci nie zajechał drogi, tak jak wy mi zajechaliście?

— Tak! — przyznał i w tym samym momencie naprawdę zaczął głośno płakać.

— Uspokój się, mój chłopcze. Nic się nie stało! Nie jesteś ani pierwszym, ani ostatnim, który krytykuje innych, a później sam zostaje zrzucony przez własnego osła. Na tym wyścigi się skończyły. Jednak powinniście dostać waszego pul-i-sefid; podzielcie się nim, chłopcy!

Sięgnąłem do torby i rzuciłem pomiędzy nich srebrną monetę. Rzucili się wszyscy, a najszybciej płaczący jeszcze nicpoń. Widok pieniądza w jednej chwili wyleczył jego bóle krzyża. Ja zaś zadowolony odjechałem, ażeby przybywszy do domu, wstąpić na górę do mojego Hadzi Halefa. Nie spał i był jeszcze bardziej rzeński aniżeli wczoraj. Kara zdążył już mu opowiedzieć o moim ewentualnym udziale w wyścigach i jego ojciec tak się tym ucieszył, że przywitał mnie słowami:

— Hamdulillah, sihdi, wygramy wyścigi!

— Kto tak twierdzi? — zapytałem.

— Ja, Hadzi Halef Omar, szejk Haddedińów z wielkiego plemienia Szammar! Wszak ty staniesz do zawodów, a więc na pewno wygramy!

— Nie tak głośno, mój Halefie, bo zostaniesz wyśmiany!

— Dlaczego? Przez kogo?

— Właśnie spadłem z konia.

— Ty? Kara ben Nemsy, efendi, który daje sobie radę z każdym koniem i którego żaden koń nie zrzuca?!

— Tak, ja!

Usiadłem i opowiedziałem mu o swej przygodzie. Byłem w dobrym nastroju a moja relacja była tak udana, że dzielny Hadzi tak się zanosił od śmiechu, iż nie mógł się opanować. Obraz spadającego z konia jego sihdi był dla niego czymś najśmieszniejszym, co można tylko sobie wyobrazić.

— Znowu lekarstwo! — rzekł, kiedy wreszcie się uspokoił. — To leczy! Codziennie dwa razy taka porcja śmiechu, przed południem jedna i po południu druga, a wnet będę zdrow jak ryba i jeszcze zdążę wystartować w wyścigach razem z tobą! Bo wiesz, sihdi, radosne usposobienie to najlepszy lekarz. Żaden hekim ani żaden hekimbaszi* nie będzie nigdy lepszy od niego. Na nim możesz polegać!

Po południu zapadłem w drzemkę, a gdy się obudziłem, przybył jeździec Kalhuri z wiadomością dla mnie od Ustada. Wieść była pomyślna. Szacha nie było w Isfahanie, przebywał bowiem w położonym dużo bliżej nas zamku Mihribani i na dodatek miał przy sobie prawie cały swój dworski orszak. Ta okoliczność mogła sprawić, że nieobecność Ustada ulegnie znacznemu skróceniu. Kurier następnie poszedł szukać swojego pana, szejka Kalhuranów, któremu miał do przekazania ważną informację. Jak później się dowiedziałem, chodziło o braterską pomoc od wszystkich Kalhuranów w razie gdyby nieprzyjaciel zaatakował z którejś strony Dżamikunów. Ustad musiał więc poczynić w czasie drogi jakieś obserwacje albo dowiedział się czegoś o grożącym niebezpieczeństwie.

Kiedy później siedziałem na płaskim dachu, czytając jedno z dzieł Ustada, zobaczyłem Szakarę. Była po drugiej stronie w ruinach na odludnym dziedzińcu dwupiętrowej budowli, nad której drzwiami znajdowały się dwie rozbite tablice. Jako że skończyłem właśnie rozdział, odłożyłem książkę. Postanowiłem zrobić dziewczynie niespodziankę. W ręce trzymała naczynie i zdaje się, że zrywała jeżyny i maliny, których rosło tam mnóstwo. Jak już wspomniałem, ów dziedziniec cały zarośnięty był kolczastymi krzewami i pędami.

Zszedłem więc moimi schodami do drogi dzwonekowej i wąskim pasem ruin ruszyłem w stronę wieży, w której złapaliśmy aszyka. Tutaj znajdowały się schody prowadzące w dół na dziedziniec, na który chciałem się dostać. Obecnie z trudem można było rozpoznać stopnie, gdyż były tak zwietrzałe, skruszałe i zavalone wszelkiego rodzaju gruzem. Jednak poruszająca się ostrożnie stopa była w stanie po nich przebrnąć. Bardziej się ślizgałem, aniżeli schodziłem po tej pochyłości, a potem przedzierałem się pośród pędów krzewów jagodowych, żeby dojść do Szakary. Zauważyła mnie. Wskazała na przeciwną stronę i powiedziała:

— Mogłeś tamtędy przejść; tamta droga jest o wiele wygodniejsza. Można trafić nią tutaj nawet w

nocy!

Zobaczyłem, że dojście na dziedziniec od strony kamieniołomów było rzeczywiście dużo krótsze i łatwiejsze. Nie było nic dziwnego w tym, co powiedziała, jednak jej ostatnie słowa mocno utkwiły mi w głowie i kiedy do niej doszedłem, zapytałem:

— W nocy? Jesteś tak dobrze zorientowania?

— Jaki uważny jesteś i zaraz cię wszystko zastanawia! — odpowiedziała, stawiając naczynie na ziemi. Faktycznie w środku były hubub*.

— Tak, to prawda, byłam już tu nocą.

— Sama?

— Sama, a jednak nie sama. Nikt z naszych ludzi tutaj nie był, musiał to być ktoś inny.

— Kto?

— Któż by to wiedział! Chciałam ci później o tym powiedzieć, gdyż powinieneś się oszczędzać. Skoro jednak tu jesteś i pytasz, nie będę dłużej tego przed tobą ukrywać. Wiesz, że jestem u Dżamikunów po to, żeby obserwować; co, o tym ci jeszcze powiem. Nie należę do kobiet, które lękają się nocy i wpadają w strach, kiedy robi się ciemno. Kto pragnie tylko dobra, ten nie musi niczego się bać. A ja kocham właśnie ten gwiazdny firmament i dobry księżyc, który tak potrafi milczeć, a mimo to tak chętnie opowiada, kiedy się nim nie gardzi.

— Ja również.

— Ty również? Znowu podobni! Otóż to księżyc był tym moim starym, kochanym przyjacielem, który przyszedł do mnie, kiedy siedziałam niedaleko ogrodu. Pokazał mi magiczną moc dawnych murów, której niemal nie sposób się oprzeć, kiedy one jakby drgają w jego blasku. Musiałam wstać i przyjść z nim tutaj. Jak to się stało, że doprowadził mnie aż do tego kąta, gdzie czekała na mnie myśl? Usiadłam w głębokim cieniu. Wieczór był tak piękny. Czekał na swoją północ. A kiedy nadeszła, jej szata opływała srebrem, a na głowie niosła wszystkie gwiazdy. Jednak za nią ktoś przemykał cichaczem, ukradkiem, potajemnie, unikając najmniejszego hałasu, prawie tak jak wyobrażam sobie sumienie, które przez życie może się już tylko po cichu skradać. To byli ludzie. Nie szli razem, lecz pojedynczo, stamtąd od szerokiej ścieżki tutaj, i wszyscy szybko, niespostrzeżenie przechodzili przez te wąskie drzwi i znikali za nimi. Ostatni przyszedł po dłuższej przerwie. Miał czarne oblicze; dlaczego, tego nie mogłam zobaczyć. Siedziałam za daleko od jego drogi. On też później jako pierwszy, jak mi się zdawało, po pół godzinie opuścił budowlę i odszedł w kierunku moczarów. Po chwili zobaczyłam następnego, który poszedł jego śladem. Wyszli wszyscy bez wyjątku, tyle że pojedynczo, tak jak wcześniej. Liczyłam ich i kiedy wyszedł ostatni, skradałam się za nim. Nie zszedł całkiem na dół. Odbił w bok, aby obejść duar, tak jakby zależało mu na tym, żeby go nikt nie widział, i skierował się w stronę jeziora. Spojrzałam na wodę. Wzrok mam bystry i przychylny mi było światło mojego przyjaciela. Zobaczyłam, że oddalają się stamtąd jeźdźcy, tak samo pojedynczo jak ci obcy tutaj.

— Czy jeszcze kiedyś zaobserwowałaś coś takiego? — zapytałem.

— Nie. Widziałam to tylko raz.

— Ilu naliczyłaś ludzi?

— Sześciu razem z tym ostatnim.

— Przypominasz sobie dzień, w którym to widziałaś?

— Bardzo dokładnie. Takie coś się pamięta. Następnego poniedziałku miną cztery tygodnie.

— Czy rozmawiałaś o tym z kimś jeszcze?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Milczałam, bo ma to związek z moim celem. Często jednak o tym myślałam. Chciałam tego samego księżycowego dnia znowu przysiąść tam w rogu, ażeby dowiedzieć się, czy znowu przyjdą.

— Szakara! — wykrzyknąłem.

— Co, efendi? Co cię tak przeraziło?

— To, że potrafisz tak wyraźnie przeczuwać! Że tak jasne jest dla ciebie to, co ja z tak wielkim trudem muszę wyrywać z ukrycia! Powinnaś być duszą i jesteś nią istotnie! Dżanneh, Dżanneh, która pewniej czuje i z większym przekonaniem spogląda w dal aniżeli dumny duch, dla którego nie jest to możliwe!

— Dżanneh? — zapytała. — Słyszałeś to słowo od Marah Durimeh? To moje pieszczotliwe imię. Tak mnie nazywała, kiedy czule i z uznaniem przyciągała mnie do siebie i swoimi matczynymi wargami całowała moje włosy.

— Naprawdę? Naprawdę? Pieszczotliwe imię? Moje dziecko, jeśli Marah Durimeh w takiej chwili daje ci imię, to znaczy, że w tej pieszczocie ukryta jest głęboka prawda. Wołają na ciebie „Szakara”, abyś była „wdzięczna”. Za co? Że nie tylko nazywasz się Dżanneh, ale też że nią jesteś!

— Nie rozumiem cię, efendi, a jednak czuję, że mówisz prawdę. Powiedziałam, że wrócę tam do tego kąta. Rada bym się dowiedzieć, czy może w tej mejme-i-yehud kryje się jakaś...?

— Mejme-i-yehud? — przerwałem jej prędko. — Niesamowite, niesamowite! Dżanneh, Dżanneh, podświadoma wiedza! Zaraz idziemy do tego twojego kąta i usiądziemy tam. Muszę coś ci opowiedzieć. Zobaczysz, jak w jasnym świetle dnia przychodzą wszystkie cienie i na koniec ludzie, których widziałaś wtedy w nocy.

Poszliśmy w tamto miejsce. Padał tam teraz cień nie księżycowy, ale słoneczny. W rogu leżał

wielki niski kamień, który posłużył nam za ławkę. Zacząłem swoje opowiadanie od momentu, kiedy podśluchiwałem Sillanów nad Tygrysem i po raz pierwszy usłyszałem słowo mejme-i-yehud. Przekazałem jej wszystko, co później nastąpiło i co zdawało się mi przeznaczone, żeby traktować właśnie mnie, obcego, stojącego właściwie całkiem z boku jako najbardziej niebezpiecznego wroga cieni, przysłuchiwała się cicho, nie przerywając mi, jako że miłość i zrozumienie leżały w jej naturze. Kiedy skończyłem, nabrała głęboko powietrza w płuca i powiedziała:

— Efendi, czy w tym wszystkim nie ma silnej, świadomej celu i śmiało kroczącej naprzód woli? Nie jakieś fatum, nie kismet*, lecz prowadzenie, jakieś wyższe kierowanie, które co prawda wybrało ciebie, żebyś realizował jego plany, ale pozostawia ci jednak wolną przestrzeń dla twoich uczuć, myśli i decyzji? Kto tak to uporządkował i kim są ci wszyscy dobrzy, potężni, którzy cię chronią i bez przerwy dbają o to, żeby twoje oczy mogły widzieć coraz dalej i coraz jaśniej? Kroczysz drogą, o której mówisz, że jest twoja; bo tak jest, ale zarazem jest ona ich drogą. Nie schodź czasem z niej! Nie daj się zwabić na ścieżki innych! Straciłbyś tę mocną ochronę i zamiast władcą stałbyś się niewolnikiem! To samo prowadzenie przywiodło mnie do „wysokiego domu” wtedy, kiedy ty przyjechałeś. Dostrzegam to teraz. Podajemy sobie ręce ku szczęściu Dżamikunów. I skoro już to wiem, mogę mówić otwarcie: czy masz czas, efendi?

— Dla mojej duszy zawsze. Jesteś przecież... Dżanneh!

— Jakże się cieszę, że to tak miłe mi imię dźwięczy także z twoich bratnich ust! Wiesz, że przysłała mnie Marah Durimeh, żebym potajemnie tutaj wszystko obserwowała. Ustąd nie ma wprawdzie dowiedzieć się o tym, później jednak powinien poznać wynik. Nie zdajesz sobie sprawy, jak daleko ona patrzy, wysoka pani przyodziana w nędzną szatę! A jej pozornie słaba, mała ręka, jakże jednak jest potężna, kiedy trzeba dobrych strzec przed złymi! Ona zna cienie, zna też ich zachowanie i nie spuszcza ich ze swojego bystrego oka. Na tym terenie ja mam być jej okiem. Dlatego tak po cichu wędruję wszędzie i dlatego również badam tutaj w ruinach.

— Nawet nocą! Naprawdę się nie lękasz? — zapytałem.

— Lękać się? Czy ty może się lękasz, efendi?

— Nie.

— Powiedz mi więc, dlaczego dusza ma odczuwać strach, jeśli duch nie trwoży się ani razu? Czyżbyś jeszcze tak słabo znał ich oboje, że jego uważasz za potężnego i silnego, ją zaś za potrzebującą pomocy? Proszę cię, spójrz na to inaczej! Pomyśl o duszy swojego własnego ludu! Każ wszystkim, wszystkim duchom waszej historii świata uzbroić się przeciwko niej, cudownej. Co ona wówczas uczyni? Będzie się tylko śmiać! Lękać się nie będzie! Bo przed kim?! Wiesz przecież, że chciałam tutaj wrócić, żeby podśluchać, o czym mówi tych sześciu tajemniczych ludzi. Nie byłoby to wcale takie bezpieczne, a jednak nie przyszło mi do głowy, żeby myśleć o strachu. Na drugi dzień po nocy, w której spotkałam ich, przyszłam tutaj znowu, żeby obejrzeć ślady. Prowadziły do miejsca najświętszego*, w którym odbywało się spotkanie będą prawdopodobnie naradą.

— Widziałaś jeszcze inne ślady?

— Nie.

— Gdzie jest to miejsce najświętsze, o którym przed chwilą mówiłaś?

— To drugie pomieszczenie po przejściu przez te wąskie drzwi.

— Pokaż mi je proszę.

— Teraz?

— Tak.

— W takim razie zaczekaj! W środku jest kompletnie ciemno, przyniosę światło.

— Z domu?

— Nie. Mam tutaj schowane świece, ponieważ często je potrzebuję.

Oddaliła się, po krótkim czasie jednak wróciła. Jej kryjówka znajdowała się zatem w pobliżu. Poszliśmy w stronę wspomnianych wąskich drzwi. Z daleka wyglądało tak, jakby gęszcz krzaków rosnących przed nami był zupełnie nie do przebycia, przy samym murze jednak gęstwinię zupełnie zdeptano, tak że można było swobodnie przejść. I zdaje się przechodzono tędy nierzadko!

Gdy weszliśmy do środka, znaleźliśmy się w wysokim pomieszczeniu, w którym podłoga i strop miały kształt kwadratu i w którym były trzy otwory drzwiowe, naturalnie pozbawione drzwi. Weszliśmy przez pierwszy. Po lewej stronie drugi otwór prowadził do długiej, wąskiej sali, a wprost przed nami trzeci do miejsca najświętszego. Po prawej stronie również były drzwi, ale już dawno zamurowane. Nazwałem tę budowlę dwupiętrową. Z zewnątrz na taką wyglądała, dolne piętro bez okien, górne zaś z oknami, których rolę pełniły wąskie leżące poziomo otwory przepuszczające światło; czasami widzi się takie w Niemczech w starych stodołach. Słońce nie było więc w stanie oświetlić jej wnętrza. Sala spotkań nieznanym, w której właśnie się znajdowaliśmy, przechodziła przez oba piętra. Sufit dźwigała jedna, jedyna, nadzwyczaj masywna, stojąca na środku kolumna, która zdawała się wznosić w górę z wodnej kadzi, obecnie oczywiście suchej. Czyżby czyszczono się w tym kamiennym „morzu” tak, jak później w jeziorze? Podłogę tworzyły wielkie płyty, tak zabłocone, że nie było ich widać.

Zapaliliśmy świecę i poszliśmy do znajdujących się naprzeciwko drzwi, żeby wejść do miejsca najświętszego. Jak Szakara wpadła na to słowo? Czyżby znała Biblię? Pomieszczenie, do którego weszliśmy, było niższe od poprzedniego i nie miało okien. Powietrze wewnątrz było ciężkie i niezdrowe. Trzy ściany były nagie; tylna nie. Stało przy niej coś, co wyglądało na ołtarz. Izraelita uznałby to prawdopodobnie za kopię albo nawet za prawzór Arki Przymierza. Nad ołtarzem rozciągało się coś w rodzaju empory szerokiej jak tylny mur. Prowadziły do niej schody, których istnienie należało w zasadzie już do przeszłości. Widać było jedynie miejsca, gdzie pojedyncze stopnie stykały się z bocznymi ścianami. Pośrodku zobaczyliśmy trzy rzędy kamiennych siedzisk, po

trzy w każdym rzedzie, na których niegdyś zasiadali kapłani. Również tutaj podłogę stanowiły płyty. Błoto, które na nich zalegało, było jeszcze większe niż na zewnątrz.

Szakara udowodniła mi, że na tych kamieniach siedziało sześciu nieznajomych. Widzieliśmy miejsca, gdzie z łójówek, które przynieśli ze sobą, kapał łój, następnie przez nich starty. Pozostały tłuszcz był jeszcze tak czysty, że plamy nie mogły powstać dalej niż przed czterema tygodniami. A kiedy poszukaliśmy dokładniej, znaleźliśmy mnóstwo podobnych plam, tyle że o wiele starszych. Zgadzało się to całkowicie z tym, co widzieliśmy i co sobie wyobrażaliśmy.

Zabrałem Szakarze świecę, chcąc poszukać jeszcze jakiś śladów. Mogła nie mieć w tym takiego doświadczenia, jakie ja miałem. Nie znalazłem niczego poza odciskami ludzkich stóp. Chciałem już zrezygnować z dalszych poszukiwań, ale oświetliłem jeszcze kąt z tyłu i dostrzegłem w głębokim mączystym kurzu inny odcisk. Wyciśnięty był jakimś solidnym drągiem albo czymś podobnym, co wbito tu na dole i oparto o emporę. A całkiem niedaleko od niego leżały dwie odłamane krótkie witki. Podniosłem je i uważnie obejrzałem.

— Co tak się zastanawiasz, efendi? — zapytała Szakara. — To tylko dwie gałązki, nic poza tym! Kto to wie, jak się tu znalazły!

— Kto? Ja wiem. I... nic poza tym, powiadasz? To dużo, bardzo dużo! Kiedy wszedłem do pomieszczenia, w którym Pederahnie odbywają swoje narady, od razu zacząłem się zastanawiać, jak by można ich podsłuchiwać, kiedy zjawią się tu znowu w poniedziałek. Należałoby wejść wcześniej na emporę. Taka była moja myśl. Teraz widzę, że nie jestem pierwszym, któremu ten pomysł wpadł do głowy. Ktoś już ich podsłuchiwał.

— Kto?

— Niestety te dwie gałązki nie powiedzą mi tego. Wiadomo jednak, że chcąc wdrapać się na emporę, potrzeba drabinki albo przynajmniej drąga, ale ani jednego, ani drugiego tutaj nie było. Zatem ktoś, kto chciał wejść do góry, musiał pójść do lasu i przynieść odpowiedni drewniany pień. Gałęzie odciął, pozostały jednak suche resztki konarów. Przygotowany w ten sposób drąg postawił na ziemi i oparł pionowo o ścianę. Kiedy wdrapywał się po nim, odłamał te dwie gałązki. One i odcisnięty ślad na podłodze świadczą o tym. Jeśli ktoś wspina się w ten sposób na górę, po czym wciąga za sobą drąg, może być niemal pewien, że nikt go nie odkryje.

— Teraz rozumiem, efendi. Kim mógł być ów człowiek?

— Na pewno nie Dżamikim, bo wiadomo, że ten poradziłby sobie bez drąga.

— Nie Dżamikim...! — powiedziała, zastanawiając się. — Efendi, coś przychodzi mi do głowy. Widziałam już taki pień, całkiem świeżo ścięty i nie obrobiony.

— Gdzie?

— Na górze w wieży, tam gdzie złapaliście aszyka.

— Kiedy?

— Tego samego ranka, kiedy tutaj szukałam tych śladów. Przeszłam wówczas przez górne piętro, także w wieży. Zobaczyłam tam leżący pieńek świerkowy, dokładnie taki, jak przed chwilą opisałeś. Także długość była ta sama. Myślałam, że jakiś Dżamiki odwiedził wieżę; dlatego przeszłam koło niego obojętnie. Po południu poszłam tam jeszcze raz; pieńka już nie było.

— Ach, więc to aszyk! To on podsłuchiwał Pederahnów! Zatem nie należy do nich! Jeśli w takim razie jest Sillem, to tylko zwykłym! Czy pracował dla szejka ul Islama? Czy podsłuchiwał tu dlatego, że należy do Sillanów, którzy szykują powstanie przeciwko swojemu emirowi? Nie musimy od razu wyciągać wniosków. Mamy czas, żeby się nad tym zastanowić. Chodź!

Poszliśmy. Po wyjściu z miejsca najświętszego, skierowaliśmy się do trzecich drzwi, prowadzących do długiej, wąskiej sali. Nie znaleźliśmy tam nic szczególnego. Kiedy jednak doszliśmy na sam koniec, okazało się, że nie ma tu w ogóle ściany, a zamiast niej jest kupa gruzu, która sięgała prawie do sufitu.

— Szakara! — wykrzyknąłem głośno, do granic zdziwiony. — Mój sen, mój sen! To jest rumowisko, zupełnie to samo rumowisko, z którego obserwował mnie czarownik. Zdaje mi się, że gdy wejdem do góry, zobaczę jego głowę. To niesamowite!

— Niesamowite? — zapytała. — Efendi, efendi, ty naprawdę jeszcze mało wiesz o swojej duszy! A tak jesteście dumni z waszej mudżewwedet*! Nie odszukasz schodów, po których we śnie wspinałeś się do cienia stojącego w otwartych drzwiach?

— One znajdują się po drugiej stronie, oddzielonej murem.

— Każ więc je otworzyć; jestem przekonana, że tam stoi!

— Zrobię to, kiedy przyjdzie na to czas. Teraz chciałbym stąd wyjść znowu na słońce! Ale czekaj: coś przychodzi mi na myśl. Przecież za tym gruzem schodzi się do wody, gdzie jest aszyk. Muszę usłyszeć stamtąd jakieś oznaki życia! — Wdrapałem się na górę. Szakara natychmiast ruszyła za mną i złapała mnie za ubranie.

— Na miłość Chodeh, nie skacz na dół! — ostrzegła.

— Nie martw się! Jestem ostrożny!

— Wolę cię jednak trzymać i nie puszczyć! Jeśli skoczysz, runę razem z tobą!

— To jest Dżanneh, Dżanneh, dusza, która razem z duchem się wdrapuje i wraz z nim upada!

Kupa gruzu była u góry szeroka i trzymała się mocno, pomimo to bardzo uważałem. Szakara nie puszczała mnie. Oddychałem wilgotnym powietrzem. Sufit nad moją głową pokrywała pleśń. Głośno zawołałem, po chwili jeszcze raz i jeszcze raz. Po trzecim krzyknięciu nadeszła odpowiedź, ale jaka! Wydawało się, jakby na dole wyły i ryczały o pomoc setki głów; był to efekt zwielokrotnionego echa. Nie mogłem nic zrozumieć. To wystarczyło jednak, żeby wiedzieć, iż jeszcze żył, nie zsunął się z kamienia i nie zatonął. Czołgając się, zszedłem więc z powrotem na twardej grunt. Szakara wytarła

sobie pot z czoła i poprosiła:

— Efendi, nigdy, nigdy już nie chcę czegoś tak straszego! Musisz mi to przyrzec!

— Myślałem, że nie wiesz co to strach?

— Nie boję się tylko o siebie! O innych jednak mogę i muszę drzeć! Chodź prędko stąd! Muszę zobaczyć cię na dworze!

Pociągnęła mnie naprzód i puściła dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się na dziedzińcu. Nie mogła postąpić inaczej; taką miała naturę. Teras odetchnęła głęboko i radośnie i przemówiła:

— Tam widziałam tylko upadek i potępienie! Czas nadszedł; wszędzie dookoła już grzmi! Tutaj jednak stoję w jasnym świetle słońca i widzę z daleka, jak nadchodzi pomoc. Na wschodzie gotowi są już Kalhuranowie, a tam gdzie zaczynają się najwyższe góry, pojawia się pomoc od Marah Durimeh. Wystarczy, że dam jej znak, a wyśle zaprawione w walce oddziały, które również są już gotowe do boju z naszymi wrogami.

— Marah Durimeh ma już gotowe oddziały? — spytałem prędko. — To byłoby przecież wspaniałe dla nas! Jest więc przekonana, że dojdzie do walki!

— Tak. I przygotowała się do niej. Powinniście polegać na szachinszachu, tak. On was miłuje i jest władcą królestwa. Jednak ci, którzy nazywają siebie jego „wielkimi”, zamieniają po drodze jego miłość w nienawiść i omamniają cały świat wielkim kłamstwem, że oto szach dał im władzę, którą tak naprawdę tylko on może posiadać. Nieposłuszny przyłącza się do nich i czyni ich pozornie na tyle silnymi, żeby mogli przeciwstawić się władcy. Ten, kto spokojnie kroczy ścieżką panującego, będzie prześladowany i gnębiony. Kto zaś kłaniać się będzie tym „wielkim”, czy to z głupoty, czy dla własnej korzyści, tego będą wspierać wszelkim sposobem. Szach jest dobry, ale także sprawiedliwy. Nie wymierza kary tak od razu. Przyjdzie jednak jego czas i padnie słowo, które huknie jak młot. Mądry poddany nie uprzedzi go w działaniu. Gnuśność nieustannie potrzebuje tylko pomocy. Dla każdego jednak, kto ma męski charakter, szczęściem jest wiedzieć, że można samemu sobie odpowiednio pomóc. Chodź, efendi, charakter istnieje naprawdę! Weźmy sprawy w swoje ręce. Jeśli szach to zobaczy, wówczas się ucieszy. Właśnie w tym, że sami tego dokonamy, leży jego największa siła: umiłowanie ludu!

Mówiła bardzo poważnie. Podniosła naczynie i, uśmiechając się, serdecznie dodała:

— Te maliny zrywałam dla ciebie i chorego Hadzi. Naturalne soki! Lepsze niżeli wszystko, co nierozumnie miesza sztuka kucharska!

— Daj mu je wszystkie, Szakaro! Mam charakter i nazrywam sobie sam!

Wówczas jej uśmiech zamienił się w ten krótki, melodyjnie brzmiący śmiech, który tak miły był moim uszom.

— Idę zatem naprzód — powiedziała. — Hanneh wie, że przyjdę.

Jeszcze przez długą chwilę pozostałem na dziedzińcu, aby posmakować wielkich, białych malin*. Nagle usłyszałem, że ktoś mnie woła. Obróciłem się i zobaczyłem Karę ben Halefa, który schodził ze wspomnianego już miejsca muru i spieszył w moją stronę.

— Sihdi, przynoszę ci wiadomość o odwiedzinach, bardzo ważnych odwiedzinach — odezwał się.

— Kto nas odwiedza?

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Skąd przybywa?

— Tego również nie mogę ci wyjawić. Masz sam przyjść i zobaczyć.

— Coś dobrego?

— Bardzo dobrego!

Nie chciałem jeszcze się wspinać, poszliśmy więc w kierunku drogi dzwonekowej. Po drodze młody Haddedihn opowiadał mi:

— Odbywałem swoją treningową jazdę, tym razem ku Przełęczy Zajęcej, i natrafiłem na grupę jeźdźców. Pośród nich znajdował się jeden z Dżamikunów, którzy parę dni temu wyruszyli z Ustadem. Oddział prowadził jakiś bardzo dystyngowany Pers. Wiedział, że Ustad wyjechał, i zapytał o ciebie. Mówił, że musi cię odwiedzić. Oczywiście zawróciłem i ruszyłem tutaj razem z nimi. Ten Pers rozmawiał już ze Szakarą i z Pedehrem. Oboje natychmiast popędzili, żeby otworzyć górne piętra wartowni, gdzie jest kilka pokoi dla specjalnych gości. Tam zamieszka. Teraz przebywa w holu.

— Ile ma ze sobą służby?

— Tylko trzech stajennych.

— Taki wytworny pan? W tej niebezpiecznej okolicy?

— O bezpieczeństwo dobrze zadbał. Do samej przełęczy towarzyszył mu oddział Kalhuranów i dopiero stamtąd jechał do nas tylko ze służbą. Przywiózł osiem koni, cztery do jazdy, trzy do dźwigania bagaży i jeden wolny, który zdaje się cenny, cały bowiem jest zapięty w strój; jedynie kopyta, chrapy i oczy są odkryte. Nawet ogon starannie owinięto lekkim, cienkim welonem, takim jaki wykwinne damy noszą na twarzy. Czy to nie dziwne?

— Po tym co powiedziałaś, ów koń rzeczywiście zdaje się najwyższej wartości. Zobaczymy go przecież!

Koniec cieni

Kary koń z roziskrzoną grzywą

Kiedy weszliśmy na podwórze, koni na nim już nie było. Wprowadzono je tymczasem do piwnicy, w której przebywali żołnierze — jeńcy. Ruszyłem do holu. Tam siedział już obcy razem z Pedehrem. Nieznajomy miał na sobie perski ubiór. Kiedy zobaczył, że wchodzę, podskoczył. Poznał mnie, a ja jego.

— Dżafar! — krzyknąłem.

— Mój wybawco! — zabrzmiało z jego ust.

Mówiąc to, podbiegł do mnie, objął ramionami i całował pięć, sześć, osiem razy, w usta, w czoło, w policzki, gdzie się tylko dało! Swego czasu, kiedy byliśmy razem w Stanach Zjednoczonych, zachowałem się wobec niego nieco szorstko. Zdaje się, że zupełnie o tym zapomniał, gdyż autentycznie promieniał radością. Moje oblicze również napełniło się serdecznością, było ono jednak spokojniejsze aniżeli jego. Długo jeszcze trwało, nim ustały pośpiesznie zadawane pytania. W końcu usiedliśmy, a Pedehr wykazał się przemyślnością i kazał przynieść dwie perskie fajki. Palenie i ciągłe staranie, żeby fajki nie zgasły, zmusiły nas do spokojniejszej rozmowy. A że znajdowaliśmy się nie na Dzikim Zachodzie, ale w samym sercu Orientu, zgodnie ze zwyczajem panującym w tej okolicy przeszliśmy od razu na ty. Jakoś dziwnie ten człowiek nie postarzał się ani o jeden dzień, a sam o mnie również mówił, że wyglądam teraz młodziej aniżeli kiedyś. Nie uznałem za konieczne, by przestrzegać perskiej etykiety. Zgodnie z nią należy cierpliwie czekać, aż druga osoba zechce łaskawie przyjąć upragnioną wiadomość. Spytałem go prosto z mostu, skąd wie, że przebywam u Dżamikunów. Spojrzał na mnie, potrząsając głową, i zapytał:

— Nie wiedziałeś, że jestem znajomym Ustada? — Oczywiście, że wiedziałem!

— I nie pomyślałeś o tym, że pierwsze co zrobił, to powiadomił mnie o twoim przybyciu do „wysokiego domu”? Opowiedziałem mu, ile ci zawdzięczam i jak bardzo pragnę znowu cię zobaczyć! Kilkakrotnie informował mnie o stanie twojego zdrowia, nie mógł jednak zdradzać się z tym przed tobą, ponieważ ja chciałem zrobić ci niespodziankę. No i oto jestem! I mam cię pozdrowić! Od kogo?

— No? — zapytałem.

— Od szachinszacha.

— Od... niego?! — zawołałem zdumiony.

— Nie masz się co dziwić! To raczej całkiem zrozumiałe! Opowiadałem szachowi o tobie, i to nie raz, lecz wielokrotnie. Tam w Ameryce myślałeś, że jestem ignorantem, nieostrożnym marzycielem. Ale... — dodał, uśmiechając się lekko. — To marzycielstwo było *tebdilem*, *teswirem**, chociaż przyznaję, że rzeczywiście nie znałem panujących stosunków, dopiero studiowałem je i zanadto sobie zaufałem. Moje zadanie polegało na... ale o tym później! Mówiąc krótko, szach poznał cię dzięki

opowiadaniom i nie tylko poznał, to było coś więcej. Dowiedział się wszystkiego, co o tobie wiedziałem. A nie tak dawno zjawił się jeszcze ktoś inny, kto opowiedział mu o tobie jeszcze więcej aniżeli ja. To jakiś Anglik, nazywa się David Lindsay i...

— Lindsay jest w Isfahanie? — przerwałem mu prędko.

— Już nie, znowu wyjechał.

— Dokąd?

— Najpierw do Jesd, z tego co wiem. Później chce tutaj się zjawić, żeby z tobą dalej podróżować. Nie sądzę jednak, aby miał zrealizować swój zamiar. Pewien krewny, który mu towarzyszy, mianowicie jakiś generał, wcale nie głupi, tak zajął mu czas, iż niewielką masz nadzieję na to, że w najbliższym czasie znowu spotkasz swojego osobliwego przyjaciela. Przedstawiono mi tego Lindsaya i tyle mi o tobie naopowiadał, i tak interesująco, że poprosiłem go, aby mnie odwiedził. Zwróciłem uwagę szacha na niego. Dzięki temu we trójkę spędziliśmy na rozmowach bardzo ciekawy wieczór. Rozmawialiśmy o tym, jak podróżował z tobą, i o planach, jakie wiązałeś ze swoimi podróżami. Wiesz, że szach pisze książki. Ja także jestem pisarzem. Nazywają mnie nawet poetą. Jest więc całkiem zrozumiałe, że władca bardzo żywo zainteresował się tobą i cieszył się z twojej obecności w jego kraju. Kiedy się dowiedział, iż mam zamiar cię odwiedzić, kazał mi przekazać tobie swoje pozdrowienia, i to podwójne. Z jednego na pewno się ucieszysz, gdyż jest ono znakiem jego łaski. Drugie natomiast jest tak osobliwe, że prawdopodobnie wyda ci się dziwne. Nie jestem zmęczony, nie muszę więc wypoczywać po dzisiejszej jeździe, najlepiej będzie zatem, jeśli od razu wykonam oba jego polecenia. Masz czas, efendi?

— Tak.

— W takim razie chodź ze mną do mojego tymczasowego mieszkania.

Poszliśmy do wieży, dwa kamienne piętra do góry. Stajenni wnieśli już bagaż. Nie było tam nikogo poza Szakara, która robiła porządek. Chciała zaraz odejść, poprosiłem ją jednak, aby pozostała. Kiedy Dżafar otwierał jedną ze swoich paczek, podszedłem do okna. Rozciągał się tutaj również piękny widok, jak po tamtej stronie okna. Kiedy paczka została otwarta i zaczął ją rozpakowywać. Zobaczyłem długie, szerokie sirdzameh* z kosztownego, niebieskiego jedwabiu, białą jedwabistą pirahen*, alkalok* z najdelikatniejszej ciemnoniebieskiej bawełny, z ciasno przyszytymi, srebrnymi naszywkami, w tych samych kolorach keba* z cienkiego, ale niezniszczalnego kaszmiru, komer* długi przynajmniej na sześć metrów wykonany z delikatnej przędzy i służący do owinięcia się wokół pasa, dżubbeh*obszuty kosztownym futrem, wysoką, czarną czapkę z jagnięcej skórki, taką, którą może podarować jedynie cesarz, parę pantofli, parę trzewików i parę butów do jazdy konnej z niezwykle miękkiej skórki z gazeli.

Już Biblia mówi o „odświętnych ubraniach”, które prezentowali królowie. To jest orientalny zwyczaj, który do dzisiaj zachował się w niektórych krajach. Szach szczególnie lubił okazywać w ten sposób swoją łaskę.

— Spójrz! — nalegał Dżafar. — Ten zaszczytny strój mam przekazać ci od władcy. Osobiście go

wybierał, po tym jak opisałem mu twoją posturę. Po materiałach możesz się przekonać, czy owo wyróżnienie jest zwykłe czy też nie. Masz w zwyczaju spoglądać głębiej. Wiem, że ten ubiór dla ciebie znaczy więcej aniżeli dla kogokolwiek innego. Allah daje swoim duchom rozmaite szaty, pozornie piękne i pozornie szkaradne. Wszystkie mają wspólną nazwę: ciało. Dla niego szkaradnym jest tylko zło, a pięknym tylko dobro. Od człowieka wyłącznie zależy to, czy doceni ubranie, czy też nie!

Takiego czegoś zupełnie się nie spodziewałem! Moja radość powiększyła się dwukrotnie, kiedy Dżafar otworzył drugą paczkę, która, jak się okazało, zawierała podobny strój dla mojego Hadzi Halefa. Już teraz widziałem dzielnego przyjaciela, jak w duchu rozkoszuje się tym ubraniem. Przecież jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby jakiś Haddedihih został zaszczycony przez szachinszacha, i to na dodatek w taki sposób!

Nie mam zwyczaju przyodziewać wdzięczności w mnóstwo głośnych pięknie brzmiących słów. Wolę spokojnie nasycać nią swoje wnętrze. Rozumiałem, o co chodziło szachowi i Dżafarowi, który wręczył mi prezent, a Dżafar z kolei rozumiał mnie, chociaż tak niewiele powiedziałem.

— A teraz druga rzecz, ta szczególna! — zaczął znowu mówić. — Swoją podróż rozpocząłem od przybycia do zamku Mihribani, w którym obecnie znajduje się władca. Po opuszczeniu szacha, na drugi dzień spotkałem Ustada zmierzającego właśnie tam, skąd ja wracałem. Prosił mnie, bym zaczekał, aż spotka się z szachem, i żebyśmy jechali do „wysokiego domu” razem; nie przystałem jednak na to. Przy okazji opowiedział mi bardzo dużo, jeśli nie wszystko, o tym, co tu się wydarzyło. Dowiedziałem się także, że słyszałeś o Syrrze, rzekomym prezencie szachinszacha, tajemniczym koniu. Proszę cię, powiedz mi, co o nim wiesz.

Przekazałem mu wszystko, czego dowiedziałem się na temat Syrra; nie było tego zbyt wiele i na dodatek brzmiało niezupełnie jasno.

— Informacje, które posiadasz, są po części prawdziwe, po części fałszywe — powiedział Dżafar po usłyszeniu mojej opowieści. — Władca wpadł na wspaniały pomysł, żeby szkolić swojego najlepszego konia, właśnie tego najlepszego z najlepszych, w całkowitym ukryciu i bez żadnych świadków. Tym koniem był Syrr. Tylko jego nosił na grzbiecie. Jest zbyt dobry, zbyt szlachetny, żeby uciekać się do starej sztuczki zrzucania jeźdźca z grzbietu. Słuchał wyłącznie szachinszacha. Gdy ktoś inny próbował na niego wsiąść, nie ruszał się z miejsca. Owszem pozwolił trzymać się za cugle, ale nic poza tym. Szach, mając na uwadze, że jego liczni stajenni i kaprysy innych koni mogłyby go zepsuć, przekazał Syrra do mojej stajni, gdzie nikt nie będzie mu się naprzykrzać. Stajnia ta, chociaż mała, ale piękna, stoi prawie całkiem pusta; a że jeździec ze mnie kiepski, nie grozi Syrowi, że będę go molestować. Nie dostałem więc w prezencie tego konia. To nieprawdziwa pogłoska. Kiedy tylko władca potrzebuje swojego Syrra, przyjeżdża do mnie i również później osobiście wraca na nim do mojej zagrody. Nie ma jednak nic przeciwko temu, a raczej sprawia mu to uciechę, kiedy rzekomi wirtuozi jazdy konnej proszą mnie, by mogli dowieść, że Syrr, czy chce, czy nie chce, musi być na posłuszny. Nie znalazł się jeszcze żaden, który by tego dowiódł. Każdy odchodził zawstydzony, gdyż nie mógł odkryć tajemnicy między szachem a jego koniem. Przyglądasz mi się, efendi. Uśmiechasz się. Myślisz może, że ty ją odkryjesz?

— Chętnie bym spróbował — odparłem.

Wówczas wtrącił prędko:

— Właśnie to masz zrobić!

— Kiedy?

— Kiedy tylko zechcesz!

Tym razem spojrzałem na niego zupełnie inaczej niż poprzednio.

— Dżafar! — zawołałem. — Słyszałem, że zabrałeś ze sobą konia, który całkowicie był okryty. Czy mam przypuszczać, że...

Czułem, iż zbyt ryzykowne jest kończyć rozpoczęte zdanie. Dżafar jednak zaśmiał się radośnie i dokończył je za mnie:

— Że ten koń to Syrr naszego władcy? Tak, to prawda. To jego zabrałem ze sobą.

Nie mogłem wydusić z siebie ani jednego słowa. Byłem niemal przestraszony. Dopiero po chwili odzyskałem głos:

— Cóż za śmiałość z twojej strony! Co jednak robi szachinszach, kiedy się o tym dowie? Powierzył Syrra w twoje ręce, żeby nikt mu ni dokuczał, a ty ciągniesz go ze sobą w podróż przez tyle dni, aż tutaj do nas, narażając na wszystkie niebezpieczeństwa, przed którymi miałeś; go ochraniać!

Teraz roześmiał się jeszcze serdeczniej niż przedtem i odpowiedział:

— Karcisz mnie, zamiast chwalić! Ty naprawdę się rozżłościłeś, efendi! Biorę to jednak za dobry znak i uspokoję cię. Wiedz, że Syrr był całkowicie bezpieczny. Byliśmy, to znaczy Syrr i ja, eskortowani aż do Kalhuranów przez oddział gwardii, a stamtąd wasi przyjaciele prowadzili nas prawie aż dotąd. Nic nie mogło więc nam się stać po drodze... Żeby nie nadwerężyć zbyt mocno konia, nie czekałem na Ustada, ale wolno zmierzałem dalej. A skoro mówię o gwardii, to znaczy, że na moją wyprawę otrzymałem specjalne pozwolenie od władcy. Tak, to od niego wyszedł pomysł, żebym zabrał tutaj Syrra!

— No to już zupełnie osłupiałem!

— Osłupiałeś? Zaraz cię ożywię. Nie przywiozłem Syrra dla nikogo innego, tylko dla ciebie.

— Dla mnie? Bądź poważny!

— Tak, tak; dla ciebie! Powiedziałem szachowi, że jesteś dobrym jeźdźcą, ale przecież wielu dobrych jeźdźców, którzy uważali się za wirtuozów, nadaremnie próbowało ujeździć jego konia. Wszakże mówiłem również władcy o twojej zmyślności, o twoim baczeniu na wszystko co głębsze i

o twojej miłości do zwierząt. Lindsay tyle opowiadał o tobie i twoim Rihu, najwspanialszym koniu Haddedińów. Szach dowiedział się, jaki jest twój stosunek do koni i w ogóle do wszelkich stworzeń. Opowiedziano mu także o twoim skoku ponad przepaścią zdrajców* i o strasznie zuchwałym czynie, gdy mając z przodu i po lewej stronie przepaść, z prawej skalną ścianę, z tyłu wrogów, a pod sobą kamień zaledwie na cztery stopy szeroki, zmusiłeś kilkoma łagodnymi słowami swojego drżącego ze strachu konia do skoku w górę, przeniesienia cię ponad urwiskiem i wolnego odwrócenia się do tyłu*... Wówczas szach wykrzyknął, że może ty będziesz drugim, któremu Syrr okaże posłuszeństwo, bo przecież twoje łaskawe słowo wystarczyło, żeby śmiertelny lęk konia przemienić w pełne spokoju zaufanie. Kiedy usłyszał, że zamierzam cię szukać, narodził się sam ze sobą, czy powierzyć mi Syrra, czy też nie. Ja odradzałem mu, bo nie sądziłem, że podołam takiej odpowiedzialności. Jednak mój opór zdawał się dawać mu gwarancję, że koń jest w dobrych rękach nie tylko w mojej stajni, ale także w czasie mej podróży, i rozkazał mi zabrać go ze sobą. Mówię: rozkazał; nie mogłem więc dłużej zwlekać.

— Dżafar mirza... najpierw wszakże, jak mam cię tytułować?

— Nazywaj mnie po prostu Dżafar; tak właśnie chcę. Inni niech sobie mówią mirza!

— Dziękuję ci! Muszę jednak wrócić do konia. Trudno mi sobie wyobrazić, że szach powierzył ci Syrra z czystej ciekawości, żeby tylko dowiedzieć się, czy będzie mi posłuszny. Musi być jeszcze jakiś inny, ważniejszy, głębszy powód.

— No i jest! Możesz określić go, jak chcesz; ja w każdym razie uważam, że jest on psychologiczny. Władca nazwał go pewnym problemem, i to w dodatku ważnym problemem. Szach nie tyle jest ciekawy, co wprost z niecierpliwością oczekuje, jaki będzie wynik! A to jest różnica. Mówił nawet, że nie ma wprawdzie takiej ceny, którą można by zapłacić za Syrra, to jednak żadna cena nie będzie zbyt wysoka, by poznać rozwiązanie. Ale woli poczekać, zanim cokolwiek powie. Efendi, efendi zauważasz, czego oczekuje władca?

— Tak.

— A więc zadaj sobie trud!

— Trud? Dżafar, Dżafar! Trud jest tutaj najmniej ważny; gdybym próbował ujeździć go na siłę, wówczas na pewno nic bym nie wskórał. Jeśli od razu nie spodobam się koniowi, nie mam co dalej próbować; byłoby to całkiem daremne. Powiedz mi, co najbardziej lubi jeść?

— Jego największym smakołykiem jest jabłko.

— A czy ma jakieś przywary, które trzeba uszanować, jeśli nie chce się go rozgniewać?

— Nie, ani jednej.

— A jakieś czułe miejsca na ciele, których nie można dotykać

— Także nie. Słyszę, że jesteś znawcą, efendi. Zaczęłeś prawidłowo, zupełnie inaczej aniżeli ci wirtuozi, którzy w szlachetnym koniu widzą tylko bydło.

— Tak, to właśnie jest cechą wirtuozerii. Jeszcze wyraźniej jednak takie zapatrywanie uwidacznia się w tresurze! Czy Syrr lubi stajnię?

— Nie. Na dworze czuje się dużo lepiej, nawet w nocy.

— Czy ma jakieś szczególne wymagania co do wody czy karmy?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Zatem odważę się podjąć próbę. Ale proszę cię o jedno!

— O co?

— Od tej chwili ja jestem panem tego konia. Żaden człowiek nie może dotykać go bez mojego pozwolenia, dotyczy to również ciebie.

W tym momencie spoważniał.

— Czy zdajesz sobie sprawę, co na siebie bierzesz, efendi?

— Wszystko!

— Każdemu innemu bym odmówił, nawet Ustawowi, którego tak dobrze znam, bo koń nie należy do mnie! Tobie jednak zaufam. Od tej chwili Syrr jest twoją własnością, oczywiście tylko na czas mojego pobytu tutaj. Jesteś zadowolony?

— Tak, dziękuję ci!

— Zejdź więc do niego, ja tymczasem się tu rozgoszczę.

Było to również sygnałem dla Szakary, żeby się oddaliła. Zabrała ze sobą swój „uroczysty strój”, aby zanieść go do mnie na górę. Ubranie dla Halefa Dżafar sam chciał mu zanieść.

— Znam Halefa z opowiadań Lindsaya — powiedział, śmiejąc się. — O wiele bardziej się ucieszysz, kiedy będzie mógł osobiście podjąć posłańca szachinszacha.

Kiedy znalazłem się na dole, poszedłem natychmiast do piwnicy, w której stały konie. W środku byli też stajenni.

— Czy ktoś dowiedział się już, że zabraliście ze sobą Syrra? — zapytałem.

— Nie — zabrzmiała odpowiedź. — Dżafar mirza zabronił nam o nim mówić.

— A więc milczcie dalej. Nikt nie ma się dowiedzieć. Teraz koń należy do mnie. Sam będę się o niego troszczył; od tej pory nikt poza mną nie może go dotykać. Jak jest osiodłany, gdy dosiada go szachinszach? Chyba w stylu reszma?

— Nie, po arabsku.

— Jak traktuje inne konie?

— Nie lubi ich, ale nic im nie robi. Jest dumny i kiedy one zbliżają do niego, odchodzi. Jeszcze żadnemu nie pozwolił się dotknąć, sam również nie zaczepia innych.

— Naprawdę tak dobrze to wiesz?

— Tak, bo jestem Dżydd* i od początku pielęgnowałem Syrra.

— Zatem jeśli nie będę czegoś wiedział, zwrócę się do ciebie. Czy lubi zimną wodę?

— Jest wprost rozkoszą dla niego. Parska radośnie, kiedy się go myje. Władca zabrał go kiedyś nad jezioro Narghis. Syrr był wtedy jeszcze młody i hasał sobie wszędzie, najpiękniejszy źrebak jaki kiedykolwiek żył na ziemi. Prawie nie dało się odciągnąć go od wody. Efendi, proszę, uważaj na niego! Tak go kocham!

— Nie martw się; jest w dobrych rękach! W jakim języku z nim rozmawiasz? Oczywiście perskim?

— Nie, nie perskim, lecz w moim ojczystym języku. Jestem Arabem Dżubeilem.

Zażyczyłem sobie, żeby powiedział mi parę słów i wyrażeń w jego języku, które zna Syrr. Potem wyprowadziłem konia z piwnicy i poprowadziłem na leżącą z tyłu łąkę. Szakara odniosła już strój do góry i ponownie zeszła na dół. Była obecna przy mojej rozmowie z Dżafarem. Zatrzaszczyła się o potrzeby konia i poprosiła mnie, by mogła pójść razem z nami. Kiedy szliśmy przez ogród, zerwałem dwa jabłka; jedno zwykłe i jedno szlachetne, pachnące jak rodzynki jabłko odmiany sib–y–kiszrnisz. Trzymając po jednym w każdej ręce, podsunąłem koniowi oba równocześnie. Nie rzucił się na nie łapczywie, ale uważnie obwąchał i dopiero potem wybrał pachnące. Na to odezwała się Szakara:

— Efendi, to nie jest bydlę. On panuje nad swoim apetytem. Wybierając, nie kierował się łakomstwem, lecz zmysłem węchu. I spójrz jak wolno żuje, niemal jak człowiek, który kosztuje przysmaki. Inny koń już dawno sięgnąłby po drugie jabłko... Syrr również je teraz bierze, ale z ociąganiem; chrupie, jakby chciał się tobie przypodobać. Jest szlachetny, bardzo szlachetny. Już go pokochałam!

Poklepała go dłonią po udzie tak, jak zazwyczaj pieści się konie. Syrr podniósł przednią nogę i drgnął zawiniętym ogonem. Zatem to klepnięcie nie spodobało mu się. Dla mnie ważna wskazówka! Poszliśmy do źródła, by go napoić. Syrr najpierw posmakował wody, po czym zaczął pić z wyraźnym apetytem, robiąc co jakiś czas przerwy niczym koneser win, który nie pije od razu duszkiem, kiedy trafia mu się rzadki rocznik. Potem poprowadziłem go na trawę i zacząłem rozpinać okrycie. Zobaczyłem wówczas, że Syrr również był karym koniem, ale to jakim! Kary z podwójną grzywą! Bez jakiegokolwiek jasnej plamki! Pełny, dostojnie noszony ogon sięgał prawie aż do ziemi. Włosy miał miękkie jak jedwab i delikatne jak u bobra, prawie czarniejsze od czerni, ale koniec każdego włosa zanurzał się jakby w brylantowej tynkturze, w jasnej rzece i dlatego lekko, lecz wyraźnie

błyszczał. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Szakara, nie mogąc wyjść z podziwu, klasnęła w dłonie i zawołała:

— *Miszki en nur**! Bajka mówiła zatem prawdę. Rzeczywiście żyją kare konie, które są ciemne jak węgiel i lśnią jak brylant! Gdy starsi, siedząc przy obozowym ognisku, opowiadają o cudownym koniu galopującym nocą od gwiazdy do gwiazdy w poszukiwaniu ducha, który mógłby na nim jeździć, to mówią zawsze o miszki en nur. Jego włos nabrał gwiazdnego blasku. Jednak jeźdźca, który byłby godzien go dosiąść, do dzisiaj nie znalazł.

Lśniaca maść Syrra była tym bardziej nadzwyczajna, że występowała nie tylko na krótkich włoskach torsu, ale również na długich włosach grzywy i ogona. Kiedy poruszał ogonem, wówczas to migotanie sprawiało oku prawdziwą radość. A cóż dopiero kształt, budowa ciała ogiera! Próbowałem opisać Riha i również jego syna Assila ben Riha. To było błędem. Tak jak niewiele można powiedzieć przy pomocy słów o pięknym kwiecie, ślicznej kobiecie czy dziele sztuki, tak samo nie da się słowami w pełni wyrazić piękna rasowego konia. Będę pilnować się zatem, żeby opisując Syrra, nie powtórzyć swojego błędu. Nadto wiem, jakie przesady krążą w krajach zachodnich na temat prawdziwego Araba. Dla Europejczyka Beduin, jeśli chodzi o handel końmi, to największy złodziej i kłamca. Człowiek Zachodu rozgłasza jednak kłamstwa, które inni zarzucają Arabom, i nawet sam w nie nie wierzy! Beduini bardzo dobrze zdają sobie sprawę, co to znaczy, kiedy obce ludy pokazują i objaśniają Europejczykom swoje skarby, wiedzą, co posiada wartość. Skutki takiej szczerości wszędzie są widoczne. Jeśli największym bogactwem Araba są szlachetne konie, głupotą byłoby, jeśli każdego Frankończyka informowałby o wszystkim, co dotyczył tych zwierząt. Niedobre doświadczenia, jakie spotkały go ze strony innych ludzi, zmusiły go do stosowania wykrętów, oszustw, i mówienia nieprawdy. Straciła na tym jego reputacja, ale odsunął od siebie obce mu zachcianki innych ludzi. To co czyta się w książkach na temat arabskich koni, często jest dowodem owych oszustw. Nawet sławni hippolodzy twierdzą w swoich dziełach, że Arab rzadko hoduje kare konie, bowiem czarną maść uważa za zbyt pospolitą i myśli, że oszpeca ona grzywę i cały ogon. Zgodnie z tym Syrra należałoby przedstawić jako nieładnego, zwyczajnego konia. Jeśli miałbym być na tyle łaskawy, żeby uznać to za prawdę, musiałbym z zachwytem dodać, że budowa jego ciała była o wiele, wiele brzydsza i pospolitsza aniżeli jego.

Cofnąłem się kawałek od niego, żeby przyjrzeć się tym wspaniałym kształtom, które musiały zachwycać każdego znawcę czy przyjaciela koni. Szukałem w nim jakiejś wady, lustrowałem go ostro i bezlitośnie, ale nie znalazłem ani jednej, ani jednej jedynej, nawet najmniejszej! Ciało Syrra było idealne. Czy owa niekazitelność dotyczyła także jego wewnętrznych cech? Chciałem już prawie powiedzieć jego ducha czy duszy; tych słów nie wolno mi jednak używać w odniesieniu do zwierząt. Moje przypuszczenia miały się jeszcze potwierdzić. W tym momencie moją obecność spostrzegł Assil. Zbliżył się, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. Popieściłem go jak zawsze. Poszedł dalej do Syrra. On również nie wchodził nigdy w komitywę z innymi końmi. Kroczył wolno, obwąchując wszystko przed sobą. Uniósł rozdęte chrapy, tak że linia od ganaszy* do jamy więzadeł podbródkowych przebiegała poziomo. Strzygł uszami. Podniósł ogon. Podchodził bliżej, coraz bliżej... dwa pełnokrwiste ogiery! Co teraz się stanie?! Syrr stał spokojnie. Nie drgnął mu ani jeden mięsień. Żaden włos nie zadrgał. Jednak jego różowe w środku chrapy były coraz bardziej i bardziej rozdęte, a wielkie oczy wydawały się jeszcze większe, bo przecież Assil znajdował się w pobliżu.

Assil złożył właśnie uszy do przodu, wchłonał oddech nowego kolegi, zarżał krótko, jakby radośnie i... pocałował Syrra.

Tak, konie się całują! Kto tego nie wie, ten ich jeszcze nie obserwował!

Taka poufałość wydawała się koniowi szachinszacha całkiem niesłychana. Prędko uniósł głowę, położył uszy zupełnie do tyłu i rozwarł wargi tak, że można było zobaczyć wspaniałe uzębienie jakby wyrobione z kości słoniowej. Potem identycznie zarżał, i... także pocałował Assila ben Riha!

— Jak to pięknie, jak dobrze, efendi! — powiedziała Szakara. — Już się obawiałam, że dojdzie do wielkiej bójkii. Poznali się jednak. Szlachetny ze szlachetnym, wielki z wielkim, prawdziwy z prawdziwym, wówczas nie może być mowy o konflikcie!

— Nie zechciałabyś się postarać o parę szmatek? — poprosiłem ją. — Całkiem sparował pod tym ciasnym okryciem. Chcę go umyć.

— Machassa i fursza* również? — zapytała.

— Nie. Nie dzisiaj. Mogłoby to zaszkodzić świeżej znajomości.

Poszła, żeby przynieść to, o co ją prosiłem. Zostałem teraz sam z Syrrem i zacząłem przymilać się do niego. Mówiłem znajomym mu językiem, żeby zbliżyć się do jego duszy. Delikatnie głaskałem mu sierść, ale nie grzywę ani ogon. Tam gdzie włos układał się łukiem, moja ręka również wykonywała łuk. A gdy na wysokości stawów spotykały się dwie biegnące w różnych kierunkach grupy włosów, jedną ręką głaskałem pierwszą, a drugą ręką gładziłem w odpowiednim kierunku po drugiej. Tam gdzie się tworzył wir, moja dłoń również wirowała. W ten sposób przeszedłem po całym ciele, od tyłu ku przodowi. Nie robiłem nic, czym mógłbym naprzykrzyć się Syrowi; nie kazałem mu pokazywać kopyt ani nie zaglądałem w zęby. Z jego głową obchodziłem się ze szczególną uwagą. Gdy zauważyłem na powiece kilka szczeciniastych, wystających w dół włosów, które z pewnością musiały utrudniać patrzenie, natychmiast usunąłem je przy pomocy ostrza mojego małego scyzoryka. Koń od razu coś takiego zauważa i jest wdzięczny za to! Niestety nie może powiedzieć „dziękuję jak najuniżeniej panie Rollfuhrmann* albo panie Droschkenkutscher*! Nie było miejsca na całym ciele konia, którego bym nie dotknął, głaskając z miłością i unikając wszelkiej szorstkości i pośpiechu. Gdyby Syrr potrafił mówić, z pewnością powiedziałby: ten jest rozumny, uważny i łaskawy; jego trzeba lubić!

Potem położyłem ręce na jego policzku, dałem mu poczuć swój oddech i serdecznie z nim rozmawiałem. Nie potrzebował rozumieć ludzkich słów. Wystarczyło, że słyszał ton mojego głosu i patrzył w moje oczy, w których nie było nic ze srogości spojrzenia pogromcy koni. Odnosił się do wszystkiego z wielkim spokojem, jakby wyczekując — mówiąc ludzkim językiem, traktował mnie z rezerwą. Zobaczyłem wracającą Szakarę i odstaąpiłem jeden krok od niego. Natychmiast zrobił krok w moją stronę, chwycił zębami moje ramię i zatrzymał mnie, nie zadając jednak przy tym bólu. Wówczas po raz pierwszy dotknąłem jego grzywy. Głaszcząc ją pieszczotliwie w dół, powiedziałem:

— Bądź spokojny, Syrr, nigdzie nic odchodzę!

Ale cóż to takiego było? Już podczas dotykania jego ciała czułem ręce jakieś osobliwe klucie, zupełnie podobne do pieczenia pokrzywy, coś jak delikatne, dobroczynne mrowienie elektryczne albo galwaniczne. Jeszcze teraz je odczuwam. Pochodziło od konia. Czy spływało tylko z niego na mnie, czy płynęło w obie strony? Czy Syrr odczuwał to samo? Kiedy znowu przejechałem ręką po grzywie, mrowienie było silniejsze, a we włosach słyszałem szeleszczące trzaskanie, oczywiście nie głośnie, ale słabe, aczkolwiek wyraźne.

— Słuchaj! — prosiła Szakara, kiedy do nas doszła i pogłaskała karego nieco mocniej.

Wsluchiwała się przez dłuższą chwilę. Potem zapytała:

— Czujesz coś, efendi?

— Tak. Coś jakby jakaś siła dotykała moich dłoni i przechodziła dalej do nerwów.

Szmatki, które trzymała, upadły na ziemię, złożyła razem ręce i zawołała:

— Trzaski, trzaski! Pamiętasz, co mówiłem ci o „zagubionej poezji”? O rumaku, którego grzywa sypała iskrami? O strefach koło czoła jeźdźca, które stały się świetliste? Efendi, proszę cię, zdejmij z głowy swój fez! Dotknij najpierw grzywy, a później swoich włosów! Muszę wiedzieć...

Zatrzymała się w pół zdania.

— Co? — zapytałem.

— Czy... czy... czy wówczas coś poczujesz.

Spełniłem jej życzenie: zdjęłem fez, przejechałem kilka razy ręką w dół po swojej głowie. Efekt był nadzwyczajny. Klucie, które odczuwałem w ręce, natychmiast zniknęło i rozeszło się po skórze mojej głowy, przy czym we włosach dało się słyszeć ciche trzaskanie. Kiedy powiedziałem o tym Szakarze, stałem wprost przed Syrrem. Ten rozwarł chrapy, głośnie zaczerpnął powietrza, przylgnął swoją głową do mnie i złapał moje włosy, nie zębami, ale bardzo delikatnie miękkimi wargami. Przez twarz Szakary przeszedł radosny, szczęśliwy uśmiech. Podniosła szmatki i powiedziała:

— Jeśli chcesz go umyć, chodź teraz do wody. Ja pójdę, ty zaś jedź! Ani trochę nie zdziwiło mnie jej zaproszenie. Tak jak ona czułem teraz, że koń nie będzie się przede mną wzbraniał. Dosiadłem go ostrożnie, unikając ruchów, które mogłyby mu sprawić ból. Ledwo znalazłem się u góry, położyłem obie pięty do boku, prawą nieco dalej z przodu aniżeli lewą. Syrr natychmiast obrócił się w lewo i pozwolił poprowadzić się do źródła. Kiedy do niego dojechaliśmy, zeskoczyłem na ziemię i wynagrodziłem go pocałunkiem. Wówczas odrzucił głowę mocno w górę i zarżał tak triumfalnie, że Szakara głośnie się śmiejąc powiedziała:

— A to radość! Zrobił to tak, jakby to on zwyciężył ciebie a nie ty jego! A zatem podwójne

zwycięstwo i wzajemne przypodobanie się sobie! Co na to powie Dżafar mirza?!

— Nic, bo o niczym się nie dowie — odparłem. — Proszę cię, Szakaro, o niczym mu nie mów! Zanim cokolwiek powiem Dżafarowi0 muszę najpierw poznać do końca Syrra, a to musi się odbywać potajemnie. Być może jest to zbyt śmiało, ale myślę teraz równiej o wyścigach. Jeśli Syrr naprawdę jest taki, jak o nim myślę, to śmieję się z każdego przeciwnika, który zostanie wystawiony do walki z nim.

Potem zaczęło się mycie. Szakara chciała mi pomóc, nie pozwoliłem jej jednak. Lśniący kary koń musiał dowiedzieć się, że nie tylko chciałem być jego panem, ale również chętnie zadbam o niego własnymi rękami. Mycie nie polegało w żadnym razie na bezwzględnym polewaniu, ścieraniu i szorowaniu; przebiegało z tą samą pieczołowitością co wcześniejsze głaskanie. Kiedy Syrr wysechł, przeprowadziłem kolejną próbę. Do zwrotów, które rozumiał, należało także, zgodnie z tym co mówił mi stajenny, małe słówko „chodź”!

— Ta'al! — powiedziałem więc i wyszedłem z wody.

Ku mojej radości wyszedł zaraz za mną. Poprowadziłem go na pastwisko, ale nie prostą drogą. Chcąc go sprawdzić, odbijałem ostro kilka razy na prawo lub lewo. Skręcał równo ze mną i trzymał się i zawsze mnie, dopóki wreszcie nie przystanąłem. W nagrodę za jego posłuszeństwo przyniosłem mu wówczas parę jabłek i dałem nawet jego wieczorną porcję jęczmienia, po czym mogłem opuścić go z przekonaniem, że zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Gdy zaszedłem na podwórze, na dachu holu stała Hanneh i kiwały mi, żebym przyszedł. Z przyjemnością ruszyłem na górę. Halef nie leżał, ale siedział, podparty kilkoma poduszkami. „Uroczysty strój” leżał; szeroko przed nim. Na jego twarzy lśniła radość, a wraz z nią nowe, pełne życia kolory.

— Sihdi, spotkało mnie wielkie, wielkie szczęście — powiedział. — Był u mnie Dżafar mirza, wysłannik szachinszacha, żeby tym prezentem okazać mi wyrazy szacunku od władcy. Wiem doskonale, że nie zawdzięczam tego zaszczytu sobie, ale okoliczności, że jestem twoim towarzyszem. Cieszę się jednak niezmiernie z niego i zawsze gdy będę go nosić, będę się trzymać jego poważnych barw!

Wcale nie zdziwiło mnie to ostatnie określenie. Choroby sprawiają, że człowiek staje się poważny, a radość z przychodzenia do zdrowia i radość z poprawy to dwie miłujące się przyjaciółki. Wyglądało na to, że dzięki temu prezentowi znowu zrobił znaczący krok naprzód.

Po wizycie u Halefa poszedłem zjeść kolację razem z Dżafarem, Pedehrem i Chodj, którego także zaprosiłem. Chodj wart był tego, żeby służyć radą, a nie tylko swoją pracą z Dżamikunami. Po posiłku podjąłem Dżafara u siebie na górze. Siedliśmy na dworze i rozmawialiśmy. O planowanym zamordowaniu go nie wspomniałem mu jeszcze ani słowem. Bezpośredniego zagrożenia jeszcze nie było, a nie chciałem już od pierwszego dnia psuć mu pobytu u nas. Oczywiście chciał pozostać przynajmniej do zawodów. Wprawdzie twierdził, że nie czuje się zmęczony po podróży, to pomimo iż nasza rozmowa była bardzo ożywiona, około północy oświadczył, że musi udać się na spoczynek. Odprowadziłem go na dół aż do wieży wartowniczej i potem wróciłem do siebie, aby również się

położyć. Księżyc świecił jasno i z mojego wysoko położonego płaskiego dachu widziałem, jak wszystkie konie leżą na pastwisku. Jeden nieco z boku; to był Syrr.

Kiedy położyłem się do łóżka, przypomniałem sobie, że dzisiaj w piątek mija tydzień, gdy po raz pierwszy wspomniano mi o „święcie pięćdziesięciolecia” i o wyścigach. Ileż wydarzyło się w ciągu tego tygodnia i jak bardzo w tym czasie polepszył się stan mojego zdrowia! Jak znakomicie zniosłem niedzielny wysiłek i prowadzone później nocne rozmowy! Potem rzeczywiście okrągłe dwadzieścia cztery godziny spałem jak suseł, ale najcudowniejszy był ten szybki powrót do sił po tak długiej chorobie!

Kiedy rano obudziłem się, Dżafar jeszcze spał. Najpierw odwiedziłem konie. Cała trójka pozdrowiła mnie już z daleka. Assil zwałwo podszedł do mnie, żeby się o mnie ocierać. Syrr trzymał się z tyłu. Jego jeszcze wilgotne przednie nogi świadczyły, że był się napić i stał w samym źródle. Przyniosłem mu kilka jabłek, które powoli i uważnie schrupał. Potem polizał mi rękę. Czy to z wdzięczności, a może już z miłości? Przyniosłem mu jego ranną porcję jęczmienia i później odszukałem Pedehra, żeby porozmawiać z nim o środkach bezpieczeństwa, jakie trzeba będzie zapewnić Dżafarowi. Musieliśmy być ostrożni, tym bardziej, iż na razie nie powinien się o niczym dowiedzieć. Strażnicy duaru musieli od teraz zdwoić swoją czujność, zwłaszcza że czas zawodów się zbliżał i wkrótce miał się zacząć napływ obcych. Zapelnia się drogi prowadzące do duaru, a należy się też spodziewać, że niektórzy skierują się do nas szlakiem, z którego po skoku nad przepaścią zostaliśmy zabrani do „wysokiego domu”.

— Czy byłeś tam ponownie od ostatniego razu, efendi?

— Nie — odparłem. — Jak daleko to jest stąd?

— Tylko kwadrans drogi.

— Tylko? Masz teraz czas?

— Tak. Mamy do wyboru dwie drogi: jedną ze wsi i drugą stąd. Ta druga przebiega koło wieży wartowniczej. Obie spotykają się później. Czy masz ochotę pojechać?

- Tak. Chodźmy!

Dolina Dżamikunów łączyła się z trzech stron z zewnętrznym światem. Na wschodzie wiodła do Przełęczu Zajęczej i Przełęczu Kurierskiej. W kierunku na północny zachód prowadziła do tereni Takikurdów, zarazem jednak do Dżamikunów tymczasowo osiadłych na północy. A jadąc na południe, można było dojechać do Darah–y–Dżib, czyli Doliny Worka. W kierunku tej ostatniej pojechaliśmy z Pedehrem, na północny zachód zaś pojechali Hanneh i Kara. Droga do doliny wiodła pomiędzy górą, na której stała świątynia, a górą, gdzie znajdowały się ruiny. Obie góry zbliżały się tutaj do siebie tak bardzo, że oddzielał je tylko wąski jar. Na dole biegła ścieżka do duaru, nieco wyżej ta, po której właśnie jechaliśmy. Ta druga prowadziła przez stromo wznoszący się las. Głęboko w dole szumiała woda, która rwała aż do jeziora. Wyływała ze szczeliny w skale, nad którą przeskoczyliśmy na naszych koniach. Po pewnym czasie zbliżyliśmy się do drogi z duaru i

potem został nam już tylko kawałek do miejsca, gdzie postawiliśmy na szali własne życie, żeby uciec Massabanom. Znajdował się tam obecnie nowy most. Kiedy na nim stanąłem, spojrzałem w przepaść, w którą spadała z drugiej strony woda, i zmierzyłem okiem szerokość rozpadliny. Przeszył mnie strach, która go wcześniej ani trochę nie odczuwałem. Jak można było odważyć się na takie ryzyko!

Pedehr zdawał się odgadywać moje myśli, gdyż powiedział:

— Nikt wcześniej nie dokonał czegoś podobnego i z pewnością nikt już nie odważy się was naśladować! Spójrz na ten most, efend! Zauważasz coś?

— Oczywiście! To most zwodzony.

— Tak. Po doświadczeniach z Massabanami nie mogliśmy podjąć decyzji o wybudowaniu nowego stałego przejścia, które na wypadek wojny trzeba by niszczyć. Ustad kazał naszemu nelbendowi wykonać łańcuchy, a nedżarowi* mocne koła tam przy dębie. Teraz wystarczy jednego człowieka, żeby podciągnąć most. To cud, którego nie pojmuję, bo most jest dziesięć razy cięższy od człowieka.

— To nie cud, to jest bardzo proste. Koła tworzą suhulet*, dzięki któremu siła człowieka zostaje zwielokrotniona do tego stopnia, że jest w stanie podnieść most. Ustad bardzo dobrze zna to prawo natury.

— I myślisz, że ten most jest dobry?

— Tak. Jednak każdy kij ma dwa końce. Trzeba samemu uważać, żeby nie zostać odciętym!

Wracając, wybraliśmy drogę, która wiodła przez duar. Kiedy tam dotarliśmy, mogliśmy obserwować Dżafara, który kręcił się już na dole. Z początku nas nie zauważył. Słyszał, że wyjechaliśmy z Pedehrem, i dlatego również wyszedł w nadziei, że może nas spotka. Odkrył łódź na przystani i kazał przyprowadzić sobie Chodj–y–Dżunę. Teraz płynęli przy pomyślnym wietrze na wyścigi z pół tuzinem wielbłądów pociągowych, które objuczone furą siana ćwiczone były do zawodów. Jak czytelnik zapewne jeszcze pamięta, Pedehr na pytanie Halefa, jakie konie staną do wyścigów, odpowiedział następująco: „Udział wezmą nie tylko konie. Pozwolimy ścigać się wszystkim zwierzętom, jakie tylko u nas żyją: owcom, kozom, osłom, mułom, wielbłądom pociągowym, wielbłądom wyścigowym, zwykłym koniom, a na koniec odbędą się wyścigi pomiędzy zwierzętami najszlachetniejszej rasy”. Zawody miały więc się zacząć zabawnie, aby skończyć się z powagą i godnością. Kiedy wydano takie dyspozycje, nie przypuszczano, że z planowanych wyścigów pomiędzy przyjaciółmi rozwinie się zażarta walka między przyjacielem i wrogiem. Pomimo to nie zmieniono ustaleń i początek miał pozostać wesoły, koniec zaś życie samo miało podyktować. Stąd obecne ćwiczenia z pociągowymi wielbłądami.

Podczas treningu nie było mowy o jakiegokolwiek kłótni zwierząt. Wielbłądy co prawda załadowano tak wysoko i tak szeroko, że dało się zobaczyć tylko ich nogi. Jednak siano ułożono tak lekko i można by powiedzieć: tak powiewnie, że to zwierzęta należałoby nazwać ciężarem. Z przodu w belach siana znajdował się otwór, przez który oczy zwierzęcia osadzone ponad nietypowym pyskiem, przypominające wypukłe okulary, mogły ogarnąć wzrokiem drogę. Wysoko u góry widać było tylko głowę zagrzebanego głęboko w sianie poganiacza, który musiał kierować swojego

wielbłąda, wyłącznie pokrzykując. Było więc do przewidzenia, że zabawa będzie znakomita, a obecne pierwsze próby pokazały, iż nikt nie poczuje się nią zawiedziony. Widzieliśmy długie nogi, wielkie niezgrabne stopy i całe wiązki siana, wszystko gnające w tak wielkim tempie, jakby zamierzano w ciągu dwóch godzin trzy razy przebiec dookoła ziemię. Nagle jeden z wielbłądów zatrzymał się w środku biegu, by z największym spokojem wyszarpnąć ze swego ładunku garstkę siana i z apetytem powoli ją zjeść. Głowa u góry zaczęła prosić, błagać, lamentować, besztać, wygrażać. Naraz wielbłąd przypomniał sobie o swoim obowiązku i znowu wyrzucił nogi naprzód, aż wzbil się kurz. W chmurę pyłu uderzył następny zwierz, który w tym samym dobrym zamiarze zatrzymał się, chociaż bardzo zirytował tym jeźdźca. Z przodu widzieliśmy biegnące z ogromnym zapałem ciasno obok siebie dwa pakunki siana, aż w końcu droga pomiędzy górą a jeziorem stała się za wąską i oba zwierzaki razem ugrzęzły. Najszybszy z tych biegaczy wyprzedził spory kawał pozostałych konkurentów i zdawał się całkowicie przekonany, że osiągnął już swój cel. Położył na matce ziemi i z największym spokojem duszy cierpliwie puszczał koło uszu wszystko, co wylatywało z ust jego właściciela. Nie poruszył już więcej ani jednym członkiem ciała. Dało to oczywiście bodziec do wywołania ogromnej wesołości. Kochana młodzież naturalnie wtórowała, na nic się to jednak zdało, by przekonać dwa tuziny wielbłądzich nóg o wartości bezcennego czasu. Dżafar płynął obok z Chodj–y–Dżuna, żeby z odpowiedniej odległości rozkoszować się tym przedstawieniem. W końcu wszystkie wielbłądy położyły się na ziemi i żaden z nich nie myślał ruszyć dalej. Potem Dżafar wrócił do duaru, gdzie zapewniał nas, że tak jak dzisiaj, nigdy się jeszcze nie ubawił. Po tym jak zobaczył ten wstęp do zawodów, obiecywał sobie wiele po wyścigach i cieszył się, że mógł przybyć do Dżamikunów właśnie na „pięćdziesięciolecie”.

Chodj–y–Dżuna powiadomił mnie, że do tej pory nie chciał zbyt mnie obciążać, jako że byłem rekonwalescentem. Teraz jednak prosi razem z Pedehrem o pozwolenie, by móc powiedzieć mi o wszystkim i zapytać o wszystko, co dotyczy „pięćdziesięciolecia”. Poszliśmy więc do jego mieszkania i odbyliśmy coś co w Niemczech, gdzie jak wiadomo nie ma obcych wyrazów, określono by posiedzeniem komitetu. Nie było ani jednego punktu, którego bym nie zaakceptował, co dzielnego Chodj–y–Dżunę tak uradowało, że zdobył się na odwagę, by zaprosić nas na śniadanie. Działo się to w porze obiadowej i uznaliśmy, że należałoby zjeść obiad. Wcześniej poszedłem jednak na górę, żeby nakarmić Syrra, i zleciłem Karze, aby przyprowadził mojego Assila i konia dla mirzy, gdyż chciałem spróbować trochę dłuższej przejażdżki, w której on także powinien wziąć udział.

Przejażdżka trwała ponad dwie godziny, kiedy jednak wróciłem do domu, w ogóle nie czułem się zmęczony. Doszedłem więc do wniosku, że dzisiaj wieczorem mogę pozwolić sobie na jeszcze jeden wysiłek i oświadczyłem Karze, że około północy wyruszymy odwiedzić aszyka; miał więc być w pogotowiu i zadbać o wszystko, czego potrzebowaliśmy do nocnej wyprawy.

Do północy nie wydarzyło się nic szczególnego. Czas po kolacji celowo spędziłem u Dżafara, gdyż mogłem go odwiedzać, kiedy tylko chciałem. Gdyby to on przyszedł do mnie po wieczornym posiłku, musiałbym czekać, aż wyjdzie. Kara był gotów. Droga przez wielką bramę wjazdową była krótsza, miałem jednak powody, żeby wybrać okrężny szlak wiodący ponad ruinami. Chciałem wryć sobie w pamięć w najdrobniejszych szczegółach przebieg tej okrężnej ścieżki, tak bym później mógł nią nie tylko maszerować w nocy, ale również przemierzać na końskim grzbiecie. Zamierzałem mianowicie potajemnie trenować Syrra, a to było możliwe wyłącznie wówczas, gdy wszyscy ludzie udadzą się na spoczynek.

Szliśmy więc w świetle księżycy nad murami i potem kamienną drogą w dół do przystani. Łódź była przymocowana. Wpłynęliśmy do kanału, a stąd do przedniego basenu, zupełnie jak poprzednim razem. Spodziewałem się, że nasz jeniec wykrzyknie głośno z radości. Nic takiego jednak się nie stało; wokół nas panowała cisza, chociaż wiosłowaliśmy tak głośno, że fale uderzające o skalne filary rozbrzmiewały jak morskie grzywacze.

— Nie żyje! — odezwał się Kara. — Spadł i utonął!

— Być może! Zobaczymy.

Prędko popłynęliśmy do miejsca, gdzie go zostawiliśmy. Pomimo panującej ciemności musiał widzieć nasze światła. A jednak nie słyszeliśmy jego głosu! Ujrzelśmy słup i kamień. Czy aszyk tam jeszcze był? Tak. Siedział cicho u góry. Po jednej stronie kościotrup, po drugiej on. Celowo zapaliliśmy niejedną, ale dwie pochodnie. Było więc tak jasno, że mogliśmy wyraźnie zobaczyć rysy jego twarzy. Opierał się plecami o kolumnę. Oczy miał zamknięte. Gdy łódź stanęła i wciągnęliśmy wiosła, odezwał się do mnie zupełnie niepojętym spokojnym tonem:

— Przyplłynęliście. Wiedziałem! Wiesz, co w tym czasie robiłem? Nie!... Modliłem się!

Dlaczego te słowa tak mnie poruszyły, jakby było we mnie coś, co mnie na nie przygotowało? Czy to wynik mojego snu, o którym zaraz Pomyślałem? Czy tutaj, w tej głębokiej, mrocznej samotności wszystko, wszystko, nawet najgorsze zwapnienie i stwardnienie musiało się jednak zamienić w modlitwę? Nie tylko we śnie, ale też w rzeczywistości, Oczekał chwilę, a gdy nic nie powiedziałem, mówił dalej:

— Efendi, chcę się wyspowiadać! Nie tylko chcę, ale muszę, muszę,

— Pewnie znowu kłamstwa! — powiedziałem.

— Kłamstwa? Tutaj? Efendi, tutaj każde kłamstwo albo stanie się szaleństwem, albo zamieni się w prawdę. Trzecia możliwość nie istnieje. Sprawdź teraz, czy oszalałem! Jeśli nie, musisz oczekiwać ode mnie tylko prawdy!

— Powiedz więc najpierw, w jaki sposób osiągnąłeś tak niespodziewany spokój!

— Jak...? Co za pytanie! Jeśli nie tutaj, to gdzie można być spokojnym! Tutaj przecież wszystko, wszystko, każdy zamieni się w kamień albo w całkowicie zwapniałego kościotrupa, albo w szlachetny alabaster, przy którym pracują uwolnione z wapna duchy, dopóki on... nie nauczy się modlić! O, efendi, zasnąłem tutaj, zmęczony wołaniem, krzyżowaniem, wyciem. Wówczas przyszedł sen... sen! Leżałem tutaj w wodzie tysiąc lat, tysiąc lat, stwardniały, zwapniały w moich grzechach. Nikt nie chciał mnie uratować, ja sam również nie byłem w stanie. Wtedy usłyszałem wołanie u góry, raz... drugi raz... trzeci raz; to mnie obudziło. Odpowiedziałem, a wszystkie filary zadzwięczały. U góry nastąpiła cisza; ale we mnie, we mnie, głęboko na dole, krzyczało coraz głośniejsze i głośniejsze! Nadeszły dni mojego życia, pojedynczo. To było straszne, gdy przychodziły jeden po drugim! Nie żaliły się przede mną, nie, nie, nie, nie! To ja już przecież robiłem! Pocieszały mnie! Każdy, każdy, każdy z tych dni przyklęknął obok mnie odziany w szatę pokutnika, złapał mnie za rękę i napierał na

mnie, żebym się z nim modlił, modlił, modlił! A kiedy wszystkie one, wszystkie, wszystkie klęczały koło mnie, od pierwszego aż do ostatniego, wtedy ja uklęknąłem pośrodku swojego życia i tak jak one złożyłem ręce. A w chwili kiedy mówiłem: „Odpuść mi moje winy!” usłyszałem uderzenia waszych wioseł, a potem zobaczyłem również blask waszego światła! Cokolwiek mi przynosicie, muszę przyjąć. Proszę was jednak, nie bądźcie i wy z kamienia.

Skończył, lecz ja nasłuchiwałem jeszcze. Było to tak, jakby to, co wyszło z jego ust, mówiło teraz dalej we mnie. „Leżałem tutaj w wodzie tysiąc, tysiąc lat!” — powiedział. Tylko dwa ziemskie dni, a dla ducha, dla duszy jednak tysiąc, tysiąc lat! Który człowiek może stwierdzić, że sam sędzi sprawiedliwie! Litera prawa traktuje wszystkich równo. Ale sprawiedliwość nie leży w tym, jak długo odbywa się kara; wręcz przeciwnie, ilość jest raczej niesprawiedliwym miernikiem kary. Ktoś, kto popełnił przestępstwo, nie poprawi się nawet po odsiedzeniu dwudziestu lat ciężkiego więzienia, a ktoś inny, kto splamił się w innych okolicznościach tą samą zbrodnią, poprawia się już po jednym jedynym dniu więzienia. Czy dla tego ostatniego kara nie miałaby się w tym momencie skończyć? Postąpiłem straszliwie surowo, ściągając aszyka w to miejsce. Widziałem i słyszałem teraz, że moje postępowanie wywarło dokładnie takie działanie, jak tego sobie życzyłem. Przedłużanie jego męki byłoby nie tylko okrutne, ale wprost nieludzkie, piątego odpowiedziałem mu:

— Nawet kamień zlitowałby się, słysząc ten ludzki lament, dlaczego więc człowiek nie miałby się ulitować! Jeżeli modliłeś się, mój cel został osiągnięty. Wyprowadzam cię na zewnątrz.

— Naprawdę chciałeś to uczynić? Ty, który miałeś być przeze mnie tak oszukany, jak chyba nikt do tej pory?

— Nie moją rzeczą jest sądzić, co uczyniłeś innym. Chętnie wybaczam ci to, co zamierzałeś mi uczynić! Masz, chwyć moją rękę. Schodź na dół!

Podniosłem się i wyciągnąłem do niego dłoń, żeby pomóc mu zejść. Nie chwycił jej od razu, lecz powiedział:

— Czekaj jeszcze, efendi! Przedtem muszę się tobie wypowiadać!

— Nie tutaj! Tutaj miałeś się tylko przed sobą wypowiadać. Teraz na zewnątrz czeka kto inny na ciebie.

— Kto inny? — zapytał szybko. — Efendi, czy twoje spojrzenie sięga do mojego wnętrza? Kiedy stałem w ruinach i widziałem waszą świątynię stojącą po tamtej stronie, śmiałem się z głupoty, która buduje takie domy dla tego, którego nigdy nie było i nigdy nie będzie. Tutaj jednak On sięgnął w ciemność i postawił przede mną moją duszę, którą wyrwałem sobie z piersi i odrzuciłem. Wówczas poczułem jakiś nacisk, jakąś tęsknotę, jakiś wewnętrzny a jednak głośny krzyk za tą świątynią. Jeszcze teraz dźwięczy on we mnie, głośno, bardzo głośno, efendi! Posłuchaj go! Zgódź się, żebyśmy poszli na górę do Beit-y-Chodeh! To jedyne właściwe miejsce, w którym mógłbym się wypowiadać!

— A więc chodź!

Kłęcząc, złapał moje rękę, którą ponownie wyciągnąłem w jego stronę, pocałował ją i następnie zsunął się do łodzi. Złapaliśmy za wiosła, a on spojrzał jeszcze raz w górę na kamień i powiedział:

— Tam zostawiam kościotrupa! Czuję się tak, jakby to był mój własny szkielet, mój wcześniejszy. Teraz mam nowy. To już nie jest sztywne kostne rusztowanie, z którego przeszłość, wyszczerzając zęby, śmieje się szyderczo w oczy, lecz silna, radosna wola, która namiętnie krzyczy, że może naprawić to, co złego popełniłem.

Usiadł między nami w środku łodzi, plecami zwrócony ku dziobowi. Kiedy wiosłowaliśmy do kanału, spoglądał to na prawo, to na lewo za oddalającymi się falami.

— Nadchodzą! — odezwał się, zasłaniając oczy.

— Kto? — zapytałem.

— Duchy dni mojego życia, wszystkie, wszystkie, wszystkie je. Płyną do nas. Ich głowy wystają z wody!

Pomyślałem o swoim śnie i o duchach, które podążały za mną na zewnątrz. Kiedy znaleźliśmy się w kanale, powtórzył:

— Płyną także tutaj, blisko obok siebie, jeden przy drugim, głowa przy głowie!

— Uspokój się — powiedziałem. — To urojenie!

— Tak sądzisz? Więc pozostaw mi je! Dni mojego życia powinny pójść razem ze mną na górę świątyni. One, moi oskarżyciele, powinny razem ze mną się modlić i potem zniknąć; taką mam nadzieję!

Na dworze przywitał nas jasny blask księżyca. Skierowałem się najpierw naprzód, zupełnie tak jak w moim śnie. Coś we mnie mówiło, żebym robił tak, a nie inaczej. Aszyk w tym momencie spytał:

— Czy to fale odbijające się od naszej łodzi zataczają coraz większe kręgi? Ciągłe widzę głowę przy głowie. Wychodzą z wnętrza góry. Ich zastępy są coraz większe i większe. Ci z przodu podążają za nami, a reszta ciągnie za nimi.

Znaleźliśmy się koło miejsca, gdzie zatrzymaliśmy się wcześniej. Skierowałem więc łódź na południowy brzeg, do tego samego miejsca, gdzie uwolnione duchy zeszły na ląd. My również opuściliśmy łódkę i wciągnęliśmy ją kawałek na brzeg, gdyż nie było tutaj warunków, żeby ją przywiązać. Pochodnie oczywiście zostały zgaszone. Wówczas aszyk podał mi swoje ręce i zażądał ode mnie:

— Zwiąż mnie, efendi!

— Po co!

— Żebym nie mógł ci uciec, kiedy będziemy szli do Beit-y-Chodeh. Położyłem mu rękę na

ramieniu, popatrzyłem mu w twarz i odpowiedziałem:

— Dokąd chcesz pójść? W górę do Boga? I ja mam cię wiązać? Tak długo jak Ziemia się kręci, żadnemu człowiekowi nie udało się jeszcze rzeczywiście dotrzeć do Boga, mając związane ręce, którymi miał modlić! Idź do Niego, ale wolny!

— Wolny... wolny! — cieszył się, wznosząc wysoko ręce. — Dobrze postąpiłeś, efendi. Nie będę uciekać, ale pozostanę blisko przy tobie, jak pies, który jest posłuszny swemu panu, ponieważ ten go kocha, kocha... kocha!

— Nie pozostaniesz blisko mnie, bo ja nie idę z tobą.

— A więc może Kara ben Halef?

— Też nie. My zostajemy tutaj. Idziesz sam.

— Sam?!

Cofnął się parę kroków i zdziwiony wlepił we mnie swoje wielkie oczy.

— Nie idziecie ze mną?! — zawołał. — Żaden z was? Czy dobrze słyszę... czy dobrze słyszę?

— Tak.

— Efendi... sihdi... emirze! Jestem złodziejem, fałszerzem, oszustem, współnikiem morderców! Chciałem ciebie i was wszystkich zniszczyć. Zwodziłem Pekalę i Tifla, którzy byli dobrymi ludźmi i nadal są dobrymi ludźmi, którzy was kochali i zawsze, zawsze będą kochać! A ty puszczasz mnie wolno, całkowicie wolno? Czy wiesz, że wcześniej cię okłamałem, tam we wnętrzu góry. Nie modliłem się. Nie stałem się nic lepszy, ale wręcz gorszy. Pójdę teraz i zemszczę się na tobie! Zastanów się, zastanów!

— Cicho, cicho bądź! Gdzie i kiedy kłamałeś, wiem lepiej od ciebie. Wiem, jaki byłeś przedtem, i znam tego, którym w tej chwili się stałeś. Pójdiesz teraz całkiem sam na górę, a potem wrócisz. Właśnie twoje ostrzeżenie daje mi gwarancję, że mogę cię obdarzyć zaufaniem. Nigdy nie będziesz zdolny do tego, żeby mnie oszukać, a od teraz nawet ci to przez myśl nie przejdzie!

Padł na piasek leżący na brzegu, złapał moją rękę, przycisnął ją do serca i do swoich warg i powiedział:

— A więc Allach znowu odzyska zabłąkanego, którego ludzka sprawiedliwość zepchnęłaby jeszcze głębiej w przepaść! Efendi, doceniam twoją dobroć w całej głębi. Nie należałem do biedaków i nędzników tego kraju. Byłem powołany do tego, by stać się dobrym i wielkim. Mój ojciec stał wysoko i przebywał bardzo blisko szachinszacha. Naśladowałem go, a on się z tego cieszył. Wówczas przyszli oni, podobni do tych, którzy byli u ciebie, żeby wyłudzić dla siebie Ustada Takikurdów. Byłem za młody, żeby ich przejrzeć. Potrzebowali mnie, dlatego musiałem tonąć głębiej i coraz głębiej, aż zacząłem pogrążyć się we wodzie zbrodni. Utopiłbym się niechybnie, ale wówczas przyszedłeś ty i wydobyłeś mnie na powierzchnię... ku miłości, ku miłości! Ty znasz ludzką duszę,

efendi! Jak bardzo jestem ci wdzięczny, nie powiem, lecz... pokażę czynami!

Znowu podniósł się z miejsca i ruszył ścieżką prowadzącą do świątyni. My zaś usiedliśmy, żeby na niego zaczekać. Kara przez pewien czas się nie odzywał. Potem przemówił:

— Tak ratuje się ludzkie dusze! Nie mów teraz nic do mnie, efendi. Aszyk wchodzi na górę, by porozmawiać z Allachem. Ja... też się pomodłę!

Myślę, że modlił się jeszcze ktoś trzeci!

Czas mijał. Po upływie niespełna godziny aszyk pojawił się ponownie.

— Znowu jestem — powiedział. — Pozwól, że usiądę i opowiem wam o wszystkim, co mam wam do przekazania!

— Nie tutaj — odparłem.

— Gdzie w takim razie?

— Chodź z powrotem do łódki!

Wsiedliśmy do naszego czółna i skierowaliśmy się ku przystani. Stamtąd poszliśmy do „wysokiego domu”. Na podwórzu rozstałem się z Karą; aszyka zaś wziąłem ze sobą do góry. Po drodze nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Zapaliłem lampę. Jakby zupełnie zakłopotany stanął w środkowym pokoju i rozejrzał się dookoła.

— Czy to pokoje, w których mieszkasz, efendi? — zapytał.

— Tak — odparłem.

— Właściwie niepotrzebnie pytam, gdyż już to wiedziałem. Znam cały wasz dom; znam wszystko. Wiedziałem nawet, że w wartowni są jeszcze puste pokoje; przed Pekalą udawałem jednak, że nic o nich nie wiem, bo chciałem zamieszkać w tych tutaj albo przynajmniej na dole w mieszkaniu Ustada. Jeszcze się dowiesz, dlaczego.

Podszedł do stołu, by przeczytać jasny napis na abażurze lampy.

— Miłość nigdy się nie kończy, tu jest napisane — powiedział. Odwrócił się znowu w moją stronę i mówił dalej: — Efendi, jesteś pierwszym człowiekiem, jakiego spotykam, który nie traktuje tych słów jak pustego hasła i zgodnie z nimi postępuje! Dlaczego tylu jest zagubionych? Muszą się zagubić, bo nie przebacza im się już pierwszego, małego potknięcia. Dlaczego mówi się wyłącznie o sprawiedliwych i niesprawiedliwych? Ponieważ w środku między nimi brakuje tych, którzy staliby się ludźmi, gdyby ich stamtąd nie wyrzucono! Myślę o ludziach, którzy z powodu swojej natury mogli od czasu do czasu zgrzeszyć i których nie wyrzucano by od razu z tego powodu! Powiedz mi, dlaczego przyprowadziłeś mnie do siebie na górę?

— Żeby pokazać ci, że zaufałem i że u nas nie ma niczego, co można by nazwać złem. Chciałeś się

tu zagnieździć, żeby węszyć potajemnie i szkodzić nam. Rozglądaj się teraz i pytaj, o co zechcesz! Gotów jestem pokazać ci wszystko i udzielić każdej informacji!

Zwiesił głowę.

— Jakże mnie zawstydzasz, efendi! Wiedzieliśmy aż nadto dobrze, że zło u was nie zagościło, przynajmniej do tej pory. Jednak tym pewniej miało zagościć później, gdyż... miało być dokonane fałszerstwo. A fałszyfikaty i podstępne przekłamania miały być przedstawione nie tylko szachinszachowi, ale całemu narodowi. Są dwa obozy, którym zależy na zniszczeniu Ustada. Ja służyłem tylko jednemu, temu pobożnemu, ponieważ lepiej płacili aniżeli drugi; chociaż tego również znam, gdyż bacznie mu się przyglądałem i potajemnie deptałem po piętach jego przywódcom, żeby przejrzeć ich zamiary i tajemnice. Oba obozy bezlitośnie zwalczają się nawzajem, ale jeśli tylko trzeba stanąć do konfrontacji z Ustadem, będą walczyć jak bracia ramię w ramię, patrząc przy tym na siebie zapamiętane, kto z nich najbardziej okrutnie potraktuje wodza Dżamikunów. Gdybyś wiedział, ile mogę ci o nich naopowiadać!

— Myślisz może, że boję się tego słuchać? — zapytałem.

— O nie! Wręcz przeciwnie! Jeśli opowiem ci wszystko, wówczas oni będą musieli drzeć ze strachu! Ustad pisze przecież książki! Jedyna, jedyna książka o nim razem z dowodami, których dostarczę, zupełnie tak jak oni chcieli pokazać swoją razem z ich fałszerstwami... wyobrażasz sobie, co się z nimi stanie, jeśli pokażę ją szachinszachowi i rozpowszechnię w całym królestwie!

— O tym, że chcieli zwieść szacha i doprowadzić nas do upadku, już wiedziałem, gdyż od dawna jestem na tropie obu obozów.

— Na tropie, tylko na tropie! To, co ci dostarczę, to nie tylko ślady, ale dowody, rękopisy, listy, dokumenty. Ta broń, która jest w stanie ich unicestwić, leży u mnie po tamtej stronie w ruinach. Jeden obóz był zbyt szczerzy wobec mnie; drugi uważał mnie za głupka. Teraz mam oba w garści. Dostarczę ci wszystkie dowody, żeby wydać ich w twoje ręce. Potem zrób z nimi, co chcesz, efendi. Usiłowano dokonać mistyfikacji, żeby później móc powiedzieć, iż zdarto wasze maski. Teraz jednak niech oni zostaną zdemaskowani, bez posługiwania się mistyfikacją, albowiem to, co wam dam, jest prawdziwe!

— Dostarcz mi więc to, co masz! Ale tylko wtedy, jeśli ma to ulżyć twojemu sumieniu! Bo i tak bez twojej zdrady odnajdę wszystkie słabe strony przeciwnika.

— Wierzę, że jesteś do tego zdolny. Przekonałem się o tym na sobie! Jednak ślady są tylko śladami. Daj mi teraz powiedzieć; wówczas zobaczysz wszystko wyraźniej!

— Chodź więc na dwór! Te pokoje są dla mnie zbyt święte, żeby zajmować się w nich takimi sprawami.

Poszliśmy na płaski dach i usiedliśmy, identycznie jak we śnie siedziałem z czarownikiem. I tak jak tamten, tak samo aszyk zaczął opowiadać. To tylko jedno ludzkie życie, a jednak jest ono życiem ludzkości! Od czarownika dowiedziałem się, dlaczego muszą istnieć cienie. Dzisiaj, teraz

dowiadywałem się, jak działają te cienie i jak powinno się z nimi postępować, żeby uczynić je tak małymi, jak tylko to możliwe. Ten aszyk przebywał w najgłębszym cieniu naszych wrogów i dokładnie ich rozszyfrował. Nie oszczędzał siebie, ale też nie oszczędzał innych. Kiedy skończył, wszyscy, o których mi opowiadał, również on, jawili mi się tak przejrzyście, że lepiej ich teraz znałem niż on sam. Poczuję się zadowolony, że potwierdziły się wszystkie moje podejrzania. Prawdą było również to, że podsłuchiwał sześciu obcych w mejme-i-yehud, i przekazał mi każde słowo, które wyszło z ich ust. Powstał ze swojego miejsca.

— Starczy... na dzisiaj! — powiedział. — Teraz znasz mnie i wszystkie moje grzechy; ogłoś więc wyrok! Ja swój wydałem tam na dole we wodzie, na kamieniu. A w waszym Beit-y-Chodeh rozmawiałem z Allachem. Myślę, że mi wybaczy. Obróć się tam i posłuchaj!

Na wschodzie podniósł się silny poranny wiatr. Przewiewał odkryty różany park i przyniósł nam zapach róż.

— Ten powiew ma być odpowiedzią dla mnie! — Pokiwał głową aszyk. — A teraz jeszcze ty! Jesteś chrześcijaninem, ja jestem muzułmaninem. Powiedz teraz, jaki wydasz wyrok jako człowiek. Nie mów jako reprezentant ludzkiego rodzaju, wiem, co się za nim kryje; nie chcę go w ogóle słuchać! Mów do mnie ustami człowieczeństwa; człowieka chcę w tobie usłyszeć. A co powiesz, będzie dla mnie nieodwołalne!

Wyciągnąłem do niego rękę i powiedziałem:

— Ściśnij moją dłoń! Człowiek, którego chcesz teraz usłyszeć, już przemówił przeze mnie: Wybaczam!

— Wszystko?

— Wszystko!

Dopiero teraz pojął. Stał przede mną ze spuszczoną głową, w końcu podniósł ją i powiedział:

— Tam po drugiej stronie pod świątynią klęczałem przed tobą. Robiłem to z chęcią, bo tam byłem przestępcą. Teraz jednak znowu jestem człowiekiem. Mogę więc ci śmiało spojrzeć w twarz i podziękować, nie uniżając się przed tobą. Powiedz, co postanowiłeś ze mną uczynić?

— Nic. Jesteś wolny, od teraz sam wykuwasz swój los!

— A więc mogę iść, w tej chwili, natychmiast?

— Tak.

Podszedł do balustrady, spojrział w dół na jezioro, później hen daleko. Następnie ponownie odwrócił się do mnie, chrząknął zakłopotany i powiedział:

— Spraw, żebym był szczęśliwy, najbardziej jak to tylko możliwe, a nigdzie nie będę szczęśliwszy niż tutaj na twoim dachu!

— Jeżeli mogę tym cię uszczęśliwić.

— Chciałem znów poczuć po tak długim, tak długim czasie, jak to jest, gdy jeden człowiek ufa drugiemu człowiekowi. Czy zamkniesz drzwi, kiedy kładziesz się spać?

— Nie.

— A okno?

— Także nie.

— Potrafisz myśleć głęboko, dlatego mnie zrozumiesz. Byłem twoim wrogiem, twoje życie nic dla mnie nie znaczyło. Widziałem w pokoju na stole nóż, nożyce i jeszcze parę innych przedmiotów, które morderca może wykorzystać jako broń. Pomimo to wejdź teraz do środka i połóż się spać, chociaż wszystko pozostanie otwarte. Ja zaś usiądę sobie tutaj na skrzyni i pomyślę o swoich młodzińskich latach, kiedy będąc dobrym dzieckiem, dzielnym człowiekiem, nie zdążyłem jeszcze skalać się grzechem. Chcę znowu takim być!

Jeszcze raz podałem mu rękę i powiedziałem tylko:

— Dobranoc! Idę spać!

Podniósł się i wyprężył. Poszedłem do środkowego pokoju i zgasilem lampę, po czym udałem się do sypialni. Tam obróciłem się jeszcze na chwilę i spojrzałem w jego stronę. Stał dokładnie tak jak czarownik z mojego snu: na zewnątrz przy drzwiach i patrzył w moją stronę.

— Dobranoc! — powiedziałem jeszcze raz.

— Dobranoc! Niech Allah cię błogosławi, efendi! — zadźwięczał jego głos. Wówczas wszedłem już do swojej sypialni.

Spałem bardzo długo twardym snem. Kiedy obudziłem się, słońce łaskawie spoglądało mi w twarz. Pomyślałem od razu o aszyku, który stał na dworze przy drzwiach, ubrałem się prędko i wyszedłem na zewnątrz. Nie było go już. Schody prowadzące z mojego dachu do drogi dzwonekowej umożliwiły mu odejście. Ale jednak był u mnie jeszcze raz, gdyż na stole w środkowym pokoju leżała paczka, którą tylko on mógł położyć. Rozerwałem papier, w który była zawinięta, i zobaczyłem, co było w środku: dowody, rękopisy, listy i dokumenty, które obiecał mi dostarczyć. Miały zawierać informacje o występkach naszych wrogów. Zadziwił mnie początkowo ogrom tego materiału, ale tak naprawdę zdziwiłem się, kiedy poznałem jego treść!

Teraz nie było czasu na czytanie, gdyż dzisiaj była niedziela i widziałem, jak pojedynczy Dżamikunowie kierują się już do Beit-y-Chodeh. Pozostawiłem więc wszystkie te dowody w bezpiecznym miejscu i zszedłem na dół, żeby najpierw pokazać się koniom. Assil doskoczył do mnie. Syrr pozostał na miejscu, ale zarżał krótko i radośnie i odpowiedział na moje pieszczoty. Przyniosłem mu kilka jabłek i jego porcję jęczmienia. Potem zjadłem śniadanie i odszukałem Dżafara mirzę, żeby go zapytać, czy zechce pójść ze mną na górę do świątyni. Żywo zainteresował się moją propozycją i przyłączyliśmy się do Pedehra, który w tym samym zamiarze spotkał się z nami na

podwórzu.

Jaki nabożny zwyczaj mają ci Dżamikunowie! Nie było jeszcze kapłana, a jednak każdy, kto nie musiał pozostać w duarze, wchodził na górę, żeby uczestniczyć w nabożeństwie dla świeckich, które dopiero za jakiś czas miało być odprawiane przez powołaną do tego osobę. W trakcie modlitw, podobnie jak zeszłej niedzieli, dwukrotnie zabiły dzwony.

Kiedy wracaliśmy, przystaliśmy w tym samym miejscu, z którego Tifl pokazywał mi leżące po drugiej stronie ruiny. Wyjaśniłem Dżafarowi, jak należało wyobrazić sobie powstanie i rolę tych budowli, i cieszyłem się, że mnie zrozumiał.

Wówczas zapytał mnie Pedehr:

— Czy Ustad już ci mówił o naszym kościele?

— O kościele? Nie — odpowiedziałem. — Pewnie jest gdzieś w odległych planach, bo w przeciwnym razie z pewnością opowiedziałby mi o nim. Gdzie ma stać?

— Właśnie tam, gdzie są ruiny. Zupełnie prostopadle do alabastrowego namiotu.

— Skąd jednak miejsce pod jego budowę! Ach, rozumiem. Ruiny mają być zburzone! Pobożni mężowie z Chorremabad starali się za wszelką cenę do tego nie dopuścić. Ale za to jaki wspaniały materiał będzie później na postawienie kościoła! Tylko projekt budowy trzeba by tak opracować, żeby nie zmarnować cennego materiału!

— Projekt już jest, efendi, już jest! Ustad sam latami go rysował. Już od dłuższego czasu zbieraliśmy środki na jego realizację. Zebraliśmy o wiele więcej niż można było się tego spodziewać. Pomimo to ciągle mamy za mało, żeby móc rozpocząć budowę, nie mówiąc już o jej zakończeniu. Uporanie się z rozebraniem takiej ilości masywnych murów wymaga wiele czasu i ogromnych pieniędzy.

Na to Dżafar prędko się odezwał:

— Pieniądzy? Czy mogę wnieść swój udział w postaci tysiąca tumanów?

— Ty? Jako muzułmanin? — zapytał Pedehr zdziwiony i ucieszony zarazem.

— Dlaczego nie? Czyżby coś przeszkadzało? My mówimy Allah, wy mówicie Chodeh. Anglik powie God, a Francuz Dieu. Jednak z całą pewnością wszyscy myślą o tym samym Bogu! Nieraz otwierałem już swoją szczerą rękę, żeby umożliwić wybudowanie meczetu, gdyż jest on domem bożym. Wspomagałem także budowę synagogi. Dlaczego nie mam również wspomóc budowy kościoła, w którym nie służy się przecież jakiemś innemu Bogu? A może mój dar uwłaczałby waszemu kościołowi, ponieważ adorujecie nieco inaczej aniżeli my? Czy odmówilibyście przyjęcia wkładu szachinszacha?

— Władcy państwa? Ależ skąd!

— Tak! On jest muzułmaninem i ja również; mam więc takie samo prawo! Pozostańmy przy tysiącu tumanów, a kiedy tylko wrócę do szacha, będę rozmawiać z nim o budowie waszego kościoła. Nietolerancyjnie nazywani jesteście szyitami; my nimi jednak nie jesteśmy, przynajmniej ci, którzy są wykształceni. Teraz prosimy o taką samą tolerancję!

Powiedział to bardzo życzliwie, ale zarazem bardzo energicznie. Tu u Dżamikunów pokazał się zresztą od zupełnie innej strony, aniżeli na Dzikim Zachodzie. Tutaj wiedziałem, kim jest i czego chce. Tam zaś trudno było dociec, co z niego za jeden i o co mu chodzi. Towarzyszące mu wówczas ciągle uczucie niepewności zamieniło się teraz w silnie wyrażaną pewność!

Kiedy zasiedliśmy później do obiadu, dobiegł nas z podwórza tętent koni i powłóczenie wielbłądów. Zanim ktokolwiek zdążył nas powiadomić o przybyszu, kto wszedł do nas szybkimi krokami? Ustad! Nasza radość była tym większa, gdyż nie spodziewaliśmy się, że tak rychło wróci. Wziąłem ten prędki powrót za dobry znak i okazało się, że wcale się nie myliłem. Kiedy minęły radosne powitania, powiedział:

— Jesteście spragnieni wiadomości. Zanim zaczniecie pytać, odpowiem wam tymczasem krótko: sprawy stoją bardzo dobrze i bardzo źle, bardzo dobrze dla nas i bardzo źle dla innych. Tyle! Tym musicie się na razie zadowolić, bo jestem głodny i zaraz siadam z wami!

Tryskał szczęściem i pogodą ducha. Wyglądał tak zdrowo i tak rześko, jakby odmłodził o kilka lat. Taka radość to coś wspaniałego. Chciałoby się życzyć jej wszystkim ludziom!

Popołudnie spędziliśmy na jego balkonie, z którego mogliśmy znakomicie obserwować ożywiony ruch, jaki panował w całej dolinie. Byliśmy tylko w trójkę, Ustad, Dżafar i ja. Ustad opowiadał o szachu, który traktował go bardzo życzliwie, pod innymi względami jednak okazał się bardzo surowy.

— Nasz władca wie znacznie więcej, aniżeli myślałem — powiedział. — Zdaje się, że wie nawet więcej niż my sami. Dowiedziałem się od niego, że nie idzie tutaj tylko o nasze istnienie, ale również o jego. Przygotowywane jest ogólne powstanie Babich. Pierwsze uderzenie ma nastąpić u nas. Naród ma myśleć, że stanowimy dla niego zagrożenie, a szach jest zdrajcą szczęścia swoich poddanych, gdyż we wszystkim nas wspiera. Nieprzyjaciel zamierza udawać obrońcę ojczyzny, wymierzając w Dżamikunów pierwszy cios. Potem ma być obalony szachinszach. Nasz pan wie o wszystkim i to w najdrobniejszych szczegółach. Nie mógł jedynie dowiedzieć się, kto ma zostać jego następcą.

Po tym oświadczeniu Ustad obrzucił nas wzrokiem, jakby spodziewał się zobaczyć na naszych twarzach największe przerażenie. Dżafar jednak powiedział bardzo spokojnym głosem:

— To wszystko już wiedziałem. Szach mi opowiadał.

— A ty, efendi? — zapytał Ustad. — Czy ta oburzająca wiadomość również ciebie nie porusza?

— I nie porusza, i nie przeraża. Jestem wtajemniczony w spisek, całkowicie wtajemniczony.

— Ty, ty?! — krzyknęli obaj naraz.

— Tak, ja! Wiem nawet, kto ma być następcą władcy!

— Kto więc, kto, kto?

— Tylko powoli! Wiem jeszcze więcej. Chcecie może usłyszeć, kto będzie nową cesarzową?

— Cesarzową...? — zapytali obaj w tym samym momencie i z jednakowym zdziwieniem.

— Jak na stosunki panujące w Persji brzmi to dziwnie, a jednak jest faktem. Jeśli nie wystarcza wam imię, to może uwierzycie, gdy zobaczycie zdjęcie.

Spojrzeli na mnie oniemiałi. Musiałem się uśmiechnąć, po czym ciągnąłem dalej:

— Szach ma wprawdzie rację, gdy mówi o powstaniu Babich, a jednak nie jest to zupełnie tak. Babich wciągnięto w spisek po to, aby w razie niepowodzenia obarczyć ich winą za wywołanie rewolty. Żeby się nimi posłużyć, wykorzystano roszczenia, jakie wysuwają oni wobec sprzysiężenia, gdyż pokrywają się one doskonale z celami, jakie chcą osiągnąć właściwi przewodnicy. Tak więc nowe królestwo ma stać się państwem elekcyjnym, w którym dziewiętnastu wysokich kapłanów — dziewiętnastu, bo jest to święta liczba Babich — po śmierci starego władcy będzie wybierać nowego. Także pozycja kobiet w państwie ma ulec liberalizacji, przy czym mają one poczuć się jeszcze bardziej wolne, aniżeli domagali się tego Babi. Działalność haremów ma zostać ukrócona, gdyż rządzący chcą mieć wpływ na rodziny i kobiety. Dlatego cesarzowi, jak również wszystkim jego poddanym, wolno będzie mieć tylko jedną oficjalną żonę. Małżonkę dla władcy będą wybierać wysocy kapłani, po czym zostanie jej nadany tytuł cesarzowej. Pierwszą cesarzową już wybrano. Jej fotografię noszę przy sobie w kieszeni.

Mówiąc te słowa, sięgnąłem ręką do kieszeni na piersi mojej kurtki. Tam bowiem trzymałem zdjęcie Dżafara i szachsadeh Khanum Gul, które wziąłem sobie w Birs Nimrud. Kiedy Ustad zaprosił nas do siebie, domyśliłem się, o czym będziemy mówić, i poszedłem do góry po tę fotografię. Ustad bardzo dobrze znał moje ówczesne przeżycia, jak również ten portret. Zdawał się odgadywać moje myśli, gdyż spojrzał zaniepokojony ma mirzę. Ten zaś zapytał tonem najwyższego zdenerwowania:

— Przy sobie w kieszeni, efendi? Czy mogę zobaczyć?

— Obcemu nie pokazałbym; tobie jednak mam wręcz obowiązek pokazać.

— Obowiązek? Jak to?

— Zobacz sam!

Wyjąłem z kieszeni obrazek i podałem mu. Wyciągnął mi go z ręki, spojrzał i... błyskawicznie podskoczył ze swojego miejsca, jakby ukąsiła go żmija. Potem opuścił rękę ze zdjęciem, obrzucił mnie całkiem osobliwym wzrokiem i zapytał:

— Efendi, czy przyjechałeś tutaj, żeby znowu mnie wybawić? Od niebezpieczeństwa o wiele większego od wszystkich, które wówczas na mnie „czyhały”? Skąd masz to zdjęcie?

— Z Birs Nimrud, o którym już ci opowiadałem. Znajdowało się w skarbie Sillanów i schowałem

je, bo od razu cię na nim poznałem.

— Co za szczęście, co za szczęście dla mnie! Ta kobieta oddała je Sillanom, żeby mnie zniszczyć, bo nie chciałem z nią mieć nic wspólnego! Mój kochany, kochany przyjacielu, któż mógł prowadzić cię za rękę! Tym zdjęciem można by udowodnić, że byłem zamieszany w powstanie. Teraz już rozumiem: ona ma być cesarzową, a Ahriman mirza cesarzem! Czy tak nie jest, efendi?

— Dokładnie tak. — Skinąłem głową.

— Ale jak ty się tego dowiedziałeś? Ty, ty obcy!

— Spocznij, Dżafar, proszę! Chcę ci o tym opowiedzieć. I to nie tylko ja. Musisz dowiedzieć się o wszystkim. Ustad nie będzie miał nic przeciwko temu.

Wtajemniczyłem go w nasze sekrety. Słuchał ze spokojem i kiedy informowałem go, że ma być zabity, i kiedy ma to nastąpić, nie okazał najmniejszego śladu zdenerwowania. Rozpiął alkalok i jedwabną pirahen. Wówczas zobaczyliśmy jego błyszczącą kolczugę, która była cudem rękodziela.

— Sam widzisz, efendi — odezwał się — że Ahriman mirza nie jest jedynym, który się zabezpiecza. Czyha na moje życie; wiedziałem o tym już od dawna i powiem wam jeszcze bardzo ciekawe rzeczy na ten temat. Zaskakuje mnie jedynie to, że dzień, w którym mam umrzeć, został tak dokładnie wyznaczony. Tego dnia mam przebywać u was, Ahriman również, morderca także. To jest zrządzenie losu, za które jestem mu serdecznie wdzięczny. Kto mówiłby jeszcze teraz o nieugiętym fatum czy ślepym kismecie, ten byłby głupcem, który nigdy już nie zmądrzeje. Ale to wszystko co powiedziałaś, nie odpowiedziało mi do tej pory na moje pytanie: Skąd dowiedziałeś się, kto ma być cesarzem i cesarzową?

— Musiałem powiedzieć ci najpierw wstęp. Teraz zaś pora na właściwą odpowiedź, która zainteresuje także Ustada, bo nie wie jeszcze, co tu się wydarzyło w czasie jego nieobecności. Powinniście się o tym teraz dowiedzieć.

Opowiedziałem im o wszystkim w najdrobniejszych szczegółach, nawet o śnie, i pominąłem jedynie to, że Syrr stał mi się posłuszny już po pierwszej próbie. Obaj słuchali mnie z najwyższą uwagą. Ustad był spokojny, zaś Dżafar mirza jakoś szczególnie się ożywił. Kiedy skończyłem mówić, natychmiast musiałem dostarczyć im dowody, które przekazał mi aszyk.

Ochoczo spełniłem życzenie Dżafara i Ustada, gdyż sam nie przeglądałem jeszcze dokumentów. Zrobiliśmy to więc razem. To, czego się z nich dowiedzieliśmy, całkowicie przeszło nasze oczekiwania. Nowe informacje o Ahrimanie mirzie, które uzyskaliśmy z dokumentów wprawdzie nie zaskoczyły nas, ale miały dla nas szczególnie ważne znaczenie, gdyż księcia cieni niechybnie musiały doprowadzić do zguby. Pomimo że metody jego działania z pewnością były niegodne, zaś cele, które chciał osiągnąć, niedozwolone, swoją nienawiść nazywał nienawiścią i był zbyt dumny, mógłbym powiedzieć zbyt honorowy, żeby ukrywać to, iż podburza ludzi. Trzeba mu to przyznać, pomimo że jest naszym najgorszym, największym wrogiem i podług tej jego szczeroci należy go sądzić. Ustad i Dżafar byli natomiast oburzeni tym, co przeczytaliśmy o szejku ul Islamie i jego powołanym przez Allacha obozie, który miał wyłączność na zbawienie ludzi. Brzmiało to tak łagodnie, tak ludzko i

pokornie, tak głęboko religijnie i świątobliwie, tak szlachetnie i wzniosie, tak twardo i nieubłaganie, tak butnie i pysznie, tak pawio dumnie i indyczo zuchwale, tak fanatycznie i bigoteryjnie, tak obrzydliwie odświętnie i uroczyście i dlatego tak haniebnie, podle i nikczemnie, że Dżafar już dłużej nie mógł tego słuchać, podskoczył, splunął trzy razy i powiedział:

— To haniebne, nikczemne i podle! Ci łajdacy zachowują się, jakby mieli ochraniać Pana Boga i strzec, i bronić całej ludzkości! Tak naprawdę jednak bronią tylko siebie, siebie, siebie i nikogo więcej! A że nie mają rozumu, myślą, że każde rozsądne słowo wymierzone jest przeciwko nim i każdego kto waży się myśleć lepiej, głębiej i wyżej od nich, uderzają po policzkach swoimi niezrozumiałymi frazesami Koranu! Biada temu, kto śmie wątpić, że są jedynymi, których oświeca światło Allacha! Bez skrępowania mogą udawać skromnych, bo są głupcami! I równie swobodnie mogą się wynosić i grać nieomylnych, gdyż nie oni jedyni są umysłowymi tępakami! I ci ludzie mają za złe szachinszachowi, że rodzina to u nas świętość, przed której drzwiami muszą zatrzymać swoje pełne namaszczenia kroki! Pan domu nie ma być gospodarzem, lecz to oni, oni chcą zarządzać domem. Szczególnie zaś kobiety będą musiały przechodzić przez tajemniczą, mroczną *bab**, od której wzięła się nazwa Babi! O, poznałem tego szejka ul Islama z Feraghamu! Ten głupiec jest przekonany, że w nagrodę został przeniesiony do Chorremabad. Nie przypuszcza nawet, że jego wierny Luristan ma się stać babem, z którego ma być wyrzucony jednym zupełnie niespodziewanym kopnięciem! Jest do tego stopnia niezdarny, że sam się odkrywa, teraz właśnie, teraz, ale to my jesteśmy tymi, od których musi dostać kopniaka! Jeszcze wielu, wielu innych poleci razem z nim!

Dżafar ponownie usiadł, nie wyładował jednak jeszcze do końca swojego gniewu. Mówił dalej:

— Jak to dobrze, efendi, że dzięki tobie mój wzrok przenika teraz tak głęboko! Widzę jasno, że szykowane są właśnie dwa powstania przeciwko szachowi. Jednemu przewodzi książę cieni, drugiemu zaś szejka ul Islam, ten jednak nie wie, kim jest książę cieni. Aszyk miał go wyśledzić! Obaj w Ahrimanie mirzie widzą przyszłego władcę. To, w jaki sposób ten książę pozyskał szejka ul Islama, jest dla nas sprawą podrzędnej wagi. Oba obozy zamierzają się zjednoczyć i u nas zacząć powstanie. Co za zjednoczenie! Pobożni z bezbożnikami, z gruntu uczciwi z fałszerzami i oszustami, wybrańcy Boga z wybrańcami diabła! Jedni określali się ciągle jako arystokraci wiary i religijności, drudzy jako masoni, jako nikczemni demokraci, jako heretyckie szumowiny; ci teraz zawiązują jednak z pierwszymi braterskie przymierze, żeby w podzięcie ich śledzić i później znów odrzucić! Efendi, proszę cię, udostępni mi te dowody, nie na zawsze, tylko na kilka godzin. Wiem, jaką ogromną wartość mają one dla was, abyście mogli zdemaskować waszych wrogów. Ja jednak natychmiast muszę sporządzić raport dla szachinszacha i muszę mieć ich treść przed sobą! Czy spełnisz moją prośbę? Dokumenty są bezpieczne w moim ręku i dostaniesz je z powrotem.

— Zabierz je — powiedziałem. — Tobie i Ustadowi mogę spokojnie je powierzyć; kto inny nie dostałby ich jednak. Kiedy chcesz napisać raport? Mówisz, że od razu. Myślisz, że to konieczne?

— Tak. Czas nagli. Dlatego zaraz jak napiszę, prześlę go przez gońca do Mihribani. Ale... racja... mam ze sobą tylko stajennych, nie da się wykorzystać jako posłańców. Muszę więc was prosi żebyście użyczyli mi jednego z waszych ludzi, który wolałby zginąć i połknąć wcześniej mój raport, aniżeli oddać go w niepowołane ręce,

Ustad przyglądał mi się z uwagą. Wśród Dżamikunów był z pewnością niejeden, który nadawałby

się do tego zadania, nie wymienił jednak żadnego po imieniu. Na to ja się odezwałem:

— Nasz Kara ben Halef! Posiada wszystkie cechy, które konieczne są do realizowania takiej misji. Pomimo jego młodego wieku, jem niewątpliwie możemy najbardziej zaufać. Poza tym dysponuje szybkimi wielbłądami Haddedińów. Będzie więc bezpieczny, gdyż nikt ni byłby w stanie go dogonić. Wystarczą mu dwa dni w tamtą stronę i dwa dni z powrotem. Jeśli da mu się jednego człowieka, który zna drogę do Mihribani, wtedy wróci już we czwartek wieczorem. Będzie musiał jednak poczekać na odpowiedź, a więc będziemy mogli spodziewać się go dopiero w piątek.

Moja propozycja spotkała się z takim entuzjazmem, że zaraz wstałem, żeby pójść porozmawiać z Karą. Dżafar towarzyszył mi podczas schodzenia na dół. Trzymając dokument w ręce, poszedł do wieży.

Kara był u swoich rodziców. Kiedy tam zaszedłem, zobaczyłem, że Halef siedzi wyprostowany w łóżku i jest jedynie lekko przykryty.

— Witaj, sihdi! — krzyknął w moją stronę dosyć silnym głosem. — Wyglądasz, jakbyś się gdzieś śpieszył?

— Bo i też trzeba się śpieszyć, mój Halefie. Przychodzę, żeby zabrać ci syna na parę dni. Musi podjąć misję, którą można powierzyć tylko człowiekowi najbardziej godnemu zaufania, jakiego tutaj znam.

— Najbardziej godnemu zaufania? Czy naszego Karę uważasz za takiego?

— Tak.

— Niech Allach cię błogosławi! To znowu lekarstwo! Ono pomaga! ono wzmacnia! Ono szybko mnie wyleczy! Dokąd ma jechać?

— Do szachinszacha.

— Do...!

Z radości i ze zdziwienia słowo utknęło mu w gardle.

— Tak, do szachinszacha! — powtórzyłem. — Z niesłychanie ważną depeszą!

— Do szach... in... szacha! — wydusił z siebie wreszcie, składając ręce jak do nabożeństwa.

— Z niesłychanie ważną depeszą! — dorzuciła Hanneh, która promieniała z radości, gdyż znowu jej rodzina dostąpiła niespotykanego zaszczytu.

Kara był jednak spokojny. Ten spokój miał we krwi!

Objasniłem mu w czym rzecz. Potem Kara ruszył, żeby nakarmić i napić szybko biegające wielbłądy. Halef zaś wyciągnął do mnie swoją rękę i powiedział:

— Sihdi, ta myśl wyszła od ciebie. Wiem, że to ty go zaproponowałeś, bo ciebie znam. Wiesz doskonale, że Kara dobrze nadaje się na kuriera, ale pomyślałeś także o nas, o rodzicach. To jeszcze jedno lekarstwo! Jeśli dobre wieści będą napływać w takim tempie, to jeszcze dzisiaj wyskoczę z mojego łóżka i za jednym razem zbiegnę aż na sam dół góry! Leżąc tu na dworze na dachu, galopem odzyskuję zdrowie!

Od Halefa poszedłem do koni. Byłem już koło kuchni, gdy wtem usłyszałem za sobą wołanie. Obróciłem się. W moją stronę szła Pekala. Udawała bardzo tajemniczą.

— Efendi, wiesz, że dzisiaj jest niedziela? — zapytała półgłosem.

— Oczywiście!

— A to, że mój aszyk chciał przyjechać?

— Tak.

— Ale on nie przyjedzie!

— Tak? Dlaczego nie?

— Przemyślał sprawę i kazał cię prosić, żebyś na niego nie czekał.

— A więc w takim razie był już tutaj? I rozmawiałaś z nim?

— Tak, był tutaj.

— Kiedy!

— Dzisiaj rano. W niedzielę wstaję zawsze wcześniej niż zwykle, bo kiedy biją dzwony, chcę już mieć robotę z głowy. Dzisiaj uporałam się z nią jeszcze wcześniej niż zwykle. Poszłam do ogrodu, żeby przynieść soghanlar²; wówczas nagle wyrósł przede mną mój aszyk i powiedział mi, że przychodzi teraz, bo dzisiaj wieczorem już go tu nie będzie.

— Dokąd mu się śpieszyło?

— Tego nie wiem. Nie byłam w stanie o nic go zapytać, bo nie miał czasu, żeby mi odpowiadać. Jednak kiedy odchodził, był bardzo wzruszający!

— Jak to?

— Chwycił mnie za rękę i głaskał mnie swoją drugą ręką po głowie, tak... o tak...

Pokazała mi, jak aszyk przesuwiał ręką po jej głowie, po czym mówiła dalej:

— I do tego powiedział: „Pekala, w ostatnim roku dopuściliśmy się wielu, bardzo wielu kłamstw, a Ustad i efendi są przecież tak kochanymi i tak dobrymi ludźmi, których w żadnym razie nie powinno się okłamywać czy oszukiwać. Przyrzeknij mi, że od dzisiaj będziesz mówić im całą prawdę, jeśli oni zapytają cię o mnie!” Przyrzekłam mu to i podałam mu rękę na znak, że dotrzymam słowa, gdyż...

Łzy nie pozwoliły jej dalej mówić. Wytarła sobie fartuchem swoje oczka i swój nosek i mówiła dalej:

— Gdyż kłamstwo... wybac mi, efendi! Założę sobie później do gotowania inny fartuch, nowy fartuch... gdyż kłamstwo ma krótkie nogi. Jeśli okłamuje się ciebie albo Ustada, nie można potem spać, dlatego teraz chcę powiedzieć ci zupełnie otwarcie...

Wycierała sobie znowu twarz, i to dosyć długo. Teraz mogła robić to do woli, bo przecież później chciała wdziać nowy fartuch. Potem znowu zaczęła mówić:

— ...chcę powiedzieć ci zupełnie otwarcie, że wszystko wygląda inaczej, niż mówiłam ci do tej pory. Muszę to zrzucić z serca, bo już dłużej nie wytrzymam! Otóż mój aszyk pojawia się tutaj nie tylko co miesiąc, ale...

Wówczas przerwałam jej:

— Zostaw to teraz, Pekala! Nie życzę sobie, byś sprawiała sobie ból.

— Nie muszę tego ci opowiadać?

— Nie.

— Ale wtedy nie zrzucę z siebie tego ciężaru i znowu nie będę mogła spać!

— Będziesz, będziesz! Wszystko układa się tak dobrze, jak opowiadałaś. Ustad i ja wybaczymy ci. Jeśli będziemy chcieli dowiedzieć się czegoś od ciebie, sami cię zapytamy. Wtedy jednak naprawdę będziesz musiała powiedzieć nam całą prawdę, bez żadnych kłamstw!

Jej małe oczka znowu zajaśniały, a nosek stracił ochotę, żeby okazywać troskę w postaci wilgotnej wydzieliny, i odpowiedziała prędko:

— Kłamstw? Nigdy więcej, nigdy, nigdy! Prawdopodobnie sami zostaliśmy okłamani, zwłaszcza przez szejka ul Islama, który powiedział, że jest tylko jego sekretarzem! Mój aszyk opowiedział mi o nim coś tak strasznego, że aż wprost trudno w to uwierzyć!

— Myślę, że nie rozmawiał z tobą zbyt wiele!

— Tak, to również się zgadza, ale o tym akurat mi mówił! Wyobraź sobie, że ten nędzny szejek ul Islam stwierdził, iż mój chód podobny jest do stąpania słonia! Niech tylko pokaże mi się jeszcze raz na oczy! Tylko na to czekam! Nie uwierzysz, efendi, co może spowodować jedno kłamstwo! Przez cały dzisiejszy dzień myślałam o nim i byłam tak zdenerwowana, że chyba ze sto razy pomyliłam się w kuchni. Pedehrowi zaparzyłam jego kawę z ziarenek pieprzu, zamiast z ziaren kawy. Wyobraź

sobie jego twarz, kiedy pił ten napój! Ludziom do lemoniady zamiast cukru wsypywałam sól! A w omlecie, którego przyrządzałam dla siebie, znalazłam czarne nici do szycia, cztery guziki i ołowianą kulę do strzelby. Czy nie jest przerażające, jakie straszne skutki mogą przynieść takie kłamstwa? Mój nos za mały! Jeśli ten człowiek jeszcze raz się zjawi, dostanie całym omletem w twarz, całym, i to od razu! Mam taki jeden specjalnie dla niego przygotowany! Leży gotowy cały dzień i tylko chlust, i będzie miał go na swoim nosie!

Rękami wykonała ruch, jakby właśnie chciała w niego rzucić. Musiałem się roześmiać; jej jednak wcale nie było do śmiechu. Zdaje się, że aszyk dobrze znał swoją Pekalę. Powiedział jej, że szejek ul Islam wyśmiał jej kobiecą piękność, i tym samym osiągnął więcej, aniżeli mógłby wyperswadować wszelkimi ostrzeżeniami i upomnieniami. Mogłem być spokojny, że już nigdy więcej nie poprosi wielebnego szejka o naddara! Pekala mówiła dalej:

— Tylko przez kłamstwa szejka ul Islama mój Tifl odjechał, chociaż tak gorąco go prosiłam, żeby u nas pozostał. Wmówił mu, że tutaj będzie nikim; ale jeśli pojedzie z nim i wystartuje w wyścigach na Kiss–y–Darrze*, wnet zostanie przyjęty do starszyny Takikurdów. W ciągu roku mógłby zostać szejkiem i wówczas żaden Ustad nie będzie się ociągał, żeby umocnić Dżamikunów przez sojusz z sąsiadami — Takimi, tak aby żaden wróg nie ośmielił się już ich zaatakować.

— Ach tak! Więc to była ta różdżka posmarowana lepem*, na której zawisł Tifl! Naprawdę myślał, że dobrze dla nas robi?

— A jakżeby inaczej, efendi! Myślisz może, że Tifl byłby w stanie kiedykolwiek działać przeciwko nam? „Dziecko” jest jeszcze głupie. Muszę je wychować. Później, kiedy wychowanie będzie zakończone, żaden szejek ul Islam nie zdoła mu zamydlić oczu. A „dziecko” potrafi być także sprytnie i mądre. Rozejrzy się tam u Takikurdów i wnet zauważy, że oni chcą go tylko wodzić za nos. Wówczas wróci! O to możesz być spokojny, efendi. Już się z tego cieszę!

— Jak nazywa się ten koń, na którym ma się z nami ścigać?

— Kiss–y–Darr.

— Szczególne imię! Co to za koń?

— Tego nie wiem. Tifl więcej mi nic nie mówił, jedynie to, że koń należy właściwie do Ustada. No, ale teraz muszę wracać już do kuchni, efendi, bo dzisiaj podaję wielką sokdżę* z cukrem i cytryną. Ustad nauczył mnie ją robić. Należy do jego ulubionych dań w ciepłej porze roku i właśnie ją powinien mieć dziś na stole.

— W takim razie pilnuj się, żebyś znowu nie wsypała soli zamiast cukru!

— Allachu, uchowaj! Ale mój gniew jeszcze mi nie minął, nie zdziwiłabym się więc, gdyby mi się coś takiego przydarzyło!

Wróciła do swojego królestwa, a ja ruszyłem dalej na pastwisko, przy czym po drodze zaopatrzyłem się jeszcze w kilka jabłek, nie tylko dla Syrri, ale także dla Assila. A to dlatego —

choć może to zabrzmieć śmiesznie, gdyż chodzi tylko o zwierzęta — że wydało mi się niesprawiedliwe, aby jednemu, w pełni zasłużonemu koniowi żałować tego, co dostaje drugi, mimo że jeszcze się niczym nie zasłużył. Assil i Syrr stali obok siebie i niemal z czułością dotykali się głowami. Podałem im jabłka, ale nie bezpośrednio do pyska, lecz położyłem je przed nimi na trawie. Oba konie pochyliły jednocześnie głowy i tak samo równo podniosły je za chwilę w górę. Dlaczego? Bo nie było w nich zazdrości. Szlachetna krew! Ani śladu łapczywości. Każdy z nich widział, że drugi pragnie owocu i dlatego chętnie cofał głowę. Żaden nie sięgnął drugi raz po smakołyk. Syrr jednak potarł pyskiem szyję Assila. Czyżby było to życzenie, żeby Assil wziął owoc i go schrupał? Podniosłem jabłka z trawy i każdemu dałem po jednym... ot, zwierzęta!

Od tej pory troszczyłem się o Assila osobiście. Był do tego przyzwyczajony, no i na to zasługiwał.

Właśnie gdy dawałem koniom ich wieczorną porcję jęczmienia, zobaczyłem po drugiej stronie pędzącego karkołomnie na koniu jeźdźca, który omijając duar, zmierzał od tylnej doliny w górę. To było naprawdę ryzykowne! Kiedy dotarł do położonego wyżej kamieniołomu, poznałem go; to był... Tifl. Zupełnie jakby przyciągnęły go tu słowa Pekali! Skręcił w stronę dzwonekowej drogi, a potem w lewo do mnie. W miarę jak się zbliżał, krok jego konia stawał się coraz wolniejszy i wolniejszy. Wreszcie stanął, chyba przynajmniej dziesięć długości konia ode mnie.

— Efendi, mogę wrócić? — zapytał.

Nie odpowiedziałem. Poczekał chwilę i zakłopotany ciągnął dalej:

— Tam jest istne piekło! Nie chcę nic o nim wiedzieć! Oczywiście nadal pozostawałem cicho.

— A dzisiaj przyszła niedziela! W piątek przez cały dzień śpiewali jak barany. To była taka dziecinada. Na ich miejscu bym się wstydził! Dzisiaj modliłem się. Widzieli to. Robiłem to po cichu; nie darłem się, nie paplałem i nie mruczałem tak jak oni. Śmiali się ze mnie i wyzywali od kafira*. Pomyślałem o naszych dzwonekach, o naszej niedzielnej pieśni, o naszej Beit-y-Chodeh, o mojej dobrej Pekali, o Ustadzie, o tobie efendi, o wszystkim, wszystkim, wszystkim! Nie wytrzymałem tego, co oni tam wyprawiali. Musiałem uciec, musiałem, musiałem! Nie mogłem ścierpieć ich twarzy. Są tak łagodne, tak pobożne, a jednak tak bezwstydne! Zupełnie jakby mieszkali tam sami święci aniołowie, ja zaś wśród nich byłem zupełnie zagubionym, odepchniętym przez Boga wyrzutkiem! Chcieli mi zabrać mojego Chodeh, któremu oddaję cześć. Źle się wyrażali o moim Ustadzie, którego kocham. A o Dżamikunach mówili jak o całkiem głupich stworzeniach, którym trzeba odebrać Ustada, jeśli chce się zrobić z nich użytecznych ludzi. Tak mnie to rozgniewało, że mógłbym udusić tych głupców. Przemogłem jednak swój gniew, wyszedłem potajemnie z duaru, zabrałem swojego konia z łąki i... przyjechałem tutaj, efendi!

Długa to była mowa. Nie mówił płynnie, ale z trudem wyduszał z siebie zdania, przerywając co kawałek. Czekał teraz, czy dam mu wreszcie odpowiedź. Nic takiego nie uczyniłem. Wówczas podprowadził swojego konia nieco bliżej, zsiadł i błagał:

— Przemów wreszcie, efendi, bo inaczej zacznę płakać! Źle i głupio postąpiłem, odchodząc. Bądź dobry jak zawsze i wybac mi! Co w takim razie chcesz ze mną zrobić? Jestem przecież waszym starym, wiernym Tiflem!

Jego słowa poruszyły mnie, nie okazałem jednak tego po sobie, lecz wskazałem na dom i powiedziałem:

— Ustad wrócił; niech zadecyduje. Idź do niego!

Zabrał swojego konia i kiedy przechodził z nim koło mnie, jego wzrok zatrzymał się na Syrrze, a w oczach zagościło takie zdziwienie, jakby zobaczył coś pozaziemskiego. Nie ośmielił się jednak cokolwiek powiedzieć.

Nie oglądałem się za nim, ale po chwili usłyszałem za sobą radosny kobiecy głos. Krzepka panna przyjmowała znowu swoje dziecko, z którym dzieliła radości i kłopoty. Dla niej było to następne przeżycie które we mnie z kolei wzbudziło poważną i zarazem usprawiedliwioną wątpliwość: Co teraz będzie z przygotowywanego przez nią chłodnika?! Kiedy znowu znalazłem się na podwórzu, Kara stał ze swoimi wielbłędami gotowy do odjazdu. Był dobrze uzbrojony. Miał mu towarzyszyć jeden ze stajennych Dżafara. Jednak raport dla władcy nie był jeszcze gotowy. Ustad stał na swoim balkonie; kiwnął mi, żebym przyszedł do niego na górę. Tifl opierał się o jedną z kolumn. Gdy chciałem koło niego przejść, odezwał się:

— Efendi, nasz Ustad mi wybaczył; mogę tu pozostać. Czy nie będziesz też tak łaskawy jak on?

— Jeśli on wybaczył, również ja wybaczam — odpowiedziałem. — Co sądzisz o szejku ul Islamie, już mi powiedziałeś i mam nadzieję, że nie zmienisz znowu zdania. Jak jednak rzecz się ma z Ahrimanem mirzą? Kto mu wówczas wszystko wypaplał o moim legowisku w holu?

— Ja — przyznał szczerze. — Aszyk powiedział nam, że Ahriman jest wielkim przyjacielem Dżamikunów; tylko jak do tej pory jeszcze się nie pokazał. Dlatego odpowiedziałem mu na wszystkie jego pytania. Uważałem się za mądrzejszego i bardziej uczonego od was wszystkich. Byłem przekonany, że sami przyznacie mi później rację i będziecie podziwiać moją mądrość. Ze mnie jest jednak baran. Efendi, największy baran pod słońcem!

— Masz rację, Tifl! Miałeś być ostrzyżony u Takikurdów. Ciesz się, że uszedłeś stamtąd z życiem!

Kiedy zaszedłem na górę do Ustada, gospodarz „wysokiego domu” przywitał mnie słowami:

— Pewnie chcesz zapytać mnie o Tifla. Mnie jednak co innego leży teraz na sercu. Nie mówiłeś o tym w obecności Dżafara. Chodzi mi mianowicie o Syrra. Kiedy spotkałem Dżafara w drodze, pokazywał mi konia, o którym wspominał mi później także szach. Pamiętasz, że niedawno w nocy rozmawialiśmy o Syrrze. Nie mogliśmy wówczas przypuszczać, że tydzień później ten koń znajdzie się u nas. Z ufnością patrzę na nasze wyścigi, ale ta ufność zwiłokrotnie dziesięć razy, sto razy, jeśli pojawi się u nas ktoś taki, kto będzie w stanie na nim jeździć. Szach jest bardzo ciekawy, czy ty tego dokonasz. Uważa nawet, że jest to całkiem prawdopodobne, by miało ci się powieść. Ale to, że Syrr pozwala ci się dosiąść i nosi cię na grzbiecie, dokąd zechcesz, nie wystarczy, żeby móc wystartować w takich wyścigach. Musiałbyś studiować go tygodniami, miesiącami, aby poznać jego szkołę. Jesteś jednak jeszcze chory. Musi więc się znaleźć ktoś inny, a takiego nie ma.

— To wszystko, wszystko, co mówisz, mój przyjacielu, to rzeczy mało ważne — odpowiedziałem.

— Najważniejsze jest to, czy będzie wolno nam wykorzystać Syrra w wyścigach.

— Bezwarunkowo, bezwarunkowo!

— Myślisz, że szach nie będzie miał nic przeciwko temu?

— Przeciwno temu? Wręcz ucieszy się, serdecznie ucieszy, jeśli okaże się, że jego szkoła bije wszystkie pozostałe szkoły. Walka będzie jednak gorąca, nawet decydująca, bo wiedz, że będzie się z nami ścigać Diabeł, a pojedzie na nim sam Ahriman mirza!

— Diabeł? Co to za koń?

— Khorossański srokaty o niesłychanej szybkości i wytrwałości. Wygrywał do tej pory każdą gonitwę, i to bawiąc się ze swoimi rywalami, wśród których były nawet najświetniejsze konie. Uważa się go za niezwyciężonego i już od lat nikt nie ośmielił się stanąć przeciwko niemu. Nazywa się Diabeł i jest diabłem, największym z wszystkich diabłów. Dlatego zwą go nie tylko Szejtan, ale także Iblis. A co znamienne, właścicielem Iblisa jest nie mężczyzna, ale kobieta. Zdziwisz się. Jego panią jest mianowicie owa szachsadeh Khanum Gul, która każe się nawywać „Różą z Sziras” i która, jak wiemy, ma być cesarzową Persji.

— Nadzwyczaj osobliwe! Ale przecudowne!

— Przecudowne? To brzmi tak, jakbyś się cieszył!

— Oczywiście, że się cieszę! Obawiam się tylko, czy ten Iblis rzeczywiście zostanie sprowadzony. Ze Sziras jest kawał drogi!

— Sziras? Ach, zapomniałem, że ty jeszcze nie wiesz, czego dowiedziałem się od Tifla. Ahriman mirza i Khanum Gul goszczą teraz w Chorremabad u szejka ul Islama.

— Moglibyśmy się temu dziwić, gdybyśmy nie wiedzieli, co knują. Oni jednak mogą sobie być, gdzie tylko zechcą; w tej chwili jest mi to nieskończenie obojętne. Pytam tylko o Diabła!

— Także jest w Chorremabad. Gul podróżuje zawsze z orszakiem i nigdy nie rozstaje się ze swoim ulubionym koniem.

— A zatem Iblis na pewno się pojawi?

— Z całą pewnością! Ma wygrać od nas wszystkie pełnokrwiste konie i zupełnie nas pohańbić!

— No to jestem spokojny. Pojadę więc na Syrrze! Ale żaden człowiek nie może o tym wcześniej wiedzieć, oprócz ciebie i Szakary!

— Efendi! — zawołał, cofając się ode mnie na parę kroków.

— Tak, pojadę na nim! — zapewniałem. — Do tej pory nie byłem tego jeszcze pewien; teraz jednak postanowiłem.

— Nie opiera się tobie?

— Absolutnie!

— Ale nie znasz przecież jego szkoły ani żadnej z jego tajemnic!

— Nie ma żadnej szkoły ani tajemnicy. Nigdy nie służył w jakiegokolwiek szkole, bo jeździ się w nich na starych szkapach i tresuje nieudane, pełnokrwiste i półkrwiste konie, ale te szkoły nigdy nie są w stanie nauczyć szlachetnego konia posłuszeństwa, gdyż nieustannie wypierają się swojej duszy. A tajemnica? Traktuję Syrra zgodnie z wielką i pełną miłości tajemnicą natury. Już przy pierwszej próbie zaakceptował mnie. Musze tylko zżyć się z nim. Święto zaczyna się w niedzielę. Poniedziałek przeznaczony jest na przeprowadzenie wstępnych gonitw. Główne zawody odbędą się we wtorek. Mam więc jeszcze dziewięć dni, a więc dosyć czasu, żeby zupełnie zregenerować siły i całkowicie zjednać sobie Syrra. Nie znam na razie Diabła tej Khanum Gul. Kto wie, jakimi chytrymi sztuczkami zmusza się do biegu tego konia. Ale jeśli ci mówię, że nie bałbym się go, jadąc na Assilu a tym bardziej na Syrrze, to możesz być spokojny!

Rozbawiony zaśmiał mi się prosto w twarz, podał mi rękę i odpowiedział:

— A więc wszystko, wszystko układa się nam pomyślnie, powiem nawet, znakomicie! Pojadę na mojej Sahn, a ty na Syrrze...

— Może jeszcze na Assilu! — wpadłem mu w słowo. — Kara powinien go dostać. Jednak jeśli uznam to za konieczne, sam pojadę na nim.

— W takim razie jedź i dbaj o siebie, mój przyjacielu! Bo widzę, że to ty rozstrzygniesz o wyniku zawodów.

— Nie jedzenie, ale ćwiczenie jest najważniejsze. Jeszcze dzisiaj rozpocznę trening.

— Na to już za późno!

— Wcale nie, bo będę ćwiczyć tylko nocą. Nikt nie powinien zobaczyć Syrra, aż do ostatniej chwili. Diabła wystawią do walki z nami dopiero w ostatniej rozstrzygającej gonitwie i pomyślą, że wprawia nas przez to w osłupienie. Wówczas przyprowadzę lśniącego karego konia, nie wcześniej! Czy jesteś pewien swojej klaczy?

— Pół dnia w siodle i znowu będzie moja!

— Pięknie! A o co chodzi z tym Kiss-y-Darrem, o którym mówiła Pekala?

— To podły afront, nikczemność w stosunku do mnie ze strony szejka ul Islama. Ten koń właściwie należy do mnie, tak, bez wątplenia należy do mnie; dlatego mnie oszukali i kompletnie zmarnowali moją Powieść, bo chcą mnie znieważyć i ośmieszyć. Pozwól, że ci opowiem, efendi!

Jego rozpromieniona do tej pory twarz zachmurzyła się, kiedy zaczął:

— Imię brzmi właściwie Kiss, jak wiadomo po arabsku to znaczy powieść”. Dlaczego tak nazwałem swojego konia w dniu jego narodzin, nie muszę ci tłumaczyć, gdyż ty również piszesz książki. Y–Darr, „brukowa” dodano dopiero teraz! Kiss wywodził się od szlachejnych rodziców. Był jasnym kasztanem o najlepszych zaletach i zapowiadał się na chlubę swoich rodziców, jak również moją. Właśnie kiedy dorósł na tyle, żeby stać się koniem wyścigowym, spotkałem się z szejkiem Kutubikurdów. On poprosił mnie, żebym za pewną opłatą wypożyczył mojego konia do jego hodowli. Chciał uszlachetniać swoją rasę i uznał, że Kiss najlepiej się do tego nadawał. Ten człowiek mówił tak uczciwie, tak otwarcie, tak prostodusznie, że mu zaufałem. Pożyczyłem Kissa. Szejk przystał na wszystkie moje warunki, podał mi rękę i dał swoje słowo, a także zapłacił pierwszą ratę za wypożyczenie. Jednak pozostałe gratyfikacje nie nadeszły. Rzecz działa się przed dwudziestu laty. Od tego czasu pomimo wielu pytań i upomnień nie dostałem ani zapłaty, ani mojego konia. Człowiek, któremu go pożyczyłem, zmarł. Jego spadkobiercy sprzedali Kissa. Zarówno oni, jak i kupcy twierdzą, że koń nie należy do mnie, chociaż wiedzą, że takiej rasy w ogóle się nie sprzedaje. Każdy Kutubikurd dobrze zdaje sobie sprawę, że takiego konia wydaje się jedynie za ciągłą długoletnią rentę. Kissa widziałem tylko jeden jedyny raz, całkiem nie tak dawno. Miał ponad dwadzieścia lat, był wymęczony, koślawy, okaleczony, oszpecony, powalany, zamieniony niemal w karykaturę konia, a teraz szejk ul Islam kazał go sprowadzić od kupców, żeby tak zmarnowanego czworonoga oficjalnie wygrać ode mnie. Ta karykatura konia miała być ujeżdżana przez karykaturę człowieka, mianowicie Tifla, aby wszyscy zobaczyli na własne oczy, jaki mam niszczący wpływ na wychowanie ludzi i zwierząt! Przede wszystkim jednak to biedne, celowo maltretowane zwierzę ma być wywołane przed wyścigami nie jako Kiss, lecz Powieść Brukowa. Widzisz, jakimi metodami walczą ze mną te „wizerunki samego Boga”.

— A więc to tak, to tak! — powiedziałem. — Teraz jednak Tifl im uciekł. Może zrezygnują więc z zaplanowanej potyczki?

— Nie sądzę! Wnet znajdzie się jakiś sprzedajny Taki, któremu rozkosz sprawi chwalenie się przed całym światem jazdą na Powieści Brukowej, bo przecież inny koń od razu zrzuciłby go z siodła! Wcale się nie wściekam z tego powodu, o nie; cieszę się nawet na tę błazenadę, bo, bo... mam coś w zanadrzu!

— Co?

— Kiss był szlachejny i nadal jest szlachejny, pomimo swojego wieku i pomimo swojego skoślawienia. Znawca natychmiast rozpozna, co jest pierwotną naturą, a co oszpeceniem. Zamierzam poważnie potraktować tę igraszkę, bo gdy o niej pomyślę, dochodzę do wniosku, że nie mają oleju w głowie. Chyba zgadujesz, o co chodzi?

— Rzeczywiście. Jeśli sobie wmówią, że mogą pokonać nas na swojej Brukowej, to w takim razie to oni odjadą stąd zawstydzeni. Ty albo ja, nieważne; nikt z nas obu nie będzie musiał się wstydić!

— Dobrze mnie zrozumiałeś. Poza tym zdaje mi się, że ten pomysł z Kiss–y–Darrem wyszedł z tego samego mózgu, w którym zrodził się ten ze sławetną karawaną Piszkhidmet Baszi*. Oba pomysły są tak do siebie podobne. Ten z koniem miał mnie skompromitować, ten z karawaną, który też był tylko bezwstydną igraszką, miał pogrzebać honor szachinszacha w świętych miejscach.

— Skąd to wiesz? — zapytałem zdziwiony, gdyż również mi przyszła do głowy podobna myśl.

— Władca sam mi o tym opowiadał. Doniesiono mu o tej karawanie. Nic o niej nie wiedział, a również wśród jego szambelanów nie ma ani jednego takiego głupca, jakim był ten Piszkhidmet. Dlatego też szach kazał przeprowadzić dochodzenie. Ślady prowadziły do szejka ul Islama i rzeczywiście okazało się, że to on dopuścił się tego oszustwa.

— A ja ochraniałem tego pseudoszambelana!

— Pomimo jego bezczelności i niewdzięczności! Nie masz czego żałować! Wdzięczny potrafi być tylko dobry człowiek, a on do takich nie należy! Poza tym w czasie tej rozmowy z władcą wydarzyła się jeszcze inna historia. Otóż u szacha byłem dwukrotnie. W czasie pierwszej wizyty opowiedziałem mu wszystko, a także pokazałem list emira Sillanów zaadresowany do kata i przeczytałem mu wiersze. Na to powiedział, że ten kat jest obecnie całkiem blisko nas, gdyż także znajduje się w tym budynku, prosił o audiencję i pozwolono mu stawić się przed obliczem szacha właśnie teraz. Kiedy później wychodziłem, Multasim rzeczywiście stał w przedpokoju i musiał natychmiast wchodzić do środka. Zdjął z siebie swoje balapusz* i dzięki temu trafiła mi się dogodna okazja, żeby wepchnąć mu list do kieszeni, w której tkwił już jakiś notatnik; korespondencja więc na pewno do niego dotarła. Podczas pożegnalnej audiencji dowiedziałem się od szacha, że ten człowiek miał czelność oskarżyć mnie o próbę popełnienia morderstwa i bezprawne wsadzenie go do więzienia, i prosił o wymierzenie ni najsurowszej kary. Władca najchętniej by aresztował tego drania i kazał powiesić, jednak z uwagi na nasze plany zdecydował po namyśle udzielić mu spokojnej odpowiedzi: że wyniku dowie się w swoim czasie, po tych słowach szacha Multasim uznał, iż musi określić władcy miejsce, w którym będzie przebywał w najbliższym czasie. Zdradził więc, że udaje się do Chorremabad, gdzie będzie gościem szejka ul Islama. Gdyby tylko domyślał się, co wiedział i myślał szach o tym dostojniku!

— A więc mamy teraz naszych przyjaciół blisko siebie i zapewne przybędzie ich jeszcze więcej!

— Tak; wszystko obecnie zmierza ku rozstrzygnięciu, a nasz wyścig będzie początkiem szybkiego końca.

— To do dzieła! Dzisiaj wieczorem, kiedy już wszyscy się udadzą na spoczynek, odbędę swoją pierwszą ćwiczebną jazdę na Syrrze!

— Dokąd? Na tor jeździecki?

— Na to jeszcze za wcześnie. Najpierw muszę dać mu wolność, powiększyć mu życiową przestrzeń. Być może obiorę drogę ku przełęczom.

— Wówczas musiałbyś jechać przez duar, którego chyba lepiej unikać. Pojedź raczej na północ. Kiedy znajdziesz się już po drugiej stronie, zjedź drogą prowadzącą do kamieniołomu, okrąż od lewej strony górę i wówczas przed szerokim, trawiastym obniżeniem doliny pojedź w prawo. Znajdziesz się wkrótce na równinie, gdzie można galopować nawet w najciemniejszą noc, gdyż ziemia jest tak gładka i pewna jak tutaj ta podłoga z desek.

W tym momencie musieliśmy skończyć naszą rozmowę, gdyż zobaczyliśmy Dżafara wychodzącego z wieży wartowniczej i niosącego w ręce list do szacha. Zeszliśmy na dół, żeby udzielić Karze jeszcze parę rad i życzyć mu pomyślnej drogi. Jego ojciec kazał przesunąć łóżko na sam skraj dachu, aby móc zobaczyć odjeżdżającego syna.

— Niech Allah ci towarzyszy, mój ukochany synu! — zawołał na dół. — Podziękuj od nas szachinszachowi. Następny list sam mu przywiozę! Teraz jedź i wracaj cały, zdrowy i z pismem w ręku!

Zaledwie parę minut później znalazłem się za „wysokim domem” przy koniach. Patrzyłem w dół na jezioro. Zobaczyłem Karę i jego towarzysza znikających w oddali. Aż wprost nie do wiary, do czego zdolny jest taki biszaryjski wielbłąd!

Potem udałem się na chłodnik. Był wyśmienity. A więc nie było już w nim śladu zdenerwowania kucharki, które tak utkwiło mi w pamięci. Po jedzeniu odpoczywałem, dopóki u góry i na dole nie zrobiło się cicho i nie paliło się już żadne światło. Przyniosłem swoje siodło i zszedłem do Syrra.

305

Leżał razem z Assilem nieco z boku od pozostałych koni. Księżyc świecił. Kiedy oba rumaki zobaczyły siodło, podniosły się. Jednak skoro tylko zacząłem zakładać uzdę Syrowi, Assil położył się ponownie. Był tak bardzo pojętny!

Naturalnie byłem ogromnie ciekaw, co teraz nastąpi. Czy powiedzie mi się? Wsiadłem. Nogi w strzemionach. Jeszcze nie zdążyłem ułożyć goleni, a kary koń już ruszył naprzód. Aż do ruin ciągnęły się same zakręty. Ledwo pomyślałem o skręceniu, a koń sam już skręcał. Co za wspaniałe uczucie! I ten spokojny, pewny krok! Lekki, pełen wdzięku rytm na basowym tle stukających o ziemię kopyt! Znalazłszy się po drugiej stronie, Syrr minął wieżę i ruszył w kierunku kamieniołomów. Rosły tam po prawej stronie gęste krzaki. Zatrzymał się przed nimi, chociaż wcale go do tego nie zmuszałem.

— Kto tu jest? — zadawałem sobie pytanie i wyostrzałem wzrok na krzaki.

— To ty, efendi, ty — odpowiedział jakiś głos. — A więc mogę wyjść. Nie sądziłem, że możesz znowu jeździć na koniu, i dlatego pomyślałem, że to ktoś inny.

To był aszyk.

— Co tu robisz? — zapytałem.

— Czuwam! — odpowiedział. — Znalazłeś moją paczkę? Na coś ci się przyda?

— Jeszcze jak. Dziękuję ci!

— Zatem proszę cię, pozwól mi spokojnie działać! Ty nie powinieneś ponizac się do kontaktów z tak podłymi ludźmi, z którymi przecież nie masz nic wspólnego. Pozostaw to lepiej mnie. Mnie błoto nie szkodzi tak jak tobie! Ja jestem do niego przyzwyczajony. Przypuszczam, że jutro będziesz chciał podsłuchiwać Pederahnów. Oni są także błotem, być może nawet największym. Czy pomimo to

chcesz przyjść?

— Oczywiście!

— A więc nie będę cię powstrzymywać. Czuję się tutaj pewnie i pomogę ci się wdrapać do kryjówki.

— Czy zadajesz się jeszcze z naszymi wrogami?

— Pozwól, że to przemilczę, efendi! Nie wolno mi obciążać twojego sumienia. Kiedy jednak dam ci znak, podąż ufnie za nim. Zbliżają się ciężkie czasy. Chcę je tobie uczynić lżejszymi. A potem, potem spełni się być może moje największe życzenie, jakie noszę w swoim sercu.

— Co to za życzenie?

— U nas psem się gardzi. U was zaś na Zachodzie pies jest szanowany. Jest przyjacielem, strażnikiem i obrońcą człowieka. Efendi, wypróbuj mnie i jeśli okaże się, że wart jestem twojego zaufania, pozwól mi być twoim strażnikiem, twoim psem, który będzie towarzyszyć ci tak długo, dopóki będziesz przebywał w tej okolicy! Psem, który będzie dzielić z tobą głód i pragnienie, będzie w deszcz i spiekotę słońca leżeć przed twoim namiotem, rozszarpie każdego wroga, który ośmieli rzucić się na ciebie, i prędzej umrze, niż pozwoli cię skrzywdzić! Czy zgodzisz się?

— Jako że sam chciałeś bym cię wypróbował... nie będę ciebie sprawdzać, gdyż nie jest to już konieczne. Ufam ci... jednak czas, który daję moim przyjaciołom, równa się zaufaniu, jakim cię darzę. Wówczas... ale o tym później!

— To więcej niż się spodziewałem. Niech Allah ci odpłaci! Powiedziawszy te słowa, oddalił się, bynajmniej nie za krzaki, ale w stronę kamieniołomu, koło którego później przejechałem, żeby zjechać na drogę prowadzącą na północny zachód. Podążałem nią dokładnie tak, jak radził mi Ustad, i po piętnastu minutach znalazłem się na równinie, która wyglądała tak, jakby została stworzona specjalnie dla mnie.

Teraz zabrałem się do pracy. Pracy? Źle, zupełnie źle! Toż to przyjemność, wielce wdzięczne studium, móc odgadywać myśli szlachetnego, konia i razem z nim je realizować! Znałem wielu, wielu jeźdźców, dobrych i kiepskich, jednak wśród nich tylko jednego jedyne, który zgadzał się ze mną, że koń też ma prawo czegoś chcieć. Był nim mój Winnetou. Koń ma przecież wolę jak każde zwierzę. Posiada także inteligencję, która zdolna jest rozstrzygać, czy ta wola jest dobra czy zła. Natychmiast dostrzega, kiedy jeździec popełnia błąd i gotów jest ten błąd naprawić. Jednak nie pozwala mu się na to. Musi ulegać nieczułemu, bezrozumnemu kijowi. Człowiek, który bije konia, nie zna jego subtelnej zdolności odczuwania i poczucia honoru, rozumności, rozważności i pamięci. Zameczając go, robi z niego wewnątrz i zewnątrz skostniałą szkapę! Kiedyś ostro się starłem z takim człowiekiem. Od południa do północy siedział w gospodzie, grając w karty i pijąc szklankę grogu za szklanką, albowiem tego dnia na dworze trzymał tęgi mróz i nawet w izbie było zimno. Na zewnątrz zaś stał jego koń, uwiązany, nie okryty, niemal dzwonił zębami, tak przenikliwie panowało zimno. To był dobry półkrwisty pięciolatek. Drobnny, zacinający śnieg, który padał jak igiełki, przykrył go na wysokość dłoni. Skóra nie miała już na tyle ciepła, żeby topić białą pokrywę. Koń w ciągu całego

tego czasu nie dostał ani jeść, ani pić, a kochanego pana miał później jeszcze wieźć na grzbiecie do domu Przez pełne trzy godziny. Wówczas doszło między nami do wymiany słów, którą ów człowiek skwitował pouczeniem: „To bydłę należy do mnie, a nie do pana. Pan nie masz nic do gadania! I nie weźmie mnie pan na jakieś bajki z uczuciami! Twierdzić, że zwierzęta, że konie mają duszę, to grzech i duchowni zabraniają szerzyć podobne herezje. Wiem to od mojego proboszcza, a on z Biblii!” Po tych słowach spokojny zabrał się do dalszej gry. Do domu ruszył dopiero rankiem następnego dnia, ale nie dotarł do celu. Musiał po drodze zatrzymać biedne zwierzę. Koń przemarzył tak silnie, że skończyło się to dla niego nieuleczalnym paraliżem. Wówczas kazał go ubić!

Syrr był nie tylko szlachetny; był czymś więcej. Na dzisiejszą jazdę wybrałem olbrzymią połąć płaskiego terenu. Dlaczego? Bo nie chciałem grać od razu wielkiego pana i władcy. Kary koń powinien poczuć najpierw, że nie ograniczam mu jego własnej wolnej woli. Już zaraz pierwszego dnia powinien nabrać przekonania, że nie jestem taki głupi, by ujarzmić, by krępować jego naturę, jego dary, jego zalety. To była najlepsza metoda, żeby owe dary, zalety poznać! Bardzo prędko też zauważył, że od tego miejsca musiał być mi uległy, a od teraz zaś mógł robić to, co mu się żywnie podobało. Początkowo czekał na jakiś zewnętrzny przejaw mojej woli. Nie dostrzegał takowego. Rozważając, zatrzymał się. Siedziałem bez ruchu, gdyż od razu reagował na moje najmniejsze poruszenie. Podniósł łeb i kręcił nim, do przodu, na prawo, na lewo. Jak czuły był jego zmysł powonienia, przekonałem się na dole w ruinach, kiedy zatrzymał się z powodu aszyka. Ten zmysł ceniłem bardzo wysoko, gdyż koń, który nie miałby go wyostrzonego, nie byłby mi w ogóle potrzebny. Teraz Syrr przekonał się, że nic nie może nam przeszkodzić. Obrócił łeb do połowy w moją stronę i cicho, krótko zarżał. Brzmiało to niemal tak, jakby chciał zapytać: „Czy naprawdę mogę?” Pogłaskałem go po szyi. To była odpowiedź. Ruszył naprzód, wolno, tanecznym krokiem po skosie, jakby najpierw chciał wypróbować swoje ścięgna i stawy. Potem przeszedł w kłus. Ale jaki to był kłus! Zdziwiłem się! Czy ten koń miał tylko mięśnie? Jechało się tak miękko, tak gibko, tak elastycznie, tak giętko, tak sprężysto... nie potrafię dobrać właściwego słowa, żeby trafić w sedno! Ten kłus nie był biegiem, ale płynięciem!

A teraz nastąpił galop; początkowo krótki. Pełen wdzięku, uroczyście dumny koń paradował niczym król, który przejeżdża koło balkonu swojej królowej. Pomimo to był naturalny i pełen prostoty. Buchała z niego czysta, niczym niepohamowana radość z siebie! Później nie wynosił się już w górę, lecz rozciągnął jak struna. Miało to w sobie coś z lotu orła, którego poruszających się skrzydeł nie sposób dostrzec. A jednak czułem, że Syrr dopiero zaczyna pokazywać swoją prędkość! Galopował coraz dłuższymi i dłuższymi skokami. Galop przemienił się w pęd. Znikał za nami kilometr po kilometrze. Gwiazdy lśniły, księżyc uśmiechał się łaskawie, widząc taką przyjaźń między człowiekiem a zwierzęciem. Góry rozciągające się na horyzoncie zbliżały się coraz bardziej. Teren zaczął opadać, układając się w dolinę. Syrr zauważył to podobnie jak i ja. Sam zakręcił, aby zawrócić. Wolał pozostać na znanym mu terenie, gdyż nie pokazał jeszcze tego, co chciał pokazać. To dopiero miało nadejść.

Wydawało się, że ów karier* sprawia mu przyjemność i że nie musi się wysilać. Jak jednak rzecz się miała ze mną, osłabionym, rekonwalescentem? Co tam słabość, co tam rekonwalescencja? Śmieszne! Byłem zdrowy, nagle całkiem zdrowy i to jeszcze jak zdrowy! Osłabienie? Na takim koniu? Posadź umarłego w takim siodle, a bez najmniejszej wątpliwości ożyje! Czułem coś takiego, jakby wszystko co było sprzeczne z życiem, zostało na przeszkodzie ciału, musiało zniknąć. Czyżby

Syrr stał się teraz duchem, tylko duchem, całkowicie pozbawionym mięśni nóg? On już nie biegł; nie galopował już i nie pędził, i... nie unosił się w powietrzu! Nie! My staliśmy, a równina, cała ziemia nas otaczająca poruszała się w szalonym tempie. Mknęła na nas i na prawo, i na lewo, i pod wyciągniętym jak sprężyna ciałem Syrra przesuwała się, z zawrotną prędkością znikając za nami. To było oszałamiające! Tak potrafią biec arabskie konie najlepszej klasy, jeśli dosiadający je jeździec posłuży się tak zwaną tajemnicą... na śmierć i życie! Jednak ani sławny Rih, ani jego równie znamienity syn Assil ben Rih nie dorównywali wspinałemu Syrowi, który przestrzeń, czas i materię przemieniał w myślach i nie trzeba go było do tego zachęcać jakimikolwiek podstępami. Przemierzył równinę i znowu rwał naprzód, i z powrotem, i tak ciągle z jednakową prędkością, aż w końcu w trosce o niego szepnąłem mu jedno słówko „wakif”. Posłuchał natychmiast. Mknął co prawda jeszcze parę kroków, jednak nadzwyczaj szybko pokonał bezwładność rozpędzonego ciała i spokojnie stanął w miejscu.

Zeskoczyłem z siodła, wziąłem jego łeb w obie ręce i przycisnąłem do siebie. Pogłaskałem go z rozkoszą, której nie da się wyrazić słowami. Oddychał zupełnie spokojnie. Nie czuło się ani śladu potu i nie było widać na nim w ogóle piany. Boki nie drżały i jedynie serce zdawało się bić nieco mocniej niż zwykle. Włosy grzywy i ogona, kiedy gładziłem po nich dłonią, trzaskały ze zdwojoną siłą.

Zuch z ciebie, Syrr. Jesteś niezrównany! — krzyknąłem z entuzjazmem. — Ciebie przysłał nie tylko szach, ale jeszcze ktoś, kto stoi ponad nim. Ten, który stoi wyżej, chciał, żebyśmy dzięki tobie zostali uratowani!

Syrr potarł swoim pięknym, dostojnym łbem moje ramię, uszczypnął mnie kilka razy we włosy i w końcu polizał moją rękę. Potem znów go dosiadłem, żeby nie pozostawiać go w bezruchu na ostrym nocnym wietrze. Siedziałem spokojnie, nie biorąc w ręce cugli leżących na kuli siodła i nie dotykając jego ciała, znajdującego się pod *ssinpusz**. On również stał, nie ruszając się. Tak czekaliśmy, ja uśmiechając się, on zaś; gotowy do spełnienia każdego mojego polecenia. Kiedy jednak żadnego nie wydałem, obrócił ponownie w moją stronę głowę i zarżał tak samo jak wtedy, gdy przybyliśmy tutaj, tylko nie tak krótko, ale bardziej przeciągle i w wielu interwałach. Brzmiało to prawie tak, jakby chciał wygłosić małą mowę: „Co teraz się stanie? Ja użyłem swojej woli. Znasz mnie teraz. Jesteś znowu panem. Rusz się więc!”

Pogłaskałem go jeszcze raz po szyi, chwyciłem cugle i przycisnąłem uda do jego boków. Zadowolony wyrzucił głowę w górę i ruszył naprzód. Przemierzaliśmy całą równinę, potem zjechaliśmy z góry i tą samą drogą, którą tu przyjechaliśmy, wróciliśmy do domu. Assil powstał, żeby nas przywitać, a następnie znowu położył się na ziemi. Po zdjęciu uzdy i rozsiodłaniu konia przyniosłem kilka jabłek i szmatek, o które ostatnio postarała się Szakara. Syrr nie spociał się; nie było widać na nim śladów jakiegoś większego przegrzania. Pomimo to wytarłem go starannie, następnie odniosłem na miejsce siodło wraz z przyrządami i poszedłem do siebie na górę.

Z mojego płaskiego dachu spojrziałem jeszcze w dół. Syrr położył się obok Assila. Oba karę konie dotykały się łbami. Usłyszałem pod sobą szmer, dobiegający z balkonu Ustada. Gospodarz „wysokiego domu” siedział na nim, teraz wstał i wszedł do środka. To była miłość do mnie. Ten jest dobrym człowiekiem!

Spotkanie Pederahnów

Kiedy obudziłem się następnego dnia, na dworze było jasno, słońca wszakże nie widziałem, chociaż na niebie nie było ani jednej chmury. Wstałem prędko pełen przeczuć. Wyszedłem na dach i wprawdzie zobaczyłem słońce, ale wyglądało ono tak, jakby śmiało się szelmowsko ze mnie. Tam gdzie ono teraz świeciło, zwykło świecić o czwartej po południu!

— Obudziłeś się? — dobiegł do mnie z dołu głos Ustada. — Słyszę, że już nie śpisz.

— Właśnie wstałem! Czwarta po południu! — odpowiedziałem. Czy to nie wstyd?

— Nie, tak właśnie musi być! Z powodu jazdy nadwreżyłeś się ponad miarę. Dobra natura wyrównuje to. Jak się udała wyprawa?

— Jestem z niej ogromnie zadowolony! Opowiem ci później. Ale moje biedne, biedne konie! Dwa razy nie dostały paszy. Wszystko przespane!

— Nie musisz się martwić. Zrobiłem to za ciebie. Woda, jęczmień, jabłka. Zadbałem przy nich o wszystko jak należy, dały jednak po sobie poznać, że bardziej wolą ciebie! Co zamierzasz teraz robić?

— Idę do nich, później wezmę kąpiel, a następnie rozejrzę się, gdzie można by coś zjeść.

— Oczywiście u mnie. Czekałem na ciebie z obiadem.

— Gdzie podziewa się Dżafar mirza?

— Na dole w duarze. Bardzo go tam polubili. Swoim łaskawym dobrotliwym usposobieniem prędko zjednał sobie wiele serc. Przyjdź więc później do mnie; zadbam, żeby jedzenie było gotowe!

Kiedy zszedłem na pastwisko, na spotkanie ze mną wyskoczył nie tylko Assil, ale również Syrr. Jeśli chodzi o tego drugiego, była to nowość. Wiedziałem, że teraz jest mój!

Nadzwyczaj długi sen świadczył niezbicie, że nocna jazda stanowiła dla mnie większe obciążenie niż myślałem. Na zwyczajnym koniu nie mógłbym jeszcze odważyć się na podobny wyczyn. Początkowo zamierzałem go powtórzyć dzisiejszego wieczoru po wyprawie do ruin, wolałem jednak być przezorny i postanowiłem zrobić sobie dzisiaj przerwę. Najważniejsze było, żebym w dniu zawodów był już na tyle sprawny, by móc wystartować. Nie należało więc nadmiernie poganiać natury. Poza tym, będąc u Ustada, nabrałem takiego apetytu, że gospodarz „wysokiego domu”, który znał przecież moją wstrzemięźliwość, niemal zdziwił się i uradowany, z uśmiechem powiedział:

— Tak trzeba trzymać, mój kochany przyjacielu. Porządnie jedząc i porządnie śpiąc, prędko wrócisz do zdrowia! Znowu jestem na miejscu i zdejmuję z ciebie twoje dotychczasowe obowiązki. O wszystkim będę cię powiadamiać a ty jedynie masz dbać o siebie i o Syrra, żebyście dopisali nam na wyścigach!

— Dobrze! Oddaję ci w takim razie wszystko, jednak proszę cię, żebyś pozostawił mi aszyka. Czy może chciałeś pójść do niego, żeby być przy spotkaniu Pederahnów?

— Nie. W tym jednak nie mogę cię zastąpić. Tylko uważaj na siebie! Przedsięwzięcie jest bardzo niebezpieczne, bo Sillanowie są do wszystkiego zdolni, a tego aszyka też nie możesz być jeszcze do końca pewien!

— Obdarzyłem go zaufaniem i nadal chcę mu ufać. Poza tym zawsze wolę być ostrożny. Załaduję oba moje rewolwery i wezmę je ze sobą. W ten sposób będę zabezpieczony na każdą ewentualność.

— A więc jednak broń! — Uśmiechnął się. — Dlatego ci ją zwracam. Wyższa i szlachetniejsza jest co prawda walka duchową bronią, jednak nie wszyscy przeciwnicy myślą równie szlachetnie. Z podłością nie da się walczyć za pomocą zbrojnego sonetu, dystychu i aleksandrynu; na podłość dobre są tylko rewolwery miotające w nikczemnych kulami, gdyż wszystko co nie huczy, na nich jest nieskuteczne!

Później poszliśmy do mnie. Ustad trzymał w ręce moje pistolety, które zabrał z rupieciarni. Powiesił je w środkowym pokoju. Załadowaliśmy rewolwery. Zaopatrzył mnie nawet w długi nóż i dopiero wtedy poczuł się zadowolony, gdy obiecałem mu, że również jego wezmę ze sobą.

Kiedy szykowałem się do drogi, zabierając kilka świeczek i wkładając do kieszeni zapalki, była dziesiąta wieczór. Księżyc oświetlał mi okolicę po drugiej stronie aż do wąskich drzwi. Oczywiście pokonywałem dzielący mnie od nich odcinek bardzo ostrożnie i nie na widoku, gdyż musiałem się liczyć z możliwością, że kręcił się tutaj któryś ze Sillanów. Nie szedłem więc, ale skradałem się i starałem się przy tym poruszać jak najwięcej w cieniu i w bezszelestny sposób. Kiedy dotarłem do drzwi, byłem przekonany, że nikt mnie nie dostrzegł, sam również nikogo nie widziałem.

Zapaliłem jedną świeczkę, mimo że znałem już wnętrze budowli i bez trudu odnalazłbym drogę w ciemności. Do prawej ręki wziąłem nóż, żeby móc natychmiast się bronić, w razie gdyby ukrył się tutaj jakiś wróg. Przez sień podążyłem w stronę miejsca najświętszego. Światło mojej świeczki nie sięgało zbyt daleko, dlatego świeciłem najpierw na środek, a potem na ściany. Wreszcie zatrzymałem się przy kamieniu, który stanowił niegdyś ołtarz czy też arkę przymierza, i przytrzymałem świeczkę w górze. Wówczas z empory zabrzmiał głos:

— To ty, efendi? Przy jednej świeczce prawie nic tutaj nie widać. Kiedy oni przyjdą, będzie jaśniej. Spuszczę ci mój pieniek i przytrzymam go u góry. Jest doskonale ścięty, abyś mógł jak najwygodniej się tu dostać. Są na nim solidne kikuty gałęzi, po których możesz wejść. Nie musisz więc się wdrapywać.

Spuścił mi pieniek. Oparłem go porządnie o podłogę. Kikuty były wystarczająco solidne, żeby mnie utrzymać. Aszyk poświecił z góry świeczką. Zgasilem swoją, aby mieć wolne obie ręce, i wszedłem do niego na górę. Wciągnęliśmy naszą drabinę, położyliśmy ją na podłodze empory i wówczas rozejrzałem się. Poza nami nie było tu nikogo. Zgasiliśmy świece i usadowiliśmy się nisko, ale nie obok siebie, lecz w oddaleniu, tak aby jeden mógł widzieć to, co drugiemu zasłaniała kolumna. Miałem pełne zaufanie do aszyka, jednak ponownie wyciągnąłem nóż. Nakazywała mi to ostrożność, za której głosem trzeba iść w każdym położeniu i w każdej sytuacji.

Otoczająca nas ciemność napawała grozą. Niezdrowe powietrze utrudniało oddychanie. Miejsce świetnie nadawało się na wylęgarnię zła. Na szczęście nie musieliśmy długo czekać, gdyż pojawił się pierwszy mężczyzna. Zapalił na zewnątrz świecę i wszedł. Był tak pewny siebie, że nawet nie zadał sobie trudu, by najpierw zbadać pomieszczenie. Zamiast tego od razu wyszedł na środek, roztopionym woskiem umocował swoją świecę i usiadł.

Potem wszedł drugi, trzeci, czwarty. Wszyscy postąpili tak samo jak Pierwszy. Żaden nie wymienił pozdrowienia. Żaden nie powiedział słowa. Paliły się teraz cztery świeczki, jednak ich blask nie był na tyle silny, żebyśmy z naszego miejsca mogli rozpoznać nie zasłonięte twarze. W tym momencie wszedł piąty. To zmieniło sytuację. Wszyscy powstali, a jeden zapytał prędko:

— Czy emir już przybył?

— Nie — odpowiedział tamten. — Nie widać jeszcze, żeby jego koń był uwiązany do tego drzewa co zwykle. Jednak jest już zwiadowca, który ma kontrolować, czy idziemy i wchodzimy tutaj zgodnie z instrukcją. Trzeba wreszcie położyć temu kres!

Ten głos wydał mi się znajomy. Jego właściciel pochylił się, żeby przytwierdzić roztopionym woskiem swoją świecę. Dzięki temu jego twarz na chwilę została oświetlona i rozpoznałem... Ghulama el Multasima. Krwawego Mściciela, kata cieni!

— Niech tylko zakończy się pucz! — powiedział ten, który odezwał się na początku. — Wówczas się z nim rozliczymy.

— Ale czy uda się ten pucz? — rzucił ktoś inny.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości! Dobrze o tym wiem! — zapewniał Ghulam. — Dzisiaj emir przyprowadzi ze sobą szejka ul Islama, żeby udowodnić nam, iż pobożne światła idą ramię w ramię z bezbożnymi cieniami, aby razem zdetronizować władcę. Wracam właśnie prosto od szacha. Nic nie wie o grożącym mu niebezpieczeństwie. Nawet jego pupil Dżafar, któremu nadał honorowy tytuł, Hemad*, nie przypuszcza, że już za parę dni gul-i-sziraz ma rozkwitnąć na jego piersi i...

— Ma umrzeć? — przerwano mu. — Jak? Kiedy? Gdzie?

— Tego nie mogę zdradzić. Jeżeli ja to mówię, możecie być pewni, że to nastąpi. Znalazłem w swojej kieszeni list z rozkazem napisanym tym tajemniczym stylem typowym dla emira. Myśli, że jest wszechobecny. Ale skoro tylko dowiemy się, kim właściwie jest, wtedy jemu również rozkwitnie róża! Nie ma mowy o dzieleniu z nim nagromadzonych tu od stuleci skarbów! Najpierw pucz, żebyśmy mogli wykurzyć stąd Dżamikunów, i Ahriman mirza na tron! Przy takim władcy nie musimy się obawiać żadnej kary! W całym kraju mamy sojuszników gotowych do natarcia. Precz ze szachem i jego doradcą Dżafarem, a Ahriman, który jest łajdakiem takim jak my, zasiądzie na tronie. Władza emira może sobie być jeszcze raz tak wielka, a i tak wraz z jego śmiercią się skończy; wówczas podzielimy ją między siebie i z ukrytymi tu bogactwami staniemy się tymi, którymi do tej pory byliśmy potajemnie... władcami całego kraju! Teraz jednak cicho! Przepisowa przerwa we wchodzeniu zaraz się skończy. Nie było między nami żadnej rozmowy!

Minęło jeszcze może dziesięć minut. Potem znowu usłyszeliśmy kroki na zewnątrz. Tym razem wszedł nie jeden człowiek, ale dwoje ludzi, nie mieli jednak w rękach świec. Pierwszy z nich, który zdaje się był prowadzony, pozostał przy wejściu. Drugi podszedł bliżej, jednak niezupełnie blisko. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłem, że miał na sobie ubranie identyczne z tym, które dostałem od szacha. W prawej ręce trzymał szpicrutę. Jego twarz zakrywała czarna maska, a gdy poruszał się, na czapce mieniły się kamienie umocowane na agrafie, pomimo że wokół było tak niewiele światła. Obecni z szacunkiem poderwali się z miejsc. Dumnym władczym gestem ręki zażądał od nich uwagi i przemówił:

— Znowu spotykamy się razem tu, skąd wygnał nas ten Ustad ze swoimi Dżamikunami. Blisko jest jednak dzień zemsty, która zwróci nam to, co niemal straciliśmy, i która rozwali, a potem zdruzgotce w pył tę chrześcijańską bandę. Wówczas znowu będziemy panami naszej ciemności i już nigdy więcej nie pozwolimy zapalić w ruinach światła. Nie było ostatniego dnia żołdu, bo byliśmy przecież daleko od *yehudeh*, następnego również nie będzie, gdyż musimy porachować się z Ustadem. Odbywają się tutaj wyścigi. To dla nas bardzo sprzyjająca okoliczność. Możemy przybyć w sporej liczbie i nikt nie będzie nas o nic podejrzewał. Sprowadzimy naszych najlepszych jeźdźców i z pewnością wygramy tę wstępną potyczkę.

Po tych słowach przerwał. Do tej pory celowo mówił zmienionym głosem, a pomagały mu w tym jego maska i głucho echo tego pomieszczenia. Starał się również unikać ruchów, które mogłyby go zdradzić. Jednak osobliwego, butnego zachowania nie był w stanie ukryć; również postura zgadzała się dokładnie i dlatego byłem przekonany, że mam przed sobą Ahrimana. Ów ciągnął dalej:

— Po wstępnej rozgrywce natychmiast zabierzemy się do właściwych działań; nie będzie żadnej przerwy. Plan znacie i jesteście gotowi do natarcia. Nie mogę wam jeszcze tylko określić godziny. W następny piątek musicie wejść, właśnie o północy, na Dżebel Adawa; tam zapadnie ostatnie słowo, wyrok, rozstrzygnięcie. Dzisiaj jednak przyprowadzam wam szejka ul Islama, żeby jego obecnością udowodnić, iż rzeczywiście jesteście sojusznikami i na pewno zwyciężymy.

Kiwnął. Szejk ul Islam zbliżył się. Jego twarz nie była zasłonięta. Nie było widać po nim najmniejszego śladu zdenerwowania czy zakłopotania. Zachowywał się zupełnie tak, jakby był w swoim żywiole, dobroduszny, miłujący ludzi, pełen namaszczenia. Każdemu Powiedział parę uprzejmych słów, nawet katu podał rękę i następnie wroczył na bok. Przedstawienie szejka zakończyło się i Ahriman mirza mówił dalej, tyle że już krótko:

— Na dzisiaj już wszystko. Podprowadźcie wasz lud na tyle blisko, żeby marszem mógł on w ciągu dwóch dni dotrzeć do doliny Dżamikunów; musi to jednak przebiegać zupełnie niepostrzeżenie! Pozostali Pederahnowie są rozdzieleni po całym kraju i czekają tylko na wyniki naszego natarcia, aby także natychmiast uderzyć. Teraz idźcie! Jesteście wolni!

Zdaje się, że rozkaz wywołał u nich zdziwienie. Kat zapytał:

— Dzisiaj my pierwsi? Przecież zawsze ty wychodzisz na początku!

Na to emir rozzłoszczony wrzasnął:

— Jeszcze masz jakieś pytania, skoro dałem rozkaz! Idźcie... ja na razie zostaję! Czy może mam prosić cię o pozwolenie? Wiesz dobrze: jeśli ja proszę, to tylko takimi słowami!

Wyciągnął pistolet i wymierzył nim w czoło Multasima. Kat na taką groźbę szybko się odwrócił i chwycił świeczkę, żeby się oddalić.

— Świeczki zostawicie tutaj! — nakazał emir. — Sam je później zgaszę. Idźcie jak zwykle... w odstępach zgodnie z instrukcją... żadnego gadania... Wychodzić!

Kat zniknął natychmiast. Pozostali wychodzili po kolei za nim. Dopiero kiedy wyszedł ostatni, emir schował pistolet i zaśmiał się pogardliwie.

— Hołota! Nadaje się do czegoś tylko wtedy, kiedy wszystkie kości trzęsą się im ze strachu!

— Ja inaczej na to patrzę — odpowiedział szejk ul Islam. — U nas rządzi miłość!

— Ale co to za miłość! Nie starajmy się sobie czegokolwiek wmawiać! Nie kryję przed tobą, że jestem bezlitosny; wam wstyd nic pozwala się odkrywać. Wasza miłość jest jednak niczym innym jak tylko prywatą do najwyższej potęgi. W ciągu jednego jedyne roku unicestwia ona więcej istnień, aniżeli ja mógłbym zniszczyć w całym stuleciu! Wiesz, że cię znam. Dlatego nigdy nie próbowałeś wkładać przy mnie swojej świętej maski!

Szejk ul Islam zbliżył się do niego i powiedział:

— Tak, przed tobą stoję jak mężczyzna przed mężczyzną, jak duch przed duchem. Jesteś niszczącym przeznaczeniem; ja jestem burzącym potwierdzeniem. Ja przytakuję tylko dla własnej korzyści, tylko dla własnej. Co się stanie z ludzkością, jest mi całkiem obojętne. Dlatego nienawidzisz mnie... zażarcie... aż do rozszarpania!

— Nienawidzić? — Zaśmiał się emir. — Jeszcze więcej, jeszcze gorzej: gardzę tobą! Do nienawiści zdolna jest tylko twoja łaskawa miłość, nikt inny. Jako sługa podłości dążę do szlachetnego. Wy zaś chcecie wznieść to co nikczemne, zwalczając to co wzniosłe! Jestem

wobec ciebie otwarty i szczery. Ty jednak nawet dla mnie masz w zanadrzu fałsz i chcesz mnie zdeptać, kiedy tylko przestanę być ci potrzebny. Jest tak czy nie?

Szejk ul Islam spuścił głowę i powiedział uspokajającym tonem: — Mój przyjacielu, mój kochany, podziwiany przyjacielu, zapewniam cię na Allacha, że nie...

— Zostaw w spokoju swojego Allacha; ani przez chwilę nie przejdzie ci przez głowę, żeby cenić go wyżej aniżeli ja! — rozżłościł się na niego emir. — Nie zawarliśmy sojuszu po to, żeby się nawzajem okłamywać, jesteśmy wrogami, śmiertelnymi wrogami i tylko na krótki czas podajemy sobie ręce, żeby zniszczyć trzecich, którzy na swoje nieszczęście stanęli nam na drodze. Kiedy z nimi się uporamy, walka między nami rozgorzeje na nowo. Z trudem zgodziłem się na sojusz. Z trudem przyszło mi, żeby nakłonić Ahrimana mirzę na jutrzejsze odwiedziny u Takich. Z trudem przyszło mi zaproponować tobie, byś przyszedł na umówione miejsce nad potokiem, żebym mógł cię tutaj przyprowadzić. A na tej krótkiej drodze, którą szliśmy tu do ruin, wiele wyrzeczeń kosztowało mnie,

żeby wysłuchiwać twoich pobożnych pochlebstw i żeby nie pęknąć ze złości, kiedy słyszałem twoje pozornie święte zapewnienia. Fui! Dlatego nie masz co się dziwić, że mówię do ciebie takim tonem. Jestem naładowany jak prawdziwa armata, której wystrzały zawsze głośno huczą. Jeśli chcesz, żeby nasze wspólne natarcie zakończyło się sukcesem, to dbaj o to, żebym mógł cię znieść! Przynajmniej wobec mnie bądź na zewnątrz takim człowiekiem, jakim jesteś wewnątrz, a także wobec swojego Allacha! Czy twoje tchórzostwo jest tak wielkie, że nie odważysz się pokazać na swoim ciele węża tygryskich pazurów? Szejk ul Islam cofnął się parę kroków, odciągnął łokcie do tyłu, zacisnął pięści i wykrzyknął:

— Człowieku! Łajdaku! Wiesz, gdzie jesteś? Mogę cię unicestwić... tutaj, natychmiast... na miejscu!

— Od razu trzeba było tak mówić! Tego od ciebie chciałem! — zaśmiał się Sill. — Wreszcie wychodzą pazury! Mów dalej tym szczerym tonem, a być może będzie między nami zgoda! Pytasz mnie, czy wiem, gdzie jestem. Śmieszne! Jestem tutaj w moim królestwie jako nieograniczony władca.

— W twoim królestwie, w twoim? — szydził szejk ul Islam. — Tak, chciałeś mnie tu wprowadzić, żeby najpierw przedstawić mnie twoim Sillanom i potem pokazać nagromadzone skarby, żebym zobaczył, jaki posąg możesz wnieść nowemu cesarzowi. Mylisz się jednak biedny, bezsilny księciu cieni! Już dawno tutaj wszedłem. Znam każdy kamień, każdy kąt, nawet wodę, która płynie tam na dole w głębinie!

— Ty... ty... ty? — zapytał zdziwiony emir.

— Tak, ja! Bo te ruiny nie są twoim królestwem, ale moim albo raczej naszym. My, my, my jesteśmy tymi budowniczymi, którzy zgodnie ze starą legendą chcieliśmy zamurować Pana, a zamurowaliśmy diabła!

— Co to za my?

— Mężowie zakonu Takich, który powstał, kiedy niezliczone wieki temu, całą wieczność przed czasami Zoroastri zaczęto wznosić tę budowlę. Budowaliśmy nie dla nas, ale dla was, dla naszych cieni! Zbudowaliśmy ul dla was, dla naszych robaków. Od samego początku aż po dziś dzień jesteśmy panami, wy zaś pacholkami, którzy zbierają tam, gdzie nie posiali, żeby zebrać dla nas miód. Biedny, biedny darmozjadzie! Chciałeś pokazać mi skarby, które nazywasz swoimi. Ja jednak znam je lepiej aniżeli ty. Ci potępieni przez Allacha Dżamikuno—wie pojawili się tutaj zupełnie niespodziewanie. Byliśmy zajęci akurat gdzie indziej i nie mogliśmy przeszkodzić im w osiedleniu się na tym terenie. Szło nam tak jak i wam! Teraz jednak wyrzucimy ich stąd, a wy, wy macie nam w tym pomóc waszymi żądlami. Przyślesz Ahrimana do Takikurdów; od jutra będę u nich. Ciebie jednak spotkam znowu w piątek... na Dżebel Adawa.

— Tak? Spotkasz mnie znowu? — spytał emir, zaplatając ramiona na piersi. — To brzmi zupełnie tak, jakbyś tylko ty miał wydawać tutaj polecenia!

— Bo tak jest w istocie! Jestem panem, rzeczywistym człowiekiem; ty zaś jesteś cieniem.

— A jeśli... nie zjawię się w piątek? Ty wówczas także nie zjawiłbyś się? — zapytał groźnym tonem Sill, wyciągając ponownie swój pistolet.

— To porozmawiam z tobą wcześniej! — odpowiedział z niespodziewanym spokojem szejik ul Islam.

— Gdzie?

— Tutaj!

— Kiedy?

— Teraz!

— Ach, rozumiem! Ty także masz przy sobie broń!

— Nie.

Rozpostarł płaszcz, aby pokazać, że mówi prawdę.

— I jak domyślam się z twoich słów, zamierzasz się bronić? Może ci trzej uzbrojeni Taki, których zabrałeś ze sobą na dzisiejsze spotkanie podążali za nami potajemnie? Mój „przyjacielu, mój kochany, podziwiany przyjacielu”, skoro dajesz mi szacha, muszę mu się przyjrzeć! Prawdopodobnie stoją na zewnątrz!

Zabrał jedną ze świec i wyszedł z nią z pomieszczenia. Nagle pod nami, właśnie na samym środku, tam gdzie stał ołtarz, dało się słyszeć jakieś odgłosy, przypominające ocierające się o siebie kamienie, a w chwilę później ciche szeptanie; potem znowu zrobiło się cicho. Emir wracał. Nie wychodził na dwór, ale stanął przed wejściem, żeby poświecić za drzwiami. Obrócił się, wszedł do miejsca najświętszego i powiedział:

— Nikogo nie ma! Myliłem się!

— Tak, pomyliłeś się jak zawsze! — odparł szejik. — Schowaj broń! Nie będzie ci potrzebna!

— Co za ton! To brzmi jak rozkaz!

— Bo to jest rozkaz. Więc zabieraj ją!

— Człowieku, jesteś szalony?! Chcesz rozkazywać księciu cieni, co... Nie dokończył. Trzech mężczyzn wyskoczyło na niego z cienia kolumny. Wyrwali mu pistolet i owinęli jego ramiona wokół niego tak mocno, że nie mógł się poruszyć. Krzyknął raz, trudno powiedzieć, czy ze strachu, czy ze złości. Wtedy podszedł do niego szejik ul Islam, zerwał mu maskę, spojrzał w twarz i powiedział:

— Ahriman mirza! Wiedziałem! Nasz nowy cesarz, pierwszy bandzior w kraju!

Była to osobliwa, całkiem osobliwa chwila, specyficzna pod każdym względem, także

psychologicznym. Ahriman mianowicie nie uczynił dosłownie nic, żeby się wyrwać z uścisku. Nie byłem w stanie dobrze rozróżnić rysów jego twarzy, ale kiedy odpowiadał niemal obojętnym tonem, brzmiało to, jakby śmiał się wyniośle:

— Tak, wasz nowy cesarz! A może go nie chcecie? Możecie przecież zastrzelić mnie tutaj moim pistoletem!

— Byłbym głupcem! — odparł szejk ul Islam. — Do tej pory byłeś moim cieniem i nadal będziesz moją kreaturą. Nikt nie nadaje się tak dobrze jak ty do naszych celów. Dopiero teraz zobaczysz, do czego chcieliśmy cię użyć!

— Również ty bardzo źle byś na tym wyszedł, gdybyś kazał mnie zamordować!

Dobrze o tym wiem! Jesteś przecież przezorny i potrafisz zabezpieczać się na takie sytuacje. Dłużej od ciebie żyć nie będę; o tym jestem przekonany. Ale chcę żyć i dlatego ty również powinieneś żyć. Ja chcę panować; a więc oddaję ci tron. Zrozumiałeś, Ahrimanie mirzo?

Pod warunkami!

— Które ja znam! Teraz wyłazi z ciebie ten sam fałsz, który mi zarzucałeś. Dlatego pytam cię jeszcze raz: zrozumiałeś?

— Tak.

— Daj mi więc swoje słowo i podaj mi rękę! Puśćcie go! Trzech mężczyzn puściło emira. Szejk ul Islam wyciągnął w stronę księcia cieni; ten uścisnął ją i powiedział:

— Tak, oto moja ręka! Ale jestem szczery i przepowiadam wam, że jeszcze ją poczujecie!

— W takim razie ten jeden raz będę również szczery i ostrzegę cię. Jesteśmy łagodni i pokornego serca, bo to prowadzi nas do władzy. Jednak za tą łagodnością kryje się bezwzględność, a za pokorą niezachwiana wola. Nawet cesarz musi się nam kłaniać; jeśli tego nie robi, złamie się! Nie prowokuj więc zakonu Takich! Bo jeśli on się gniewa, jest jeszcze w stanie wybaczyć. Jeśli jednak uśmiecha się przychylnie, nad nikim nie będzie się litować! Tym razem gniewałem się na ciebie. Nie zmuszaj mnie, żebym się uśmiechał!...

Szejk ul Islam wymówił swoje ostatnie słowa tak głośno i z takim naciskiem, że z ponurym grzmieniem odbiły się echem od sufitu. Wydawało się, że jego kształt rośnie. Trzymał głowę wyzywająco odrzuconą do tyłu i obiema rękami gładził swoją długą, cienką brodę, jakby w jej włosach leżała siła, która pozwoliła mu wreszcie odważyć się na szczerość. Jego ludzie przyjęli wyczekujące postawy. Emir... a to co takiego było? Usiadł sobie spokojnie na następnym kamieniu i oczyszczając łuski wosku ze świec, powiedział takim tonem, jakby uczestniczył w zupełnie obojętnej rozmowie:

— Nie muszę w takim razie już nic więcej ci pokazywać?

— Nie, wcale nie! — odpowiedział szejk ciągle jeszcze ostrym głosem.

— No to przecież mógłbym iść!

— Rzeczywiście!

— Chciałbym jeszcze tylko wiedzieć, jak ci twoi ludzie się tutaj dostali! Zostawiliśmy ich przy potoku, tam gdzie jeszcze teraz stoją nasze konie.

— Lubię tajemniczość tak samo jak i ty. Dlatego powiadam ci: zamieniłem ich w duchy i przywołałem ich przez te mury — odparł szyderczo szejk ul Islam.

— Teraz brzmi to jasno. Jako szejk ul Islam uprawiasz magię! To jakieś twoje nowe, wielce interesujące oblicze! W każdym razie jesteś nadzwyczaj zdolnym człowiekiem! Prawdopodobnie pozwolisz im odejść w dokładnie ten sam sposób, w jaki tu się znaleźli?

— Tak.

— A co się z tobą stanie?

— To samo. Zamienię się w ducha i zniknę.

— Czy można to zobaczyć?

— Nie, ponieważ nie jesteś jeszcze tak nieśmiertelny jak my. Takie coś to nie dla was, ziemskich istot!

— Naprawdę nie? Czy nie mylisz się czasem? Również my, ziemskie istoty rozumiemy coś z waszej magii, chociaż nie wszystko. Nie doszedłem co prawda jeszcze tak daleko, żeby umieć zniknąć, ale inne sztuczki opanowałem już dość dobrze. Nie zachowuję się przy tym tak tajemniczo jak ty. Kiedy następnym razem pomacham swoją czarodziejską różdżką, wtedy zaproszę cię, byś na własne oczy zobaczył moje sztuczki. Jestem nawet całkowicie gotów sprawić, żebyś sam zniknął. Wcześniej jednak spotkamy się jutro u Takich?

— Tak zostało postanowione i tak musi pozostać!

— A w piątek na Dżebel Adawa?

— Zgadza się. Ty oczywiście jako emir!

— Którego ty oczywiście nie znasz?

— Naturalnie! To leży w moim interesie, żeby żaden człowiek nie dowiedział się, że cię zdemaskowałem.

— A ci ludzie tutaj?

— Będą milczeć!

— W takim razie idę!

Podniósł się z kamienia.

— Mój pistolet! — rozkazał, wyciągając rękę. Taki, który trzymał jego broń, oddał mu ją.

— Tu leży moja maska, a tam moja szpicruta. Czy cesarz ma się po nie schylać?

Brzmiało to tak władczo, że podniesiono obie rzeczy i oddano mu je. Ahriman mirza zabrał maskę i broń, pogardliwie uderzył za sobą szpicrutą i powiedział:

— Teraz więc precz z magią! Tutaj i wszędzie! Ja wolę pójść do koni udeptaną drogą. Zobaczymy, kto prędzej siądzie w siodle, wy czy ja! Nie zapomnijcie jednak zabrać stąd świec! Jesteście ludźmi ciemności. Wystarczy, że zostawicie chociaż najmniejszy blask, a wasze czyny i knowania zostaną odkryte i będzie się was wytykać palcami. Działajcie więc po ciemku... po ciemku... po ciemku!

Jeszcze raz uderzył szpicrutą i poszedł.

— Prędko otwierać te drzwi! — nakazał szejk ul Islam. — Pokażemy mu, że mimo wszystko będziemy pierwsi przy koniach. Sprawdź, czy naprawdę się oddalił.

Mówiąc te słowa, podążył za emirem. Usłyszeliśmy pod nami identyczne jak poprzednio przesuwanie kamieni i trzech mężczyzn uniknęło nam z widoku. Stali pod emporą przy arce przymierza. Wówczas znowu wszedł szejk ul Islam i oświadczył:

— Rzeczywiście poszedł; nie widziałem go. Zapamiętajcie sobie to co wam teraz powiem! Dżamikunowie będą naturalnie myśleć, że nadciągamy z zewnątrz. Dlatego obsadzą wejścia do doliny. My jednak dostaniemy się potajemnie tym przejściem do ruin, rozpierzchniemy się po cichu po ich terenie, następnie zbierzemy się wszyscy razem i uderzymy na nich. Zabierajmy świece i zmykajmy pod kamień! Kto zgadnie, dla ilu był on ostatnią deską ratunku, kiedy ludzie nie chcieli się pogodzić z wybrańcami Allacha.

Zrobiło się ciemno. Kamienie znowu zazgrzytały i w chwilę później zapadła całkowita cisza. Ostrożność nakazywała mi jeszcze poczekać.

— Efendi, już po wszystkim. Nie idziemy? — zapytał półgłosem aszyk.

— Nie — odpowiedziałem. — Emir na samym końcu zachowywał się tak, iż mogę przypuszczać, że zaraz wróci. Póki co więc, cicho!

Minęło dobre pół godziny i złapałem już za swoją torbę, żeby wyciągnąć i zapalić świece, gdy wtem na zewnątrz rozległy się jakieś hałasy. Ktoś stał przed wejściem i zapalał sobie świecę, po czym wszedł do środka. Było to dwóch mężczyzn, obaj mieli nie zasłonięte twarze. Jednym okazał się emir. Drugi niósł świecę. Prawdopodobnie był on wystawionym przez emira strażnikiem, o którym wcześniej rozmawiano. Musiał cieszyć się szczególnym zaufaniem Ahrimana i być we wszystko wtajemniczony, gdyż mirza nie założył ponownie maski, żeby ukryć swoją twarz.

— Ten człowiek za głupi jest na to, żeby pomyśleć, iż wrócę tutaj i będę badać to pomieszczenie! — ciągnął emir, rozmawiając po drodze. — Wcale nie poszedłem, ale zwyczajnie schowałem się za kolumną stojącą w kamiennym basenie i kiedy wyszedł za mną, żeby wyrzeć na dwór, po prostu obchodziłem ją dookoła. To mu wystarczyło, żeby uznać, iż się oddaliłem. Znowu wszedł do środka. Podążyłem za nim aż do drzwi, przy których wszystko widziałem i słyszałem.

— A więc nie znamy jeszcze do końca tajemnic tych starych murów! — stwierdził drugi.

— Zgadza się. Ale wcale też nie wyobrażałem sobie, że wszystko o nich wiemy. Taki posługują się takimi podstępami i intrygami, że trzeba by być wszechwiedzącym, żeby do wszystkiego dojść. Nie czas teraz, by roztrząsać ich dotychczasowe powiązania z ruinami. Dzisiaj musimy się tylko dowiedzieć, do czego zamierzają je wykorzystać. Słyszałem, że chcą się tu potajemnie przedostać przejściami, które właśnie wiedzie do ruin. To jest jednak całkowicie wbrew mojej umowie z szejkiem ul Islamem. Chce nas oszukać, mnie, nas, was! Zgodnie z naszym planem natarcie na Dżamikunów ma być przeprowadzone jednym uderzeniem od razu ze wszystkich stron, i to zupełnie niespodziewanie. Ja nadciągnę z moimi cieniami od wschodu. Jeśli ktoś zdradziłby nasze zamiary, wówczas Dżamikunowie obsadzą Przełęcz Zajęczą i Przełęcz Kurierską. Taki nadejdą od północnego zachodu, a Dinarunowie przedrą się tutaj przez nowy most w Dolinie Worka. W ten sposób weźmiemy ich ze wszystkich stron. Spędzimy ich wokół jeziora i zepchniemy do wody. Nie będą w stanie w żaden sposób się uratować. Co do ruin, to postawiłem dodatkowy, surowy warunek, że nikt nie ma prawa ich tknąć, gdyż traktuję je jako swoją własność. Massabanowie, których wypędzili stąd Dżamikunowie, należą do nas; są moimi poddanymi. Mam ich wprowadzić z powrotem w ich własność. Szejk ul Islam zgodził się na to. Obiecał mi, że żaden z jego Takikurdów nie przekroczy progów ruin. A przed chwilą, kiedy zmusiłem go do otwartości, stwierdził nagle, że to zakon Takich wznosił te budowle i do tej pory stanowią one jego własność. Takich określił jako rzeczywistych ludzi, nas zaś jako ich cienie, ich robaki, które mają pracować i zbierać dla nich. A gdy już myślał, że poszedłem, powiedział do swoich towarzyszy, że Taki dostaną się tutaj przejściami, żeby przejąć ruiny. Po co ten tajemny plan sprzeciwiający się postawionemu przeze mnie warunkowi? Przejęcie ruin jest dla niego ważniejsze od słowa, które mi dał, i od zwycięstwa nad wszystkimi Dżamikunami. To je, właśnie je chce mieć bardziej aniżeli wszystko inne. I to po części ze strachu, że moglibyśmy czasem odkryć to, czego do tej pory nie znaleźliśmy. Z tym się nie pogodzę za żadną cenę! Przechwyci szejka ruiny, przechwycę i ja! Dokona tego potajemnie, wtedy i ja ucieknę się do równie tajemniczych metod i uprzedzę go. Będzie chciał się posłużyć tajemnym przejściem, wówczas my również znajdziemy sposoby, żeby być tu szybciej od niego i jego ludzi!

— Czy to nie stawia całego naszego przedsięwzięcia pod znakiem zapytania, emirze?

— Jak to?

— Czy wskutek tej wzajemnej samowoli nie dojdzie między tobą i nim do krwawej walki? Kiedy sojusznicy zaczną w ten sposób natarcie na Dżamikunów, ci będą uratowani i cały kraj będzie czekał nadaremnie na uderzenie, które ma obalić z tronu szacha!

— Co za błędne mniemanie! Uważasz, że mnie znasz, a wymyślasz mi tu jeszcze jakieś chłopięce figle! Widzę dalej od ciebie. Aby osiągnąć dalsze cele, muszę dobrze kontrolować to, co dzieje się pod moim własnym nosem. W ruinach rozegra się tylko pierwsza potyczka. Powstaje więc pytanie:

Kto ma być władcą? Szejk ul Islam czy ja? Takikurdowie czy moje cienie? Szejk powiedział mi bezczelnie w twarz, że będę wyłącznie jego kreaturą, niczym więcej. Nie odezwałem się, ale już w tym momencie wiedziałem, że tym słowem sam na siebie wydał wyrok. Myśli, że ma mnie w garści, a już teraz wije się pod moją pięścią! Jakże szybko zareagował, kiedy pokazałem swoje zęby, żeby zerwać z niego maskę i obnażyć jego prawdziwe oblicze! Pazury natychmiast wyszły na wierzch! Tak dać się wywieść w pole, może tylko słabeusz! Im bardziej się odgrażał, tym byłem spokojniejszy!

— Ale jeżeli od razu na początku poważnisz się z nim, utracimy pomoc całego zakonu i tych, którzy są z nim związani!

— Nie sędzę! Wrogość nie może być połowiczna. Nie może zwlekać, nie może stosować wykrętów. Od razu musi zacisnąć pięść, która rozłupie wszystko, co się w niej znajdzie! Jeśli tylko shejk ul Islam zjawi się tutaj ze swoimi Taki, złapię go z miejsca za kark i potrząsnę nim jak martwą kotką, tam na dole nad naszym wodnym lochem. Mówię ci, będzie jęczeć o łaskę i zrobi wszystko, czego od niego zażadam!

— Później jednak zemści się na tobie!

— Myślisz, że go puszczę za obietnicą? Miałbym być jakimś głupcem, jakimś partaczem! Powieszę go za jego śliską skórę, a gdy jego wielebni przestaną mi być potrzebni, wrzucę go do wody! O tym jednak pomówimy później. Opowiadam tutaj tobie, a widzę, że nasza świeczka jest już coraz mniejsza!

— Mam jeszcze parę.

— To dobrze! Spójrz na ten kamień! Wydaje się wielki, a jednak nie jest. Widziałem, że był otwarty, i to do wewnątrz. Poświeć niżej, tak żebyśmy mogli go obejrzeć!

Ani ja, ani aszyk nie mogliśmy dojrzeć, co robili. Słyszeliśmy jednak słowa i to wystarczyło.

— Tutaj na przedzie dookoła na krawędziach ma wyrzeźbiony relief. Zupełnie przypomina mi to ramy obrazu — odezwał się emir. — Zaś powierzchnia wewnątrz jest zupełnie gładka. Nie ma tu kompletnie niczego, co mogłoby się ruszać. A zatem wystarczy tylko lekko nacisnąć, żeby kamień nas posłuchał. Spróbujmy!

Usłyszeliśmy głośny oddech, jakby ktoś się napręzał, a potem znany odgłos przesuwającego się kamienia.

— Ustępuje! — zawołał emir. — Tak, teraz wejście jest zupełnie otwarte. Przez tunel na pewno łatwo się przechodzi, bo kiedy przyszedłem nad potok, tam gdzie stał mój koń razem z ich końmi, cała czwórka już tam była, a shejk ul Islam szydził ze mnie, że w każdej chwili mogę kazać mu zniknąć, a on i tak pojawi się równie prędko jak obecnie. Wczołgaj się do środka i zbadaj wejście od wewnątrz!

Towarzysz mirzy wykonał polecenie. Usłyszeliśmy jego przytłumiony głos:

— Tutaj płyta ma uchwyt.

— To było do przewidzenia. A tunel? Czy jest niski?

— Poczekaj!

Jak mogliśmy domyślić się po powstałym cieniu, wziął ze sobą do środka światło i badał podziemne przejście. Po chwili znowu się ukazał i oświadczył:

— Nisko jest tylko przez pierwsze trzy kroki, potem od razu robi się wysoko, wyżej nawet od człowieka. Wydaje się, że kanał stanowi naturalne zarysowanie wnętrza góry, którego ujście zamurowano, żeby wykorzystywać je do tajemnych celów.

— A co z powietrzem?

— Zdaje się, że jest lepsze niż u ciebie!

Delikatne chrobotanie, po nim odgłos ocierającej się płyty, która została zamknięta, i w miejscu najświętszym znowu zrobiło się ciemno i cicho. Tym razem nie czekałem już długo i zapaliłem świeczkę.

— Idziemy? — zapytał aszyk.

— Tak.

— Nie zaczekamy, aż oni przejdą, i nie zbadamy sami tunelu?

— Nie. Kto wie, co oni wszyscy jeszcze planują i kiedy znowu przyjdą. Nie wytrzymam już dłużej tego powietrza. Muszę stąd wyjść!

Zeszliśmy z empory i zgasiliśmy świecę. Aszyk chwycił pod ramię swoją drabinę i poszliśmy. Kiedy znaleźliśmy się na dworze, zatrzymałem się i z rozkoszą zaczerpnąłem oddech. Powietrze w środku, w niegdysiejszej świątyni było po prostu trujące! Księżyc nie zniknął jeszcze za górą. Ruiny spowijał srebrny blask. Nasłuchującego nie było widać. Poszliśmy w stronę kamieniołomów, gdzie zamierzaliśmy się rozdzielić, jednakże po paru minutach przystanęliśmy obok siebie w cieniu.

— Zanim przejrzałem szejka ul Islama, musiałem uważać ciebie za Silla — odezwałem się. — Ale kim jesteś teraz?

— Ani Sillem, ani Takim. Chciałbym być Dżamikunem.

— Nie boisz się, co sobie ludzie pomyślą, kiedy dowiedzą się, kim kiedyś byłeś?

— Nie można się bać tych, którymi się pogardza! Dobrzy ludzie wybaczą; co robią inni, to mnie nie obchodzi. Jeżeli nie będziecie mnie tu chcieli, oddam się w ręce władz, żeby odbyć karę, od której kiedyś się wymigałem, uciekając z więzienia. Odsiedzę wyrok i wrócę jako nowy człowiek. Może wówczas Ustad mnie przyjmie

— Mówisz to poważnie, naprawdę mówisz to poważnie? — zapytałem.

— Tak, efendi. Dokładnie to przemyślałem.

— Ale pomyśl! Czekają cię długie lata więzienia, ciężkiego, gorzkiego więzienia! Możesz tego bardzo łatwo uniknąć, jeśli po prostu się nie zgłosisz. Przecież już cię nie ściga żaden prawnik ani policja Wymiar sprawiedliwości przestał się tobą interesować. A tutaj, gdzie teraz przebywasz, nikt cię nie zna. Porzuć więc swoje obecne imię i przybierz nowe! Wówczas będziesz innym człowiekiem i cała twoja przeszłość pójdzie zupełnie w zapomnienie!

Powiedziałem to tylko dlatego, żeby go sprawdzić. Potrząsnął głową i odpowiedział:

— Twoje słowa są zbyt piękne, żeby były prawdziwe. Muszę oddać się w ręce sprawiedliwości, muszę, muszę! Jeszcze parę dni temu ta myśl wydawała mi się szaleństwem, największą głupotą, jaka tylko może istnieć. Ale tam na dole, obok kościotrupa, w najstraszniejszej ciemności, w wyjącej we mnie głębokiej ciszy, która mnie otaczała, przy filarze trzeszczącym nie głośno, ale przez to tym potworniej, filarze, który co chwila groził zawaleniem i zmiżdżeniem mnie, zacząłem naprawdę rozumieć. Chcę, chcę i chcę odsiedzieć tę karę, żeby być w porządku wobec siebie, wobec swojego sumienia. Jeśli chciałbym jej uniknąć, ściągnąłbym na siebie dużo straszniejszą. Uciekłbym tylko z jednego więzienia do innego, do niewoli zła. A co to oznacza i jakie męczarnie zsyła na człowieka, o tym nie masz efendi żadnego, żadnego, żadnego pojęcia!

Ociężale i powoli potrząsnął na boki nisko zwieszoną głową i mówił dalej:

— Szejk ul Islam obiecał wstawić się za mną o moje ułaskawienie. Ten głupiec! Jak niewybaczalnie głupi jest jego stosunek do ludzkiej duszy, skoro twierdzi, że Allah powierzył mu tysiące dusz! A może to nie była głupota, ale podstęp użyty bez żadnych skrupułów? Do starych przestępstw dodać nowe, żeby uzyskać łaskę! Wówczas zostałaby mi odpuszczona kara, ale za to we mnie tym głośniej wołałaby o pomstę, o odplacenie, wina urosła do gigantycznych rozmiarów! Na zewnątrz uratowany, wewnątrz jednak na zawsze stracony, to by się ze mną stało! Tak, wiem to i czuję to: łaska będzie wtedy, kiedy będzie pokuta, prawdziwa pokuta. Łaska być może ma nawet większą siłę niż pokuta, ale jest absolutnie niemożliwe, żeby przyszła ona do nas po złej drodze. Jeśli szejk ul Islam dzisiaj, teraz, przyniósłby mi odpuszczenie moich win i mojej kary, nie przyjąłbym tego!

— Naprawdę nie?

— Nie. Łaska przyjęta z takiej ręki byłaby złudną korzyścią, która dla mnie stałaby się pułapką!

— Powiedz w takim razie, co zrobiłbyś, gdyby kto inny przyniósł ci odpuszczenie win i kary? Łaska nie przysłaby do ciebie po złej, ale po dobrej drodze.

— Kto inny? Kto to mógłby być?

— Nie wiesz?

— Nie.

- Wmawiano ci, że łaskę możesz otrzymać tylko przez pośrednika między tobą a szachinszachem! A tak naprawdę może ci ją przynieść tylko jeden, jeden jedyny, a tym kimś jesteś ty sam! Ale nie stój w miejscu! Idź dalej drogą, którą zacząłeś kroczyć! Ona jest dobra, 8 oczu szachinszacha bystre. Nie potrzeba człowieka, który wykorzystując swój wpływ, wstawiłby się u szacha za tobą i innymi ludźmi
- powiem ci raczej, a możesz mi wierzyć, bo jestem dobrze poinformowany: władca zna na wylot szejka ul Islama. Wstawiennictwo właśnie tego człowieka przyczyniłoby się do twojej zguby, a nie do szczęścia. Szach pomyślałby, że jesteś człowiekiem szejka i że nie jesteś godzien łaski.

Zwiesił głowę jeszcze niżej niż poprzednio. Potem podniósł ją szybkim, energicznym ruchem i powiedział:

— A więc to tak, tak, tak! Do dzieła, efendi, będę szedł tą nową, dobrą drogą! Pójdę nią sam! Nie ulęknię się żadnego człowieka, nawet ciebie! Allah pragnie dobra, tylko dobra i każdemu człowiekowi daje siłę konieczną do czynienia dobra. Chcę się przekonać, czy również mnie nią obdarzył, bym mógł realizować jego pragnienie, nie czerpiąc owej siły od innych ludzi! Niech Allah ochrania mnie i pomaga mi, on sam, po wieczne czasy!

Zaszlochał. Nie mogłem patrzeć na to obojętnie; położyłem mu ręce na policzkach i powiedziałem:

— To jedyna słuszna droga! Nie daj się z niej zepchnąć żadnemu człowiekowi! Tworzy się teraz w tobie filar, który nigdy, nigdy nie będzie trzeszczeć, tak jak ten na dole w wodzie. W nim leży boża siła! Zaufaj jej i twemu filarowi!

Ruszyłem.

— Boża siła...! — zabrzmiało za mną. — To była ona... to jest ona... już teraz, już teraz... łaska!

W drodze do domu zrobiło mi się niedobrze. Czułem, że kręci mi się w głowie, i z trudem łapałem oddech. Moje nogi zrobiły się jak z waty, chociaż przez cały czas siedziałem. Nie myślałem już o niczym poza tym, że muszę się położyć i kiedy wreszcie to nastąpiło, ucieszyłem się, że znowu mogę oddychać zdrowym, czystym powietrzem, napływającym bez przeszkód drzwiami i oknami. Nie mogłem jednak zasnąć. Przyczyna nie leżała w tym, co zobaczyłem i co usłyszałem gdyż to nie było w stanie mnie poruszyć; to nagłe osłabienie wynikało z niedomagań ciała, w żadnym razie ducha. A kiedy sen przyszedł wreszcie nad rankiem, nie był on ani spokojny, ani krzepiący. Co jakiś czas budziłem się, a ponieważ męczyło mnie to bardziej niż czuwanie postanowiłem opuścić łóżko.

Po chwili schodziłem drogą do studni. Nagle poczułem, że naprawdę robi mi się potwornie słabo. W tym samym momencie natrafiłem na Szakarę. Kiedy mnie zobaczyła, przestraszyła się.

— Co się z tobą dzieje, efendi? — zapytała prędko. — Twoja twarz jest zupełnie szarozółta, a twoje oczy są zapadnięte. Jesteś chory!

— Dzisiejszej nocy siedziałem wiele godzin w miejscu najświętszym — odparłem. — Zdaje się, że nie wyszło mi to na dobre.

— Wiele godzin? W miejscu najświętszym?! — krzyknęła. — Takiego powietrza nie wytrzyma żaden zdrowy człowiek, a co dopiero taki, który jeszcze się do końca nie wyleczył! Bardzo łatwo możesz znowu nabawić się tyfusu, a wówczas nie da się już ciebie uratować! Chodź, musimy natychmiast pójść do Ustada!

Zaprowadziła mnie do niego na górę. Ustada słyszał, że późno wróciłem do domu i dlatego też się martwił. Szakara nie musiała mówić mu, po co do niego przyszedliśmy; mój wygląd mówił sam za siebie. Gdy tylko mnie zobaczył, również się przeraził. Musiałem usiąść i opowiedzieć o nocnej wyprawie do ruin. Kiedy skończyłem swoją relację, powiedział bardzo poważnie:

— To, co usłyszałeś i co widziałeś, nie porusza mnie w najmniejszym stopniu, ale to, że wdychałeś tak niezdrowe powietrze, może wywołać fatalne skutki. Natychmiast trzeba temu zapobiec. Twoja krew znowu jest przesycona toksynami, które koniecznie trzeba wydalić. Na szczęście mamy wszystko, co potrzeba do tego celu. Proszę cię, potraktuj mnie jeszcze raz jak swojego lekarza! Od teraz myśl tylko o sobie, o swoim zdrowiu; wszystko inne wybij sobie z głowy. Jesteś to winny sobie, mnie i nam wszystkim!

— Ale aszyk? Mój Syrr? Ukryte przejście, które musimy zbadać? — wtrąciłem.

— To jest właśnie to, o czym nie powinieneś teraz myśleć! — odpowiedział Ustada. — Zapewniam cię, że nie potrzebujesz się w ogóle martwić. Zaufałem ci, kiedy nie było mnie tutaj, teraz ty zaufaj mi!

Miał rację, pozwoliłem mu więc zrobić ze sobą to, co uważał za konieczne. Na początek zarządził bardzo gorącą kąpiel. W tym czasie wyniesiono moje łóżko na płaski dach, żebym mógł oddychać jak najlepszym powietrzem. Przyniesiono również płócienny parasol, który miał mii dawać cień. Niemiec zafascynowany swoim ojczystym językiem nazywa taki parasol „markizą”. Położyłem się pod nim i wypilem herbatę, która otwierała wszystkie pory w ciele, mi zaś zamknęła oczy. Zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, była noc. Pachniały fiołki. Naprzeciwko mnie na balustradzie siedziała Szakara, oświetlona jasnym blaskiem księżyca. Widziałem, że jej oczy zwrócone były na mnie.

— Dżanneh, skąd się tutaj wzięły fiołki? — zapytałem. — W ogrodzie i na pastwisku przecież już nie kwitną.

— Kazałam nazrywać ich na szczycie góry i przynieść tutaj — odpowiedziała. — Po tamtej stronie alabastrowego namiotu nadal kwitną i pachną. Spałeś twardo i oddychałeś regularnie. Powiedz, czy jesteś w stanie jasno i trzeźwo myśleć? Czy może zbieranie myśli i skupianie się kosztuje cię zbyt wiele trudu?

— Skądże znowu! Umysł mam jasny i myślę trzeźwo. Mogę powtórzyć ci każde, naprawdę każde słowo, które padło w miejscu najświętszym.

— To dobrze, bardzo dobrze! Zarazki, które wtargnęły do twojego organizmu, ominęły zatem z daleka ducha, a z ciała prędko je wydostaniemy.

— A więc nie trzeba się bać nawrotu choroby?

— Wygląda na to, że nie. Ustad uważa tak samo. Był tutaj nieraz; ostatnio przed paroma minutami.

— Teraz chyba jednak śpi?

— Śpi? Co ty nazywasz snem, efendi? Ja także śpię, kiedy przy tobie czuwam, ale za każdym razem, gdy tylko otworzysz oczy, moje również ujrzysz otwarte. Nazywasz mnie przecież Dżanneh!

To były tak głębokie słowa! Tak wiele mówiły o ciele, duchu i duszy. Rozmyślałem nad nimi i zamknąłem oczy. Wówczas usłyszałem szum sukni Szakary. Wstała, podeszła do mnie, położyła mi ręce na czole i powiedziała:

— Czuję, że mój brat myśli. Chce zgłębić sens moich słów. Nie jest to jednak możliwe, gdyż musi wdrapać się jeszcze na wiele stopni, aby dojść tam, gdzie będzie w stanie mnie zrozumieć. A jeśli starania ducha idą na marne, wówczas dusza doznaje bólu. Dlatego podniosłam się z miejsca i przyszedłam do ciebie. Proszę, nie myśl już o tym, co powiedziałam! Przecież kiedy wszystko tutaj się zakończy, pójdziemy do góry do naszej Marah Durimeh. To są stopnie, po których masz się wdrapać. Kiedy dotrzemy tam wysoko, wówczas zrozumiesz ją i mnie, a potem także samego siebie. Zaśnij teraz... zaśnij! Dżanneh tego chce; zrobisz więc tak, jak ona sobie życzy!

Zrozumiałem każde jej słowo, nie spałem zatem. Czułem, że z jej ręki spływa na moje czoło słodki spokój, błoga cisza, które rozprzestrzeniają się po całym moim istnieniu, a jeśli odczuwa się to wyraźnie, tak ostro, niemożliwe jest zaśnięcie. Ależ tak, tak, niemożliwe... przesunąłem ręką do czoła, żeby położyć ją na ręce Szakary i podziękować jej. Wówczas się odezwała:

— Efendi, dotykam ciebie, żeby cię obudzić. Zbliżają się do nas goście, z których przybycia być może bardzo się ucieszysz.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem ją stojącą przede mną w najjaśniejszym świetle słońca. Było południe!

— Dziwisz się? — zapytała, uśmiechając się filuternie. — Będiesz dziwić się jeszcze częściej, aż nie dowiesz się, kim jest Dżanneh i co potrafi! Przybył Agha Sibil wraz ze swoją rodziną i zaczął już rozbijać namiot. A przed paroma minutami goniec z granicznego duaru przekazał wiadomość, że nocowali tam nasi bagdadzcy przyjaciele i że zjawią się tutaj koło południa. Jeśli chcesz ich zobaczyć, możesz wstać, ale tylko na godzinkę i bez schodzenia na dół czy proszenia ich na górę.

— Czy Agha Sibil wie, kiedy przyjadą?

— Nie. Nie mówiliśmy mu o tym. Kupiec zamieszka co prawda w swoim namiocie, ale na dzisiejsze południe zaprosiliśmy go jako naszego gościa. Obmyśliliśmy to tak, że jego zięć pojawi się niespodziewanie w holu, kiedy handlarz będzie jadł razem z nami posiłek.

— A zatem wstaję i zrobię tak jak Hadzi Halef, który usadowi się całkiem na przedzie dachu, aby móc pozdrowić naszego „dawnego Bimbaszkiego i obecnego Mir Alai”.

— Pewnie, że tak robi! — odparła wesoło. — Już chyba nawet tam siedzi, bo kiedy przybył goniec, Hanneh była na podwórzu i zaraz też przekazała Halefowi tę nowinę. Ustąd wyjechał z Dżafarem mirzą naprzeciw Mir Alai. Zgadniesz, na którym koniu?

— Na Sahm?

— Nie, na Assilu ben Rihu.

— Naprawdę, naprawdę? — zapytałem wcale nie zdziwiony, lecz po prostu ucieszony.

— Tak, już wczoraj, kiedy zasnąłeś tu na górze, zajął się karym. Chce zabezpieczyć się na ewentualność, gdybyś musiał zrezygnować z udziału w wyścigach. A właśnie w Assilu pokładamy nadzieje, które nie mogą nas zawieść. Idę na dół i przygotuję dla ciebie śniadanie, ażeby sprawić ci radość, poczęstuję Syrra jabłkami.

— Syrra! Że też nie mogę zejść do niego!

— Nie martw się. Znajduje się pod moją szczególną opieką i... myśli o tobie.

Uśmiechnąłem się. Szakara mówiła dalej:

— Wczoraj Syrr był niespokojny, bo cię nie widział. Wieczorem nie chciał się położyć. Wtedy przyniosłam twoją derkę z wielbłądziego włosia, pod którą tyle razy spałeś. Przytrzymałam mu ją złożoną przed chrapami. Parsknął radośnie i z wdzięczności polizał mi rękę. Ułożyłam derkę na ziemi, ale nie rozkładałam jej. Syrr od razu się położył i spoczął na niej głową. Kiedy przyszedłam do niego dzisiaj wczesnym rankiem, leżał jeszcze tak jak wczoraj z głową wtuloną aż po oczy w twoje wielbłądzie okrycie. A spójrz na to!

Podeszła tam, gdzie leżała moja arabska kurtka i z każdego rękawa wyciągnęła trzy jabłka.

— Zaniosę mu je teraz — powiedziała. — Wczoraj dałam mu je dwa razy, a dzisiaj już raz. Te na pewno zje; na inne jednak by nie spojrzął, nawet jeśli byłyby z tego samego drzewa. Teraz będziesz już wierzyć, że ciebie nie zapomniał.

Poszła. Kiedy znalazła się na dworze, wstałem z łóżka. Zobaczyłem uwijających się na dole nad jeziorem ludzi. U stóp wznoszącej się na północy góry skończono już stawiać przeznaczoną dla nas trybunę. Nie opodal niej wznoszono obecnie wielki kupiecki namiot Aghy Sibila. Na wierzchołkach pasm górskich rozciągających się dookoła gromadzono potężne stosy drewna, które miały być użyte do oświetlenia terenu. To samo czyniono na tych spośród niżej położonych szczytów, które wybijały się z otoczenia. Wokół jeziora biegały najprzeróżniejsze zwierzęta wyścigowe odbywające swoje ćwiczebne rundy. Wielbłądy dźwigały na górę do Beit-y-Chodeh szczapy drewna, ponieważ również plac świątyni miał być oświetlony. Czego nie mogłem zobaczyć z mojego dachu, domyślałem się, widząc mnóstwo obładowanych materiałem palnym mułów i osłów zmierzających po stromej ścieżce do alabastrowego namiotu. Tam również miały buchnąć świąteczne płomienie. Na części trybuny

zgrupował się teraz dżemmah, który prowadził jak się zdawało bardzo ważne obrady pod przewodnictwem Pedehra. Przed podwyższeniem zatrzymało się i zsiadło z koni chyba ponad dwudziestu znakomicie uzbrojonych mężczyzn, których widziałem po raz pierwszy. Należeli do Chodj-y-Dżuny, który z zapalem właśnie do nich przemawiał. Byli to dowódcy różnych, nie skoszarowanych oddziałów Dżamikunów, przyjmujący instrukcje od naszego „ministra wojny”. Ku mojej satysfakcji zobaczyłem tam także szejka Kalhuranów, który, jak widać, był już zdrowy i znowu mógł stanąć na czele sprzymierzonych z nami wojowników.

W tym momencie na dole ukazała się Szakara, która szła na pastwisko, żeby zanieść Syrrowi jabłka. Ten obwąchiwał najpierw każde z nich, następnie zabierał powoli i kosztował owoc za owocem. Spojrzała na mnie i kiwnęła mi. Kiedy lśniący kary schrupał ostatnie jabłko, objęła jego głowę i ustawiła ją tak, że musiał spojrzeć w górę, tam gdzie ja się znajdowałem. Nałożyłem kurtkę, a na głowę wcisnąłem fez. Poruszałem ramionami, aby skierować na siebie spojrzenie konia. Syrr zobaczył to i zdumiał się. Zaczął strzyc uszami; podniósł wspaniały ogon. Tak stał krótką chwilę, badając, co się dzieje. Potem wypchnął szeroko przednie nogi i zarżał w moją stronę tak radośnie, że nie było wątpliwości, iż mnie rozpoznał. Na tym jednak nie koniec. Dalej i dalej wydawał radosne rżenia, aż w końcu poczułem się zmuszony wrócić na swoje miejsce i zniknąć mu z oczu, aby jego ciągle rozbrzmiewający głos nie ściągnął na niego uwagi niepowołanych ludzi.

Kiedy później jadłem śniadanie, Szakara postarała się o tak wysokie siedzisko dla mnie, że bez wstawania mogłem widzieć ponad balustradą, co dzieje się na podwórzu. Potem zostawiła mnie samego, gdyż takie wyraziłem życzenie. Zbliżało się południe. Nadchodził Agha Sibil wraz z rodziną. Skierowano ich do holu.

W niedługi czas później zauważyłem, że w duarze powstał jakiś ruch, który przemieszczał się na południe. To przybywali bagdadzcy goście. Mały orszak wjechał na górę i przez bramę skierował się na podwórze. Na przedzie Ustad i mirza, pomiędzy nimi mój stary przyjaciel Mir Alai. Za nim kilka jucznych koni obładowanych bagażami oficera. Dalej wielbłąd z lektyką, największą jaką tylko można było znaleźć. Cała była zasłonięta. Jeśli ktoś nie widział, kto w niej siedzi, myślał zapewne, że było w niej coś „wiecznie kobiecego”. Z Tyłu Dżamikunowie, którzy sprowadzili gości.

Zgodnie z naszym planem Agha Sibil nie miał od razu zwrócić uwagi na przybyłych, rozkazano więc, żeby ich wjazd odbywał się bez kwiatów i bez ciekawskich oczu gapiów. Pomimo to ciekawość przyciągnęła dwie osoby, które koniecznie jako pierwsze chciały obejrzeć oczekiwanych przybyszów. Byli to... Tifl i Pekala.

Kiedy pierwsi trzej jeźdźcy minęli bramę, bystre oko Ustada podążyło w moją stronę. Zobaczył mnie. Prędko dałem mu znak, żeby nie kierował na mnie uwagi Polaka. Kiwnął mi, że zrozumiał, o co chodzi. Potem udami przycisnął boki konia, rozpostarł szeroko ręce i puścił Assila przez podwórze na pastwisko w najwspanialszym *natnata el mutarid**, jaki kiedykolwiek widziałem. Znalazszy się na łące, zeskoczył z siodła. To dla mnie był ten pokaz. Miałem przekonać się, że Assil znajdował się w dobrych rękach. Kto potrafi prowadzić konia tak trudnym krokiem *natnata* w tak mistrzowski sposób, temu można powierzyć najcenniejszego wierzchowca.

Dżafar mirza i Mir Alai posiadali z rumaków. Pierwszy z nich był wtajemniczony w nasz plan. Wziął oficera pod rękę i poprowadził do holu, w którym wkrótce potem zawrzało jak w ulu. Z koni

posiadali również towarzyszący Dżamikunowie, żeby zająć się jucznymi końmi. Pekala widząc to, krzyknęła do nich:

— Pozwolicie tak stać temu wielbłądowi? Wygląda przecież na to, że w środku siedzi jakaś dama z haremu! Czy może ta madame ma czekać, aż zechcecie łaskawie ją wypuścić?

Dżamikunowie, do których mówiła, pokładali się ze śmiechu. Pekala nie dawała za wygraną i zwróciła się do Tifla:

— Daj znak wielbłądowi, żeby klęknął; ty umiesz to lepiej niż ja! Żadna męska ręka* nie może dotknąć madame, więc wysiąść pomogę jej już sama.

Tifl uczynił tak, jak mu nakazała; wielbłąd posłuchał. Wysoką lektyką szarpnęło okropnie trzy razy, a potem znowu spoczęła cicho. W jej wnętrzu ktoś zachrzakał. Pekala podniosła przednią zasłonkę, zajrzała do środka i zameldowała:

— Śpi. Muszę ją obudzić, nawet jeśli weźmie mi to za złe. Wsadziła rękę do środka i pociągnęła za odzienie. Wówczas ów ktoś się poruszył.

— Proszę cię, wysiądź! Jesteś u celu! — krzyknęła do środka. — Musisz tylko powoli wychodzić; ja ci w tym pomogę!

Mówiąc to, cofnęła się o krok i szeroko rozłożyła ręce, chcąc zadośćuczynić swojej obietnicy. W lektyce zajęczało, zastękało i zamruczało. Po chwili ukazały się dwa wielkie czerwone pantofle. Obszerna, bogato pofałdowana szata, fałd po fałdzie wypychana była z lektyki. Pomimo tych fałdów można było jednak rozpoznać zarysy kolan. Wysuwające się ubranie stawało się coraz szersze i obszerniejsze. Powoli ukazywały się z trudem wyciągane ramiona, a ponad nimi czerwona kefflje* z żółtymi frędzlami, która z przodu miała tylko jedną szparkę na usta i nos; reszta twarzy była zakryta.

Teraz madame doszła do martwego punktu. W pełnej równowadze spoczywała plecami na dolnej krawędzi lektyki. Następna chwila miała zdecydować o tym, czy wysunie się na zewnątrz, czy wpadnie znów do środka. Wówczas krzepka panna poprosiła zachęcającym tonem:

— Odwagi! Zamachnij się tylko jeszcze ten jeden raz i wpadniesz w moje objęcia. Złapię cię!

To pomogło! Zamachnięcie się udało. Ta część madame, która tkwiła jeszcze w lektyce, wypływała powoli na zewnątrz. Najpierw wypadły pantofle, jednak każdy oddzielnie. Później rozległo się ciężkie plaśnięcie. Masa stanęła gołymi stopami na ziemi, dokładnie między pantoflami. Kiwała się to w tę, to w tamtą stronę, nie mogąc się zdecydować, dokąd podążyć. Rozpostarła szeroko ramiona, żeby móc się czegokolwiek chwycić. Wtedy Pekala znowu prędko podeszła i w następnej chwili padli sobie w ramiona i ściskali się tak mocno i tak długo, jakby już nigdy nie chcieli się rozdzielić. Dopiero po pewnym czasie rozległo się z objęcia:

— Jaka jestem szczęśliwa, że przyjechałeś! Nikt mi ciebie już nie zabierze! Chodź ze mną, ty pieścisz duszę moją! Zaprowadzę cię do mojej kuchni!

— Kuchni, kuchni, kuchni?! — zapytał prędko ów kształt.

— Tak, pośpiesz się. Inaczej mi ciebie odbiorą!

— Mnie? Tobie? Nigdy, nigdy, nigdy! Chodź prędko; jestem głodny... głodny... głodny!

Objęcie tylko częściowo się rozluźniło. Nadal trzymali się rękami tak mocno, żeby nikt nie mógł ich rozdzielić. Tak szczęśliwie zgodni szli razem przez podwórze, przytuleni blisko do siebie, jeden kształt promieniujący z rozkoszy i szczęścia i drugi pokaszujący i sapiący pod swoją kefflję. Wkrótce zniknęli w sferze, do której należeli ciałem i duszą. Ja zaś uśmiechałem się, z całego serca zadowolony. Kto szuka celu życia w niższej materii, temu chętnie pozwala się w niej zniknąć.

Tifl przystanął i spojrzał na pantofle. Leżały nadal tam, gdzie zostawił je Kepek, grubas, który słysząc słowo kuchnia, zaraz biegł tam boso. Dziecko zrobiło wielce zdziwioną minę i podrapało się pod czapkę. Coś mu nie pasowało, ale co, tego pantofle już mu nie powiedziały. W końcu podniósł je, obejrzał na wszystkie strony, znowu rzucił na ziemię, jeszcze raz podniósł, wytrząsnął piasek ze środka i wolnym krokiem ruszył do kuchni, niosąc jeden w prawej, drugi w lewej ręce, przy czym trzymał je samymi koniuszkami palców.

W tym momencie pojawił się Ustad, który szedł przez ogród.

— Co słysząc? — zapytał mnie, kierując głowę w moją stronę.

— Szakara powiedziała, że wszystko dobrze — odpowiedziałem.

— A więc mogę spokojnie iść do holu?

— Oczywiście. Zajmij się swoimi obowiązkami i zatroszcz się o swoich gości. O mnie raczej nie rozmawiaj z nimi, ale pozdrów ode mnie Mir Alai!

Potem zobaczyłem Szakarę zmierzającą na pastwisko. Karmiła Syrra, a potem również Assila ben Riha, któremu najpierw zdjęła rząd.

Po pewnym czasie na podwórzu pojawiło się czterech jeźdźców. Pytali o Ustada. Jak się później dowiedziałem, byli to Dinarunowie. Wśród nich znajdował się nawet sam ich szejk Ben Hidr*. Na dole w duarze Pedehr potraktował iść dość ostro jako potencjalnych wrogów i odesłał do Ustada. Dlatego też, kiedy gospodarz „wysokiego domu” wyszedł z holu, nie raczyli nawet poziadać z koni, a Ben Hidr niemal w obraźliwy sposób rzucił mu w krótkich słowach, że przybywają, aby zgłosić swój udział w zawodach i nic poza tym! Każdy z wyjątkiem Ustada natychmiast by ich odesłał w ten sam sposób. Ów jednak miał dobre serce dla ludzi i był na tyle mądry, że potrafił się opanować. Podeszedł do nich, podał im rękę i zaprosił, by poszli za nim na górę do jego mieszkania. Tego się nie spodziewali. Spojrzeli na siebie zdziwieni, po czym zeskoczyli jednak z koni i podążyli za Ustadem.

Siedzieli w jego pokoju blisko dwie godziny. Nie wprowadzał ich na balkon, żeby nie widzieli Syrra. Położyłem się w tym czasie i słyszałem, że rozmawiają pode mną, nie mogłem jednak zrozumieć, co mówili. Kiedy wyszli, Ustad przyszedł do mnie na górę i powiedział mi, kim byli ci ludzie i o czym z nimi dyskutował.

— To są ci tak zwani mądrzy — powiedział. — Uśmiechają się do każdego i mówią wszystkim tymczasem „tak”, żeby odczekać, na czyją stronę przechyli się wskazówka. Wówczas jednak są najgorszymi, najbardziej bezlitosnymi i z nikim się nie liczą. Jestem przekonany, że obiecali swoją pomoc naszym wrogom i dzisiaj przyjechali do nas po to, żeby się zorientować, czy nie jest czasem konieczne zabezpieczenie drogi odwrotu. Podjąłem ich tak, jak się podejmuje ludzi, którym nie można ufać: nie mówiąc za mało, ale też nie za wiele. Stawiają się na wyścigi; nie wiadomo jednak jeszcze, czy wezmą również w nich udział. Złościli się, że w duarze podjęto ich tak obcesowo. Potem stawali się coraz grzeczniejsi i coraz ufniejsi, ażeby wyciągnąć ode mnie możliwie najwięcej informacji, co oczywiście im się nie udało. Wreszcie Ben Hidr zaproponował mi pomoc całego swojego plemienia, którą ja wszakże bardzo uprzejmie odrzuciłem, tłumacząc, że nie jestem w stanie uwierzyć, iż mógłbym mieć jakiś wrogów, o których on wspominał. Jeszcze na koniec stwierdziłem z całą stanowczością, że z pewnością nie ma takiego człowieka, który zamierzałby się nam naprzykrzać, a co dopiero napadać na nas. Pojechali więc absolutnie przekonani, że w najmniejszym stopniu nie przeczuwamy niebezpieczeństwa, które w najbliższych dniach ma na nas nadciągnąć. Pokazałem im złotą kartę szachinszacha i w ten sposób dałem im dużo do myślenia. Napędziłem im stracha!

Rozmawialiśmy jeszcze przez pewien czas, szczególnie o Assilu ben Rihu, o którym Ustad wyrażał się z entuzjazmem. Potem przyszła Szakara, żeby przekazać mu pozdrowienia od Mir Alai. Kupiec kazał mi powiedzieć, że przekonał się teraz, iż nie ma nic wspanialszego od takiej wiary i od tak niewzruszonego zawierzenia Bogu, któremu na ziemi niczego nie można by przeciwstawić.

Ucieszyłem się bardzo, kiedy Ustad wielce pochlebnie wyraził się o stanie mojego zdrowia, wszakże stwierdził, że dopiero w piątek, a więc pojutrze, będzie mógł zwolnić mnie od swojej lekarskiej opieki. Ochoczo zastosowałem się do jego zaleceń.

Kiedy zaczęło robić się ciemno, zjadłem kolację i oddałem się w objęcia, znanego bardzo dobrze również w Kurdystanie i Persji, Morfeusza. Ten trzymał mnie mocno, nie był jednak w stanie przeszkodzić temu, żebym tak jak wczoraj obudził się w nocy na krótki czas. Owa przerwa w śnie nastąpiła w całkiem osobliwy sposób. Mianowicie nie śniłem, a jednak czułem przez sen, że ktoś cicho szepcze mi do uszu, ale nie do tych na zewnątrz, ale do tych wewnętrznych:

— Obudź się! Wracam tylko na parę chwil, żeby pokazać ci coś, z czego serdecznie się ucieszysz!

Usłyszałem to całkiem wyraźnie. Otworzyłem oczy. Gwiazdy świeciły jasno. Spojrzałem tam, gdzie ostatnio siedziała Szakara. Ktoś klęczał tam skupiony na modlitwie. Złożone ręce oparł na balustradzie, a twarz skierował w górę. Poznałem go. Widziałem nawet, jak poruszał wargami. To był aszyk. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie spałem, ale pomimo to nadal słyszałem cichy głos brzęczący w moim uchu:

— On modli się za ciebie! To najwspanialsze podziękowanie, jakie znamy w naszym ziemskim życiu. Zaśnij znowu!

Więcej już nic nie usłyszałem. Moje powieki stały się nagle tak ciężkie, że opadły. Później nie wiedziałem już, co się ze mną i wokół mnie dzieje. Nazywa się to snem. Właściwe określenie tego stanu czeka jeszcze na swojego wynalazcę!

Później wszystko działo się tak jak wczoraj. Obudziłem się koło południa. Szakara siedziała na swoim miejscu i patrzyła na mnie. Kiwnęła mi ręką, uśmiechając się, i powiedziała:

— Jeszcze jedna taka noc, efendi, i niebezpieczeństwo minie bezpowrotnie.

— Czy ty także odpoczęłaś? — zapytałem.

— Nie chciałam. Dżanneh chętnie czuwa dla ciebie. Siedziałam tutaj. Wówczas od strony drogi dzwonekowej nadszedł aszyk. Napisał coś dla ciebie i chciał ci to położyć w pokoju. Tak wytrwale i tak wzruszająco prosił, by mógł zająć moje miejsce tutaj, że pozwoliłam mu. Czy nie masz mi tego za złe?

— O nie! Obudziłem się i widziałem go, jak się modlił. Zaraz potem powtórnie zasnąłem.

— A ja przyszłam znów nad ranem, kiedy on musiał już iść, powiedział mi wówczas, że modlił się za ciebie. Czuł się z tego powodu tak szczęśliwy, jak jeszcze nigdy w swoim życiu.

— Gdzie jest to, co dla mnie napisał?

— Zniosłam na dół Ustawowi, ponieważ ty nie powinieneś na razie niepokoić się takimi sprawami. Posłuchaj! Co to za wołanie na podwórzu? Ktoś przyjechał. Pozdrawiają go.

Wstała i wyjrzała na dół.

— Kara ben Halef! — powiedziała. — Nie ma jednak przy nim stajennego mirzy, za to jest ktoś inny. Wygląda na to, że to nie żaden służący, ale jakiś dostojnik, i to nie byle jaki. Kara zeskoczył ze stojącego wielbłąda, drugie zwierzę musiało jednak się położyć, żeby obcy mógł zejść wygodnie na ziemię. Teraz nadszedł Ustad. Jest zdziwiony, ale cieszy się. Znają się z tym przybyszem. Pozdrawiają się bardzo serdecznie. A teraz Ustad patrzy w górę. Widzi mnie. Kiwa mi, żebym przyszła. Muszę więc iść, efendi, ale wkrótce przyjdę i opowiem ci, co się dzieje.

Poszła. Minęła dobra godzina, zanim wróciła. Musiała wprowadzić nowego gościa do izb znajdujących się w wartowni pod mieszkaniem Dżafara. Potem zdała mi dokładną relację z wydarzeń na dole:

— To jest kapitan gwardii przybocznej cesarza. Cieszy się pełnym zaufaniem szachinszacha i został przez niego wysłany, żeby się stawić pod rozkazy Ustada. Za nim podąża setka gwardyjskich mężów, prawdziwych doborowych wojowników, wszyscy o wysokich rangach. Prowadzi ich stajenny mirzy, który zna już drogę. Władca okazał się bardzo gościnnie dla Kary i również obdarował go zaszczytnym strojem. Młody Haddedihn przywiózł własnoręczne pismo od szacha do Ustada, a kapitan takie samo dla Dżafara. Co w nim jest napisane, o tym powie ci sam Ustad. Teraz jedzą. Potem zostanie urządzona wyprawa dookoła doliny, bo kapitan zamierza przeprowadzić rekonesans za górami. Na razie można go jeszcze dokonać bez ściągania na siebie uwagi niepowołanych ludzi. Przeciwnicy dopiero w ostatniej chwili powinni się dowiedzieć, kim jest kapitan i po co do nas przyjechał. Ustad teraz do ciebie nie przyjdzie. Powiadomiłam go o stanie twojego zdrowia i mam ci przekazać, że możesz traktować siebie jak ozdowieńca. Miał jednak

powody prosić cię o takie zachowywanie się, aby ludzie myśleli, że nadal jesteś chory. Prosi więc, abyś jak najmniej im się pokazywał, dopóki nie przyjdzie do ciebie tu na górę i o wszystkim ci nie opowie. Dał mi wielki zwój papieru, który położyłam ci na stole. To ma cię zająć, powiedział Ustad.

Tak jest, to było zajęcie, i to jeszcze jakie! Kiedy Szakara znowu poszła, wstałem i rozwinąłem zwój, który zawierał liczne większe i mniejsze arkusze. Pierwszy wielki arkusz był rysunkiem piórkowym przedstawiającym zachodnią stronę jeziora widzianą ze środka tak, jak ona obecnie rzeczywiście wyglądała. Na dole duar, na lewo droga do Doliny Worka, a po prawej stronie szlak prowadzący na tereny Takikurdów i osiadłych na północy Dżamikunów. Pośrodku, wznoszące się przy górze ruiny, zuchwałe, posępne, milczące, bez jakiegokolwiek śladu wewnętrznego czy zewnętrznego życia. Na południe od nich dom Ustada, stojący na wysokim, gigantycznym murze, wystawiony na wichury. Od niego droga dzwonekowa prowadziła do alabastrowego namiotu. Kiedy oglądałem ten arkusz, przeszła mi przez głowę myśl, że pokazuje o dużo za dużo, a jednak tak mało! Chwyciłem więc następny.

Co zobaczyłem? Już nie masywną materię, ale zamiast niej dzieło ducha, duszy. Zmiana dotyczyła tylko ruin, a jednak wniosła ona wszystko, czego brakowało. Ludzka ręka nadała skale nowy kształt i przez to nowe życie. Tam gdzie znajdowała się przystań, tutaj przez otwarty mur bardzo szerokie stopnie prowadziły na wolny plac, który powstał przez zlikwidowanie pięter. Róże, niezliczone róże, i nie tylko one kwitnęły tutaj tak, jak przed Beit–y–Chodeh. Wszystkie drogi, które między nimi biegły, prowadziły do jednej wprost imponującej, wspaniałej sali kolumnowej, do budowy której zostały wykorzystane wyłącznie olbrzymie kamienie ciosowe z ruin. Pomyślałem o Baalbeku, o Kailasa z Ellory*, o azteckich Teocalli; jednak wszystkie te sławne budowle zdawały się niknąć w cieniu tej jednej sali. W jej głębi znajdowała się wysoka, okrągła nisza z olbrzymim postumentem, który postawiono po to, by dźwigał równie wielką figurę.

Sala zamiast właściwego dachu miała podobny do wiszących ogrodów Semiramidy drugi obszerny kwiatowy ogród. Z niego, ku mojemu zaskoczeniu, wznosił się w górę dokładnie ten sam mały wiejski kościółek, którego obraz wisiał w mojej sypialni i pod którym umieszczony był dziecinnie prosty podpis:

Kościółku mój, kościółku

mały móc być jak ty: nabożny, wspaniały!

I twój szczyt osiągnąć,

chcę pokorze twej dorównać.

Kościółku mój, kościółku mały

chcę ciągle być jak ty wspaniały!

Powinno się myśleć, że ten pełen prostoty kościółek wyglądał wprost śmiesznie na tym gigantycznym fundamencie; jednak w żadnym razie tak nie było. Wręcz przeciwnie, zdawało się,

jakby inaczej już nie mogło być. Dzieło ludzkich rąk, dźwigane przez boskie skały, tylko wówczas będzie śmieszne, jeśli będzie się chwalić, że samo zbudowane jest z boskich skał.

To był środek góry, z której szczytu, dokładnie ponad szpicą kościelnej wieży, spoglądał w dół alabastrowy namiot. Po bokach kościoła znajdowały się w owocodajnych ogrodach dwa podobne do willi, łaskawie spoglądające domy. Pod jednym widniał podpis „plebania”, a pod drugim „szkoła”.

Pozostałe arkusze przedstawiały rysy architektoniczne i rysunki wspomnianych trzech budynków. Zainteresowały mnie do tego stopnia, że natychmiast usiadłem i zacząłem je studiować. Nie można być ani przez chwilę obojętnym na tak jasną, pełną miłości odpowiedź na kwestię starych, posępnych ruin! Z tego względu na jedzenie poświęciłem niewiele czasu i jeszcze wieczorem siedziałem, obliczając, odmierzając i kalkulując, aż w końcu nadszedł Pedehr, aby, jak się wyraził, przekazać mi coś ważnego.

Mianowicie był u nas goniec, który obwieścił, że szejk ul Islam i Ahriman mirza wspólnie i w największej zgodzie obwołali wielce zasłużonego Ghulama Multasima ustadem Takikurdów. Zawiadamia się nas o tym, gdyż również on zjawi się na wyścigach i musimy podjąć go i potraktować odpowiednio do piastowanej przez niego funkcji. Nasz Ustad nie wrócił jeszcze ze swojej konnej wyprawy i dlatego też Pedehr poczuł się zobowiązany przekazać mi tu na górę tę nowinę. Powiedziałem mu:

— Ta wiadomość nie ma dla nas najmniejszego znaczenia. Mogą sobie obwołać tego „kata” chińskim cesarzem albo nawet dalajlamą, a i tak będzie to nam w najwyższym stopniu obojętne. Nie jest w stanie przez żadne chytre sztuczki umknąć losowi, który sam sobie zgotował. Chwycił za nóż, żeby mnie zabić. Czym się zgrzeszyło, tym się będzie ukaranym. Mamy jeszcze u nas ten nóż — na dole w rupieciarni Spokojnie zaczekajmy na to, co się wydarzy!

Pedehr poszedł. Gdyby ktoś mnie zapytał, dlaczego odesłałem go z taką informacją, nie udałoby mi się chyba udzielić na to pytanie zadowalającej odpowiedzi. Niech się wydaje, że człowiek właśnie wówczas najbardziej zrozumiale mówi, kiedy sam dla siebie jest zagadką!

Wkrótce potem zobaczyłem Ustada, wracającego z kapitanem do domu. Po kolacji wpadł do mnie na krótką chwilę. Rozmawialiśmy jedynie o planowanej budowie kościoła; wszystko inne odłożyliśmy na później. Jednak zanim odszedł, spojrzał mi z uśmiechem w twarz i powiedział:

— Nie obarczam cię problemami, które mam obowiązek sam rozwiązywać. Nie masz być moim pracownikiem, ale moim miłym, bardzo chętnie widzianym gościem, któremu tylko wtedy mogę zaprzętać głowę prośbą o pomoc, kiedy rzeczywiście jest mi ona potrzebna. Duchowa gościnność musi się kierować tymi samymi względami, co gościnność materialna. Wiem, że rozumiesz, co mam na myśli, i jestem pewien, że się z tym zgadzasz!

Wyciągnąłem do niego rękę i powiedziałem:

— Rozumujesz równie głęboko, jak i słusznie. Pytałeś mnie kiedyś, kim właściwie jestem; teraz słyszę, że już to wiesz. Gdyby zechciano wreszcie pojąć, że duch ludzki nie jest jakąś specjalną bryłą, którą tak zwane wychowanie może dowolnie obrabiać! Obaj jesteśmy ze sobą powiązani, a

pomimo to nie stanowimy wyłącznie jedności. Skoro ty mnie potrzebujesz, staję się tobą!

Popatrzył na mnie, zamyślił się przez chwilę, pokiwał głową i powiedział:

— Bardzo trafnie to sformułowałaś! Jak zwykle uprawiasz psychologię! Do tej pory byłem dla siebie zagadką. Czy przybywasz, żeby mnie rozwiązać?

— Każdy sam siebie rozwiązuje! Bo przecież każdy ma oczy i uszy a wokół siebie cały, cały świat, który powinien i jest w stanie nauczyć go o samym sobie! Teraz już dobranoć, mój przyjacielu. Oprócz mnie masz jeszcze innych gości, których ręce pomagają kształtować to, co jest do kształtowania. Miejmy nadzieję, że są wśród nich tylko dobrzy ludzie!

— Tylko. Ze złymi policzymy się w nadchodzących dniach. Jak słyszysz, ja również teraz psychologizuję!

Czy mam znowu opowiadać, że spałem i jak spałem? To wstyd, żeby dzień w dzień mówić, iż wstaje się dopiero koło południa; muszę jednak jeszcze raz to wyznać, ale mam nadzieję, iż już ostatni. Ten długi sen był mi w każdym razie bardzo potrzebny; przekonał mnie o tym osiągnięty przeze mnie sukces! Zszedłem na dół, nie pytając wcześniej o pozwolenie.

Do kogo? Oczywiście najpierw do Syrra, do którego naprawdę było mi tęskno. Ale któż to nadbiegł pośpiesznym krokiem? Ustad!

— Chcesz chyba zaraz znowu wracać na górę! — Śmiał się. — Oglądaj sobie świat z góry! Na dole nie mogą jeszcze wiedzieć, jak zdrowy jesteś i energiczny!

— Tak, racja; o tym nie pomyślałem! Nie zatrzymuj mnie tak od razu, ale pozwól że przyniosę z ogrodu parę jabłek dla Syrra!

— Tym ja się już zajmę i przyniosę jego ulubiony gatunek. Szakara mi zdradziła, jaki lubi najbardziej.

Kiedy szedł do ogrodu, wrzucił się wprost, widząc, jak lśniący kary koń cieszy się, że znowu przy nim jestem. Syrr nie dał mi tego po sobie poznać w jakiś zabawny sposób, ale robił to tak cicho, tak spokojnie, że niemal chciałoby się powiedzieć tak wewnętrznie czy tak serdecznie, jakby tylko ludzką zarozumiałością było stwierdzenie, iż zwierzęta nie mają duszy. Ludzie zazwyczaj są zdolni przypisywać zwierzętom co najwyżej „psychiczne funkcje”. Tylko hejże, psychiczne funkcje mojego Syrra były uczciwe, szczerze i bez śladu fałszu czy pozy. Prawdopodobnie w różnym stopniu takie właśnie są ludzkie dusze!

Gdy Ustad wrócił z ogrodu, podał Syrrowi jedno z jabłek. Ten nawet jeden raz nie powąchał owocu. Złożył uszy i cofnął się na parę kroków. Ustad wyciągnął do niego razem z pierwszym jabłkiem jeszcze drugie. Syrr jednak cofnął się ponownie, a gospodarz „wysokiego domu” postąpił za nim, podając mu jabłka. Wówczas kary obrócił się i podniósł tylne kopyto na znak, że zamierza się bronić.

— Co? Bić mnie chce! — zdziwił się Ustad. — Ten rzeczywiście jest szlachetniejszy, niż Assil,

który nie widzi żadnej różnicy między mną a tobą! Tak. Najznakomitszego szlachetnego konia można poznać po tym, że wyróżnia się jednak nie frędzlami, którymi pan przyozdabia jego uzdę i siodło. Podzielimy owoce pomiędzy oba konie!

Tak zrobiliśmy. Ustada podał Assilowi jedno jabłko, Syrr dostał ode mnie drugie. Przyjął je teraz bez wahania, a ja obdarowałem go za to pieścizną. Kiedy ruszyliśmy, Ustada odezwał się:

— Tak; teraz wrócisz na górę, jednak nie bez nagrody za twoje posłuszeństwo. W dzień powinieneś jak najmniej się pokazywać; dzisiaj wieczorem jednak jedziemy razem z Karą na Dżebel Adawa, aby spróbować dowiedzieć się czegoś o odbywającym się na niej spotkaniu. Czy pojedziesz z nami?

— Oczywiście, chyba że uznasz, iż jestem jeszcze zbyt słaby na taką wyprawę.

— Zbyt słaby? — zapytał, uśmiechając się. — Po takim długim śnie? Poza tym będzie to interesujące, pomimo że nie zobaczymy i nie usłyszymy nic nowego. Ty pojedziesz na Syrrze, ja na Assilu, Kara na Barkhu. Wracając do domu, urządzimy sobie wstępne wyścigi, które pokażą nam, jak daleko możemy się posunąć w naszych spekulacjach co do rezultatu zawodów.

Oczywiście jak najbardziej byłem za tą planowaną na wieczór wyprawą. Jak czytelnik sobie przypomina, książę cieni umówił swoich Pederahnów na spotkanie dzisiaj o północy na Dżebel Adawa, „Górze Wrogości”, aby udzielić im ostatnich wskazówek. Nie znaleźliśmy miejsca, w którym miała się odbyć ta narada. Jednakże stare drzewo czarnego bzu, w którym Kara znalazł agrafę, dawało nam pewne oparcie, które mogliśmy wykorzystać. Kiedy powiedziałem o tym Ustawowi, odpowiedział:

— Wpadłeś zupełnie na tę samą myśl co ja. Ahriman mirza przybędzie, żeby zabrać swoją agrafę. Jeśli wcześniej ukryjemy się tam i potem będziemy się za nim skradać, Ahriman nie przeczuwając niczego, stanie się naszym przewodnikiem.

— Ale niebezpieczeństwo, na które się narażamy?

— Niebezpieczeństwo? Jakże zabawnie brzmi to słowo, kiedy słyszy się je z twoich ust! Gdzie ty nie czujesz strachu, tam również i ja się nie lękam. Poza tym będziemy dobrze uzbrojeni i założymy inne ubrania.

— Jakie?

— Te od szacha. Ja też mam przecież takie. Powiedziałeś, że Ahriman mirza miał na sobie dokładnie takie samo. Prawdopodobnie znowu je przywdzieje. Nie spodziewam się co prawda, że ktoś nas zobaczy. Jeśli jednak tak się stanie, ci co nas zauważą, będą przypuszczać, że jesteśmy perskimi towarzyszami Ahrimana, którzy przybyli z nim do Takich. Wówczas będzie nawet możliwe, że on sam... ach — sam sobie przerwał — może jest to dobra myśl: zabiorę jego szpicrutę, w której znajduje się maska! Jeśli dołożę do niej agrafę, każde niebezpieczeństwo będzie można zamienić w pomyślną dla nas sytuację, jeśli podam się za emira Sillanów. Czy nie uważasz tak samo?

— Co za pomysł! Skąd ci przyszedł do głowy? Tego rodzaju myśli nigdy nie rodzą się same w ludzkim mózgu, ale pochodzą z ukrytego związku, w którym uprzednio obliczane są ich skutki, a potem są one włączane w bieg myśli. Zrób tak, mój przyjacielu, zrób tak! Jestem przekonany, że swoim wspaniałym pomysłem wybiegasz dalej aniżeli my.

Poszedł, a ja wstałem. Jak to się działo, że w ciągu dnia tak często myślałem o naszym ubraniu od szacha? Zakładałem je i ściągałem... żeby je wypróbować, jak sobie wmawiałem. Człowiek nie widzi dalej aniżeli jest w stanie zobaczyć!

Przed wyścigami

Kiedy Szakara przyniosła mi śniadanie, uśmiechnęła się do mnie ze zrozumieniem. Albowiem zdążyłem już włożyć na siebie ubranie od szacha a ona wiedziała dlaczego się przebrałem, gdyż Ustad powiedział jej o naszych planach.

— Kiedy tylko się najesz, Ustad przyjdzie tutaj, żeby cię zabrać — powiedziała. — Kara osiodła po kryjomu konie.

— Ale nie mojego Syrra — wpadłem jej w słowo. — Przekaż mu to! Sam to zrobię. Może przygotować uzdę ale tylko ja ją będę zakładać.

Przygotowałem sobie naładowany rewolwer. Schowałem go przy sobie, kiedy przyszedł Ustad. Ubrany był tak jak uzgodniliśmy. Swoją długą brodę miał zapiętą pod ubraniem, a włosy zaczesane do góry i schowane pod czapką z jagnięcej skórki, tak że nie było widać ani zarostu, ani włosów. Szpicrutę mirzy zatknął za pas. Właśnie chcieliśmy wychodzić, kiedy pod drzwiami pojawił się aszyk. Przestraszył się, gdy nas zobaczył, bo w pierwszej chwili wziął nas za prawdziwych Persów. Kiedy nas jednak rozpoznał, wykrzyknął:

— Allachowi niech będą dzięki! Już prawie pomyślałem, że to Ahriman mirza złożył wam wizytę! Po co wam to ubranie, efendi?

— Żebyśmy nie zostali zdemaskowani, w razie gdyby ktoś nas zobaczył — odpowiedziałem. — Wybieramy się na Dżebel Adawa.

— Właśnie stamtąd wracam! Przynoszę dwie ważne informacje, jedną pisemną i jedną ustną. Szejk ul Islam sądzi, że przyjeżdżam do niego, żeby was zdradzać. Cieszę się więc jego zaufaniem i spisałem dla was to, czego się dzisiaj od niego dowiedziałem. Ta notatka zawiera nazwy miejsc, na które ma nastąpić natarcie od razu po tym, gdy uda się atak na was. Są w niej także nazwiska dowódców, sami pobożni, wielce poważani mężowie.

Na moje skinienie podał zapiski Ustadowi i mówił dalej:

— Kolejna wiadomość ucieszy was pewnie jeszcze bardziej. Czy znacie młodego Takikurda, który nazywa się Ibn el Idrak?

— Nawet bardzo dobrze — odpowiedział Ustad. — Mówisz, że jest młody; ale przecież on już od wielu lat zasiada w Dżemmah. Jego ojciec, najbogatszy człowiek z plemienia, wysłał go na studia do Teheranu, a potem w dalekie podróże. Teraz syn jest mądrym i uczciwym mężem. Mówi się, że jest potajemnym przeciwnikiem szejka ul Islama i wśród Takich ma nie byle jakie poważanie. Gościł już parę razy u mnie i jak myślę, polubiliśmy się.

— Czy uważasz, że jest zdolny uknuć jakiś podstęp?

— Nie, w żadnym razie.

— Wobec tego, mogę ci powiedzieć, że chce porozmawiać z tobą.

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— Gdzie? Tutaj u mnie?

— Nie. Na to nie ma czasu, bo zajęty jest ważnymi posiedzeniami, które ciągle odbywają się teraz w Dżemmah, nawet dzisiaj o północy ma się jakieś odbyć. Rozmowa z tobą ma być poza tym tajna. Kazał prosić, byś przyszedł dwie godziny po północy nad potok wypływający z Dżebel Adawy; sam, on również będzie sam. Idąc od źródła, odliczysz pięć wielkich zakrętów koryta wody. Przy piątym stoi samotne drzewo, pod którym będzie na ciebie czekał.

— Niesamowite! Jak dotarłeś do tego człowieka? Gdyby kto inny chciał się ze mną spotkać, myślałbym że zastawia zasadzkę, nawet jeśli nie wiedziałbym, co planuje!

— Jeśli mi nie ufasz, nie mam prawa się na ciebie gniewać. Ja także zresztą nie mogę ci odpowiedzieć, ponieważ chcąc wam się przydać, musiałem zachwalać milczenie Ibn el Idraka. Pozwól mi tu pozostać i daj rozkaz, żeby zastrzelono mnie, jeśli tobie coś się stanie!

— Ależ byłbym głupcem! Wierzę tobie i jemu, dlatego przybędę.

— Dziękuję ci! To ubranie, które masz w tej chwili na sobie, również pasuje do ciebie jak ulał. Przy Dżebel Adawa ożywiło się teraz. Nietrudno będzie cię zobaczyć i rozpoznać. Dlatego chciałbym cię prosić, żebyś się nie przyodziewał w swój zwykły ubiór. Przybyłem tutaj na jednym z jego koni. Czy mogę wrócić, żeby przekazać mu wiadomość?

— Tak. Powiedz mu, że przyjdę dwie godziny po północy na umówione miejsce. Gdybym się spóźnił, niech na mnie czeka. Zjawię się na pewno.

Po tych słowach aszyk oddalił się. Na moim stole leżał chandzar, którego dostałem w prezencie od Dżafara. Ustąd zobaczył go i zapytał:

— Nie bierzesz ze sobą sztyletu?

— Nie — odpowiedziałem. — Chciałem go wziąć, ale uznałem, że nie będzie mi potrzebny.

— Zatem pozwól mi go wziąć! Mogę znaleźć się w sytuacji, w której bezgłośnie ostrze okaże się lepsze niż hałaśliwa strzelba. Teraz stale się kieruj w dół. Chcę najpierw schować listę od aszyka. Później do ciebie dołączę.

Włożył chandzar za pas i wyszedł. Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą kilka świeczek, po czym drogą dzwonekową zszedłem na pastwisko, gdzie przy koniach stał Kara ubrany w perski strój.

Assil i Barkh były już osiodłane, Syrr jeszcze nie. Sam mu założyłem siodło. Niesamowite! Kiedy wkładałem mu munsztuk*, koń stawiał opór, nie chcąc otworzyć pyska. Prosiłem go; mimo to nadal się opierał. Nie miałem wcale zamiaru go zmuszać. W momencie gdy poleciłem Karze, żeby przyniósł uzdę, nadszedł Ustad.

— Chcesz go ujeżdżać tylko z uzdą? — zapytał. — W nocy? Tam po drugiej stronie, gdzie prawie wszystko może zależeć od tego, jak sprawne będą nasze konie?

— Niech Syrr kieruje się własną wolą! — odpowiedziałem. — Wystarczy, że zgodzi się wziąć mnie na swój grzbiet, a nic nam się nie stanie. Jeździec który mu nie ufa i na siłę chce go okiełznać, niczego nie osiągnie. Szlachetny koń, który wyczuwa nad sobą żelazną rękę, nigdy nie pokocha swojego pana.

— Prawie powiedziałaś, że nie można na niego zważać! — Zaśmiał się Ustad. — Przy okazji, oczywiście poza koniem, myślisz jeszcze o czymś zupełnie innym. Znam ciebie!

Syrr dostał więc tylko uzdę; potem ruszyliśmy ponad ruinami, obok kamieniołomów zjechaliśmy na dół, a potem skręciliśmy w lewo, gdzie po drugiej stronie wznosiła się wysoko Dżebel Adawa. Ustad bywał tam już nieraz, tak że mogliśmy całkowicie polegać na jego znajomości terenu.

Umyślnie obrał okrężną drogę. Pojechaliśmy najpierw na północ, a potem zawróciliśmy na zachód. W razie gdyby ktoś nas zauważył, nie przyszłoby mu do głowy, że nadjeżdżamy od strony Dżamikunów. I to było sprytne. Po przebyciu niespełna połowy drogi, zauważyliśmy przed nami jeźdźca jadącego po oświetlonej blaskiem księżyca równinie. Zdziwił się, kiedy nas zobaczył, jednak nie zmienił kierunku jazdy. I tak musiał na nas trafić. Oczywiście zachowywaliśmy się jakby zależało nam na spotkaniu z nim. Zachowaliśmy zimną krew, kiedy do nas dotarł i pozdrowił.

— Skąd przybywasz? — zapytał Ustad.

— Stamtąd, dokąd wyjedziecie — odpowiedział. — Wyglądacie na tych, którzy należą do Ahrimana mirzy. Czy przynosicie dobre wieści z Isfahanu?

— Znakomite. Nie znamy jeszcze czasu, ale kiedy nadejdzie sygnał wówczas szabla sama wyskoczy z pochwy.

— To brzmi niezłe! Ja znam czas. Mirza mi powiedział. Teraz zanoszę tę wiadomość Massabanom z Feraghan, którzy są już w drodze. Czy wiecie coś o wyścigach u Dżamikunów?

— Wiemy wszystko. Impreza rozpoczyna się w niedzielę. Bieg eliminacyjny odbędzie się w poniedziałek, a główna gonitwa zaplanowana jest na wtorek.

— Zgadza się. Przybywam z ważną informacją; następnego dnia, a więc w środę, Dżamikunowie zostaną otoczeni. Do czwartku rana trzeba zamknąć pierścień. Skoro świt uderzymy na nich ze wszystkich stron. Tę informację jak najszybciej muszę zawieźć Massabanom. Dlatego wybaczenie, że nie zatrzymuję się dłużej!

Pojechał dalej; my również. Nikt z nas nie wątpił, że tak bardzo ważną informację zawdzięczamy

tylko naszym perskim strojom.

Udało się więc uniknąć niebezpieczeństwa zdemaskowania. Opatrzność zadbała o to, że nikt nas nie obserwował z Dżebel Adawa. Chroniło nas jedynie to, że wjeżdżaliśmy na górę od strony obozu Takikurdów. Dlatego okrążyliśmy go szerokim łukiem, aż znaleźliśmy się po jego zachodniej stronie. Tam również płynęła woda, przy której miał się zjawić Ibn el Idrak. Potok był gęsto zarośnięty krzewami i świetnie nas maskował, kiedy zbliżaliśmy się do naszego celu. Byliśmy z tego bardzo radzi. Podążając dalej wodnymi zakrętami, dotarliśmy do miejsca, gdzie miała odbyć się rozmowa z Ibn el Idrakiem. Stało tutaj samotne wysokie drzewo. Wszystko się zgadzało.

Teraz przede wszystkim musieliśmy znaleźć jakąś kryjówkę dla naszych koni, z którymi miałem pozostać, ponieważ Kara musiał wejść na górę z Ustadem, by pokazać mu wydrążone drzewo czarnego bzu. Nie powinno być problemu ze znalezieniem odpowiedniego miejsca. Przeszliśmy odcinek wzdłuż południowej strony gór i zobaczyliśmy wcinający się w masę skalną głęboki, wąski jar. Wejście do niego blokowały wysokie mocne prastare mury, o bardzo nieregularnych górnych krawędziach. Tworzące ów mur ociosane kamienne bloki zrzucone były tutaj z góry i dlatego na dole leżały w chaotycznym nieładzie. Jednak pośród nich znajdował się wąski prześwit, przez który precyzyjnie się na koniu Ustad. Po chwili zawołał do nas:

— To są Diwar-y-Mugasa*. Dlaczego tak się je nazywa, tego nie wiem. Prawdopodobnie spełniały one niegdyś funkcję zapory wodnej. Obecnie to miejsce jest tak niesławne, że każdy go unika nawet w biały dzień, a tym bardziej w nocy. Nigdzie nie znajdziesz lepszej kryjówki, tutaj nikt nie będzie ci przeszkadzał, efendi. Mówi się, że kiedy diabeł chce zabrać komuś duszę, to nocą przywleka ją właśnie tutaj, aby później ją rozszarpać.

— Przyjemny postereunek strażniczy! — zaśmiałem się. — Znając łatwowierność pobożnych Takikurdów, nie muszę absolutnie się martwić, że ktoś mnie odwiedzi. Inni też nie będą mi przeszkadzać.

Zsiedliśmy z koni i przeprowadziliśmy je przez prześwit wśród kamieni, po czym znaleźliśmy się w zabudowanym u góry pomieszczeniu, w którym było kompletnie ciemno.

— O tym nie pomyślałem — mówił dalej Ustad.

— Powinniśmy wziąć ze sobą świeczki.

— Ja mam — powiedziałem, po czym wyjąłem jedną z kieszeni i zapaliłem ją.

Okazało się, że przy murze postawiono czterościenną zadaszoną dobudówkę. Z tyłu znajdował się otwór prowadzący do wąwozu; od zewnątrz był gęsto zarośnięty. Na środku ciemnej izby leżała duża kamienna płyta. Dalej nie można było nic zobaczyć. Ostrożność nie pozwalała nam pozostawiać tutaj koni, gdyż w nieoczekiwanym momencie nie mielibyśmy ani schronienia, ani możliwości ucieczki. Spróbowaliśmy więc wydostać się na zewnątrz przez dziurę z tyłu, starając się jednak nie uszkodzić zasłaniających ją krzewów. Udało nam się. Na dworze panował półmrok, gdyż światło gwiazd nie przedzierało się pomiędzy strome, wysokie skalne ściany wąwozu. Miejsce nie było w każdym razie zbyt przyjemne. Jego ponurość pasowała idealnie do diabelskiego pomysłu, o którym mówił Ustad.

Poprowadziliśmy konie znaczny kawałek w głąb wąwozu, po czym kazaliśmy im położyć się na ziemię. Teraz przysła kolej na Ustada i Karę; musieli wdrapać się na górski szczyt. Prosiłem ich, żeby nie uszkodzili krzaków przy tylnym wyjściu, gdyż połamane gałęzie mogłyby nas zdradzić. Po tych słowach obaj się oddalili. Ja natomiast usadowiłem się koło Syrra w taki sposób, aby ktoś kto będzie się zbliżać, nie mógł dostrzec mnie wcześniej, nim ja go nie zobaczę.

Mijały kwadrans. Nastąpiła północ. Moi dwaj przyjaciele znajdowali się teraz prawdopodobnie na swoich stanowiskach podsłuchowych. Czy udało się im odnaleźć miejsce spotkań? Właśnie gdy zastanawiałem się nad tym pytaniem, ujrzałem dwie postacie, które wolnym krokiem zbliżały się od strony muru... w perskich strojach. To byli oni. Wówczas podniosłem się z miejsca.

— Siedź spokojnie! — powiedział Ustada. — Musimy odczekać przynajmniej godzinę, zanim będę mógł wyruszyć do potoku.

— Czyżby wasza akcja się nie powiodła? — zapytałem.

— Nie — odpowiedział, w momencie kiedy siadaliśmy. — Schowaliśmy się przy czarnym bie. Wkrótce przyszedł Ahriman mirza z kimś jeszcze. Prawdopodobnie był to ów zaufany człowiek, którego widziałeś przy nim w naszych ruinach, gdyż księżę cieni niczego przed nim nie taił. Rozmawiali ze sobą nie za długo i nie za głośno, ale wystarczyło, żebyśmy zrozumieli każde słowo. Ahriman trzymał w ręku szpicrutę. Musiał być w tym miejscu nie tak dawno, gdyż ze spróchniałego drzewa wyciągnął maskę, chociaż kiedy Kara je sprawdzał, nie było jej tam jeszcze. Zawiązał ją na twarzy, po czym wyciągnął z kieszeni agrafkę i przypiął do czapki. Następnie rzekł: „Tę mam jeszcze stamtąd, nosiłem ją u Dżamikunów. Nie miałem czasu jej schować, bo przez szejka ul Islama musiałem szybko okrążyć górę, żeby dostać się do swojego konia. Zostanie tutaj może już na zawsze, bo nie wierzę, że będę jej jeszcze kiedykolwiek potrzebował. Dzisiaj się rozprawię krótko. Raz dwa wydam rozkazy, żeby w środę wieczorem dokonano okrążenia. Potem w Utaq-y-Szejtan* przejrzę jeszcze raz oba dokumenty, zanim w Dżemmah oddam szejkowi ul Islamowi jego własne. Teraz chodź! Ten ulubiony osioł Allacha nie ma pojęcia, że podpisując cesarski dokument, całkowicie dostał się w moje ręce!”

Poszli, a my wyczołgaliśmy się z naszej kryjówki, żeby ich śledzić. A że musieliśmy działać szczególnie cicho i ostrożnie, podążaliśmy za nimi niezbyt szybko i wkrótce straciliśmy ich z oczu, a próby odnalezienia śladów okazały się bezskuteczne. Jednak żeby nie wracać do ciebie z zupełnie pustymi rękami, poszliśmy jeszcze raz pod czarny bez i zabraliśmy z niego agrafkę.

— Dlaczego? Po co? Czy nie będzie kłopotów z tego powodu?

— Możliwe! Ale miałem przecucie, że nie wolno mi pozostawić tego błyszczącego przedmiotu. Nie pierwszy raz już czegoś takiego doznałem. Nieraz ten wewnętrzny sygnał dobrze mnie poprowadził. Pomyśl o naszych strojach. Gdybyśmy ich nie mieli na sobie, niczego nie dowiedzielibyśmy się od gońca!

— Niewykluczone. Ja też często podążam za głosem swojej intuicji. Czy znana jest ci nazwa Utaq-y-Szejtan?

— Nie. Nigdy jej nie słyszałem. Ale po drodze myślałem o niej i przypuszczam, że ma ona związek z tymi murami. Nazwa Diabelska Izba pasuje do przesądu, który powiada, że diabeł rozrywa tu zawleczoną przez siebie duszę. Czyżby Ahriman mirza, mówiąc o Utaq-y-Szejtan, miał na myśli to ponure pomieszczenie, przez które musieliśmy się przedrzeć, żeby się tutaj dostać?

— Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne!

— Mnie również! Jeszcze raz chce sprawdzić cesarskie dokumenty. Cesarskie dokumenty! A więc najważniejsze co można mu wydrzeć! Wydrzeć? Nie. Trzeba sprytniej się do tego zabrać. Proszę, nie mów teraz nic do mnie! Chodzi mi po głowie pewna myśl. Jeśli ją dobrze rozwinę, będzie niezrównana!

Zamilkł, żeby przemyśleć swój pomysł. Dlatego również się uciszyliśmy. Nagle podskoczył i powiedział:

— Co to takiego? Nie daje mi spokoju. Efendi, chodź ze mną. Muszę koniecznie pójść pod mur. Jakiś wewnętrzny głos mówi mi, że Ahriman mirza wkrótce się pojawi.

Ruszyliśmy naprzód i doszliśmy do zarośniętych gęstwiną drzwi. Odsunęliśmy krzaki, żeby wejść do pomieszczenia. Ustad szepnął:

— Tu... tu... tu patrz! Wewnętrzny głos nie zawiódł mnie! Widzisz go?

Rzeczywiście zobaczyłem Ahrimana. Właśnie nadszedł i stał na dworze przed wejściem otoczony blaskiem gwiazd. Rozglądał się dookoła. W ręku trzymał szpicrutę, na twarzy miał czarną maskę, w czapkę wetkniętą agrafę. U pasa lśniła rękojeść chandzara, który podobny był do mojego. Wszystko było widać jak na dłoni. Ustad zapytał mnie cicho!

— Znasz legendę o Chodemie człowieka?

— Tak — odpowiedziałem równie cicho.

— Wiem, że mirza wierzy w tę legendę i spróbuje go na nią złapać. Przytrzymasz krzaki, gdy będę się prześlizgiwał do niego i gdy będę wracał!

Ustad wyciągnął maskę z rączki szpicruty i zawiązał ją sobie na twarzy. Potem z blaszanego pudełka wyjął agrafę i przypiął ją do czapki. Zatknął również mój chandzar w taki sam sposób jak mirza nosił za pasem swój. I teraz czekał.

Pomimo że znałem słowo Chodem, nie wiedziałem właściwie, co Ustad zamierza. Chodem to po persku „ja sam”. Tamtejsi metafizycy określają tym słowem jeszcze coś innego, coś co odpowiada mniej więcej naszemu „sobowtórówi”, ale w sensie o wiele wznioślejszym, szlachetniejszym. Nauczają oni, że człowiek wprawdzie ma ducha, który powoli wykuwa z materiału, jakim jest ludzkie ciało, duszę i wznosi ją do góry, ale ten czysto ludzki duch jest zależny od ducha z wyższych sfer, który nim kieruje. Ów wyższy duch odpowiada przed samym Bogiem, żeby powierzony mu w opiekę człowiek osiągnął przeznaczenie. Przyjmuje on cały stan skupienia człowieka, za którego jest odpowiedzialny, i może ukazywać się osobiście jemu, a także innym ludziom, na dodatek w kształcie

i ubraniu identycznym z tym, jakie posiada przywiązany do niego człowiek. Jeśli ukaże się komuś innemu, to nie oznacza to bynajmniej nic złego. Jeśli ukaże się swojemu człowiekowi, to jest to pewny znak, że opuści go na zawsze — czyli albo zbliżające się obłąkanie, albo śmierć. Bowiem człowiek, który zostaje opuszczony przez swojego wyższego ducha, przez swojego Chodema, albo natychmiast umrze, albo pewnej duchowej nocy powoli zmarnieje.

Oto legenda czy też nauka, na której Ustad chciał oprzeć swój plan.

Ahriman mirza wszedł do środka, zapalił świeczkę i podszedł do kamiennej płyty. Nakapał na nią woskiem i przytwierdził do niej świecę. Po czym wyciągnął z kieszeni duże zwinięte kartki papieru, rozłożył je i skierował w stronę światła, żeby móc je odczytać. Ustad po cichu wsunął się pomiędzy krzakami a ścianą do środka, bezszelestnie podkradł się ku niemu i stanąwszy tuż za nim, dotknął go szpicrutą. Mirza zadrżał, podniósł się szybko do góry, obrócił i... krzyknął przerażony tak głośno, jak tylko pozwalały mu na to płuca. Stał jak osłupiały w zupełnym bezruchu.

Pomimo że wiedziałem, gdzie jestem, ta scena nawet mi wydała się okropna. Przy upiornym Murze Zemsty... w Diabelskiej Izbie, gdzie szatan rozrywa przytarganą przez siebie duszę... nikłe światło i poza tym jedynie w odległości dwóch, trzech kroków połyskujące... dwa duchy, jeden ludzki i drugi jego przewodnik... wyłaniające się z panującej dookoła ciemności... nawet nie tylko, że podobne do siebie, lecz identyczne... dokładnie dwie krople wody... od stóp do głów to samo „ja”, a jednak w dwóch osobach! A jeśli mnie w tym momencie przeszywał chłód, to jak dopiero mógł się czuć sam mirza!

Co dziwne, chociaż z punktu widzenia psychologii całkowicie uzasadnione, po pierwszym okrzyku nie „ekspłodował” swoim przerażeniem, lecz skierował je na szczegóły, które powodowały mętlik w jego głowie.

— Moja agrafa! — krzyknął, wskazując ręką na czapkę Ustada. — Moja maska... mój chandzar... moja szpicruta!

Jego palce się rozwarły. Obie kartki papieru, które trzymał w ręce, upadły na ziemię. Jego ciało drżało. Kolana uginały się, aż w końcu załamały się i upadł na ziemię. Leżąc na podłodze, trzymał się jedną ręką kamiennej płyty, drugą unióśł ku górze w obronnym geście i krzyczał:

— Mój Chodem, mój Chodem, mój Chodem! Co mi przynosisz? Ustad odpowiedział, a jego głos brzmiał również ponuro, jak głos wydobywający się spod maski mirzy:

— Ani korony, ani królestwa cesarza! Wybieraj: śmierć albo obłąd!

— Śmierć? Tylko nie to, tylko nie to! Nie chcę umierać, nie chcę umierać! Muszę żyć, żyć, żyć!

— Zatem już wybrałeś. Obłąd. Niech obłąd stanie się twoją duszą, która przeniknie ciebie i wszystkie twoje cienie! Precz stąd, precz! Szukaj schronienia u swoich Massabanów! Uklęknij przed świętym szejkiem ul Islamem. Polegaj na całej mocy kłamstwa! Właśnie wyciągnęło ono swoją pięść! Złapie cię za kark jak zdechłą kotkę i zawlecze tam, gdzie zaczyna się otchłań, a potem potrząśnie tobą wysoko nad...

— Zdechłą kotkę, zdechłą kotkę! — przerwał mu mirza i zaryczał, drżąc ze strachu, usłyszawszy wymierzoną w siebie groźbę. — Wiesz wszystko, wszystko, wszystko! Ale ja nie chcę obłędu, nie chcę, nie chcę! Zachowaj go dla siebie. Ja tymczasem zmykam, zmykam... zmykam!

Szybko się poderwał i wyskoczył drzwiami na zewnątrz. Ustad podniósł dokumenty, złożył je i schował do kieszeni. Ostrożnie wyszedł na dwór, żeby sprawdzić, co się dzieje z uciekinierem.

— Wejdz, mój przyjacielu! — zawołał później do mnie. — Wejdz, jeśli chcesz zobaczyć człowieka, który ucieka przed obłędem, jednak nie jest już w stanie uciec przed nim. Poszedłem do Ustada. Mirza biegł, jakby goniony przez Furie, prosto na równinę — tam, gdzie nie miał już czego szukać.

— Czy to nie jest opętanie umysłowe? — zapytał Ustad. — Każdy na jego miejscu uciekałby do swoich ludzi; on jednak nie wie już, co czyni! Najlepiej będzie, jeśli wyniesiemy się stąd jak najszybciej. Przyprowadźmy konie!

Tak też zrobiliśmy. Potem ruszyliśmy w drogę, nie zapalając światła. Tak chciał Ustad. Prowadził nas wokół góry, a następnie dalej na północ, gdzie już nikt nie mógł nas zauważyć. Po przebyciu sporego kawału drogi zsiadliśmy z koni i spoczęliśmy, ponieważ czas rozmowy z Ibin el Idrakiem jeszcze nie nadszedł.

Nie rozmawialiśmy. Moja głowa nie mogła pomieścić myśli, które się do niej cisnęły. Czy to rzeczywiście tylko legenda, czy też Chodem, przypisany każdemu, kto prowadzi duchowe życie, istnieje naprawdę? Ustad położył rękę na moim ramieniu i powiedział:

— Wiem, jakie myśli cię nachodzą. Nie zaprzataj sobie nimi głowy, cierpliwości! Człowiek jest przyzwyczajony, żeby wierzyć tylko w to, co zobaczy na własne oczy. Czy wiesz, że duszę Hadži Halefa przywołałem dzięki wymówieniu ze szczególną intonacją całego jego długiego imienia. Gdybym tego nie uczynił, umarłby; tak jednak zmusiłem go żeby „się opamiętał”. Uważasz może, że tylko duszę można zniewolić? Poczekaj! Tak zwane wychowanie zniewala miliony umysłów do określonych wzorców zachowań. Czy nie da się jednak uwolnić od tych szablonów przynajmniej jednego, jednego umysłu spośród tych wielu milionów?

Jak to niesamowicie brzmi! Nie mam myśleć, ale czekać. Kto by tego dokonał?

Kiedy nadszedł czas, ruszyliśmy w kierunku góry i tam zagłębiliśmy się w małej kotlinie, gdzie nikt niepowołany nie mógł nas zobaczyć. Tu musieliśmy pozostać razem z Karą. Ustad zaś przeprowadzał się pieszo na drugą stronę nad potok, gdzie przypuszczalnie czekał już na niego Ibn el Idrak. Niepokoiłem się trochę o mojego przyjaciela, zapewniał mnie jednak, że mamy do czynienia z uczciwym człowiekiem. Musiałem więc się z tym pogodzić. Oczywiście Ustad już dawno zdjął maskę i agrafę.

Minęło sporo ponad godzinę; właśnie Ustad wracał szybkim, pewnym krokiem jak ktoś, kto przynosi dobrą wiadomość.

— Ten aszykto wspaniały człowiek! — zawołał, zanim jeszcze się do nas zbliżył. — Muszę

wyjednać u szachinszacha amnestię dla niego i to natychmiast. Trzeba ponownie wysłać gońca.

— Przynosisz więc dobre wieści? — zapytałem.

— Bardzo dobre! Musimy dotrzeć do domu, zanim jeszcze się rozwidni, tak żeby nikt nie widział twojego Syrra. Czas więc nagli. Nasi rywale, z którymi staniemy do walki na zawodach, spotykają się już dzisiaj, żeby oswoić swoje konie z torem. Moje przypuszczenia się potwierdziły: Ibn el Idrak ma wśród Takich tak znaczących stronników, że może pokrzyżować plany szejkowi ul Islamowi i jest na to już całkowicie zdecydowany. Od niego wyszedł pomysł, żebym był ustadem Takich i jeszcze do tej pory nie porzucił swojej myśli. Szejk ul Islam sprytnie go uprzedził, aby w ten sposób albo uniemożliwić mu w ogóle jego zrealizowanie, albo mnie uczynić swoją posłuszną marionetką. Od momentu kiedy podstawił Ghulama jako ustada, odbyło się sporo burzliwych narad. Popierali go tępi fanatycy, którzy Fatima stawiali wyżej od samego Mahometa, i młodszy Babi, którzy cesarza chcieli mieć nisko pod sobą. Oto nasi przeciwnicy, którzy najpierw staną do wyścigu, a później do prawdziwej walki. Będę ich nazywać Ultra-Takimi. Pozostali są pokojowo nastawieni. Przyglądali się nam i nigdy nie zauważyli, żebyśmy się pysznili czy oszukiwali. Wymagali, by traktowano nas jak ludzi i nie godzili się, żeby nienawidzono nas czy zwalczano ze względu na wiarę. Chcieli czcić Mahometa a nie szejka ul Islama. Chcieli słuchać szachinszacha a nie bezwolnej kukły. Polecili Ibn el Idrakowi, żeby przedłożył ich życzenia w džemmah, zostali jednak potraktowani z taką wyniosłością, tak obelżywie i bezwzględnie odesłani, że postanowili, iż również nie będą kierować się najmniejszymi względami i będą działać potajemnie tak jak inni. Pierwszym owocem ich decyzji jest dzisiejsza rozmowa ze mną. Byłem bardzo szczery wobec Ibn el Idraka. Dziwił się temu, czego dowiedział się ode mnie. Kiedy na sam koniec przekazałem mu, że ich nowym ustadem jest krwawy, pozbawiony sumienia kat Sillanów, a najwyższy z cieni ma zostać cesarzem, rozwścieczył się z powodu tej oszukańczej gry i postanowił, że za ten podstęp odpłaci tą samą monetą. Ultra-Taki nie dowiedzą się więc, do czego zdolni są ich pokojowo nastawieni i wierni rządowi współplemieńcy. Cios wymierzony w ludzi szejka ul Islama spadnie na nich jak grom z jasnego nieba.

— A na czym ma polegać ten cios? — zapytałem go.

— Cały czas będą popierać walkę z nami, jednak w decydującej chwili nie chwycą za broń. Jeśli mimo wszystko zaatakują nas, rozprawimy się z nimi tak, jak sobie na to zasłużyli. Tak ogólnie wygląda sytuacja; o szczegółach porozmawiamy później. Musimy ruszać, gdyż na wschodzie niedługo zacznie świtać!

— No to teraz próbna jazda! Myślę, że jeszcze nikt nie przejechał tej drogi tak szybko, jak my ją zaraz pokonamy. Pędźcie przodem!

— Przodem? Dlaczego?

— Bo inaczej raz-dwa stracilibyście mnie z oczu! — zaśmiałem się.

— Ale zarozumiałość! Chcesz urazić Barkha Kary i nawet swego Assila?

— Nie. Dlatego właśnie proszę was, żebyście przyjęli fory.

— Niech tak będzie! Ale coś ci powiem: ruszamy i nie damy się dogonić; nie pomoże ci nawet tajemnica, a twój Syrr nie ma przecież żadnej!

— Nie potrzebuje, bo sam jest tajemnicą. W drogę! Nie siądę w siodle wcześniej, dopóki nie stracę was z oczu, potem ruszę za wami!

Zakołysali się w strzemionach, równo rozpędzili i pognali przez równinę na zachód. Szybko, coraz szybciej, aż przeszli do galopu. Syrr był zdziwiony. Stał blisko mnie. Raz spoglądał na mnie, raz podnosił głowę i patrzył za oddalającymi się jeźdźcami. Wznosił i opuszczał łeb, potrząsał nim. Parskał, grzebał w ziemi. Wreszcie zarżał. Poglaskałem go i natychmiast się uspokoił. Jego oczy nieustannie jednak patrzyły do przodu, tam gdzie obaj jeźdźcy stawali się coraz mniejsi i mniejsi.

Wreszcie zupełnie zniknęli. Włożyłem nogę w strzemię. Syrr odwrócił głowę i wydał ów niski, prawie chrząkający basowy ton, który brzmiał tak, jakby chciał powiedzieć: no wreszcie, wreszcie! Jeszcze dobrze nie usiadłem, a już pędziłem. Nie musiałem nic mówić, nie musiałem nic robić. Koń miał przecież to, czego chciał! Takiej jazdy nie da się niestety opisać. Kiedy zamknąłem oczy, wydawało mi się, jakbym unosił się w górę!

Już po kilku minutach zobaczyłem Ustada i Karę. Galopowali nadal razem. Zbliżyłem się do nich. Musieli właśnie się obrócić i spostrzec mnie, gdyż po ruchu ich koni poznałem, że tajemnice zostały wykorzystane. Pochyliłem się i lekko musnąłem głowę Syrra. U... u... u! — zarżał i pomknął do przodu, jakby dotychczasowa prędkość była zupełnie minimalna. Posunęliśmy się naprzód byliśmy coraz bliżej i bliżej. Kara już nie nadążał za Ustadem, ponieważ mój Assil był silniejszy od Barkha. Jeszcze dziesięć długości konia... jeszcze pięć, jeszcze trzy, jeszcze jedna... Teraz dogoniłem go i jechałem obok niego.

— *Ma' assalami*, bądź zdrów, Kara! — zaśmiałem się. — Przekaż jednak Barkhowi tajemnicę!

— Już to zrobiłem! — powiedział.

— Powoli się spełnia!

Syrr zarżał, jakby zrozumiał ten żart, i dwoma, trzema zupełnie niepojętymi susami wysunął się przed Barkha, obrócił na moment głowę, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście go wyprzedził i skupił się teraz na Assilu. Ten znajdował się około dwudziestu długości konia przed nim.

— *Ssabak bilcher*... dzień dobry! — zawołałem do Ustada. — Pośpiesz się, zaraz się rozwidni!

W odpowiedzi ustawił tylko swoje ramię zgodnie z pędem powietrza, żeby nie hamować biegu konia. Mimo to z dwudziestu długości zrobiło się piętnaście... i dziesięć... pięć... dwie... jedna... teraz go już miałem! Znowu kilka sprężystych, szybkich susów mojego Syrra i już byłem z przodu...

— Przyznasz, że wkrótce będziesz daleko za mną? — zapytałem.

— Dlaczego mam to przyznawać? — odpowiedział.

— Bo jeśli tak, to zatrzymam się. Nie chciałbym urazić mojego Assila. Wstydzi się, gdy ktoś go

wyprzedza.

— To uprzejmie z twojej strony! Tak, twój Syrr nas przewyższa, nawet bardzo. Zwolnijmy więc!

Kiedy to uczyniliśmy, Kara szybko nas dogonił. Było to bardzo wzruszające, gdy wszystkie trzy konie uradowane tym, że znowu mkną razem, zarżały identycznie głośno, jak to się mówi: jednym chórem. Teraz dopiero widzieliśmy, jak niewiarygodnie szybko pędziliśmy naprzód w tym próbnym wyścigu: równina się kończyła; ukazały się nam góry Dżamikunów. Musieliśmy zjechać jeszcze tylko do doliny i po minięciu jej, znowu w górę, aby drogą koło kamieniołomów dotrzeć do domu. Tak lekko, tak szybko przechodzi człowiek od złego do dobrego, kiedy potrafi wykorzystać siły, które prowadzą go do góry i do domu!

Mogliśmy czuć się jak najbardziej zadowoleni z wyniku naszej próbnej jazdy. Wyścigów nie baliśmy się już wcześniej, teraz jednak byliśmy całkowicie przekonani, że nawet jeśli nie wygramy wszystkich biegów, to przynajmniej zwyciężymy w głównych gonitwach. Po przybyciu do domu w pierwszej kolejności zatroszczyliśmy się o nasze wspaniałe konie, potem się rozeszliśmy. Zaraz poszedłem spać i obudziłem się dopiero późnym rankiem.

Szakara przyniosła mi śniadanie i powiedziała, że w nocy przybył goniec od szacha, który potem wracał z odpowiedzią od Ustada. Goniec celowo ubrał się w taki strój, żeby nikt nie zorientował się, kim jest naprawdę. Władca przesyłał tylko rozkaz, by uniknąć przelewu krwi, jeśli jest to możliwe. Ustad ucieszył się, że przy okazji może przesłać otrzymaną od aszyka informację, a także zdobyte dzisiaj w nocy obydwie cesarskie dokumenty. W ten sposób szejka ul Islam i Ahriman mirza zostaną ostatecznie zdemaskowani. Jednocześnie Ustad załączył prośbę o ułaskawienie dla aszyka. Gdy to usłyszałem, pomyślałem o jego wyroku i o tym, że tak naprawdę jest wspaniałym człowiekiem. Ustad nie mówił więcej na jego temat, dowiedziałem się jednak od Szakary, że aszyk dobrowolnie oddał się do dyspozycji Ibn el Idraka i wykazał się wręcz zdumiewającą zręcznością i wytrzymałością, gdy chciał przekonać Takich, że ukrywaniem nieposłuszeństwem wobec szacha niczego się nie zdiadała, a można tylko zgotować sobie upadek. Ustad zresztą uważał, że Ultra—Taki nie byli zbyt odważni, kiedy zabrakło wśród nich szejka ul Islama, mirzy i Gul—i—Sziraz, którym zależało tylko na tym, żeby umacniać swoich poddanych w ślepych fanatyzmie.

Nie zdążyłem jeszcze wyjść na zewnątrz na mój płaski dach, a już Szakara poprosiła mnie, żebym poszedł z nią na dwór, gdyż miała mi do pokazania coś interesującego. Myślała o dużym, wspaniałym namiocie, który był już prawie postawiony po drugiej stronie wśród ruin. Niedaleko od niego zobaczyłem innych ludzi zajętych wznoszeniem drugiego, także dużego, ale już nie tak okazałego. Kiedy zapytałem ją, dla kogo je szykują, odpowiedziała:

— Ten, który jest tak pięknie ozdobiony, ma być dla Gul—i—Sziras. Ona działa w każdym razie na zlecenie Ahrimana mirzy, który chce przejąć ruiny przed Takimi. Jego ludzie zjawili się tutaj o świcie i natychmiast zaczęli budowę. Szejka ul Islam zdaje się coś już wiedział lub przynajmniej przypuszczał, bo szybko postarał się, żeby natychmiast postawiono obok podobny. Jego słudzy przyszli z drugim namiotem i, jak widzisz, niebiańska cnota ulokowała się blisko ziemskiej przywary, a żadna z nich nie zapytała nas wcześniej o zdanie.

— Czy Ustad zamierza godzić się na takie postępowanie?

— Na razie jeszcze czeka. Kiedy przyjdzie odpowiedni czas, poradzi sobie z nimi. A teraz spójrz tam na drugą stronę jeziora! Stawiają trzeci, wielki namiot. Ten z kolei jest dla Ahrimana mirzy. On również kazał wznieść namiot w tamtym miejscu, nie pytając nas o zgodę. Wybrał je, gdyż jego cienie i Massabanowie mają nadciągnąć właśnie z tamtej strony. Osaczenie więc zacznie się już dzisiaj. Dzisiaj jednak my również rozstawiliśmy nasze bliskie i dalekie posterunki, które zadbają o to, abyśmy na czas wiedzieli o każdym ruchu wroga. Wszyscy Dżamikunowie stoją już pod bronią, zarówno tutejsi, jak i ci, którzy mieszkają dalej; chociaż wcale ich nie widać. Kalhuranie, z którymi jesteśmy związani, także. Wysłali już swoich najlepszych jeźdźców i wyścigowe konie. Spójrz tam na dół, zobacz jak już ćwiczą! Nie znam planu obrony opracowanego przez Ustada, ale powiedział mi, żebym nie prosiła o pomoc Marah Durimeh, gdyż jesteśmy wystarczająco silni. Jego pewność jest całkowicie uzasadniona. Mimo to wysłałam do niej gońca i jej doskonale uzbrojeni jeźdźcy, których nikt jeszcze nie pokonał, zjawią się, kiedy przyjdzie odpowiedni moment. Wiesz przecież — dodała, śmiejąc się — że dusza nawet wtedy zatroszczy się o ducha, jeśli ten uważa, że już całkowicie jest bezpieczny!

Właśnie gdy to mówiła, zauważyliśmy ożywiony ruch, który szybko przeniósł się na cały duar. Spowodował go nadjeżdżający z zachodu jeździec, obwieszczający nowinę wszystkim ludziom, którzy nadbiegli nadstawiając uszu, a następnie skierował się w górę do „wysokiego domu”. W momencie gdy wjeżdżał przez bramę, poznaliśmy go. Był to stajenny naszego Dżafara mirzy. Pełnił funkcję naczelnika służby szacha i jechał teraz na jej przedzie, żeby zameldować, iż nadciąga stu mężczyzn ghulman-i-szahi*. Przyprowadził konia kapitana. W tym samym czasie na lewo, drogą, którą jechaliśmy wczoraj, zmierzała do góry Gul-i-Sziras razem z dworskim orszakiem, a krótko po niej nadjechał szejik ul Islam ze swoją napuszoną świecką i duchowną świtą. Pojechali od razu do ruin, w których rozlokowali się jak we własnym domu. Swoje wyścigowe konie przyciągnęli ze sobą.

Już po kilku minutach między dwoma obozami rozgorzała kłótnia. Tym razem jednak nie doszło do wybuchu, gdyż obie strony skierowały swą uwagę na wschód, gdzie właśnie na horyzoncie ukazał się oddział gwardii. Ta nadzwyczaj dobrze przygotowana i uzbrojona setka doborowo umundurowanych jeźdźców wprawiała ich w osłupienie. Jak Ustawowi udało się uzyskać tak niebywałe wyróżnienie?! Przecież otrzymał od cesarza bezpośrednie wsparcie! Osłupienie szybko przemieniło się w strach, kiedy zobaczyli, że za przyboczną kawalerią podąża oddział artylerii wyposażony w dwadzieścia sembureks*, a tuż za nimi cały rząd dźwigających bagaże i amunicję wielbłądów. Dwadzieścia armat! Chociaż tak małe! Jeśli Dżamikunowie dysponowali taką bronią, to nie będzie tak łatwo z nimi zadrzeć, jak dotychczas się wydawało! Dlaczego Ustawowi przysłano to wojsko? Przecież w ogóle nic nie wiedział o zaplanowanym na niego ataku! Miał być zupełnie zaskoczony! A może się czegoś dowiedział? Ale od kogo? Trzeba zachować ostrożność! Szczególnie w stosunku do własnych sojuszników!

Kapitan czekający tu na górze wsiadł na swego konia i zjechał na dół, żeby przyjąć nieliczny co prawda, ale pod względem militarnym znaczący oddział, i ulokować go zgodnie ze swoimi zamiarami. Przybycie tej grupy wywołało poruszenie również u Ahrimana mirzy. Ruszył na koniu wzdłuż jeziora, zamierzając najwyraźniej złożyć pierwszą wizytę księżniczce w jej nowym mieszkaniu, miał bowiem ze sobą orszak składający się z tych samych osób, które w zeszłym tygodniu koło Beit-y-Chodeh zakłóciły nasze niedzielne święto. Była to swego rodzaju demonstracja, na którą

możliśmy mu pozwolić, ponieważ tym samym nieostrożnie zdradzał się przed nami, że zabrał swoich pod—dowódców. Nie zatrzymując się w duarze, pojechał bezpośrednio w kierunku ruin. Kiedy zsiadł z konia przed namiotem, na zewnątrz wyszła Gul, żeby go pozdrowić. Po raz pierwszy zobaczyłem ją na własne oczy. Wprowadziła Ahrimana do środka. Jego świta pozostała na dworze. Po pewnym czasie posłano po szejka ul Islama. On również zniknął w namiocie.

Nagle zauważyłem, że nigdzie nie ma Syrra. Nieco zawstydzony swoją nieuwagą zapytałem Szakarę, czy wie, gdzie jest. Okazało się, że umieszczono go w ogrodzie, żeby nie był widoczny z namiotu po drugiej stronie. Poprosiłem moją duszę, aby dobrze się nim zaopiekowała.

Z namiotu wynurzyły się trzy ważne osobistości i razem ruszyły wśród ruin do drogi dzwonekowej.

— Chcą się dostać do nas! — powiedziała Szakara. — Trzeba natychmiast powiadomić Ustada. Nasz ukochany dom nie może zostać skalany przez tych ludzi! Na pewno ich odeśle!

— Poproś go w takim razie, żeby, jeśli to możliwe, uczynił to pod moim dachem. Chciałbym poznać Gul i rad bym posłuchać, co i jak ona mówi.

Szakara zbiegła na dół. Zbliżających się obserwowałem w taki sposób, żeby samemu pozostać nie zauważonym. Księżniczka była osobą wysoką i o pełnych kształtach. Suknię miała przebogato obwieszoną klejnotami. Woalki nie nosiła i w ten sposób wyemancypowała się z nakazanej w jej kręgach powściągliwości. Jej podcięta grzywka przykrywała czoło zupełnie na modłę naszych tak zwanych prostych frędzli, określanych czasem mianem fryzury na kucyka. Perskie kobiety z haremu bardzo lubiły nadawać swoim twarzom beznamiętny wyraz, dzięki czemu wyglądały bardziej pożądliwie. Z tyłu warkocze zwisały prawie do ziemi. Przeplatane były złotymi sznurami i frędzlami, a więc zapewne nie były prawdziwe. Szpicrutę trzymała w ręce w szczególny sposób, zupełnie jak Ahriman mirza. Podczas rozmowy machała nią na boki, a jej ruchy były tak energiczne, tak pewne, tak władcze, pogardliwe i powiedziałbym tak zuchwałe, jakich jeszcze nie widziałem u żadnej kobiety Orientu.

Doszli do pastwiska, na którym pasły się konie, i na chwilę przystanęli przy Assilu, Barkhu i Sahm. Prowadzili ożywioną dyskusję na ich temat. Nie słyszałem tego, co mówili, ale już po ich gestach można było się zorientować, że nie wyrażają się o zwierzętach zbyt pochlebnie. W pewnej chwili księżniczka podeszła do Assila i chwyciła go za pysk, żeby zobaczyć zęby. Koń nie miał zamiaru tolerować takiego traktowania. Gul krzyknęła rozzłoszczona i uderzyła go w ganasze. W następnym momencie leżała już na ziemi powalona silnym uderzeniem głowy rumaka. Ahriman mirza natychmiast doskoczył do niego, podniósł w górę szpicrutę, zamierzył się, chcąc go poskromić i... nic nie działo. Assil był szybszy od człowieka. Zrobił błyskawiczny zwrot, wyrzucił tylne nogi w górę i naskoczył na niego. Kopyto trafiło w głowę Persa, który z krzykiem padł na ziemię. Ogier zarżał wyzywająco i stanął gotowy do dalszej obrony. Szejk ul Islam i księżniczka, którzy otrząsnęli się już ze zdumienia, podeszli do Ahrimana, żeby zobaczyć, jakie odniósł obrażenia. Książę cieni podniósł się przy ich pomocy i chwycił rękami za głowę. Na szczęście było to zdaje się tylko draśnięcie. Głowę obmacano, obejrzano i w końcu zostawiono ją w spokoju. Cała trójka, wyraźnie rozgniewana, szła teraz znowu w naszą stronę, tyle że wolno, bardzo wolno, gdyż Ahriman nie czuł się zbyt pewnie na nogach i szybciej nie mógł iść.

Szakara sprowadziła Ustada. Stali obok siebie dole przed domem i widzieli doskonale atak konia i jego obronę. Teraz nadeszła owa trójka. Stanęli przed Ustadem i Szakara. Co za osobliwe spotkanie! Początkowo nie padło ani jedno słowo; jednak oko wtopiło się w oko. Następnie księżniczka zapytała:

— Kto nas tutaj podejmuje? Kim jesteś?

Jej głos brzmiał twardo, wyniośle i pogardliwie.

— Jestem ustadem Dżamikunów — odparł Ustada spokojnym głosem.

— A co to za stworzenie stoi u twego boku?

— Stworzenie? — powtórzył jej obraźliwe wyrażenie, tyle że uśmiechając się. — Niechcący powiedziałas: ona jest stworzeniem Boga, Wszchemogącego; to On ją stworzył w swojej mądrości i dobroci. Ciebie nie stworzyła owa mądrość i dobroć, ale poczęłaś się i zrodziłaś z grzechu grzesznych ludzi. Dlatego ona, ucieleśnienie czystości kobiecej duszy, oddali się teraz od nas, gdyż cnota odchodzi, skoro tylko zbliża się spodlenie!

Odstąpił na bok, żeby przepuścić przed sobą Szakarę. Ta zarumieniona spuściła swoje miłe oczy i odeszła. Księżniczka zaskoczona śmiałością Ustada nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Ceremonialnie zaczerpnęła powietrza. Jej oczy roziskrzyły się, wargi zadygotały, szpicruta zadrżała w jej dłoni, ale odpowiedzi nie było. Wówczas szejik ul Islam stanął w obronie urażonej i rzekł groźnym głosem:

— Ty chyba nie wiesz, przed kim stoisz. Ta jaśnie wielmożna, szlachetna księżniczka jest naszą, przez wszystkich poważaną, szach-sadeh Khanum Gul, która przybyła tu, żeby uszczęśliwić cię swoją obecnością.

— Dobrze o tym wiem. Wiem nawet jeszcze więcej, mianowicie że ty ją także znasz i pomimo to nie wstydzisz się nazywać jej obecności uszczęśliwiającą. Biada narodowi, którego duchowni ojcowie, a ty przecież jesteś najwyższym ich przedstawicielem, zadają się z córami ciała, żeby później móc rządzić mężczyznami! A nie powiedziałbyś, jak nazywa się szejik świętego islamu? Z wyrachowaniem przyjmujesz za święte coś, co jest zupełnie przeciwne świętości. Czyż nie dlatego uważasz hańbę za godną uznania, że spoglądasz na nią przez złote naddara, którymi wynagradzasz zazwyczaj lekkomyślne kucharki? Tam są otwarte drzwi do mojej kuchni. Twoja przyjaciółka Pekala i twój powiernik Tifl są gotowi przyjąć błogosławieństwo świętego mężczyzny i kobiety nie grzeszącej świętością! Nie potrzebujesz już się korzyć przed nimi jako sekretarz. Są tak głupi, że uznają cię za arcydzieło islamu.

Jego twarz zbladła. Chwycił się za swoją długą, cienką brodę, jakby chciał się jej uczepić. Stał jak jakiś uczeń, który dostał lanie, i na dodatek musiał za nie podziękować. Odpowiedzi nie znalazł. Za to wtrącił się teraz mirza. Zebrał się w sobie i wybuchnął:

— Człowieku, co ci się stało, że masz czelność w ten sposób do nas się odzywać! Stoją przed tobą jaśnie wielmożni całego państwa! Czy u was wszyscy powariowali, tak ludzie, jak i zwierzęta? Nie

przywykliśmy do tego, żeby atakowała nas każda bestia! Ciesz się, że nie zastrzeliłem tego bydlaka tam na łące!

Mówiąc te słowa, ostrzegawczo wysunął do połowy zza pasa pistolet. Na to Ustad uśmiechnął się, potrząsnął głową i powiedział:

— Zachowaj lepiej tę kulę dla waszego Iblisa! On jest jednak...

— Iblisa? — przerwał mu szybko mirza. — Kto ci zdradził, że zabrałem ze sobą Iblisa, niepokonanego? Kto?

Ustad wtopił wzrok w jego oczy i powoli, niskim, głębokim głosem odpowiedział:

— Twój Chodem powiedział to mojemu!

Mirza, słysząc to, raptownie znowu złapał się za głowę i wykrzyknął:

— Mój Chodem... Chodem... Chodem! Również tutaj, również tutaj! Dlaczego od tamtej nocy nie daje mi spokoju! Przecież jestem daleko od niego! Zostawiłem go! Dlaczego mnie goni, wszędzie, wszędzie! Dlaczego koń mnie kopnął w głowę! To on go na mnie nasłał, to on! Chyba zwariuję, zwariuję, zwariuję! Zwariuję, jeśli nie da mi spokoju! Precz, precz! Jeszcze raz zostawiam go! Jeśli ktoś chce być wariatem, niech sobie będzie, ale nie ja, nie ja!

Obrócił się i wymachując wokół siebie szpicrutą, pognął naprzód. Biegł przez pastwisko... a dalej wcale nie do drogi, lecz zaczął zsuwać się przy murze do ruin zupełnie jakby ktoś go gonił... po czym podbiegł do namiotu Khanum Gul, wskoczył na grzbiet swojego konia i uciekł tak szybko, że nawet jego kompletnie zdziwiony orszak, który wyruszył natychmiast za nim, nie był w stanie go dogonić.

Księżniczka i szejk ul Islam również się wycofali, nie mówiąc już ani słowa, oboje pokonani i zawstydzeni jak pewnie jeszcze nigdy w życiu. Ustad spojrział wówczas w górę na mnie i zapytał:

— Myślisz jeszcze o moich słowach? Ten duch zaczyna już opuszczać swój wzorzec. Fakt, że nastąpiło to tak szybko, świadczy, że mamy do czynienia z głupcem. Taki jest los każdego księcia cieni!

Wrócił do domu i już więcej z nim dzisiaj nie rozmawiałem. Był bardzo zajęty, jednak szybko i szczegółowo informował mnie przez Szakarę o wszystkim, co się działo.

Ku mojemu zaskoczeniu Szakara zjawiała się dzisiaj u mnie z obiadem nie sama. Przyszła z nią Pekala. Chciała mi coś powiedzieć. Stała przede mną zakłopotana, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Kiedy dodałem jej odwagi, zaczęła wreszcie mówić:

— Efendi, proszę cię, żebyś mi uwierzył: myślałam, że to jest madame, prawdziwa, autentyczna madame! Była przecież taka gruba! Ale kiedy usiadła w kuchni, od razu na ziemi z ogromnym plaśnięciem, zdjęłam jej chustkę z głowy i tak okropnie się przestraszyłam, że pewnie też upadłabym, gdybym się mocno jej nie przytrzymała... nie, nie jej, ale jego, bo to jest mężczyzna. Wyobraź sobie! I miała taki wilczy apetyt! A on pałaszował tak ładnie, tak prędko i tak dużo! A potem ona zasnęła!

Wyjadła mi prawie wszystko, co przygotowałam dla innych, tak była wygłodzona podróżą. Teraz nareszcie się najadła, a że jemu smakuje u mnie tak bardzo, uzgodniliśmy razem, że nigdy się już nie rozstaniemy. Co ty na to, efendi? Zgadzasz się?

— Jesteś przecież panią swojego losu, więc możesz robić co zechcesz!

— Dobrze o tym wiem. Wiem także, że nie powinnam wtrącać się do rozmowy, ale uprzejmość wymaga jednak, żebym przynajmniej zapytała. Byłam już u Ustada. Powiedział, że nie będzie mnie zatrzymywać, że daje mi całkowicie wolną rękę. Czy ty również pozwolisz mi odejść.

— Oczywiście!

— Ale ja już nigdy nie wrócę, nigdy!

— To bardzo dobrze!

— Tak! Więc ty również! A ja myślałam, że będziecie za mną płakać. Ale nie ma nikogo, kto by się rozplakał. A przecież tak dobrze gotowałam! Zemszczę się więc. Zaraz odchodzę. Agha Sibil ma wysłać do Isfahanu parę wielbłądów. Pojedziemy na nich, ja, mój Kepek i nawet mój Tifl. Za godzinę wyjeżdżam. Mój Kepek od rana stale coś jadł, a więc wytrzyma do następnej stacji. W takim razie żegnam się z tobą na zawsze, na wszystkie czasy i podaję ci moją rękę!

— Zatrzymaj ją! Ona nie należy do mnie, lecz do twojego Kepeka, na zawsze.

Ta całkowita obojętność rozgniewała ją. Podeszła do drzwi, przy nich jeszcze na chwilę się zatrzymała i powiedziała:

— Nie ma tu nikogo, kto zrozumiałby szlachetne kobiece serce. To potrafi jedynie mój Kepek. Ustad jednak przynajmniej dał mi zapłatę i do tego jeszcze duży bakszysz. Jestem teraz z wami kwita i nie chcę nic więcej o was wiedzieć. Dla mnie już nie istniejecie, nie istniejecie i nie istniejecie!

W tym momencie wyszła.

Jak to gładko poszło! Czy aszyk, czy Kepek, wszystko jedno; wystarczy tylko, że będzie podziwiał sztukę kulinarną i da się jej wychować! To jeszcze jedna z tych kobiecych istot, które chwala się, że są duszami albo nawet aniołami mężczyzn! Dokładnie godzinę później widziałem, że jej rzeczy znoszone są na dół do namiotu Aghy Sibila. Potem szli sami, Pekala u boku swojego Kepeka, wielogabarytowego miłośnika jedzenia. Przodem szedł chudzielec Tifl. W niedługi czas potem pociągowe wielbłądy kulejąc, wymaszerowały z dworu, dźwigając na swoich garbach krzepką pannę i jej nowe zakochane w niej szczęście. Nie towarzyszył im żaden Dżamiki. To był oczywiście efekt jej bezmyślnej paplaniny!

Po południu dowiedziałem się od Szakary, że również Ustad zbadał tajemne przejście z miejsca najświętszego. Był nawet na dole w basenie, ale nic mi o tym nie mówił, żebym się o niego nie martwił.

Nie wyobrażałem sobie, że Dżamikunów jest aż tak dużo. Ale kiedy dziś, w przeddzień

jutrzejszego święta przedstawiali się pojedynczo, w większych grupach i całych gromadach, zobaczyłem ku swojemu zdziwieniu, jak gęsto była zaludniona ta ustronna okolica i jak znaczący duchowy wpływ wywierał na zamieszkujących ją ludzi ten zaciszny duar. Dookoła rozstawiano namioty, jurty, szałas i otwarte obozy. Stopniowo pokryły one całą dolinę, pięły się na wszystkich wysokościach, rozciągały pod drzewami rosnących dookoła lasów i przechodziły na pasma górskie, żeby rozprzestrzenić się daleko nad wyżynę. Nie powiedziano mi zbyt wiele; przybywały tysiące i nawet kiedy zrobiło się już ciemno, ten napływ się nie skończył.

Wieczorem Ustad przekazał dla mnie informację, żebym możliwie wcześniej poszedł spać, gdyż wcześniej rano chce ze mną wyruszyć. Tak też uczyniłem, a kiedy się obudziłem, nie dochodziła jeszcze czwarta. Na dworze zaczynało szarzeć. Ze swojego dachu zobaczyłem, że Ustad był już na dole przy koniach. Siodłał Sahn. Pośpieszyłem się więc, zszedłem do niego na dół i dowiedziałem się, że mam jechać na Syrrze. Siodło i uzda leżały już przygotowane; musiałem je tylko założyć.

— Dzisiaj poznasz Sahn — powiedział. — Twój Assil ją zwyciężył. Zobaczymy jednak, co będziesz o niej sądził za parę godzin.

— Godzin? — zapytałem, bo zauważyłem, że torba u siodła wypchana była prowiantem. — Zamierzasz w taką rocznicę pozostawać tak długo poza domem?

— O tym pogadamy później — odpowiedział, siadając na konia. Również dosiadłem swojego i ruszyliśmy... ale nie przez bramę czy ruiny, lecz stromą, wąską drogą dzwonkową wiodącą do alabastrowego namiotu, Ustad z przodu, ja z tyłu — niezupełnie bezpieczna, ale wspaniała jazda!

Dolina jeszcze się nie przebudziła. Nikt nie patrzył na nas jadących w góry. Sahn szła pod nim tak lekko, tak pewnie, jakby miała skrzydła i nawet jeśli się potykała, ani razu się nie przewróciła. A Syrr? Zachowywał się tak, jakby znał każdy odcinek tej drogi. Klacz Ustada nie szła tak zdecydowanym i sprężystym krokiem jak on! Wysoko w górze ścieżka, którą teraz jechaliśmy, odbijała od dotychczasowego szlaku, prowadzącego na skos wśród wspomnianego już luźnego rumowiska. Obruszało się ono i przesunęło, i w każdej chwili groziło runięciem.

— Poważnie mnie to martwi — powiedział Ustad. — Wprawdzie namiotowi nic nie może się stać, bo osadzony jest na niewzruszonej skale, ale gdy te potężne, ruchome masy kamieni po prawej i po lewej stronie osuną się lawiną, wtedy ruiny staną przed katastrofą, której nie będą w stanie się oprzeć. Przypuszczam, że wówczas nastąpiłby wreszcie koniec całej tej kamiennej przeszłości! Zdaje mi się, że chętnie wybrałbyś się do namiotu, proszę cię jednak, abyś dzisiaj tego poniechał. Spójrz tam, otoczony jest stosami drewna, które mają być podpalone. To trzeba zobaczyć z dołu, a nie stąd.

Przejechaliśmy więc na koniach z dala od tamtego miejsca, aż dotarliśmy do położonego w tyle kopulastego wierzchołka góry, z którego widać było cały teren Dżamikunów skąpany w pierwszym rannym świetle.

— Moja kochana mała kraina! — powiedział. — Chcą mi ją odebrać! Jakie to głupie! To prawie jakaś błazenada! Ze wszystkich stron ciągną na nas zbrojne oddziały. Dlatego my również uzbroiliśmy się po zęby; tak chciał mój dobry, wojowniczy Chodj–y–Dżuna. Jakże to zbyteczne! Prowodyrów rebelii mam już całkiem w garści. Teraz wystarczy tylko, że mocno ich przytrzymam i

dostarczę szachowi, tak jak dostarczyłem dowody. Jednak tak jak miłość do moich ludzi nakłoniła mnie, żeby zgodzić się na uroczyste obchody dzisiejszej rocznicy, tak daję im szansę, aby wykazali, że potrafią trwać wiernie przy mnie, nie tylko gdy świeci słońce, ale również wtedy gdy wieją wiatry i szaleją burze. Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym zepsuł im przedsmak radości z powodu zwycięstwa. Dzisiaj jednak opuszczam ich. Wrócimy dopiero wieczorem. Można na mnie krzyczyć i wołać mnie o pomoc, opisywać mnie i obgadywać, okłamywać i oszukiwać, przedstawiać w fałszywym zwierciadle i zniekształcać, zmyślać bajki na mój temat i fingować wydarzenia — nie ustąpię ani na krok nikomu, kto nie zechce mnie zrozumieć. Jednak tam gdzie będą mnie chwalić czy wielbić, nie postanie moja stopa. Doświadczenie nauczyło mnie rozumu. Znam tę pochwałę ludzi, którzy chwalą tylko dla własnych korzyści. Hołd szybko przeradza się w elegię, zaś łuk triumfalny w kaudyńskie jarzmo zmuszające tych, którzy dopiero co byli wielbieni, żeby przy następnym kroku schylili swój dumny kark przed tymi, którzy ich wielbili. Szejk ul Islam wychwalał mnie po to, żeby skłócić mnie z tobą, żebym stał się jego marionetką, kozłem ofiarnym partii, której przewodzi. Miłość moich Dżamikunów jest prawdziwa; wypływa z całego, szczerego serca i ani na chwilę nie zawaha się ponieść ofiary za mnie. Wdzięczność każdego z nich jawi mi się czystym, szczerym złotem. Zagrzewa moje serce, przychodząc do mnie nieoczekiwanie niczym zapach kwiatu, który nie potrafi mówić. Dzisiaj chcą mi publicznie podziękować. Tysiące pragną mówić głośno tylko o mnie, o mnie! To zupełnie sprzeciwia się moim dążeniom! Nie chciałem się zgodzić na to święto, ale kiedy poparłem je, wiedziałem, że nie będzie mnie dzisiaj w domu, gdyż profanuje ono to, co tak troskliwie pielęgnuję w swoim wnętrzu. Dlatego uciekłem.

Chciałem coś powiedzieć, ale szybko przerwał mi i kontynuował:

— Nie martw się! Nie postąpiłem lekkomyślnie, wyjeżdżając, bo sam najlepiej wiem, czy jestem potrzebny tam na dole. Wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Nasi wrogowie widząc, że wyjechałem sobie zupełnie bezmyślnie, chociaż to tylko pozór, tym bardziej nabiorą pewności siebie. Nie domyślają się nawet, co będziemy robić w tym czasie. Objedziemy dzisiaj cały nasz teren. Odwiedzę rozstawione posterunki. Tego nie mogę nie zrobić!

Aby zjechać na leżące po drugiej stronie stoki gór, musieliśmy prowadzić konie, dopóki nie dotarliśmy do potoku w dolinie, gdzie Ustad wskazał mi ukryte miejsce, w którym wychodził na powierzchnię tajemny tunel, zaczynający się w miejscu najświętszym. Stamtąd szlak prowadził znowu w górę na wyżynę Takich, a z niej dalej na północ. Jadąc, natrafiliśmy na dwóch Dżamikunów, którzy siedzieli przy swoich koniach. Złożyli nam raporty. Przy najbardziej wysuniętym na północ posterunku pozdrowił nas pewien Kurd von Schurd, w pełnym wojennym rynsztunku. Dopiero przed chwilą przyjechał na swoje stanowisko. Poinformował nas, że posiłki wojskowe od Marah Durimeh są oddalone stąd o jeden dzień drogi i proszą o instrukcje. Ta wiadomość zaskoczyła Ustada; powiedziałem mu to, co usłyszałem od Szakary. Wydał więc rozkaz, żeby stawili się w tym miejscu we wtorek wieczorem i czekali na dalsze polecenia.

Stąd skierowaliśmy się na wschód. Przed nami rozciągał się obszar mieszkających na północy Dżamikunów. Wizytując posterunki, stwierdziliśmy, że wszystko jest zorganizowane tak, jak sobie tego życzyliśmy. Na ich najbardziej wysuniętym obozie kończyła się linia warty Kalhuranów, która przebiegała za Przełęczą Zajęczą i Przełęczą Kurierską na południe. Tutaj Ustad z kolei przekazał polecenie, żeby wpuścić przez przełęcze Massabanów i Sillanów, a następnie podążyć za nimi

potajemnie, żeby coraz mocniej zaciskać pierścien. Około południa zatrzymaliśmy się przy wodzie, by odpocząć, najeść się i popaść konie na trawie. Daliśmy zwierzętom na to całe dwie godziny, po czym ruszyliśmy dalej przez ów nie zamieszkały kraj, przez który jechałem z Halefem i Massabanami. Tam natrafiliśmy na szeroki ślad Dinarunów, który prowadził na północ do naszego obozu, a także na samotnego jeźdźca, który wracał tym śladem. Ku naszemu zdziwieniu był to sam szejk Dinarunów.

On również się zdziwił, kiedy zobaczył Ustada, ale bynajmniej nie wyglądał na zbytnio tym przejętego. Grzeczność wymagała, żebyśmy zsiadli z koni i spoczęli na chwilę razem z nim. Rozmawiając, dowiedzieliśmy się czegoś, co nas ucieszyło. Dzisiaj wczesnie rano przybył do nas wraz ze swoją drużyną i zaraz odszukał szejka ul Islama, który podobnie jak Ahriman mirza znajdował się właśnie u Gul. Tutaj otrzymał instrukcje na nadchodzące dni i okazało się, że razem ze swoimi Dinarunami został wybrany, żeby na nas uderzyć, oczywiście tylko w imię religii; nie miało mu to jednak przynieść żadnych praktycznych korzyści. Doszło do tego, że potraktowano go wielce wyniośle, jak człowieka, dla którego Bożą Łaską jest to, że może w ogóle rozmawiać z takimi wybrańcami. Sprytnie na wszystko się zgadzał, ale był tak rozzłoszczony, że nagle postanowił obrócić wólczną i przejść na naszą stronę. Jednak żeby móc wcześniej dokładnie i ze spokojem rozważyć wszystkie za i przeciw, wsiadł na konia i ruszył na samotną przejażdżkę, podczas której się spotkaliśmy.

Nie mieliśmy się co zastanawiać. Ustada opowiedział szejkowi wszystko, wszystko. Jakże dziwił się ten mężczyzna! Nie przypuszczał nawet, za jakiego człowieka miał przelewać krew swoich Dinarunów, nie otrzymując najmniejszego wynagrodzenia, czy chociażby jednego dobrego słowa! Obecnie przybył tylko z końmi wyścigowymi i ujeżdżającą je drużyną. Jego oddziały wojskowe miały dopiero nadejść. Powiedział, że nam je użycza, i podał obie ręce, my zaś chętnie je uścisnęliśmy. Ponieważ wiedział już, czemu ma służyć nasza obecna wyprawa, zaproponował, że przyłączy się do nas, na co Ustada się zgodził.

Ruszyliśmy więc dalej we trzech na zachód do Dżamikunów mieszkających na południu, którzy okazali się równie dobrze przygotowani, jak pozostali wojownicy. Przy tym oblicze szejka stawało się coraz poważniejsze. To co przed chwilą od nas usłyszał, teraz zobaczył na własne oczy — wielkie śmiertelne sidła, które zastawiono na niego i jego ludzi, w razie gdyby pozostał po stronie naszych wrogów.

Zastanawiał się, czy wziąć udział w wyścigach. Sahn pędziła nieźrównanie. Jaka wielka różnica pomiędzy tym, co wyczyniała ona dzisiaj, a tym jak zachowywała się, gdy jechał na niej niegdyś Pedehr! Arab powie: koń jest procesem; w zależności od tego, czy prowadzi się go dobrze czy też źle, wygrywa się albo przegrywa! A co dopiero Syrr! Tylko z uzdą! Szejk był pełen podziwu, zapytał jednak tylko raz o niego, po czym zamilkł, dowiedziawszy się, że istnieje w nim jakaś tajemnica, o której nie wolno mówić.

Nasz objazd zakończyliśmy dopiero o zmroku. Pojechaliśmy przez Dolinę Worka i zatrzymaliśmy się, gdyż ze względu na obecną niepewną sytuację miała tam czuwać warta. Zawołaliśmy na nich, odzewu jednak nie było.

— Musimy w takim razie poczekać, dopóki ktoś nie przyjdzie — powiedziałem rozniewany tym ignorowaniem żołnierskich obowiązków.

— Tak, poczekajmy — zaśmiał się Ustad. — W tym czasie opowiem szejkowi o śmiałym skoku, którego dokonał twój Assil.

Relacjonował mu to wydarzenie, nie schodząc z konia. Kiedy doszedł w swoim opowiadaniu do miejsca, w którym szykowałem się niegdyś do skoku, Sahn ruszyła tam, gdzie wtedy dokonaliśmy naszego karkołomnego wyczynu. Potem Ustad nagle wyrzucił ramiona w górę i wymówił to samo hasło, które kiedyś my wypowiedzieliśmy: „jatib, jatib, ia Sahn — skacz, skacz, o Sahn!” W tym momencie klacz skoczyła naprzód. Odepchnęła się tak zdecydowanie od krawędzi przepaści i pofrunęła nad nią tak gładko, tak swobodnie, tak lekko, że krzyk przerażenia, który chciałem z siebie wydobyć, zamienił się w radosny okrzyk najszczerzego podziwu. Znalazłszy się po drugiej stronie, Ustad zsiadł z niej, opuścił most i zawołał na nas, że możemy pojechać za nim.

— No, co teraz powiesz o mojej Sahn? — zapytał mnie, wpatrując się z uciechą w moje błyszczące oczy.

Objąłem go. To wystarczyło, nie znalazłem innej odpowiedzi. Szejk Dinarunów wzdrygnął się, nie mogąc otrząsnąć się z przerażenia, i zapewnił nas:

— Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem! Mogą sobie przyprowadzić „najlepszego konia Luristanu”, a nawet wielce osławionego Iblisa, a wy i tak je zwyciężycie. Moi Dinarunowie ucieszą się, że pokazaliście mi, co potrafią wasze konie. Teraz nie ośmielimy się już rywalizować z wami!

Poprosiliśmy go, żeby sam wracał do duaru i nikomu nie wspominał o Syrrze. Pozostałe sprawy omówiliśmy już wcześniej. My zaś z Ustadem pozostaliśmy na górskiej ścieżce wiodącej przez las i przez nikogo nie zauważeni wróciliśmy koło wieży wartowniczej. Na podwórzu nie było żadnego człowieka. Szybko przez nie przemknęliśmy, odstawiliśmy nasze konie i potem zakradliśmy się... dokąd? Na górę, do naszego Hadzi Halefa Omara, gdzie nas oczekiwano, gdyż Szakara była we wszystko wtajemniczona. Powiedziała, że ten wieczór powinniśmy spędzić tutaj, w ukryciu, a potem opuścić podwórze w taki sposób, żeby nikt nas nie zauważył. Zjedliśmy tam. Można sobie wyobrazić, o czym i w jaki sposób przy tym rozmawialiśmy. Halef wiedział, że rankiem po raz pierwszy może zjechać na dół, do duaru. Urządzono dla niego na trybunie specjalne, wyjątkowo wygodne miejsce, z którego mógł bez większego wysiłku wraz ze swoją Hanneh oglądać całą dolinę. Cieszył się z tego powodu jak dziecko.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment, przyszedł do mnie na górę Ustad. Usiedliśmy na dachu, żeby z tego najdogodniejszego miejsca rozkoszować się widokiem rozpoczynającego się teraz oświetlenia wzgórza. Powoli rozpalało się wielkie ognisko, w którego tworzeniu każdy brał udział. Kurd lubi takie pokazy, tak samo jak i Pers, i nie szczędzi przy takich okazjach prochu i widłaka. Oglądaliśmy to przedstawienie, nie pokazując się nikomu, gdyż wszyscy myśleli, że Ustad nie wrócił jeszcze do domu. Wszystko odbywało się bez naszego uczestnictwa.

Gdzie tylko spojrzeliśmy, wszędzie widzieliśmy światło. Noc rozjaśniła się. To, co płonęło na dole, paliło się również w jeziorze. Wszyscy ludzie znajdujący się w dolinie wydawali się nam

podobni do istot z jakiegoś świata, który skąpany w świetle z góry odbijał się od tafli jeziora i dalej wędrował ku niebu. A co z nami dwoma samotnikami, którzy pozostajemy tu, wysoko, chociaż czekają na nas tam, na dole? Tylko nie zniżać się do pochwały, bo to żadna chluba, a potem nie dostrzeże się już swoich wad!

Przyglądaliśmy się co prawda, ale to o czym rozmawialiśmy, nie miało w sobie nic z ognia, który strzelał w górę, ani ze spalonego drewna zamieniającego się w popiół. Kiedy ognisko zaczęło się powoli wypalać i w dolinie gasło światło za światłem, Ustad podniósł się z miejsca, podał mi rękę i powiedział:

— Chodźmy również na spoczynek. Na spoczynek? Czy wierzysz w to? Przekręć trzy razy klucz w swoim pokoju i połóż się spać! Przyjdę do ciebie, tak jak dzisiaj rano, i zabiorę cię na przejażdżkę wokół naszych granic. Również i tam czuwa niejeden posterunek, żeby przekazywać nam informacje. Kiedy wrócimy z naszej wyprawy do domu, nie pokażemy się nikomu, tak jak dzisiaj to uczyniliśmy. Bo to, co dla tego świata jest wieczorem, dla innego jest rankiem. Śpij dobrze... Przyjdę po ciebie.

Upadek

Kiedy następnego ranka wszedłem na mój dach, zobaczyłem, że na dworze jest dwa razy więcej ludzi, niż wczoraj. Przy namiocie Ahrimana mirzy stały konie, na których miały wystartować w zawodach cienie i Massabanowie. Wśród ruin pasły się wierzchowce szejka ul Islama i Takikurdów. W dole, nad jeziorem, po prawej stronie można było oglądać jeźdźców Dinarunów, a po lewej, niedaleko trybuny znajdowali się nasi. We wszystkich tych miejscach roіło się od prawdziwych i rzekomych znawców, którzy za wszelką cenę chcieli wyrazić swoją opinię. Ustade już dzisiaj wczesnym rankiem zawarł z Ibn el Idrakiem i szejkiem Dinarunów tajny układ, zgodnie z którym wszystkie wygrane od nich przez Dżamikunów konie mieli otrzymać z powrotem. Bez obaw mogli więc udawać naszych przeciwników. Godne uwagi jest to, że właściwi matadorzy zawodów, jak Sahm, Assil, najlepszy koń Luristanu, nie znajdowali się wśród koni wystawionych na dzisiejszy bieg. Wróg nie odsłaniał swoich atutów, więc i my naszych nie pokazywaliśmy.

Ucieszyłem się, widząc, że Halef siedzi już z Hanneh na dole, na swoim miejscu. Nie mógł już wytrzymać. A jak był ubrany? Oczywiście w honorowy strój od szachinszacha! Przy sobie miał również całą swoją broń. W jego rękach widziałem nawet słynny bicz na hipopotamy. Przydał się później na „kata”.

Po śniadaniu poszedłem do moich koni, a potem do Ustada, u którego spotkałem kapitana przybocznej gwardii. Rozmawiali właśnie o tym, o którym przed chwilą wspomniałem, to znaczy o Ghulamie el Multasimie, kacie. Trzeci z przywódców naszych wrogów nie był jeszcze dokładnie zorientowany w planowanym na nas natarciu. Najpierw, będąc u Takich, publicznie bardzo niepochlebnie wyrażał się o Ustacie, a wczoraj to samo zrobił u nas. Wraz ze swoimi towarzyszami pojawiał się w dolinie, raz w jednym, raz w innym miejscu i wygłaszał dokładnie tę samą, wyuczoną mowę. Ustade rysował się w niej jako człowiek, przed którym trzeba wszystkich ostrzegać. Ten Ustade rzekomo zachowuje się jak wierny stronnik szachinszacha, ale tak naprawdę wcale nim nie jest. Udaje, że leży mu na sercu wyłącznie dobro Dżamikunów, a w rzeczywistości myśli tylko o własnej korzyści. Przed takimi ludźmi bardziej trzeba mieć się na baczności niż przed samymi Massabanami, którzy uważani są za najgorszych z najgorszych. Nie można się więc dziwić temu, że on — kat — uważa za swój obowiązek zdemaskować tego wielce niebezpiecznego kusiciela narodu. Nawołuje więc wszystkich Dżamikunów, żeby wypędzili swojego Ustada, który wprawdzie chwali się tym, że chce uczynić ludzi szczęśliwymi, ale co najwyżej potrafi wypuszczać w świat nieszczęśliwe, guzowate i ropiejące konie. On — kat — udowodni to, jadąc na Kiss-y-Darze.

Przyszedłem dopiero na koniec rozmowy, więc kapitan przekazał mi jej wynik:

— Prosiłem Ustada, żeby nie brudził się tym nieuczciwie grającym wodzem, lecz lepiej przekazał sprawę mnie, a ja przedstawię ją policji szachinszacha. Na taką niepohamowaną i „bezdenną” arogancję i bezczelność właściwy jest jedynie bat. Dostanie go z całą pewnością! Kiedy i w jaki sposób, to się jeszcze okaże. Dajcie mi tylko pozostawione przez niego łachy, w których znajduje się nóż i tajny alfabet. To mi wystarczy!

Kapitan otrzymał rzeczy Multasima, po czym poszedłem z Ustadem i Dżafarem mirzą w dół nad jezioro, gdyż nadszedł czas, żeby wybrać jurorów. Poszło nam to bardzo szybko. Naczelnym sędzią został kapitan przybocznej gwardii. Pozostałymi byli Dżafar, Hadzi Halef, Ibn el Idrak i Pedehr. Innych konkurentów nie było, przez co wybór został zaakceptowany przez wszystkich.

Następnie uzgodniono warunki. Były bardzo proste: każde wezwanie należało przyjąć, nic poza tym. W negocjacjach brali udział również szejk ul Islam, Ahriman mirza i Khanum Gul. Ta miała swoje miejsce na trybunie pomiędzy dwoma poprzednimi osobnikami, ale nie w pobliżu nas. Szczególnie zaś daleko od nas znajdował się zawsze kat, zamierzający dokonać zamachu na Dżafara mirzę; nieustannie był pod surowym, wszakże nie rzucającym się w oczy, nadzorem.

Punktualnie o godzinie dwunastej miał rozpocząć się bieg eliminacyjny, najpierw na wesoło. Wielbłądy, osły, capy, owce i cała reszta stała już gotowa. Obok trybuny znajdowało się podwyższenie, z którego miały być zapowiadane poszczególne tury. Kerna* miał dawać sygnał do rozpoczęcia. Właśnie zabrzmiał dźwięk przypominający trąbkę rogu i zapowiadacz chciał już wejść na swoje stanowisko, został jednak na dole, gdyż mu przeszkodzono. To Ghulam el Multasim, kat przyjechał na swoim turkmeńskim kasztanie tiukich i właśnie zatrzymał się przy podwyższeniu. Prowadził na długiej linie drugiego konia, który wyglądał śmiesznie i smutno zarazem. Śmieszny był sposób w jaki go wystrojono, smutny zaś stan jego ciała. Wyglądał na sporo ponad dwadzieścia lat. Ogon i grzywa specjalnie wyskubane, a na ich miejscu przywiązana jęczmienna słoma. Głowa, brzuch i nogi oklejone kilkakrotnie plastrem. Siodła nie miał i dlatego widać było jak strasznie aż do ran, zajeżdżono go. Do pyska wpakowano mu jedno z tych straszliwych wędzideł trzgli*, z którymi jeździec jadący na tak zwanym diabelskim koniu albo zmusi go do posłuszeństwa, albo go zabije.

— Allachu, potęp tego siepacza! — usłyszałem za sobą oburzony głos Hadziego. A Kara — jego syn siedzący obok, dodał z takim samym obrzydzeniem:

— Czy można tak cierpieć? Ojczy, daj mi swój kurbacz! Czuję, że będę go potrzebował!

Tak myślał i czuł ten „niecywilizowany” syn pustyni, ale z pewnością nie ten, wynoszący się wysoko ponad niego odstępcą od kościoła chrześcijańskiego Multasim. Zeskoczył ze swego turkmeńskiego konia, wspiął się na miejsce zapowiadacza tak, że każdy mógł go widzieć, i zawołał donośnym głosem:

— Usłyszeliśmy sygnał. Wesołe wyścigi rozpoczęły się. Szejk ul Islam polecił mi, abym dokonał inauguracji, mnie, który cieszy się” łaską szachinszacha i który jest zarazem zjednoczonym głosem wszystkich prawowiernych wyznawców proroka. Nawołuję każdego Dżamiki do śmiesznej walki, a przede wszystkim samego Ustada, o którym chcę wam coś opowiedzieć.

Ponownie zaczął wygłaszać wyuczoną na pamięć mowę, która stanowiła wystarczający powód, żeby go ukarać. W jego przemówieniu roiło się od kłamstw, kręactw i zniewag. Przysłuchiwano się każdemu słowu, które padało z jego ust po to, żeby wzbudzić bezwzględną nienawiść i obrzydliwą radość ze skandalu. Podziwiałem spokój i opanowanie naszych Dżamikunów, którzy pozwolili mu skończyć, przy czym żaden się nie poderwał, aby również go urazić! U nas, na Zachodzie, gdzie panują dobre obyczaje, bardzo szybko uporano by się z taką nikczemnością! Bo, dzięki Bogu, czuwa nad tym szczególnie publiczna prasa, żeby z takimi sługami pręgierza i honorowymi katami szybko

zrobić to, na co w pełni zasłużyli! Tutaj jednak zachowywano się cicho, aż do ostatniego słowa przemowy. Potem usłyszeliśmy buczący głos szejka ul Islama:

— Ssyhassyh — brawo — wspaniale! Ahriman krzyczał:

— Chehi, chehi — co znaczyło dosłownie to samo. Gul złożyła tłuste ręce i zawołała:

— Beh, beh! — zwyczajowo używany okrzyk podziwu dla kuglarskich sztuczek.

Kilku stojących w pobliżu Takich, Massabanów i cieni zawtórowało; jedni lepiej, drudzy gorzej; obniżonym o połowę tonem. Pozostali milczeli: nie było słychać choćby pojedynczego głosu niezadowolenia. Kat, zamiast przyjąć to ogólne milczenie za oznakę niepomyślnego dla niego rozwoju sytuacji, popadł tymczasem w jeszcze większe zaślepienie i uznał to za wyraz aprobaty. Ciągnął dalej:

— Spójrzcie tu! Oto siedzi wśród was Ustad, na waszym najpiękniejszym miejscu! Pytam was: co robi, kiedy ja go niszczę i miażdżę? Uśmiecha się, przysłuchuje i milczy. Wiem, ten uśmiech ma wam imponować, mnie jednak nie zachwyca. Wasz Ustad chce niby w ten sposób okazać, że mną pogardza, ale tak naprawdę to jego oblicze wyraża zakłopotanie! A dlaczego milczy? Od czego ma usta? Jeżeli kogoś atakuję, a ten nie czuje się winny, ma obowiązek się bronić. A ów nie wypowiada ani słowa. Milczał i dalej milczy, jakby...

Na tym skończył, gdyż kapitan przybocznej gwardii, który wraz z kilkoma swoimi ludźmi dyskretnie zbliżył się do stanowiska wykrzykującego, doskoczył teraz do niego, złapał go za kark i zawołał:

— On milczał, bo był pewien, że każdy leniwy owoc sam spadnie z drzewa! Więc spadaj! Na dół człowieka, twój czas się skończył!

Cisnął go swoim ludziami, którzy natychmiast go schwyтали i zaprowadzili do znajdującego się w pobliżu namiotu. Nagle zerwali się szejka ul Islam i Ahriman mirza.

— Co to ma znaczyć?! — zawołał pierwszy. — Kto cię upoważnił, żeby zaczepiać tego zacnego człowieka! On znajduje się pod moją ochroną!

— Ochroną? — wyśmiał go z góry kapitan. — Gdybyś tylko był w stanie sam się ochronić!

— I również pod moją ochroną! — zawołał groźnie Ahriman mirza. — Czego ty właściwie szukasz u Dżamikunów?

— Chętnie ci zdradzę. Szukam naczelnika cieni, który tu od niedawna grasuje. Sądzę, że wkrótce go znajdę, bo oto mam jego przyjaciela i kata! Usiądźcie jeszcze na chwilę! Chciałbym zobaczyć, czy uda się wam być tak cicho i tak pewnie się uśmiechać, jak to zarzucaliście Ustadowi!

— Co za bezczelność! Jestem cesarskim księciem i w tej chwili; mogę nakazać twoim własnym ludziom ściąć ci głowę!

— Spróbuj! — Wyciągnął małą skórzaną kopertę z kieszeni podniósł ją w górę i kontynuował: — Chyba znasz alfabet teliq, Za pomocą którego odczytuję pewne listy? Przeczytałem również ten:

„Do Ghulama el Multasima, mojego kata! Nadeszła pora, żeby ghul–i–sziraz zakwitnęła na piersi Dżafara mirzy. Ma to nastąpić piątego dnia miesiąca szaban, w czasie wieczornej modlitwy, ani...”

— Skąd to masz, skąd?! — ryknął Ahriman, przerywając w połowie zdania. Przeskoczył przez trybunę i próbował wyrwać mu alfabet z ręki.

Nagle podniósł się Ustad, popatrzył na niego surowo i zawołał:

— Spójrz na mnie, mirza. Ja ci to mogę powiedzieć! Twój Chodem był u niego i zdradził mu to! Kto stracił swojego Chodema, ten jest szalony... szalony... szalony!

Ahriman zatrzymał się, przejechał ręką po czole, jak gdyby ktoś go tam uderzył, krzyknął, skoczył przez trybunę i zniknął, rozpluwając się w tłumie. Tylko nieliczni zauważyli jego cichą i szybką ucieczkę.

Nastąpiła ona właśnie wtedy, gdy z namiotu wyprowadzono kata. Ubrany był tylko w spodnie, zaś tułów i ramiona posmarowano mu olejem. Jeden z gwardzistów niósł za nim rzeczy i nóż. Kapitan wydał rozkaz, żeby zanieść je do szejka ul Islama, któremu rzekł:

— Chroniłeś tego „zacnego człowieka”. My rozdzieliliśmy człowieka i zacność dokładnie w taki sposób, jak on to uczynił, żeby zostać pomocnikiem kata. Człowiek uciekł, zacność jednak przezornie pozostawił. Przechowaliśmy ją, bo wiedzieliśmy, że ten człowiek wróci. I oto zjawił się ponownie jako kat, wysmarowany olejem, śliski i niepewny towarzysz! Nakazuję go teraz wybatożyć na oczach wszystkich, którzy słyszeli tę wyniosłą mowę, a ty wynagrodzisz ją swoim *ssyhassyh*. Przechowaj mu w tym czasie jego zacność, bo przecież jest twoim podopiecznym. Jeśli wytrzyma razy zadawane batem, zwróć mu wówczas zacność i oddaj Takim ich ustada.

Szejk ul Islam nie odezwał się ani słowem, kiedy usłyszał zarzuty kapitana. Najchętniej by uciekł, musiał jednak zostać, jeśli nie chciał całkiem się ośmieszyć. Również kat nic nie mówił. Stał pomiędzy dwoma gwardzistami z zaciśniętymi zębami i roziskrzonymi oczami, których spojrzenie nadaremnie szukało pomocy. Nagle nastąpiło coś, co dało mu szansę ucieczki. Prawdopodobnie już wcześniej wpadł na pomysł, żeby niespodziewanie dosiąść swego konia i odjechać, ale, niestety, związany był z Brukową Powieścią. Zanim udało mu się rozwiązać długą linię, schwytano go. Ze swojego miejsca podniósł się dobry, współczujący Kara ben Halef i ruszył do przodu, żeby obejrzeć okaleczenia tego biednego zwierzęcia. Zbadał najpierw rany wywołane uciskiem upręży, a potem miejsca zawinięte plastrem.

— To wszystko kłamstwa — zawołał wreszcie szejk ul Islam, podczas gdy na jego twarzy rysowało się coraz większe zdziwienie. — Co za bezdena nedorzecznosc, żeby przedstawiać nam tego Kissa jako Darra, tę Powieść jako Brukową! Jedyńa lichoscia u tego starego wprawdzie, ale tak jeszcze znakomitego konia są oszukańcze plastry, te bezczelnie przyklepione domniemania, pod którymi daremnie szuka się prawdziwych dowodów. Gdyby nie był tak zjeżdżony, dosiadłbym go teraz, by pokazać, że...

— Pokaż, no pokaż! — przerwał mu kat. — Twoja głupota sprawia, że odchodzę od ciebie.

Kara, sprawdzając konia, odwiązał go z liny. W tym samym momencie jeniec wymknął się gwardzistom, skoczył na swojego konia i ruszył w kierunku toru, który był już zupełnie przygotowany do zawodów. Wszyscy poderwali się z miejsc i niemal każdy krzychał. Kara jednak nie był w najmniejszym stopniu zbity z tropu. Trzymając w ręce bicz swojego ojca, pośpiesznie ruszył na nie osiodłanym Kissie i zawołał:

— Ja jestem winny i dlatego sprowadzę go z powrotem! Gromkie, nawołujące „Chchchchhhh” sprawiło, że koń ruszył naprzód... Rozpoczęła się pierwsza gonitwa, jednak zupełnie inna od tej, której się spodziewaliśmy.

Co się właściwie stało, wiedzieli jedynie ci, którzy znaleźli się w zasięgu głosów rozbrzmiewających z trybuny. Wielu, wielu innych nie miało pojęcia, co się rozgrywało. Zajmowali całą drogę wokół jeziora i na widok obu jeźdźców ścisnęli się jeszcze bardziej. Z przodu pędził kat, który dopiero na skraju jeziora mógł przedrzeć się przez ludzi i umknąć przez jedną z przełęczy. Za nim Kara, który doskonale wiedział, co się święci i zamierzał wcześniej złapać Multasima. Długonogi turkmeński koń pędził wielkimi susami. Drobniejszy Kiss, pomimo swojego wieku, biegł jednak lżej i szybciej. Nadto kat włókł za sobą długą linę, a że była mocno przymocowana do pierścienia napierśnika, nie mógł się od niej uwolnić. Kilkakrotnie wplątywała się kasztanowi pomiędzy nogi. Przeszkadzało mu to. Biegł ostrożnie, potem nawet co jakiś czas jakby się zastanawiał. Drażnili go nawet widzowie. Q widzieli, że jeździec był półnagi. W oczy rzucał im się także dziwny strój Kissa i groźnie unoszący się bicz ścigającego. To sprawiło, że domyślili się, iż nie chodzi tu o zwykłą gonitwę, ale o rzeczywistą próbę ucieczki. Krzyczeli do siebie, żeby nie dać katowi umknąć. Ten hałas strwożył kasztana, lecz bynajmniej nie spłoszył Kissa, który był koniem zupełnie innej klasy.

Ten doganiał coraz bardziej Turkmena i wreszcie dopadł go w miejscu, gdzie Ghulam miał jedyną możliwość przedarcia się przez góry. Kara był rozsądny. Jechał po zewnętrznej stronie i tak okładał biczem na hipopotamy nagiego kata, że ten nie mógł wymknąć się z zewnętrznej części toru i coraz bardziej był spychany do jeziora. Kara dzierał go raz za razem. Jakie przy tym padały słowa, dowiemy się później. Kat wzywał niebo i piekło, żeby poruszyć swoimi słowami Karę i mu uciec. W odpowiedzi jednak otrzymywał tylko razy. W końcu znalazł się po drugiej stronie jeziora. Ciągle jeszcze biczowany przez młodego Haddediha zbliżał się do nas. Jadąc naokoło, minął drogę do świątyni, duar, i wreszcie dotarł do trybuny. Niemal oszalał. Pienił się z wściekłości. Kara jeszcze raz pogonił Kissa, wysunął się naprzód, wyrwał Ghulamowi cugle i szarpnął tak, że obydwie konie stanęły dęba. Kat zsunął się na ziemię. Kara ruszył na niego i wykrzykiwał:

— Łajdaku, zabiję cię, jeśli mi nie odpowiesz. Kiss jest byle jakim koniem czy nie?

Zapytany powstał, trzęsąc się cały ze strachu. Nie mógł wymówić ani słowa.

— Byle jaki brukowy koń czy czysta, szlachetna krew? — powtórzył Kara i przejechał mu biczem po twarzy.

— To nie jest lichy koń! Szlachetna czysta krew! — zabrzmiały słowa kata.

— Czy wy go zmarnowaliście?

— Tak... my! — wybełkotał wystraszony Multasim, widząc ponownie groźnie uniesiony bicz.

— To przeprosisz Ustada! Natychmiast, natychmiast!

Ze świstem spadł nowy cios.

— Tak, oczywiście... Przepraszam, przepraszam!

Złożył ręce i błagająco uniósł je w górę. Cóż za figurę tworzył teraz tu na dole — zupełnie inną niż wtedy, gdy bezwstydnie stał na wysokim schodku i niczym nieomylnie bóstwo z nieba mieszał z błotem Ustada! Tysiące, tysiące myślało, że musi wierzyć słowom kata, gdyż wyobrażali sobie, że Multasim nie wiadomo ile znaczy, skoro nikt nie jest w stanie uniknąć jego żądy zemsty. A tu pojawił się jakiś całkiem prosty młody człowiek i na oczach tychże tysięcy pokazał, ile znaczy ten osobnik: tylko jego zawód go zasłaniał, a poza tym w tej obnażonej, obecnej nagości znaczył jeszcze mniej, o wiele mniej niż... nic!

— Skończyłem już z tobą. Marsz teraz do twojego sędziego! — powiedział Kara, wskazując biczem w kierunku kapitana, który powitał Multasima słowami:

— Baty już otrzymałeś. Sam na nie sobie zasłużyłeś. Idź do szejka ul Islama, twojego obrońcy! Ten przyjmie cię ponownie, żeby na nowo wykreować z niego człowieka. Potem powiesimy cię. Mir dese b* jest już gotowy... Kat dla kata!

Te słowa w szczególny sposób uderzyły Multasima. Jego dotychczas drżące ze strachu oblicze przyjęło teraz zupełnie inny wyraz. Skurczył się w sobie i zapytał:

— Powieszony? Mam być powieszony? Naprawdę?

— Tak, i to natychmiast, bo uratuję w ten sposób Dżafara mirzę!

— Schronię się u szejka ul Islama, który musi mnie obronić, jeśli sam nie chce zginąć. Zdradziłbym wszystko!

Pobiegł do ul Islama. Ten jednak wyciągnął obie ręce, nie dopuszczając go do siebie, i zawołał:

— Trzymaj się ode mnie z daleka, ty niezdaro! Czemu się zdradziłeś? Kto nie zachował w tajemnicy alfabetu Sillanów, ten również jest zdolny zdradzić chrześcijanom zamiary świętego islamu! Kiedy cię poznałem, byłeś chrześcijaninem odszczepieńcem, a więc zdrajcą. A teraz i mnie również odgrażasz się zdradą. Wynoś się! Z przyjemnością zobaczę cię na stryczku.

Kat zaryczał głośno. Zamiast oddalić się, podszedł do niego blisko, zacisnął pięści i pod wpływem ogromnej złości zaczął wylewać z siebie całą gorycz:

— Tak, masz rację: jestem zdrajcą! Zdradziłem nie tylko człowieka, ale i Boga, i siebie samego. Zdradziłem swoją chrześcijańską wiarę. Zdradziłem przez to władzę. Zdradziłem księcia cieni.

Zwodziłem również ciebie, dokładnie tak jak ty sam siebie zwodzisz. Ale przynajmniej teraz nie kłamię, właśnie teraz, bo publicznie się spowiadam! Jeśli mam być powieszony, to niech powieszają od razu dwóch! Trzeciemu i czwartemu pozwolą chyba uciec. Tobie jednak założą na szyi zasłużoną pętlę!

Odwrócił się od niego, ruszył w naszą stronę, wyprostował się i chciał mówić. Wtem szejik ul Islam chwycił leżące przed nim części ubrania kata, dobył z nich nóż, wymierzył w Multasima i zagroził:

— Milcz, głupcze, w przeciwnym razie zginiesz od własnego sztyletu!

— Powróż czy ostrze, co za różnica, i tak wszystko powiem! — odparł Multasim, szybko wkraczając do akcji, żeby się bronić.

— To wynoś się stąd i wygłaszaj swoją mowę w piekle, ale nie tu!

Po chwili obaj wzięli się za łby. Khanum Gul krzyknęła z przerażenia, opuściła miejsce i odeszła. Nikt nie patrzył za nią, bo wszystkie oczy skierowane były teraz na obydwu walczących, którzy szarpali się ze sobą, a potem ścierali się dalej pod ławkami cicho, bezgłośnie, jak dwa zawzięte dzikie zwierzęta. Nagle zabłysło i zagrzmiało nad nami. To burza huczała. Cała nasza uwaga skupiona była na bijących się, więc nie zauważyliśmy ciężkich burzowych chmur, nadciągających zza góry, na której stały ruiny. Teraz groźnie kotłowały się nad alabastrowym namiotem. Zналиśmy ten rodzaj burz, które pojawiają się w górach zupełnie nieoczekiwanie i zaczynają szaleć z ogromną siłą, poruszającą wszystkie żywioły. Wiedzieliśmy już, że musimy zrezygnować z naszych wesołych przedbiegów, jeśli nawet nie ze wszystkich, to przynajmniej z tych, które miały się teraz odbyć. Spadały już pojedyncze krople deszczu wielkości grochu. Walka na śmierć i życie dobiegała końca. Szejik ul Islam wyczołgał się spod ławki wyczerpany do granic, ociążały i krwawiący. Spojrzał dookoła osłupiałym wzrokiem i zawołał ochrypłym głosem:

— Stało się tak, jak powiedziałem: poszedł do piekła. Tam może mówić, co sobie zechce, nikomu to nie będzie szkodzić. Diabły nie uwierzą tak szybko jak ludzie! Jestem ranny. Zanieście mnie do mojego namiotu!

Kilku Taki podbiegło, żeby mu pomóc. Wyciągnięto Multasima. Był martwy. Nóż aż po uchwyt tkwił w nagiej piersi. Wtem ponownie zabłysło, zagrzmiało i na dobre się rozpadało. Pośpiesznie ruszyłem do namiotu Aghy Sibila, gdzie już od dawna mnie oczekiwano i gdzie z ogromną radością przyjął mnie mój stary bagdadzki przyjaciel i wszyscy jego kompani. Pierwsze co musiałem zrobić, to zarezerwować dobre miejsca dla Halefa, Hanneh i Kary, którzy oczywiście nie pozwolili długo na siebie czekać. Odżyła stara przyjaźń i wspomnienia; na dworze mogło sobie padać i lać, a tu w środku kapać ile tylko chciało. Wspominaliśmy również Kepeka. Z powodu jego tuszy wysłano go tak szybko, jak było to możliwe przesyłką do Isfahanu, gdzie w przyszłości chciał z nim zamieszkać jego pan. Krzepką pannę zamierzano na stałe, już do końca życia, zatrudnić jako kucharkę. Tifl przy tym jako pendant* miał dzielnie towarzyszyć Kepekowi przy jedzeniu.

Deszcz padał wyjątkowo długo. Kiedy na chwilę ustał, Szakara przysłała dla mnie i dla Kary konie, a dla Halefa i Hanneh podwójną lektykę, abyśmy mogli wszyscy razem wrócić szybko do

domu. Ustad dołączył do nas dopiero później. Jak roztropna była Szakara, potwierdziło się znowu przez to, że wybawiła nasze konie od wielkiej ulewy.

Ustad przyszedł z Dżafarem mirzą właśnie wtedy, gdy nastąpił nawrót burzy, tym razem z jeszcze większymi wyładowaniami. W domu Chodj–y–Dżuny znaleźli wygodne schronienie. Obserwując wszystko stamtąd, wydawali polecenia. Ten zamęt, który wystąpił przed burzą, przyjęli nie jako tragiczny, lecz raczej komiczny. Ja również nie zaprzętałem sobie głowy smutnymi myślami. Dowiedziałem się, że zwłoki kata usunięto sprzed ruin i zaniesiono przed namiot szejka ul Islama. Jego konia skonfiskował kapitan, a Kiss–y–Darrem zaopiekował się Ustad, który pragnął, żeby zwierzę wróciło do zdrowia.

Deszcz nadal nie ustawał. Nie było już nic do roboty i poszliśmy spać w nadziei, że rano wreszcie się rozpogodzi. Chyba nikt nie kładł się dzisiaj do łóżka tak zadowolony i dumny, jak Hadzi Halef i Hanneh. Ich syn rzeczywiście był bohaterem dzisiejszego dnia, ja zaś powiedziałem im, że ten wyczyn to nie przypadek, lecz potwierdzenie szczególnych zdolności Kary. To była rozkosz dla mojego Hadzi. Kiedy wstałem następnego dnia, wsiadł do lekyki i kazał zanieść się na trybunę, gdyż Ahriman mirza i szejk ul Islam zażądali zwołania zebrania jurorów i dżemmah, ponieważ wczesnym rankiem mieli złożyć ważny wniosek. Podczas tej narady szejk Haddedihnów musiał oczywiście być obecny, nawet jeśli nie pozwalałyby mu na to siły. Wczorajszy dzień przyniósł mu szczególną radość w związku z dzielną postawą jego syna.

Po upływie godziny zakończyły się pertraktacje, którym przewodniczył Ustad. Potem gospodarz przyszedł do domu, żeby mnie odszukać i sprowadzić na dół. Dowiedziałem się wówczas, czego życzyli sobie Ahriman mirza i szejk ul Islam. Po wczorajszej kompromitacji obaj ci panowie na myśl, że przez cały dzisiejszy dzień będą wystawieni na spojrzenia tak olbrzymiej masy ludzi, truchleli ze strachu. Już wczesnym rankiem postanowili, iż wyścigi będą tak krótkie jak tylko to możliwe. Ich propozycja brzmiała: szlachetne konie, które miały wystartować w zawodach, nie pobiegną, będą jednak stanowiły pulę nagród. Natomiast z każdej strony staną do walki tylko trzy konie. Kto zwycięży w dwóch gonitwach, otrzyma wszystkie wierzchowce. Żaden z matadorów nie może startować dwa razy i nie muszą oni wcześniej się przedstawiać. Zwierzęta przeznaczone na nagrodę muszą mieć jednakową wartość.

To czego oczekiwałem, spełniło się: Dżamikunowie przyjęli tę propozycję jednogłośnie i szybko skierowali się na dół, nad jezioro, żeby oszacować i porównać ceny koni. Postawione przez naszych przeciwników warunki dotyczyły również mających odbyć się najpierw wyścigów wielbłądów. Dżamikunowie nie mieli w nich wielkich szans, ponieważ ich zwierzęta wypasały się więcej w górach niż na równinie, na której mogłyby rozwijać dużą prędkość. Natomiast emir Sillanów miał do dyspozycji najlepsze wyścigowe wielbłądy swoich cieni i Massabanów. Jednak przy nowych warunkach przeprowadzenia zawodów ten brak rekompensowały całkowicie dwa ulubione wielbłądy naszej Hanneh.

Ukryliśmy tylko Syrra, a że nie chcieliśmy bawić się z naszymi matadorami w chowanego, Ustad wydał polecenie, żeby przygotować dwa pozostałe konie dla naszych jeźdźców. Syrra zaś przykryto starą płachtą i w całkowitej tajemnicy zaprowadzono na dół do Chodj–y–Dżuny, gdzie zostawiono go na jego podwórzu, na które nikt nie miał dostępu. Gdy chcieliśmy już odejść, Szakara zapytała, czy może przyglądać się tym wyjątkowym wyścigom. Bardzo się ucieszyliśmy, że możemy udostępnić jej

dobre miejsce na trybunie między nami.

Pogoda sprzyjała zawodom. Lepszego wiatru nie mogliśmy sobie życzyć, a deszcz przestał wreszcie padać. Łało jak z cebra jeszcze długo po północy i całe zarośla pod wpływem ciężaru spadającej wody obsunęły się w dół. Krzaki i trawy pokładały się na ziemię, a niektóre drzewa nawet zostały wyrwane z korzeniami. Na szczęście strugi wody znikwały całkowicie w jeziorze. Drogi szybko osuszyły się, a na torze wyścigowym były jeszcze lepsze warunki niż wczoraj, gdyż potężny deszcz wyrównał go.

Kiedy schodziliśmy na dół wraz z Dżafarem mirzą, który teraz mógł być spokojny o swoje życie, zobaczyliśmy Ahrimana i szejka ul Islama uwijających się, by wystawić swoje konie przeznaczone na nagrodę. Zajmowali się tym osobiście, gdyż chcieli zadbać, żebyśmy później i my wystawili do walki wierzchowce dorównujące klasą ich zwierzętom. Zamierzali wygrać od nas najlepsze rumaki, z pozostałych, lichych koni chcieli się pośmiać, a z nas sobie pokpić. W ten sposób sami jednak zmuszeni byli wystawić najlepszego konia, ja z kolei bardzo byłem ciekaw, jak wypadnie ten „najlepszy”.

Co tyczy się dwóch osobników, o których wcześniej była mowa, to szejek ul Islam wywarł dzisiaj bardzo podobne wrażenie jak wczoraj Powieść Brukowa, tyle że jeszcze gorsze; rany, które odniósł w walce ze swoim podopiecznym, były jak najbardziej prawdziwe. Wyglądało na to, że przeciwnik kilkakrotnie wyszarpnął szejkowi nóż i zranił go nim.

Zwłaszcza twarz cała obklejona była plastrami, zaś na jednym policzku i brodzie brakowało sporego płata skóry wraz z zarostem. Pozostała część nie stanowiła już ozdoby. Szejek miał taki wyraz twarzy, jakby owo oszpecenie było mu całkiem obojętne. Ahriman mirza siedział cicho jak trusia i zamknięty w sobie. Raz jego mina stawała się zupełnie przytępiona, innym razem oczy roziskrzały się tak, jakby zaraz miał wybuchnąć ze złości. Wszystko robił niepewnie i za szybko, bardzo często nadśluchował przełknięty albo strachliwie oglądał się za siebie, jakby czuł, że ktoś zagniewany ciągle go obserwuje.

Wystawili ponad trzydzieści wielbłądów. Były doborowe, niektóre nawet wyśmienite, bez wyjątku same szlachetne, najlepszej rasy szuturi ba'aud*. Dżamikunowie, którzy posiadali wyłącznie górskie wielbłądy, być może o jeszcze większej wartości, postanowili wynagrodzić to rywalom, dodając od siebie do puli nagród dodatkowe dziesięć wielbłądów. W stosunku do Takich i Dinarunów nie było to konieczne. Jedni i drudzy zgromadzili około czterdziestu sztuk, a Dżamikunowie odparli taką samą liczbą.

Jeśli chodzi o konie, proporcje się zmieniły. Nasi rywale mogli sobie myśleć, że mają nie wiadomo jakich matadorów, a i tak niewiele im to dawało, gdyż przeciętna wypadła nisko. Nie byli w stanie się tego wyprzeć. Ich złość z tego powodu była wielka; przełknęli ją jednak po cichu. Razem z Dinarunami i Takimi zgromadzili co prawda około sześćdziesięciu sztuk „szlachetnej krwi”, jak je określili, musieli jednak zadowolić się tym, że my założyliśmy się tylko o czterdzieści koni.

Po zakończeniu pertraktacji podano do wiadomości ich rezultat i prędko obwieszczono go po całej dolinie. Posłaliśmy teraz po dwa szybkie wielbłądy. Jednego z nich miał ujeżdżać Haddedihn, a drugiego Hanneh, która bardzo chciała udowodnić, że jeśli się chce, to można! Naszym trzecim

wielbłądem był najszybszy garbus Dżamikunów, niestety już dość stary i na dodatek krnąbrny. Kiedy przeciwnicy przyprowadzili swoich trzech faworytów, zdaliśmy sobie sprawę, że nie będzie łatwo stawić im czoło. Śmiali się, kiedy Dżamikunowie przyprowadzili swojego garbusa, a jeszcze głośniejszą na widok naszych wielbłądów wyścigowych, a na dodatek dowiedzieli się, że jednego z nich będzie ujeżdżać kobieta.

W poprzek toru rozciągnięto sznur. Przy nim ustawiono sześć wielbłądów. Zasiedli na nich jeźdźcy. Po sygnale sznur miał być usunięty. Zwierzęta miały biec parami.

* ustad — mistrz

* efendi — pan (zwrot grzecznościowy)

* Jest to aluzja Maya do krytyków, którzy zarzucali mu, że pisząc o duchu ludzkim, głosi brednie o duchach, upiorach, zjawach (przyp. tłum.).

* Chodeh — Bóg

* Isa ben Marryam — Jezus syn Maryi (przyp. tłum.)

* Ewangelia Jezusa Chrystusa (przyp. tłum.)

* Imtichanat — Doświadczenia (przyp. wyd.)

* Dżebel Din — Góra Wiary (przyp. wyd.)

* Chabl el Milal — Lina Wyznań (przyp. wyd.)

* dibb — hiena (przyp. wyd.)

* Beit-y-Chodeh — Dom Boży

* dżelad — kat

* emir el muminin — najważniejszy spośród wiernych

* nebi — prorok

* sahib-i-szeriat — prawodawca

* saflor — inaczej krokosz barwierski, jednoroczna roślina uprawna cenna ze względu na olej stosowany w przemyśle spożywczym i technice, wykorzystywana także do produkcji barwników (przyp. tłum.)

* mirza, od mirzada — tytuł książęcy, jeżeli stoi za imieniem własnym, ale jeżeli przed, to oznacza człowieka wykształconego (przyp. tłum.)

- * amdszaspands — amdszaspandowie (archanioły), pomocnicy Ahuramazdy, boga dobra w religii staroirańskiej, zaratusztrianizmie (przyp. tłum.)
- * sunnici — ortodoksyjny odłam muzułmanów, przeciwstawny szyitom, stosujący przy interpretacji Koranu tradycję (surmę); stanowią większość wyznawców islamu (przyp. tłum.)
- * ustawat — liczba mnoga od ustad
- * Pedehr — ojciec
- * kekik otu — tymianek
- * bakszysz — jałmużna
- * sukh — bazar
- * a' wa'l Jhana — proces o obrazę
- * kasawajka — rodzaj damskiego płaszcza
- * aszyk — kochanek
- * szahsadeh — księżę z rodziny cesarskiej
- * Pasar gunu — sobota
- * muallima — nauczycielka
- * mantyk — logika, jasność myśli
- * serir — stół do jedzenia
- * kyssyl — olsza
- * autor zastosował tutaj grę słów; niemieckie słowa podłe, nikczemne (das Niedrige, das Gemeine) oznaczają również niskie, pospolite (wężę wiją się nisko) — (przyp. tłum.).
- * Dźebel Adawa — Góra Wrogości
- * merwer — czarny bez
- * hekim-i-szera — sędzia pisanego prawa
- * esp-dewani — wyścigi konne.
- * wadi (arab.) — sucha dolina na pustyni, długa (do kilkuset kilometrów), kręta, o stromych zboczach (przyp. tłum.)

* Antyliban — pasmo górskie położone na obszarze obecnej Syrii i Libanu (przyp. tłum.)

* kasi — asesor

* ssijasów — liczba mnoga od ssais — stajenny

* pasza — tytuł wysokich dostojników cywilnych i wojskowych w imperium osmańskim (przyp. tłum.)

* naddara — okulary

* ketib — sekretarz, pisarz

* ahalyi-y-dżennet — błogosławiony

* wehlijullach — święty

* imam-y-dżuma — główny kapłan

* sertib-y-ewwel — generał dywizji

* sertib-y-duwwum — generał brygady

* gheda — drugie śniadanie

* kasi — sędzia

* dżambas — kuglarz, magik

* Isa ben Marryam — Jezus syn Maryi

* kara goz ojunu — gra cieni, farsa

* szibhata — zapalki

* nur-y-saratin — światła emitowane przez raki

* martwica wapienna — wapienna skała osadowa, jasna, porowata, gąbczasta,! powstaje przez wytrącenie się węglanu wapnia, głównie z wód źródłanych pod wpływem j gwałtownego spadku temperatury lub ciśnienia (przyp. tłum.)

* dżehenna — piekło

* „Ty zaś, gdy chcesz się modlić, wejdź do swej izdebki, zamknij drzwi i módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu. A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie” — ! fragment Kazania na Górze Jezusa Chrystusa w przekazie ewangelisty św. Mateusza (przyp. tłum.).

* Zaratustra — założyciel staroirańskiej religii zoroastryzmu (ok. VII, VI w. p.n.e); religia ta

zakłada ustawiczną walkę dwóch przeciwstawnych bóstw: Ormuzda — boga światła i dobra oraz Ahrimana — boga ciemności i zła, a co za tym idzie — dwóch sfer wszechświata: królestwa światła, prawdy i dobra oraz królestwa ciemności, kłamstwa i zła, obejmujących swym zasięgiem zarówno świat bóstw i duchów, jak i świat materialny; w tym dualistycznym wszechświecie człowiek, złożony z duszy i ciała, ma prawo do wyboru: złymi czynami wspiera Ahrimana, dobrymi zaś przyczynia się do nieuchronnego zwycięstwa Ormuzda przy końcu świata (przyp. tłum.).

* tumasa — chrześcijanka

* bakława — rodzaj słodkiego pieczywa

* ssipasalar — minister wojny

* pul-i-sefid — srebrny pieniądz

* hekim i hekimbaszi — lekarz i naczelny lekarz

* hubub — maliny

* kismet — w religii muzułmańskiej los przeznaczony każdemu człowiekowi (przyp. tłum.)

* miejsce najświętsze — także abaton od greckiego a'baton — niedostępny; pomieszczenie w kościołach o ortodoksyjnym obrządku religijnym. Znajdował się tam przeważnie ołtarz. Miejsce to dostępne było tylko kapłanom bądź wybranym osobom. Przechowywano w nim świętości, na przykład w świątyni w Jerozolimie w miejscu najświętszym znajduje się Arka Przymierza, czyli według Biblii skrzynia, którą Żydzi otrzymali od Boga, a w której zawarte były tablice dekalogu (przyp. tłum.).

* mudzewwedet — psychologia

* niektóre odmiany krzewów malin rodzą owoce o barwie białej, jeszcze inne wydają owoce żółte (przyp. tłum.)

* tebdil, teswir — incognito, maskowanie się

* sirdżameh — spodnie

* pirahen — koszula

* alkalok — kamizelka

* keba — surdut

* kemer — szal

* dżubbeh — wierzchni płaszcz odpowiedni również do jazdy konnej

* patrz Karol May, *Szut*

* Patrz Karol May, *Przez dziki Kurdystan*

* Dżydd — imię perskie, oznacza pilność

* miszki en nur — lśniący kary koń

* ganasze — tylne dolne krawędzie żuchwy konia, miejsce przyczepu jej mięśni (przyp. tłum.)

* machassa i fursza — zgrzebło i szczotka

* Rollfuhrmann (niem.) — woźnica przedsiębiorstwa przewozowego (przyp tłum.)

* Droschkenkutscher (niem.) — dorożkarz (przyp. tłum.)

* nedżar — stolarz

* suhulet — wielokrążek

* bab — brama, furtka

* soghanlar — cebula

* Kiss-y-darr — powieść brukowa

* różdzka posmarowana lepem — rodzaj sidła na ptaki (przyp. tłum.)

* sokdża — zimna zupa, chłodnik

* kafir — kacierz

* Piszkhidmet Baszi — wzmianka o tym znajduje się w powieści Karola Maja *W wieżach Babilonu*

* balapusz — wierzchnie ubranie

* karier — najszybszy bieg u zwierząt czworonożnych; odmiana galopu (przyp. tłum.)

* wakkiif — zatrzymaj się

* ssinpusz — podkład siodła

* Hemad — posłuszny

* natnata el mutarid — rodzaj bardzo wysokiego krótkiego kłusującego kroku charakterystycznego dla prawdziwej arabskiej szkoły

* w krajach islamskich harem (od arab. harim — zakazany) oznacza wydzielone pomieszczenie dla

kobiet, do którego nie ma wstępu żaden obcy mężczyzna. Dlatego Pekala mówi, że żadna męska ręka nie może dotknąć madame. Współcześnie harem częściej kojarzy się z dużą liczbą żon jakiegoś bogatego obywatela Orientu, w tekście chodzi jednak o pierwsze znaczenie (przyp. tłum.).

* kefflje — arabska chusta na głowę

* Ben Hidr — syn ostrożności, oczekiwania

* Ellor — Haiderabad, miasto w Indiach

* munsztuk — rodzaj kielzna składającego się z dwu metalowych drążków, połączonych trzecim drążkiem, zakładanym do pyska, i z łańcuszka opasującego dolną szczękę konia; stosowane bywa w jeździectwie do powodowania ostrymi końmi (przyp. tłum.).

* Diwar–y–Mugasa — Mury Zemsty

* Utaq–y–Szejtan — Diabelska Izba

* Ghulman–i–szahi — konni żołnierze przybocznej gwardii cesarza

* sembureks — armaty przenoszone na wielbłądach

* kerna — perski róg

* tręzła — rodzaj uzdy umożliwiającej kierowanie koniem. Jej elementem jest wędzidło, inaczej munsztuk, czyli metalowy pręt wkładany koniowi do pyska (przyp. tłum.)

* kurbacz — bicz

* desebe — perski kat wojskowy

* pendant — przedmiot (osoba), który ma tworzyć z drugim harmonijną całość, druga połowa pary (przyp. tłum.)

* szuturi ba'aud — „powietrzne wielbłądy”, nazywane tak ze względu na rozwijaną przez nie prędkość